

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1872.

Tom drugi.

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1872.





Dc. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава. 14 Марта 1872 года.

K 35/46

STUDYA EKONOMICZNE.

Przez

Edwarda Stawiskiego.

Dział Ekonomii społecznej w naszej literaturze — grupy, na jakie się rozpada — uwydatnienie niektórych pism i pisarzy.

I.

Grono nieliczne naszych ekonomistów nie znalazło dotąd krytycznego ocenienia; co więcej nie zgodzono się na to, jakie granice naznaczyć literaturze ekonomicznej. Najświeższe i dawniejsze nasze obrazy literatury krajowej, prawie że pomijają ten dział piśmiennictwa, tak zbywają go krótko i z niechęcią. P. Maciejowski sam jeden z wielką trafnością, opisy kraju i pojedynczych prowincyj przez krajowców i cudzoziemców w XVI i XVII wiekach zrobione, których znaczna jest liczba (1), a wszystkie mają charakter statystyczno-polityczny, do rzędu tego zaliczył. Jak najstuszniej to miejsce im się należy. Ale oprócz nich, kilka zaledwie rzadkości p. Maciejowski do działu tego dołączył. Bentkowski starał się nieco ugrupować tę gałąź literatury dzieląc ją: 1) na pisma o ekonomii politycznej i administracji publicznej we wszystkich jej częściach, 2) na pisma o ekonomii politycznej i administracji publicznej, tudzież o poprawie rządu w ogólności, 3) na pisma dotyczące się ekonomii politycznej w szczególności. Wszystkie te rzędy są poddziałami większego działu polityki. Łatwo na pierwszy rzut oka dostrzedz, jak te trzy działy mieszają się ze sobą; jakoż w spisie Bentkowskiego bez obrazu systemu, możnaby przenieść znaczną liczbę dzieł z jednego działu do drugiego. Autor artykułu: *Gospodarstwo narodowe*, w Encyklopedyi powszechnej, daje także spis dzieł ekonomicznych, ale bez wszelkiego ugrupowania i zaczynając dopiero od schyłku XVIII wieku. Zaprawdę, trudno pojąć tego, aby w kraju jak nasz, nie pisano daleko dawniej o rzeczach ekonomicznych. Że nauka

(1) Po większej części weszły te opisy do Zbioru Mizlera.



od Adama Smitha inną, odrębną, zamkniętą w sobie przybrała postać, nie idzie zatem aby pojęcia, myśli, wyobrażenia usystematyzowane tą nauką, nie dały się spotykać w innych daleko dawniejszych epokach wszędzie, zwłaszcza w krajach mających pełny samorząd i swobodę prassy.

Grupowanie się pojęć w pewne systematyczne całości, dzieje się zwykle powoli: jest ono dziełem czasu i głębszych badań nad przedmiotem. W miarę jak pojęcia dojrzewają, wydzielają się oddzielne umiejętności. Długo istniała wprzód historia, zanim pomyślano o wydzieleniu z niej filozofii-historii. Polityka, prawo, administracja, moralność, długo chodziły razem, zanim się rozpadły w oddzielne umiejętności. Dotąd w teorii łączą jeszcze nieraz politykę z moralnością, chociaż w praktyce nie jednemi one zwykle drogami chodzą. Nie dawno pojawiła się w świecie naukowym gramatyka porównawcza i nauka języków. Badania przyrody dawniej odnosiły się albo do sztuki robienia złota, albo do medycyny. Powoli rozdzielały się i wydzielały przez grupowanie pewnej liczby faktów mających wspólne cechy i związanych stałymi prawami. Różne działy medycyny zaczynają dzielić między siebie praktyczni lekarze, a w Anglii podobno dotąd niektórzy zarazem rady udzielają i lekarstwa przyrządzają. W Turcyi dotąd administracja od wojskowości, a księga praw od ksiąg religijnych się nie oddzieliła. Rozdział kościoła i państwa jest wszędzie dotąd teorią, wyłączszy Stany Zjednoczone. Przeszłe czasy łączyły, zlewały wszystko, trudno im było szczegółów dopatrzeć i w grupy ułożyć; zdaje się, że przyszłość odmienny czeka kłopot: jak całość związać i pod pewne ogólne prawa podciągać.

Taka była kolęj prac umysłowych wszędzie, tak samo działo się z pojęciami odnoszącymi się do gospodarstwa społecznego. Tylko że przedmioty stanowiące istotę gospodarstwa społecznego są téj natury, że one są, pomimo że nauka systematyzująca je i podciągająca pod stałe prawa nie istnieje. Chemia np. lub fizyologia i inne nie istniały można powiedzieć, dopóki nie zrobiono pewnych spostrzeżeń i doświadczeń będących podstawą nauki. W każdym zaś państwie wielkiem, żyjącem długie wieki, mającém księgi praw, urzędnia skarbowe, system finansowy, handel wewnętrzny i zewnętrzny, własną monetę, instytucye rozmaite, stowarzyszenia interesa materyalne mające na celu, jest już cała treść i wątek tego co stanowi przedmiot nauki ekonomicznej, postawione tylko i pojmovane według miejsca i czasu. Jest to więcćj jak surowy materyał dla nauki, jest to już tworząca się nauka. Nie jedno może okazać się nie odpowiadające późniój dostrzeżonym prawdom, nie jedno za to postępuje do ugruntowania właśnie tychże prawd, do uzupełnienia liczby porównań i przechylenia wagi na stronę większego prawdopodobieństwa w razach wątpliwych. Bo właśnie nauka ekonomiczna będąc nauką tej natury jak nauki moralne i polityczne, pewną część swoich

praw tylko może opierać na statystyce, a większą część na badaniu przyczyn, porównywaniu skutków, a z nich dopiero drogą właściwych naukowych metod jest w stanie kreślić prawa ogólne.

Zaczynać więc literaturę ekonomiczną od czasu wydzielania się nauki gospodarstwa społecznego, jest to niejako podać w podejrzenie, jakoby praca myśli około interesów społecznych żadnego piśmiennego nie zostawiła śladu. Tak się też rzecz wydaje czytając w Encyklopedyi naszój artykuł o miejscowej literaturze ekonomicznej. Tym czasem tak nie jest. Dużo zostało i bogatego materiału, tylko potrzeba go wydzielić.

Najpierwszy i najogólniejszy podział jaki się myśli naszój przedstawia jest na dwa peryody: peryod, w którym pojęcia ekonomiczne nie sformułowały się w oddzielną naukę; peryod ten ciągnie się do czasów Stanisławowskich, i drugi w której już istnieje pojęcie nauki gospodarstwa społecznego, jako odrębnej całości. W pierwszym peryodzie rozróżniamy cztery grupy, a mianowicie:

1) Opisy kraju i pojedynczych prowincyj, relacje posłów, podróże, pamiętniki.

2) Dzieła mieszanéj natury, to jest takie, w których materye teologiczne, prawne, polityczne, moralne, administracyjne, — nieraz medycyna lub wojskowość, łączą się ze sobą, zlewają, grupują, według ówczesnego sposobu pisania w najrozmaitszy sposób.

3) Dzieła i broszury traktujące pojedyncze przedmioty ekonomiczne, jako to: finanse, handel, przemysł, ludność.

4) Księgi i zbiory praw; *Volumina legum*, Kroniki i księgi dziejów krajowych.

Co do pierwszej grupy: Najważniejsze opisy kraju i różnych jego prowincyj, zamieścił w dwóch tomach Zbioru swego Mizler de Koloff. Jest to nieoszacowany materiał, byleby go krytycznie używać. Relacje posłów, pamiętniki, niektóre ułamki z podróży weszły do Zbioru pamiętników o dawnéj Polsce Niemcewicza. Inne mieszczą się w wydaniach Raczyńskiego. Innych jeszcze wydaniem zajmuje się obecnie J. I. Kraszewski. Wiele wyszło jako oddzielne dzieła. Niektóre relacje z podróży i opisy, obrazy historyczne przez cudzoziemców zrobione, zdaje się iż nie były dotąd przetłumaczone na polski język, jak np. Leonard Coxe, Garran de Couion, Eon de Beaumont, Neale, de Beaujeau, Williams.

Wartość tego drugiego materiału do badań ekonomicznych, to jest pamiętników, opisów, relacyj z podróży i poselstw, jest nader względna. Wiele z nich ma wytknięty cel wyłączny polityczny, obyczajowy, i ściśle się tych granic pilnuje. Niekiedy tylko ułowić się da jakaś uwaga, lub opis jakby nawiasem zrobiony. I tak np. nieocenione pod względem opisowym Pamiętniki Paska są dla ekonomisty bez wartości. Ciekawe i szacowne opisy obyczajów i zwyczajów Kitowicza, także nie (prócz krótkiej wzmianki o kartoflach) nie zawierają, coby rolnika, finansistę lub

badacza przeszłości ekonomicznej obchodzić mogło. Nie ze wszystkimi jednak jest tak samo. Dział ten niepowinien być przez badacza pominięty.

Co do drugiej grupy, obfity plon ekonomiczny tutaj się spotyka. Wzmiankę zrobimy w tym dziale jak we wszystkich, tylko o rzeczach najwydatniejszych, bo spisu pełnego nietylko dać nie byłibyśmy w możności, ale i miejsce nie po temu. Wspomnimy więc najprzód Ostroroga, Frycza Modrzewskiego, Petrycego tłumacza Polityki Arystotelesa, którą komentarzami odnoszącymi się niekiedy do rzeczy miejscowych wzbogacił. Zwrócić tu musimy uwagę na to, że tłumacze i komentatorowie Polityki i Ekonomiki Arystotelesa są uważani na Zachodzie jako ojcowie nowoczesnych pojęć ekonomiczno-politycznych. Oni je pierwsi formułować w duchu nowoczesnym zaczęli. Nasz peczywy Petrycy nie może do takiego ojcostwa u nas mieć pretensyi, jest to zwykle rozwlekły i nader nudny gaduła i zawsze więcej ze stanowiska lekarza na rzeczy patrzy. Ma też dziwny i sobie właściwy sposób argumentacyi. Wziąwszy jaki przedmiot pod rozbiór, dowodzi najprzód że jest czarny, potem że nie czarny tylko biały, wreszcie, że ani czarny ani biały, tylko szary. Są przecież i w jego obszernych przypisach i glossach rzeczy ciekawe pod względem naszych ekonomicznych stosunków i pojęć ówczesnych w tój materyi.

Przy księdzu Wereszczyńskim, biskupie Kijowskim, którego pisma mniej znane jak pisma Ostroroga, Modrzewskiego, chwilę się zatrzymamy. Rzeczywiście sympatyczna to i zajmująca postać. Już ksiądz Hołowiński zwracał na nią uwagę w przedmowie do wydanych kazań. Gorliwość o wiarę, rycerskość ducha, mądrość polityczna i biegłość ekonomiczna jednczy się dziwnie pięknie w jego pismach. Tu jako ekonomista tylko nas zajmuje i to nie jako ekonomista w dzisiejszém znaczeniu tego słowa, pod które przywykliśmy podkładać pojęcie teoretyczne osobnej nauki. Ks. Wereszczyński ma jeden cel wielki na oku: bezpieczeństwo wiary od pogan, umocnienie i zabezpieczenie z ich strony granic państwa. Do tego celu zmierzają obmyśliwane przez niego środki. Są one zaś rozliczne. Kolonizacya stepów i pustyń, osady wojskowe, zakładanie fortec i stałych magazynów, zmiany w systemie podatkovania i rekrutowania, stanowienie ceł, swobody miast, zakładanie szkół i akademij wojskowych, nawet zakonu Maltańskiego na Ukrainie: wszystko porusza, ogląda, projektuje, oblicza. Tym sposobem nie małe rzuca światło na stosunki ówczesne, ceny, koszta utrzymania wojska, dochody, a mianowicie na pojęcia i usposobienia umysłów. Język jego piękny, wykład jasny i prosty, w chwilach zapału staje się wymownym i przypomina żywo Skargę.

Z wielu pism jego rozmaitej treści, tylko następujące mieliśmy na uwadze pisząc powyższe zdanie: „Droga pewna do przedszego i snadniejszego osadzenia w ruskich krainach pustyń królę-

stwa Polskiego, jako też względem drożniejszej obrony wszystkiego ukraińskiego położenia od nieprzyjaciół Krzyża Śgo, 1590." „Publika . . . na sejmiki przez list objaśniona etc. 1594.“ „Sposób osady nowego Kijowa, etc 1595.“ „Votum... panom posłom na sejmie warsz., 1597 podane.“ Trzy ostatnie pisma przedrukowane w wydaniu Turowskiego.

Wspomniemy dalej księdza Piotra Grabowskiego, którego pisma zawierają szacowne ślady ówczesnych pojęć ekonomicznych: umysł to daleko widzący i daleko sięgający. Działanie Polski w lidze przeciwko Turcyi tak np. określa: „Polacy, aby Perekop, Wołochy, Mołdawy bez trudności osiedli; które prowincye muniicyi dużych nie mają i już nieraz w rękę u kozaków polskich bywały: zaczemby odjęli Turkowi jedną rękę, to jest pomoc tatarską, odjęliby żywność do Konstantynopola, której tam najwięcej z tych prowincyj przychodzi, armatę morską, którą tam pospolicie przy tych prowincyach buduje: tę by mu palili kozacy, uciekając z Perekopu i z Wołoch. Porty by mu zasiedli Dunajowe, Niestrowe, Nieprowe u Kafy; zasiedliby mu Dunaj; zatem dalsze prowincye słowiańskie, jak: Dacya, Bulgarya, Serbia, Bośnia, Rasseja zacie przedtém królestwa, Polakom bardziej niż innym chrześciańskim panom, dla jednego języka i wolności polskich przychyluc, i dla potężnej mocy konnej na Turka do Polaków by przystawały, i żołnierstwo słowiańskie tureckich sposobów świadome, i których między janczary wiele jest..., pod chorągiew by się polską udawali...“ etc.

Dwa przedmioty głównie go zajmują: pomnożenie i ustalenie dochodów skarbowych, i urządzenie stałej obrony kraju; a rady swe krótko i treściwie podaje, bo powiada: „wiem że wiele między waszmościami, co się przydłuższém czytaniem nie radzi zabawiają, a krótko podaną rzecz dobrze zrozumieć mogą.“ Nie będziemy się zatrzymywać nad przegłędem projektowanych operacyj finansowych, zrobimy tylko ogólną uwagę, że znać w nich świadomość stosunków ekonomicznych kraju, umysł praktyczny i zdrowo na rzeczy patrzący. Spotyka się nawet ciekawe dane statystyczne co do ilości wsi, łąnów osiadłych, wartości pieniędzy. Uderzającą trafności jest wywód ile niesprawiedliwym dla opodatkowanych, a niekorzystnym dla skarbu jest rozkład ciężarów na włóki. Wskazuje podatek wedle dochodu ustanowiony, za najwłaściwszy. I on, tak jak ks. Wereszczyński domaga się aby dziesięciny, przedmiot wiecznych sporów pomiędzy szlachtą i duchowieństwem, na skarb były odebrane i na utrzymanie wojska obrócone. Przy obliczaniu dochodu z tych dziesięcin spotykamy obliczenia przecięciowe plonu z włóki osiadłej w zbożu ozimém i jarém. Doradza też zużytkowanie sianozęci w dobrach królewskich przez naprowadzenie stad koni. Radzi fabryki broni zakładać dla jej ujednostajnienia, i wiele innych pożytecznych rzeczy nasuwa, z których najważniejszą jest uregulowanie pospolitego ruszenia, a pod tym względem podziwiać trzeba gruntowność i jasność umysłu tego

zaczęto i niepospolitego kapłana. Dodać musimy że ksiądz Grabowski równie jak wszyscy piszący dawniejsi u nas i o nas, zarzuca miłość zbytku i zabaw nad miarę wszelką. W piśmie: Polska niżowa w Krak. 1596 roku, podaje obszerny i w szczególności omówiony projekt kolonij wojskowych, który pod pewnymi względami przypomina urządzenie Pogranicza wojskowego austriackiego.

Specyalne pisma Orzechowskiego, Górnickiego, Starowolskiego, M. Fredry przeważniej do materij ekonomicznych odnoszące się, do następnej grupy odkładamy. Tu wspomnimy jeszcze dzieło Peptowskiego Kacpra w Poznaniu u Jana Wolraha 1611 r. „Politica wolności polskiej,“ w której spotyka się zdania i rady uderzające śmiałością, dojrzałością i szerokim na rzeczy poglądem. „Głos wolny“ Stanisława Leszczyńskiego krótko nas tylko zatrzyma. Dzieło to właściwie jest projektem naprawy Rzeczypospolitej, ale że projekta naprawy obejmują całość a niepojedyncze sprężyny; w rozdziałach więc o plebejach, o duchowieństwie, o wojsku, o skarbie dotyka najważniejszych ekonomicznych materij, zarazem wykazując wady i podając środki naprawy. Jasny i praktyczny umysł tego świątłego męża, dziwnie odbija wśród pewnej płataniny pojęć i stylu współcześnie mu piszących. a lubo język swój przeplata często wyrażeniami łacińskimi, jest on jak na tę epokę zwięzły i przejrzysty. Pojęcia ekonomiczne S. Leszczyńskiego cechują praktycznego męża stanu, oswojonego ze sprawami publicznymi. Zawsze właściwą drogę i miarę znaleźć umie. W teoretyczne wywody się nie wdaje, ale czy to w kwestyi majątków ziemskich duchowieństwa, czy w kwestyi systemu podatowania, czy w kwestyi starostw, czy w kwestyi ceł, zdanie jego nigdy nie jest w sprzeczności z ogólnymi wypadkami doświadczenia poświecanymi przez naukę.

Zamknijemy tę grupę dziełem noszącem tytuł: Anatomia Rzeczypospolitej Garczyńskiego. Na ostatniej tej książce zatrzymamy się cokolwiek, nie z powodu jój większej ważności, ale że mniej znana, przeważniej ekonomiczna a najbliższa z pism tego rodzaju, zdaje się najwydatniej charakteryzować ten sposób pisania o którym tu mowa, to jest zmieszanie przedmiotów, wprawdzie spowinowaconych ze sobą, ale które później z korzyścią nie małą dla ich gruntownego zbadania, rozpadały się na pojedyncze nauki lub specjalności. Tytuł sam zupełny, mówiący o zamnożeniu ludności, o wychowaniu dziatwy wiejskiej, wprowadzeniu przemysłu fabrycznego i rozwoju handlu, wskazuje jak pismo wkracza w dziedzinę ekonomiki. A przecież o właściwem naukowem jój pojmowaniu i stosowaniu zasad ogólnych, nie zdaje się autor mieć pojęcia. Należy więc to dzieło niewątpliwie do rodziny owych utworów mieszaney natury, jakich pełno spotyka się w XVI i XVII wieku, z których potrzeba wydobywać pojęcia ekonomiczne spowite i splecione pośród przedmiotów religijnych, prawnych, moralnych i pośród nieskończonych cytaty pisarzy starożytnych

i teologów. Jest jednakże w tym szeregu pism ciągły wątek pojęć ekonomicznych snujący się aż do tych czasów, w których nauka właściwa uosabia się, przybiera kształt właściwy i staje samoistnie.

Uderzającym jest w dziele Garczyńskiego o którym mówimy, pojmowanie autora stosunku duchowieństwa do społeczności. Surowy on jest dla hierarchii kościelnej, wiele jej zarzuca win i opuszczeń, ale zdaje się nie przypuszczać, żeby ktoś inny, lub coś innego, jak nie przewodnictwo duchownych, mogło wpłynąć na podniesienie oświaty, obyczajów i dobrego bytu. Bez wątpienia wielkie dostatki ówczesnego duchowieństwa, jego przeważnie położenie polityczne, społeczne i kierownictwo wychowaniem, wkładało na nie wielkie obowiązki i odpowiedzialność. Zawsze takie oglądanie się na duchowieństwo, jest charakterystyką miejsca i czasu, i zdaje się wskazywać pewne uśpienie energii moralnej i ducha inicjatywy w stanie świeckim, w imieniu którego Garczyński przemawia.

Zasługują na uwagę spostrzeżenia autora o pracy i o wy-ludnieniu, które otwierają dzieło nadając mu odrazu poważny i praktyczny charakter. Zasługują dalej na uwagę te ustępy, które mówią o stanie miast i o położeniu ludu wiejskiego. Wytyka złe bardzo śmiało, a chociaż do źródła przyczyn nie idzie i radykalnych środków nie podaje, wiele, częściowych i chwilowej potrzebie odpowiadających, wskazuje. Ma jeszcze i tę zasługę, że to co innym radził, sam u siebie w Zbąszyńskich majątkach zaprowadził, jak świadczy Załuski.

W duchu dzisiejszych pojęć ekonomicznych jest to co mówi o niedostateczności jałmużny dla zaradzenia ubóstwu i o jej demoralizującym wpływie. Temuż samemu szeregowi pojęć odpowiada to co mówi o klasztorach. Również do rzędu pojęć, które mi się podniósł nad swój czas należy to, co mówi o rządności, że do tego ani klima ani religia nie przeszkadza, to co mówi o oszczędności i to co mówi o szkołach parafialnych ludowych i o obowiązkowym nauczaniu.

Rażącemi zaś paradoxami wśród tylu roztropnych uwag jest: 1) wywód że wojna *populosum* świat czyni, co nie przeszkadza autorowi w inném miejscu chwalać pokój i uwielbiać Augusta III za jego pokojowość; 2) że zbyt uczeni bardziej obradom szkodzą, co nawiasem mówiąc, ówczesnej nauce nie wielki zaszczyt przynosi.

Zasługuje jeszcze na wzmiankę metoda autora i źródła które mi się posługuje. Punktem oparcia i osią około której krążą myśli i pojęcia autora, jest Pismo Święte; powołuje jednocześnie pisarzy pogańskich, rzymskich i Ojców Kościoła: ale nowsze piśmiennictwo zupełnie zdaje mu się być obce. Ważności nowych badań społecznych i na polu nauk przyrodzonych, ani się domyśla. Ztąd pochodzi że zawsze tylko jeden horyzont mamy przed oczami i nigdy nie przenosimy się na taki punkt widzenia, z którego by nowe widoki się otwierały. Nie zdaje się też autor przy-

puszczać, iżby naprawa stosunków obyczajowych i ekonomicznych była w związku z naprawą układu politycznego i społecznego.

Jak dalece punktu widzenia ekonomicznego nie wydziela ze swego ogólnego zapatrywania się na ogół spraw krajowych, posłużyć może za dowód taka np. treść rozdziału: dla podróżujących drogi i mosty naprawiać, to jest przez rekompensy miłość bliźniego. Przenieśmy tę skalę pojnowania ważności komunikacyi i środków zadosyć uczynienia téj potrzeby w nowoczesne stosunki a zobaczymy zaraz jój niedostateczność; zobaczymy zarazem że prawu miłośći bliźniego czyni się skuteczniej zadość przyzywając w pomoc nauki, uwzględniając potrzeby i kojarząc interesa przez współdziałal korzyści.

Zatrzymaliśmy się dłużej nad tém pismem, bo jest ono niejako typem całego szeregu pism i ostatniém przedstawieniem owéj mięszanej formy, pod którą kryła się ówczesna ekonomia społeczna, dla której dzień rozłączenia z pośrodku innych żywiołów niebawem miał zajaśnieć.

Co do trzeciéj grupy: *do materji finansów* wskazujemy na pisma następujące:

M. Kopernika: O monecie 1526, wy. 1816, Smiglecki: O lichwie i o wyderkafach 7 e wydanie 1640. Florianus Groth De rebus Fisci. Petric 1616. Szelağ. piątak, groszyk cieszyński dobru pospolitemu szkodliwy 1654. J. Grodwagner: Dyskurs o cenie pieniędzy terażniejszój 1632. S. Starowolski: Dyskurs o monecie 1645. Dowód jawny szkody, którą ponosi Rzeczpospolita z cudzoziemskich pieniędzy 1645. List do przyjaciela g'woli ustawy obcych monet, w Warszawie 1762. Moneta pruska, w Warszawie 1782. Przestrogi względem okoliczności tyczących się opodatkowania, 1788. Summaryusz do umiarkowania monety starój z dzisiejszą, 1753. Taryfy rozmaite względem monety polskiej, litewskiej jako téż i pogranicznój, według terażniejszój kurrencyi, w Lublinie 1746.

Do materji handlu: Abramowicz Jan 1595: zdanie Litwina o kupczy tanio zboża, a drogiej sprzedaży. Cikowski w sprawach celnych odpis r. 1606. Najważniejszym materyałem są do téj części taryfy celne i urządzenia handlowe zawarte w Voluminach legum. Traktaty i konwencye handlowe i graniczne, wszelkie publiczne umowy między Rzeczpospolitą i państwami obcemi; niektóre w Dogielu zawarte, inne w zbiorze od roku 1764 do 1791; również taxy towarów. Biblioteka główna posiada taxy *verum comestibilium et vendibilium*, tudzież różnych manufaktur stanowiących przez Marszałka nadwor. koron. z lat 1701, 1765, 1766. Z rzeczy archiwalnych: Księgi poborowe komór celnych, w Archiwum Komissyi Skarbu; rachunki podskarbiów w Arch. Główn. z dochodów celnych.

Do materji o przemyśle, pod który podciągamy przemysł fabryczny, kopalnie i rolnictwo, notujemy: Dyskurs o terażniejsz-

szym stanie Żup Krakowskich. 1639. J. Willich de salinis Crac. Ged. 1645. Wykład o sposobie do rzek spławności 1702. Triga quaestionum... mercaturae, opificiorum etc. 1704. Myśli o sposobach dania bezpiecznego i wygodnego spławu rzekom Pols., War. 1767. Reflexya względem projektu do ustanowienia kompanii zbożowej, Stanom Rzeczypospolitęj przełożone 1780. Reflexions politiques sur l'administration interieure de la Pol. Amsterdam 1775. Rada patryotyczna *bez roku* zawiera rady w przedmiocie handlu, przemysłu, żup solnych, kredytu, spławów; oraz Tabella wywozu w latach 1769, 1770 i 1771; wreszcie notujemy dzieło: Zasady o rolnictwie, rękodziełach i handlu, poprzedzające projekta ekonomiczne stosowne do konstytucyi cywilno-wojskowej, w Supraślu 1790 roku.

Literatura górnicza nasza miała swego historyka, a co do literatury rolniczej, rozbiór najważniejszych pism z téj materyi z XVI, XVII i XVIII wieku, zrobiony był: w Poszukiwaniach do historyi rol. krajowego. Spis zaś systematyczny dzieł w rolnictwie i technologii wydanych u nas, wyszedł we Lwowie w r. 1836 pod tytułem: Piśmiennictwo polskie rolniczo-technologiczne od 1549 do 1835, przez J. A. Kamińskiego; spis ten jednak sprawdzony z katalogami Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego i innemi źródłami, okazał się niezupełnym: zupełniejszy obejmie Encyklopedya rolnicza.

Do materyi o ludności służy dość liczny szereg pism o żydach. De stupendis erroribus 1541. Okrucieństwa żydowskie 1598. Ad quaerelam mercatorum Cracoviens. responsum 1539, Slescovius Sebastian: odkrycie zdrań żydowskich, Brunsberg 1621. Mierzynski Sebastian: Zwierciadło korony polskiej; urazy ciężkie i utrapienia wielkie, które ponosi od żydów: na sejm 1618 roku.

O reformie żydów w XVIII wieku pisali: bezimienny w dziele: Żydz, czyli konieczna potrzeba reform, Warsz. 1785. Mateusz Butrynowicz: Herszel Józefowicz rabin Chełmski 1789. M. Czacki 1790.

Wszystko co w kwestyi włościan napisane zostało w XVI, XVII i XVIII wieku staraliśmy się zebrać w Poszukiwaniach do hist. rol. krajowego.

Ludność miast zwróciła głównie na siebie uwagę w końcu XVIII wieku. Z dawniejszych notujemy tylko: O pomnożeniu miast w Polsce, Kraków 1617, powtórne wydanie 1644. Najważniejsze z tych które w wieku XVIII wydano, są trzy dzieła Mędrzeckiego od 1788 do 1790. Prawa miast: Wiadomość o pierwiastkowej miast zasadzie. Zbiór praw stanom miejskim służących. Dodamy tu jeszcze o prawach konfraterniom i cechom po miastach erygowanym służących, *bez daty*.

Znane są nie liczne pisma o Tatarach. Ludność w osadach wołowskich później dopiero, bo za naszych czasów, miała znaleźć swego historyografa, tak samo jak osady na prawie niemieckiem i sołtystwa i ludność ormiańska.

Starostwa przez swoje wyjątkowe położenie, stanowią osobną rubrykę w ekonomii krajowej, a do téj materji służy: Traktat Duńczewskiego i drobniejsze projekta i urzãdzenia z epoki reformy w końcu XVIII wieku. Przez starostwa i kwartę łączą się znowu starostwa z organizacją ówczesną militarną, tak jak przez wyjątkowość majątków duchownych pod względem ciężarów publicznych i przez dziesięcinę łączy się znajomość stosunków duchowieństwa w ogólności dotyczących, ze stosunkami ogólnymi ekonomicznymi.

Do materji ekonomiczno-wojskowych posługują: F. Modrzewski, Starowolski, M. Fredro, J. Tarnowski, Wereszczyński, o którym poprzednio wspomnieliśmy.

Co do położenia duchowieństwa wysoko cenione przez obcych i swoich jest dzieło: Prawdziwy stan duchowieństwa, 1777. Również zasługują na uwagę: Uwagi polityczne imieniem stanu duchown. etc. Kalisz 1778. Co do dziesięcin: O dziesięcinach, Kraków 1604. Olechowski Józef: Dokumenta do spraw dziesięcinowych, Kraków 1779. Hüppe cytuje jeszcze nieznanie nam pismo, nie spotkane przez nas w katalogu Biblioteki Głównej, Melchiora Stephanidesa w przedmiocie kompozycyi czyli zamian dziesięcinnych, wyd. Krak. 1632.

Co do czwartej grupy: Księgi i zbiory praw, konstytucye, statuta prowincjonalne, są bezwątpienia jednem z najważniejszych źródeł do badań nad ekonomiczną przeszłością kraju. Nie będziemy tu wyliczać zbiorów i wydań, ani zasług ludzi w wydawnictwie, objaśnianiu i uporządkowaniu wszystkiego, co do historyi prawa, znajomości źródeł i ich lepszemu zrozumieniu posłużyć mogło. Należy to do historyi prawa i literatury prawnej, a przedmioty te miały bardzo wielu kompetentnych i pracowitych badaczy i jestto część naszej literatury, bodaj czy nie najlepiej i najgruntowniej obrobiona i wyczerpana. O niektórych pojedynczych pracach téj kategorii będziemy mieli sposobność wspomnieć w dalszym ciągu tego pisma.

Daleko skromniejszych rozmiarów są korzyści, jakie czerpać można dla historyi ekonomiki krajowej z kronikarzy i historyków; ale i tych pomijać i lekceważyć nie można. Jedynem np. źródłem, z jakiego o czasach Bolesława Wgo możemy powziąć jakieś wyobrażenie, dla braku z owéj epoki wszelkich praw i dyplomatów, jest Kronika Galla. Przecież i w późniejszych historykach, chociaż już inne źródła z tych czasów obfitują, znajdują się szacowne wzmianki i wskazówki z rzadka rozsiane wśród ważniejszych politycznych wydarzeń, które głównie historyk państwa musi mieć na oku.

Ważniejszą dla ekonomisty jeszcze jak bezpośrednie wzmianki i wskazówki, jest w historykach ta pośrednia nauka jaką dla siebie znajduje w rozpatrywaniu związku pomiędzy wypadkami ogólnymi dziejowymi a przemianami i okresami ekonomicznymi. Związek i wpływ wzajemny tych dwóch prądów jest

wielkiego znaczenia i on głównie winien badacza ekonomistę zajmować. Nic bardziej rażącego wzrok człowieka myślącego, jak widok pisarza tak zaślepionego w swoim przedmiocie, że ze swego tylko wyłącznie punktu widzenia chce sądzić i objaśniać całą przeszłość i w niej szuka klucza do rozwiązywania zagadek dziejowych. W historii politycznej uczy się ekonomista aby ani za wysoko ani za nisko nie cenić swojej nauki; ale jęj właściwy wpływ i miarę na losy ludzkości naznaczać. Prądy wyobrażeń i kierunki ducha ludzkiego mają niekiedy tak wysoki i idealny nastrój, że kwestye codziennych potrzeb ciała, zdają się zupełnie zniknąć z przed oczu ludzkich w takich chwilach. Potrzeby te nie przestają jednak istnieć: im bardziej jakiś czas były zaniedbane, tém bardziej potem domagają się o swoje prawa. Nie przeszkadza to jednak ekonomiście w uznaniu że są kierunki i chwile dziejowe, w których rzeczy ekonomiczne ustępują i powinny ustępować miejsca innym, a zawsze w swoich i właściwych tylko granicach się zachować.

Tak się przedstawił umysłowi piszącego zarys naszej literatury ekonomicznej z pierwszego okresu, to jest do czasu postawienia się gospodarstwa społecznego, jako osobna i samoistna umiejętność, co u nas na schyłku samym XVIII wieku nastąpiło.

Gdy rzeczą uznaną jest i niewątpliwą, że dla ulżenia pamięci i uwadze, potrzebne jest w literaturze i w pojedynczych jęj działach, naznaczanie pewnych okresów stanowczo od siebie oddzielonych, — sądzimy, że ten podział jaki tutaj przyjęliśmy i zalecamy dla literatury ekonomicznej, powinienby zadosyć uczynić wymaganiom krytyki. Oddzielają się w ten sposób dwie epoki, w których pojęcia ekonomiczne są odmienne i forma ich wyrażenia niepodobna do siebie. A jeżeli przez jedną i przez drugą ciągnie się też sama nić czerwona ducha narodowego i tradycyi, to pasmo to łączące zawsze przeszłość z teraźniejszością konieczne i pożyteczne, nie przeszkadza ustaleniu się uderzających różnic. W ogólności cały ten pierwszy peryod o którym dotąd mówiliśmy, przedstawia się jako epoka czynu i praktyki, mało tu zajmuje miejsca reflexya i teoria. Sprawy ekonomiczne nie stoją na pierwszym planie, brak organów w prawodawstwie do ich przedstawicielstwa, układają się jak mogą wśród bystrego prądu politycznego, a układ społeczny niechęący ulegać wpływowi ducha i potrzeb czasu, a dziwnie niepodatny swobodnemu rozwijaniu się ulepszeń ekonomicznych, długo bo do końca prawie tego okresu, opiera się wszelkiej zmianie. Potrzeba jednak reform ekonomicznych staje się tak konieczną, że rozsadza formy społeczne. Ale ten tryumf spóźniony nie przynosi już pożytków tęg rozległości, jakieby mógł być dawniej przynosić; bo życie ekonomiczne i sprawy ekonomiczne, nie tworzą same w sobie jakiegó oderwanęj, niezależnej całości. Wiążą się tak ściśle i zależą tak dalece od ogótu położenia a mianowicie oświaty, swobody,

ducha prawodawstwa i administracyi, bezpieczeństwa na zewnątrz i wewnątrz, stosunków religijnych i obyczajowych, — że kiedy co do tych wszystkich stosunków prąd wielkich wypadków, zmieniał co chwilę grunt pod nogami, to i rzeczy ekonomiczne trwałości i samoistności nabierać nie mogły.

Koniecznym następstwem tego co dopiero powiedzieliśmy, to jest — że okres o którym mowa dotąd była, jest raczej epoką czynu i praktyki jest to: że w epoce to piętno noszącej, pojęć ekonomicznych śledzić i szukać należy przedewszystkiem w prawodawstwie, a więc w konstytucyach, uchwałach czyli laudach sejmików, w rozporządzeniach władz rządowych, aktach sądowych, archiwach familijnych, w kronikach, opisach wypadków i życiorysach, a nie we właściwej literaturze. Tam się rysuje właściwie polityka handlowa, przemysłowa i rolnicza. Literatura tylko dopełnia obraz: — wskazuje w czém obyczaje były w sprzeczności z prawami, o ile pojedyncze inteligencye wybiegały naprzód i wyścigały pojęcia ogółu, czy prawodawstwo chwyciło rzeczywiście potrzeby społeczeństwa i było z niemi w zgodzie, wreszcie jaka była istotna moc i egzekucya praw.

Ważna więc zawsze rola pozostaje dla właściwej literatury, i jak z niej samej polityki ekonomicznej nakreśliłoby niepodobna, tak bez niej zrozumienie praw i historii w znaczeniu ekonomicznym byłoby niepodobne.

(D. c. n.)



WYPRAWA PODBIEGUNOWA

z r. 1869—1870.

(Dokończenie).

Lubo drugi statek podbiegunowej wyprawy nie poczynił naukowych odkryć i nie wzbogacił nowemi zbiorami nauk przyrodzonych, dzieje wszakże „Hanzy” pełne tragicznych przygód nie są pozbawione wysokiego interesu. Nadto obraz kolei, które przechodził statek i załoga okrętowa, klęsk, którym podlegali podróżnicy, uczy zarazem, na jakie niebezpieczeństwa wystawiona jest wyprawa podbiegunowa i z jakimi przeszkodami walczyć jęj wypada.

Powiedziało się wyżej, że „Hanza” w towarzystwie „Germanii” wypłynęła pod 75° szer. pół. i tu wśród gęstej mgły morskiej straciwszy z oka swą współniczkę, po daremnych poszukiwaniach na odosobnioną podróż skazaną została. Jakkolwiek ten rozdział pociągał za sobą pewne niedogodności, nie był jednak tak wielce niebezpiecznym, gdyż Hanza zapewne niezależnie od drugiego statku, zaopatrzona w odpowiednie grono naukowe, pomoce naukowe i w obfite zasoby materialne, oddać się mogła samoistnie poszukiwaniom.

Ale już na wstępie, a było to w połowie lipca, złowrogie losy zaczęły ją prześladować. Statek zmierzał ku zachodowi w nadziei, że najprawdopodobniej w tym kierunku spotkać się może z Germanią, zresztą dla obu okrętów stały ląd wschodniej Grenlandyi był celem wspólnym wyprawy. Zdołano się nawet zbliżyć tak dalece, że się już w dali słabe zarysy Grenlandyi ukazywały, ale bryły lodowe tamowały drogę naprzód. Kra zbijała się w takie masy, że tylko gdzie niegdzie przy wyteżonych usiłowaniach można było przedzierać się wśród wązkich wodnych przesmyków najdziwniej powykrzywianych. Załoga okrętowa zchodziła ze statku, żeby go ciągnąć za liny, oczywiście postęp w posuwaniu się naprzód był tak nieznaczny, że tego środka dostania się na brzegi Grenlandyi, jako nie skutecznego zaniechać było trzeba. Kra się tymczasem wzmagala przyptywem brył lodowych z północy, które dążąc w południowym kierunku, ten sam jej prąd nadawały, któremu się też mimowoli statek poddawać musiał. Po kilku dniach takiego zamknięcia wśród brył lodowych, Hanza o trzy blisko stopnie wypchniętą została ku południowi. Tu się kry rozrzedziły poprzedziane prądem niezmarzniętej morskiej wody. Powetowano stratę zrzadzoną przez kry lodowe i puszczone się znowu ku północy. W połowie sierpnia Hanza ujrzała się w pierwotnej miejscowości pod 75° szer. półn., lubo zawsze jeszcze w znacznym od brzegów Grenlandyi oddaleniu. Rozpoczęła się zatem żegluga w zachodnim kierunku ku ziemi stałej. Wysiłki były nie małe. Nieraz wśród gęstej mgły statek posuwał się zwolna naprzód po wązkich kanałach, podążając za sygnałami, które podawali majtkowie płynący naprzód na łodzi. Nieraz znowu kra poprzeczna zagradzała drogę, więc trzeba było statek przymocować do bryły lodu za pomocą żelaznych haków i czekać sposobniejszej chwili. Już znowu błysnęła nadzieja, zdała widnieją ponure szczyty gór nadbrzeżnych, jeszcze dzień tylko pomyślniej podróży, a okręt przybije do pożądanego brzegu.

Ale podróż przez lody niemożliwa.

Gdy więc kapitan spostrzegł, że w niewielkiej odległości ukazało się obszerne lodowe pole z wygłębieniami nakształt szerokich przystani, ku niemu skierował statek, licząc na to, że ztamtąd da się wyszukać choćby najwęższa ścieżka wodna do brzegu. Jakoż wkrótce ujrzano wgłębni po za pierwszym lodowym polem znaczną jakąś zatokę wolną zupełnie od lodów. Nadzieja już się



niemal ziszczała, aliści po jednym dniu wyczekiwania nadspodziewana zaszła zmiana. Powietrze się oziębiło i nagle, widziane zdaleka wodne przestwory pokryły się lodowatą skorupą, i przystań, w której się okręt znajdował, ruchliwe swe wodne oblicze zamieniła na grubą lodowatą powłokę. Wokoło jak daleko tylko oko sięgało, nic innego, jeno nieprzejrzone lodów pole, istna lodowata pustynia. Lubo można było niezbyt gruby pierwiastkowo lód w przystani przerać i wyprowadzić statek, ale gdzież go wyprowadzić, chyba na najbliższą znowu bryłę lodową. Tu się kończy życie Hanzy, tu kres jej działalności. Sparaliżowana w swym ruchu przez lody, przedstawia tylko jeszcze smutny obraz przedśmiertnej walki, daremnej walki z nieubłaganymi siłami przyrody.

Po dwumięsięcznej podróży, 19 września, załoga okrętowa skazaną została na beczynność. Hanza osiadła na miejscu, zamrożona, wśród lodu zaciśnięta pod 73° pół. szer.; między uczonem gronem podróżników coraz silniej utwierdzało się to okropne przekonanie, że tu się wszelkiej już wyrzec należy nadziei, przynajmniej na całą zimę, dopóki lipcowe słońce nie uwolni statku i ich zarazem z lodowatej niewoli. Postanowiono więc zabezpieczyć okręt na zimę. Potrzeba jest matką przemysłu, powiada przysłowie. Pokazują to najwidoczniej usiłowania, jakie czynili członkowie wyprawy, dzieje której od tej chwili tak żywego nabierają zajęcia, że nie chcąc go osłabiać sprawozdawczym tylko opisem, przywodzimy tu częściowo dosłowne wyjątki z notatek naocznego świadka p. Hildebranda.

„Przygotowani na to, mówi wspomniany podróżnik, że możemy nawet stracić nasz okręt, postanowiliśmy na wszelki wypadek ocalić to co najniezbędniejsze: część załogi zdejmowała żagle, sami majtkowie zajęli się przygotowaniem dachu na statek, inni znowu w tej liczbie i ja także znosiliśmy kamienne węgle z naszych zasobów i zaczęliśmy budować sobie dom węglany w odległości 700 kroków od naszego okrętu. Za cement służył rodzaj szlamu z wody i śniegu; w ciągu jednego tygodnia stanął dom mieszkalny, jakkolwiek jeszcze trwałego dachu pozbawiony, który pierwiastkowo tylko z warstwy śniegu się składał, zawsze jednak jakie takie przedstawiał schronienie. Zniesiono także część zapasów żywności, któreby na dwa miesiące starczyć mogły. Ustawiono podobnie na lodzie i łódki bezpieczeństwa, żeby z nich w każdej chwili zaraz przystać. Zbliżył się wśród tych zajęć październik, silne burze północno-wschodnie posunęły znacznie na południe krę naszą, więc zatem statek i nas także. Nieraz lód trzeszczał przeraźliwie, ale obok okrętu kra zachowywała się dość spokojnie. Od czasu do czasu tylko pękały w pewnym oddaleniu bryły lodu, a łoskot przeraźliwy ztąd powstający, rozlegał się jak echo podziemnych wybuchów lub przeraźliwe jęki ludzkie.

Tuszaliśmy sobie, że okręt nasz tym wszystkim niebezpieczeństwom opór stawi, w tyłu już bowiem groźnych burzach doświadczyliśmy jego niezłomnej trwałości. Wichry się jednak

wzmagaly, kry lodowe pietrzyly sie jedna na druga, w calym tym skrzepnietym zywiolo coraz silniej czuc sie dawalo gwaltowne wstrzasniecie. Juzesmy sie mimowoli posuneli ku brzegom wyspy Liverpool. 19 pazdziernika cala massa lodu napierała jakby piekielną siłą ku brzegom stalym: kry trzaskały, odłamy ich jak gdyby wulkanicznym wybuchem rzucane pietrzyly sie tarasowo, i snieżna burza ryczała, jak przeraźliwy jęk zniszczenia w przyrodzie. To były ostatnie chwile konania Hanzy.

Szczegóły podaje nam dzienniczek podróży: Z rana 19 października złowieszcze przeczucie gniotło piersi nasze, gdy ryk burzy snieżnej i łoskot trzaskającego lodu zaczął do uszu naszych dolatywać. Stanęliśmy wszyscy na pokładzie, zasłaniając twarze przed zimnym ostrym śniegiem. Drżał i jęczał okręt wysadzany nieraz na znaczną wysokość przez napierające kry, coraz silniej uderzały o boki bryły lodowe, głuchy łomot bolesnym echem odzywał się w naszych piersiach. Statek był niemal w obłężeniu. Nietylko z obu stron bocznych tłoczyły się kry lodowe, i z przodu i z tyłu gwałtowne powstawało parcie; jako żywa istota, która się broni przed grożącym zniszczeniem, tak okręt wił się, wykręcał i wznosił się w powietrze, jak gdyby tam ulgi szukał. Na 14 stóp wyrzuciły go w górę uderzające nań lody. Przednia część sterczała nad poziomem, tylna znacznie niżej pochyłoną była. Daremną była praca majtków usiłujących odeprzeć nieprzyjaciela za pomocą siekier, haków i łopat. Już inne grozić zaczęło niebezpieczeństwo: na dnie okrętowem ukazała się woda w dość znacznej ilości, która się przez szczeliny strzaskanych desek dostawała. Cała załoga wzięła się do pompowania, koło godziny 7-jej wieczorem osuszyliśmy dno okrętowe; znużenie bez granic było powszechne: wśród trwogi i pracy upłynął dzień cały bez żadnego posiłku. Wyznaczono chwilę na wytchnienie.

Mróz dokuczal przenikliwy. Było 20 stopni R., snieżna zamieć ustała, nad nami jasne gwiazdziste ukazało się niebo. Majtkowie odpoczęli nieco przy blasku gwiazd iskrzących się i zorzy północnej, lamp nie było, gdyż olej w nich zamarzł. Na dnie okrętu znów się woda ukazała, i przybierała gwałtownie: niepodobna było odszukać tego upustu, przez który się do okrętu dostawała. Otwór musiał być znaczny, już pół okrętu zalane było wodą. Więc ratować co można: ten żywność wynosił, ów meble z kajuty, tamten odzienia, inny narzędzia naukowe; już czasu nie było na nasze zoologiczne zbiory, na nasze fotografie: zresztą na cóżby one nam się przydały, jeżeli już w tej chwili godziny życia naszego były policzone. Cała załoga trzymała się odważnie w obec nieuniknionej zagłady, cisza panowała grobowa wśród trwogi i ciągłego gorączkowego zajęcia, przerywana tylko poważnym głosem dowódcy wydającego rozkazy. Była godzina 10-ta zrana. Już większa część naszych sprzętów i zasobów przeniesiona z okrętu spoczywała na lodzie. Siły majtków i uczonych podróżników były wyczerpane. Jeden dostał zimnej febry, ów z odmrożonemi rękami i nogami siedział beczynnie na gruzach na-

szych bogactw, tamten z omdlenia spoczywał pod zimnym płótnem żaglowém. Noc spędziliśmy w naszym domku węglanym wśród zimna przenikliwego. Nazajutrz zerwaliśmy się do nowej i ostatniej pracy. Ciężkie to było zajęcie, kiedy ostatecznie w widokach oszczędności, chcąc maszty uratować, wzięliśmy się do siekier i z boleścią w sercu, jak gdyby własne skrzydła do lotu, ścinałliśmy wysokie maszty okrętu, żeby je w ostatecznym razie użyć jako paliwa. Te ciosy toporów, to były krwawe ciosy w serce każdego z nas; paliliśmy niby mosty za sobą, jak gdybyśmy już nigdy wrócić nie chcieli do ziemi rodzinnej. Ogotoczona ze swój ozdoby Hanza, do połowy wodą napełniona stała jeszcze ciągle stercząc nad lodem: chwile jej konania były dość powolne. I znowu udaliśmy się na zimny nasz nocleg, ale sen nie schodził na nasze powieki, każdego z nas niepokoila myśl o tém co będzie jutro, każdy w smutnych dumaniach rozglądał się w swój niezbyt powabnej przyszłości. Wtém rozległ się łoskot, jak gdyby łamiącej się bryły lodu wpadającej w wodę; zerwawszy się pobiegłem objaśnić sobie to zagadkowe zjawisko, przybiegam na miejsce, gdzie stał nasz okręt... już go nie było. Szczątki „Hanzy” spoczywały już na dnie morskim.

Tak więc w liczbie 14 rzucił nas rozbitków los na ruchomą krę lodową, unoszącą się na podbiegunowém morzu i w takiem położeniu, jeżeliśmy mogli ocalić, to chyba tylko jakimś cudownym sposobem.“

Zaiste najsmielsza nawet wyobraźnia nie mogła się ludzi zwodniczą nadzieją wybawienia. Przyszłość téj garstki podróżników spoczywała jak gdyby na wątkiej pajęczej tkaninie, którą mógł potargać każdy powiew wiatru; jedno tylko gwałtowniejsze uderzenie kry, jedna burzliwa fala, mogła w oka mgnieniu przeciąć pasmo ich życia, a jednak zwątpienie zupełne nie ogarnęło bynajmniej sercami podróżników, owszem z całą zabiegłością wzięli się do pracy, do urządzenia się wygodniejszego, jak gdyby na téj kruchej lodowej łodzi mieli nareszcie po dłuższym czasie przypłynąć do portu ocalenia. Rozgościli się na lodzie skorzystawszy ze wszystkich sprzętów i materyałów, które z okrętu wyrzucone zostały, i pędzili żywot lubo pełen trwogi i niepokoju, z tém wszystkim na zbyt ciężkie przywacze nie wystawiony.

Przypatrzymy się bliżej temu życiu. Oto, co mówi o niém dziennik podróży: bryła na której osiedliśmy, miała w obwodzie około 7 mil morskich, na 4—5' sterczała nad wodą, tak iż grubość warstwy lodowej od 45—50 stóp wynosić mogła. Podstawa więc była jeszcze względnie dość trwałą. Na tém lodowém polu wzniesiony został domek nie wielki z węgli kamiennych, spojonych za pomocą śniegu zmieszanego z wodą, który po zamarnięciu stanowił rodzaj dość trwałego cementu. Długość domku wynosiła 20, szerokość stóp 14. Rów głęboki opasujący domek, którego zewnątrzna ściana składała się z masy usypanego śniegu, służył za miejsce do przechowywania zapasów żywności. Płótno żaglowe

stanowiło dach tego schowanka. Na około domku, w niewielkiej od siebie odległości, poustawiano wszystko, cokolwiek z okrętu uratowane zostało. Nie było w tym całym rozkładzie gospodarstwa ładu i składu, dziwna przedewszystkiem tylko rozmaitość uderzała. Tam po prawej stronie sterczały po nad śniegiem stopy opakowego drzewa, tuż obok łódź spoczywała beczynnie ze wszystkimi przyborami, z żaglami i wiosłami przeznaczona na to, by w chwili niebezpieczeństwa mogła za ostatnie służyć schronienie na falach morskich; tu znowu z lewej różne gospodarskie sprzęty w dziwnym nieładzie i dziwniejszej jeszcze kombinacji obok siebie leżały, beczki i wiadra, obok garnków narzędzia ciesielskie, po nad tém wszystkiém powiewała na dość wyniosłym drążku flaga okrętowa. Tuż bliżej przy samym domku znowu inne łódki, w całym niemal swym wodnym rynsztunku, umieszczone tak blisko, by w jednej chwili można się do nich dostać, jeśliby już na lodzie wybiła ostatnia godzina pobytu.

Sam domek wewnątrz przedstawiał widok dość ciekawy. Od strony wejścia ściana śniegowa zasłaniała od wiatru, dalej nieco drzwi właściwe. Po uchyleniu drzwi wchodzi się do ciemnej, ponurój komnaty, dopiero z wolna zmrok ustępuje i oko zaczyna rozróżniać przedmioty. Ciemność pochodzi z braku okienka, miejsce którego zastępuje mały otwór, nie odpowiadający dostatecznie celowi, ztąd też nieustannie pali się mała lampka. U ściany wprost wejścia mieści się ognisko czyli kuchnia, z pozostałych szczytków zbudowana; po prawej stronie teje długie deski, miejsce spoczynku; na bocznej ścianie wisi kołdra podróżna, na niej kilka narzędzi naukowych, mapy, lustro pokojowe i wiele innych drobnych przedmiotów. Po lewej stronie kuchni u drugiej przeciętej ściany pomieścił się kucharz ze swemi narzędziami, ustawił półki drewniane a w nich sprzęty kuchenne co najpotrzebniejsze. Po wszystkich kątach spoczywają pozostałe szczytki okrętowej biblioteki, na szczycie niezbyt wyniosłego dachu wiszą sieci, niewody, a w nich różne ubrania i bielizna: jedném słowem w tém szczupłym pomieszczeniu tak wszystkie miejsca zajęte były, że wszelka swoboda ruchu niemożliwą się stawała.

Praca bynajmniej nie ustawała nie tylko około zabezpieczenia się od zimna i głodu, ale nie zapomniano także o naukowych zadaniach. W niewielkiej od domku odległości poustawiano astronomiczne narzędzia i o ile sposobność pozwalała, odpowiedniemi zajmowaliśmy się spostrzeżeniami. Przy pięknej pogodzie przedsiębraliśmy niewielkie wycieczki, urządzaliśmy polowania, które nam się nadspodziewanie udawały, gdyż w krótkim bardzo czasie położyliśmy około 20 fok i kilku niedźwiedzi. Jednego nawet udało nam się schwycić żywego, przykuliśmy go do łańcucha, ale nie długo cieszyliśmy się naszym nabytkiem, gdyż niedźwiedź się zerwał wraz z łańcuchem i wydostał na wolność. Nie udało mu się jednak z niej skorzystać, gdyż uciekając wpadł w wodną

szczelinę w lodzie powstałą i ciężarem łańcucha zanurzony, utonął w morskiej wodzie.

Wśród zajęć naukowych i zabiegów około utrzymania życia, czas rączo upływał, tak iż nie było sposobności pogrążyć się w ponure marzenia o niepewnym jutrze. Żyliśmy jako pustelnicy osieroceni, oddzieleni od całej ludzkości i nieraz pocieszałyśmy się myślą, że wśród tego spokoju dni nam bez przerwy schodzić będą, dopóki nie zostaniemy ocaleni, aby znów wrócić do szczęśliwego żywota. Niestety, wkrótce miejsce tych powabnych urojeń gorzkie zastąpiły rozczarowania. Dzień stawał się coraz krótszym, znikąca piękna pogoda, gwałtowne burze zaczęły się zrywać, zamieć śnieżna coraz częściej nas nawiedzała, ztąd też niemałe w sercu obawy, niemałe niepokoje powstawały.

Zbliżyły się święta Bożego Narodzenia, obchodziliśmy je uroczyście wśród dawnego spokoju, nie wiedząc zupełnie o tém, że już coraz groźniejszym stawało się nasze położenie. Z początkiem bowiem stycznia zawieja śnieżna gwałtownie się wzmagąca, śnieg prawie bezustannie od tygodnia sypał, już większa część naszego domostwa skryła się pod tą zimną osłoną, zaledwie tylko szczyt dachu i łodzie, które zawsze na pogotowiu trzymano, nad tą białą sterczały powłoką. Siedzieliśmy na naszych deskach w naszym domku, każdy swą pracą zajęty, gwarząc przytem o różnych środkach ocalenia, gdy nagle gwałtowne wstrząśnienie, jak gdyby trzęsienie ziemi pod naszymi nogami czuć się dało. Nie mieliśmy zrazu pojęcia, coby to drżenie bryły lodu i ten głuchy łoskot znaczyć miały. Tém okropniejszym było nasze położenie, ile że wybiegłszy z domku, na dworze nic innego nie słyszeliśmy jeno ryk zamieci, z powodu zaś gęstych płatów śniegu już na kilka kroków przed nami nic widzieć nie było można. Wróciwszy do drzwi naszego domku, zasypanych śniegiem, położyliśmy się na lodzie, przyłożyliśmy szczerlnie ucho i znowu tylko głuchy łoskot dawał się słyszeć. Nie podlegało żadnej wątpliwości, żeśmy się w wielkiem znajdowali niebezpieczeństwie, ten łoskot bowiem, który już z poprzedniego znaleźmy doświadczenia, pochodził najoczywistej z pękania lodu. Ponieważ wśród tój przykrój zawieruchy trudno było pozostać na dworze, wróciliśmy więc do domku w nadziei, że się wicher uciszy wkrótce i że nadejdzie sposobniejsza chwila, która nas co do naszego położenia objaśni.

W ubraniu naszym dzienném położyliśmy się na deski w niecierpliwém oczekiwaniu jutra. Nareszcie zaświtało, ale wicher dał jeszcze gwałtowniej. Dopiero koło godziny 10tój zrana, kiedy wiatr na sile stracił i śnieg nie tak ostro ciął w oczy, wyruszyliśmy w drogę, żeby się przekonać o stanie naszej bryły. Brnęliśmy po pas w zimném, miękkim śniegu, a wśród nużącego wysiłku, zaledwieśmy ujęć zdołali 200 kroków: już tóż tu był kres naszej wycieczki. Kra nasza popękana wzdęta się jak góra lodu, jak daleko tylko oko sięgało, wszędzie lodowe pole było strzaskane i widocznie znacznie się zmniejszyło. Z tego wnieść się

dało, że bryła lodu, na której osiedliśmy, znajduje się w ruchu, że inne kry nań uderzają i na jej powierzchnię się wdzierają. Następnie zauważyliśmy, jak widoczniejszemi coraz stawały się jakieś czarne przedmioty: były to krańcowe granice naszej bryły lodowej. Całe więc pole — nasza podstawa bytu, było strzaskane, pozostała tylko jeszcze nasza kra większa niżeli inne, mogła bowiem w obwodzie mieć nie całą milę morską. Trzeba było pogodzić się z zrzędzeniem losu, pozostać na tej kruchej podwalinie, jakkolwiek szczerze tęskniliśmy za lądem stałym. Dla zbyt przykrój zamieci wszelka wycieczka stawała się niemożliwą.

Położyliśmy się w ubraniach, o śnie nie ma co mówić, trzeba było być w pogotowiu, lada chwila mogła pęknąć nasza bryła i domek, nasz ostatni przytułek, w morską wodę pogrążyć. Postanowiliśmy w tym wypadku przenosić się kolejno na coraz inne kry, przeskakiwać z jednej na drugą, i walczyć ze śmiercią, z zagładą do ostatniej chwili. Nareszcie i noc minęła i gdy powietrze się nieco uspokoiło, wyszliśmy na zwiady. Wielkie było nasze zdziwienie, gdyżśmy przed sobą w półn.-zach. kierunku jakieś ciemne wzgórza ujrzeli; byliśmy pewni, że to są lodowe góry, z brył napiętrzonego lodu powstałe, tymczasem po pilniczszym wpatrzeniu się, o radości nasza! spostrzegliśmy brzegi Grenlandy na pół może mili od nas odległe. Nieco na północ ukazywały się jakieś ciemne skały, jakieś morskie tonie, — tłumaczyliśmy więc sobie, że razem z krą uniosły nas fale morskie, że bryła nasza uderzywszy o skały, prawdopodobnie się rozpadła, tak więc wydawał nam się dość jasnym powód naszej mimowolnej przejażdżki i wstrząśnienia, jakiemuśmy wraz z bryłą podlegli.

Wtłoczeni do zatoki, którą tu brzeg morski tworzy, spędziliśmy dzień cały, ale wkrótce zerwała się gwałtowna burza i siłą wiatru popychani, znów wprawieni zostaliśmy w ruch, dążąc ku południowi. Co się po za naszym domkiem, w którym zasiedliśmy pod osłoną grubą na kilka stóp warstwy śniegu, działo, powiedzieć trudno, siła burzy się nie zmniejszała, ryk zawiei nieustannie do naszych uszu dolatywał, ale ani łoskot przeraźliwy trzaskającego w okół lodu, ani poświst wichru nie przerażał nas bynajmniej, jużesmy się bowiem z tą muzyką oswoili.

W skutek nieprzerwaną burzy inne nam wszakże niespodziewane groziło niebezpieczeństwo, które naszemu życiu łatwo położyć mogło koniec.

Kra nasza wypłynęła na otwarte pełne morze, zewsząd ją otaczała woda, także kołysana falami, podobne kołysanie kry wywoływała. Tam gdzie bałwany wynosiły w górę brzegi kry, zwykle odłamywała się w skutek własnego ciężaru znaczna część bryły. Słusznie obawiać się należało, że wkrótce zginą w falach morskich wraz z odłamującym się lodem nasze lodki, nasz domek, — a w końcu i nasze osoby.

Jakkolwiek śnieg w gęstej massie przez wicher rzucały nie-
litościwie ciał w oblicze, trzeba było pozostać na dworze i wy-
czekać rozwiązania zagadki naszej przyszłości.

Już ósma zrana była godzina, jeszcze nie ustąpiły ciemno-
ści nocy, a znowu kołysanie kry wzmagало się gwałtownie,
coraz nowe odłamy wpadały w wodę. Ściągnęliśmy nasze łodzie,
postawiliśmy je obok siebie i razem z nimi przenosiliśmy się
z miejsca na miejsce, dążąc tam, gdzie był środek bryły, dla
trzymania się w równowadze.

Majtkowie podzieliwszy się na dwa oddziały, zasiedli
w dwóch łódkach, przygotowani po rozłupaniu się ostatniego ka-
wału naszej bryły, oddać się na łaskę fal morskich i na takięj
wątlej łupinie szukać ostatecznego środka choćby chwilowego
ocalenia. Myśmy jednak niedowierzali takięj drodze wyratowa-
nia się, widząc na około siebie wzburzone bałwany morskie i ude-
rzające o siebie gęste masy brył lodowych. Postanowiliśmy zejść
z naszej kry dopiero w chwili ostatniego niebezpieczeństwa,
gdy nas kra sama ze swęj powierzchni zrzuci. Znowu odłamała
się znaczna część bryły tuż przed naszym domkiem i cały za-
pas opałowego drzewa stał się łupem fal morskich. Przez długi czas
jeszcze widzieliśmy, jak drzewo rzucałe przez wzburzoną wodę to
się wznosiło na szczyt fali, to znów spływało jak gdyby w prze-
paść, aż nareszcie zniknęło nam z oczu. Domek stał nad
samym krańcem bryły; byliśmy pewni że co chwila się wy-
wróci i zginie dla nas bezpowrotnie, aż coraz nowe bryły lodu
przybijając zaczęły do kry naszej i ani się spodziewając już znowu
znaleźliśmy się wśród dość znacznej zbitej masy lodu. Kołysa-
nie się przez to znacznie zmniejszyło.

Niebezpieczeństwo minęło, więc ponownie ocalał nasz do-
mek i nasze łodzie, chociaż w ogóle kra znacznie zeszczupełała i nie-
jeden przedmiot naszego gospodarstwa popłynął z falą morską.
Znowu pokryliśmy łodzie żaglami, pownosiliśmy ubranie do dom-
ku, któreśmy byli powynosili poprzednio: teraz trzeba było po-
myśleć o wzmocnieniu się pokarmem po tych godzinach trwogi
i niepokoju.

Sily prędko wracały, pokrzepiane tą otuchą, że nam mo-
że zabłyśnie dzień ocalenia. Ale niebawem zwodnicza nadzieja
pchnęła nas na brzeg rozpacz, — po upływie kilku dni zewsząd
nacierać zaczęły bryły lodu na naszą kruchą podstawę, siłą bu-
rzy popychane, w napiętrzonych massach gromadziły się na na-
szej bryle i coraz groźniej do mostku się zbliżały. Urządziliśmy
straż nocną, majtkowie obiegali krę w około, mimo przykręj za-
wiei i coraz więcej przerażające przynosili wieści. Kra się zbli-
żała, ciężarem swym gniołła naszą podstawę, bryła pękała i do-
mek nasz runął w gruzach.

Nie zdążyliśmy nawet ściągnąć jednej z większych naszych ło-
dzi i ta także niełitościwa porzuca nas. Druga część rozłupanej bryły
oddzieliła się od nas na kilka kroków. Było to w nocy w połowie

stycznia. Zostaliśmy bez dachu z drugą tylko częścią zburzonego domku. Schroniliśmy się do pozostałych dwóch łodzi, załoga nasza okrętowa, majtkowie mianowicie, którzy się w nich pomieścić nie mogli, położyli się na śniegu, gdzie zasypani wkrótce, pod tą zastoną szukali ochrony przed zamiecią śnieżną. Położenie nasze było okropne, a jednakże trzeba było wznawiać wszelkie sposoby ocalenia i myśleć o coraz innych i pewniejszych.

Z początku postanowiliśmy porzucić krę naszą zupełnie i starać się o przedostanie do brzegu. Zaniechaliśmy jednak tego, gdyż trzeba było ciągnąć za sobą zbyt ciężkie łodzie, na które niepodobna było kłaść wszystkich, a koniecznych zapasów żywności.

Groźna noc minęła, dzień się zbliżył, łatwiej nam było rozejrzeć się w naszym położeniu. Zdołaliśmy ściągnąć wielką łódź z odłamanej bryły, która tuż obok nas się jeszcze znajdowała, pokryliśmy łódź deskami, pod którymi część załogi znalazła schronienie, przy pogodniejszej zaś porze wzięliśmy się do nowej pracy. Z pozostałego materiału wznieśliśmy domek, lubo znacznie mniejszy od poprzedniego i umieściliśmy go na samym środku bryły, której obwód najwyżej teraz dwieście stóp wynosił.

Osada nasza urządzoną została zupełnie tak jak poprzednio. Zbliżył się luty, z którym lepsza nastąpiła pogoda. Bez żadnych przeszkód odbywaliśmy podróż na naszej krze, posuwając się mimowoli na południe. Dotarliśmy do szerokości, gdzie Graah przezimował na wschodnim brzegu Grenlandyi. Znajdując się w niewielkiej od lądu stałego odległości, sądziliśmy, że dojrzymy Eskimosów, i lubośmy co dzień, niemal co godzina wyglądali śladu, żadnych istot ludzkich prócz nas samych nie dostrzegliśmy. Kra nasza tymczasem w swém powolnym posuwaniu się zatrzymała, wypłynąwszy bowiem na wirujący prąd wody w ciągu miesiąca bezustannie kołując, z miejsca się naprzód nie ruszała. Na początku maja znowu dalej w podróż wraz z bryłą lodową się puszczamy. Już się zimno znacznie zmniejszyło, i gdy między załogą ze znużenia i braku zdrowych pokarmów choroby pokazywać się zaczęły, postanowiliśmy, skoro się tylko między bryłami lodu prąd płynnej wody ukaze, wsiąść do łodek i pokusić się o ocalenie.

Byliśmy w bliskości misyjnej osady Friedrichsthal, warunki sprzyjały, wsiedliśmy do łodzi, wzięwszy z sobą zapas żywności na dwa miesiące, wśród głośnych okrzyków odbiliśmy od bryły naszej, zmierzając ku brzegom. Zdawało się, że wkrótce przybijemy do lądu stałego i niebawem u celu upragnionego staniemy. Tymczasem jednak tak gładko nam nie poszło, jak sobie pierwotnie wyobrażaliśmy. Po kilkodzielnym kołowaniu, wymijaniu, przebijaniu się przez szczeliny między lodem, znów osiedliśmy na miejscu; z powodu nagromadzenia się brył, powstały nowe zatory lodowe, droga wodna dla nas zamknięta. Wysiadłszy

z łódek, wciągnęliśmy je na najbliższą większą krę i znowu dawne rozpoczynają się dzieje.

W przekonaniu, że lody wkrótce puszczą, osiedliśmy spokojnie na nowym miejscu i korzystaliśmy swobodnie z zapasów żywności. Po upływie wszakże dni kilku, gdy się zapasy prędko zmniejszały — a od Friedrichsthalu jeszcze zgórą stokilkadziesiąt mil nas dzieliło, nowe obawy miotać nami zaczęły. Postanowiliśmy ruszyć pieszo naprzód, choćby tylko krok za krokiem. Ciągnęliśmy łodzie za sobą, co dzień posuwaliśmy się bliżej ku brzegom. Jakaż to powolna była podróż, jaka zmuśna i uciążliwa! Brnąc nieraz w śniegu ciągnęliśmy wszyscy razem jedną łódź i posunąwszy się o kilkaset kroków naprzód, znowu wracać trzeba było po dwie pozostałe, z którymi podobny kłopot i w następstwie ogólne znużenie. Dziennie posuwaliśmy się naprzód o 300 kroków. Zapasy się uszczupliły, tylko połowę porcyj wydawaliśmy sobie i majtkom. Po trzech tygodniach takiej herculesowej pracy dostaliśmy się na wyspę Illuidlek. Było to na początku czerwca. Użyliśmy małego wypoczynku, lody puszczały, siedliśmy do łodzi i dalej za wiosła, po nad brzegiem posuwając się ku południowi.

W połowie czerwca już zdaleka ukazały się szczyty domów misyonarskiej osady.

Ustąpiły trwogi, obawy, błoga nadzieja napełniła nasze serca. Nareszcie ląd stały i żywe istoty, nareszcie ocalenie! Zdaleka spostrzegli nas Eskimosowie. Rozległ się głośny okrzyk nad brzegiem. Wkrótce ukazali się misyonarze, którzy poznawszy naszą północno-niemiecką flagę, serdecznie witali rozbitków. Wskoczyliśmy na brzeg, w krótkich słowach opowiedzieliśmy misyonarzom nasze dzieje. Serdeczne, gościnne przyjęcie, jakiegoś tu doznali, pokrzepiło nasze serca i nasze ciała. Zostaliśmy ocaleni!”

Na tém zamykamy opowieść z dziejów wyprawy podbiegunowej. Sprawozdanie, z którego podaliśmy w streszczeniu ważniejsze ustępy z życia rozbitków, pomieszcza w końcu kilka jeszcze wiadomości o szczęśliwym ich powrocie do Kopenhagi, dokąd przybyli na towarowym statku, powracającym z grenlandzkiej handlowej osady Julianeshaab. Do téj bowiem przystani udali się podróżnicy po trzydniowym pobycie w Friedrichsthal, żeby skorzystać z nadarzonej sposobności powrotu do Europy.

Bujne nadzieje się rozchwiały. Dwukrotnie przez Niemców przedsiębrane wyprawy nie doprowadziły do pożądanego celu. „Germania“ tylko w części spełniła swoje zadanie, „Hanza“ zaś smutnym uległa losom, nie zapewniwszy sobie i nauce wielkich zdobyczy. Zapewnie niepowodzenia takie, w szlachetnym powzięte celu dla wzbogacenia krajoznawczej wiedzy, słuszny w nas

zał wzbudzają, ubolewania nasze jednak z powodu doznanych zawodów byłyby nierównież głębsze, gdyby sami Niemcy przygotowując i przedsięwzięjąc wyprawę, z mniejszem o sobie zarozumieniem głosili o swoich zamierzonych wielkich zdobyczach, o niewątpliwem rozwiązaniu sfinksowej u bieguna północnego zagadki.

W chwili gdy wyprawa odbija od europejskiego brzegu, gotowiśmy uwierzyć tym ułudnym zapewnieniom, rzucanym na wszystkie strony tak hałaśliwie; ulegamy wpływowi powabnej nadziei, czekamy długo niecierpliwie, i w końcu, odczytawszy sprawozdanie, przychodzimy do przekonania, że wśród mniej donośnej odpływali wrzawy tacy podróżni, jak: Scoresby, Parry, Kane, Hayes i inni, ale z większemi za to i głośniejszemi wracali zdobyczami.

Parturiunt montes et nascitur . . . powiada Horacy. Mierzmy skutki miarę pierwotnie zakreślonego celu.

Po tylu niepowodzeniach, jakież najbliższy być winien zamiar każdej wyprawy podbiegunowej?

Badanie warunków miejscowych, zbieranie materiału naukowego, poznanie wpływów meteorologicznych, które z czasem mogłyby do stałego przywieść wniosku o stanie temperatury na brzegach Grenlandyi, o własnościach zator lodowych, o prądzie wody morskiej i tylu innych zjawiskach astronomiczno-fizycznych. W tym zakresie swych zamiarow przedsięwzięta wyprawa zawsze odpowie założeniu a nie wzbudzając zbyt wygórowanych nadziei, każdemu niepowodzeniu zjedna większe współczucie. W jesieni bieżącego roku zamierza stanąć na czele wyprawy podbiegunowej szwedzkiej professor Nordenskjöld, doświadczony żeglarz i wysoko ukształcony naturalista, który już przed trzema laty kierował podobną wyprawą.

Jak wtedy tak i dziś szwedzka ekspedycja zakreśla skromne granice dla swoich prac naukowych. Zamierza głównie uzupełnić badania pod względem magnetycznym, meteorologicznym i astronomicznym, poznać bliżej prądy morskie, nic nie głosząc o przedostaniu się do bieguna: to też niewątpliwie z chwałą dla siebie, z pożytkiem dla nauki wywiąże się z podobnego zadania.

W chwili, gdy kończymy sprawozdanie, dochodzi nas wiadomość, będąca nowym dowodem, jak się umysły żywo zajmują kwestyą zbadania bieguna północnego.

W Wiedniu utworzyło się towarzystwo, które zamierza zebrać drogą składek dobrowolnych odpowiednie środki dla przygotowania austriackiej wyprawy podbiegunowej. Na czele towarzystwa stanął vice-admirał v. Wüllerstorff, znany mąż z głębokiej nauki. Czynny udział w zbieraniu dobrowolnych ofiar przyjęli Weyprecht i Payer, urządzający w tym celu odczyty na prowincyi

o ostatniej swojej podróży, znajdowali się bowiem w gronie żeglarzy niemieckich, o których się wyżej mówiło. Podobno już nawet zbudowano w Bremeńskiej przystani oddzielny dla austriackiej wyprawy statek, noszący nazwę „Tegetthoff“, który ma na początku maja tego roku wypłynąć.

Weyprecht i Payer zapewne przyjmą na siebie kierownictwo wyprawy. Zbogaceni doświadczeniem zamierzają porzucić drogę, której się „Germania“ trzymała: uważają za niemożliwe przedostanie się między Grenlandyą a Szpicbergiem, obierają więc inny kierunek, sądząc, że od strony Nowej-Ziemli usiłowania mogą być pomyślniejsze. Oby tylko te nadzieje nie okazały się płonnymi, gdyż dotychczas powszechnie Ocean Lodowaty od strony północnej Rosyi i Syberyi za niedostępny uważano.

A. P.

KILKA SZKICÓW STATYSTYCZNYCH (1).

Podług Wiliama Hoyle sławnego dyrektora przedzalni z Lankaschiru, połączone królestwa W. Brytanii miały w 1869 r. ludności 30,838,210 — w tej liczbie trzy miliony było już ubogich i włóczęgów. Ale pomijając włóczęgów widzimy, że $\frac{1}{10}$ ludności ogólnej, mniej więcej zależną jest od reszty $\frac{9}{10}$, które muszą myśleć, aby tamta z głodu nie umarła. Podług urzędowych wykazów, coroczny wzrost pauperyzmu w Anglii w ostatnich dziesięciu latach doszedł do 22837 dusz na rok, czyli 450 na tydzień; w latach jednak 1866, 1867, 1868 stosunek ten wynosił 1000 na tydzień. Ten wykaz z ostatniego trzechlecia przekonywa, że złe zwiększyło się w postępie rosnącym. Jeżeli więc ten sam stosunek utrzyma się na następne dziesięciolecie, to $\frac{1}{6}$ ludności angielskiej żyć będzie musiała z jałmużny. Nie wspominaamy tu o tych nieszczęśliwych, którzy istotnie umierają z głodu, lub tych, co umierają bezpośrednio z braku żywności, powietrza i ze złego mieszkania; ale podamy obraz prerażający pauperyzmu w Anglii, jak go maluje Fawcett członek parlamentu i profesor ekonomii politycznej w uniwersytecie w Cambridge.

W naszych czasach, mówi on, większa część ludności żyje w warunkach najnieprzyjajniejszych zdrowiu i co rok wielkie

(1) Wyjęte z pism amerykańskiego publicysty dane statystyczne, podajemy tu jako wielce zajmujące. Jestto praca p. Bigelowa, który długi czas jako ambasador, reprezentował Stany Zjednoczone przy dworze francuzkim.

spustoszenie życia ludzkiemu przynoszących. Tysiące istot pada ofiarą chorób, które powstają z powodu zaniedbania środków sanitarnych; ale szczególnie w klasach uboższych śmiertelność dzieci jest przerażającą. W jednej bogatej parafii np., prawie $\frac{1}{3}$ dzieci umiera w piątym roku życia, w innej liczba ta dochodzi do połowy. Ta nadzwyczajna śmiertelność pochodzi bez wątpienia z niezdrowych, ciasnych mieszkań, z braku żywności i okrycia. Wypadki mają źródło w ubóstwie i wydarzać się będą z większą zaciętością w miarę, jak to ubóstwo rość będzie. Weźmy np. 1000, jako cyfrę owych dzieci; 500 z nich umiera przed skończeniem lat pięciu, wtedy, kiedyby ich umrzeć mogło tylko dwieście, gdyby były chowane tak, jak są chowane dzieci bogatszych rodziców. A zatem śmierć 300 z tych istot zawdzięczamy naszemu systematowi socjalnemu i ekonomicznemu. Istoty te nieszczęśliwe są literalnie zabijane przez choroby pociągające za sobą długie cierpienia; ale to dopiero najmniejsza dola złego, które społeczność trapi. Przyczyna śmiertelności dotyczącej dzieci, które umierają, osiąga jeszcze i tych, które zostają przy życiu. Walka więc o życie, dla wszystkich staje się coraz krwawszą; najślabsi giną, najsilniejsi zaś nawet noszą już w sobie zarody chorób. Jest to ogólny upadek fizyczny; naród cały nawet może dojść do wycieńczenia i znikczemienia. Dodać tu należy, że Anglia oddawna nie produkuje tyle zboża, ile go potrzeba dla jej ludności; sprowadza je już od r. 1793 i śmiało można przypuścić, że połowa Anglii karmi się zbożem zagranicznym.

P. Daniel Grant w dziele swoim *o wewnętrznej polityce*, albo rozwoju handlu w stosunku do pracy, pauperyzmu i wychodztwa pokazał nam zatrważający obraz tego faktu, biorąc zaś za opokę każde lat dziesięć od roku 1700, dał nam wykaz ludności i ruchu handlowego, t. j. przewyżkę przywozu nad wywozem, i nawzajem.

Badając te cyfry, (słowa D. Grant) dostrzegamy, że od chwili kiedy ludność Brytanii zaczęła przewyższać siedm milionów, zaczęto przywozić zboże z zagranicy, lubo przez pewien czas suma przywozu była dosyć słabą, aby ją przypisywać można fluktuacyi naturalnej zbiorów. Ale jak tylko cyfra ludności przeszła 8 milionów, każdej przewyżce téj ludności towarzyszyło zwiększanie ilości zboża przywożonego. Przy ówczesnym systemacie dzierżaw i sposobie życia angielskiego, można było wyżywić około 8 mil. ludzi. Od tego czasu produkcyja wewnętrzna poprawiła się tak, że Anglia może wyżywić 11 milionów ludzi w *warunkach zwyczajnych życia*.

Tu p. Bigelow czyni uwagę, że Anglia od tego czasu uczuła potrzebę sprowadzania obcego zboża, odkąd zmusiła swe kolonije amerykańskie do burzenia się przeciwko jej prawodawstwu despotycznemu. Zapamiętałość ta jej mężów stanu w zarządzaniu koloniami sprawiła, że się stała od nich bardziej zależną niż od innych części świata. Cyfra wzrostu ludności Anglii, wynosi 200000

rocznie, czyli 4000 tygodniowo. Przywóz więc zboża powinien także w rosnącej proporcji się zwiększać, aby wyżywić tę nową armię konsumentów. Tym tylko sposobem możnaby coś zaradzić owemu *imperio in imperio* ubogich, które rośnie do jednego miliona na każde pięćdziesiąt lat.

W tém miejscu autor daje wykaz ubogich, tych jedynie, którzy na każdy Nowy rok otrzymują wsparcie z kassy państwowej, a pomija tych, którzy nie są zapisani do owych kontrol sakramentalnych. Cyfry podawane nie obejmują i połowy rzeczywistości, ale są urzędowe. W roku 1849 cyfra ubogich wynosiła 943,419, handel wywozowy 63,596,025, a w roku 1868 ubogich 1.034,823, handel wywozowy 179,463,644. A zatem wzrost i ubytek pauperyzmu w Anglii zależy od ilości wywozu, jak wzniesienie się morza lub opadanie od biegu księżyca. Kiedy handel słabnie, rzemieślnik upada, a ubogim, którzyby najchętniej pracowali gdyby im dano zajęcie, pozostaje tylko jedyne źródło, to jest ofiary dobroczynności. Charakterystyka ta pauperyzmu jest znaczącą, bo wykazuje, że klasa ta nie jest panią okoliczności, które wpływają na jej zwiększanie się albo zmniejszanie. Ruchomą tę cyfrę ludności ubogiej poważnie a trafnie scharakteryzował lord Houghton w mowie, jaką miał w izbie lordów w kwietniu roku 1869, w której traktował rzecz o emigracji i pauperyzmie i wykazał, że cyfra ubogich, których tam nazywają zdrowymi, dochodzi przeszło do 150 tysięcy. Podaje on 7 na 100 z r. 1867, a już w tym roku różnica była wyższą od roku poprzedniego. Z tego pokazuje się, że mimo zwiększania się bogactwa krajowego pauperyzm rośnie prawidłowo. Już ta podana cyfra wystarczałaby na sformułowanie wielkiej armii, a od téj daty jeszcze zwiększyła się znacznie. Gdyby nawet cyfra rzeczona pozostała stałą, zawsze jest ogromną frakcją ludności, mianowicie gdy się z niéj potrącają dzieci.

Najbardziej zaś uderza ludzi nawet najubożniejszych ta okoliczność, że Anglia nie zdołała zrównoważyć rozwoju swych bogactw z potrzebami ludności; lubo z biegiem sprzyjających kombinacji udało jéj się w sposób zadziwiający powiększyć swój handel wywozowy. Musiała nawet przenieść od 1000 do 500 dusz na listę nieprodukujących i żyjących kosztem tych, co pracują. Handel ten wywozowy w latach 1866, 1867 i 1868 podniósł się o 9 1/2 milionów, a liczba ubogich wzrosła jednocześnie od 920344 do 1034823!

Stawiając te cyfry mówiące same przez się, p. Bigelow rzuca pytanie, czy ten stan rzeczy w Anglii pójdzie dalej w postępie dotychczasowym; czy głód, choroby i śmierć będą dalej równoważyć potrzeby ludności ze źródłami bogactwa narodowego — czy handel kraju tego wzrośnie tak szybko, aby jeżeli nie przeciąć, to przynajmniej utrzymać w *statu quo* liczbę ludności nieprodukującej?; — czyli mówiąc jaśniej, czy Anglia ma nadzieję uzasadnio-

ną powiększyć wywóz na nadchodzącą ćwierć wieku, w stosunku większym od ćwierci ubiegającej stulecia.

Na to pytanie odpowiada uwagą Daniela Grant już cytowanego, że przyczynami rozwinęcia się wyjątkowo handlu w Anglii były: wzrost ludności i cywilizacji w całym świecie, wpływ wychodźstwa spowodowany odkryciem kopalni złota, wystawy międzynarodowe, wojny, które rozwinęły nowe stosunki handlowe z narodami dotąd stojącymi na uboczu, otwarcie nowych portów i ścieśnienie prawa przywozowego, nakoniec wpływ kapitału.

Pierwsze trzy przyczyny, zdaniem Granta, nie przestaną w stopniu wyższym lub niższym działać na rozwijanie się handlu, ale od wojny jako dźwigni handlu, Anglia niema się czego spodziewać; pokój to jój polityka. Co do ścieśniania prawa wywozowego, Anglja zrobiła już wszystko, co zrobić rozsądnie mogła i t. d. Wszystkie te przyczyny są powszechnymi, których skutki chociaż skromne dadzą się uczuć dotykalnie. Możemy się przeto spodziewać, mówi dalej cytowany autor, prawidłowego ale wielce powolnego zwiększania się handlu. Wzrost ten jednak w żadnym razie nie wyrówna potrzebom naszej ludności. Do wpływów tych należy policzyć jeszcze konkurencyę, jaką przemysł angielski zaczyna napotykać w innych krajach.

P. Bigelow otwierając swe zdanie, oświadcza, iż nie wie, z kąd to zmniejszenie się pochodzi: z handlu wewnętrznego, czy też zewnętrznego. Faktem jest tylko ogólne zmniejszenie się handlu, bo zmniejszenie się to deprecjonuje pracę krajową, a więc i zajęcie dla ubogich. Przychodzi więc wyznać fakt przerażający, że *najmniej co piętnaste dziecko z nowonarodzonych w Anglii dzisiejszej staje się ofiarą pauperyzmu!* — a proporcya ta pójdzie w postępie arytmetycznym.

Ażeby zrozumieć doniosłość tego przesilenia, z którym walczy Anglia, p. Bigelow rozbióra środki, jakich użycie doradzają najpierwsi publicyści. Najpopularniejszym z nich jest wychodźstwo i ten właśnie zaleca Daniel Grant. Obecnie Anglia większą ma ludność nad tę, jaką wyżywić może; najprostszym więc sposobem zaprowadzenia równowagi, jest usunięcie gąb, które nie mają co jeść. Głód w roku 1846 zmniejszył przez emigracyę ludność Irlandyi; z 7256314 mieszkańców w roku 1849 emigracya pochłoneła 589814 do 1858. Ale Grant zapomina odtrącić z tej cyfry procent śmiertelności i dlatego podaje, że lista ubogich, która w roku 1848 wynosiła 620747, w roku 1858 obejmowała tylko 49308 głów. Sądzi więc, żeby Anglii przyniosło znakomitą ulgę wydalenie tej liczby ludności, której wyżywić nie jest w stanie.

Drugi publicysta p. Hoyle przeciwnie się zapatruje; podług niego emigracya jest tylko środkiem chwilowo zaradczym. Za główną przyczynę pauperyzmu uważa on niewstrzemięźliwość i dlatego domaga się surowego ścieśnienia sprzedaży trunków i napojów fermentowanych.

Inni znown jak Mil, Fawcet, Rossi idąc za Maltusem, utrzymują, że upadek rasy nie mającej środków wyżywienia wstrzymałoby mogło tylko ścieśnienie rozmnażania się dzieci! Ten to professor Fawcet liczy w tym względzie na systemat wychowania narodowego, w którymby zwracać należało uwagę na większą przeczorność zawierania małżeństw *et post connubium in procreando*, oraz na powiększenie inteligencji pracujących, przez coby się zwiększyła wartość produkcyjna samej pracy.

Rozebrawszy te wszystkie propozycje publicystów, p. Bigelow dodaje, że nie tu miejsce dociekać, czy ludność świata całego przejdzie kiedy cyfrę tęj, jaką będzie mógł wyżywić; co do Anglii zaś trudno uwierzyć, aby jej ludność rzeczywiście przeszła granicę możebnej produkcji. Statystyci angielscy twierdzą, że kraj ich corocznie zwiększa swój kapitał o 180 milionów f. szterl. Kapitał ten jest oszczędnością dla pracy. Przewyżka taka dałaby pracę i utrzymanie najmniej dla 4 milionów ludzi, gdyby ją rozdzielano nie dla tych, co się bez niej obejść mogą, ale dla tych, którzy jej rzeczywiście potrzebują.

Złe to więc nie jest dziełem Opatrzności, ale winą prawodawstwa, które nie dozwala słusznego rozdziału tych dobrodziejstw i które przeszło od wieku sprawia, że bogaty staje się coraz bogatszym, a ubogi coraz uboższym.

Wydatki na wyrób trunków w Anglii od 1866—1869 wyniosły 450398201 funt. szter. Przypuśćmy, że wydatek ten pozostał takim samym na r. 1870, to wtedy dojdziemy do 564 mil.— a więc przeszło pół-miliona funt. szterling. wyrzucono na wytworzenie i wyrobienie nałogu, który zaludnia szpitale, przytułki i więzienia krajowe! Ten to sam nałóg podniósł *etat* ubogich i policyi do 1354827 funt. szter.; wyrwa produkcji zastęp ze 186096 głów złożony; wyniszcza i uniekzemnia rasę. W tém miejscu dodać należy, że wszelkie wady społeczeństwa zwiększają klasę nieprodukcyjną agentów policyi, doktorów, prawników, dozorców it. d., których opłacać, okrywać i żywić muszą konsumenci.

Cóż to za bluźnierstwo!... naród, który roztrwania w ten sposób naturalne źródła bogactwa, sądzi, że zmierzył granice darów samego Boga i usiłuje narzucić ograniczenia nawet przywilejowi macierzyństwa!

W roku 1869 z całej powierzchni Anglii tylko 4588041 akrów było zajęte pod uprawę rolną, reszta 31382839 to jest prawie druga połowa stała odłogiem. Wiadomo, że w ostatniem stuleciu rolnictwo nie dorównywało przemysłowi. Rybołówstwo, które tu jest jeszcze w stanie niemowlęctwa mogłoby pomnożyć źródła wyżywienia; w każdym jednak razie nie zdołałoby więcej w tym względzie dopomóc od ziemi, choćby ją najstaranniej uprawiano. Ludność Anglii w roku 1770 wynosiła 11198276, w 1870 doszła do 33838120. Handel wywozowy, który jest najlepszym znakiem bogactwa narodowego podniósł się w r. 1769 do 325 mil. — w roku 1869 doszedł do 7375. Porównyując te cyfry widzimy,

ze ludność zwiększyła się prawie w trójnasób, a handel przywozowy najwięcej o 22.

Nie myślę tu, mówi dalej p. Bigelow, rozwijając tego wykazu, ale objaśnię, że rozrzutności, jakie Anglia robi w oczach całego świata, byłyby zdolne wyżywić ludność o wiele razy liczniejszą, dając każdemu pewną część dobrobytu wyższą od tej, jaką posiada zaledwie jeden na dziesięciu rzemieślników z klasy dzisiejszej roboczej. Są przestrzenie bez granic, światy nawet całe, pełne lasów i dolin, gdzie dzikie zwierzęta i ptastwo budują swe nory i gniazda; przestrzenie, wydające produkta zwierzęce i roślinne, jakich się dotąd ręka ludzka nie dotknęła. Anglia jest pierwszorzędnym mocarstwem morskim; dlaczegóż nie użytkuje tych pustyń dotąd jałowych, aby dać wyżywienie nieszczęsnym ofiarom głodu, jeżeli odpowiednich źródeł u siebie wynaleźć nie umi?

Czém się to dzieje, że pracownik angielski uważa się za szczęśliwego, jeśli może mieć raz na tydzień kawałek mięsa; kiew Ameryce zabijają się zwierzęta jedynie dla skóry, a mięso ich zostawia się jedynie na żer dla ptastwa? Jakim sposobem $\frac{1}{15}$ część ludności angielskiej żyje z jałmużny publicznej lub prywatnej, i wielu z tych nieszczęsnych zbywa na zarobku więcej jeszcze jak na kawałku chleba, kiedy tymczasem kapitał o 3750 mil. zwiększa corocznie bogactwo narodowe, kiedy ziemia zdolną jest do żywienia, byleby jój siły płacono owemi oszczędnościami?

Bo prawodawstwo jest nieprzewidujące, niesłuszne, nie ludzkie; bo prawa zawsze były pisane w interesie klas uprzywilejowanych — a jednak kapitał przyrostowy byłby zdolnym wyżywić cały pauperyzm angielski. Na placach Londynu zawsze dostać można pieniędzy na procent niższy niż na innych targach całego świata. Jestto zjawisko uderzające, że siły produkcyjne Anglii dalekie są jeszcze wyczerpnienia i jeszcze nie poczuły ciężaru, który je obarcza. Złe więc leży w prawie regulującym produkcję z bogactwem kraju. Większa połowa ziemi angielskiej jest w ręku nie całych 500 osób, a prawie połowa Szkocyi w posiadaniu dwunastu właścicieli. Oto skutek prawodawstwa!

Tym sposobem staje się rozbrat między własnością a uprawą; zmniejszając pracę i ulepszenia niezbędne do tego, aby ziemia wydała to, co wydać jest zdolną, usuwa się z targu najszacowniejsza część ziemi — to co się kupuje, sprzedaje się podług cen fantastycznych i jest niedostępne dla rolnika. Kiedy więc całe zastępy ludzi zdrowych bez chleba, pracy i schronienia zalegają wielkie miasta Anglii, kilka setek markizów posiada prawie kraj cały, kilka tysięcy krezusów dzieli między sobą dwadzieścia dwa tysiące pięćset milionów franków renty dorocznej! Taki stan wyradza cały system jałmużny publicznej, która przywdziewa godła anielskie, aby służyć szatanowi, i która $\frac{1}{4}$ kraju czyni siedliskiem pauperyzmu, otaczając się wszelkimi środkami zapewnijacemi jój rozwój wzrastający.

Niewstrzeźliwość ludu angielskiego, mówi profesor Fawcett, jest dziełem głównie nierówności prawodawstwa; większa część ludności téj przychodzi na świat, aby żyć w rozpacz; rośnie nie mając nadziei poprawienia swego losu. Mało ma dobrych stron życia materyalnego a jeszcze mniej rodzinnego. W chwili przeto przebłytku pozornego szczęścia, topi swe smutki w opilstwie, które straszne sprowadza skutki. Téj saméj przyczynie przypisać należy ciemnotę i rozpacz większej części téj ludności, która ma przed sobą te smutne alternatywy: albo szukać ojczyzny na obcej ziemi, albo zmuszać kogoś, aby jój to ułatwił dla uniknięcia śmierci głodowój, albo zmuszać kogoś, aby marł na jój miejscu! Pijaństwo i pauperyzm jest dziełem zarządu krajowego — jestto choroba chroniczna Anglii, i aby się jój pozbyć, łatwo jest wyładować jakiś gdzieś tam okręt nieszczęsnym zastępem ofiar, zostających na żołądzie publicznym, nie troszcząc się już o tych, którzy trupami swémi zasłali mogiły i tam znaleźli tarczę przeciw śmierci głodowój. Anglicy są narodem arcy-praktycznym, aby się mieli wyrzec udziału w zarządzie krajowym. Nie śmiejąc jasno wystąpić za systematem obieralnym, zrobili jednak wiele na jego korzyść. Władza parlamentu w konstytucyi angielskiej jest nieograniczoną. Posiadanie téj supremacji bez zrównoważenia, wystarczyłoby na zburzenie stopniowe równowagi, jaka istnieć winna między władzą wykonawczą a prawodawczą. Wszystko oddano dowolności już to ciała zorganizowanego, już prawodawców dziedzicznych, którzy posiadają większą część kraju, już zresztą reprezentantom wybieranym prawie w $\frac{1}{15}$ części z klas najbogatszych. Ci to ostatni wraz ze swemi kolegami uprzywilejowanymi zdolni są tworzyć prawa odpowiednio do interesu tylko pewnych warstw społeczeństwa. Każdy dziś widzi, że *panujący w Anglii podobny jest do komparsa w komedyi*, bo władza rzeczynista przeszła w ręce parlamentu.

Inny przedstawia widok Francya. Ludność jój wzrasta daleko wolniej, niż w innych krajach Europy. W roku 1700 wynosiła ta ludność 19669320, a w roku 1861 t. j. w 161 lat nie doszła wyżej jak do 37472782 dusz; więc nie podwoiła się nawet! Systemat polityczny trwający blisko dwa wieki, nie był bez wpływu najałowość generacyi. Systemat ten zwichnął rdzeń cnót w narodzie i rodzinach.

Dotykając tych ważnych kwestyj, mówi p. Bigelow, niepodobnym jest pominąć dziejów Ameryki.

Przed stu blisko laty koloniści europejscy po większej części Anglicy założyli w północnej Ameryce rząd, który wyłączył z pod rozpraw kwestye władzy dziedzicznej i wszystkie materye czysto religijnego lub kościelnego charakteru. W roku 1787 utworzono konstytucyę, która z małemi zmianami doszła naszych czasów. Zmiany te zaprowadzano po dojrzałym rozmyśle, uroczyscie, na drodze pokojowój i jednomyślnością przekonañ. Ludność Republiki wzrosła w tym czasie od 3929827 z roku 1790,

do 39 mil. w r. 1870. Cała ta masa z wyjątkiem cudzoziemców, mówi jednym językiem i żaden naród na świecie nie przedstawia podobnej jednolitości językowej. W latach dziesięciu od 1850 r. wzrost ludności wynosił 3,56 na 100, wtedy, kiedy od roku 1841 do 1861 stosunek ten w Anglii i Irlandyi był 0,32 na 100, we Francyi od 1851—1861, 0,11 na 100. Stany Zjednoczone dziś posiadają już 10 miast, których ludność przenosi sto tysięcy dusz, czego o żadnym kraju w Europie powiedzieć nie można; Francya nawet ma zaledwie ośm miast tego znaczenia.

A kiedy ze Stanów Zjednoczonych żadna emigracya nie wychodzi, w okresie lat czterdziestu napłynęło do niej z obcego wychodźstwa od 1819 — 1860 około 5 milionów przybyszów zamorskich. W epoce od 1861 obejmującej czterolecie wojny domowej, emigracya obca wzrosła do 2 milionów. Jestto cyfra przechodząca ogół cudzoziemców zamieszkałych we Francyi po wszelkie czasy, z wyjątkiem wojska zagranicznego. Przypływ ten ludności, podług obliczeń statystycznych, w stosunku 2 mil. od 1870 z bogacił kapitał narodowy Stanów Zjednoczonych o 8 miliardów, a w stosunku do owych pięciu mil. o 20, czyli razem o 28 miliardów. Od początku Rzeczypospolitej do dnia dzisiejszego, zmieniło się do 22 prezydentów, zawsze spokojnie i prawidłowo, a żaden z nich, jak utrzymuje p. Bigelow, nie przyłożył ręki do zepsucia i demoralizacyi. Stany Zjednoczone prowadziły wojny: w r. 1812 z Anglią, a w r. 1847 z Meksykiem, trwały one nie dłużej lat 5, obie były obronne... Wybuchła wojna domowa, z powodu kwestyi religijnej i handlu niewolnikami. Po krwawej walce runęła instytucya, będąca zabytkiem czasów feudalnych. Wojna ta pochłonęła wiele ofiar i milionów dolarów; ale owoce jej dobroczynne — lud Stanów Zjednoczonych nie wskrzesi już u siebie niewolnictwa, choćby mu dawano dwa razy tyle, ile go kosztowała ta wojna wyzwolenia! Lubo Stany Zjednoczone różnią się od innych państw Europy samym sposobem zaciągania długu krajowego, większa jeszcze różnica uderza w sposobie traktowania téj ważnej kwestyi. Prezydent Rzeczypospolitej nie uwierzył w doktrynę spekulantów, jakoby dług narodowy był błogosławieństwem, i przedsięwziął środki, aby go płacić, wprzód jeszcze nim pokój ustalony został. Armię z miliona ludzi złożoną zredukował do 30000 ludzi; marynarka, która była jedną z największych marynarek świata, stała się jedną z najmniejszych. System opodatkowania wystarczy na pokrycie procentu i kapitału wynoszącego 13 miliardów przeszło, bo wzwyczajną dochodów płaci się po 50 mil. miesięcznie.

W tém miejscu p. Bigelow podaje wykaz bardzo zajmujący. Francya nigdy nie zlikwidowała swego długu, posuwała kredyt do ostateczności i musiała podnosić stopę płacenia długu w stosunku pięć na sto od dochodu narodowego, lub w dwójnasób tego, co Anglia płaciła 1870 roku. Dług Włoch wzrósł z wię-

kszą szybkością niż w jakimkolwiek innym kraju. Od roku 1861 wzrost ten wynosił rocznie około 600 mil. fran. — na jedną głowę ludności przypadło 1 fr. 25 w Sardynii, a teraz 17 fr. 60, to jest czternaście razy więcej. Jestto stosunek pogłównego najwyższy w całej Europie.

Dług Hiszpanii, który w roku 1820 wynosił 140 mil., w 1870 doszedł do 237400000 — wzrost ten od roku 1850 — 1861, wynosił 75 mil. rocznie, a od 1861 — 1870 doszedł do 235 mil. Na każdą więc głowę w Hiszpanii przypada 10 franków.

Portugalia, która nie może się usprawiedliwiać żadną wojną posunęła swój dług do 59300000 funt. szterl. — na głowę jednę ludności przypada rocznie 11 fr. 25.

W Austrii wzrastał dług krajowy od 1763 — 1820 na 50 m. rocznie; od 1820 — 1848 na 25 mil.; od 1848 — 1868 na 75 mil. — na jedną więc głowę wypada 9 fr. 05.

Dług Prus był zawsze najmniejszy. W roku 1800 wynosił 131250000 fr., w roku 1820 wzrósł do 775 mil. Był to ciężar wielki na dwunasto milionową ludność. Ale już w roku 1842 zmalał do 525 mil. Dług całego cesarstwa niemieckiego z ludnością 40-sto-milionową wynosi 4272 miliony.

Stany Zjedn. spłacają swój dług z szybkością	2,6	na sto,
Anglia	0,2	„
Belgia	0,75	„
Holandya	0—8	„
Prusy	1—5	„
Dania	3,6	„

Najbardziej ciekawe zjawisko przedstawia Holandya, mająca 2270000 ludności; gdy bowiem w r. 1810 przypadało na 1 mieszkańca 38 fr. 50, już w r. 1830 stosunek ten wynosił tylko 24 fr. 40, a w roku 1869 tylko 15 fr. 30. Trzeba jednak przyznać tę zasługę Holandyi, że cały swój dług zaciągała dla utrzymania swojej niepodległości.

Francya w ciągu ubiegłych lat 270 przeżyła najmniej 200 lat wojen; ale jeżeli te wojny nie powiększyły jej przestrzeni, pomnożyły jednak ciężary publiczne. Po śmierci Ludwika XIII musiano naprzód pobrać trzecheletni oochód krajowy. Anna Austriaczka następczyni jego musiała zastawić klejnoty koronne, aby wystarczyć szalonym wydatkom swego domu, pożyczać na 25%, urządzać pożyczki premiove i inne pobory.

Następca jej Ludwik XIV po 50 latach wojny nieustannej, zostawił Francyi dług 20622000 fr. wynoszący. Ztąd pod następnym panowaniem powstał systemat Lawa, rewolucya 1789 i zupełne wycieńczenie kraju. Napoleon I zostawił długi 1645469000 fr., prócz kosztów traktatu 1815 r., za które zapłacono

około dwóch miliardów. Za ostatniego panowania dług wzrósł o 5 miliardów, do czego dodać należy kontrybucję wojny niemieckiej.

Francya zaczęła chylić się ku ruinie finansowej od czasu utrwalenia monarchii za Henryka IV.

A M A L I A.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ

W RZECZYPOSPOLITEJ ARGIENTYŃSKIEJ,

p. D. José Marmol.

Przekład z oryginału hiszpańskiego.

(Ciąg dalszy)

VII.

Schadzka.

W tajemniczym domu przy ulicy *Cochabamba*, sala której okna wychodziły na ulicę przedstawiała widok istnego obozu. Poznane z sypialni łóżka, sprzęty i graty w nieładzie, a w pośrodku stojący, siedzący, niektórzy nawet leżący mężczyźni, w znacznej liczbie, bez światła, oprócz bladego migotania gwiazd przez małe zamglone szybki, krótkie słowa szeptano prawie do ucha, i coraz któryś zbliżał się do okien, i bacznie przepatrywał ponurą i pustą ulicę.

Metaliczny głos dzwonu katedralnego zegara rozbrzmiał się w okolicy, i dźwięcznie skonał wśród tajemniczego zgromadzenia.

— Już w pół do dziesiątej, panowie. Ci co nie przyszli dotąd, już nie przyjdą. Potrzeba rozpocząć posiedzenie.

Po tych słowach wyrzeczonych dobrze nam znanym głosem, okiennice się zamknęły, a przez drzwi otwarte do drugiego pokoju światło wbiegło do sali.

W przyległej sypialni Doni Marceliny, wypróżnionej ze zwykłych sprzętów, były poustawiane wkoło stołki, krzesła, ławki i kufferki z całego domu. W pośrodku stał stół z dwoma świecami, a przed nim krzesło niby dla prezydującego w sali obrad.

Na tém dostojnym miejscu zasiadał Daniel Bello, a na innych siedzeniach poumieszczało się grono mężów, z których najstarszy nie miał lat trzydziestu. Fizyognomie i ubiór wykazywały młodzież z klasy ukształconej i polerownej.

— Moi przyjaciele, — zagał prezydujący wodząc spojrzeniem po radnym kole, — miało się nas dziś zgromadzić trzydziestu czterech, a jesteśmy tylko we dwudziestu trzech. Z jakichkolwiek atoli powodów opuścili nas współtowarzysze nasi, nie będziemy krzywdzić nikogo posądzeniem o zdradę, ani wątpić o zachowanie tajemnicy. Ja sam wybrałem nazwiska zaproszonych na dzisiejsze zebranie, a panowie, ja wiem dobrze na czyj honor liczyć można w *Buenos-Aires*. Mam także sobie za obowiązek, upewnić zarazem panów o zupełnym naszym bezpieczeństwie w tym domu. Wiem o tém, iż gdyby nas tu zesłi siepacze dyktatorscy, wyrok nasz byłby gotów odrazu. Lecz jeśli przy nich siła, przy mnie przeczność i biegłość. Rzeka ztąd niedaleko, blisko brzegu czekają dwie łodzie. W razie napadu wyjdziemy przez tylne okno, a choćby nas dostrzeżono, we dwudziestu trzech, jako tako uzbrojeni, przebijemy się łatwo do rzeki. Skoro będziemy na statku, ci co zechcą powrócić do miasta, mają kilkomilową przestrzeń pobrzeża do wylądowania; kto zaś będzie chciał emigrować, znajdzie się po kilkogodzinnej przeprawie na orientalnym brzegu. Przy bramie i przy oknie od tyłu są na straży ludzie wierności doświadczonej, a wreszcie na tarasie znajduje się osoba, w której mam zupełne zaufanie, a której brak mężstwa jest dla nas najlepszą rękojmią: nie wié co tu robimy, lecz wié że ja tu jestem, a to dostateczne.

-- Po tak kategorycznym objaśnieniu, któżby z nas nie czuł się tak bezpiecznym jak gdyby był w Paryżu — odrzekł czarnooki młodzieniaszek z uśmiechniętą twarzą — może nas widzą za tchórzów?

— Mój drogi, ja znam grunt na którym orzę; wiem żeście wszyscy zaniepokojeni, a z drugiej strony, czuję się odpowiedzialnym za wszystko co się wam stać może. Teraz, przejdźmy do przedmiotu dla którego zebraliśmy się.

— Oto, panowie, — mówił dalej nasz Daniel wyciągając pakę papierów z kieszeni, — oto najpierwszy dokument, o którym chcę z wami pomówić. Jest to lista osób, które w ciągu kwietnia do perwszych dni maja przeniosły się do Rzeczypospolitej Orientalnej. Sto sześćdziesięciu mężczyzn: wszystka młodzież patryotyczna, pełna zapału. O taką więc cyfrę zmniejszył się nasz

zastęp w *Buenos-Aires*. A mam niezbite dowody, iż ludzie trudniący się przeprawianiem wychodźców do Bandy Orleańskiej, mają zamówionych przeszło trzysta przewozów i to od czasu morderstw 4go maja.

Ztąd wynika iż na lipiec będziemy mieli o jakich pięciuset mniej patriotów w *Buenos-Aires*, zkad już w poprzednich latach 38 i 39, wyemigrowało dwie trzecie części młodzieży.

Teraz rzućmy okiem na stan wojska oswoobodzicieli i prowincyi wewnętrznych, co nam lepiej jeszcze wykaże doniosłość wyżej przytoczonego faktu.

Od sprawy pod *Don Cristobal*, w której wygraliśmy bitwę a straciliśmy zwycięstwo, wojsko nasze nad *wielkim Potokiem* trzyma w oblężeniu przypartą armię generała Echagüe, i wszelkie jest podobieństwo wygranej dla Lavalla wrazie nowego starcia. Jeżeli odniesie zwycięstwo, pierwszym tegoż następstwem będzie przejście przez Paragę, i walka wówczas przeniesie się ku *Buenos-Aires*. Jeżeli zaś został pokonanym, wtenczas przyjdzie organizować na nowo swoje niedobitki w północnej stronie naszej prowincyi, mając do przewozu przez rzeki blokujące statki. Jasna rzecz, iż w jednym i drugim wypadku prowincya *Buenos-Aires* może się spodziewać generała Lavalle.

W prowincyach, powstanie szerzy się jak pożar. Wiemy wszyscy które już się jawnie ogłosiły przeciw dyktaturze i zbroją się pośpiesznie. Mnich Aldao jużnie wystarcza na tłumienie rewolucyj, a Cordoba podda się pierwszemu co jej zagrozi. Rozas ostatnią nadzieję pokładał w generale La Madrid, a ten już nie jest z nim...

— Jakto! — zakrzyknęli naraz wszyscy, prócz Edwarda Belgrano, który zdawał się pogrążony w myślach.

— Ciszój panowie, jeszcze nie wczesne okrzyki w *Buenos-Aires*: zaraz się dowiecie że mówię prawdę. La-Madrid wysłany przez Rozasa dla opanowania parku artyleryi w *Tucumanie*, dał go zabrać rewolucyonistom, a sam 7 kwietnia zawiesił na piersi białą błękitną wstęgę wolności, i zdeptał sromotne godło Rozasa.

— Bravo! bravo!

— Na miłość Boską, cicho! oto jest dokument — i odczytał rozkaz dzienny mianujący generała La-Madrid wozdem naczelnym wojsk liniowych i milicji w *Tucumanie*.

Ogólny wybuch uczucia powitał tę nowinę. Nie było okrzyków, oklasków, lecz fizyognomie mówiły, uściski wzajemne stwierdzały przysięgi. Daniel swoim orlim wzrokiem śledził tę całą scenę; on się nie unosił zapałem: studyował w zawiłej księdze natury moralnej.

— Widzicie zatem panowie, — mówił dalej z niezachwianym spokojem, — na wsze strony rewolucya przybiera olbrzymie rozmiary. Lecz ma ona swój cel: dlaczegóż nie mamy wierzyć iż rewolucya ta jest wieczną i że przyjdzie szukać tego celu w miejscu gdzie się on ukrywa? Tym celem jest jedna głowa, a ta głowa znaj-

duje się w Buenos-Aires. Jeżeli wszystkie usiłowania mają być w ten punkt skierowane, czyż my nie powinniśmy przyłożyć ręki dla współdziałania, skoro się doń przybliżają?

— Tak, tak! — zawołała cała młodzież.

— Zwolna panowie, ciszej; pierwsza potrzebna loika a potem zapal. Potakujecie mi, a sposób jakim się chcecie brać do współdziałania, nieubłaganego ma we mnie przeciwnika.

Na wstępie wykazałem wam jak liczne jest wychodztwo z kraju, a lista owa zwiększy się niedługo przez dodatek naszych imion.... posłuchajcie mię.

Kiedy potrzeba pokonać jakową zasadę rozkrzewioną w poglądach jednej klasy lub całego narodu, wtedy wypada walczyć z niemi bronią przekonania lub żelazem.

Kiedy potrzeba obalić rząd którego byt spoczywa na moralnej potędze, wtenczas koniecznym jest podkopywać posady tej władzy, odbierając jej popularność czyto za pośrednictwem trybuny lub prassy, czy téż za pomocą wojska.

Lecz gdy to co trzeba zburzyć niejest zasadą, tylko systemem wcielonym w jednego człowieka, nie wpływem moralnym lecz materjalną potęgą, która się porusza jakby sztyletowa machina pod sprężyną woli człowieka, wtenczas niema innej rady jak zniszczyć razem z tym człowiekiem system, machinę i wolę.

Zliczcie ile już obywateli wyszło z Buenos-Aires; pomiarkujcie ile ich nadal wyjdzie, jeżeli nie położymy tamy temu prądowi wychodztwa, i powiedzcie mi czy ta liczba ludzi nie byłaby dostateczną do popierania w mieście działań Lavalla na prowincyi?

Wychodztwo zostawia na łasce kobiet, tchórzów i *mashorquerów* miasto Buenos-Aires: to jest punkt środkowy z którego się rozstrzeliwają promienie władzy Rozasa.

Alboż kilkuset ludzi zaciągniętych w szeregi zapewnią tryumf oddziałowi Lavalla? A jednakże kilkaset mężczyzn wystarczą na zrobienie powstania w mieście i wywieszania na ulicznych latarniach Rozasa i jego *mashorkę*, pierwszego lepszego dnia, kiedy cała ta szajka straci głowę na wieść o zbliżaniu się którego z naszych wojsk.

Nie możemy odzyskać tych którzy już się wydali, lecz przynajmniej powstrzymajmy innych, ażeby nie szli szukać walki o wolność w oddali, kiedy ją mają pod bokiem.

Smutnym i nędznym jest żywot w Buenos-Aires? Groza i krew odpowiedzą naszemu pierwszemu hasłu powstania w mieście! Lecz panowie, w obozie niema równie krwi i grozy? niema nędzy i upokorzeń w wygnaniu?

Wierzcie mi przyjaciele! jam bardziej zbliżony do Rozasa niż ktokolwiek z pomiędzy was; narażam więcej niż moje życie, bo część moją rzucam na pastwę podejrzeń moich ziomeków: a więc mnie wierzcie, że najgorszy system przybrała młodzież nasza, opuszczając ojczyznę w celu wywalczenia jej swobody. Czy na nieszczęście, nikt z was nie zgadza się ze mną?

— Ja także tak samo myślę i wierzę, — odrzekł jeden z młodzieży, — i choćbym miał zginąć pod sztyletem *mashorki*, miasta nie opuszczę. Tu jest Rozas, a Rozasa musimy mieć pod ręką w chwili gdy które z naszych wojsk wkroczy do naszej prowincyi. Niech Rozas padnie, a na około nas nie ujrzymy ani jednego nieprzyjaciela.

— Tak, tak, potrzeba nam pozostać! — odrzekli z zapalem inni!

— Panowie, — odezwał się Edward Belgrano, skoro głosy umilkły, — wszystko co powiedział Bello zgodnym jest najzupełniej z moim przekonaniem, a jednak ja także chciałem kraj opuścić, i nie wiem jeszcze czy lada dzień nie wznowię tego zamiaru. Powiniennem więc wyświecić pobudki tej sprzeczności pomiędzy moją opinią a postępkami.

Uznaję iż miasto rozpierzchania się, potrzeba nam coraz bardziej ścieśniać się w żelazną obręcz na około Rozasa, ażeby go w niej zdusić gdy wybije przyjazna godzina dla wolności argentyńskiej. Nic racjonalniejszego ani właściwszego nad tę teorią, postawioną w ogólnym znaczeniu, zastosowaną do wszelkiego ludu na ziemi znajdującego się w podobnych jak nasze okolicznościach; lecz my, Argentyni, przedstawiamy wyjątek dowiedziony względnie do tej zasady.

Ja się zgadzam na to co utrzymuje pan Bello, iż kilkuset ludzi wystarczyłoby na zgniecenie Rozasa w mieście. Co więcej: przypuszczam że się jeszcze w Buenos-Aires znajduje cała młodzież naszego pokolenia która wyemigrowała, a nawet całe wychodztwo z przed laty dziesięciu, że nas jest, dajmy na to cztery tysiące unitaryuszów, tutaj, przeciw Rozasowi. Ale cóż przedstawia ta cyfra w Buenos-Aires? panowie, ona przedstawia jednostkę.

Stronictwo nie jest potężnym liczbą głów, lecz spistością swoją. Milion ludzi w rozkładzie na jednostki nie więcej waży co dwóch lub trzech sprzężonych z sobą ideami, wolą i ramieniem.

Niech jak kto chce studjuje filozofię dyktatury Rozasa, zawsze sprawdzi, iż przyczyna jej leży w rozjednostkowaniu ludności. Rozas nie ma dyktatorskiej władzy nad całym narodem ryczałtowie wziętym, to zanadto oczywiste ażeby potrzebnym było nad tem się tu rozszerzać; lecz on tyranizuje po szczególe każdą rodzinę pod jej dachem, każdą jednostkę w jej czterech ścianach, i zaprawdę na dokonanie takiego cudu nie potrzeba mu więcej nad parę tuzinów zbójców.

Spółczenstwo takie jak amerykańskie, rozdrobnione, bez klas i hierarchii, a do tego ciemne, próżne, podejrzliwe i zazdrośne, gdy brak mu uroku cnoty, wyższej oświaty i patriotyzmu, takiemu społeczeństwu nie pozostaje innych pierwiastków wiązania się i spistości między sobą i dla siebie, jak tylko wiara religijna i polityczna niepodległość.

Nie pojmując jeszcze korzyści stowarzyszenia się w żadnym rodzaju, w stronictwach politycznych widzimy go najmniej. Ra-

sowy duch niedbalstwa organicznego dopełnia dzieła naszego moralnego rozkładu. Dziś się łączymy, umawiamy, zgadzamy, a jutro rozdzielamy się, zdradzamy, a co najmniej zapominamy połączyć się znowuż.

Bez zjednoczenia, bez ducha spójności, bez nadziei możności uorganizowania doraźnie téj dźwigni potęgi i postępu europejskiego która się zowie stowarzyszeniem, na cóż możemy rachować we względzie zamierzonego dzieła? Na uczucie ogólne? Ach! panowie, uczucie to oddawna istnieje w narodzie naszym, a jednakże *mashorka*, to jest setka nędzników, porywa nas po jednemu i robi z nami co chce. Tak się dzieje. Więc ja wolę paść na polu bitwy, niż ginąć we własnym domu w oczekiwaniu téj rewolucyi, której my Argentyni, wszyscy wielu nas jest, nie zdołamy nigdy przeprowadzić, bo wszyscy przedstawiamy tylko potęgę jednostki.

Lecz powtarzam jeszcze raz za moim przyjacielem, prawda to niezaprzeczona, iż najskuteczniej i najmądrzej jest w jedynéj osobie Rozasa starać się zgnieść tyranją. Powiedzcie mi tylko że jest możebném przyjść do stowarzyszenia się, a ja pierwszy porzucę wszelką myśl opuszczenia kraju.

Po téj mowie powszechnie zapanowało milczenie. Wszyscy wzrok w ziemię utkwili. Jeden tylko Daniel głowę do góry podnosząc, badał okiem jedną po drugiej twarze młodzieńczego koła.

— Drodzy przyjaciele, — rzekł nareszcie, — podzielam jak najzupełniej to cośmy usłyszeli o duchu indywidualizmu, który na nieszczęście naszej ojczyzny cechował zawsze Argentynów. Lecz klęski które nam przyniosła ta wada naszego dawnego wychowania najlepszą nam rękojmię upamiętanie się i poprawy, a powołanie was do zjednoczenia się, było jedną z głównych pobudek dla jakich was tu zwołałem. Skoro zgadzacie się zemną na potrzebę oczekiwania w Buenos-Aires dalszych wypadków, zgodzicie się także i na to, iż jeżeli te wypadki zaskoczą nas rozdzielonych, mało co zdziałać potrafimy.

Nadto, myśmy dziś na kraterze wulkanu, który się burzy, huczy i rychło wybuchnie.

Dokonane morderstwa nie są końcem lecz początkiem łańcucha zbrodni, który jak wąż skrętami opasze wszystkie głowy.

Rozas przez pośrednictwo swojej *Gazety* i posłanników od dawna podszezuwa swoje ogary.

Pijani zbrodnią nasi zabójcy, szła mordów już zmysły im zamącił; krew kipi gorączką: gotowi do rozpasania się na bezprawia o jakich świat nie słyszał.

Sztylety ostrzą się, wznoszą ramiona, ofiary już wskazane i straszna chwila zbliża się.

To nie doraźna zemsta, lecz kombinacya przemyślana dla obezwładnienia, za pomocą terroryzmu, wysileni ducha ogólnego.

A więc jeżeli ta straszna chwila zastanie nas rozproszonych, wtenczas wszyscy, nie ma wątpliwości, wszyscy padniemy ofiarami Rozasa.

Bądźmy zjednoczeni, nasza obrona niech będzie usystematyzowaną, wszyscy solidarni do pomszczenia pierwszego co padnie; wówczas, albo powstrzymamy ramię morderców, lub wywołamy rewolucję, a jeżeli stracimy ostateczną nadzieję zgniecenia tyranii, wtenczas przynajmniej zginiemy na ulicach naszego miasta zostawwszy wprzód zaszczytny przykład dla następnych pokoleń.

Gdy będziemy skojarzeni, skoro tylko w naszej prowincyi ukaże się jedno z wojsk oswobodzicieli, które działają w Entre-Rios lub organizują się na stoku Kordylierów, wówczas ja sam postaram się, ile w mojej mocy, o przyspieszenie godziny *Sycylijskich niesporów*. Nie trwóście się moi drodzy: w rewolucjach każda kombinacya poroniona daje zawsze rezultat przeciwny. Zamiarem ich wyrząść nas po sterroryzowaniu naszego ducha, za pomocą téj bezprzestannéj propagandy grózb, któremi witają nas dnia każdego trybuny ich i prassa. Lecz gdy ja zdołam doprowadzić do tego że się sztylety przedwcześnie podniosą i zamiast w wylęknione jednostki ugodzą w ludność stowarzyszoną i krzepką, przerażenie zgottowane dla umysłów ofiar zwróci się w ducha morderców.

Są chwile, w których pewny niechybny środek do zniweczenia politycznego planu zależy na szybkim przyspieszeniu rozwinięcia się onego. Za pomocą swego systemu oszczędności, minister Necker zdołał opóźnić bieg rewolucyi francuzkiej przybliżającą się potajemnie; lecz jego następcą Calonne, pragnący powstania ludu przeciwko arystokracji i klerowi, szafował niepomiarkowanie złotem na zbytki i zabawy dworu, rozdrażniając tym sposobem rewolucyjny duch w ludności z ubożonej i uciśniętej, i przyspieszając pochód wzburzenia.

Ja, który kosztem mego spokoju i czci imienia mego kupuję tajemnice wrogów, ja co z wściekłością w sercu podaję dłoń skrważonym rękóm morderców mojej ojczyzny, ja mówią moją jątrzyć będę ich serca jadem zaprawne, i podburzę do zbrodni, w chwili gdy osądzę iż ta sama zbrodnia powoła uciśnionych do zemsty. Bowiem dzień ten, chwila, kiedy odważna ręka, w biały dzień, zatopi sztylet w piersi jednego ze zbójców, chwila ta będzie ostatnią dla tyra. Dla ludu gnębiętego przez to wściekłe stronnictwo, potrzeba tylko jednego męża, jednego hasła, jednéj minuty, ażeby przejść jednym przeskokiem z niewoli do swobody, z odrętwienia do czynu.

Twarz Daniela była zaogniona, z ócz iskry się sypały, wargi jego wydatne i zwykle purpurowe paliły się zarem. Wszystkie spojrzenia w niego były wlepione. Jeden tylko Edward, to serce wzniosłe, prawe i wierne, ten umysł głęboki i filozoficzny, on jeden łokciem o stół wsparty, głowę na ręku pochylił.

— Tak, stowarzyszymy się, — zawołał jeden z młodzieży, — stowarzyszymy się dziś dla wspólnej obrony od *mashorki*, dla wy czekiwania wybuchu, dla powieszenia Rozasa!

— Stowarzyszymy się jutro, — dodał Daniel po raz pierwszy ton głosu podnosząc i potrząsając dumną i inteligentną głową, — dla uorganizowania społeczeństwa naszego kraju.

Stowarzyszenie polityczne dla ustanowienia praw i swobody.

Stowarzyszenie handlowe, przemysłowe, literackie i naukowe, dla popierania oświaty, wiedzy, rozwoju i postępu.

Stowarzyszenie wszelkich doktryn chrześcijaństwa dla zdobycia cnót i moralnej podstawy na której nam zbywa.

Stowarzyszenie we wszystkiem i zawsze ażeby się stać silnymi, potężnymi Europejczykami w Ameryce.

Stowarzyszyć się muszą jednostki i ludy dla zbadania filozoficznie doświadczeniem, czy ta rzeczpospolita improwizowana wybuchem majowym, jest politycznym błędem wynikłym z chwilowej konieczności, czyli też ma być faktem stanowczym i trwałym; dla roztrząśnienia pierwiastków konstytucyjnych kraju, dla poszukiwania w doczesnych skutkach przyczyn głównych które ją spowodowały.

Chciecie ojczyzny, chcecie instytucji i swobody, wy którzy się zwiecie spadkobiercami odrodzicieli całej części świata. A więc przypomnijcie sobie iż oni i cała Ameryka, byli stowarzyszeniem braci przez cały ciąg długich wojen wyzwolenia, dla wojowania przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi naszej niepodległości, i połączcie się by zwalczyć głównego wroga naszej reformy społecznej: — ciemnotę! podżegacza naszych dzikich namiętności, — fanatyzm polityczny! twórcę naszego rozdzielenia, naszych przywar, zawiści, naszego ducha, zarozumienia i uporu: skeptycyzm religijny! Tak, wiercie mi, czego nam brak głównie, to religii, cnoty i światła: z cywilizacji przystało do nas tylko jej zepsucie.

W ciągu téj mowy Daniel powoli powstawał z siedzenia i wszyscy młodzi czynili toż samo, jakby porwani energią słów jego. Zaledwo ostatnie domówił młody orator, znalazł się w gorącym uścisku objąć Edwarda.

— Bracia, — rzekł następnie Belgrano odwracając się do młodzieży, — widzicie tży w moich oczach, które już od dziecka płakać zapomniały. Lecz wy nie zgadujecie ich źródła. Wszyscy wzruszeni jesteście słowami mego przyjaciela, obecnym stanem naszej ojczyzny; ale ja, nad jej przyszłym boleję losem. Ja wierzę w jej odrodzenie, wierzę w jej wielkość i chwałę w przyszłości; lecz to zbratnienie, które ma się zrodzić w La Plata, nie będzie dziełem naszego pokolenia ani naszych synów, i ból mój ma swoje źródła w tém okropném przekonaniu, że ani ja, ani wy, nie zobaczymy wschodzącej nad La Platą jutrzienki naszej wolności cywilizowanej, gdyż nasze usposobienie, wychowanie, nałogi, nie czynią nas zdolnymi do owego bratniego skojarzenia się, do jakiego pokolenie naszych ojców natchnęła jedynie wielkość świętej sprawy naszej niepodległości!

— O! nie, nie, — zawołali wszyscy. — my się skojarzylimy!

— Na miłość Boską, daj pokój! — szepnął Daniel do ucha Edwarda: i dodał głośno; — Tak moi bracia, my w naszym pokoleniu stowarzyszymy się i rozstańmy się dziś pod wpływem tego błęgiego natchnienia. Będziemy zbierać się, obmyślać wspólnie i działać jednomyślnie.

Dzisiaj jest 24 maja, rozejdźmy się zanim słońce 25go zejdzie nad głowami Argentynów, którym nie dano powitać je wolnymi.

Zbierzmy się 15go czerwca, w tym samym domu i o tej co dzisiaj godzinie.

Jeszcze jedno słowo: starajcie się wszelkimi środkami odwracać waszych przyjaciół od wychodztwa, lecz gdy tego nieodzowna wypadnie komu konieczność, niech się do mnie uda, ja zapewnię sposób bezpiecznej przeprawy. Krom tej okoliczności unikajcie mojej osoby, potępiajcie moje postępowanie wśród obcych, kalajcie moje imię waszą naganą: ja je kiedyś oczyszczę w ogniu wolności mojego kraju. Ufajcie mi!

Serdeczne uściski były jedyną odpowiedzią, jaką odebrał od wszystkiej młodzieży.

Otworzyły się pokoje do sali, i po chwili Daniel i Edward zostali sami.

Wtenczas, z pobocznego pokoju, przez drzwi uchylone przez cały ciąg obrady, wystąpił mężczyzna w kapeluszu i w ciemnym płaszczu.

— I cóż, panie? — zapytał go Daniel, — jesteś zadowolony?

— Nie.

Edward uśmiechnął się smutnie i głowę opuścił na piersi.

— Lecz jakież zdanie pan powziąłeś? — pytał dalej Daniel.

— To że wszyscy wyszli rozpromienieni świętym uczuciem miłości ojczyzny, że w tej chwili każdy z nich byłby gotów do wielkich, bohaterskich ofiar; — lecz że do 15 czerwca połowy z nich nie będzie w *Buenos-Aires*, a druga połowa zapomni o stowarzyszeniu.

— A więc cóż robić, panie, mów, co robić? — zawołał Daniel uderzając silnie o stół pięścią, niepomny w tej chwili na uszanowanie z jakim się zachowywał względem nieznanego, na którego otwartym i szlachetnym czole malowała się wyższość i rozum.

— Co robić? pracować, nastawać ciągle, i zostawić rozpoczęte dzieło, które do końca doprowadzą nasze wnuki.

— Lecz . . . a *Rozas*?

— *Rozas* jest szczerym wyrazem naszego społecznego stanu, a otóż ten stan właśnie nam przeszkadza a jego podtrzymuje.

— Jednakże, gdyby się udało sprzątnąć go . . .

— Przez kogo?

— Przez jakiego śmiałka.

— Nie, Danielu, nie! na to potrzebném byłoby jedno z dwojga: albo wielka nikczemność duszy dla sprzedania swego sztyletu, a coś podobnego nie znajduje się w naszém stronnictwie, lub ślepy fanatyzm polityczny, a ten już nie istnieje w naszej epoce.

— Kiedy tak, cóż nam pozostaje?

— Praca i zawsze praca, bez ustanku: jedna dusza pozyskana dla sprawy wolności i cywilizacji jest już wielką wygraną, jakkolwiek się wydaje nic nie znaczącą napozór. Czyż nie tak, Belgrano?

— Jestem zupełnie takiegoż samego zdania.

— Teraz w drogę moje dzieci, dziś zrobiliśmy co można. Bóg przynajmniej wam nagrodi czystość waszych pragnień.

I ten człowiek, jak widać nawykły do wychierania na młodych silnego wpływu moralnej przewagi, podał ramię Edwardowi który jeszcze chromał mocno.

Wyszli przed bramę, gdzie wierny Fermin siedział na warcie. Nocny stróż właśnie wyśpiewał jedenastą. Powóz czekał na zakręcie ulicy. Zjawił się natychmiast służący Edwarda, który wartował przy oknie od tyłu i wszyscy ruszyli ku powozowi. Daniel tylko pozostał, wrócił do domu i w dziedzińcu lekko gwizdnął: odpowiedział mu z tarasu głos miodowy, zziębnięty, drżący:

— Jestem. Czy mam już zejść z tój wysokości mroźnej, ciemnej, strasznej, — mój drogi i zacny Danielu?

— Zejdź pan, mój drogi i zacny mistrzu, — odrzekł Daniel naśladując głos i styl naszego dobrego przyjaciela Don Candido Rodriguez.

— Danielu, ty zaprzepaszczasz moje zdrowie i moją duszę

— Idźmy, bo na nas czekają.

Daniel wywlókł za sobą drżącego profesora, zamknął bramę i schował klucz.

Gdy wszyscy powiadali, powóz potoczył się w ciemności, a po kwadransie jazdy zatrzymał się za Ś-tym Janem, gdzie wysiadł nieznamy. Na *Nowym placu* Don Candido otrzymał pozwolenie odłączenia się od towarzystwa, gdyż dom jego był w pobliżu. Dwaj młodzi przyjaciele stanęli przed mieszkaniem Daniela o w pół do dwunastej w nocy.

VIII.

Obietnice wyobraźni.

Kiedy Daniel biegł przez pokoje do swojej sypialni, już jego odzież była porozpinaną, krawat rozwiązany, ażeby nie stracić ani jednej chwili przy zmianie ubioru powszedniego na balowy.

— Zastanów się że ja nie mogę zdążyć za tobą, — mówił Edward postępując za nim z trudnością.

— Zastanów się że już blisko północy, moje panie wchodzą na bal, mnie tam niema, a ja powinienem czuwać nad nimi i pośredniczyć w porobieniu im znajomości potrzebnych na dzisiaj, — mówił Daniel zrzucając suknie, podczas gdy Fermin znający na pamięć myśli pana, stawiał przed nim zwierciadło i przynosił ubranie.

— Ach, jakiś ty szczęśliwy Danielu, — mówił Edward siadając w fotelu i wyciągając zbolalą utrudzeniem nogę.

— Jak powiadasz, drogi Edwardzie?

— Powiadam że natura uczyniła z ciebie najoryginalniejszą i zarazem najszczęśliwszą istotę na ziemi.

— Wierzysz temu co mówisz?

— Przysięgnęłbym. Posiadasz niesłychany talent porzucenia twojej myśli wraz ze sceną z której się oddalasz, i zwrócenie jej wedle twojej fantazyi na coś nowego. Narażasz swoje życie, oddany jesteś duszą i ciałem politycznym knowaniom, niebezpiecznej grze naszych czasów, a zarazem jesteś w stanie zatopić się całą myślą w najpospolitszych próżnostkach światowego życia. Wiesz zkąd przybywasz, czemeśmy przed chwilą byli, a oto cię tu widzę przed zwierciadłem jakby najpłochszego z naszych elegantów, tak zajętego muskaniem się na bal, jakbyś nigdy czém inném nie był, ani czém inném się nie zajmował: to, co się nazywa być szczęśliwym.

— Czy tak dobrze? — spytał Daniel raptem się odwracając i pokazując węzeł batystowego krawatu, który na szyi zawiązał.

— Idź do diabła! — odrzekł Edward z gestem złego humoru, na to żartobliwe pytanie zadane z najprzesadniejszą powagą.

— Idę do diabła! — odparł Daniel obracając się znów do lustra i zajął się dalszym strojem.

— Mów delikatniej Edwardzie, — dodał; — studia psychologiczne to twoja mocna strona zazwyczaj; lecz mi się coś zdaje iż jak ukończysz rozprawę, udzielę ci co najwięcej stopień *miernej* . . . A! nie odpowiadasz! dobrze, to ja za ciebie będę mówił.

I dokończywszy w tej chwili ubranie, usiadł poważnie obok przyjaciela i oparł rękę na poręczy jego krzesła.

— Otóż, mój drogi Edwardzie, nic łatwiejszego jak wyrozumowanie mojego charakteru, gdyż on nie jest niczém inném jak tylko prostą odbitką odwiecznych praw natury. Wszystko tak w porządku fizycznym jak moralnym jest niestałym, przechodniém, ulotnym. Kontrasta, to co jest najpiękniejszego, najbardziej harmonijnego w dziełach Bożej ręki, a ta rozmaitość do nieskończoności panująca we wszechstworzeniu, w niczém się nie objawia więcej jak w duszy ludzkiej. W jednym dniu, w jednej godzinie, w jednej minucie, serce, intelligencya i umysł mieniają się i przeobrażają tak niespodzianie jak kolory na powierzchni opalu. Oto myśl wielka nas zajmuje, — wtém, pióro którém piszemy, ogień,

lub książka na której wzrok spoczął przy rozmyślaniu, śmiech dziecka, skrzydełko owadu, słowem rzecz najdrobniejsza sprawa, iż obok téj wielkiej myśli zjawia się myśl maluczka, i tak się rozpościera po naszej głowie, jak każda inna większej wagi. Jesteśmy szczęśliwi: — przebiega myśl ulotna, zwierciadło szczęśliwości naszej śmiło się, w mgnieniu oka spada łaza w serce w pośród szatu rozkoszy. Z zajęcia najpoważniejszego mimowolnym popędem spada się w uciechy, w rozrywki najbliższe, i wśród tych podniesień duszy które życie śmiertelnika z istnością Bożą ztożsamiają, na raz, poziomość nakreśla cień swój na wspaniałém i jasném tegóż życia przezroczu. Ludzie obawiający się tych mimowolnych popędów natury, przywdziewają maskę hipokryzyi, nieprzeniknioną dla pospolitego świata, lecz przejrzystą dla bystrego spojrzenia. Ci ludzie z wieczną powagą oblicza, mowy i obejścia, oni kłamią, albo téż, powaga takowa nie jest wynikiem filozoficznego nastroju ich duszy, lecz brakiem giętkości umysłu, a to się na nic nie zdało w wielu okolicznościach życia. Kto zaś brzydzi się obłudą, ten będzie takim jak ja: da się porywać najróżniejszym wrażeniom jakie w około nas krążą. A dodaj do tego, że ja dziecię rodzone naszego Buenos-Aires, którego ludność jest z charakteru najbardziej płochą i niestety z całej Ameryki, gdzie ludzie są od urodzenia do śmierci pół-dzieci i pół-mężę; — i ten to przymiot ich sprawił że postarali się o despotyzm dla przyjemności przeniewierzenia się swobodzie. I ty tak samo myślisz. Ale chcesz żebym cię nauczył zgłębiać serce ludzkie jedném wejrzeniem, lub zrozumieć je po jedném słowie wyrzeczoném przez usta? Chcesz żebym ci dowiódł jak najwznioślejsze umysły zstępują z idei ludzkościowych do uczuć czysto osobistych i samolubnych? chcesz a więc na tobie sam mam przykłać dla ciebie.

— Na mnie? — spytał Edward podnosząc oczy na Daniela.

— Tak, na tobie. Nie to ci się nie podobało że ja z zajęcia politycznego, ważnego, przerzucił się w zachody około balowego stroju, lecz cię drażni twoja pokuta, że zemną na baliś nie możesz.

— Ja?...

— Ty sam. Ten co na zgromadzeniu naszym przemawiał jak wielki myśliciel, w kilka minut zaledwie potem, grucha potajemnie jak gołąbek rozmiłowany w turkawce. Dopiero co myślał o ojczyźnie, a teraz myśl zatopił w pięknej buzi. Przestał zastanawiać się nad sposobami zdobycia wolności, a zaczął rozmyślać jak zdobyć serce niewieście. Biadał nad brakiem cywilizacji w swoim kraju, a teraz biedzi się że brak mu oczął jego bogdanki. Taką jest prawda, takim człowiek, taką natura.

Edward spuścił głowę i rękę we włosach zanurzył.

— Nie wyobrażaj sobie że ci zarzut robię, — mówił znowu Daniel, — bynajmniej. Nie wiele rzeczy mogłoby mię tak ucieszyć jak przekonanie iż pokochałeś moję siostrę. Ta kobieta tak deli-

katna, poetyczna, piękna, najstosowniejsza dla twego serca i charakteru. Ona cię kocha: cóż możesz pragnąć więcej?

— Nie, Danielu, to być nie może: ona się tylko lituje nademną.

— Kocha ciebie. Już samo twoje położenie dramatyczne rozpromieniło jej serce.

— Jesteś tego pewnym?.. O! powtórz mi! sądzisz że Amalia mię kocha? — dopytywał się Edward gorączkowo, jak ten co chciwie łaknie pewności upragnionego szczęścia.

— Jestem pewnym, i co więcej, sądzę iż nim rok minie, znajdzie się w Buenos-Aires czworo ludzi prawdziwie szczęśliwych: Amalia i ty, Florencia i ja.

— Ach tak, Danielu, ja ją kocham! Ty znasz moje życie, wiesz wśród jak jałowej pustyni usychało moje serce, to serce któremu wstrętne były poziome życia rozkosze, które zachowywało całą siłę, całą dziewiczość uczucia dla jakiejś niepowzedniej kobiety, nie istniejącej jak tylko w snach mojej wyobraźni; tak mniemałem.., a serce moje znalazło ją, tę wymarzoną istotę, i pokochało ją z zapalem, z tklivością, z ubóstwieniem: dusza moja zgnębiona, przybita odczarowaniami naszych czasów, rozkwitła dziś całym urokiem młodzieńczych nadziei. Marzeniem mojem żyć obok niej, osłaniać ją mojem ramieniem, w oczach jej czytać najszybsze pragnienie jej duszy, by je potęgą miłości mojej urzeczywistnić. Dla niej potrafię sięgnąć do ostatecznych granic jakie duchowi śmiertelnika zakreślone, by przynieść jej szczęście, światłość, królestwo....

— Dobrze, dobrze, mój Edwardzie, — zawołał Daniel przesuając dłoń po bladym czole marzyciela, — gdzie nie ma poetycznej egzaltacji serca, tam nie istnieje prawdziwa miłość w dwudziestym siódmym roku życia.

— Jeżeli ona mię kocha, — mówił dalej Edward jakby nie słysząc tych wyrazów, — moje serce, moje życie, moje mienie, do niej na zawsze należą.... musimy być połączeni. Życie nasze spędzimy na ustroni, w tym domu gdzie pierwsze zamieniliśmy spojrzenia. Nie prawdaż, Danielu, że szczęśliwość taka jest możebną?

— Mam nadzieję, Edwardzie, mam jeszcze wiele innych nadziei. Słuchaj: niedługo zakwitnie nam swoboda, a wraz z nią otworzy się niezmiernie pole dla prac umysłowych. Szczęście znajdziemy na łonie naszych rodzin, sławy szukać będziemy w ojczyźnie. Nie rozłączymy się. Urządzimy przepyszny dom na Barakach, w jednej części będziecie wy mieszkać, w drugiej my. A gdy które z nas zapragnie by obce oczy podziwiały jego szczęście, będziemy ich szukać pomiędzy nami czworgiem.

— Doskonały plan, mój Danielu; wybory! sami będziemy wychowywać naszych synów, nieprawdaż? I stracimy pamięć tych bladych dni naszej młodości, tego ustępu życia w którym sztylet wisił nam nad głową, i opadały liście z najdroższych gałęzi pnia narodowego....

— A widzisz? nie mówiłem ci? byliśmy szczęśliwi obietnicami naszej wyobraźni przed chwilą, a ty sam niewiedząc kiedy, do naszej czary nektaru dolewasz kroplę goryczy. Ba! dosyć na tém, dwunasta nadchodzi, Amalia nie zechce dłużej nad dwie godziny pozostać na balu.

— Idź więc, idź, — rzekł Edward do powstającego, — a nie dopuść żeby tańczyła z tą niemą hałastrą... i do powozu odprowadź sam... słuchaj, o samej drugiej ja będę czekał w twoim powozie niedaleko domu Florency gdzie się dla niej zatrzymacie, i przesiądę się dla towarzyszenia Amalii na Baraki.

— A! spodziewałem się że pan uczynisz mi zaszczyt wieczerać ze mną?

— Danielu, już dziesięć godzin jak jęj nie widzę! wszak jutro cały dzień z tobą przepędzimy? dobrze?

— Pod jednym warunkiem, że jutro cały dzień w łóżku zostaniesz.

— A! dajże mi pokój! czy jeszcze w tém łóżku za mało się przemęczyłem?

— Szaleńcze, dziś rozjątrzyłeś twoje rany, nie możesz się utrzymać; już od dwunastu godzin chodzisz na jednej nodze, a na kochanka to trochę śmiesznie.

— Przecież... nie znać tego, ... odrzekł Edward cały zaczerwieniony i prostując nogę.

— O, świecie! świecie! — zawołał Daniel błogosławiąc ręką w powietrzu.

Potem ścisnął dłoń przyjaciela i wybiegł zastawiając go dalszym rozmyślaniom.

IX.

Jeszcze na balu.

Daniel spotkawszy się wzrokiem z Amalią szybko się ku niej przybliżył. Seniora N... odpowiedziała nieco chłodno na ukłon młodzieńca, który podał rękę swojej krewniej i poprowadził ją przez salę.

— Rozmawiałaś wiele z tą panią? wiesz kto ona jest?

— Ona wiele mówiła, ja prawie nic. To pani N...

— Nie, to mąż pani N... w tém stadle płęć jest w odwrotnym porządku: ona jest on, a on jest ona... mniejsza o to... dawno tu jesteś?

— Niema pół godziny.

— Przedstawiono cię Manueli?

— Nie.

— A Augustynie?

— Także nie. Nikogo zgoła tu nie znam.

— Na Boga! cóż robiła Florencyja?

— Tańczyła.

— A! tańczyła!

— Jeszcze nie usiadła kiedy już była w tańcu, i teraz...

— A, i teraz, patrz, o tam, kręci się... Ale chódź, przedstawię cię Manueli.

— Powiedz mi, czy przy przedstawieniu mam wołać: *Niech żyje fedaracya*? — spytała Amalia z ironicznym uśmiechem.

— Manuela jest jedynem co pocziwe z całego rodu *Rozasa*; może potrafią zepsuć ją, lecz z natury najlepsze ma serce, — szepnął zcicha Daniel, bo już znajdowali się o kilka kroków od córki argentyńskiego dyktatora.

Zbiżywszy się Daniel powitał ją przyjaźnym podaniem ręki i ukłonem pełnym uszanowania, następnie przedstawił jej swoją siostrę. Manuela powstała z siedzenia, zamieniła z nowo-przybyłą kilka frazesów uświęconych zwyczajem i ofiarowała miejsce obok siebie. Daniel pożegnał je na chwilę i pobiegł za wyszukiwaniem Florencyi wśród tłumnych par napełniających salony. Znalazł ją wreszcie kończącą kadryl z jednym z jego przyjaciół.

— Nie może mię pani objaśnić, gdziebym mógł znaleźć senioritę Dupasquier?

— Tam, — odrzekła wskazując zwierciadło, w którym się odbijała śliczna jej osobka.

— A, dziękuję pani; ale to tak daleko, że z wielkim smutkiem pozbawiony jestem przyjemności zaproszenia jej do następnego tańca.

— Tém lepiej, *caballero*, gdyż seniorita Duspasquier już zamówiona.

— Mógłżeś wiedzieć, kto jest szczęśliwym tancerzem?

— Najniższy sługa pański, — rzekł podchodząc jeden z młodych ludzi, których widzieliśmy tego samego wieczora na tajemniczej schadzce.

— A, widocznie jest spisek przeciwko mnie, — odparł Daniel rozkoszując się z zachwytem widokiem uroczej postaci.

— Zgadłeś pan, — odrzekła.

Co sobie powiedziały krzyżujące się z sobą ich spojrzenia i uśmiechy, nie łatwo przyszloby powtórzyć.

Potém Daniel skierował swoje kroki napowrót ku stronie, gdzie Amalia z zajęciem rozmawiała z Manuellą Rozas. Mimo niechętnego uprzedzenia dla nazwiska młodej osoby, uprzejmość jej i prostota ujęły sobie dobry z natury i szlachetny charakter Amalii. Ze swęj strony Manuela uległa urokowi jej piękności, słodczy tonu jej mowy, niewymuszonej godności w obejściu, i szczerą ku niej uczuła sympatyą. Rozmowa zatem była dla stron obu zajmującą i przyjemną.

Co się tyczy Daniela, potrafił on zręcznie postawić się na dobrej stopie z całym otoczeniem Rozasa; kobiety miały go za eleganta goniącego za rozrywką i miłośckami, a to mu nadawało wielką w ich oczach wartość. W sądzie zaś mężczyzna uchodził on

za młodzieńca pracującego nad ukształceniem się, które mogło być kiedyś bardzo użytecznym dla świętej sprawy federacji.

Zaczynał się walc. Półkownik Maza poprowadził w koło tańczących córkę swojego gubernatora. Za nim redaktor *gazety* przystąpił do Amalii i wyciągnął ku niej rękę bełgocząc kilka wyrazów; lecz w tej samej chwili z drugiej strony Daniel ujął jej dłoń, i odwracając głowę rzekł z dyplomatycznym uśmiechem:

— Zamówiona, senior Marinio.

Nie było odpowiedzi na takie oświadczenie: redaktor pozostał ze spuszczonei rękami na miejscu, podczas gdy pary puściły się w wir walca.

W pośród całego walcujących koła odznaczały się dwie pary: Amalia i Florencia wdziękiem postaci, gracyą i lekkością ruchów, wydawały się jak skrzydlate anioły niedotykalające w przelocie ziemi. Wszystkie spojrzenia za niemi biegły goniąc je w szybkich tańca zwrotach, w których niknęły i zjawiały się jakby urocze widziadła.

Muzyka ustała, walc się skończył, młodzież odprowadziła tanecznicze na miejsca; Amalia i Florencia usiadły obok siebie w kącie salonu, Daniel stał przed niemi.

Po chwili zbliżyła się Manuela prowadząc Augustynę pod rękę i przedstawiła ją Amalii. Pani Mancilla przemawiała ustami do pani Olabarrieta, a oczami do przepysznój perły utkwionój w bujnych splotach Tukumanki.

Usiadły wszystkie, Manuela wszczęła rozmowę z Florencyą, Augustyna zadawała Amalii pytanie za pytaniem o jej suknię, o wstążki, o koronki i t. d. i t. d.

Amalia zdumiona naiwnością pięknej Argentynki, coraz oczami zdawała się zapytywać Daniela, co to za rodzaj pani z którą się znajdowała. Augustyna nie widziała tych wejrzeń, oczy jej zajęte były przegłędem całego stroju aż do szwów sukni Amalii.

— Pragnę żebyśmy z sobą były w wielkiej przyjaźni, — rzekła, spytawszy się wprzód czy nie wie gdzieby można kupić perłę podobną do tej którą widziała na jej głowie.

— Znajomość z panią będzie dla mnie zaszczytną — odrzekła Amalia.

— Ja już dawno pragnęłam tej sposobności, — mówiła Augustyna, — i już myślałam sobie pojechać do pani bez niczyjego przedstawienia, bo ja taka jestem, bardzo szczerą z mojami przyjaciółkami. Pani mi pokaże wszystkie swoje piękne rzeczy, nie prawdaż?

— Z największą przyjemnością.

— Tutaj nic dziś niema, magazyny puste; żeby nie Florencia nie miałabym sukni na dzisiejszy bal: z Francji przywożą tylko na obstalunek. A trzeba mieć tam kogoś żeby przysłał, nieprawdaż?

— A, zapewne!

— Co dzień to odemnie słyszy Mancilla; ale cóż? jakbym do muru mówiła. Jaka pani byłaś szczęśliwą za mężem! powiadają że wszystko dla pani sprowadzać kazał z Francyi, czy to prawda?

— Tak pani, prawda.

— Ach, to mi szczęście!

Rozmowa toczyła się dalej mniej więcej na tenże sam ton, o rzeczach które w onym czasie były rajem Augustyny. Daniel zabierał się wtrącić w nią, by jęj inny zwrot nadać, kiedy pomiędzy nim a paniami stanęły dwie nowe figury: *caballero* czarny, otyły, i niski, i *seniora* wysoka, otyła i biała. Był to pan Rivera doktor medycyny i chirurgii i jego małżonka Donia Mercedes Rozas, druga siostra gubernatora.

Suknia atlasowa koloru krwawego okładana czarnym aksamitem, ogromne kolczyki z topazu i sznurki koralu na szyi nie tak jaskrawo świeciły na tój pani, jak na jęj twarzy bardzo białęj świetnie występowały czerwone wypukłe znamiona, najświetniejsze na wystającęj i nabrzmiałęj brodzie.

Powołanie tój damy były Muzy, natchnienie ultra demokratyczne. W tój chwili wszakże nie powiedziała byś że wypila kubek wody z Hipokreńskich źródeł, lecz że wychyliła przynajmniej ze cztery szklanice z wazy ponczu Hoffmana, bo na jęj twarzy kwitły nie róże ale piwonie, a po policzkach którychby pozazdrościł gwardyan od S-go Franciszka, strugą spływały płynne perły sączące się z otwartych na skroni porów, i uciekały niby rosą wilżąc wypukłe i białe ramiona.

— O! szukałam cię wszędzie, — rzekła do swojęj siostry Augustyny.

— A toż mię i znalazłaś; cóż chcesz?

— Poceę się kobiecino, chodźmy do stołu. — Jak się ma Senior Bello?

— Seniora, upadam do nóżek.

— A cóż się dzieje że pana nigdzie nie widać? zajęty zawracaniem główek? co? czy to pańskie krewne?

— Tak jest pani: seniora de Olabarrieta, którą mam zaszczyt przedstawić.

— Bardzo się cieszę z poznania pani, — rzekła Donia Mercedes podając rękę Amalii która się podniosła przy tój prezentacyi. Pragnęłabym żeby pani u mnie bywała. Nie ma co rachować żeby ten wartogłów Bello do mnie ją przywiózł. Jeżeli pani zechce, to mój mąż po nią przyjedzie, bo ja nie taka zazdrośna jak on; to mój mąż, Rivera, medyk Rivera: czy pani go nie znała?

— Nie seniora, nie miałam tego zaszczytu.

— O! wielki mi zaszczyt! Żeby pani wiedziała jaki on jest! nie mam z nim chwili pokoju; w oczy mu to mówię żeby się zawstydził: czy słyszysz?

— Słyszę, Mercedes; ależ jesteś kompromitująca.

— Bez wstydu! widzi pani, on i wszędzie będzie taki jak w domu.

Amalia nie wiedziała co odpowiedzieć. Była jak odurzona. Nigdy sobie nie mogła wyobrazić żeby podobni ludzie znajdowali się na świecie, a tém mniej żeby jój przyszło porozumieć się z niemi. Jednakże ta siostra Rozasa tak oryginalnie naiwna, charakterem była z całej rodziny najlepszą i wcale nie szkodliwą.

Na szczęście wezwano do stołu, i scena odrazu się zmieniła. Za powstaniem Manuela, powstali wszyscy jakby za poruszeniem sprężyny.

Damy federalne rzuciły się by służyć za satellitów promiennej gwiazdzie ówczesnej federacyi; każda chciała być blisko i z nią iść razem, ażeby koło niej u stołu usiąść.

Panie unitaryuszki przeciwnie, albo siedziały na swoich miejscach, lub się grupowały jak najdalej, zamieniając pomiędzy sobą znaczące spojrzenia.

Daniel wziął pod rękę Florencyą, a na jego mrugnięcie jeden z młodzieży podbiegł by ofiarować swoje rękę Amalii.

Tak szli do wielkiej pałacowej sali jadalnej, przez liczne salony i galerie, kiedy seniora N... prowadzona przez jednego z dystyngowanej młodzieży, zbliżyła się ku Amalii i szepnęła jój do ucha:

— Winszuję pani nowych znajomości.

Za całą odpowiedź Amalia uśmiechnęła się.

— Rozumiem ten uśmiech, pojmujemy się; lecz jest coś innego: rzecz ważna.

— Rzecz ważna? — rzekła Amalia przystając, i serce jój mocno zabiło, bo tutaj wszystko ją przestraszało lub niepokoiło. Cóż takiego?

— To się tyczy pana Marinio.

— Tego z oczami?...

— Tak, tego z oczami, któremi śledzi panią na wszystkie strony, pożera niemi, i dopiero co powiedział jednemu ze swoich, że pani musisz zostać jego zdobyczą, albo go dyabli wezmą.

— A, kiedy tak, możemy sobie powinszować, seniora, i spokojnie iść do stołu.

— Nie, nie! nie można sobie tak lekce ważyć téj rzeczy: nie wiesz droga pani co to za człowiek.

— Ten człowiek jest niespełna zmysłów, więcój nic, — odrzekła Amalia z lekkim wzniesieniem ramiom i skłoniła się pani N... z wdzięcznym uśmiechem.

Przez ten czas Daniel był jak na śpilkach, bojąc się by kto nie zabrał miejsca które obok Florencyi dla siostry zatrzymywał. Wreszcie nadeszła i usiadła a dwaj młodzi towarzysze stanęli za krzesłami swoich pań.

Mistrz ceremonij, pułkownik Erezcano, rozsadał pewne znakomitości według stopnia na pierwszych dystyngowanych miejscach: reszta pomieścili się gdzie kto mógł.

X.

Biesiada federalna.

Seniorita de Rozas siedziała na pryncypalném miejscu: obok niéj po lewéj stronie Minister Skarbu, po prawéj Konsul Angielski. Pan Maudeville nie dawno przybył, odwiozłszy do domu jego Exce-lencyę Dyktatora, który zaszczyił swoją obecnością bankiet wyda-wany w ambassadzie z powodu urodzin J. M. królowéj Wiktoryi, po którój to uczcie powrócił także do siebie pan Minister Arana czując nieco zbyteczne przeładowanie żołądka.

Przy ministrze angielskim siedziała Donia Mercedes de Rivera a naprzeciw niéj jéj siostra Augustina, mająca obok siebie z lewéj strony pana Picolet de Hermilon, generalnego konsula Sardyńskiego. Dalej zasiadały wszystkie przedniejsze damy federacyi, a pomiędzy niemi kilka ze znakomitszych popleczników świętéj sprawy. Resz-ta mężczyzn albo stali za krzesłami dam, lub się grupowali po kątach sali.

Na drugim końcu stołu wprost Manueli siedział generał Mancilla.

Cisza zaledwie przerywana brzękiem porcelany i srebra, przedstawiała coś dziwnie sprzecznego z wystawną ucztą, i w nie-mały wprowadziła kłopot większą część obecnych, biesiadujących wśród tego milczenia istnie pogrzebnego. Trzeba było widzieć pan-tominę wszystkich małżonek bohaterskich obrońców sprawy, za każdym kąskiem do ust niesionym! widelec podnosił się z talerza tak ostrożnie, jak gdyby palcom chodziło o utrzymanie skrupulatnéj wazki która się mogła przegibnąć za najmniejszém drgnięciem; mikroskopijny kawałeczek drobiu lub pasztetu zbliżał się do ust z taką gracyą, z jaką rączka wykwintnéj elegantki niesie do noska kwiat delikatny, by się wonią jego poić; a zanim trwożne usta wsty-dliwie kasek schłoneły, wprzód oczy niespokojnie zwróciły się w prawo i w lewo, czy téż kto nie widzi spełnienia się jednego z grzechów głównych, to jest jedzenia w miejscu i chwili gdzie się po to tylko zebrano. Wszystkie Katońskie przepisy były jak naj-ściślej zachowane. Każdy czekał na zapytanie by odpowiedzieć, a że nikt nie pytał, żaden z biesiadników nie poważył się na wyrze-czenie słowa.

Pułkownicy: Salomon, Santa-Coloma, Crespo, komendant Marinio; deputowani: Garraigos i Belastegui, były to najgłówniej-sze osobistości z mężczyzn usadowionych pomiędzy paniami przy stole; lecz ci po największej części, a mianowicie pułkownicy, kleli w duchu mistrza ceremonii za takie miejsca na których każdy ką-sek dławił ich jak kość w gardle. Salomon pocił się, Santa-Colo-ma kręcił wąsy, Crespo pokaszliwał.

Generał Mancilla pojmujący lepiej niż ktokolwiek bądź inny całą śmieszność tego milczenia i parafiańskiego sztywności, nagle jak trąbą do ataku rozbudził szyki swych federalnych kolegów.

— Toast, panowie, — rzekł powstając z puhaem w ręku, z tym udatnym wdziękiem i swobodą, które znamionowały zapalnego unitaryusza z epoki kongressowej.

Damy i mężczyźni powstali.

— Wnoszę zdrowie najpierwszego męża naszej epoki, tego, który na zawsze zniszczy bandę dzikich unitaryuszów; tego, który Francję ugnie na kolana przed rządem konfederacji argentyńskiej: zdrowie wielkiego bohatera pustyni, Prześwietnego Restauratora Praw i Jego zacnej córki zrodzonej na zaszczyt i chwałę Ameryki!

Słowa generała Mancilla były lontem, a płuca świetnego towarzystwa armatą, z której zagrzmiał ich piorunny zapal.

Koniec milczeniu, koniec sztywności, koniec parafiańszczyźnie; a pocałuj się zgiełk, ruch i bachanalia.

— Toast panowie! — wrzasnął deputowany Garrigos wznosząc kielich do góry. — Pijmy za zdrowie argentyńskiego bohatera, który daje naukę Europie, że jój na nic nie potrzebujemy! Pijmy, by Europa poznała czém jesteśmy; niech wie, że kto zwyciężył w całej Ameryce wojska i traktaty dzikich unitaryuszów, sprzedanych plugawemu złotu francuzkiemu, ten może odtąd trząść starcami i spróchniałymi Europy tronami!

Jeżeli toast generała Mancilla rozbudził zapal w duszach federalistów, to przemowa deputowanego Garrigos ocknęła szal chwilowy zdrzemnięty chwilowo w ich mózgach. Wypróżniły się kielichy do ostatniej kropli, ani jedna nie pozostała nawet w puharze p. Maudeville, po tém przyjacielskiem i pochlebném uczczeniu Europy i tronu.

— Toast panowie! — zagrzmiał prezydent Towarzystwa Ludowego na dany sobie znak przez swego doradcę Daniela Bello. — Wznoszę, niech nasz prześwieatny ojciec federacyi żyje całe życie, ażeby nigdy nie umarła federacya, ani Ameryka i ażeby..., ażeby...; to jest panowie, niech żyje prześwieatny restaurator praw! niech zginą dzicy unitaryusze, i wszyscy heretycy i przybłądy z całego świata!

Całe zgromadzenie federalne przyklasnęło tój improwizacyi godnego filaru świętej sprawy; nawet minister angielski i także sardyński konsul, poczuli się do obowiązku okazania swego podziwu dla tak samodzielnej wymowy wychylając do dna puhary pełne pieniającego się szampana.

Jedna tylko osoba nic nie pojmowała z tego co się w około niej działo,

Amalia jak odurzona rzucała na Daniela pytające spojrzenia, które dobitnie mówiły: gdzież ja to jestem?, co to za ludzie? czyż to Buenos-Aires? czy to owa słynna polorem stolica rzecyzpolitej argentyńskiej?... Daniel mową oczu i fizyognomii zrozumiałe jój odpowiadał: później o tём pomówimy.

Amalia odwracała się niekiedy ku Florencyi; lecz na figlarną twarzyczkę widziała tylko wyraz niewystawionej ironii, w której nie mogła dopatrzeć dokładniejszego wyjaśnienia tych zagadek.

Daniel był wszędzie: słał sygnały do Salomona, hasła do Santa-Coloma, okiem chwalił Garrigoza, uśmiechał się do Manueli, posyłał kwiat Augustynie, cukierek Doni Mercedes, i t. d. i t. d.; a widząc że jego panie ani kropli wina do ust nie poniosły, nalał ich kieliszki i pochylając się nad krzesłami szepnął: „Trzeba pić koniecznie.”

— Ja?!... — rzekła Amalia szybko i wyniosłe z taką godnością i oburzeniem, jakby Katarzyna de Medicis za czasów swego królowania w salonach Luwru pod panowaniem swoich synów.

Daniel nie odpowiedział: Florencya wzięła to na siebie.

— Tak, seniora, pani będzie pić i to wraz ze mną. Niech sobie ci państwo piją jakie chcą zdrowia, a my po cichutku za naszych przyjaciół je wzniesiemy.... Patrz, Manuela daje ci znaki.

W istocie seniorita de Rozas przyjaźnie pozdrowiała kieliszkiem Amalię, która jęj natychmiast z równą uprzejmością w ten sam sposób odpowiedziała.

— Panowie, — odezwał się redaktor Marinio, który raz po raz ukośne spojrzenia zwracał ku Amalii, — za wielkiego bohatera Ameryki, za jego nieśmiertelną córę, na zgliszcza wszystkich dzikich unitaryuszów, czy oni są zagraniczni czy krajowcy i na cześć pięknych dam Rzeczypospolitej argentyńskiej!

I oczy wykonały pół zwrotu w stronę, gdzie siedziała nadobna Tukumanka.

Teraz potrzeba już było krzyknąć z całych sił żeby się dać słyszeć. Pułkownik Crespo musiał aż na krzesło stanąć dla zwrócenia uwagi na swój toast. Lecz potężny głos Salomona zapanaował nagle nad całą tą wrzawą.

— Panowie, z rozkazu prześwietnej siostry naszego prześwietnego ojca, seniora Mercedes, która prosi na chwilę o ucieszenie się federalnego zapala, gdyż mają być odczytane wiersze jęj kompozycyi.

Odrąz zrobiła się cisza. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na wieszczkę. Federalna Safo podawała zwitek papieru małżonkowi za nią stojącemu. Mąż wzdragał się przyjąć i odczytać pieśń tajemniczą. Straszliwa burza do ucha przeleciała wśród małżeńskiego stadła. Wreszcie osierocony papier przez ręce służącego dostał się do generała Mancille z macierzyńskim poleceniem od rymotwórczyni.

Generał rozwinął papier, przebiegł oczami, a potem z całą chytrą włąściwą temu zmysłowi sztydnemu i swawolnemu w powagę przybrał oblicze, powstawszy tonem magistralnym czytał:

S O N E T.

Słońce błysnęło na wysokim niebie
 I ziemię oświeca jasnym promykiem,
 Wnet naród całuny odrzuca z siebie
 I krzyczy: śmierć unitaryuszom dzikiem!

Wzruszona zgryzotą i postrachem zdjęta
 Ziemia od bieguna do bieguna drży,
 Aż federalista potargał pęta
 I ojczyzna w radości znów koi łyzy!

Już nie narzucają praw żadnych na ziemię
 Ni Europa, ani królów plemię.
 Krwią nieprzyjaciół spłyną nasze rzeki

I w grobie się zatrząśnie duch plugawy
 Unitaryusza wroga świętej sprawy;
 A ona panować będzie na wieki!

Mercedes Rozas de Rivera.

Natchnione rymy zatrząsnęły całym zgromadzeniem: Salomon ze swoją drużyną, Garrigos i jego figuranci trzęśli się z zapалу; Mancilla, Forres, Bello i inni trzęśli się tajonym śmiechem.

Dla dam federalnych poezya ta była pindaryczną; lecz na nieszczęście damy przeciwnego obozu nawiedził nagle nieznośny paroxyzm kaszlu, zmuszający je wszystkie ponieść chusteczki do ust.

Zahuczały nowe toasty; wszystkie jednakże treścią, formą prawie bliźniaki.

Panowie Maudeville i Picolet wnieśli także zdrowie dyktatora i jego córki.

I jak wszystkie na tym świecie rzeczy kres swój mają, podobnie nastąpił koniec federalnej biesiady 24 maja 1840 roku.

Panie za powrotem do salonów, radośnie powitane przez muzykę i młodzież, puściły się w ochocze tany, a bohaterscy mężowie wiekopomnej epoki pozostawszy sami w jadalnej sali puścili wodze federalnemu zapalowi.

I wtedy entuzjyzm rozpalił się do najwyższego stopnia temperatury, bo wynurzaniu się pewnych namiętności u niektórych ludzi nic większej nie dodaje energii, jak dobre wino, brzęk kielichów i toasty.

I wtedy także wynużyła się myśl, wypowiedziana w wyrazach prostych i dobitnych, które wyjaśniały treść jej odrazu i stalowym rylcem wyłobić się miały w umysłach obecnych: myśl ta wyszła z ust Daniela.

Odprowadziwszy Amalię i Florencyę do salonu, Bello powierzył je tancerzowi ze swojej poręki, a sam wrócił do jadalni, stanął przy stole pomiędzy generałem Mancille a Salomonem, podniósł kielich i rzekł:

— Panowie, piję za zdrowie pierwszego federalisty, który się pochlubi zbroczeniem swego sztyletu we krwi niewolników Ludwika Filipa, którzy snują się pomiędzy nami jako zdrajcy czyhający na życie szlachetnych obrońców bohatera Ameryki!

Nikt dotąd nie miał odwagi streścić i wypowiedzieć tak jasno uczucia wspólnego większości w zgromadzeniu. I jak zwykle się zdarza, gdy ktoś potrafi stać się tłumaczem nieukształtowanych pragnień tłumu, tak i teraz słowa te wywołały powszechne uwielbienie.

Jednogodny wrzaskliwy oklask odpowiedział toastowi młodzieńca, ciskającego klątwę śmierci na głowę ludzi o tyle tylko winnych w oczach podejrzliwej choć świętej federacji, iż byli obywatelami kraju, którego rząd miał zatonać ze świetnym bohaterem tej epoki przewrotów i krwi, barbarzyństwa i wandalizmu!

Nawet Mancilla nie dorozumiewał się innego zamiaru ukrytego w owym toaście, i w głębi myśli zdumiewał się nad szaleństwem tej duszy tak wcześniej i tak dalece doktrynami swego czasu obłąkanój.

Wielki Boże! Ten młodzieniec co dzikie chuci barbarzyńców podzegał, któryby w samej rzeczy oddał najpiękniejsze lata swego życia na ziszczenie się swego krwawego życzenia na którym z niewinnych cudzoziemców przebywających w Buenos-Airys: młodzieniec ten był człowiekiem najczystszej z całego zgromadzenia i najwięcej europejskiem; lecz zdawało mu się iż te krople krwi staną się pobudką dla Francyi, dla całej Europy do wymierzenia śmiertelnego ciosu na głowę herszta zbójców i powstrzymania tym sposobem potoków łez i krwi, które wzbierały i nieuchronnie zalać miały lada chwila cały naród niewinny i chrześcijański. W mniemaniu jego, było to zastosowanie owego straszego, lecz w wielu razach nieodzownego prawa filozofii i moralności, upoważniającego poświęcić mniejszość dla ratowania większości: całopalenie interesów indywidualnych na ołtarzach powszechnego zbawienia. Tego celu chciał dopiąć ów młody człowiek poświęcający się całą duszą dla wyswobodzenia swego narodu i upomnienia się o prawa ludzkości tak ohydnie na nim znieważone. A starał się o to kosztem swego imienia, kosztem może całej przyszłości; odważnie ściągał na siebie potępienie uczciwych ludzi, a co jeszcze nadto sromotniejsza dla prawego człowieka..., poklask złoczyńców!

Jak każdy co w swoim przekonaniu dopełnił wielkiej lecz ciężkiej powinności, Daniel wyszedł z sali spokojny i smutny. Wszedłszy do salonu, zbliżył się do Amalii i rzekł tylko: „Jedziemy,”

Dostrzegła ona zmianę na jego twarzy i bez wahania o przyczynę spytała.

— Nic to, nic, — odrzekł — stawilem na przegraną moje imię, w zamian za wygraną dla mego kraju.... Jedźmy Florency — dodał do zbliżającego się swego anioła pocieszyciela.

XI.

P o b a l u.

Podczas gdy Daniel był u stołu, Augustina Rozas de Mancilla zrobiła na nowo przegląd strojów i klejnotów swojej nowej *przyjaciółki*, jak ją już nazywała, a zegnając się obiecała jak najczęściej ją odwiedzać w towarzystwie swojej *najserdeczniejszej przyjaciółki* seniority Dupasquier.

Manuela Rozas nie robiła pytań, nie oświadczała się z odwiedzinami, lecz w gruncie serca powzięła życzliwość ku Amalii, i rada byłaby gdyby jakaś okoliczność nastęrczyła jej sposobność zawiania z nią bliższych stosunków.

Powóz uwożący nową królowę balu i narzeczoną parę, zatrzymał się przed domem pani Dupasquier, gdzie Florencya wysiadła a o kilkadziesiąt kroków dalej spotkawszy się z drugim znów stanął. Daniel wysiadł z jednego, Edward z drugiego i zamieniwszy się z sobą na miejsca, każdy ruszył w swoją stronę.

Zrazu powóz Amalii potoczył się szybko po bruku, a potem wolno zstępował z wysokiego wzgórza zbiegającego ku Barakom. Przez drogę młoda kobieta opowiadała towarzyszowi wszystkie balowe sceny, ile niezrozumiałych dla niej rzeczy przedstawiło się jej oczom, trwożyło jej umysł; ile sobie musiała zadać przymusu dla przebycia tych paru godzin wśród towarzystwa tak obcego jej nawyknieniom i upodobaniu.

Wśród takiej rozmowy powóz zbliżał się do kapliczki Ś-tej Lucji, gdzie miał skrócić w ulicę Larga, kiedy na zbiegu dwóch krzyżujących się dróg, przypadło do niego trzech jezdnych. którzy w pełnym galopie zbiegłszy ze wzgórza *generała Brown*, pędzili ku drodze, którą postępował powóz.

Zamiary tych ludzi stały się wnet jawne: dwóch przebiegło przed powozowe konie tak nagle, że woźnica musiał ściągnąć lejce. Trzeci podsunął się z rumakiem pod drzwiczki powozu i odezwał się głosem słodkawym, choć nieco drżącym od szybkiej jazdy:

— Jesteśmy spokojni ludzie, seniora: wiem że pani jedzie pod dobrą opieką pana Bello; lecz droga jest bezлюдna, więc pośpieszyłem za powozem aby mieć zaszczyt przeprowadzić panią, za jej pozwoleniem, aż do jej domu.

Powóz był zatrzymany.

Stary Pedro pochylił się na koźle i wzrokiem mierzył głowę jednego z dwóch jeźdźców zatrzymujących powozowe konie, w zamiarze ucześniegowania téjże parą łutami ołowiu w okrągłut-

kim kształcie zachowanego w rurce pistoletu, który dobrze odegrywał swoją rolę na scenie, gdzie się przedstawiały nie jedne dramata dwadzieścia lat temu.

Służący Edwarda miał na pogotowiu potężną pałkę, którą wziął z sobą na wszelki wypadek i w chwili zatrzymania się powozu wyciągnął z za siedzenia oglądając się za pierwszym co mu wpadnie w ręce.

Belgrano nie miał innéj broni jak tylko mały sztylet w lasce którą się podpierał.

Nieznajomy, który przemówił obwinieły był w ponsz ciemny i obrócony plecami do latarni powozu, tak, że twarz jego zostawała zupełnie w cieniu.

Ani Edward, ani Amalia nie znali tego głosu; lecz wszystkie kobiety na świecie posiadają przedziwny dar odgadywania z pomiędzy miliona ludzi tego, na którym piękność ich uczyniła wrażenie, i w okolicznościach najzawilszych, najbardziej niespodziewanych, kobieta natychmiast zgadnie czy to o nią idzie, i jakie jest źródło tajemnicy, której drudzy nie dorożumiwiają się. Zaledwie nieznajomy ostatnich domówił wyrazów, Amalia pochyliła się do ucha Edwarda i szepnęła:

— To Marinio.

— On? — zawołał Edward.

— Tak, on..., to bezrozumny półgłówek.

— Nie, to łotr... Senior — rzekł Edward głos podnosząc — ta pani jest pod dostateczną opieką i upraszam pana abyś był łaskaw usunąć się nam z drogi i nakazać to samo tym panom, którzy zatrzymali nasze konie.

— Ja nie do pana mówę zwracałem, Senior Bello.

— Niema tutaj. . . .

— Cicho, na Boga! . . . Senior, — mówiła dalej Amalia głośno do nieznajomego, — dziękuję panu za jego grzeczność, lecz powtarzam wyrazy tego tu pana i upraszam ażebyś zechciał oddalić się.

— A! tego nadto! Dwa razy usłyszał „upraszam”, — zawołał Edward i sięgnął ręką by drzwiczki otworzyć.

Amalia z całych sił ujęła go za ramię i zmusiła do pozostania na miejscu.

— Pokazuje się że ten pan niezwyčajny przestawania z klasą ludzi, których zwiąż *caballeros*.

— *Caballeros* co zatrzymują powozy o północnej godzinie mogą być traktowani jak złodzieje. Pedro, ruszaj! — krzyknął Edward głosem tak mocnym i pewnym, iż dwaj jeźdźcy nie poważyli się zatrzymywać koni bez nowego rozkazu swego dowódcy, kiedy Pedro potężnie z bicia klasnął.

W chwili gdy powóz ruszył, komendant Marinio, gdyż on to był istotnie, spiął konia ostrogą i pogoził galopem, rzucając te słowa do Amalii wystosowane:

— Wiedz pani że nie chciałem jęj nic złego wyrządzić, lecz zostałem niegodnie znieważonym, a tego nie zapomina łątwa człowiek, który doznał podobnej obelgi.

I zwracając na miejsce wierzchowca pędził ku miastu, podczas kiedy Amalia w kilka minut później, wsparta na ramieniu Edwarda wchodziła do swego salonu nieco zbladła i podrażniona tą niespodziewaną sceną.

W gabinecie obok salonu, młodziutka towarzyszka Amalii spała na sofce, ogień w kominku łagodził ostre powietrze nocy zimowej, gorąca herbata przygotowana czekała na orzechowym stoliczku.

Edward zdjął z alabastrowych ramion młodej kobiety płaszcz axamitny błękitny, istanął oczarowany tą idealną pięknoscią, której powaby przed chwilą tłumy ludzi podziwiała, a która może do niego kiedyś należeć będzie: tak mu szeptała błoga nadzieja od poranku dnia tego.

W której kobiecie nie łąchce mile próżności uwielbienie jakie dla swych wdzięków czyta w oku wybranego swego serca?

Amalia zapomniała już o niemiłej przygodzie w drodze, a czuła się szczęśliwą wyrazem podziwu i zachwytu, malującym się na twarzy Edwarda. Nalewając herbatę, zdawała mu dalej sprawę z wypadków bankietu któremu uczestniczyła, i zapóźno się spostrzegła iż popełniła nieroztropność, nie przemilczając o spojrzeniach pana Marinio i o słowach jego powtórzonych jęj przez panią N... Wtenczas Edward inaczęj zaczął się zapatrywać na zdarzenie w ulicy *Larga* i nie mógł sobie darować iż pozwolił odejść temu łątrowi bez należytego skarcenia jego zuchwalstwa.

Jakkolwiek Amalia była anielską istotą z wdzięków i ducha, lecz zespalając w sobie także i niewieścią naturę, posiadała na różni ze wszystkimi istotami płci swojej, ów repertoar sztuk i sekretów, z pomocą których mają one dar wyłączny wlewania wesela w serce człowieka, i własności wód Letejskich do zagładzenia w jego pamięci wszelkich zdarzeń lub myśli, których wspomnienia one sobie nie życzą. To też kwandras nie upłynął, kiedy już Edward całkiem zapomniał koso-okiego Marinio, przeszłość i przyszłość, Buenos-Aires i świat cały zniknęły z jego pamięci, bo wszelkie władze i siły duszy zbiegły się w jedno uczucie: patrzył, słuuchał, poił się tchnieniem i uśmiechem swojej ukochanej.

Chyżo leciały chwile przy tęg rozmowie na przemian niemęj lecz wyrazistęj, to znów przeplatanęj temi słowami bez ceny, które tylko czysta i prawdziwa miłość stwarza i rozumie.

— Szczęśliwa jestem! — wyrzekła Amalia po chwili zadumy, w której zdawała się w sercu swoim obliczać i pięścić wrażenia i słodkie uczucia.

— Amalio! — zawołał Edward tuląc jęj dłoń miękką w swoich rękach, — gdybym dla ciebie życie poświęcił, gdybym wszystką krew swoją przelał, gdybym był w grobie, same te wyrazy byłyby koroną mojego szczęścia i chwały!

— Tak, — mówiła dalej, — jestem szczęśliwa, pocóż mam się zapierać? Srogie przeznaczenie zdawało się oczekiwać mojego przyjścia na świat, żeby mię przeprowadzić przez to życie. Natura sama napiętuowała mię wszystkim co może kobiecie życie nieszczęśliwém uczynić. Niezgodność mego charakteru z towarzyskiemi próżnostkami, popęd duszy do swobody i niezależności w moich postępkach, wola niezdolna do ugięcia się przed upokorzeniem lub rachubą, skłonność do pokochania wszystkiego co piękne, wielkie, szlachetne, wszystko to zazwyczaj wiele kobiecie utrudnia życie, a w naszym społeczeństwie tak zacofaném, tak poziomém, że tak powiem, zaściankowém, to prawdziwe nieszczęście. Dzięki Bogu że to zrozumiałam, i dla tego odosobniłam się. Skoro tylko zostałam sama, bez rodziny, wyrzekłam się towarzystwa ażeby mniej cierpieć, i tylko zmojemi książkami, z moim fortepianem i kwiatami, z tém wszystkim co świat nazywa dziecinną zabawką, a co dla mnie jest potrzebą jak powietrze i światło, żyłam spokojna i... tylko spokojna, nie powiem szczęśliwa.

Coś mi do szczęścia brakowało... lecz dziś...

— Cóż dziś? ...

— Dziś, w modlitwach moich proszę tylko Boga ażeby serce moje zachował od zapragnienia czegoś więcej nad to co mu dziś użyczone.

— O aniele mojej duszy, słusznie iż Boga w téj chwili przyzywasz, gdyż z boskiego tchnienia wyszły rozłączone dusze nasze po to aby się szukać i znaleźć na tym świecie. Jeden ich początek: znalazły się, poznały, i w mgnieniu oka na zawsze zbiegły się z sobą nieobrachowanym popędem, jakby sprawy natchnienia Bożego, obiedwie przejść musiały przez czyściec cierpień by najwyższą osiągnąć szczęśliwość... Amalio, będziesz moją, moją na wieki, nieprawdaz?

— Tak... tak, duszą, myślą, po wszystkie dni mojego życia... ale więcej nic... — szepnęła cisnąc oczy rękami.

— Amalio! co mówisz?

— Nie, nigdy... przebacz Edwardzie... nie wydzieraj mi przyrzeczenia którego się lękam... nie było istoty która mię kochała, która należała do mnie, a któraby się nie stała pastwą okrutnego losu. Zdaje się że geniusz nieszczęścia zawisł nad głową tych co się z mojem zespalają życiem... utraciłam wszystkich którzy mię kochali... w snach moich słyszę niby głos prorocy, niby żalostną wróżbę strasznego przeznaczenia, która biedném sercem mojem wstrząsa ile razy wyobraźnią pogonię za jakimś przyszłym szczęściem w życiu! Przez litość Edwardzie... przyjmuję tę miłość która dziś mię nad wszelki wyraz uszczęśliwia. Zostałam pokochaną tak jak dusza moja pragnęła... lecz na tém koniec... rozłączmy się, uniesiesz z sobą wyznanie najpierwszój miłości jaką w życiu mojem uczułam, a potem... potem, zapomnij o mnie. Ja zaś, zachowam w sercu te godziny, tę rozmowę, jako wizerunek szczęścia, którego rzeczywistą istotę znalazłam na ziemi, i żyć będę z tą pew-

nością że w niebie znowu ją ujrzę. Ale nic więcej nad to, Edwardzie! ja wiem, w jestestwo moje wcieloną jest ta myśl, że miłość moja przemienia się w łzy i niedole, i dlatego właśnie że kocham, nie chcę być dotkniętą bolem w osobie tego którego serce moje wybrało.

Zażawione jęj oczy błyszczały jakby niebiańskim natchnieniem, czoło i lica pobladyły, usta czerwieńczyły się jak koral, ręce drżały w dłoni Edwarda.

— Najdroższa, — odpowiedział, — teraz już nie miłość sercem mojem władnie, lecz cześć jaką tylko dla nieziemskich istot mieć można. Kobiecie którą miałem za szczęśliwą poważyłem się ofiarować z nieśmiałością moje serce, u nóg kobiety która widzi przed sobą groźbę nieszczęścia, z zapalem składam serce i los mój, moje nazwiko i przyszłość moją. Wiem iż śmierć oddawna zawisła nad moją głową, umrę więc obok ciebie; ostatnie twoje spojrzenie pogodzi mię ze światem, a w niebie otoczą mię jakby wonie kadzidel westchnienia, które pamięci mojej serce twoje poświęci. Przed chwilą mówił do ciebie kochanek, teraz przemawia mąż, i u nóg twoich składa serce które cię będzie czcić i kochać, ramięgotowe do twojej obrony, życie twemu poświęcone szczęściu.

Edward chciał u nóg jęj klęknąć, powstrzymały go ręce Amalii. I w tęg chwili upojenia i zapomienia, pałające usta kochanka dotknęły czystego czoła młodej kobiety.

Ona nie poruszyła się wcale, odebrawszy pierwszy pocałunek ukochanego, ścisnęła jego rękę, popatrzyła z czułością, a potem zwolna wstała, i spokojna na pozór, poszła obudzić małą Luizę.

Edward zrozumiał całą delikatność jęj postępienia i czuł się dumnym wyborem przedmiotu swojej miłości.

Gdy rozbudzona dziewczynka przymileniem i pieszczotą objawiała radość z powrotu swojej pani, Amalia wyciągnęła rękę do Edwarda na wieczorne pożegnanie.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

ALEXANDER PRZEZDZIECKI.

(Ur. 1814, † 1871).

Lat trzydzieści sześć upływa, kiedy w pośród głębokiej ciszy literackiej pojawiła się w Warszawie drukowana mała książeczka p. n.:

„Szwecya; wspomnienia jesienne z roku 1833, przez Alexandra Przeddzieckiego” (w 12-ce str. 221, w drukarni Łątkiewicza 1836 r.).

Jedyny organ literacki istniejący wówczas pod redakcją A. J. Szabrańskiego: „*Panorama literatury krajowej i zagranicznej*” zdając sprawę z tego dziełka nieznanego dotąd pisarza, tak je zakończyło:

„Podróż ta nie zawiera w sobie ani przypadków nadzwyczajnych ani spostrzeżeń szczególnych. Autor opisywał często nawet przedmioty aż nadto znane publiczności, w uwagach swoich nie zapatruje się nawet z wyższego stanowiska, a jednak wyborem zdarzeń ciekawszych i powabnym stylem umie zająć i zabawić czytających.”

Takie było pierwsze wystąpienie na pole literackie Alexandra Przeddzieckiego. Wspomnienie swoje napisał w dziewiętnastym roku życia, jako uczeń uniwersytetu berlińskiego, gdzie wyższe nauki pobięrał; szkolne bowiem ukończył w liceum krzemienieckim.

Od tęg chwili gdy raz pochwycił pióro i oddał się pracy literackieg, szedł tą drogą ciągle i przyjętemu dobrowolnie zawodowi wiernym pozostał do ostatniej chwili życia.

Czas był po temu odpowiedni: w głuchęg ciszy duchowego życia, które się tylko co rozbudzać zaczęło, już wystąpili znakomici pisarze i pięrszy zastępow tworzyć się zaczął. Michał Grabowski stanął w nim pięrszy z *Literaturą i krytyką* (1837 — 1838 r.) a obok niego niewątpliwie wyższy talentem, młodsz w latach Józef Ignacy Kraszewski, z *Wędrówkami literackimi, fantastycznemi i historycznemi* (Wilno trzy tomy 1838 r.), dziełem jedném z najlepszych, jakie napisał.

Przedziecki wyprzedziwszy ich zjawienie swoją *wycieczką do Szwecyi*, wkrótce stanął razem do szeregu i był ich ciągle dobrym towarzyszem.

Rok 1841, w rozwoju literatury naszég ma wybitne i stanowcze znaczenie, a dla Przeddzieckiego otworzył chlubne szranki do jego działalności literackieg. W tym bowiem roku, dwa poważne naukowe organa prassy powstały: pięrszy *Biblioteka Warszawska* zbiorowemi siłami, drugi: *Atheneum* pod redakcją J. I. Kraszewskiego.

W obu tych pismach Przeddziecki złożył owoce pracy i badań swoich. W nich też widzimy przeważny kierunek ku dziedzinie historycznej. Na zwrot ten wpłynął głównie *Marcin Błazowski*, tłumacz kroniki Kromera. Nieraz mi powtarzał Przeddziecki i przypominał ten ustęp z przedmowy do Zygmunta III, który Błazowski wydrukował na czele swego przekładu 1611 roku:

„Samój tylko historii plaga skazitelnosci nic nie ugorzy. Ta tylko sama, ile prawdziwie a umiejętnie pisana, sławę ludzką a zgoła wszystek świat, w szatę nieśmiertelnosci obłóczy. Upadły zamki, miasta i królestwa, upadłaby z niemi była i pamiątka o nich, jedno upadkowi historiay zabiegła. Pomarli cesarze, królowie i książęta a z niemi równo zacne ich sprawy też-by umarły były, by była historia onych nie odżywiała. Polegli mocarze olbrzymi, bohaterowie a z niemi razem męztwa, cnoty i zwycięstwa ich miały też były poledz, jedno takżeż pismo niedopusciło. Historiay zaprawdę sama na wieki sławy naszój dochować może. Ona jest przemijających czasów rachmistrzem, oświatą prawdy, mistrzynią żywota, pamiętnicą zasług, podzoga cnoty, hamulcem niecnoty a nawet matką nieśmiertelnosci; ponieważ sama w to potrafiła, że najprzedniejsza jedna część człowieka, mianowicie sława zacna między ludźmi na wieki żyje.”

Prawdy tu zawarte wyrobiły w nim przekonanie o przewadze téj nauki. Biorąc historję jako mistrzynię wszystkich gałęzi wiedzy, a wierząc w postępek ludzkości, wiedział że ten postępek nie może być oceniony należycie bez jęj światła które przebieg jego oświeca.

Postępek będzie wtedy czczym wyrazem, jeżeli zwolennicy jego nie znają, co już w przeszłości opracowano i wyrobiono, co było jego żywiołem a o czém następne pokolenia przy braku oświaty i dbania o czystość domowego ogniska zapomniły. Nie dzielił przekonania lekkomyślnych, że ta przeszłość minęła; bo jeżeli zewnętrzne szaty wiek po wieku zrzucając nowe przywdzięwała, duchem swoim wytwarzała i wytwarza owe złote ogniwa, które wiążą w jeden spójny łańcuch przeszłość z terażniejszością: i każdy głębszy myśliciel widzi to jasno, jako prawdę niczém niezachwianą.

Że pomimo oddania się z całym zapałem młodzieńczym badaniom starożytności i dziejowym, rozumiał dobrze potrzebę i znaczenie postępu; najlepszy mamy dowód w pierwszym Przeddzieckiego ważniejszym dziele: „*Podole, Wołyń, Ukraina, obrazy miejsc i czasów*” (Wilno 1841 r., 2 tomy), gdzie we *wstępie* w dwudziestym siódmym roku życia, tak przemawia:

„Czas już abyśmy żyć zaczęli życiem czynnym w obrębie sił naszych i usposobień, a ten obręb, Bogu dzięki rozległy. Poznajmy tylko co jest w rękę naszym, chcemy szczerze co możemy, a odkryje się przed nami świat nowy, świat spekulacyi przemysłowych i handlowych, świat doświadczeń i wynalazków. Miejsce czczości, które dotychczas umysły nasze zatruwa, zajmie życie wewnętrzne, w którym interes dobrze zrozumiany, będzie głównym bodźcem wprawdzie, bo na sumiennym wykonaniu obowiązków opartym, bodźcem wszelako niezupełnie materyalnym, jeżeli w nowym popędzie sił naszych skinienie Opatrzności ubóstwiać będziemy.”

W dziele tém dotyka zarazem obok wspomnień dawnych historycznych stan dzisiejszy pod wieloma względami. Po wydaniu dwóch tomów, miał zamiar dalszy ciąg jego ogłosić drukiem, zebrawszy potrzebne notaty i w kilkukrotnych wycieczkach rozpoznając rozmaite miejscowości, gdy w lat kilka w inną stronę zwrócił działalność swoją literacką.

Działalność ta Przeddzieckiego w trzech wybitnych kierunkach się odznacza: w utworach fantazyi, w pracach poświęconych historyi i mających z nią ścisły związek, archeologii, zabytków sztuki krajowej i literatury, a naostatku w wydawnictwie dzieł wyższego znaczenia i pożytku dla nauki.

Równocześnie z wyjściem *wycieczki do Szwecyi*, wydrukował swój dramat w trzech aktach po francuzku, w Petersburgu: „*Don Sebastien de Portugal*”, który był przedstawiony na scenie stolicy Cesarstwa. Zamknięcie sceny dramatycznej od tej pory, gdy rachował rok dwudziesty drugi życia, nie opuściło naszego badacza, przez ciąg całego zawodu literackiego.

Odtąd pisał w ojczystym języku to oryginalne: „*Próby dramatyczne polskie*” to „*Jadwigę, dramat historyczny*” to tłumaczył.

Żywo się zajmując sceną krajową wydrukował rozprawę 1844 roku: „*O dzisiejszym stanie sztuki dramatycznej w Polsce, ze względu na najznakomitsze w tym rodzaju utwory.*”

Dotykał i pola powieściowego w mniejszych rozmiarach, ale wszystkie te utwory, chociaż z dążnością szlachetną, są raczej dowodem wytrwałej pracy, i owęj gorącej a zacnej chęci i pragnienia Przeddzieckiego, ażeby każdą gałąź literatury podnosić o ile siły każdemu starczy. Była to wreszcie chwila jakby wzywająca do téj różnorodnej pracy, każdej inteligencji, gdy z letargicznej ciszy zaczęła się odżywiać literatura krajowa.

Biblioteka Warszawska wywołując ciągle młode i nieznanne talenta, otwierała szerokie szranki i dla starszych pracowników pióra, którzy za długo milczeli; podobne szranki otworzyło i *Atheneum* J. I. Kraszewskiego.

Z beletrystyki, powoli chociaż zółwim krokiem, zaczęliśmy przechodzić do poważniejszej treści, i zbliżać się do nauki, a po nad tym ruchem umysłowym, przyświecał ciągle jak świetna zorza, geniusz poezyi!

Tą samą drogą, którą stąpała cała nasza społeczność, za ogólnym popędem szedł i Przeddziecki, ale to były tylko krótkie jego chwile wythnienia, po mozolnych studiach poświęconych poważnej historii i rozmaitym gałęziom z nią połączonym.

Od roku 1847, kiedy stale osiadł w Warszawie, zostawszy współredaktorem *Biblioteki Warszawskiej*, odtąd w niej wszystkie swe studia naukowe i badania drukował.

Poczet ich szczegółowy znajdzie czytelnik na końcu niniejszego wspomnienia, wraz z wyliczeniem wszystkich prac Przeddzieckiego, udzielony nam przez p. Cypryana Walewskiego współ-redaktora naszego pisma, z *notat do bibliografii polskiej*, które przygotował do druku. Ten wykaz dokładny a chronologicznie ułożony, daje najlepszy obraz ciągłej i nieustannej pracy Przeddzieckiego, w głównym historycznym kierunku. Suche te napozór cyfry i daty, jakże są wymowne! pokazują bowiem rok po roku, że nasz badacz jak

skrzętny rolnik, przysparzał plony na tój niwie i nie opuścił jój uprawy do chwili, gdy z zlodowaciałej ręki wypadło bezwładne pióro.

W łonie Redakcyi *Biblioteki Warszawskiej* powstała pierwsza myśl wydania krytycznego wszystkich dzieł Długosza, tak drukowanych jak i pozostałych w rękopismach. Było to przedsięwzięcie olbrzymie, bo nietylko wymagające znacznego nakładu, ale żelaznej pracy i wytrwałości lat wielu.

Przedmiot ten był celem długich narad i dyskusyj, ale im głębiej go badano, tём więcej pokazywało się trudności. Piérwszém zadaniem było, czy się nie da odszukać oryginał Długoszowy, a w braku tego kopije najbliższe jego czasów; przejrzenie wszystkich rękopismów jakie są znane i rozprószone po bibliotekach całej Europy a następnie zkollacyonowanie tych ustępów, w których jakiegokolwiek zachodziły wątpliwości.

Przeddziecki nie wahał się ani chwili do tego pomnikowego wydawnictwa. Oświadczył gotowość wykonania podniesionój a tak ważnój myśli dla wiedzy historycznej, i zaraz postanowił umyślną podróż naukową.

Teraz przyszło pod rozbiór ważne pytanie do rozwiązania: czy przedsięwzięcie to można ograniczyć do samego tylko oryginalnego tekstu łacińskiego, czy tóż dać zarazem i przekład polski?

Było wiele głosów, za drukowaniem tylko tekstu łacińskiego, ale ozwali się i przeciwnicy, którzy w imie dobra ogółu, bacząc na mało upowszechnioną znajomość tego języka i owój dawnój ojców naszych przestrogi, aby „*światła pod korcem nie kryć*” wprost przeciwne a stanowcze zdanie swoje objawili.

„Jakto! mówili, ojciec historyków naszych, na którego powagę następnii kronikarze czy po polsku czy po łacinie piszący, wszyscy się odwołują, ma-ż zostać tylko przystępnym i znajomym dla małej cząstki tych, co za zawód życia obrali sobie literaturę, głównie zaś oddają się badaniom dziejów, a pragnący go poznać, niebiegli w łacinie, pozbawieni tego zostaną?”

Popierali swoje wnioski, przypomnieniem, że słynny na swoje czasy *Marcin Kromer*, pomimo upowszechnienia łacińskiego

ciny, dla spopularyzowania jego dzieła *Kroniki polskiej*, przełożony został przez *Marcina Błazkowskiego* i w takiej szacie wszedł do czterotomowego zbioru *Kronikarzy polskich Bohomolca*. Nie pierwszy to był przykład i nie ostatni, że dzieło w oryginale łacińskie, zaraz tłumaczono i tym sposobem takowe rozpowszechniano. Przeddziecki odrazu ocenił ważność tych wniosków, i stanął po stronie ostatnich, oświadczając stanowczo że po oczyszczeniu tekstu oryginalnego Długosza, tłumaczenie polskie obejmie w swój program; nie baczy na powiększenie znakomite kosztów wydawnictwa, ale bierze pożytek dla ogółu społeczności naszój (1).

Z pomocą do tego wydawnictwa kilku się chętnych ofiarowało; Przeddziecki po wielu kosztownych podróżach naukowych i staraniach co do zebrania wiadomości i skolacyonowania rękopismów Długoszowych, gdy się zbliżał coraz więcej do zamierzonego celu; owi pierwiastkowi ochotnicy już po ogłoszeniu prospektu, zaczęli się cofać jeden po drugim i Przeddziecki zobaczył że sam cały ciężar pracy i kosztów wydawnictwa na siebie przyjąć musi. Ale i teraz nie zawahał się w tym szlachetnym obywatelskim zamiarze, który odtąd stał się głównym celem jego życia!

Nie będziemy się tu rozpisywać nad postępem i przełamaniem wielolicznych trudności, jakie stawały na przeszkodzie do spełnienia tego zamiaru: Biblioteka Warsz. bowiem rok rocznie drukowała sprawozdania szczegółowe w tym przedmiocie, które najlepszym zostaną dowodem wytrwałości i hojności Przeddzieckiego.

Przyszła nareszcie chwila, gdy był w możności ogłoszenia prospektu, a następnie i pierwszego dzieła Długosza. „*Liber beneficiorum Dioecesis Cracoviensis nunc primum e Codice autographo editus*” obejmujące trzy wielkie tomy w 4-ce (w drukarni Kirchmajera). Wyszły one w ciągu dwóch lat 1863 — 1864. Tom pierwszy ma na czele wstęp napisany przez ks. biskupa Ludwika Łętowskiego, który na razie gdy podniesiono myśl wydania wszystkich dzieł Długosza, chętny współdziałł w pracy i nakładach przyjął. Po wydaniu wszakże wspaniałego swego dzieła „*Katedra*

(1) Sam polski przekład *Dziejów Długosza*, nielicząc kosztów wydawnictwa, papieru i druku, wyniósł około 4000 rsr.

krakowska na Wawelu" z całym przepychem typograficznym (1), nieodzyskawszy wyłożonych na to znakomitych kosztów, od dalszego wydawnictwa się usunął. Przeddziecki niezachwiany, równocześnie prawie, gdy już tekst oryginalny oczyszczonym krytycznie został, powierzył przekład polski Karolowi Mecherzyńskiemu b. profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, mężowi dobrze zasłużonemu w literaturze naszej. Nie mógł być w tej rzeczy wybór trafniejszym, bo Mecherzyński z całą sumiennością i znajomością rzeczy wziął się do tłumaczenia, które niełatwem stało się zadaniem.

Długosz zwyczajem swego wieku pisząc po łacinie, nagiął do mowy Rzymian obce jej pojęcia i wyrażenia, język innych czasów i ludzi. Tym sposobem ukryły się w jego łacinie właściwe nazwy urzędów i dostojenstw, praw, zatrudnień i powinności a nawet miejsc i osób, które w niedostatku współczesnego języka polskiego a poniekąd i źródeł objaśniających naszą przeszłość, trudno (jak trafnie tłumacz wyraża) z pod tej obcej łuski wydobyć. Przyłożyły się do zatarcia właściwości zwyczajowe, barwy powszechnego średniowiecznego stylu i potworna XV wieku pisownia, która sama przez się mnogie zrodziła wątpliwości. Tłumacz nie chcąc własnych domysłów w takich miejscach stawiać i uprzedzać sądu czytelnika, wyrażenia samego Długosza z właściwą mu pisownią pozamieszczał w nawiasach, a staranniej jeszcze to zachował w *spisach* do każdego z osobna tomu przyłączonych.

Tom pierwszy tego przekładu wyszedł w Krakowie (w drukarni „Czasu” W. Kirchmajera) 1867 roku; w trzy lata zaś, tom piąty i ostatni „*Dziejów polskich*“ 1870 roku.

Dzieje te kończy Długosz na roku 1480, a zamyka pracę swoją gorącą modlitwą, pełną wiary i namaszczenia. A jednak ani ta szczerą i płynącą z głębi ducha modlitwa, ani godność kapłańska i całe życie bez zmayı tego dziejopisa i nauczyciela ostatnich Jagiellończyków, nie uchroniła

(1) Dzieło to wyszło w Krakowie w drukarni Czasu, w kroju wielkiego arkusza. Pyszne ryciny *F. Stroobant'a* sprowadzonego w tym celu z Brukseli, litografowane kolorowe zdobią je. Obejmują str. VIII wstępu i 104 tekstu. Ryciny te były wykonane w Brukseli a nie w Krakowie jak mylny noszą napis.

dzieła jego od wybryków zaślepionego fanatyzmu i szalonych usiłowań ażeby je zatracić.

Bronzowy Zygmunt III, który martwémi oczyma z krzyżem i mieczem w rękę górując po nad zamkiem warszawskim spogląda na gród stary, wydał edykt za podszeptem i wpływem Jezuitów, zabraniający ogłaszania drukiem *dzieł Długosзовych*. Zaledwie Szczęsny Herburt zdołał uprzędzić ten zakaz wydaniem sześciu ich ksiąg początkowych, w Dobromiłu 1615 roku.

Przez sto lat następnie, pod pieczęcią milczenia, drogocenna praca Długosza leżała bezużytecznie po bibliotekach, zanim cudzoziemiec *Henryk v. Huyssen* z niedość poprawnego odpisu, dzieło to dał księgarzom zagranicznym w Frankfurcie i Lipsku wydrukować (1711—1712 r.).

Jakkolwiek *Dzieje* tym sposobem od zatrąty uchowane zostały, uczeni tylko o nich rozprawiali, ale dla ogółu społeczności naszéj, ojciec historyków polskich zupełnie był nieznanym. Przeddziecki tę nieocenioną zasługę położył, że wielkie dzieło Długosza podwójnie postanowił upowszechnić; dla uczonych badaczy należało dać tekst oryginalny łaciński w krytyczném jego oczyszczeniu, a dla wszystkich miłośników dziejów przeszłości polski przekład i ten już mamy. Teraz Długosz tyle wieków obcy dla domowych naszych ognisk, zasiędzie przy nich w posągowej postaci, ucząc dostępnym językiem, jak niegdyś młode królewiczą potomstwo Kaźmierza Jagiellończyka i Elżbiety matki królów, historyi z zapadłych wieków w pomroku starożytności.

Prospekt obejmował wydawnictwo wszystkich dzieł Długosza, z tych wydał A. Przeddziecki *Liber beneficiorum i Dzieje* tylko w polskim przekładzie, kiedy śmierć przerwała pasmo dni jego. Jako dobry chrześcianin gotowy w każdéj chwili do skończenia téj pielgrzymki ziemskiejj, pamiętny na zobowiązania jakie przyjął na siebie, wczesnie obmyślił środki do ich spełnienia.

Tekst oryginalny *Dziejów* starannie skollacyonowany przez uczonego *Żegotę Pauli* przygotowanym został do druku, i pierwszy tom (o ile mamy wiadomość) był pod prassą, kiedy zgon A. Przeddzieckiego nastąpił. Dr. i prof. J. Łepkowski, którego wezwał do pomocy za życia, objął obecnie

Zarząd wydawnictw ś. p. *Alexandra Przeddzieckiego*, i spełnić ma co zamierzonym było.

Równocześnie prawie z wystąpieniem na pole literackie rozpoczął pracę wydawnictw, dzieł wyłącznie dziejom przeszłości poświęconym; w roku bowiem 1843 wraz z Michałem Grabowskim ogłosił:

„*Źródła do dziejów polskich*” w Wilnie 1843 roku.

Po wydaniu pierwszego ich tomu Grabowski się usunął od dalszego współpracownictwa, a Przeddziecki sam zebrane materiały do drugiego tomu nadesłał księgarni Józefa Zawadzkiego w Wilnie, która koszta nakładu przyjęła na siebie.

Kiedy jednakże osobiście zająć się nie mógł pracą około ich wydania, znalazł znakomitą pomoc w Mikołaju Malinowskim który go zastąpił. W obszernej a pełnej wartości przedmowie zdał on sprawę z bogactwa zasobów historycznych jakie jeszcze posiadamy, wskazał jak z nich korzystać należy, i zapowiedział dalsze tój publikacyi szacownej tomy.

Alexander Przeddziecki zajęty innemi pracami, już się dalej tём wydawnictwem nie zajmował, które się tём z tym tomem skończyło.

Do tego działu należą ważne:

„*Listy Annibala z Kapui arcybiskupa Neapolu nuncjusza w Polsce*” (Warszawa 1852 r.), dotyczące okresu bezkrólewia po Stefanie Batorym i pierwszych lat panowania Zygmunta III, do wyjścia arcyksięcia Maksymiliana z niewoli.

Znalazł ten drogocenny zabytek w bibliotece *Brancacciana* w Neapolu, przełożył po polsku i krytycznie objaśnił.

Równocześnie zajął się wspólnie z Edwardem Rastawieckim, wydaniem wspaniałego pomnikowego dzieła:

„*Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia po koniec XVII wieku w dawniej Polsce.*”

Dzieło to skupiając w sobie zabytki przeszłości rozrzucone tak po kraju jak w muzeach zagranicznych, stanowi drogocenny materiał dla historii sztuki w dawniej Polsce, a zarazem i dla starożytności krajowych.

Tekst objaśniający do rycin pisali naprzemian Przeddziecki i Rastawiecki: pierwszy jednakże wyłącznie sam

opracował przekład takowego po francuzku. Objaśnienia te stanowią ciąg rozpraw dających cenny przyczynek do dziejów zewnętrznego życia narodu.

W roku 1862 wydał w Krakowie *Kronikę Kadłubka* z rękopismu Eugeniuszowskiego, wraz z przekładem polskim.

Kiedy w roku 1867, Redakcja Biblioteki Warszawskiej otrzymała zaproszenie na kongres międzynarodowy archeologiczny zbierający się w Antwerpii, wysadziła z łona swego Alexandra Przeddzieckiego jako *delegata* na to zebranie uczonych badaczy, który w tym charakterze a zarazem jako członek pomienionego kongresu, złożył szczegółowe o nim sprawozdanie, wydrukowane w naszym piśmie (*Bibl. Warszawska 1867 roku, Tom IV*).

Z licznych badań dotyczących tak dziejów jak i literatury ojczyźstiej, archeologii i sztuki, zwrócić musimy uwagę na prace samodzielne, większych rozmiarów a do nich należą:

„*Podole, Wołyń i Ukraina*, obrazy miejsc i czasów“
 „*Paweł z Przemankowa* rys historyczny z drugiej połowy XIII stulecia“ i „*Jagiellonki polskie w XVI wieku*“ dzieło w pięciu tomach.

Pierwszy Michał Baliński dał nam „*Pamiętniki o królowej Barbarze*“ (Warszawa 2 tomy 1840 roku), w których odmalował uroczą jej postać, obok kochającego męża, w całym ówczesnym otoczeniu.

Przeddziecki w swém dziele obejmuje wszystkie z tego rodu niewiasty i dzieje każdej szczegółowo rozjaśnia, na zasadzie pomników i dokumentów jakie się przechowały. Tęj pracy poświęcił blisko lat dwanaście życia, pilną we wszystkich swoich wycieczkach naukowych w różne kraje Enropy uwagę zwracając, czy nie zdobędzie do niej jakiego nowego zasobu.

Zajęty wydawnictwem Długosza bez przerwy, o niej nie zapomniał i na kilka dni przed ostatnią chorobą, pisał do nas z Krakowa z niemałą radością, że nowe spotkawszy zdobycze do Jagiellonek, tom V, uzupełniający poprzednio wydane już oddał do druku.

Sam, do pomienionego dzieła przywiązywał wysoką wartość; pojmował albowiem dobrze, że dał nieprzebraną skarbnicę dla poetów i powieścio-pisarzy, którzy z niej czer-

pać mogą, a nadto rzucił wielkie światło rozjaśniające owe czasy. Krytyka sumienna potrafi ocenić tę pracę, wzbogacającą rzeczywiście gałąź literatury historycznej.

Kiedy dłużej bawił w Rzymie, zajęty badaniem rękopismów, uczony bibliotekarz Watykanu ksiądz *Theiner*, zwierzył się tak Przeddzieckiemu jak i innym rodakom naszym bawiącym w tym starożytnym grodzie, że w poszukiwaniach swoich odkrył mnóstwo dokumentów odnoszących się do dziejów Polski. Przeddziecki skwapliwie pochwycił tę sposobność i za jego zachętą i hojnością poszli drudzy, dopomógłszy księdzu *Theinerowi* do wydania źródłowego dzieła:

„*Vetera Monumenta Poloniae et Lithuaniae*“

objaśniającego dzieje Polski od roku 1217 do 1775.

Od chwili rozpoczęcia druku *Liber beneficiorum* Długosza w Krakowie, gród ten często nawiedzał i niejedną w nim przepędził zimę, wracając z podróży. Jakby w przeczuciu że w nim zakończy pielgrzymkę życia i znajdzie spoczynek wieczny, kościołowi Dominikanów ofiarował kosztowny *witraż*, zdobiący kaplicę dawną *Hinczów*, którą na swoją rodzinną z gruntu przerestaurował. Kraków zawdzięcza zgasłemu badaczowi wiele cennych zabytków, którymi muzea jego bądź sam obdarzył, bądź staraniem swoim wyjednał u drugich, że je tu złożyli.

Będąc członkiem Towarzystwa Naukowego krakowskiego, jak poprzednio z ramienia Redakcyi Biblioteki Warszawskiej tak teraz uczone to grono reprezentował w obec cudzoziemców na zjazdach archeologów w Kopenhadze i Bononii. Ostatnią też pracą jego pióra było: „*Sprawozdanie o kongresie międzynarodowym antropologicznym i archeologii przedhistorycznej, odbytym w Bononii od 1 do 8 października roku 1871.*” Takowe najprzód nadesłał Redakcyi Biblioteki Warsz. na dowód że „będąc współredaktorem tego pisma (jak wyraził w swoim liście) ma obowiązki dla niego, o których nigdy nie zapomina” (1).

(1) W ostatnim liście, który pisał do nas przed zgonem s. p. Alexander Przeddziecki, zapytywał czy nie będzie Redakcyja Biblioteki Warsz. drukować jego *nowej wycieczki do Szwecyi*, do której ma notaty; do ostatniego zaś jej wykończenia, zabierze się po wydrukowaniu V-go tomu *Jagiellonek*. Warto by rękopism jaki pozostał, ogłosić drukiem.

W kilkanaście dni potem już nie żył! Umarł po krótkiej chorobie dnia 26 grudnia roku zeszłego licząc lat 57 wieku. Pogrzeb odbył się dnia 30 t. m. a zwłoki jego pochowano na cmentarzu Krakowa.

Przez całe ćwierć wieku zbliżeni do zgasłego badacza, podziwialiśmy w nim ten zapał szczerzy naukowy i poświęcenie z jakim się oddawał raz powziętej myśli obok szlachetności i prawości charakteru i uczuć. Wytrwały w pracy, hojny w poniesieniu kosztów, aby dojść celu do jakiego dążył, nie zrażał się przeciwnościami i zawadami a często i ostrym cierniem, które na drodze swęj spotykał. Rozumiał dobrze swoje stanowisko, nietylko jako literata ale i obywatela.

Z wdzięcznością, zarówno jak my świadkowie blizcy jego prac zacnych, tak i następcy po nas, będą wspominać imię Alexandra Przędzieckiego, za przeważne zasługi jakie położył dla literatury ojczystęj.

K. Wł. Wójcicki.

Spis bibliograficzny wszystkich pism Alexandra Przędzieckiego, wyjęty z „notat do bibliografii polskiej,” Cypryana Walewskiego.

1) Szwecya, wspomnienia jesienne z r. 1833, przez A. P. Warszawa, w drukarni Łątkiewicza, 1836, w 12-ce 2. k. n. i 221 str. spisu l. k. n. Wydanie 2-ie poprawione i pisma rozmaite. Wydanie Ad. Zawadzkiego, Wilno, nakład i druk J. Zawadzkiego, 1845, w 8-ce, X. i 265 str. Wydanie nowe poprawno, Wilno, 1851, nakład i druk T. Glücksberga, w 8-ce, 154 str. i l. k. niel.

2) Don Sebastian de Portugal drame en trois actes, St.-Petersbourg, 1836, w 8-ce.

3) Próby dramatyczne polskie, Wilno, nakład i druk T. Glücksberga, księgarza i typografa, 1841, w 8 co, XII. i 174 str., omyłek l. k. n. Mieszczą w sobie: Halszka z Ostroga, drama historyczne w 5 aktach, — i Kapitałik kom. w 2 aktach ułożona ze znanęj powieści Jadama. Obiedwie prozą pisane.

4) Podole, Wołyń, Ukraina, obrazy miejsc i czasów przez A. P. Tom I. Wilno nakład i druk T. Glücksberga, 1841, w 8-ce, 232 str. spisu l. k. n. 1 tablica podobizny i 1 rycina. Tom II, tamże

157 str. spisu 1 k. i 4 podobizny. Wyjątek z tego dzieła p. t.: Kamieniec, umieszcz. w Przyjacielu ludu. Leszno, 1841. Rok 8my, Nr. 3 do 6 i 8 do 10.

5) Ostatnia z Dolskich, podanie familijne, — w Atheneum Kraszewskiego, 1841. T. 5, str. 128—141.

6) Gabinet obrazów p. Marcellego Żurowskiego w Iwańkowcach pod Berdyczowem, — tamże 1841. Tom 6, str. 241—254.

7) Mazepa, życie jego, — tamże 1842, oddz. II, tom 1. str. 28—41, to samo powtórzone w Przyjacielu ludu. Leszno, 1842. Rok 9, Nr. 8, 10—12.

8) Wiadomość o szkicach Szymona Czechowicza, — w Atheneum Kraszewskiego, 1842. Oddz. II. Tom 2, str. 186—194.

9) Galerya obrazów Postawska, — tamże tom 2gi, stronnice 194—202.

10) Le poëte et le monde nouvelle traduite du polonais par Alexandre de Noirville. Paris, 1843, w 8ce. Jestto powieść Kraszewskiego, p. t.: Świat i poeta, przełożona na język francuzki.

11) Źródła do dziejów Polski, wydawane przez Michała Grabowskiego i A. P. Tom I. Wydanie Ad. Zawadzkiego. Wilno, nakład i druk I. Zawadzkiego, 1843, w 8ce, VII i 223 stron. Tom II-gi wydany przez Mikołaja Malinowskiego i A. P., tamże 1844, w 8ce XVIII i 485 str. Zbiór ten był podzielony na 5 oddziałów: pamiętniki, akta, listy, dyplomata i mieszaniny.

12) Słów kilka o recenzji Źródeł do dziejów Polski, umieszczonej w Bibliotece Warszawskiej, z r. 1843, t. 4, — umieszcz. tamże 1844, t. I. str. 225—229.

13) Uwagi nad dziełem: Osmanida, poemat epiczny Jana Gundulicza z języka illiryjkiego na włoski przez M. A. Widowicza przełożony, w Raguzie, 1838 r., — umieszczona w Bibliotece Warszawskiej, 1844. T. I, str. 644—47.

14) O dzisiejszym stanie sztuki dramatycznej w Polsce ze względu na najnowsze w tym rodzaju utwory, przez A. P., — umieszczono tamże 1844, T. 2gi, str. 109—133.

15) Podróż po Polsce w XII i XIV wieku, — tamże 1844. T. 4, str. 163—174.

16) Jadwiga, dramat historyczny w 5 aktach, przez A. P. Wydanie Ad. Zawadzkiego. Wilno, 1844, druk J. Zawadzkiego. w 8-ce, 128 str. Wyjątki z tego dramatu są umieszczone w Bibl. Warsz. 1844. T. 3, str. 37—56.

17) Mieczysław, pierwszy obraz z dziejów polskich, przez A. P., — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1844. T. 4, str. 306—336. Wyjątek z dzieła później wydanego p. t.: Ślady Bolesławowskie i t. d.

18) Nieśwież i Omelanik, wyjątek z niewydanego tomu IIIgo Obrazów Podola, Wołynia i Ukrainy, — umieszczone w Atheneum Kraszewskiego, 1844. Oddz. IV. T. I, str. 25—48.

19) Uwagi nad artykułem o użyciu głoski j, w pisowni polskiej, w przypadkach dotąd wątpliwych, — umieszcz. w Bibliotece Warszawskiej, 1845. T. 2gi, str. 594—602.

20) Wyjątek z listu hr. A. P., pisany z Rzymu dnia 5go Marca 1846 roku do redaktora Atheneum, umieszcz. w Atheneum Kraszewskiego, 1846. Oddz. VI. T. 3ci, str. 247—254.

21) Wstęp do Wiadomości bibliograficznej o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie, przejrzaných po niektórych bibliotekach i archiwach zagranicznych, a zwłaszcza rzymskich w latach 1846 i 1847, — umieszcz. w Bibl. Warsz. 1847. Tom 3ci, str. 96—105. Ciąg dalszy, Tom 4ty, str. 1—51, str. 241—286. Do-kończenie, tamże 1850. T. I, str. 529—556. Wyszło to potem osobno p. t.:

Wiadomość bibliograficzna (jak wyżej). Warszawa, druk Stan. Strąbskiego, 1850, w 8ce, 2. k. n. II i 175. str., spisu 1. k. niel.

22) Grobowiec Ryxy, królowej polskiej w Kolonii, — umieszcz. w Bibliotece Warsz., 1848. T. 4, str. 41—45.

23) Korrespondencya Władysława IV, króla polskiego z Galileuszem, umieszcz. w Bibl. Warsz. 1849. T. 3ci, str. 191—193.

24) Przywilej Kazimierza Wielkiego z roku 1350 dany Spyt-kowi, kasztelanowi Krakowskiemu na kopanie rud kruszcowych we własnych tegóż dobrach. Przekład z oryginału łacińskiego przepisane go z archiwum xx. Sanguszków w Zaslawiu Wołyńskim, — umieszcz. w Bibl. Warszaw., 1850. Tom 2gi, str. 413 i 414.

25) Uwagi nad dziełem: królewicze biskupi, żywoty, napi-sał Julian Bartoszewicz. Warszawa, 1851, w 8ce, — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1851. Tom I, str. 589—594.

26) Paweł z Przemankow, rys historyczny z drugiej poło- wy XIII wieku w Polsce, z nieznaných po większej części, lub mało znanych źródeł skreślony, — umieszcz. tamże, 1851. T. 2gi, str. 201—258. Wyszło i osobno pod tym samym tytułem. Warszawa, nakład Ign. Klukowskiego, druk Stan. Strąbskiego, 1851, w 8ce, 2. k. n. i 58 str.

27) Zdobycie Warszawy przez Szwedów, r. 1656, opisane w listach królowej polskiej Maryi Ludwicy, zachowaných w rękopiśmie własnoręcznym w bibliotece narodowej paryzkiej, przepisał, wstępem i objaśnieniami opatrzył L. Grangier de la Marinière, z fran-cuzkiego na polski języki przełożył i przypiski dodał A. P., — umiesz-czono w Bibl. Warsz., 1851. T. 3ci, str. 189—210.

28) List do Redakcyi Biblioteki Warszawskiej, — umieszcz. tamże 1851. T. 4, str. 188.

29) Rękopis Eugeniuszowski kroniki Kadłubka, przez A. P. z podobiznami, umieszcz. tamże, 1852. T. I, str. 324—336.

30) O królowej Elżbiecie, żonie Kazimierza Jagiellończyka i rękopiśmie pod jój imieniem: o wychowaniu królewskiego dziecka, z podobizną, — umieszcz. tamże, 1852. T. I, str. 524—550.

31) Annibal z Kapui, nuucyusz papieżki w Polsce i listy jego i t. d. — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1852. T. 2gi, str. 87—93. Jestto rzeczywiście wstęp do wydanych osobno listów p. t.:

Listy Annibala z Kapui arcybiskupa Neapolu, nuucyusza w Pol-sce, o bezkrólewiu po Stefanie Batorym i pierwszych latach pano-

wania Zygmunta IIIgo, do wyjścia arcyksięcia Maksymiliana z niewoli; z rękopismu biblioteki Brancacciana w Neapolu wybrał, przetłumaczył z języka włoskiego na polski i wydał A. P. z dodatkiem objaśnień historycznych i kilku dokumentów dotyczących się tejże epoki dziejów polskich, oraz z 10 podobiznami podpisów osób znakomitych. Warszawa, nakład I. Klukowskiego, księgarza, 1852, w druk. J. Ungra, w 8ce, 275 str., spisu 8 k. niel. i jeden arkusz podobizn.

32) O czwartém wydaniu kroniki polskiej Galla, w T. XI-m Pertz Monumenta Germaniae historica przez pp. Szlachtowskiego i Köpke, — umieszcz. w Bibliotece Warszawskiej, 1852. Tom 2gi, str. 546—550.

33) O towarzystwie historyczno - archeologiczném prowincyi rossyjskich nadbałtyckich (Gesellschaft für Geschichte und Alterthumskunde der russischen Ostseeprovinzen) i wydawanych przez nie wiadomościach, — umieszcz. w Bibliotece Warszaw., 1852. T. 2gi, str. 553—558.

34) Grobowiec Bolesława Śmiałego w Ossyachu, przez A. P., wyjątek z rękopismu przygotowanego do druku p. t.: Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach, z ryciną, — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1853. T. I, str. 91—101. Dziełko to wyszło osobno p. t.:

Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach, opowiadanie historyczne z pięcioma litografiami. Warszawa, nakład i druk S. Orgelbranda, księg. i typogr., 1853, w 8ce, 2. k. n. i 114 str. spisów 1. k. n. 4 ryciny i 1 podobizna.

35) Życie domowe Jadwigi i Jagiełły i t. d. przedstawione. — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1853. T. 3ci, str. 1—19. T. 4ty, str. 35—54; rok 1854: Tom I, str. 230—254. T. 2gi. str. 299—320 i str. 529—546. Wyszło i osobno z dodatkami p. t.:

Życie domowe Jadwigi i Jagiełły z rejestrów skarbowych z lat 1388—1417, przedstawione przez A. P., z dołączeniem postaci Władysława Jagiełły, z nagrobka tego króla w Krakowie i tablicy z podobiznami słów polskich z końca XIVgo wieku (odbito ex. 300). Warszawa, druk Gazety Codziennej, 1854, w 8ce, 2. k. n. i 149 str., spisu 1. k. n. 1 rycina i 1 tablica.

36) O Polakach w Bononii i Padwie. Warszawa, druk Gazety Codziennej, 1853, w 8ce, 1 k. n. i 27 stron.

Wspólnie z Edwardem Rastawieckim wydawał:

37) Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia po koniec wieku XVIIgo w dawniej Polsce. *Serya pierwsza*, Warszawa i Paryż, 1853—1855. Zakład chromolitograficzny M. Fajansa, drukarnia Józefa Unger, w 4ce, zeszytów 24 z 49 chromolitografiami i 4 litografiami, 128 str. *Serya druga*, w Warszawie, 1855—1858, w 4ce, zeszytów 24, z 48 chromolitografiami i 4 litografiami. 102 stron. *Serya trzecia*, tamże, 1860—1869, w 4ce, wyszło zeszytów 16, z 32 chromolitografiami i 1 litogr., 78 stronnic. Obok jest tekst francuzki wyłącznie przez A. P. ułożony.

38) Mikołaj Władysław Przezdziecki kasztelan Nowogrodzki na dworze króla Jana IIIgo w Jaworowie, obraz historyczny z niewydanych dotąd korespondencyj spółczesnych, skreślony przez A. P. Odbito w 50 egzemplarzach z odcinków Gazety Codziennej, 1856 r. Warszawa, w 8ce, 2. k. n. i 60 stron.

39) Krzysztof Urbanowicz starosta Hubski, obrazek historyczny z listów własnoręcznych króla Stanisława Leszczyńskiego skreślony, — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1856. T. 3ci, str. 1—16.

40) List A. P. do K. Wł. Wójcieckiego z Paryża, dnia 9go lutego 1859 roku pisany, — umieszcz. tamże, 1859. T. 2gi, stron. 283—286, z drzeworytem portretu Długosza.

41) Ofiary, komedia w 3ch aktach, przepolszczona z angielskiej Tomasza Tajlor, przez A. P. Poznań, nakład księgarni J. K. Żupańskiego, 1859, w 12ce, 159 stron.

42) O włóczni zwanęj S. Maurycego przechowanęj w skarbcu katedry Krakowskiej, studjum historyczne, — umieszcz. w Bibliotece Warsz., 1861. T. 2gi, str. 505—547, z ryciną. Wyszła i osobno pod tym samym tytułem. Warszawa. 1861, druk Gazety Codziennej, w 8ce, 2. k. n. III i 43 str. z ryciną.

43) Kilka nowych szczegółów dotyczących Łukasza Górnickiego, — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1862. T. 2gi, str. 100—108.

44) Jan Marsupin na dworze króla Zygmunta i królowej Bony, wyjątek ze wstępu do korespondencyi polskiej Zofii Jagiellonki, — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1862. Tom 3ci, str. 405—429.

45) Elżbieta, księżniczka Ostrogska, opracowanie historyczne Ad. N. Nakęskiego, z przypisami A. P., — umieszcz. tamże 1862. T. 4-ty, str. 189—213. Wydał:

46) Mistrza Wincentego, zwanego Kadlubkiem, biskupa Krakowskiego, kronika polska z rękopismu Eugeniuszowskiego. Wydanie A. P. tłumaczone z łacińskiego przez A. J. — M. S. Kraków, wy tłoczono u Ż. J. Wywialkowskiego, 1862, w 8ce, 2. k. n. i 255 str. spisów 2. k. n. i 4 podobizny. Poprzedza oryginał łaciński, druk tamże, w 8ce, XXIII i 237 str. Wydawca przypisał prozą łacińską Tytusowi hr. Działyńskiemu.

47) Kościół Panny Maryi w Ćwikowie (Zwickau), umieszcz. w Tygodniku Illustrow., 1863. Warszawa. T. 7my, str. 24 z ryciną.

48) Altenburg, (jako miejsce wygnania i śmierci księcia Władysława starszego, syna Bolesława Krzywoustego), umieszcz. tamże w Tyg. Illustr., tom 7my, stron. 160—162 z rycinami.

49) Królowa Elżbieta żona Zygmunta Augusta, na dworze polskim po wyjeździe Marsupina, — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1863. T. I, str 6—30. Jestto drugi wyjątek ze wstępu do korespondencyi polskiej Zofii Jagiellonki, wydanęj w dziele p. t.:

50) Jagiellonki polskie w XVI wieku. Obrazy rodziny i dworu Zygmunta Igo i Zygmunta Augusta, królów polskich. Tom I. Kraków, w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1868, w 8ce. XV i 398 str., z 4 portretami i 2 podobizny listów. Tom IIgi,

VII i 303 stron., spisu 1 k. n., 3 portrety i 3 podobizny. Tom IIIci, 2 k. n. i 403 str., 2 portrety i 4 podobizny. Tom IVty, 2 k. n. i 362 str. i 2 portrety.

51) Merseburg i katedra biskupia Dytmara kronikarza, — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1863. Tom 3ci, str. 377—385.

52) Opactwo Tepelskie pod Marienbadem i stosunek jego założyciela z Polską, — umieszcz. w Tygod. Illustr., 1865 Tom XIty, str. 115 i 2 ryciny.

53) Sprawozdanie IVte z czynności wydawnictwa dzieł Długosza, napisał A. P., — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1865. T. I, str. 446—455. Pierwsze trzy sprawozdania napisał i ogłosił drukiem Józef Łepkowski i takowe zamieścił w Bibliotece Warsz. z roku 1859 i 1860.

Następnie staraniem i nakładem A. hr. P. wyszły:

54) Jana Długosza dzieła wszystkie. Dziejów polskich ksiąg XII. Kraków, w drukarni Czasu, 1867—1870, w 4ce, tomów pięć. Przekład Karola Mecherzyńskiego. Tom II, ks. I—IV, w 4ce 5 k. n. XI i 519 str., spisu XXV str. Tom III, ks. V—VIII, w 4ce, 4 k. n. i 530 str., spisu XXIII str. Tom IV, ks. IX i X, w 4ce, 4 k. n. i 558 str., spisu XXIII str. Tom V, ks. XI i XII, w 4ce, 4 k. n. i 678 str., spisu XXIII str. Tom VI, ks. XII, ciąg dalszy w 4ce, 4 k. n. i 662 str., spisu XXIV str. — Liber beneficiorum dioecesis Cracoviensis, nunc primum e codice autographo editus. Tomus I, ecclesiae Cathedralis Cracov., ecclesiae collegiatarum Cracoviae ex typogr. Kirchmajeriana, 1863, w 4ce, 6 k. n., X. 652 i LVI stron., omyłek 3 k. n. i 1 podobizna. Tomus II, ecclesiae parochiales, tamże 1864, w 4ce, 10 k. n., 576 i LXXXIV str. i 1 podobizna. Tomus III monasteria tamże 1864, w 4ce, 5. k. n. 430 i LXXII str. i 1 podobizna stanowią one tom 7my, 8my i 9ty ogólnego zbioru.

55) Pieśń Bogarodzica wraz z nutą, z rękopismu Częstochowskiego, z końca wieku XVgo w podobiznie wydana i porównana z dwoma dawniejszemi odpisami i drukowanemi tekstami, przez A. P. Warszawa, druk Gazety Polskiej, 1866, w 8ce, 20 str., 3 podobizny i 1 tablica. — Poprzednio była drukowana w Bibliotece Warsz., 1866. Tom I, str. 309—328.

56) Sprawozdanie z posiedzeń kongressu Archeologicznego międzynarodowego w Antwerpii, ułożone przez członka kongressu i delegata redakcyi Bibl. Warsz. A. P., — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1867. T. 4ty, str. 341—372.

57) Wilhelm Machaut, truver francuzki, — umieszcz. tamże 1868, T. I, str. 273—275.

58) Dwa niedawno odkryte i nieznanne dotychczas listy własnoręczne dwóch znakomitych ludzi: Mikołaja Kopernika do Dan-tyszka i Marcina Lutra do żony, — umieszcz. tamże 1869. Tom 3ci, 138—141.

59) O dwóch odpisach pieśni „Bogarodzica“ i rękopiśmie historii polskiej Herburta. Wiadomość podana przez A. P. do Roczników Tow. Nauk. Krakowskiego, 1869. Tom 38my, str. 339—348 i 2 podobizny.

60) Wykopalisko na wyspie, na jeziorze Lednicy pod Gnieznem, umieszcz. w Bibl. Warsz., 1869. Tom 3ci, str. 253—265 i także w Rocznikach Tow. Nauk. Krakow, 1869. Tom 40ty, str. 276—296.

61) Grobowiec Anny księżny Teck, córki Kazimierza W. w kościele parafialnym w Mindelheim, w Bawaryi, umieszcz. w Tygod-
Illustr., 1869. Tom 3ci, str. 167—169 z ryciną.

62) Półświątek, komedia w 5 aktach Alexandra Dumas (syna), przełożył na język polski A. P., umieszcz. w czasopiśmie illustr. Kłosy. Warszawa, 1869 r. Tom VIIImy, folio. Odbita osobno, Warszawa, 1869, folio.

63) Piąte sprawozdanie z czynności wydawnictwa dzieł Długosza, wraz z krótkim opisaniem po dziś dzień znanych 64 rękopismów, 6 ulamków i 10 streszczeń historii polskiej Długosza, — umieszcz. w Bibliotece Warsz., 1870. T. 2gi, str. 31—40.

64) List do redakcyi Bibl. Warsz., w którym mówi: o osadach przedhistorycznych na gruntach wsi Gulczewa, pod Płockiem i o kopcu na łące wsi Wilkanowa pod Wyszogrodem w Płockiem, — umieszcz. w Bibl. Warsz., 1871. Tom 3ci, str. 105—107.

65) Kongres międzynarodowy antropologiczny i archeologii przedhistorycznej, odbyty w Bononii od d. 1go do 8go Października 1871 roku, opisany przez członka kongressu A. P., umieszcz. w Bibl. Warsz., 1872. Tom I, str. 1—29.

O KRÓLOWEJ ELŻBIECIE.

*Ustęp z drukującego się V-go tomu dzieła ś. p. hr.
Alexandra Przędzkiego*

„O JAGIELLONKACH POLSKICH“ (1).

Znajome są czytelnikom *Jagiellonek Polskich w XVI wieku* (2) smutne koleje pierwszej żony Zygmunta Augusta, prześladowanej przez matkę męża, królową Bonę, niemal od pierwszej chwili przybycia do Polski, a zgasłej w kwiecie wieku we dwa lata później, gdy od roku zaledwie zaczęła cieszyć się lepszym pozyciem z mężem w Wilnie.

(1) Przedpłata na tom V-ty wynosi w wydawnictwie w Krakowie 16 złp.

(2) Tom I, str. 101—177 i *Dodatki* do tegoż tomu str. 290—300.

Bogate zbiory archiwum Państwa w Wiedniu, dostarczyły nam więcéj jeszcze ciekawych listów tak saméj królowéj Elżbiety, jakotéż méża jéj, ojca i innych osób biorących żywy udział w jéj nieszczęśliwym losie. Tak szacowne i niczém zastąpić się nie dające spółczesne świadectwa, pozwoliły nam dodać nowe odcienia do dawniéj skreślonego już obrazu młodéj królowéj Elżbiety.

Związek z domem cesarskim był oddawna celem najgoréjszych życzeń Zygmunta I, umową przedślubną pomiędzy Zygmuntem Augustem a królową Elżbietą (córką Ferdynanda, króla Węgierskiego i Czeskiego i Anny Jagiellonki) podpisaną jeszcze w r. 1530, gdy narzeczony miał lat *dziesięć*, a narzeczona *trzy* lata tylko. W 1535 roku Ludwik Aliphius, sekretarz piętnastoletniego Zygmunta Augusta, przywiózł młodziutkiéj narzeczonej w darze misternego wyrobu kanacek złoty, ozdobiony drogiemi kamieniami, nad którym śliczna dziecina rozptywała się z radości, wedle słów naocznego świadka, a za który dziękowała w liście do narzeczonego pisanym.

We trzy lata późniéj (1538 roku) posłał król Zygmunt I posłowi swojemu w Wiedniu Janowi Dantyszskowi, biskupowi warmińskiemu obrączkę złotą, dla oddania w imieniu Zygmunta Augusta, królownie Elżbiecie. Opóźnienie w przysłaniu téj obrączki spowodowane było potrzebą przerobienia źle zrobionéj odrazu; co było jakby nieszczęśliwą wróżbą, przyszłego małżeńskiego stadła.

Wkrótce potem przysłał król Ferdynand do Krakowa panów Zygmunta Herbersteina i Adama Carolusa, dla traktacyi o punktach małżeńskich córki z synem króla Polskiego. Nie mógł ich zaraz przyjąć stary król Zygmunt chorobą złożony; w dniu 19 lipca dopiéro (1538 r.) otrzymali audyencyą, którą Herberstein opisuje w następujących słowach:

„Stawiliśmy się przed królami w małej komnacie (*in parvam stubam*), w której starszy król zwykle mieszka. Wielu panów rad było obecnych. Starszy król, z siwą brodą, miał na sobie szubę, podszytą gronostajami, a na głowie czapkę, którą tu *slaputium* zowią (1). Siedział na krześle bład, wycieńczony na siłach; ślady zmęczenia i cierpienia odbijały się na jego obliczu. Młody król siedział na ławie przy nim po lewéj stronie. Za danym znakiem biskup płocki (podkanclerzy koronny, Maciejowski) zaczął mówić; starszy król albowiem wcale nie mówił, tylko raz parę słów po polsku: wydawał się niby posąg, albo niema osoba. Podkanclerzy zatem mówił stojąc, gdy reszta panów rad po prawéj i po lewéj stronie usiadła.“

Treść mowy podkanclerzego była: iż traktacye pomiędzy posłami a radami korónnemi, znane już obu Ich Kr. Mościom,

(1) Wyrazu tego niemasz w *Ducange Glossarium latinitatis mediæ ævi*. Może pochodzi od słowiańskiego wyrazu *szlapa*, czapka, kapelus.

i porządnie spisane wręczone zostały posłom dla przedstawienia ich królowi Ferdynandowi wraz z serdecznymi ukłonami dla Jego Kr. Mości, dla królowej Jój M. i dla królewny Elżbiety. Następnie tłumaczył się żarliwie z powodu, dla którego starszy król pomimo serdecznego affektu, jaki miał dla króla Ferdynanda, nie mógł przyjąć posłów jego natychmiast po przybyciu ich do Krakowa, gdyż był obłożnie chorym. Nareszcie prosił posłów, aby sprawę wojewody podolskiego usilnie polecili łasce króla Ferdynanda.

Wojewodą podolskim był podówczas ów Stanisław Odrowąż ze Sprowy, mąż Anny ks. mazowieckiej. Gdy szwagier żony jego, *Ludwik Pekri*, magnat Węgierski a drugi mąż Zofii, księżniczki mazowieckiej, starszej siostry Anny, wdowy po Stefanie Batorym, uwięziony został przez króla Ferdynanda, jako sprzymierzeniec Jana Zapolya; Odrowąż chciał sam jechać do Wiednia, dla otrzymania uwolnienia szwagra. Wstawiali się za nim obaj królowie polscy; lubo z drugiej strony skarżył się król Zygmunt na tegoż samego *Ludwika Pekri* o uwięzienie *Joachima Lubomirskiego* ze stanu rycerskiego, (*homo noster equestris ordinis*) w spółnictwie z Franciszkiem *Rivas* i Mikołajem *Kostką*. Wiadomo z poprzedniego wątku opowiadania naszego, że pomimo wstawiania się obu królów polskich za przyczyną księżniczek mazowieckich i wojewody podolskiego Odrowąza, uwolnienie *Ludwika Pekri* nie nastąpiło, aż dopiero w siedm lat później, to jest w r. 1545. Ale nie znane nam były dalsze losy żony jego, Zofii z książąt Mazowieckich i jój potomstwa. Objaśnia je nam list króla Ferdynanda do Stanisława Odrowąza wojewody podolskiego i Anny z książąt Mazowieckich pisany 16 lutego 1542 roku.

„Z listów tak Waszych, jakotóż i Najjaśniejszych królów polskich, dowiedzieliśmy się dokładnie o żądaniu Waszém co do dziedzictwa dóbr, jakie zostawiła po sobie *nieboszczki (quondam) Zofii z książąt Mazowieckich córka, która w zeszłym roku w froncymerze N-jej ukochanej małżonki naszej życie skończyła*, gdy dobra te z jój śmiercią, po części na mocy paktów, a po części z prawa natury, na was, jak powiadacie, spaść powinny.“

Gdy jednak król Ferdynand nie znajduje się teraz w państwach swoich, a nic postanowić nie może bez panów rad węgierskich, pozwala powtórnie zgłosić się do siebie za powrotem do państw swoich, zapewniając, że nie zaniedba zarządzić, aby co im się z prawa należy, bez żadnej przeszkody oddaném im zostało.

Z tego listu dowiadujemy się, że *Zofia z książąt Mazowieckich* umarła przed 1541 r. (a więc niedługo po uwięzieniu drugiego męża *Ludwika Pekri*) i że zostawiła *jedynaczkę córkę* z pierwszego męża *Stefana Batorego*, *Anna (Jagiellonka)* królowa Węgierska i Czeska przyjęła młodą sierotę do swojego froncymeru, gdzie wkrótce potem (w roku 1541) żywot swój zakończyła.

Ale powrócimy do roku 1538 i do traktacji postów króla Ferdynanda względem paktów małżeńskich królowej Elżbiety z Zygmuntem Augustem; gdy te odbywały się w Krakowie, w Innspruku z polecenia króla Ferdynanda obchodzono z wielką uroczystością zaręczyny młodej pary. Poseł polski Dantyszek w imieniu oblubieńca oddał złotą obrączkę, o której wzmiankę uczyniliśmy już wyżej. Młodziutkię narzeczoną kazano pisać listy z grzecznościami do królowej Bony i do narzeczonego, którego prosiła, „aby ją jako narzeczoną we wszystkiem jemu posłuszną i dziwnem pałającą pragnieniem widzenia tego, którego „tak bardzo miłuje, nazwajem ukochać raczyła.“

Gdy Elżbieta czternaście lat kończyła (w r. 1540) król Zygmunt I prosił Ferdynanda o przyspieszenie małżeństwa, w którym widział przyszłą pociechę przygniatającej go coraz bardziej starości.

Ślub ten jednak to z jednej, to z drugiej strony odkładany był, nawet przez samego Zygmunta I, zajętego ważnemi sprawami na Litwie. Ale stary król pisał często do króla Ferdynanda zapewniając go o statecznej przyjaźni, którą jeszcze z dziadem jego, cesarzem Maksymilianem, na zjeździe wiedeńskim zawarł, a później w całości na wnuków cesarskich przelał. A tymczasem na około niego rozwijały się intrygi, dążące do zerwania związku z domem Rakuskim, intrygi, w których łatwo poznać rękę kr. Bony. Opierał się im głównie Jan Tarnowski hetman W. koronny. Okazuje się to z listu jego do króla Ferdynanda:

„Pisałem już dawniej do W. Kr. M., że byli tu tacy, którzy usiłowali odłożyć ślub młodszego króla Polskiego, z córką W. Kr. M. i już wyznaczony był poseł do W. Kr. M. w tej sprawie. Ale udaremniła te knowania starszego króla, najlepszego pana mojego, cnota, święta prawość i wytrwałość. Król postanowił, że ślub ma się odbyć w dniu oznaczonym, i od tego postanowienia, pomimo namowy niektórych osób, nie odstąpił; w czem i ja W. Kr. M. sługa najprzychylniejszy, nie omieszkałem utwierdzić umysł pana mojego.“

Ślub odbył się zatem z wielką uroczystością w Krakowie 6 maja 1543 roku; a wnet potem rozpoczęły się udęczenia młodej małżonki, z powodu oziębłości męża i ustawicznych prześladowań królowej Bony. Malowniczy opis tego znajdujemy w listach, które do króla Ferdynanda pisał *Jan Marsupin*, sekretarz królowej Elżbiety i poseł (*internuncius*) ojca przy niej.

Kilka nowych szczegółów o pobycie Marsupina w Polsce znaleźliśmy w odszukanych własnoręcznych listach jego, które danem nam było w archiwum państwa w Wiedniu odczytać i odpisać.

„Najjaśniejszy Paniel (pisał Marsupin do króla Ferdynanda, z Krakowa 6 lipca 1543 r.) Królowa Bona żadną miarą nie chce, abym tu był; a przyczyna taka: bo widzi mnie codzień dwa, trzy

a nawet cztery razy, jak idę na pokoje N. Królowej; widzi mnie przy obiedzie i przy wieczerzy. Widzi, że na wszystko pilne baczenie daję. Lecz, co się jęj najgorzej niepodoba, to że widzi mnie w towarzystwie wszystkich duchownych i świeckich panów, o których ma podejrzenie, że są stronnikami N. Królowej Elżbiety. Widzi mnie często długo rozmawiającego z p. Bonarem i z biskupem płockim (Maciejowskim) i z takimi także, którzy Jęj Kr. Mości nie dobrze życzą, lubo nie śmieją tego na sobie okazywać. Tak rozdzielonę jest to Państwo, że 'niepodobna, aby nie nastąpiły niebawem wielkie klęski. Niech Bóg Wszchemocny staręgo Króla zachowa! Inaczęj byłoby wielkie zaburzenie w narodzie. Umysty wszystkich zwrócone są na córkę W. Kr. M. a jak już mówitem, im bardziej prześladowaną jest od królowej Bony, tęp bardzieję wzmaga się miłość ludzka ku nięj; każdy dziwi się nad tęp, że młody król zawsze jada z panią matką, a nigdy ze swoją najzacniejszą i przeczystą małżonką. W uroczyste święto Św. Jana wszyscy kaznodzieje tego miasta, jakby jednomyślnie przeciwko królowi mówili; powtarzając, że: *zonę więcęj miłować należy, niż ojca i matkę*. Lud cały temu wtórował, wierzący o tem rozrzucając; a to wszystko bardzieję jeszcze powiększa i rozjątrza zawiść królowej Bony.“

Marsupin starał się pocieszyć młoda królowę i dodawać jęj serca, aby się od łez wstrzymywała i nie dawała znać po sobie, że ją prześladowania świekry bolą.

Królowa Elżbieta towarzyszyła innym królewskim Miłosciom do zamku o trzy mile od Krakowa (zapewne do Niepołomic) na polowanie, które trwać miało dni sześć. A gdyby morowa zaraza nie ustała, miały dalęj jeszcze pojechać; Marsupin został się w Krakowie: wkrótce doczekał się powrotu dworu i mógł dalęj wzorki z królowej Bony zbierać.

„Najwięcęj. królową Bonę martwi to, że ją *królową starą (Regina Senex)* zowią. Chce, żeby nazywano *wielką królową (Magna regina)*. Nie lubi tęp słyszeć, że królowę Elżbietę nazywają piękną, młoda, zana i wdzięczną. Chciałaby, żeby nikt jęj nie lubił, ani bywał u nięj“

„Babskie to są fochy (pisał dalęj Marsupin), ale trzeba, by zawczasu zapobiedz, aby gorzję nie było, i pokazać, że wolą jest króla Ferdynanda i cesarza Karola, aby córka, bratanek ich doznawała czci jęj należnej. Najgorszymi nieprzyjaciołmi króla Ferdynanda w Polsce są królowa Bona i arcybiskup gnieźnieński (*Gamrat*).“

„Arcybiskup gnieźnieński jest zarazem biskupem krakowskim i pięrwszym doradcą królowej Bony i główną przyczyną niezgody i wszystkiego złęgo. Najnieprzyjaźniejszy jest W. Kr. M. i N. królowej córce W. Kr. M., nie mając do tego żadnej przyczyny; jedynie dla podchlebiania królowej Bonie i wmawiania jęj tego, o częm wię, że się jęj podoba. Biskupstwo krakowskie trzyma od roku do roku i co roku musi prosić o prorogacyą

i dyspensę u Stolicy Apostolskiej. A królowa Bona wstawia się za nim dlatego, żeby mógł pozostać na jej dworze w Krakowie, bo jako arcybiskup gnieźnieński byłby zmuszony do rezydencji w swojej archidiecezyji; dziś wysłała już królowa Bona kogoś do Ojca Świętego z prośbą o tę dyspensę. Niech W. Kr. M. jak najspieszniej napisać raczy do Jego Świętobliwości z prośbą, aby na prorogacyę nie pozwolił, gdyż wprost jest przeciwną interesom W. Kr. M.“

Tymczasem morowa zaraza stawała się coraz groźniejszą. Trzeba było wziąć się do środków bezpieczeństwa. W dniu 16 lipca król Zygmunt kazał wyjechać z Krakowa wszystkim, którzy nie mieli tam interesów, kazał pozamykać szynki (tabernae) i inne miejsca podobne.

„Sądzę, pisał Marsupin, że za kilka dni wszystkie Ich Kr. Mości odjadą do Mazowsza, lub do Litwy... Królowa Bona, jak słyszę, ma być trochę słabą; inaczéj przyspieszonoby jeszcze wyjazd...“

Na wyjeźdném Marsupin (który nie mając rozkazów, miał tymczasem pozostać w Krakowie) musiał jeszcze łagodzić *kuchenne sprawy* na dworze swojej królowej i pani. Kuchmistrz jej z Wiednia przybyły, nie kontent był, że na jednéj kuchni gotowano dla wszystkich Ich Kr. Mości, a przez to nie mógł tak dobrze służyć Najjaśniejszój Pani swojej, jakby sobie życzył; królowa Elżbieta kazała mu przyjść do siebie i być cierpliwym, jak nią jest sama. Powtórzył mu to i Marsupin, i zgodził się na jego prośbę, aby mu do pomocy przysłano z Wiednia, *Jakuba* kucharza z dworu królewskiego, któryby chętnie przyjechał. Ale cóż, w tydzień później kuchmistrz królowej Elżbiety zrobił burdę nadkuchmistrzowi dworu, i Marsupin nie mógł otrzymać, aby mu pozwolono aż do przyjazdu drugiego pozostać.

W tym czasie miała miejsce także ta śmieszna sprawa o *sér parmezański*, którą z listów Marsupina opisaliśmy w pierwszym tomie naszych *Jagiellonek Polskich*. Niektóre szczegóły o tém znaleźliśmy jeszcze w kartce ręką Marsupina pisanéj:

„N. królowa *Izabela* posłała do szafarza królowej Bony po *sér parmezański*, który on natychmiast wydał. Jak skoro dowiedziała się o tém królowa Bona, zgromiła szafarza i zakazała mu w obecności wielu osób, cokolwiek na przyszłość wydawać. Gdy doniesiono o tém królowej *Izabecie*, zaczęła gorzko płakać. Biskup płocki posłał swoich kantorów i muzykusów do królowej, aby ją muzyką rozerwać. To znów rozgniewało królową Bonę, gorzej jak wszystko: boli ją, jak kto do młodéj królowej zagada, albo ukłon od da, albo różę w ofierze złoży; i wtedy babskie głupstwa wyrabia, niegodne nietylko królowej, ale nawet jakiejś bądź uczciwéj niewiasty. Wstydziałbym się pisać o nich do W. Kr. M., cały świat nazywa tę królową Bonę szaloną i rozwściekloną; a im

bardziej ona rzuca się słowem i uczynkiem na tę najświętszą królową młodą, tém bardziej wszyscy za nią obstają.“

Ale wkrótce miał Marsupin ważniejszy powód do zmartwienia, aniżeli *kuchenne sprawy* dworu swojej pani. Młody król miał bowiem wyjechać, opuszczając małżonkę wśród morowej zarazy.

„Stanęło na tém (pisał Marsupin) że młody król pojedzie do Mazowsza o czterdzieści mil ztąd, zostawiając tu N. królową Elżbietę; a stało się to za staraniem i przebiegłością królowej Bony, która oddawna już nad tém pracowała, ale dotychczas nie mogła otrzymać tego od najświętobliwszego starego króla. Teraz dopiero poskutkowało płacz niewieści i obawa morowego powietrza. A gdy to wszystko dzieje się ku niesławie i obeldze W. Kr. M. a więc musi niepodobać się W. Kr. M. i N. królowej Elżbiecie; nie wiem, dlaczego W. Kr. M. nie miałyby wet za wet oddać, działając tak u papieża, jak u cesarza, w rękę którego jest jedyne lekarstwo, którym tak ciężką chorobę wyleczyć można. Stary król (jak już często mówiłem) jest najlepszym, najświętszym, najzaczniejszym mężem. On chciałby, aby wszystko szło zwyczajnym porządkiem, aby młody król żył z żoną, jak powinien. Chciałby doczekać się potomstwa z córki W. Kr. M. ale stary król Jego M. niema swojej woli; niczego nie chce, nic nie może: wszystkiem rządzą żyj jednej Bony. I tak się stało, że stary król pozwolił na to, aby młody pojechał dla rozrywek do Mazowsza, czy też do Piotrkowa aż do sejmu, który zwołany będzie na dzień św. Michała, albo trochę później jeszcze. Prawda Najjaśniejszy Królu, że morowa zaraza strasznie grasuje. Po trzydzieści i więcej osób na dzień umiera; wszystkim dworzanom kazano wyjechać; wszystka szlachta a nawet obywatele miejsca wyjechali, albo przynajmniej wystali żony i dzieci. A jednak król nie powinienby odjeżdżać, chyba z małżonką swoją N. królową. Nastawałem na to głośno sam i przez przewielebnego biskupa płockiego i wielmożnego pana Bonara, ale nic nie mogliśmy zrobić. Sam byłem u królowej Bony, która do mnie tak mówi, jak gdyby do ośła mówiła. Pójdę jeszcze do obu królów, będę prosił i zaklinał starego króla, a potem, niech się dzieje wola Boża. Długi czas byłem dziś u N. królowej *Izabety* (1), pocieszałem Jój Kr. Mość w imieniu pp. Tarnowskiego, biskupa płockiego i Bonara. Powiedziałem Jój Kr. M., co ma czynić, że cierpliwością tylko potrafi wszystko złe zwyciężyć. Zaklinałem ją, aby się nie smuciła i boleścią serca własnego nie przyczyniała radości nieprzyjaciołom swoim. Długie kazanie prawilem Jój Kr. M., wszystko mówiłem o czém pisałem już do W. Kr. M., co należy czynić i usiłować, aby złemu zapobiedz. Nareszcie królowa Jój M. powiedziała mi, że wszystko zniesie

(1) Tak podpisywała się niekiedy kr. Elżbieta, a często też zdrobniałem tém imieniem nazywa ją Marsupin w listach swoich.

statecznie wedle rady mojej. Żał mi o takich rzeczach do W. Kr. M. pisać w tym czasie, gdy daleko ważniejsze zachodzą. Powiedziałem już wuję, że ta królowa Bona wejrzeniem, słowem, i uczynkiem szkodzi W. Kr. M. w czém tylko może. Nie wiem, dlaczego W. Kr. M. ramienia swojego nie rozciągnie nad nią i nie ukarze jęj wszelkimi możliwemi sposobami. Cesarz z powodu floty tureckiej odbierze do rąk swoich zamek Barski (1). Nie wiem, dlaczego W. Kr. M. nie nagli, aby i miasto było jęj odebrane, a przynajmniej zamku jęj nie oddawać, ażebyto królowa Bona pojęła, w czém rzecz i przymuszoną była uciec się do N. królowej *Izabety* córki W. Kr. M. i prosić ją o pomoc. Ta jest droga, ten jest sposób i żadnemi innemi tęg Bony ujeździć nie można za życia najświętobliwszego króla. Co do interesu u papieża, W. Kr. M. wyrozumiał już, co jest do zrobienia; ale potrzeba nastawać, urgować i wyłuszczać powody, dla których powinno stać się według życzenia W. Kr. M., a ja wiem z pewnością, że papież nie odmówi, byleby był należycie poinformowany i śmiało uproszony.“

„Ja sędzę, że zaraz po wyjeździe młodego króla, wyjadą także pozostałe Ich Kr. Miłości osobno, ale nie do młodego króla, bo ta jest właśnie przyczyna wyjazdu jego, iż *ona* nie chce, aby była razem z żoną i aby się wzajemnie kochali. Już 21 dni, jak nie byli z sobą; w zadziwienie wprawia mnie natura tego młodego króla.“

„Niech W. Kr. M. raczy oznajmić mi, co mam czynić; jeżeli z powodu tęg morowej zarazy Ich Kr. Miłości wyjechać mają, jak powiadają, bez żadnego orszaku, dokąd mam się udać, gdzie przebywać podczas tęg zarazy? Tu bowiem bezpiecznie nie będzie. Oczekiwać będę rozkazów W. Kr. M. co do tego.“

Tymczasem usilne starania robił Marsupin, aby młody król nie odjeżdżał sam, zwłaszcza, że ma się udać aż na Litwę. „Wszystko robię, co tylko możliwém jest, (pisał Marsupin do kr. Ferdynanda), królowa Elżbieta udała się do starego króla... nie wiem, czy potrafi go nakłonić, jak zwykle na swoją stronę. Mistrz dworu młodego króla (Opaliński) ze wszystkich najgorszy; niech mu Bóg przebaczy. Stara królowa wścieka się z powodu opóźnienia wyjazdu... Ona ma zupełną nadzieję, iż Turek odbierze cesarzowi Jego M. królestwo Neapolitańskie. Królowa Bona bowiem i jęj stronnicy są całkiem za Francuzami. Słyszę, że flota turecka przybiła do brzegów królestwa Neapolitańskiego: 150 galer o trzech rzędach wiosel i 50 statków, zwanych *fustac* (2), nie

(1) O tęg flocie tureckiej, która jakby miała do Neapolu przyplnąć w skutek knowań kr. Bony, Marsupin pisze obszerniej w jednym z następnych listów.

(2) *Fusta fustis* rodzaj statku. *navis species* (*Ducange Glossarium Latin med. aevi*).

wiem, czy to prawda. Ja się o państwa cesarza J. M. wcale nie boję pomimo wszelkiego gadania, bo wiem, jakim jest cesarz J. M. i jak swojego bronić umie... Przed kilką dniami wyprawiła królowa Bona jednego ze swoich ludzi do papieża z wielkimi podarunkami w puharach, koniach i pieniądzech; jak sądzę dla otrzymania prorogacyi co do biskupstwa krakowskiego (dla Gamrata).“

Król Ferdynand chciwie czytał obszerną korespondencyę Marsupina. Chwalił przezorność jego i czynną gorliwość; kazał mu pozostać na miejscu i pilnować dobra królowej Elżbiety. W jęj sprawie pisał kr. Ferdynand do obu królów Zygmunatów i do królowej Bony, ubolewając nad tęp, że młody król odjeżdża i małżonkę swoją opuszcza, jak gdyby jęj chciał unikać i nie dbał o potomstwo, które jest głównym i świętym celem małżeństwa; a to jeszcze w czasie niebezpieczeństwa morowego i bez względu na młodociany wiek małżonki.

Z tą samą skargą obracał się król Ferdynand do hetmana Tarnowskiego, prosząc go z zaufaniem o radę, co ma w tak boleśnej dla ojcowskiego serca okoliczności uczynić (1).

Tymczasem Zygmunt August wyjechał był do Litwy 30 lipca; a w kilka dni potęp król Zygmunt i obie królowe udały się do Niepołomic, gdzie więcęp miesiąca bawili, nim zaraza wygoniła ich naprzód do Nowego Miasta (Korczyna) a potęp do Dobręjwody, nareszcie do Wieloski, majątności hetmana Tarnowskiego.

Marsupin wyjeżdżał do Bochni a ztamąd do Niepołomic, dla widzenia się z królową Elżbietą; i powrócił do Krakowa z *febrą*, wśród niewygód podróży nabytą. Ale i tam nie omijało go prześladowanie królowej Bony.

„Królowa Bona Jęj M. nie chce, abym był w Krakowie a ja nie widzę dla siebie bezpieczeństwa tam, gdzie ona jest. Pięniądze mam tylko do końca bieżącego miesiąca sierpnia. Potęp nie będę ich miał ani do pozostania na miejscu, ani do wyjazdu. Dlatego na miłość Boską zaklinam W. Kr. M. o łaskawe zarządzenie, abym mógł przynajmniej dostać się do W. Kr. M. w czasie tęp srogiej zarazy. A wolałbym już tu życie na największe niebezpieczeństwo narazić, jak być przy królowej Bonie. Jestem w łózku z recydywą febry teryciany, bez pieniędzy, wśród morowego powietrza; i ztąd polecam się z uniżoną prośbą łasce W. Kr. Miłości.“

Przyszły oczekiwane przez Marsupina pieniądze od króla Ferdynanda, a wkrótce potęp odwołano biędnego *internuncjusza* do Wiednia. Z powodu słabości musiał jednak jeszcze w Krakowie czas jakiś zabawić; nie mógł nawet przyjąć łaskawego zaproszenia hetmana Tarnowskiego, który mu przytułek od morowej zarazy u siebie ofiarował. Marsupin pisał jeszcze do królowej Anny (matki Elżbiety); że królowa *Izabela* jest nadto młoda i zbyt nieśmiałyj natury na córkę tak dostojnego ojca. Chwalił przytęp

(1) Brulion listu kr. Ferdynanda do hetmana Tarnowskiego, z Pra-gi 24 Aug. 1543 roku (*Arch. Ces. Wied.*)

dwie wierne sługi królowej: ochmistrzynię i pierwszą pannę, *obie Katarzyny*."

Jedną z nich była znajoma nam już z dawniejszego opowiadania *Katarzyna Helclówna (Hölzelin)*, która zносиła się ciągle z Marsupinem w interesach swojej pani.

Zachował się własnoręczny list tej Katarzyny do Marsupina z 14 września 1543 r., z *Dobréjwody*, po niemiecku pisany, którego przekład polski tu podajemy.

„Kochany panie Marsupin! (sic). W téjże chwili przybył nadworny kuryer od króla Rzymskiego Jego M., i przywiózł listy pod adresem waszym, a na kopercie napisaném było, że w razie nieobecności waszój, listy mają być oddane do rąk własnych Jój Kr. Miłości. Uczynił to kuryer i listy oddał mojej N. pani do rąk własnych; a te, które do was należą, posyłam wam wszystkie. Skarzę się poufnie przed wami, że do mnie był tylko jeden list od królowej Rzymskiej, a zresztą, ani litery. Kuryera chce moja miłosciwa pani odprawić przed niedzielą (16 września), gdyż dłużej pozostać tu nie może; w poniedziałek zaś mamy ztąd dalej pojechać; opóźnienie nastąpiło z powodu tego poselstwa."

„O żadnych nowinach ztąd donieść wam nie mogę, tylko że w nocy w której przybył postaniec od J. Kr. M. przybyła także jakaś kobieta, która ma interes do starego króla. Z rozkazu Jego Kr. Mości wysłano do niej dwóch panów o pół mili ztąd, dla zapytania, co znaczy jój przybycie. Odpowiedziała, że ma zdać sprawę staremu Królowi Polskiemu z czynności, o której on sam jój rozkazał, nikomu, tylko samemu staremu królowi powiedzieć. Co to będzie nikt nie wie, ale wszyscy dziwią się temu, że kobieta sprawnia poselstwa, co jest rzeczą niesłychaną. Ciekawość zajmuje młodych i starych, kobiety i mężczyzn. Jutro lub pojutrze sprawi się z swojego poselstwa. *D. Dobrowoda* 14 września 1543 roku."

„Wierzajcie mi, że nie jestem kontenta, nieodebrawszy żadnego listu.

Katarzyna Hölzelin (1)."

Pomiędzy listami, które przywiózł kuryer wiedeński, znajdował się także list króla Ferdynanda do Zygmunta I z kondolencją co do morowego powietrza i z wyrażeniem nadziei, że stary król postara się, aby syn jego obchodził się z żoną wedle przepisów Boskich. Oznajmował także, że ponieważ Jan Marsupin z powodu grasującej choroby nie jest w stanie pełnienia swojego obowiązku, odwołuje go do siebie, ale że wkrótce albo jego samego, albo kogo innego przyśle.

Za powrotem Marsupina, król Ferdynand pisał do biskupa płockiego (Maciejowskiego) i do Justa Decyusza, dziękując za wierne ich usługi, oddawane królowej Elżbiecie.

(1) Wieś *Dobrowoda* leży między Buskiem a Wiślicą.

Z dalszych losów Marsupina dowiadujemy się z listów jego z Wiednia do króla Ferdynanda pisanych, że miał córkę i że téj córce biskup agrijski przeznaczył był 300 dukatów w złocie na posag, a 100 dukatów dla ojca do odebrania w Wenecyi. Tymczasem umarł biskup, a Marsupin polecał się opiece króla Ferdynanda dla odebrania jego zapisów.

Jedenaście miesięcy trwało rozłączenie Elżbiety z mężem, lubo i poprzednie ich pożycie od dnia ślubu do wyjazdu Zygmunta Augusta z królową (od 6 maja do 30 lipca) z wyjątkiem niewielu dni, rozłączeniem nazwaćby można. Listowne stosunki pomiędzy małżonkami przez biegłych sekretarzów utrzymywane, odznaczały się ceremonialną, sztywną grzecznością ze strony króla, a wnużaniem powinnéj miłości, wdzięczności za odbierane listy i niecierpliwego oczekiwania powrotu męża, ze strony królowej.

Według jednéj i téj saméj formułki pisane były listy Elżbiety, z *Wielowsi* (26 października 1543 roku); z *Piotrkowa*, gdzie aż do połowy kwietnia 1544 roku przebywała; z *Warszawy* (20 kwietnia 1544 roku) i odpowiedzi Zygmunta Augusta z Litwy, dopóki nie połączyli się nareszcie w Brześciu Litewskim, w drugiéj połowie czerwca.

Z listów Marsupina wiedzieli rodzice królowej Elżbiety, że mąż dla niéj co najmniej jest obojętnym, a świekra nienawistna. Usiłowali częstemi listami do Zygmunta Augusta, do starego króla, do królowej Bony, przyjść w pomoc córce i skłonić serce męża ku niéj. Najpiérw pisała do Zygmunta Augusta matka Elżbiety, Królowa Anna; ale Zygmunt August (zapewne przez własną matkę nauczony) umiał uniewinniać siebie chytremi pozorami najcnotliwszego męża.

„Co do tego, że W. K. M. Nam N. małżonkę polecasz, całujemy rękę waszą za taką macierzyńską pieczołowitość. Ale radzibyśmy, aby W. Kr. M. wiedziała iż Jéj Kr. Miłość takiego polecenia do nas nie potrzebuje, tak jak gdyby nam nas samych polecono. Czémże inném jest Jéj Kr. Miłość, jak połowicą i ciałą naszego i duszy, tak, że nie możemy jéj nie kochać. a więcéj o nią jak o siebie samych dbamy.”

O listach króla Ferdynanda tak do królów polskich, jak do stronników swoich na ich dworze, wyżéj już uczyniliśmy wzmiankę. Po odwołaniu Marsupina we wrześniu 1543 r. wysłał król Ferdynand do Polski barona Herbersteina, dawnego znajomego Zygmunta I i Bony. Ten widząc kr. Elżbietę przy rodzicach męża w Piotrkowie, naoczne świadectwa o niéj w listach swoich do kr. Ferdynanda mógł składać.

W jednym z tych listów znajdujemy zarazem wzmiankę o tajemniczym wypadku, jaki się na dworze królowej Bony zdarzył, a o którym doszła już była wieść jakaś do króla Ferdynanda.

„Wypadek w Piotrkowie jest prawdziwy. Królowa Bona mieszkała w drewnianym dworze, który przed laty do pana Krzysztofa Szydłowieckiego należał, dość daleko od króla Jego M; a z ja-

kiego powodu, dajmy temu nateraz pokój. W nocy ktoś wlaź na drabinę z obnażonym mieczem w rękę, stanął jedną nogą na oknie od sypialnej komnaty królowej i otworzył je mieczem. Już miał spuścić się na dół, lecz gdy potrącił nogą karła spiącego na szlabanie pod oknem, a ten zaczął wrzeszczeć, obudziły się najprzód panny, a potem sama królowa. Usłyszawszy krzyk, nieznajomy zlaźł po drabinie na dół. Po dziś dzień nie można wiedzieć ktoby to był. Zrazu o tém i o owém gadano, ale nie można było przyjść do żadnego pewnego wniosku. Powiadają jeszcze, że w ogrodzie stało z dziesięciu ludzi, jakby na warcie. Wtedy dopiero kazano dać kraty żelazne do okien. Co do tego, żeby to zamierzonym było na młodą królowę, to nieprawda; chyba pocichu i pokryjomu o tém mówiły złe języki (*per malas linguas*). Młoda królowa zachowała to dla siebie w tajemnicy (*non sine misterio*), dla zamydlenia oczu postom Jego Kr. Mości, oraz panom radom i postom korony polskiej. Stary król i obie królowe pojechali z Piotrkowa do Warszawy."

Smutny los królowej Elżbiety obudził żywe współczucie w sercu jęj stryja, cesarza Karola V. Okazuje się to z instrukcyj, jakie dał Adamowi Carolusowi, sekretarzowi kr. Ferdynanda, wyslanemu do Polski, dla wywiedzenia się, czyli Elżbieta w istocie opuszczona jest od męża i prześladowana przez królową Bonę.

„Gdy poseł otrzyma audyencyą u starego króla, po zwyczajnych grzecznościach ma się dowiedzieć o wzajemnych stosunkach kr. Elżbiety z N. małżonkiem i z N. rodzicami męża, gdyż cesarz serdecznie pragnie, aby ta bratanica jego, którą jak własną córkę kocha, doznawała takich względów, do jakich dają jęj prawo dostojność cesarska stryja i królewsko-rzymska ojca. Nic nie mogłoby być miłszém dla cesarza, jak dowiedzieć się, że młoda para królewska w małżeńskięj zgodzie żyje i doczekać się może pożądanego potomstwa, czemu dotychczas wyjazd młodego króla do Litwy, z powodu morowego powietrza stał na przeszkodzie. Gdyby zaś poseł po przyjeździe do Polski nie zastał jeszcze młodego króla przy żonie, to w imieniu cesarza prosić będzie starego króla i królową Bonę, aby nie ociągali się dłużej ze sprowadzeniem syna do siebie. O témże samém poseł będzie mówił z przedniejszemi osobami państwa i dworu, pozdrawiając ich w imieniu cesarza i zapewniając o łasce Jego na przyszłość."

„Nie zaniedba téż poseł dowiedzieć się od pana Jana Langa radcy i sekretarza króla rzymskiego, rezydenta Jego Kr. M. przy Kr. Elżbięcie, jak jęj rzeczy tam stoją, jaką jest dla nięj królowa Bona i jak młody król obchodzi się ze swoją małżonką? Gdyby się pokazało, że N. królowa Elżbieta czy od królowej Bony, czy od innych osób doznaje niezasłużonych despektów, poseł porozumiewszy się z Janem Langem i z innymi stronnikami królowej Elżbiety, postara się u obu królów i u królowej Bony, aby temu na przyszłość zapobiedz, a to w sposób najtagodniejszy, aby w niczém nie na-

ruszyć dawniej pomiędzy obu dworami przyjaźni. Podobnie postąpi, jeźliby czemu wierzyć niepodobna, królowa Elżbieta sama dawała jaki powód do wzajemnych niesuasków. A gdyby, broń Boże! rzeczy już zadaleko zaszkły, poseł obowiązany będzie natychmiast o tém cesarzowi donieść" (1).

Niewiadomo, czy ten poseł, czy inny przy końcu lipca dopięro, do Wrocławia przybył i do Krakowa miał jechać. Donosząc o tém królowi Ferdynandowi, *Franciszek Ritiusz*, z Wrocławia, w gwałtownych wyrazach wspominał o królowej Bonie i ofiarował się narazić się na jęj gniew, byle dać dowód poświęcenia i miłości dla królowej Elżbiety.

„Chociażem zawsze był tego zdania, że przewrotny umysł królowej Bony i niepocziwe jęj zamiary, ani rozumowaniem, ani dobrym przykładem, ani pogrózkami, tak łatwo zmienić się nie dadzą, a więc z kimkolwiek raczję, niż z nią wolałbym mieć sprawę; gdym jednakże przez wszystkie czasy dla N. królowej Elżbiety, z powodu jęj niewinności i anielskiego usposobienia, chował uczucia najgorliwszję zyczliwości, chciałbym tę cześć moją i miłość znakomitą jaką usługą udowodnić. Dlatego ośmielam się pokorną prosbę moją W. Kr. M. przelożyć.“

„Jeślbym wyrozumiał, że to z przyczyny królowej Bony, syn jęj Zygmunt tak niegodnie z żoną się obchodzi; czy pozwoli W. Kr. M. abym prosił pomienioną królową Bonę o prywatną audyencyę i powiedział jęj to, co mi Pan Bóg natchnie i co mi zdawać się będzie potrzebnę do zmiękczenia i wstrząśnienia zatwardziałego i zepsutego umyśtu niewiasty. Bez wyraźnego rozkazu W. Kr. M. nie ważyłbym się jednak zuchwale kości rzucić“ (2).

Zbyteczną była wtedy żarliwość w obronie Elżbiety, gdyż od miesiąca już królowa była w Brześciu Litewskim z mężem, z którym dzielić miała rządy Litwy i rozpocząć nareszcie spokojne pożycie małżeńskie w oddaleniu od nienawistnej królowej Bony.

Z listów królowej Elżbiety, które zachowały się w archiwum Państwa w Wiedniu, widzimy, że nie odmawiała instancyi swojej do ojca i do stryja synom lub krewnym dostojników, którzy jęj stronę trzymali. Ale najgorliwięj wstawiała się u ojca za domem margrabiów brandeburskich.

Umarł był margrabia Jęrzy, który w imieniu cesarza, prowadził był Elżbietę do ślubu. Testamentem dzieci swoje oddawał pod opiekę stryja ich Alberta margrabięgo brandeburskiego, który z ostatniego wielkiego mistrza krzyżackiego został księciem pruskim. Królowa Elżbieta listem pisanym z Piotrkowa (11 lutego

(1) Instrukcyja dla Adama Carolusa sekretarza i rady króla rzymskiego, okazana cesarzowi Karolowi V-mu 30 Aprila 1544 r. (Arch. Ces. w Wied.).

(2) List Franciszka *Ritiusza* do kr. Ferdynanda, z Wrocławia 25 Jul. roku 1544 (Arch. Ces. Wied.).

1544 r.) prosiła ojca, aby testament zmarłego margrabiego potwierdził, nad dziećmi jego opiekę swoją rozciągnął i księcia Alberta do łaski swojej i cesarza Karola V przywrócił. Prosiła zaś nie tylko dlatego, że dla margrabiego Jerzego wdzięczną pamięć chowa i że margrabiowie z królami polskimi blisko spokrewnieni, ale i dlatego że *ród ten domowi naszemu Rakuskiemu dobrze jest zasłużony* (1). Wstawiając się osobno jeszcze za księciem Albertem pruskim królowa Elżbieta pisała do ojca, że powrócona jemu łaska cesarska dla niej samą będzie koroną chwały i zakładem miłości u tych narodów, których z łaski Bożej jest królową.

Ledwie kilka miesięcy przeżyła królowa Elżbieta w szczęśliwszym pożyciu małżeńskim; wkrótce rozwinęła się straszna choroba, która położyła koniec jej życiu, w dniu 15-m czerwca 1545 roku (2).

Wiemy z poprzedniego opowiadania że posag Elżbiety wyplacony ledwie na dni kilka przed jej śmiercią, pozostał u Zygmunta Augusta; wyprawę zwrócono królowi Ferdynandowi po długich pertraktacjach z posłami jego: Dr Janem Lang i Janem Regensbergiem z Dzierzkowic.

Ciekawy jest wywód historyczny, którym starali się posłowie udowodnić, że ruchomości (*paraphemalia*) i ochędństwo niewieście (*mundum muliebre*) po bezdzietnych królowych i królewnach polskich przechodziły zawsze na ich sukcesorów, chyba by zachodziły osobne co do tego zapisy. I tak, królowa Jadwiga, pierwsza żona Władysława Jagiełły, gotowe pieniądze, suknie, klejnoty i całą ruchomość swoją zapisała na fundację Akademii Krakowskiej, oraz na wspomnienie ubogich, przekazując to egzekutorom testamentu swego Piotrowi Wyszowi biskupowi krakowskiemu i kasztelanowi krakowskiemu Jaskowi z Tęczyna. A więc po stracie siostry Maryi kr. węgierskiej sama rozporządzała wyprawą, gdy posag zostawał przy królestwie. Nie ma wprawdzie wiadomości, co się stało z wyprawą Elżbiety Pileckiej, trzeciej żony Władysława Jagiełły, która z nim dzieci nie miała; ale ta z trzech pierwszych mężów swoich Wista Jana Laczkowicza (Morawczyka) i Wincentego Granowskiego zostawiła potomstwo.

Po zmarłej królownie polskiej Elżbiecie siostrze Zygmunta I a małżonce Fryderyka ks. lignickiego, wyprawę byłaby wzięła jej siostra Barbara księżna saska, gdyby urzędowym testamentem Elżbiety nie była zapisana mężowi.

(1) Słowa z listu kr. Elżbiety do kr. Ferdynanda, z Piotrkowa z 11 Febr. 1544. (*Arch. Ces. Wied.*).

(2) W przeciągu 10 godzin piętnaście razy porywały ją konwulsye. List Zygmunta Augusta do kr. Ferdynanda z Krakowa 12 Junii 1545 r. (*Arch. Ces. w Wiedniu*).

Opisywaliśmy już gdzieindziej, jaki żal zostawiła po sobie w Polsce królowa Elżbieta, gdy jej już nie stało. W jej rodzinnym kraju *przez rok cały* w niedziele i w święta, przy kazaniu i nabożeństwie kościelném modlono się nabożnie za ś. p. Elżbietę, córkę króla Ferdynanda a królowę polską (1).

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Pani Stael i Niemcy. — Nemezis dziejowa. — *Les deux Allemagnes*, przez profesora Caro. — Michiels. — Życie i dzieła pani Stael według Lamarтина. — Pani Georges Sand i krytycy berlińscy. — *Souvenirs d'un Voyageur pendant la guerre*. — Professor Virchow: sąd jego o naukowości Francuzów. — Nowa opera Werdego: Aida. — Mariette Bey, poeta archeolog. Starożytności egipskie z czasu Faraonów. — Serapium. — Świątynia Ramzesa. — *Poemes populaires* E. Manuela. — *Dziecko w ogrodzie*. *Wiosna*. — Posiedzenie Akademii Francuskiej: przyjęcie p. Davergier de Hauranne. — Mowa p. Cuvillier-Fleury.

Jak ważne miejsce zajmuje pisarz w życiu narodów, jak wielka ciężar na nim odpowiedzialność za wyrzucone słowo, nowy tego dowód mamy w procesie wydanym dziś przez opinią francuską, sławnej autorce dzieła o Niemcach, dzieła napisanego lat temu zgorąsześdziesiąt! Pani de Stael, wołają we Francyi liczne, poważne nawet głosy przyczyniła się najwięcej do naszych klęsk obecnych! Onato przez nienawiść ku osobie Napoleona, podniosła do ideału dobra, piękna, moralności, wszystkie strony życia nieprześląganego jego wrogów z poza Renu! ona to głównie skrzywiła rozwój idei narodowej we Francyi, stawiając jej geniusz niemiecki jako molę.

Czy wpływ jednej osobistości, choćby tak genialnej jak pani Stael, mógł tak silnie oddziaływać na myśl i uczucia narodu! nie sądzimy bynajmniej. Po materyalizmie w którego odmet wtrąciła Francję szkoła Woltera i Encyklopedystów, musiała nastąpić reakcja: ta reakcja powiała na Francją od Niemiec. Pani Stael

(1) Na mocy dekretu z 17 Aug. 1545 r. do Rządu Niższej Austrii (Arch. domu Ces. w Wiedniu).

była tylko pośredniczką tego wpływu, organem tych idei, któreby i bez niej były przeszły za Ren, jak przeszły za Wisłę, za Dunaj i za Arno, jak przeszły za ocean, na drugą sferę świata półkulę.

Ktoby chciał czynić panią Stael solidarnie odpowiedzialną za smutne owoce jakie we Francyi zrodziły się z posiewu idei niemieckiej, wpadłby w ten sam błąd w jaki wpadli ci pisarze nasi, którzy oskarżają Konarskiego że przywiózł do Polski kaganiec zatłony u inteligencji francuzkiej. Maż-li Konarski odpowiadać za wszelkie następstwa tego zwrotu?

Człowiek sieje na rolę ziarno, szatan w trop za nim sieje kąkol. Ta parabola pisma, powtarza się w dziejach całej ludzkości w literaturach wszystkich ludów. Czy zboże krzepkim rozrostem stłumi szkodliwe zielsko, czy kąkol zagłuszy zdrowy posiew, zależy to od roli, od klimatu, od tysiąca nieobliczonych wpływów. Ale jeżeli człowiek nie może odpowiadać za następstwa działań swoich, odpowiedzialnym jest przecież za pobudki jakie nim powodowały. Miłość dobra publicznego, była Konarskiemu pobudką do szukania obcego światła; nienawiść ku Napoleonowi pchała panią Stael w cudze kraje, w pogoń za cudzym ideałem. Z tą Nemezys dziejowa rozgrzeszyła Konarskiego, a potępia dziś tak surowo francuzką nowatorkę.

Zobaczmy te zarzuty: pierwszy wystąpił z niemi professor Sorbony Caro. Jego rozprawa p. t. *Les deux allemagnes*, zwróciła we Francyi uwagę powszechną.

Od lat pięćdziesięciu, mówi autor, żyliśmy pod wpływem złudzenia, które nas zbyt srogo kosztowało. Pani de Stael przedstawiła nam niemiecki naród w świetle zupełnie idealnym, dalekim od rzeczywistości.

Przypomnijmy sobie pod wpływem jakich wrażeń pani Stael napisała dzieło swoje, a zrozumiemy dlaczego przy najlepszych chęciach, przy bystrzej inteligencji, nakreśliła tylko szkic niedokładny, jaskrawy kolorytem, piękny fantazją, lecz nie podobny weale do ludu, którego miał odwzorować rysy.

Nie brakło autorce ani czasu, ani talentu, ani sposobności do badań. Zamek Coppet był ostoją najznakomitszych literatów i filozofów niemieckich, prawdziwą kolonią germańską. Wilhelm Schlegel, przewodnik jej synów, wprowadzał do domu uczonych ziomek swoich.

Widzimy z korespondencji pani Stael, jak już w roku 1800 uczy się pilnie po niemiecku, jak w r. 1802 zajmuje się filozoficznym systematem Kanta; jak w rok potem postanawia dać poznać Francyi literaturę niemiecką. Wówczasto przedsięwzięcie wielką podróż po Niemczech.

Smutna to była podróż. Słynna autorka przebiega dwory wielkich mocarzy, bądź uwieńczonych koroną królewską, bądź aureolą geniuszu. Mocarzy składają holdy wielkiej pisarce. Niektórzy jednak reprezentanci literatury niemieckiej, uczuli mimowolny przestach: widoczna to z ich listów. Szyller niepokoi

się i skarży. Sam Jowisz Olimpijski Goete, radby odwlec spotkanie, waha się i ociąga, jakby przeczuwał mówi Caro, wyższość pani Stael, nie w idei, nie w sztuce, lecz w salonowym dowcipie francuzkim. Przybywała ona do Niemiec poprzedzona olbrzymią sławą. Od dzieciennych prawie lat, uchodziła w kraju za najwymowniejszą kobietę wieku swego. Wiadomo było jak wielki wzięta udział w odrodzeniu się życia towarzyskiego w Paryżu, po gwałtownych przewrotach rewolucyjnych. Znana była opozycyją jej przeciwko pierwszemu konsulowi. Wygnanie podniosło ten urok, i uczyniło podróż jej po krajach nienawistnych Cesarstwu i Francyi, prawdziwie tryumfalnym pochodem.

Wielcy koryfeusz niemieccy przeczuwali że obok tyłu stron dodatnich musiała być i strona ujemna. Łatwo im było odgadnąć w pani Stael chęć panowania i błyszczenia. Lękali się tych rac dowcipu francuzkiego, tak wstrętne ciężkim umysłem Niemców. Ztąd to owa tajemna niechęć uczonych, pokryta świetnym pozorem salonowego dworactwa.

Jak wszystkie podróże wielkich świata, podróż pani Stael, odbywała się w nieprzyjaznych warunkach. To tylko widziała, co jej podsuwano przed-oczy. Schlegel jej nieodstępny towarzysz i *cicerone*, okłamywał ją wraz z drugimi, a bardziej niż Schlegel, okłamywała ją miłość własna i próżność. Za nadto zajęta sobą, nie miała dość zimnej krwi, potrzebnej bezstronnemu badaczowi. Henryk Heine, w złośliwy lecz dowcipny sposób, szydzi z podróży sławnej autorki. Było to, mówi, coś podobnego do rewii Napoleońskiej.

— Ile pan masz lat? jak dawno służysz? — pytał cesarz generałów i półkowników, podczas przeglądu wojska.

— Czy jesteś pan zwolennikiem Kanta albo Fichtego? Co myślisz o monadach Leibniza? — pytała pani Stael uczonych Niemców.

I nie słuchała nawet ich odpowiedzi, a wierny Mameluk Wilhelm Schlegel, zapisywał w pugilaresie imiona wybranych, którzy mieli otrzymaæ chlubną wzmiankę, jakoby literacki krzyż legii honorowej, w przyszłym dziele o Niemczech.

Szyller w listach do Körnera nie tak zakłopotania swego. Zdarzyło się że Goete wyjechał na kilka tygodni do Jeny, na niego więc spadł obowiązek przyjęcia świetnej podróżniczki w Wejmarze, tych niemieckich Atenach. Filozoficzno-estetyczne rozprawy z panią Stael, były niesłychanie uciążliwe dla poety, który źle mówił po francuzku. Dodajmy i to, że w tychże czasach Szyller tworzył Wilhelma Tella. „Dyabeł sprowadził mi tu filozofkę francuzką, pisze do Körnera; ze wszystkich istot żywych jakie znam to najruchliwsza, najzaciętsza w walce, najgadatliwsza, a że mi trudno wyrażać się po francuzku, przepędzam chwile bardzo ciężkie.”

Ale szlachetny Szyller pogodził się wkrótce ze swym losem. „Trzeba wyznać, pisze w innym liście, że to prawdziwie rozumna kobieta, a lubo spada nam tu z innego świata, jakby nadzwyczajne jakieś zjawisko, musimy uczuć jej wysoką inteligencyę, jej umysł wszechstronnie ukształcony.”

Podobnego wrażenia doznał Goete za powrotem z Jeny do Wejmaru. Zrazu męczyły go rozmowy nazbyt francuzkie; za przymus chwilowy pomścił się niejednym złośliwym epigramatem: w końcu jednak kiedy niemiłe wrażenie przeminęło, pochwała podróż światłej kobiety, ocenia wysoko jej nadzwyczajny rozum. „Błogosławmy, dodaje, ten kilkodniowy przymus, który zdawał się nam zrazu tak niemiły i bezpożyteczny.” Przecztał widać Goete równie jak Schyller, że do rozgłoszenia chwały ich w Europie, wiele przyczyni się pani de Stael.

Professor Caro bezstronnie ocenia dzieło o Niemczech; wysoko nawet podnosi jego zalety. „Pomimo niekorzystnych warunków—mówi on—w jakich podróżowała autorka, mimo że własna osobistość zasłaniała jej często perspektywę, na wiele przedmiotów patrzała zdrowym okiem. Nie wyrzucajmy jej płytkiego sądu w rzeczach religii i filozofii. Potrzeba kilku pokoleń myślicieli i uczonych, by rozświecić ten pomrok. Przypomnijmy sobie ile to od lat trzydziestu zbudowano u nas krytycznych systematów, a jednak nie wyświecono dotąd rzeczy. Niesłusznie też Heine zarzuca pani Stael, że nie zbadała do gruntu *Krytyki Rozumu Czystego*, że w wielkim ruchu nowej filozofii, widziała jakoby tylko prostą teorię spirytualną, postawioną przeciwko realizmowi francuzkiemu. Za to autorka wybornie określa ducha literatury niemieckiej, czy to w powieści czy w dramacie; trafnie wskazuje dążność Niemców do mistycyzmu, do upodobania w romantycznych legendach i balladach. Gorące technienie zapału przenika całe dzieło.”

„Ale szlachetny zapał szkodzić może—dodaje Caro—gdy go posuwamy do przesady. Autorka jest optymistką. Zważmy w jakich warunkach umysłu podróżowała po Niemczech. W oczach jej lud francuzki zaprzedawał jak Faust duszę złemu, i krwią własną podpisywał cyrograf. Temu to zbłąkanemu ludowi pragnęła zbawienną dać naukę. Jako przykład godzien naśladowania, umyśliła ukazać mu lud niemiecki, w całym blasku moralnego uduchownienia, bohaterskiej prostoty, nieskażonej czystości obyczajów.

Był to ideał stworzony bujną jej wyobraźnią, wymarzony w jej duchu, modła, do jakiej pragnęła dostroić francuzkie społeczeństwo. Były to Niemcy wymysłu autorki, na wzór owych idealnych ludów Salanto, które Fenelon stawiał przed oczy królewskiemu wychowawcowi swemu.

Ta myśl przewodniczyła pani Stael—mówi Caro—kiedy kreśliła moralną stronę Niemców. Nie szło jej o wierne odwzorowanie tego ludu, chciała raczej aby obraz nakreślony jej piórem

stał się żywą protestacją przeciwko materyalizmowi encyklopedistów, rewolucjonistów i żołnierzy. Heine porównywa jej dzieło do Germanii Tacyty, który także występuje jako apologeta Niemców ówczesnych, i obrazem krzepkiej ich żywotności, rzuca gorzką satyrę w oczy wyrodzonym Rzymianom. Tak więc z pod pióra pani Stael wyszła nowa Germania, patryarchalna, pełna zapału, ognisko czystej myśli, ojczyzna niewinnych uczuć, prawdziwa idylla, słowem antyteza Francji porwanej na bezdroża siłą Napoleońskiego geniuszu.

Pogląd taki musiał być fałszywym. „Ktoby chciał zebrać, mówi Caro, wszystkie te niewczesne pochwały, utworzyłyby z nich satyryczną parodię dzisiejszych Niemiec. Rzekłbyś że to obraz jakiejś przedpotopowej Germanii, odkrytej przez nowego Cuviera, ku zbudowaniu a raczej ku wyszydzeniu czasów obecnych. Zobaczmy na przykład jak autorka tłumaczy słabość i nieudolność polityczną, tego dobrego ludu niemieckiego.

„Nałóg poczciwości, powiada, czyni go zupełnie niezdolnym do chytrzego podstępu. Temu tylko łatwo przekraczać prawa moralne, kto nie przywdział na siebie mocnej zbroi, kto się wyrzekł sumienia i wszelkich skrupułów, któreby go w pół drogi zatrzymały.” — „Można oddać na chwałę tego narodu, mówi dalej, że mu całkiem obcą ta zuchwałość, co śmie i umie naginać prawdę do osobistych celów.” Kończy nieporównanym rysem: „Tak wady jak i cnoty narodu niemieckiego, wiedzą go do urzeczywistnienia sprawiedliwości.”

Autorka zupełnie zaprzecza Niemcom a nawet Prusom ducha militarnego. Ci którzy dostrzegali go, byliw błędzie! Nazwano Prusy olbrzymią kazerną: pani Stael zbija całą siłą ten przesąd; a utrzymuje stanowczo, że pod tym właśnie względem Prusy najniżej stanęły, że w tym kraju uderza przedewszystkiem światło, uczucia słuszności i niepodległości ducha.

Cały naród niemiecki według niej „oddany spekulatywnym mrzonkom, bez związku z ziemską polityką. W biurze handlowém, na polu bitwy, jak niemniej na kongresie lub konferencyi, Niemcy cierpią zawsze chorobliwą tęsknotę do ojczyzny niebieskiej, *ils ont la nostalgie du ciel*. Prawda sama w sobie jest dla nich celem, bez względu na materyalne korzyści jakie przynieśćby mogła, oddają się z upodobaniem kontemplacyi, szukają w niebie szerokich przestworzów, ziemia bowiem nie wystarcza im wcale. Toczą spory w dziedzinie oderwanej myśli, a wielkim tego świata oddają opiekę nad ziemską rzeczywistością.

„Ta rzeczywistość ziemska, mówi Caro, to pieniądze, to posiadłości, to potęga materyalna, to siła! Zasługą jest bez wątpienia gardzić temi rzeczywistościami, ale wtenczas tylko, gdy mogąc je posiadać rzekamy się ich dobrowolnie. Pani Stael utrzymuje, że Niemcy niemi gardzą. Mogło tak być w roku 1810, ale przynajmniej iż wtedy inaczej być nie mogło; była to poprostu, cnota z potrzeby: bądź co bądź usposobienie ich się odtąd przemieniło!”

Professor Caro wykazuje dalej smutne następstwa obłądu, w jaki wprowadziła Francję sławna książka pani Stael.

Francya, mówi on, puściła się skwapliwie drogą sympatyj, wskazaną jej przez utalentowaną autorkę. Naród francuski serdeczny z natury i gościnny, umie wielbić, potrzebuje miłować. Nowy świat odkryty przez panią Stael, wkrótce też stał się przedmiotem ogólnego uwielbienia i miłości: któryż lud gorącej od nas powitał ducha germańskiego, objawiającego się w poezyi i literaturze? któryż silniej odczuł urok ich uczonych i poetów, któż od nas gorętszy oddał hołd tej prostocie serca, tej powadze obyczajów rodzinnych, tej głębokości uczuć, jaką poeci niemieccy umieli zaczerpnąć z najczystszej krynicy, to jest wydobyć z życia ludu pod ubogą strzechą wieśniacza. Jakże pełną piersią oddychaliśmy w zaczarowanym świecie Szyllera i Goetego. Jak rychło, jak swobodnie Miniony, Charlotty, Doroty i Margeryty, rozgościły się w naszej wyobraźni narodowej! Te córki poety przybraliśmy za swoje. W dziedzinie nauk poszliśmy niemniej za kierunkiem szkoły niemieckiej. Nasza filozofia przystępowała zrazu nieśmiało, z pełną poszanowania trwogą, potem z gorącym zapałem, do tajemniczego sanktuarium, z kąd brzmiały głosy nowych wyroczni. Zagorzali czciciele germanizmu, ukazywali nam bez ustanku po za Renem, w tych plemionach krzepkich, czystych, pełnych żywotnej siły, myśl pracującą wytrwale, miłość prawdy wolną od interesu, wysoką uprawę umysłową, pojęcie prawa zgłębione do gruntu w szkole Kantowskiej, tak na pozór zgodne z instynktową moralnością tego ludu.

„I któż nas zbudził — pyta professor — z tego snu uroczego? Strzeżmy się, dodaje z godnością, gwałtownej reakcyi w sądzie naszym; gniew najsprawiedliwszy nawet, złym bywa niestety doradcą! Mamyż składać nieszczęścia nasze na karm Kanta albo Schellinga? mamyż lekceważyć geniusz Szylera i Goetego? Ale z drugiej strony, oddając słuszną cześć myślicielom i poetom, którzy uczynili plemię niemieckie, zapytajmy siebie sami, ażalić nie byliśmy w błędzie co do rzeczywistych dążeń tego plemienia? zapytajmy ażali prawda, że ów lud żyje tak głęboko zatopiony w prawach moralnych, iż obcym pozostał namiętnościom, wszelkiej chciwości zakłócającej porządek tego świata?

„Stawiam takie pytanie — mówi Caro — niechże Niemcy odpowiedzą na nie sami. Przyjęli oni z uśmiechem zadowolenia pochwały pani Stael, nazwali ją *dobrą kobietą* (die gute Frau). Niektórzy nawet żartowali z niej bez litości. Najdotkliwiej ze wszystkich szydził Heine. Niemcy pani Stael to według niego jakiś mglisty kraj bezcielesnych duchów, co się snują błędnie po uśnieżonem polu; rozprawiając tylko o moralności i metafizyce. Nielitościwy Arystofan niemiecki wyśmiewa żartobliwie to nowe Elizeum, w którym nie poznaje ani z ducha, ani z krwi i kości, *rubasznych i spasyłych* ziomek swoich. Wziął on sobie za cel do-

wieść nam, że nie znamy wcale tego krzepkiego a żarłocznego ple-
mienia o szerokich barkach i twardych muszkułach, z kompleksą
wcale nie eteryczną.

„I pod gradem ostrych pocisków Heinego, zwolna rozpadło
się w oczach naszych widmo niemieckiego idealizmu, karmione
rosą i łzami, zawieszona między niebem a ziemią, które pani Stael
dostrzegła w mroku wieczornym, po nad brzegami Sprei.”

Tak się wyraża znakomity professor uniwersytetu Sorboń-
skiego. Jakież w tym sądzie umiarkowanie, jaka różnica od na-
miętnego sądu Mentzla i całej jego szkoły? A przecież Caro odzywa
się w imieniu strony pokrzywdzonej, któżby mu nie przebaczył,
gdyby kropla goryczy zaprawiła mimowoli jego słowa? Wytraw-
ny moralista filozof, umiał jednak zachować godność właściwą
prawdziwie uczonemu.

Surowiej na dzieła pani Stael zapatrują się dzisiejsi publicyści
francuzcy. Jeden z nich Alfred Michiels w dziele *Histoire des
idées littéraires en France* wykazuje dowodami o ile na zabalamu-
cenie umysłów wpłynęły pochwały utalentowanej autorki, szafo-
wane Niemcom z tak niepojętą bezmyślnością.

Ideę pani Stael — mówi on — tak silnie oddziaływały we Fran-
cyi, że natychmiast po skończonej wojnie, 28 stycznia 1871 roku,
wyszła książka Gustawa Flourens: *Le Paris livre*, podnosząca
Prusaków jako naród młodzieńczy, pełen inicjatywy, wykarmiony
gruntowną nauką, patrzący śmiało w przyszłość. Nie dosyć na tém,
autor utrzymuje, że ten naród ma prawo głosić się *Biczem Bożym*,
występując jako mściciel pogwałconej moralności politycznej.
„Rozumiemy wściekłość Prusaków, mówi Flourens, pojmujemy że
sieją łupiestwa i mordy, po prowincjach naszych, że pragną zbu-
rzyć Paryż, zatrzeć do szczytu imię francuzkie wstrętne dla całej
ziemi. Będąc na miejscu Prusaków czynilibyśmy toż samo.”

W obec tak smutnego objawu, pojmujemy całą gorycz
z jaką p. Michiels wyraża się o dziele pani Stael.

„Są książki — mówi on — które nazwaćby można przekleń-
stwem dla narodu. Błędy zawarte w nich, wydają z czasem naj-
smutniejsze następstwa. To zabójcze drzewa *Bohon Upas*, z któ-
rych spada zatruty owoc, których woń sama doprowadza do szału.
Takiem było dla Francyi dzieło pani de Stael o Niemczech. Ta
książka, to istna *fata morgana*, rzekłbyś zaczarowany pałac, na-
wiedzany przez duchy starych legend, łudzące fałszywym pozorem
życia. Nieszczęściem to dzieło znalazło w Europie niesłychany
rozgłos i wywarło wpływ odpowiedni złowrogięj swój wziętości.”

Jakim sposobem — pyta autor — kobieta pełna rozumu i wznio-
słych uczuć jak pani de Stael, mogła popełnić tak wielkie prze-
stępstwo literackie? Szczęściem dla jej pamięci, nie tyle popełniła
je sama, jak raczej dozwoliła popełnić je w swoim imieniu. Pani

Stael była igraszką i narzędziem czterech uczonych Niemców, którzy ją okłamali stawiając jej przed oczy naród niemiecki, nie w odzieży powszedniej, lecz przystrojony na bal lub maskaradę. Pod tarczą tych uczonych, sławna autorka jeździła od zamku do zamku, od salonu do salonu, lecz nie przestąpiła nigdy progę chaty wieśniaczej, nie weszła do dworku niezamożnego ziemianina, ani do knajpy studenckiej, ani nawet do uniwersyteckiej auli; nie spojrzała nigdy oko w oko ludowi niemieckiemu! Bywała tylko po pałacach panów i bankierów.

Gdyby przynajmniej autorka dzieła o Niemczech badała historią narodu niemieckiego, tam gdzie ją badać należy: w źródłowych dokumentach, nie zaś w urzędowych podręcznikach szkolnych! Ale mogłaż znaleźć czas na mozolne wertowanie archiwów, poświęcając go tyle dla świata, marnotrawiąc go na rozmowy i dysputy, na królowanie po salonach! Pani Stael brała więc gotowe notaty z rąk przewodników swoich. Było ich czterech: Wilhelm i Fryderyk Schlegel, Jan Müller historyk szwajcarski i Zacharyasz Werner. Ci podsuwali jej co chcieli; sławna pisarka przystrajała ich zdania czałem wytwornego stylu, i wraz nimi wprowadziła w błąd Europę.

Michiels przytacza jako dowód najwybitniejsze ustępy z dzieła o Niemczech, świadczące o pobieżnym poglądzie. Między wielu innymi widzimy apoteozę tolerancji religijnej, jakoby leżącej w duchu germańskiego plemienia. „Duch sekciarstwa, mówi na przykład autorka, musi objawić się pod rozmaitą formą w kraju, kędy działalność myśli tak potężna, ale dyskusje teologiczne nie podlegają tam ludzkich uamiętności, a religijne opinie nie wychodzą po za obręb tego świata idealnego, w którym panuje szczytny spokój.”

Jakże silnie protestuje przeciwko temu krwawa historia wojny trzydziestoletniej.

„Tolerancja Niemców — mówi dalej autorka, nie pochodzi bynajmniej z obojętności, ale raczej z ducha eklektyzmu religijnego. Czytając szczegóły o śmierci Jana Husa i Hieronima z Pragi, tych pierwszych promotorów reformacji, widzimy uderzający przykład połączenia żywej wiary z wolnomyślnością; charakterystyczna to cecha naczelników protestantyzmu w Niemczech (?). U nich rozum nie zaprzecza bynajmniej wierze, wiara zaś idzie w parze z rozumem. Religia katolicka zaleca się też w Niemczech większą tolerancją niż w każdym innym kraju. Odkąd pokój Westfalski nakreślił prawa różnym wyznaniom, te nie lękają się wzajemnych na siebie napaści.”

Jan Huss i Hieronim z Pragi uważani tu jako reprezentanci geniuszu niemieckiego! Potrzebaż większego dowodu lekkomyślności świetnej autorki, która tak śmiało wyrokuje o geniuszach narodów, a tak mało zna ich stosunki etnograficzne i historyczne?

Rzućmy pobieżnie okiem na główne chwile życia tej nadzwyczajnej kobiety, której dzieło po sześćdziesięciu latach, tak gorzką wywołuje polemikę.

Anna Ludwika Stael urodzona w roku 1766, była córką genewczyka Neckera, ministra skarbu z ostatnich czasów upadającej monarchii Ludwika XVI. Jedynaczka, otoczona z jednej strony gorącą miłością ojca, z drugiej mroźna obojętnością matki, która od dziecka przeczuwała w niej współzawodniczkę, nie знаła ona nigdy swobody lat dzieciennych. Wyrosła i zakwitła pod wpływem sztucznej atmosfery salonowej. Lamartine wybornie określa jej wychowanie. Była to — mówi — statua przeznaczona do piedestału, wystawiona w salonie ojcowskim jakoby w pracowni mistrza-rzeźbiarza. Każdy znakomity przybysz podejmował dłuto i dopełniał rysów posągu.

Była jeszcze dzieckiem, kiedy ojciec sprowadził dla niej z Genewy małą towarzyszkę. Zobaczmy, jak ta opisuje przybycie swoje do domu państwa Necker.

„Nie bawiliśmy się nigdy, jak przystało bawić się dzieciom w naszym wieku. Po pierwszym powitaniu, dziewczynka pytała mnie zaraz czego się uczyłam, jakie umiem języki, czy bywałam często w teatrze? Odpowiedź moja, że byłam zaledwie trzy razy, mocno ją zadziwiła — przyrzekła iż wkrótce zaprowadzi mnie na komedye, że za powrotem zapiszemy doznane wrażenia, jak ona zwykła czynić. Stał się układ, iż co rano pisywać będziem do siebie długie listy.

Poszliśmy do salonu. Obok fotelu pani Necker stał drewniany taborecik przeznaczony dla córki. Zalecano jej, aby siedząc trzymała się prosto. Gdy zajęła miejsce, przybliżyli się do niej obecni goście, uczony ksiądz Raynel, Marinotel, Baron Grimm. Pierwszy prowadził z nią długą i poważną rozmowę, jakby z dwudziestopięćcioletnią osobą.

„Wkrótce nas wezwano do stołu. Trzeba było widzieć jak panna Necker przysłuchiwała się pilnie dysputom, jak śledziła wzrokiem poruszenia obecnych, jak rysy jej twarzy zmieniały się co chwila. Nie otworzyła ust, mimo to brała żywy udział w rozmowie. Wszystko ją zajmowało, nawet polityczne przedmioty.

„Po obiedzie przybyło mnóstwo osób; każdy gość zbliżał się do niej; najznakomitsi uczeni wieku, wyciągali ją na słowa, pytali o książki jakimi się zajmuje, wskazywali nowe dzieła, słowem rozbudzali w niej miłość nauki i pracy umysłowej.”

Powierzchowność jej w czternastu latach, raczej zadziwiała niż pociągająca. Główną ozdobą jej twarzy było czarne oko, pełne wyrazu i życia. Włosy czarne w bujnych pierścieniach, spadały na wysokie jej czoło. Rysy miała wydatne, dosyć grube, policzki wystające, usta wypukłe, szyję krótką, pełną, wzrost niski, bez niewieściej giętkości i bez wdzięku. Cera nadzwyczaj świeża, bogata kolorytem, nagradzała hojnie brak klasycznej piękności.

Była to epoka odrodzenia w literaturze francuzkiej; główne tło rozmowy stanowiły pojawiające się co dnia nowe dzieła. Wolter i Rousseau królowali w świecie inteligencyi każdy na swoją rękę. Ognisko nauk zapalone w Anglii przed laty pięćdziesięciu, przeniosło się wówczas do Paryża. Odrodzenie to zwano wiekiem filozofii francuzkiej. Ktokolwiek mógł przynosić tu swoje plony;— każdy pełną ręką czerpał ztąd naukę i światło. Salon pana Necker był neutralnym polem, na którym spotykali się ludzie wszelkich, najsprzeczniejszych nawet opinii.

Filozofowie ówczesni tworzyli dwie oddzielne całości szkoły. Naczelnikiem jednej był Wolter, drugiej Rousseau, przezwany pogardliwie przez Wolteryanów synem zegarmistrza. Marzyciel genewski silnie oddziałł na umysł Neckera; córka poszła w ślady za ojcem. Wymowna dusza Jana Jakóba Rousseau — mówi Lamartine, — przeszła w tę niepospolitą dziewczynkę.

Wcześniej panna Necker poprobowowała sił w literaturze. Rozpoczęła od wierszy. Nie był to właściwy dla niej rodzaj, porzuciła go też wkrótce i napisała pierwsze dzieło prozą: *Listy o pracach i charakterze J. J. Rousseau*. Śmiałą ręką, stylem świetnym, jakby pożytecznym od filozofa z Genewy, skreśliła wizerunek ulubionego mistrza swego. Publiczność paryzka przyklasnęła gorąco owę młodzieńczą a tak rokującą na przyszłość pracy. Myśli w niej krzepkie, słowa pełne siły męzkiej. Zrzuciłby można jedynie zbytek deklamacyi, ale była to wada wieku; oprócz Woltera wszyscy pisarze ówczesni: ulegali jej mniej lub więcej. Zresztą jak mówi Lamartine, deklamacya w poczynającym autorze, są to szumowiny geniuszu: czas rychło wyleczy z tej wady.

Młoda autorka blaskiem wschodzącej gwiazdy zaświeciła w salonie ojca. Do tego salonu garnęli się coraz to tłumniej uczeni, dyplomaci, podróżni, słowem wszystko co błyszczało w Paryżu. Wówczas to rozwinął się w pannie Necker ten niepospolity dar wymowy, który przez lat tyle czynił ją królową najpięwszych salonów świata. Ojciec piastujący podówczas tękę pierwszego ministra, zmuszony był milczeć z urzędu; pani Necker przycmiona przez córkę, zamknęła się w kwaśnej i milczącej opozycyi. Córka mówiła w domu za wszystkich, słowa sypały się z jej ust jak drogocenne perły. Rozmowa, gdy ona brała w niej udział, traciła właściwy charakter i zmieniała się w improwizowany monolog, przerywany tylko brzmiałym oklaskiem, lub okrzykami uwielbienia.

Postać Korynny nie była wymyśloną, autorka odmalowała w niej sama siebie.

W chwilach największego blasku, panna Necker oddała rękę Baronowi de Stael, ambasadorowi Szwedzkiemu we Francyi. Miała wówczas lat dwadzieścia, świetny to był związek pod względem położenia w świecie. Baron Stael przyjaciel Gustawa III, zobowiązał się kontraktem ślubnym, nie wywozić żony do Szwecyi. Był to człowiek dojrzałych lat, wytrawnego rozumu.

Wyzszość żony nie była mu wstrętną. Przywykły zajmować w dyplomacyi drugorzędne stanowisko, zgadzał się na nie wszędzie, a nawet w własnym domu.

Małżeństwo to nie dało pannie Necker wymarzonego szczęścia, lecz zawarte na chłodno, nie było też powodem smutnego zawodu. Później w interesie majątkowym dzieci, małżonkowie zażądali prawnego rozłączenia. Mimo to Baron Stael, po rewolucyi francuzkiej wrócił do domu żony, i wśród rodziny spędził ostatnie lata życia.

Młoda ambasadorowa zbierała oklaski i hołdy w domu ojcowskim, kiedy z tego zakłętego koła tryumfów salonowych, wyrwała ją rewolucya 1789 roku. Necker usunął się do zamku Coppet nad genewskie jezioro; pani Stael pozostała w Paryżu, gdzie była duszą stronnictwa postępowych rojalistów, gotowych na wszelkie ustępstwa, byle ocalić monarchią.

Wypadki szły parte gwałtownym prądem, obalając po drodze wszystko: i wielkoe instytucye, i teorye doktrynerów, i sam nawet tron. Terroryzm zapanował; salony umilkły przed toporem Robespiera, pani Stael schroniła się do Coppet. Tam pod wpływem najwyższego oburzenia, napisała wymowną obronę królowej Maryi Antoniny. Śmiała ta i szlachetna protestacya, wydana bezimiennie, silnie poruszyła umysły we Francyi.

Po upadku Robespiera, pani Stael wystąpiła znów na widownię jako stronniczka umiarkowanej republiki. W tym duchu wydała dwie broszury: *Uwagi nad zewnętrznym i Uwagi nad wewnętrznym pokojem*. W pierwszej usiłowała przekonać europejskie państwa, o konieczności porozumienia się z rządem francuzką w interesie pokoju powszechnego. W drugiej wzięła sobie za cel, pojednać szarpiące się wzajem stronnictwa, widząc w tem pojednaniu, silną a jedyną tamę przeciwko anarchii. Dwie te znakomite publikacye były jakoby zagrobem echem potężnego głosu Barnawa, Mirabeau, pani Roland. Wszyscy nieprzyjaciele bezrządu ugrupowali się w koło świetnej publicystki. Była to najpiękniejsza chwila w życiu pani Stael. Nigdy słowo jęj nie znalazło tak silnego oddźwięku, nigdy działalność jęj nie ogarniała tak szerokiego pola.

Napisała w tychże czasach rozprawę filozoficzno-moralną o *wplywie namiętności*. Dzieło to nowym bluszczem uwienczyło skron jęj natchnioną. Pani Stael zapanowała wszechwładnie nad umysłami: berło opinii spoczywało w jęj ręku.

Ośmnasty brumera położył koniec tej krótkotrwałej monarchii. Tron świetnej publicystki runął wraz z trybuną Izby prawodawczej, pod naciskiem żelaznej ręki Ronapartego.

Pani Stael ogłuszona jak wszyscy, nie pojmowała z razu całej doniosłości zamachu. Wyrozmiewała poniekąd niecierpliwosć młodego bohatera, który w mniemaniu jęj podejmował dyktaturę, aby przywrócić ład w rzeczypospolitej, szarpanej tylu stronnictwami, zamienionj w otchłań bezrządu. Długo — mówi

Lamartine—karmiła się nadzieją, że genialny bohater pochyli głowę przed jej geniuszem, że dwie ich potęgi wystąpią na równi obok siebie. Pragnęła nawet stać się francuzką Aspazją dla tego przysłego Perykleza.

Złudzenie krótko trwało. Pierwszy konsul przy każdej sposobności okazywał niezwykły wstręt do tej słynnej kobiety, której hołdował cały Paryż. Przy każdym spotkaniu upokarzał ją w najdotkliwszy sposób. Wiadome wszystkim słowa, jakie wyrzekł do niej na zebraniu w Tuilleries.

— Którą kobietę uważasz generale za najznakomitszą? zapytała pani Stael—wywołując pochlebną dla siebie odpowiedź.

— Tę, która miała najwięcej dzieci—rzekł sucho Bonaparte.

Słowo to zabiło od razu marzenia pani Stael. W sercu jej powstała nienawiść wzmagająca się w miarę prześladowania, jakiego była celem. Ścisła jej przyjaźń z Beniaminem Constant jawnym przeciwnikiem nowego porządku rzeczy, i z generałem Bernadotte, osobistym nieprzyjacielem pierwszego konsula, tém silniej rozjątrzyła umysł szczęśliwego zwycięzcy, który marzył już o koronie cesarskiej.

Przez ciąg włoskiej wojny, pani Stael przebywała w Paryżu. Salon jej był głównym ogniskiem opozycji; mimo to dumna kobieta nierozstawała się jeszcze z myślą, że szturmem rozumu zdobędzie umysł nieprześląganego przeciwnika. Ciekawe w tym względzie szczegóły znajdujemy w jej pamiętniku.

„Byłam zaproszona— mówi — do generała Berthier na ucztę wyprawioną dla pierwszego konsula. Wiedząc że się wyrażał o mnie bardzo niechętnie, sądziłam iż mi powie jakieś grubiaństwo według zwyczaju przyjętego względem kobiet, które mu najbardziej nawet nadskakiwały. Nakreśliłam więc na wszelki wypadek kilkanaście dumnych i ostrych odpowiedzi, stosując je do wszelkich przypuszczalnych zapytań, jakie mógł mi zadać podczas wieczoru. Nie chciałam żeby mnie zszedł zniechęca; a że łatwo stracić głowę w obec takiej osobistości, przygotowałam się by godnie stawić mu czoło. Szczęściem nie było to potrzebne; przemówił do mnie raz tylko i to w najpospolitszy sposób.

„W każdym razie, nie zaczepia on nigdy, chyba wówczas gdy się czuje o wiele silniejszym.”

Wkrótce potem pani Stael wyjechała na lato do Coppet, gdzie przebywał jej ojciec. Tam odebrała list oznajmiający stanowczo, jako pierwszy konsul nie życzy sobie widzieć jej z powrotem w Paryżu.

Wyrok ten był piorunem dla dumnej, chciwej panowania kobiety. Życie za obrębem Paryża było dla niej męczarnią.

Godziło się nazwać wygnaniem pobyt w rodzinnym kraju, obok starego ojca i drobnej dziatwy, wśród wygod i dostatków, w okolicy najpiękniejszej, zwiedzanej przez podróżnych całego świata?

Dla wielu innych, podobne wygnanie byłoby rajem, ziemią obiecaną: pani Stael inaczej pojmowała rzeczy. To też pamiętniki z czasów pobytu w Coppet, wydała później pod tytułem: *Dziesięcioletniego wygnania*: (Dix ans d'exil).

Opuściwszy Paryż napisała naprzód sławną *Delfinę*. Romans ten stawiany obok *Nowej Heloizy* J. J. Rousseau, niesłychany miał rozgłos. Autorka okazała się w nim kobietą, więcej niż w każdym innym utworze.

Paryż przyklasnął z zapalem *Delfinie*: echo tych poklasków dobiegło po nad Leman. Pani Stael zapragnęła być bliższym świadkiem swego tryumfu; wyjechała bądź co bądź do Francji; zamieszkała czasowo na wsi, w domu przyjaciółki sławnej z wdzięków pani Recamier; puściła się nawet do Paryża, ale z pierwszym konsulem nie było żartów. Na rozkaz jego, autorka *Delfiny* z rozpaczą w sercu powróciła do Coppet.

Było to w początkach roku 1804. Aby osłodzić gorycz wygnania, pani Stael przedsięwzięła podróż do Niemiec. W towarzystwie Beniamina Constant i Wilhelma Schlegla udała się naprzód do Berlina, gdzie ją czekały hołdy i owacje.

Wśród całego blasku uczt dworskich, dobiegła ją wieść o niebezpiecznej chorobie ojca. Wyjechała spiesźnie, by odebrać z ust konającego starca ostatnie błogosławieństwo.

W dziwnie poetyczny sposób pani Stael opisuje w pamiętniku podróż z Niemiec do Szwajcaryi. W obec wielkiej boleści milknie zazwyczaj słowo, znać inaczej bywa u istot wyjątkowych, do jakich należała ta nadzwyczajna kobieta. Przytaczamy ten ustęp jako osobliwość psychiczną.

„W tej nieszczęsnej podróży z Wejmaru do Coppet, zazdrosnym okiem patrzałam na życie krążące w przyrodzie, zazdrościłam ptaszętom i muszkom, które swobodnie ulatały nademną; zazdrościłam tym drzewom w lesie, których żywot trwa wieki! Ale nieprzeblagane milczenie grobu, upokarza umysł człowieka; wrażenia tego żadna siła nie zatrze. Gdy się zbliżałam do domu ojca mego, jeden z przyjaciół ukazał mi na górze ciemny obłok podobny kształtem do olbrzymiej postaci ludzkiej. Widziałam w nim symbol straty, jaka miała mnie dotknąć.”

Pani Stael nie zastała już ojca: skonał po dziewięciodniowej chorobie. Konającą ręką napisał list do pierwszego konsula błagając o pozwolenie powrotu ukochanej córce, tłumacząc jej młodzienczą nierozwagę. List ten pozostał bez odpowiedzi.

Osierocona córka wydała rękopisma ojca swego, nakreśliła jego apologię, poczem wyjechała do Włoch. Tam zebrała materiały do najpoetyczniejszej ze swych prac literackich, do sławnej w swoim czasie *Korynny*. W osobie natchnionej wieszczki, autorka nakreśliła własną postać.

Genialna Korynna, istota pełna zapału i ducha poetycznego, spotyka w Rzymie Anglika lorda Nervile. Budzi w nim miłość a raczej uwielbienie i zachwyty. Ale czemuż miłość chłodnego

syna Albionu, w obec téj jaka porywa duszę poetki, goniącą wiecznie za niedoścignionym ideałem. Uczucie dobywa z jęj piersi iskrę geniuszu, rozpala ją w potężny płomień. Cudne pieśni improwizowane w kapitole, ściągnęły na jęj czoło wieniec bluszczowy jaki wienczył niegdyś skroń Tassa i Petrarca.

Anglik patrzy z bojaźnią na tę nadzwyczajną istotę. Czy jego nie mogą znieść blasku bijącego z jęj czoła. Słynna tryumfatorka daż mu ciche szczęście przy ognisku domowem? W jęjże mocy zstąpić z piedestału, i tę pieśń którą poruszała serca tłumów, zmienić na ton inny, i wyspiewać u kołyski śpiącego niemowlęcia? Anglik wątpi, trwoży się, odjeżdża do mglistej ojczyzny, zaślubia tam młodą panienkę, która mu daje pewniejszą rękojmię szczęśliwego pożycia. Korynna umiera dręczona tęsknotą, jakby przytłoczona zbytkiem darów odebranych z rąk szcudrobliwęj przyrody.

Romaus *Korynna czyli Włochy*, postawił autorkę na zenicie chwały literackiej. Styl poetyczny, wytworny, stanowi główną zaletę dzieła. Co zaś do pomysłu, Delfina większą może zaleca się oryginalnością. Istoty niepojęte jak Korynna, znane od dawna w literaturach różnych ludów i wieków. Prototypem ich sławna Safo, nad której poetyczną aureolą, ukochany przez nią Faon, przekłada niewinny wdzięk młodej Melity. Podobny typ stworzył Fenelon w nieśmiertelnej Kalipso, która potęgą niebiańskich wdzięków, podbiła serce Telemaka, lecz niestety nie mogła go utrzymać!

Bądź co bądź sąd powszechny uznał w Korynnie prawdziwe arcydzieło. Imię pani Stael zaświeciło słonecznym blaskiem na widnokręgu nie tylko francuzkiej, lecz i europejskiej literatury.

Antorka Korynny zbliżyła się znów do Paryża, przebywała na wsi pod Auxerre, kiedy cesarz Napoleon rozkazał jęj stanowczo oddalić się znnowu do Coppet.

Oburzona wyjechała do Wiednia. Tam spędziwszy długi czas w towarzystwie poetów i literatów, postanowiła uświetnić Germanią, jak uświetniła Włochy.

Za powrotem nad Leman w r. 1809, napisała sławną apoteozę Niemiec, dzieło któremu wówczas przyklasnęła Europa widząc w niem wymowną protestacyą przeciwko materyalnej filozofii XVIII stulecia, a które dziś po sześćdziesięciu latach, tak surowego we Francyi doczekało się sądu.

Nienawiść złym bywa doradcą. Pochwały sypane rządóm i ludom niemieckim, były chłostą satyry rzucaną nienawistnie w oczy Napoleona. Francya uwierzyła na oslep tym pochwałom, skreślonym czarodziejskimi słowy. Drogo ją kosztowało rozczarowanie!

Trudno jednak zaprzeczyć wielkich zalet owemu dziełu pani Stael. Ona pierwsza dostrzegła świtający w Niemczech brzask romantyzmu, który miał niebawem przebieść jak iskra elektryczna po Europie, i odrodzić literatury wszystkich ludów, otrzásając

je z formuł szkolarskich, a wskazując im żywe źródło natchnienia w tradycyi i obyczaju domowym. Dzieło o Niemczech stało się dla Wiktora Hugo silną pobudką do podjęcia nowej chorągwi.

Z woli Napoleona, minister policji Savary zatrzymał niebezpieczną publikację. Zniszczono 10,000 wydrukowanych już egzemplarzy. Pani Stael w najwyższym oburzeniu puściła się w podróż po Europie. Wyjechała na wiosnę r. 1812.

Przez Niemcy i Polskę pośpieszyła najprzód do Petersburga, następnie do Sztokholmu i Londynu, gdzie przemieszkała dwa lata. Były to czasy wielkich zapasów Francji. Lamartine mówiąc o ówczesnym pobycie autorki na obcych dworach, zowie ją Korio-lanem w obozie Wolsków; tak samo zowie on Bernadottego i generała Moreau. Nieprześlągany dla tych ostatnich, rozgrzesza poniekąd autorkę Korynny, z powodu że była Szwajcarką a nie Francuzką. Sądzimy jednak że córka Neckera uważała się za Francuzkę, skoro tak czynnie mieszała się do spraw Francji, skoro dziesięcioletni pobyt w Szwajcaryi nazwała sama wygnaniem.

Po upadku Napoleona pani Stael wróciła do Paryża z Burbonami. Powrót jój był prądziwym, zbyt długo oczekiwanym tryumfem. Jój salon stał się wówczas pierwszą trybuną świata, główną ostoją mężów stanu i dyplomatów całej Europy. W nim układano kartę konstytucyjną, ów sztuczny angielski kordyał, którym doktrynerzy goili rany zbolelej Francji!

Dzieło o Niemczech wyszło podówczas na świat. Ogół nie poznał się na niém, lecz wyższe umysły, mianowicie nieprzyjazne cesarstwu sypnęły poklaski autorce. Zachęcona tém powodzeniem, pani Stael zabrała się do dzieła nad *Wielką Rewolucyą*, które wyszło dopiero po jój śmierci.

Powrót Napoleona z Elby wyrwał ją z zaklętego koła, w jakim życie jój płynęło tak uroczu. Wyjechała do Coppet; tam przepędziła *Sto dni*. Działa Waterloo stały się dla niej równie jak dla Ludwika XVIII, hasłem powtórnej restauracyi.

Odtąd wszystko składało się na zapewnienie szczęścia pani Stael. Widziała zdruzgotane orły śmiertelnego wroga swego, widziała rządy konstytucyjne ustalone we Francji; los własnej rodziny zapewniony skutkiem wydobycia ze skarbu kaucyi ministra Neckera, w ilości 2,000,000 franków. Syn starszy znalazł w świecie szacunek i powodzenie. Córka zawarła świetne związki z księciem de Broglie. Na domiar pomyślności powtórne małżeństwo, dało poznać autorce Korynny to idealne szczęście, do jakiego naprózno tęskniła za lat młodych. Pan Rocca, śmielszy od Fauna, Telemaka i Lorda Nelville, nie uląkł się potęgi niewieściego geniuszu, tak nawet umiał uszanować go w żoniu, że pozwolił jój pozostać do śmierci przy nazwisku przez nią uświetnioném, bez względu na własne prawa. Przywiązanie jego tak było silne, że po śmierci małżonki trawiony żalem, wkrótce po niej zstąpił do grobu.

Pani Stael powtarzamy, u schyłku dni zakosztowała szczęścia, ale jestże niebo bez chmury? Tą chmurą na jej niebie, był nagły zwrot opinii do pamięci Napoleona. Popularność jaką zdobywał we Francyi pokonany bohater, zatrąła ostatnie jej chwile.

„Niebezpiecznie była już chorą, mówi przyjaciółka jej pani Necker Saussure, kiedy manuskrypt ze świętej Heleny sprawił w Paryżu niesłychane wrażenie. Kazała czytać go na głos dzieciom; z całą siłą umysłu wydawała sąd o nim. „Chaldejczycy mówili, czcili złotego węża, Bonapartyści wynoszą manuskrypt S-ój Heleny: ja wcale nie dzielę ich zachwytu. Styl taki sam jak niegdyś w Monitorze. Jeśli odzyskam siły, surowo odpowiem na to dzieło.”

Zabrakło jej czasu na odpowiedź. Umarła w Paryżu r. 1817. Zwłoki jej przewieziono do Coppet, pogrzebano pod cieniem starych dębów, obok zwłok ojca, nad brzegiem jeziora Genewskiego, w obec tych Alp, gdzie jak mówi Lamartine, pamięć jej złąła się na wieki z pamięcią Jana Jakóba Rousseau, Woltera i Bajrona.

Aby ta kobieta — dodaje historyk Girondistów — stanęła na najwyższym szczeblu chwały niewieściej, brakło tylko szafotu Maryi Antoniny i pani Roland.

Kiedy Lamartine pisał te słowa, imię pani Stael świeciło jeszcze pełnym promieniem sławy pisarskiej. O ileż śmielej powtórzyłoby je można dziś, gdy Nemezys dziejowa w obec klęsk i nieszczęść Francyi, potępia dzieło zbudowane na podstawie zemsty i nienawiści.

Tak zaprawdę! stokroćby lepiej stanąć za życia pod pręgierzem Robespiera, niż w pięćdziesiąt lat po skonie, stanąć pod pręgierzem opinii zboląłego i upokorzonego narodu!

Obok imienia pani Stael nasuwa nam się mimowoli imię innej, równie genialnej kobiety. Postać Georges Sand staje nam przed oczyma. Wiele, bardzo wiele możemy mieć do zarzucenia świetnej pisarce: Indyanna i Lelia więcej zapewne obłąkały umysłów niewieścich, niż sentymentalna Delfina i natchniona Korynna, a przecież wielka boleść jaką uczuła pani Sand w obec ostatnich nieszczęść, budzi ku niej szczerze współczucie.

Słynna autorka przepędziła czas wojenny, częścią w Nohant zwykłej swjej siedzibie, częścią w departamencie Creuse, kiedy epidemia ospy wypędziła ją dziećmi i wnukami z ulubionego gniazda. Przejeżdżając z miejsca na miejsce nakreśliła dziennik odebranych wrażeń w ciągu nieszczęśliwej zimy z r. 1870 na 1871. Dziełko to p. t. *Journal d'un voyageur pendant la guerre*, pisane rzecz można łzami serca. Są w niem stronicie silnie poruszające samą prostotą swoją. Przytaczamy na próbkę ustęp, kiedy przywiązana babka, tłumy w sercu głęboko zgryzotę, aby nie zakłócać swobody miłych dzieciątek, gdy bierze na kolana małą

wnuczkę i rozpowiada jej dziwy ze świata stworzonego bujną wyobraźnią.

„Otoczona, mówi, drobną dziatwą, muszę kłamać spokojność. Bawią się i śmieją koło mnie! Aurora nauczyła się dobrze lekcji, w nagrodę domaga się historyi o wrózkach. Nie wierzy w nie; dziatwa dziś nie taka łatwowierna, ale dziewczynka ma wrodzony smak literacki: cudowność zachwycą ją. Muszę więc dzień w dzień rozpowiadać jej przez godzinę lub dwie najdziwaczniejsze powieści. Bóg jeden wie, jak mało mam do nich usposobienia. Wyobraźnia zamarła we mnie; a tu dziecko wciąż pyta i pyta, i kole śpiłkami umarłą, i rozbudza ją gwałtem!

„To co było mi rozkoszą w chwilach spokojnych, zmieniło się w prawdziwą męczarnię. Wszystko dziś bolesne, nawet ta słodka rozmowa z dziećmi co odmładza starość swym urokiem: ale cóż robić, niechże się pieśczołka moja nie smuci: niech zostawiona sama sobie, nie myśli więcej niż wypada myśleć w jej wieku. Aby nabrać werwy, pytam ją co widzi wśród tych skał i parowów, do których nie nawykło jej oko? Mowi mi że widzi tam piękne wróżki i dobre duchy czuwające nad zabłąkaną dziatwą. Wprowadzona raz na trop, zaczynam tedy opowiadać o wilku, który nie zjadł baranka co szedł za dziewczynką, bo sliczna wróżka przywiązała wilka złotym włosom, tak mocnym że zerwać go nie mógł. Opowiadam też jak dziewczynka weszła na sam wierzchołek góry aby oswobodzić mrówkę białą, którą widziała we śnie, od dziobka żarłocznej jaskółki. Wędrówka musi być długa, pełna przygód; potrzeba opisać każde ziółko, każdy kamyczek. Nie godzi się też pomijać strony humorystycznej. Szczęściem że słuchaczka nie zbyt wymagająca. Dość dla niej jeśli karzełki z jaskini wszystkie ślepe na prawe oko; jeśli polne koniki kuleją wszystkie na lewą nogę; dopieroż to śmiechu i wrzawy! Ten śmiech drogą dla mnie zaplatą. Dziecię widzi niekiedy łyż cisnące się mimowoli do oczu moich; składam je na karb kataru, choć go nie mam.

„Żyjemy w kraju legend, ciągnie autorka: lud tutejszy tworzy ich więcej niż ja, dla mojej wnuczki. Chłopczy pocztowi wraz z listami mnóstwo ich przynoszą z miasteczka. Te powieści z ust do ust olbrzymieją cudownym sposobem. Niedawno oto w jednej bitwie położyliśmy trupem 300,000 Prusaków, w drugiej znów ujęliśmy króla w niewolę. Co zaś największą znalazło wiarę u poczciwych wieśniaków naszych, to że ich cesarz zdradzony był w Sedanie przez generałów, zagorzałych zwolenników republiki!”

Mimo wielkiego cierpienia pani Sand nie upada jednak na duchu. W obec klęsk syjących się gradem na Francję, nie wątpi wcale o jej wielkiej przyszłości. Rozpacz daleką od jej serca.

— „Jeżeli mam jeszcze — mówi z poddaniem — widzieć upadek rzeczypospolitej, uczuję niesłychaną boleść. Trudno patrzeć

bez uczucia grozy na postęp spowodowany z właściwego toru w bezdroża, na cofniętą wstecz przeszłość narodu, na upadłego człowieka, na przyémione prawo moralne. A jeśli ta gorycz ma być udziałem naszym o moi przyjaciele! i tak nie przeklinajmy Francyi! nie uskarżajmy się na nią, nie gardźmy nią na Boga! Ciężkie ona przechodzi próby. Nie mówmy nigdy że przepadła jak ten albo ów naród.

Dzieło to silnie uderzyło Niemców. *Magazin für die Literatur des Auslandes*, ostro na nie odpowiedział, a przypuszczając że autorka nie rozumie niemieckiego języka, wydrukował krytykę swoją po francuzku.

Pani Sand, jak łatwo się domyślcć wyrzuca ziomkom swoim niedbalstwo w administracyi i różne inne wady! za które ciężko im przyszło pokutować. Te gorzkie prawdy przypadły do smaku krytykom: „Książka to — mówią — pełna zdrowego sądu o Francuzach, ich administracyi, ich polityce.” Ale niechno autorka zadraźni miłość własną niemiecką, wówczas to krytyka naciąga łuk, i wybiera z kołczanu humorystyki niemieckiej najdotkliwsze strzały!

Powtarzamy dosłownie ustęp z krytyki *Magazynu*, który da zarówno wyobrażenie o dziele autorki, jak o dowcipie berlińskich publicystów.

„Pani Sand — pisze sprawozdawca — wzięła sobie za cel, rozsiewać niestworzone fałsze o Niemcach a szczególnie Prusakach. Święty więc obowiązek dla każdego kto należy do szlachetnego narodu Teutonów, protestować przeciwko tym oszczerstwom.

„Dziennikarze francuzcy wiedzą bardzo dobrze, że te wszystkie powieści o barbarzyństwie wilkołaków niemieckich są wierutną bajką; ale że to dziś moda we Francyi spotwarzać zwycięzcę, rzucić mu wbrew kłamliwe zarzuty, bezczęścić go; pisma wasze bawią łatwowiernych czytelników, opisem morderstw, gwałtów i łupieży, przypisywanych Niemcom. Wspaniałomyślny naród niemiecki odpowiedział uśmiechem pogardy na te codzienne spółkowania.

„Ale kiedy umysł tak wzniosły jak twój pani, umysł który przywykliśmy wielbić i szanować; kiedy umysł taki oślepiiony nienawiścią, posługując się znakomitým piórem rozszerza przepaść dzielącą dwa narody i dmucha w uiewygasałą jeszcze głównię; wtedy cierpliwość nasza niemiecka (tak uznana że weszła w przysłowie) musi ustąpić przed słuszným oburzeniem. O pani?! możesz-li być zarazem tak wielką i tak małą? Wielką jesteś kiedy pocieszasz, kiedy podnosisz twój lud, małą i okrutną kiedy chcesz śmiertelnie ranić zwycięzcę! wtedy nie cofasz się przed niczym, nawet przed zdradzieckimi środkami kłamstwa i potwarzy!”

Krytyk odpiera silnie zarzut wandalizmu, czyniony Niemcom za nieusznanowanie dzieł sztuki, podczas blokady Paryża. Szermierząc namiętnie słowem uderza i w prawo i w lewo; między

innemi dostało się także i dzisiejszemu prezydentowi Rzeczypospolitej.

„Trzydzieści lat temu, ciągnie krytyk, krążyła rycinka przedstawiająca kogucika na ziemi, podczas gdy orzeł z rozwiniętymi skrzydłymi podnosi lot ku słońcu; poniżej taki był napis:

Fleuch Adler auf zur Sonne frei,
Und fürchte nicht des kleinen Thiers geschrei.

Leć orle ku słońcu wolny
I nie lękaj się małego Thiersa krzyku.

„Pan Thiers krzyczał niegdyś na całe gardło: Potrzeba nam Renul, koniecznie nam go trzeba! W dziesięć lat potem tenże sam pan Thiers głosował i krzyczał za ufortyfikowaniem Paryża. Już ciż kto ze stolicy czyni warownię, musi przygotować się na to, że kiedyś będzie blokowaną i bombardowaną, chociażby zawierała najcenniejsze przedmioty sztuki i przemysłu!”

Krytyk zapala się coraz bardziej; zarzut łupieztwa doprowadza go do wściekłości.

„Każdy oficer wojska naszego, mówisz pani, to rozbójnik na szerokim gościńcu; każdy pakuje fortepiany i zegary! i posyła je w upominku utęsknionej rodzinie. Widziałeś to pani? Palono może ogień fortepianami, kiedy zabrakło drzewa, a czemu? boście nikczemnie puciekali z waszych willi i zamków! Na wojnie jak na wojnie.

„Litujesz się pani nad nami! biedne Niemcy! Mówisz, narodzie uczonych! jakież to upadek, jaka hańba! Powiadają przecie, dodajesz, że nie wszyscy oni tacy, że prawdziwych Niemców nie trzeba mięszać, z choiwęmi łupieztwa Prusakami! Czyż to George Sand tak mówi? Piękna Francoyo! co będzie z tobą jeśli twoje najwznioślejsze umysły powtarzają z przeproszeniem takie głupstwa. Prusacy łupiezczy!... śmieszny zarzut.

„Nie, pani, twoja suknia nie ukaże się na ramionach Niemki, noś ją sobie spokojnie. Gdyby rabusie pruscy dotarli do Nohant i gdyby im powiedziano: „Patrzcie oto mieszkanie Georges Sand; każdy z tych barbarzyńskich *brygandów*, uszanowałby dom sławnej autorki. Gdyby zaś przeciwnie (czego Boże nie dopuść) twoi współ-rodacy, kochankowie ideału, promotorowie cywilizacji przyszli zwycięzko pod dom, na którymby stał napis: Hier wohnt Berthold Auerbach” nie uszanowałiby go bezwątpienia, naprzód że nie umieją czytać, zwłaszcza po niemiecku, a potem że nie wiedzą kto jest Berthold Auerbach: uderzyliby na dom i zmienili go w garść gruzów i popiołu.

„Niemiec pozytywista, mówisz pani (str. 258) jemu tak łątwo się pocieszyć! Jakto? Niemiec pełen serca, najtkliwszy, najwierniejszy z ludzi; Niemiec który żyje tylko dla rodziny, miałżeby pocieszyć się po stracie syna albo brata, otrzymanym

zegarem? To obłęd! to bluźnierstwo! Poniżasz pani sama siebie poniżając nieprzyjaciela! Złe drogi do złego wiodą celu!

„Powtarzasz sama: nie Kruppizm, ale bakałarż niemiecki zwyciężył nas! Jeżeli Francya nie chce doświadczyć losu upadłych narodów, niech zmieni sposób wychowania! Tak jest! wychowujcie córki wasze na sposób niemiecki, przysyłajcie je do rodzin naszych; wiele się tu nauczą. Wolnoż wam sądzić o narodzie nie znając nawet jego mowy? Jak wasze dzieci odbiorą wychowanie równe naszemu, jak się nauczą myśleć i pracować a nie bawić tylko, wtedy może nastąpi przymierze pomiędzy dwoma wielkimi narodami Europy, wtedy może powiemy

Soyons amis Cynna!

Umilkły działa od roku, ale wojna Niemiec z Francją przeniosła się do obozu uczonych. Codziennie widzimy nowe dowody rozdrażnienia. W pierwszych dniach stycznia naprzykład, stały sekretarz akademii berlińskiej Ehrenberg, przysłał akademii francuzkiej powinszowanie Nowego Roku. Zwyczaj to przyjęty od dawna, raz tylko przerwany w roku 1871. Akademia francuzka nie odpowiedziała na wezwanie; berlińscy akademicy bardzo tém oburzeni.

Ta walka trwa bezprzestannie od początku XIX wieku. Uчени niemieccy począwszy od Arndta do Mentzla i całej jego szkoły traktowali i traktują odtąd Francuzów z niesłychaną pogardą. Świadczą o tém przysłowia; *Lekki jak Francuz, Powierzchowny jak rozum francuzki*. Dziś nienawiść zwłaszcza ze strony Niemców wzmogła się bardziej jeszcze; sama nawet nazwa *Francuz* stała się dla nich synonimem *nieuka*. Świat naukowy w Niemczech pomiata francuzką cywilizacją. Nienawiść ta przybrała charakter epidemiczny. Potrzeba też wielkiej odwagi cywilnej, aby wyrzec słowo wbrew panującym uprzedzeniom. Mała liczba tych, którzy stanowią wyjątek godną tém większego szacunku.

Do takich wyjątków należy professor Virchow z Berlina. W miesiącu wrześniu roku zeszłego odbył się w Rostocku czterdziesty czwarty zjazd towarzystw naturalistów i medyków niemieckich. Na owém to zebraniu sławny prof. berliński podniósł głos z całą odwagą i bezstronnością godną męża nauki.

„Kiedy Towarzystwo naturalistów niemieckich założone zostało — rzekł Virchow — nauka w Niemczech zostawała zupełnie pod wpływem tych Francuzów, że się wyrażę *promienistych*, owych wzniosłych umysłów, co wyszedłszy z wielkiej rewolucyi otworzyły nowe drogi we wszystkich dziedzinach nauk przyrodzonych. W tej chwili zwłaszcza kiedy nieświadome rzeczy dziennikarstwo, mówi z takim szyderstwem, z taką pogardą o nieszczęśliwych sąsiadach naszych; dziś więcćj niż kiedykolwiek przystało nam

przypomnieć te czasy, gdy wielkie zdobycze intelektualne jakie Francya osiągnęła, wzbogacały wszystkie narody, a żaden przecież naród nie czerpał z nich tak obficie i tak gorliwie jak naród niemiecki.

„Byli we Francyi wielcy ludzie; dośe tu wymienić imiona Cuvier'a, Gay Lussaca, Jussieu'go, Dupuitrena i tylu innych, których pamięć tak nieśmiertelna jak historia ludzkości. Kiedy naturalisci niemieccy zgromadzili się po raz pierwszy, właściwa nauka niemiecka, musimy wyznać, była jeszcze całkiem obwinęta w pieluchy; same nawet podręczniki naukowe miały na sobie wyciśniętą pieczęć francuzką. Przejrzyjmy tylko piśmiennictwo naukowe tej epoki a oprócz małych wyjątków przekonamy się, że wiedza czerpana przez ogół w traktatach naukowych, pochodziła wyłącznie ze źródła francuzkiego. I tak było do 1830 roku!”

Powaga profesora Virchowa zasłoniła go od pocisków dziennikarskich. Niektórzy nawet Niemcy wyżsi nad zatargi czasowe zrozumieli i podnieśli te słowa. Do tych należy korespondent *Biblioteki powszechniej*, wychodzącej w Genewie: „Nieszczęściem — mówi on — wyjątkowi tylko ludzie mają dziś odwagę odezwać się w ten sposób. Opinia powszechna stoi na krańcowo przeciwniej drodze. Nie dziwny się więc, jeśli akademicy francuzcy nie odpowiedzieli na grzeczność pana Ehrenberga.

Świat artystyczny żywo dziś zajęty nową operą Werdego, pod tytułem *Aida*. Jestto jak utrzymują znawcy najpiękniejszy utwór mistrza włoskiego, pełen barwy i oryginalności. Werdi ułożył tę operę na żądanie Izmaela Paszy, Khedifa Egiptu: odegrano ją w początku zimy po raz pierwszy w Kairze, z kąd przeszła już do medyolańskiego teatru *La Scalla*. Z Medyolanu arcydzieło Werdego bezwątpienia obiegnie wszystkie teatru Europy.

Do wartości artystycznej utworu przyczynia się w wielkiej części znakomite *libretto*, wykonane przez pierwszego z Egiptologów dzisiejszych Maryette-Beya, dyrektora muzeum w Boulog. Uczony ten archeolog napisał poemat prozą; na wiersz przerobił go francuzki poeta Camille de Locle, podłożył pod muzykę i zastosował do wymagań scenicznych. Inny znów poeta Ghislamoni przetłumaczył libretto na włoski język.

Wystawą kierował sam Maryette-Bey, z całą ścisłością zamilowanego w nauce archeologa. Nigdy też może poezya i nauka nie przyszły tak dzielnie w pomoc kompozytorowi, aby wspólnymi siłami utworzyć arcydzieło!

Piękny ten poemat zasługuje na szczegółowy rozbiór.

Rzecz dzieje się w Egipcie za czasów najwyższej potęgi Faraonów.

Obraz pierwszy przedstawia pyszny ogród, obok pałacu królewskiego w Memfis. Po prawej ręce wśród kwitnących róż, tron

Faraona pokryty wspaniałym baldachimem. Na drugim planie ciągnie się żyzna dolina Egiptu; widnokrąg zamykają piramidy.

Wielki kapłan Ramphis oznajmia Rhamadesowi, dowódcy straży królewskiej, że Etyopia powstaje zbrojno; dolina Nilu zagrożona, Teby w niebezpieczeństwie. Izda zapytywana przez kapłanów, wskazała już wodza zastępów egipskich.

— I któż będzie tym wodzem? — pyta niespokojny Rhamades.

— Będzie nim dorodny młodzieniec, — rzecze kapłan — sam król ogłosi jego imię.

Wielki kapłan wchodzi do pałacu Faraona, by oznajmić rozkaz wyroczeni.

— Gdybym ja był tym wodzem! — zawoła Rhamades — tak przecie wróżył mi sen cudowny!, powróciłbym w tryumfie do mej Aidy, położyłbym wieniec na jej głowie!

Rhamades kocha piękną Aidę, niewolnicę Amnerysy córki Faraona; ale młodzieniec nie wie, że Aida jest córką króla Etyopii, tego samego, przeciw któremu gotuje się zbrojna wyprawa. Nie wie zarówno że Amnerys dumna pani Aidy, kocha go tajemną a gwałtowną miłością.

Faraon przychodzi na scenę w orszaku kapłanów, dostojników i wodzów. Oznajmia obecnym że Rhamadesznaczony głosem bogini Izdy na wodza przeciwko zbuntowanym Etyopom.

Orszak idzie do świątyni Wulkanu. Marsz rycerski przegrzywa pochodowi. Rhamades odbiera chorągiew z rąk królowej Amnerys. Aida pozostaje sama; dusza jej szarpana boleścią i trwogą. Ktokolwiek zwycięży: czy ojciec czy kochanek, ję udziałem zawsze cierpienie.

Drugi obraz ukazuje wewnątrz świątyni Wulkanu, sławne Rhamesserum w Tebach, w czasów XIX dynastji. W głębi wspaniały portyk, po za nim widać szeroki Nil i łańcuch gór libijskich.

Świątynia wykonana pod kierunkiem Maryette-Beya: prawdziwy to klejnot archeologiczny. Ściany całe pokryte w hieroglify, oddane z drobiazgową ścisłością. W pośrodku stoi posąg Wulkanu. Na piedestale pomieszczono najdroższy zabytek starożytny z muzeum w Bouloq, grupę Uranusa i Sępa z rozpostartymi skrzydłami, emblematą wyższego i niższego Egiptu. Zdobiają ołtarz wazy assyryjskie o końskich głowach; z głębi ich bucha wonne kadzidło.

Kapłani otoczyli ołtarz: grupa kapłanek wzywa bożka Phtah ducha oświeciciela, który świat wyprowadził z nicości, a słońcu daje żar i światło.

Rhamades idzie do ołtarza; kapłanki okrążając go, wykonują mytyczny taniec, uświęcony rytuałem wschodnich ludów, podobny do tego jaki Dawid wykonywał przed arką. Zarzucają zasłonę z srebrnej gazy, na głowę młodego rycerza. Po wezwa-

niu Wulkana, Rhamades wdziewa zbroję, którą podaje mu wielki kapłan.

Muzyka przygrywa hymn religijny, towarzyszący zwykle wirowym obrotom Derwiszów. Podczas mytycznego tańca, chóry śpiewają pieśń błagalną o tryumf falang egipskich.

Nume custode e vendice
Di questa sacra terra.

Finał nadzwyczaj efektowy.

Drugi akt zaczyna się w pałacu pięknej Amnerysy, córki Faraona. Niewolnice stroją królowę, na uroczystość tryumfalną. Tancerki nubijskie tymczasem tańczą przy dźwięku melodjy arabskich.

Wśród powszechnj radości, Aida milczy smutna; znać ukrywa w sercu głęboką boleść. Amnerys sama z nią pozostaje. Aida uwiedziona pieczyotą wyznaje królownie miłość swą do Rhamadesa. Tu dramat rozwija się na wielką skalę. Gniew i zazdrość szarpia serce królownej.

— Drżj niewolnico! jam panią twego losu! — woła Egipcyanka. Aida stoi w postawie błagalnej, tymczasem za sceną rozlega się odgłos trąb wojennych. Rhamades powraca uwieczony zwycięstwem.

Zmienia się obraz. Teatr przedstawia bramę Teb starożytnych. Na pierwszym planie drzewa palmowe rozrzucone grupami; na prawo świątynia Athor Afrodyty; bliżej tron przysłonięty purpurowym baldachimem. W głębi ciągnie się szereg sfinxów, głębiej jeszcze panorama miasta. Z wierzchołka masztów powiewają chorągwie białe ze szkarłatem. Na frontispisie baldachimu królewskiego, sęp z rozpostartemi skrzydły, trzyma w dziobie dwa berła symboliczne: jedno przedstawia bicz, drugie haczyk; jedno popędza naprzód, drugie wstrzymuje w miarę. To godło Faraonów odkryto w świątyni Edfon.

Lud zalega plac tłumnie. Przybywa król, za nim kapłani, wodzowie i straż z chorągwiami. Amnerys otoczona orszakiem niewolnic, siada po prawicy Faraona.

Następuje pochód tryumfalny. Tu Margitte Bey, szerokie znalazł pole do rozwinięcia całego bogactwa archeologii, w czem umiał połączyć wzniosły artyzm z głęboką nauką. Otwierają pochód dwaj trębacze: ich trąbki z pistonami długie, cienkie, formy starożytnej, jakie mistrze średnich wieków podawali w usta aniołom, zwołującym umarłych w dniu straszliwego sądu. Za nimi idą oddziały wojsk przybrane w różnobarwne tuniki, skopiowane z płaskorzeźb w Bab-el-Monly, na grobie Ramura IIIgo. Jedni zbrojni w olbrzymie łuki i kołczany, drudzy w dziryty, inni w wysokie tarcze: Negry wyobrazeni przez prawdziwych synów Sahary.

Daliej postępuje straż królów zwana Schardana, strojna z niesłychanym przepychem, według dawnych płaskorzeźb. Był to rodzaj janczarów starożytnych. Za panowania Ramlezasa, plemię Tehardana uderzyło na Egipt od Cyrenejki. Lud ten dorodny, pokonany przez Faraona, tworzył odtąd straż honorową. Byli to wyspiarze z morza Śródziemnego, proajce dzisiejszych Sardyńczyków.

Za wojskiem defilują grupy tancerek przedstawiające Azyą, Etyopią, Lybią i Egipt. Kapłani noszą świętą barękę Athor-Afrodyty. Nakoniec pojawia się Rhamades, na bogatym palaninie, niesiony przez wodzów i pierwszych dostojników. Zamykają wreszcie orszak jeńcy etyopscy; w pośród nich idzie okuty w pęta król Amonasro, ojciec pięknej Aidy: pyszny marsz przygrywa do pochodu.

Trzeci akt przedstawia skalisty brzeg Nilu oświecony blaskiem księżycą. Pięknę palmy powtarzają w wodzie długie warokcze. Na wierzchołku skały piętrzy się wielka świątynia Izdydy, wykonana wiernie według wzoru z wyspy Filoe.

Amnerys przybywa w towarzystwie arcykapłana; pragnie oddać się pod opiekę bogini, matki nieśmiertelnych, małżonki Osiryasa. Król w nagrodę nadzwyczajnej odwagi Rhamadesa oddaje mu rękę córki własnej.

Podczas kiedy młoda królewna modli się w świątyni, pojmany król Etyopów, błaga córkę Aidę, aby korzystając z miłości Rhamadesa, wydobyła od niego tajemnicę nadzwyczaj wielkiej wagi. Wkrótce ma nastąpić nowa wyprawa przeciw podnoszącym znów głowę Etyopom. Duet ten sławiony powszechnie.

— Zobaczysz wonne lasy, świeże doliny nasze — śpiewa starzec — powitasz złociste progi świątyni, będziesz tam żyła szczęśliwa z ukochanym.

— Za godzinę takiego szczęścia — odrzeczcie Aida — alboż nie warto umrzeć?

Rhamades przybywa, ulegając prośbom Aidy, odkrywa tajemnicę. Oskarżony o zdradę przez córkę Faraona, wpada w ręce nieprześląganym kapłanów. Aida ucieka z ojcem, strażę ich doganiają.

Szósty obraz przedstawia obszerną salę w pałacu. Na prawo schody prowadzą do sklepień podziemnych, gdzie obradują kapłani. Po lewej ręce szereg kolumn dzieli salę od dziedzińca ozdobionego kolosalną statuą. Więzienie Rhamadesa wychodzi na dziedzińiec.

Amnerys szarpana miłością i żądzą zemsty, idzie do więzienia, postanawia ocalić go, ale Rhamades głuchy na jej prośby. Odrąconą, udaje się do podziemnego lochu. Kapłani bez względu na jej błagania rzucają klątwę na głowę winowajcy. Rhamades miłoczy stawion przed sądem. Amnerys płacze na scenie, ustęp to nadzwyczaj dramatyczny. Chór przekleństwa wybiegający z głębi lochów, niesłychaną przejmującą grozą.

Rhamades musi umrzeć: żadna siła ocalić go nie zdoła. W ostatnim obrazie teatr przedstawia w przecięciu starożytną świątynię egipską, przedzieloną na dwa piętra. W górze przepych i światło, na dole wieczny pomrok. Rhamades ukazuje się wśród ciemnych arkad. Po nad głową jego, na wyższym piętrze, dwaj kapłani zawalają kamieniem jedyny otwór wiodący do pieczary. Klarynety i fletnie naśladują głuchy jęk. Po chwili Rhamades spostrzega, że nie jest sam w podziemiu. Aida tajemnie zakradła się w to miejsce. Od trzech dni tam go czeka. Życie ich rozdzieliło, niechże ich śmierć połączy.

Dwie sceny razem uderzają wzrok widzów; jakaż w nich sprzeczność! jaka ironia! W górze przy dźwięku chorów dziękczynnych, kapłanki tańczą na cześć bogów mytyczne tańce; poniżej Rhamades i Aida żałosną pieśnią żegnają się na wieki z życiem.

— Czy widzisz — śpiewa Aida — promienisty anioł śmierci, przystąpił z cicha do nas! już nas bierze na złote skrzydła, i unosi w krainę rozkoszy nieśmiertelnej. Już bramy nieba otwierają się dla nas. Tam milknie wszelka boleść, tam żyć będziemy w zachwycie wiecznej radości i wiecznego wesela!

Piękny teatr opery w Kairze, zbudowany przez khedifa na inaugurację kanału Suezkiego, odpowiada wymaganiom pysznej reprezentacji.

Wspomnieliśmy nazwisko Mariette-Beya, znakomitego Egiptologa, który tak układem poematu, jak również umiejętnym kierunkiem nadałym wystawie Aidy, przyczynił się tak wielce do powodzenia arcydzieła Werdego. Opera ta, jak łatwo wnosić można, obiegnie wkrótce Europę i rozpowszechni wiedzę o cywilizacji starożytnego Egiptu.

Francya słusznie poszczycić się ma prawo, że rękoma uczonych swoich, otworzyła przed światem ową olbrzymią kartę dziejów, wydobytą z pod piaszczystych zasp, które czas na skrzydłach uraganu, naniósł z pustyni Sahary. Maryette Bey, godny następca Champolliona, uczeń sławnego Egiptologa Rongego, stał się dziś dla nauki jakoby nowym Kolumbem. To istny czarodziej: na zaklęte jego słowo, stary Egipt wyrasta z pod ziemi.

Osobistość wielkiego starożytnika i prace jego w dziedzinie archeologii, zasługują na obszerniejszą nieco wzmiankę.

August Edward Mariette urodzony w Boulogne roku 1821, poświęcał się od młodości badaniom starożytnych zakątków wschodnich, pod kierunkiem profesora Rongego. Po ukończeniu nauk, dostał się na konserwatora muzeum egipskiego w Luwrze. W roku 1850 wysłany z misją naukową do Egiptu, w celu poszukiwania manuskryptów po monasterach Koptów, skoro przybył na miejsce, zajął się wykopaliskami w okolicy gdzie leżało

miasto Memfis. Niezmordowany pracownik strawił lat cztery na pustyni. Udał się tam jako nieznany światu młodzieniec, powrócił ztamtąd jako prawdziwy tryumfator.

Dnia jednego w roku 1850 przechadzając się po równinie, z okiem wlepionem w ziemię, spostrzegł Mariette kamień wystający z pod piasku; odgrzebał go: była to głowa sfinxa. Skazówka ta naprowadziła go na myśl, że jest w bliskości sławnej świątyni Serapis, o której mówi Strabon jako o najbardziej czczonej z pomiędzy świątyń starożytnego Egiptu, zawierała bowiem groby Apisów.

Wół święty uważany jako wcielenie Osyrysu na ziemi, przebywał w mieście Memfis, w świątyni zwaną Apium. Po śmierci wybierano mu następcę, zwłoki zaś chowano w Serapeum.

Pod kierunkiem Marietta, rozkopano górę piasku wysoką na metrów dwadzieścia. Wzdłuż przestrzeni wynoszącej metrów dwieście, uczony archeolog wydobyl sto czterdziestu sześciu całych sfinxów i wielką moc rozbitych w gruzy.

Sfinxy te rozstawione szeregiem oznaczały drogę wiodącą do świątyni. Przedstonek jej w formie hemicyklu, obejmował, rzecz dziwna, posągi filozofów, poetów i prawodawców greckich: Pindara, Likurga, Solona, Eurypidesa, Pitagoresa, Platona, Eschylesa i Arystotelesą. Wszystkie oznaczone były godłami, niektóre z nich nawet imieniem. Pomniki te znać pomieszczono w świątyni za panowania Ptolomeuszów.

Hemicykl prowadził do właściwej świątyni Serapeum. Ściany jej tworzyły stosy zwalisk; ale pod niemi znalazł Mariette głębokie sklepienia: była to sławna nekropolia apisów. Składano tam kości świętych zwierząt przez wieki, od czasów XVIII dynastji do ostatniego Ptolomeusza. Zrazu chowano je tu i ówdzie, dopiero za Faraonów XXVI dynastji, wykuto w skale galerję długą na dwieście metrów, po obu jej stronach ciągną się szeregiem cele w niewielkich od siebie odstępach; każda zamknięta osobnego apisa, w granitowym sarkofagu, wykutym z jednej bryły. Monolit każdy waży 65,000,000 kilogramów.

W głębi tych katakumb znalazł Mariette niezliczoną moc spiżowych posazków Osyrysa i innych bóstw egipskich. Znosili je tu pobożni pielgrzymi, zwiedzając święte groby apisów. Oprócz tego kładli oni na pamiątkę odwiedzin czworograniaste płyty kamienne, zwane *Stele*, zaokrąglone w górze. Znalezione pięćset takich ciekawych dokumentów. Napisy na nich oznaczają rok, miesiąc i dzień panowania współczesnego władcy. Porównanie tych stelów, pozwoliło ułożyć na niezbitych dowodach, chronologiczną tablicę Faraonów Egiptu.

Pomniki starożytne wydobyte z Serapeum, rozeszły się po pierwszych muzeach świata. Dwa sławne lwy bazaltowe wzbogaciły muzeum Luwru; dwa inne znajdują się na Watykanie, a odlewy z nich zdobią fronton Instytutu francuzkiego.

Mariette pozostał w Egipcie. Światły khedif Izmael pasza, mianował go dyrektorem muzeum w Boulog, i nadał mu tytuł

Beya, odpowiedni książęcej godności. Niepodobna tu wyliczyć wszystkich wykopalisk dokonanych od lat dwudziestu pod kierunkiem uczonego starożytnika. Do najważniejszych należy przepyszny pałac Faraonów odkryty przed kilku laty w bliskości dawnych Teb, we wsi arabskiej Medined-Abou. Jestto zarazem pałac i świątynia, niby odwieczny jakiś Wersal, wzniesiony na chwałę Ramusa III-go.

Ramus należący do XIX dynastji Faraonów panował na lat 1300 przed Chrystusem, w czasach najwyższego rozkwitu sztuk pięknych w Egipcie. Ze wszystkich pomników, jakie dotąd odkryto, ów pałac Ramusa największe ma znaczenie, tak pod względem historyi jak i sztuki.

Ogromny gmach dzieli się na dwie części: na świątynię i na właściwy pałac.

Pawilon zwany pałacem lubo nigdy zapewne nie był mieszkaniem Ramusa, ma przecież cały pozór królewskiej siedziby. Poprzedzają go dwie czworograniaste wieże, których balkony wspierają się na grzbiecie leżących niewolników. Płaskorzeźby na ścianach wewnętrznych ukazują nam Remusa w domu otoczonego rodziną: jedna z córek przynosi mu kwiaty, druga owoce, trzecia siedzi obok ojca pochylona nad szachami. Mury zewnętrzne przeciwnie wyobrażają sceny z życia rycerskiego, Tu Ramus powala nieprzyjaciół, w obec niebieskiego opiekuna swego Amona, bóstwa czczonego w Tebach; dalej przyprowadza bogom jeńców wojennych. Każdy jeńiec przedstawia jedno z podbitych plemion. Rzeźbiarz umiał wybornie uwydatnić typ właściwy każdemu plemieniu. Prawdziwa to zdobycz dla etnografów, te autentyczne wzory ludów, które w XIII wieku przed erą naszą zaludniały Azyę wschodnią, Libię i Sudan. Charakterystyczne napisy określają każdą osobistość. Tu *podły wódz Khetasów* z ogromnemi kolcami w uszach; tam *podły wódz kraju Amaro* z długą twarzą i brodą śpiczastą; tu *zuów wódz kraju Libou* (Libii) z kossą włosów spadającą na ucho i t. d. i t. d.

Właściwa świątynia, tworząca drugą część gmachu, daleko ważniejsza niż sam pałac. Jestto pomnik grobowy. Ramus wybudował go sobie za życia a poświęcił bogu Amonowi.

Brama wysoka na 22 metry pokryta całą płaskorzeźbą, przedstawia sławne wyprawy Ramusa na Libijczyków, Machuahów i inne ludy nadbiegłe z Libii, Syrii i z wysp morza Śródziemnego, w nadziei opanowania Egiptu. Król uderza maczugą kłęczących niewolników przed obliczem Amona. Sam Bóg podaje królowi topór i wylicza jego tryumfy.

„Obracam oblicze na Północ — mówi Ammon — chcę aby Fenicya skłoniła głowę u stóp twoich, chcę aby podbite narody przyniosły ci wszystko złoto i srebro i drogie kamienie. Obracam oblicze na Wschód: chcę aby Arabia przyniosła ci swoje balsamy i drogocenne wonie. Obracam oblicze na Zachód i t. p.

Inną próbkę liryzmu egipskiego widzimy w hymnie zwycięstwa, nakreślonym na zewnętrznych murach świątyni. Tu przemawia sam Ramus: odzywa się w ten sposób:

„Zasiadam na tronie Horusa, bogini Hourekaouspoczywa nad głową moją. Podobien słońcu otaczałem opieką cudze kraje, i granice Egiptu. Wyparłem z nich dziewięć ludów, zabrałem im ziemię i granice ich uczyniłem mojemi. Ich królowie niosą mi hołdy. Spełniłem zamiary najwyższego mojego ojca w niebie władcy bogów. Głosicie wesele wasze ludy Egiptu, niech okrzyk wasz ulata w niebiosy. Jam król wyższego i niższego Egiptu, jam zasiadł na tronie Touma, z jego ręki podjąłem berło, jam zwycięzca na ziemi, na morzu i we wszech stronach świata!”

Za przedśionkiem ciągnie się dziedziniec. Jeden bok jego zdobią karyatydy przyparte do pilastrów. W posągach tych przedstawiony Ramus, przybrany w godła Ozyrysa.

W końcu dziedzińca widać drugą bramę pokrytą zarówno w płaskorzeźby i napisy. Ramus przyprowadza przed Ammona jeńców, ustawionych w trzy rzędy. Ci jeńcy należą do ludów osiadłych w Azji i na brzegach morza Śródziemnego.

Bramy te prowadzą na drugi przepyszny dziedziniec. Jestto prawdziwe arcydzieło architektury egipskiej: styl jej wytworny, kwiecisty przypomina sztukę z czasów Odrodzenia. Z czterech stron ciągną się galerye pokryte całe rzeźbami. Wschodnia i zachodnia oparte na pilastrach kwadratowych, północna i południowa, podtrzymana rzędami kolumn, których kapitale wyobrażają kwiat lotusu. Wschodnia galerya podniesiona znacznie nad poziom, zamknięta z dwóch stron balustradą.

Niższą część owych galeryj zdobią płaskorzeźby przedstawiające same sceny wojenne. Tu król pędzi na wozie, rozbija tłumy przerażonych nieprzyjaciół, sam zagarnia tysiące jeńców i przywodzi ich bogom. Wyższa część galeryi przedstawia wyłącznie religijne obrzędy.

Dwunastu *okryśów* czyli wodzów, z głową przybraną w strusie pióra, wynosi Ramzesa z bram pałacu w otwartej lektyce, siedzącego na bogatym tronie; dwie figury symboliczne: sprawiedliwość i prawda, osłaniają ów tron złotemi skrzydły; z jednej strony podpira go *sfinx*, godło mądrości połączonej z siłą, z drugiej lew, godło odwagi. Orszak dworzan otacza króla, niosąc w rękę wielkie wachlarze; dzieci niosą berło, kołczan i inne godła królewskości.

Dziewięciu książąt krwi postępując za Faraonem; dalej ciągnie oddział żołnierzy. Otwierają pochód śpiewacy; wśród instrumentów muzycznych widać trąbę, bębny i fletnie. Dalej idą kapłani i domownicy: syn Ramzesa pali kadzidło.

Inna rzeźba przedstawia króla w świątyni Horusa. Dwudziestu dwóch kapłanów niesie posąg bóstwa pod baldachimem, wśród wachlarzy i kwiatów. Król idzie naprzód; za nim prowadzą białego wołu: żywy symbol Ammona Horusa. Królowa małżon-

ka Ramzesa, przypatruje się z góry obrzędowi. Pochód religijny otwierają kapłani w liczbie siedmiu; niosą na barkach posągi zmarłych królów poprzedników Ramzesa, którzy biorą udział w tryumfie potomka swego.

W jednej z sal świątyni, pod płytami marmuru tworzącymi posadzkę, wynaleziono przeszło 1000 spiżowych posążków Ozyrysa.

Niepodobna opisać ani wyliczyć nawet wszystkich rzeźb tak na galeryach jak na murach świątyni. Najważniejsze pod względem archeologicznym, pokrywają ścianę jej południową. Tworzą one dziesięć obrazów, symetrycznie pomieszczonych koło siebie. Obrazy te przedstawiają wojnę Ramzesa przeciwko Libijczykom i Tokkarom.

Na pierwszym obrazie, król wyrusza na czele zastępów; wojsko w pochodzie; szczegóły uzbrojenia oddane z ścisłą dokładnością.

Drugi obraz: zwycięstwo Ramzesa nad Libijczykami. Król walczy sam; ziemia zasłana trupem.

Trzeci obraz: przyprowadzają królowi niewolników. Skryb zapisuje prawice ucięte poległym; liczba ich dochodzi 12,535, Te ręce złożone u stóp tronu, tworzą wysoki pagórek.

Czwarty obraz: król przemawia do wodzów: ciekawe szczegóły uzbrojenia.

Piąty i szósty obraz: nowe zwycięstwo nad ludem Tokkaro: kobiety i dzieci uciekają na wozach uprzężonych wołami.

Siodmy obraz: armia przebywa w pustyni pełnej lwów.

Ósmy obraz: walka morską, jedyną jaką znaleziono na pomnikach egipskich. Statek nieprzyjacielski zatopiony. Rzecz odbywa się u wybrzeża. Ramzes patrzy z łądu na tryumf swojej floty, wypuszcza z łuku strzałę na nieprzyjaciół.

Dziewiąty obraz: wojsko zabiera się z powrotem do Egiptu, liczą znowu ucięte ręce.

Dziesiąty obraz: powrót tryumfalny Faraona do Teb, mowa bogów, mowa Ramzesa: Jęhey błagają łaski.

Odkrycie wspomnianego pomnika w Medined Abon, rzuca niesłychane światło na historię i obyczaje starożytnych Egipcyan.

Ostatni i równie ważny odkryciem Marieta, jest sławna świątynia Seti, odkopana w wyższym Egipcie. Malowania na ścianach, zachowane nadzwyczaj świeżo, czynią ten pomnik jednym z najcenniejszych zabytków starożytnej cywilizacji. W tej świątyni Mariette Bey wynalazł tablicę Faraonów, zachowaną wybornie, lepiej niż ta jaką posiada londyńskie Muzeum.

Król Seti i syn jego Ramzes, przedstawieni na niej w stojącej postawie. Pierwszy składa ofiarę ogniomu, drugi powtarza święty hymn. Przed nimi uszykowane w obrazie synoptycznym, rzeźby (kartusze), przedstawiające siedmudziesięciu sześciu Faraonów na których cześć Seti pali ofiarny płomień. Ten poczet rozpoczyna imię Menesa, założyciela monarchii egipskiej.

Mariette Bey wydał znakomite dzieło, p. t. *Przewodnik po Egipcie*. Opisał w niem szczegółowo ruiny Karnaku, Elefantyny, Abydos, świątynię Edfou, świątynię Izydy na wyspie Filoe, oraz wszystkie wykopaliska, dokonane pod jego własną dyrekcją. Przewodnik ten nieocenioną był skazówką dla podróżnych, którzy jak wiemy tłumnie nawiedzali Egipt podczas inauguracyi kanału Suezkiego.

Eugeniusz Manuel autor dramaciku „Robotnicy” wydał tom poezyi pod tytułem: *Poemes populaires*. Są to drobne obrazki rodzajowe, brane z życia ludu, po większej części paryzkiego. Autor z miłością przykładą rękę do ran toczących ludzkie serca, w dzisiejszym stanie społecznym. Zbiór ten przed dwoma laty przygotowany już do druku, wyszedł dopiero teraz; wojna zatrzymała publikacją. Zawarte w nim obrazki proste, rzewne, pełne ciepła, nie mają związku ze świeżemi wypadkami we Francyi. Tym ostatnim poświęcił poeta nowy zbiór, który pojawi się wkrótce p. t. *W czasie wojny*.

O *poemacikach popularnych* Manuela, powiemy obszerniej w innej kronice. Dziś wybieramy z nich dwa malenkie obrazki.

DZIECKO W OGRÓDKU

Chory ojciec zasnął przecie:
 Idź, popłasaj moje dziecko
 W ogródeczku sam;
 Sen to długi, nieprzespany,
 Ty go nie znasz mój kochany,
 Ale ja go znam!
 Weźże piłkę i obręczę,
 Nikt nie wzbroni ci, ja ręczę,
 Biegać ile sił!
 Niech swobodą wzrok twój błyska,
 Domowego ich ogniska,
 Tyś nadzieją był!
 Gość za gościem idzie nowy:
 Z pochyłemi wszyscy głowy
 Okrażyli próg:
 Odskócz żywo z dala domu,
 Niech spokojnie śpi ten, komu
 Zamknął oczy Bóg!
 Taki piękny dziś poranek,
 Słońko świeci, zaplec wianek
 Z wonnych kwiatków wrzad;
 Baw się chłopcze tam na darni,
 I nie pytaj co ci czarni
 Zabierają ztąd!

A jeżeli w drzew gestwinie
 Przed twém okiem się przewinie
 Jakiś drżący cień;
 Gdy posłyszysz jęk rozpaczy,
 Ty nie pytaj, co to znaczy:
 Ach! dziś smutny dzień!
 Oto słyszę łoskot młotka,
 Biednyż! biedny ty sierotka!
 Idźże chłopcze już;
 Od ścian domu odwróć oczy,
 Niechaj skrzydły cię otoczy
 Biały anioł-stróż!

WIOSNA.

Lasy, pola drżą radośno,
 Pękły lody, rzeki płyną;
 „Witaj wiosno, słodka wiosno“
 Szumi wietrzyk nad doliną.
 Świat się budzi ze snu wszystek:
 „Witaj wiosno!“ szepcze ziarno,
 I zielony puszcza listek
 Przez skorupę ziemi czarną.
 „Witaj wiosno! — niech zagwarzy
 Kto przeboleł w życiu wiele:
 Do mnie smutni, do mnie starzy,
 Miękkie łoża wam uścielę.“
 Niezabudki w dole rosną
 Konwalijka w lesie dzwoni,
 Rosa woła: „witaj wiosno!“
 I wybucha kłębem woni.
 I dziewanna główkę złoci,
 Jak na gody druchna młoda,
 Pod szeroki liść paproci
 Krasna tuli się jagoda.
 O stoletni dąb jemiola
 Liść obwija tak miłośno,
 Macierzanka z cicha woła:
 „Witaj wiosno! słodka wiosno!“
 Rumowiska bluszcz ocienia,
 Wieńczy groby sploty swemi,
 Dość Bożego tylko tchnienia
 Aby wrócić radość ziemi.
 Wszystko czeka dżdżu i rosy,
 Szuka słońca, życia pragnie;
 „Witaj wiosno!“ brzmia odgłosy
 W lesie, w polu, w piasku, w bagnie.

Ach! gdy śpiewak zimę prześni,
 Jak mu serce drży radosno,
 Stroi lirę — czas do pieśni!
 Witaj wiosno! słodka wiosno!

W ostatnim dniu zeszłego miesiąca odbyła się znów uroczystość w Akademii francuzkiej. Pan Cuvillier Fleury wprowadzał nowego członka p. Duvergier de Hauranne, wybranego dwa lata temu w miejsce księcia de Broglie.

Wspomnieliśmy niedawno o zarzutach, jakie reformatorowie dzisiejsi czynią Akademii powstając ostro na próżne szermierki słowa, w czasach, kiedy tak szerokie pole otworzone do wspólnej pracy. Ostatnie posiedzenie więcej niż każde inne usprawiedliwia zarzuti podaje broń w ręce surowych krytyków. Milczą oni dotąd; ale jestto cisza przed burzą, po której następują zwykle gromy.

Pan Duvergier de Hauranne, członek Izby z czasów Ludwika Filipa, gorący zwolennik parlamentaryzmu, wymowny orator i publicysta, w ciągu całego zawodu politycznego dążył usilnie do obcięcia praw królewskich na korzyść Izby. Znane jego orzeczenie *le roi regne et ne gouverne pas*, (król panuje a nie rządzi) zadrażniło w swoim czasie i drażni po dziś dzień opinie zagorzałych Orleanistów, do których należy p. Cuvillier Fleury.

Dziwne było nadzwyczaj położenie. Delegowany Akademii przyjmując dawnego przeciwnika, zmuszony z urzędu sypać mu w oczy pochwały, umiał zręcznie korzystać ze sposobności i hojnie najeżył kołcami wieniec uwity na cześć nowego współ-kolegi. Obecność książąt Orleanu témbardziej zapalała jego werwę. Pan de Hauranne wystawiony na te dotkliwe pociski, znajdował się w położeniu owego adepty, który w starożytności wchodził do sanktuarium drogą pełną smoków, zionących z paszcz płomienie.

Otworzyła posiedzenie mowa pana Hauranna na cześć księcia de Broglie. Był to streszczony obraz rządów parlamentarnych we Francyi między jednem a drugim cesarstwem, rządów w których książę czynny i stały brał udział. Oto niektóre szczegóły z życia zmarłego akademika.

Miał lat dziewięć, kiedy ojciec jego, przyjaciel la Fayette'a, położył głowę pod gilotynę. Na chwilę przed spełnieniem wyroku skazany wyrzekł do syna pamiętne słowo: „będą tacy, którzy zechcą może zochoydzic wolność w oczach twoich; powiedzą ci że padłem jej ofiarą: nie wierz im synu, a pozostań jej wiernym!”

Po śmierci ojca chłopiec wychowany kosztem rządu z podobnemi mu sierotami, w żabotach i czapce frygijskiej, chodził do Mairie po tygodniowe wsparcie.

Za cesarstwa młodzian służył w dyplomacyi. Wysłany z missyą czas jakiś przebywał w Warszawie.

Po powrocie Ludwika XVIII, jako członek Izby parów, rozpoczął długi zawód parlamentarny. Wówczas pojął w małżeństwo córkę pani de Stael, z którą przeżył szczęśliwie lat dwadzieścia.

Mówca uwydatnił piękne strony życia zmarłego. Zestawieniem czynów dowiódł, że książę Broglie, aczkolwiek nie stał się popularnym z powodu wrodzonej nieśmiałości, był człowiekiem prawym i zacnym. On to sam jeden bronił skazanego na śmierć marszałka Ney'a, zdejmując z niego zarzut zdrady; on powstawał silnie przeciwko wojnie hiszpańskiej, rozpoczętej przez Burbonów w interesie dynastycznym; on jeden z pierwszych podjął sprawę oswobodzenia Negrów wbrew panującym przesądom; on głosował za obaleniem praw starszeństwa, mimo że sam korzystał z nich, zawdzięczając im miejsce w Izbie Parów.

Nie mniejsze zasługi położył Broglie na niwie literatury.

Podczas walki klasyków z romantykami, napisał poważną rozprawę o Szekspirze, czém przyczynił się niemało do zwalczania zastarzałych uprzedzeń. W ostatnich czasach życia, osiemdziesięcioletni już starzec pisał ciekawe pamiętuiki; śmierć dopiero wytrąciła mu pióro, a to tak nagle, że ostatnie wyrazy zostały bez peryodu.

Najsurowszy krytyk nie mógłby nic zarzucić mowie p. de Hauranne, publiczność częstemi przerywała ją oklaskami. Te oklaski stały się antidotem przeciw jadowitym pochwałom p. Cuvillier Fleury.

Rzućmy okiem na tę zręczną a złośliwą dialektykę, ubliżającą według nas godności akademii.

„Odczytałem, rzekł Cuvillier, wszystkie rozprawy i dzieła, któremi pan raczyłeś obdarzyć mnie aż do zbytku, podsuwając mi przed oczy te nawet, których wolałbym nie znać, albo puścić je w zapomnienie. Badałem przyjaciół pańskich i tych nawet którzy nimi już być przestali, poznałem pana bardzo dobrze.

„W początku pańskiej karyery, spostrzegam... trzy wodewille! niewinne wybryki młodzieńczego humoru... niewinne zapewne dopóki dziennik urzędowy cesarstwa, nie przypomniał tych grzeszków młodości, o których wszyscy zapomnieli.”

Jeden z tych wodewilów miał tytuł *Arlekin zazdrosny*. Mówca nie omieszczał z tego korzystać.

Te dzwoneczki fantazyi satyrycznej, rzekł, któremi zabawiłeś pan swoją młodość, podzwaniały i w późniejszych, poważnych jego pracach; słyszymy je nawet w *Historji parlamentaryzmu*, znajdujemy tam wszystko: i komedię, i wodewille, i bileciki kobiece — godne wiary świadectwa skoro im wierzyłeś — ale sprzeczne z powagą przedmiotu.

Mówca szydzi bez litości i z kandydatury na deputowanego pana de Hauranne, i z prac jego dziennikarskich w *Globe*. „Ileż to, mów, napsułeś pan krwi Ancellotowi, Viennetowi i innym

zaciętym klasykom! a jednak byłeś tylko platonieznym kochan-
kiem romantyzmu, nie chciałeś się pan zbyt niekompromitować!

Najdotkliwiej przecież żartuje z politycznych zasad nowego
akademika, z jego opozycyi, z chęci unniejszenia przywilejów
królewskich: Cobys też pan robił, gdybys był królem? pyta szy-
dereo, chciałbym doprawdy zobaczyć cię na tronie! We Francyi
każdy pragnie być czemcis, nawet król!

Przechodzi potem do *Historyi Restauracyi*, poważnej pracy
w dziesięciu tomach, której pan Hauranne zawdzięcza akademickie
krzeszło.

Pojmujesz pan historyą, mówi złośliwie, jako pracowite
nagromadzenie materyałów z przeszłości. Starożytni nie znali
nic podobnego. Wolter inaczej też rozumiał dzieje. On w opo-
wieści zwięzłej i treściwej, zastępował rozmiar głębością.
W dramacie jaki pan rozwijasz, same walczą zasady, nie dopatrzę
nigdzie człowieka. Znać kochasz zasady, ludzi zaś nie zawsze
kochałeś!

Chwali nakoniec mowę na cześć księcia de Broglie. W o-
brazie tego zasłużonego zycia, tych walk, mówi z przekąsem, ni-
czego nie brak; wyczerpałeś pan przedmiot: ale jego samego brak-
nie nam zawsze na tém krzesle, któreś pan po nim zajął.

Silnie tylko odpiera zarzut nieśmiałości uczyniony księciu
de Broglie, zarzut oparty na pośmiertnych jego pamiętnikach.
„Mógł-że być, mówi, nieśmiałym, dziecie wielkiego rodu,
ten który dowiódł zyciem, iż w jego żyłach płynie krew trzech wiel-
kich marszałków Francyi? Z tego tytułu przypomina, że wnuk
księcia ranny był w bitwie pod Paryżem.

— Bohaterstwo, rzekł nie ginie w tych, którzy odziedzi-
czyli je prawem rodu!

Zapomniał znać wymowny akademik, że pod Paryżem padło
tysiące dzielnej młodzieży, która nie otrzymała spadkiem krwi
podobnego dziedzictwa!

KORRESPONDENCYA.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Okolice nad Zharem i Rowem.

Niedaleko od rzeki *Wołku* jest wieś *Kryniczne* z pięknym sta-
wem, przy nim wznoszą się wzgórza z brzozowymi laskami. Miła
ustron, widoków skala niewielka, ale wdzięczna. Jakaś cisza i swoboda;
ruchu mało, ale choć nie widać tu pracy ludzkiej, natura sama ustroiła

te miejsca ponętnie: na cyplach wzgórzy bukiety drzew, w dole łączki rozkoszne pełne kwiatów, brzozy białe na zielonem tle. Staw dziś zakrętem opasujący wzgórze, niedawno był daleko mniejszy. Dziś szeroka grobla i murowany młyn; zwierciadło wody wygląda na sporą rzekę; ale kto znał dawniej głośnie trzy źródła, niżej stawu, dotąd je wspomina z żalem. Były to trzy bijące źródła, czyste jak łą; każdy się tu zatrzymywał, rad popatrzeć na żywe perły migające ustawicznie i napić się doskonałej wody. Właściciel wsi kazał powiększyć staw, usypał grobla niżej i zalał pocziwe źródła; naciśnięte ciężką kolumną wzięły inny kierunek i zrobiły sobie drogę przez bliżką kamienną górę; by je zatrzymać wykopano głęboką fossę i w niej wzniesiono szeroki mur, sądząc, że przetrną rwący się żywioł. Nie pomogło: źródła przebiły się niżej muru, i zrobiły sobie wychód daleko poza groblą; straciły jednak dawną przejrzystość, przechodząc przez różne pokłady góry, nasiękły żółtawą barwą, i nie mają już tego smaku; jakieś części żelazne i siarczane można w nich dostrzedz.

Ztąd, przejechawszy piaszczystą nieco pochyłość, wieś Kalno, rozległą, i chociaż zieleniejącą sadami, dość smutną, lasy leszczynowe i osikowe, przez małe i bardzo złe drogi, dostajemy się na góry pięknymi lasami porośłe, z kąd widać wstęgę wody i wieś z równiny wspinającą się na znaczną wyniosłość; czerwienieją mury dużego budynku, i daleko ponad jar pociągnęły się wzgórze. Woda owa jest rzeką *Zharem*, wieś od rzeki bierze nazwisko. Na lewo bieje dom właściciela, ogród niewielki spuszcza się ku dołowi. Budowla owa to cukrownia; woda Zharu, wstrzymana tu poraz pierwszy groblą, tworzy trzy idące po sobie stawy, o mile zwiększona przeciekami, zalewa wielkie przestrzenie, krajem leśnym płynie do wielkiej wsi *Bahrynowiec*, miasta powiatowego *Lityna*, obraca kilkadziesiąt młynów, i za *Mikulincami* wpada do *Bohu*. Okolica nad *Zharem* ma sobie właściwy wdzięk: ziemia w znacznej części gliniasta, rodzi pszenicę i wiele płodów; lasy czarne rosną tu głównie, dęby zrzadka wśród innych drzew, lecz za to wysokie i proste; wśród lasów spotkasz sypane wały, dawne obozowiska, dość często; bywają i na polu, jak w *Zharuku*. Jest tu trzynaście morgów zamkniętych wysokim nasypem z bramami, niedaleko od rzeki; miejsce to dość wysokie, można ztąd widzieć dużą przestrzeń; o dawności świadczą spore drzewa porośłe na wałach, takie same są o kilka wiorst ode wsi, lud je nazywa *horodyszczami*. Tradycya między ludem krąży, że to królowa Bona, żona Zygmunta Igo kazała je powznosić; owa królowa bardzo tu popularna: każdy zamek jej przypisują, miasto Bar nad rzeką Rowem, ona zbudowała, góra za rzeką nazywa się: Góra królowej Bony.

Lud tutejszy pięknej rasy; mężczyźni zwykle jasnych włosów, słuszni, krzepkiej budowy; kobiety kształtne, tylko ich piękność trwa krótko; rodzaj zajęcia, ciężka praca w polu, niszczy wdzięk przędki; natura ludu łagodna, zdolności mu niebrak, tylko mało rozwinięty; był jego materyalny wcale niezły, a przędki podniósł się, gdyby nie lenistwo i były środki oświecenia się; lenistwo ma z natury.

Jak tylko zboże urodzi, a jeszcze sad, który nierzadko daje kilkaset złotych, już pan gospodarz zapala fajkę i na przyźbie przy domu wyciąga się wygodnie na słońcu; choć obok zysków za robotę: czy u właściciela wsi, czy przy fabryce w lesie, lub u drogi żelaznej, on się nie ruszy: szczególnie w leśnej okolicy trudno o robotnika. Niechże posłyszysz skrzypkę, cała wieś na nogach, to też szczególnie nad Dniestrem w czasie sianokosu lub żniwa, umyślni wysłańce z muzyką i trunkiem, chodzą od domu do domu nim dojdą do końca wsi, cała ludność z kosami lub sierpami za nimi dąży. Jest nadzieja, że ta ocięta ludność ustanie; okolica już się widocznie ożywia, droga żelazna właśnie najstronniczej, lasami zacienioną część jej przecięła: stosunek ze światem czynnym poprawi się.

Wsie w tej stronie są zwykle wielkie, po kilka jednakowo się nazywają; są i małe z kilkunastu domów złożone, zwą się prawie wszystkie Hutami lub Majdanami. Kraj ten do niedawna musiał być wielkim lasem, są tego jeszcze ślady; prócz wsi pojedynczych właścicieli, są tu wielkie osady szlacheckie. Rozległe przestrzenie pustych ziem, nadane żołnierzom za zasługi; są na to przywileje dawnych królów: na Zharem kilkanaście tysięcy morgów Władysław Jagiełło przeznaczył na własność Radziejowski, nieco dalej równie blisko Zharu sporą przestrzeń otrzymali Wolkowińscy, niezbyt odlegle osiedlili się: Popowscy, Jełtuchowscy, Petranowscy, Dedeskuły, Czernelowscy, Stepankowscy, Wasiutyńscy i Terespolscy. Wszyscy na mocy przywilejów od kilkuset lat mieszkają tu; niegdyś drużyna zbrojna na zawołanie dosiadała koni, w każdej potrzebie byli gotowi obroncy, a potrzeb było tu dosyć. Tatarzy najpierw tu uderzali, (sądzę, że to było powodem osiedlenia tego rycerskiego ludu). Tak więc myśl osad wojskowych, wprowadzonych niedawno, już przed czterystu lat miała zastosowanie; szlachta owa w długim pokoju rozrodziła się i skarłała. Dziś jej jest przeszło kilkanaście tysięcy w skupionych osadach, a daleko więcej po wsiach obywatelskich i skarbowych, znanych pod nazwaniem czynszowej szlachty. Wszyscy prawie rolnicy; ogół mało się różni od okolicznych włościan, szczególnie wykształceniem, bo w stroju ma odrębne cechy. Prostej świty włościańskiej wyszywanej sznurkami czerwonymi z kapturem, czapki okrągłej, wysokiej z baraniej skóry nie wdzieje; jego gunia jest sukienka bez żadnych wyszywań, krojem szlafroka; czapka rogatywka w zimie, w lecie kaszkiet. Na święto każdy ma długi ubiór z czarnego sukna, podobny do surduta, w lecie płócienny chałat. Oprócz skupionych osad po kilkaset domów, większa część osiedliła się w lasach; niektóre z tych folwarczków nieźle wyglądają: domek z gankiem o dwóch słupach, z ławkami, tuż sad, stawek, kilka lub kilkanaście morgów pola, kilka bukietów drzew, zabudowania gospodarskie, oto mały świątek. Pan jego na małą skalę, ma też wszystko. Niektórzy synów posyłałi do zakładów naukowych, kilku pokierowało się szczęśliwie, jeden został arcybiskupem. Pomiędzy stare rody, wcisnęło się dość przybyszów odmiennych nazwisk: jedni poženili się z córka-

mi staręj szlachty i tu osiedli, niektórzy pokupowali części osad, mieli nawet osobnych włości; ci już wyglądają na arystokrację miejscową, odrębnością swoją zacierając pierwotny charakter osad.

W niedalekim promieniu płynie rzeka *Rów*, nad nią leżą miasteczka: *Bar*, mający do 6,000 mieszkańców, z rozwalinami zamku, zbudowanego za króla Jana Kazimierza przez Beauplana; jeszcze kilka ścian muru wznosi się nad głębokimi fossami: wał otacza miasto od strony północnej. Niegdyś to miasto pamiętne konfederacją 1768, miało liczną szkołę, słynęło bogactwem kupców i węgierskiem winom. *Meżyrow*, miasteczko następców Seweryna Orłowskiego, niewielkie, w pięknem położeniu, ma piękny most i banhof kolei żelaznej. O milę jest miasteczko *Braiłów* nad tąż rzeką. Błyszczy z daleka wielka cukrownia ozdobnej architektury; ma młyny marmonty, tartaki i słynne garbarnie, a nadewszystko góry wapienne, z kąd o kilkadziesiąt mil sprowadzają wapno. Piękny gmach kościoła, zakładu Potockich, dawnych właścicieli Braiłowa, dziś klasztor dziewic, zdobi miasto. Nad tąż wodą wznoszą się dwa piękne pałace: w *Czerniatynie*, niegdyś rezydencyi rodziny Witosławskich, i w *Sewerynowce* Orłowskiego. Ośm wież ciosowych zdobiło fronton w Czerniatynie, dzisiejszy właściciel nie wiem na co zdjęć je kazał; ogrody przy tych mieszkaniach zakładał *Mizler*, umiejętnie korzystał ze ślicznej przyrody. Ciąg wzgórzy nad dużemi taflami wody, szumi rozkosznemi gajami. Z pałaców woda Rowu poprzecinana groblami, zdaje się płynąć wielką rzeką, grobel nie widać; Sewerynowka od Czerniatyna o kilka wiorst, pałace jednak patrzą na siebie. W *Harmakach*, pięknęj wsi na tąż wodą, jest wielkie mieszkanie z ogrodem, pracy Mizlera, własność Dębowskich; tu, woda zajmuje wielką przestrzeń, ogromnym rozlewając się stawem. Harmaki mające kilkaset mieszkańców, były dawniej w posiadaniu rodziny *Kruzerów*; rodzina ta pochodziła z Belgii, przybyła do kraju za czasów Jana III. Zaczyna ta rodzina posiadała powszechny szacunek. Ojciec prymasa Joachim Kruzer, generał-adjutant króla Stanisława Augusta, już urodzony tu w kraju, był z młodszęj linii rodziny Kruzerów, zwanęj w Polsce Kruzerami, jak to znaleźć można w konstytucyi zdaje mi się z 1762 r., nadającęj jęj indigenat, po wygaśnięciu starszēj linii, został spadkobiercą tytułów i praw do udzielnego hrabstwa. Wezwany by ję objął, wybrał się w tę daleką naówczas podróż; choć przyjęty biciem we dzwony i pompą, nie mógł się oswoić z nowemi ludźmi. Ciągnęło go do towarzyszy młodości i obyczajów śród których wyrosł; to też spotkawszy się z Ponińskim w Brukselli, radośnie przyjął projekt odstąpienia praw swoich, w zamian za dobra na Podolu, chociaż hrabstwo więcēj było warto, udzielnosc ludzaca, wziął ośm czy sześć wsi od Ponińskiego, i praw swoich ustąpił; musiał wziąć i dopłatę, bo kupił dużo kolonialnych towarów. i z temi wrócił do kraju; odtąd już za granicę więcēj się nie ruszył. Prymus, najstarszy syn jego, oddany na edukacyę do Warszawy; znał się na koniach, zostało to jego przymiotem na całe ży-

cie, później już będąc gospodarzem sływał z tego. W 1812 roku dostał się do niewoli. Śród pamiętnej zimy z nogami poobwianymi słomą, przy 20-stopniowym mrozie, szedł z niewolnikami aż do Szczuczyna, myśląc, że już skonać przyjdzie; śród nocy wzięty do ciepłego domu, ogrzany, przystrojony i opatrzony, po kilkunastu dniach wypoczynku, dostał pozwolenie na wolny powrót do domu. Wróciwszy, zastał ojca skolatanego wiekiem, i ten w krótkim czasie, w Szarawce na odwiedzinach u Dulskiego, nagle umarł. Został sam z siostrą i trojgiem rodzeństwa z drugiej żony ojca. Owe dobra nabyte od Ponińskiego, ojciec już od kilkunastu lat utracił; ostatnią wielką wieś *Pokutyńce* z intratną wodą i obszernymi lasami, zamienił na mniejszą *Karpowce*, z dopłatą stu tysięcy złp., króre ledwo pokryły długi pierwój zaciągnięte. Został więc Prymus, z obowiązkiem wypłaty posagu trzem siostrą, bo brat, z drugiego małżeństwa wkrótce umarł, przy jednej wsi, nie szczególnie zagospodarowanej. Młody, czynny, rzucił okiem na ciężkie obowiązki, nie zląkł się ich, ale wraz poszukał towarzyszkę, coby mu pomogła je spełnić. Znalazł ją w domu powinowatym starosty Wincentego Raciborowskiego. Zofia Raciborowska, młoda, dobrze wychowana, rozsądna, pełna wdzięku, przyjęła jego zamiary. Nieraz mi opowiadał, jak na dzielnym białym koniu latał do niej o pięć mil w konkury; koń tak znał drogę, że już go nie trzeba było kierować: byle wsiadł, pięć mil z Karpowic do Czarnywód, przelatywał w cztery godziny. Nie mógł nigdy tych wycieczek i tego konia zapomnieć; ile razy o tém mówił, oczy mu się świeciły. W 1815 roku nastąpił ślub; i odtąd pięćdziesiąt trzy czy cztery lat przeżyli z sobą przykładnie. Gospodarstwo prowadził pilnie, posagi siostrą rzetelnie wypłacił, opiekując się nimi do czasu wydania za mąż. Sam nie prawie dla siebie nie potrzebując, pamiętał zawsze aby żona miała dostatek. Jakoż ich dom utrzymywany na dostatniej stopie, nigdy nie pokazywał, że majątek ma długi: powozy, konie dzielne, meble porządne, stosunki przyzwoite, gość częsty, oznajmiały dobry byt. Bo też pani Zofia niepomahału przyczyniała się do tego: takiej rządnej pamiętającej o wszystkim rzadko. Miło było patrzeć na czystość i porządek tego domu; usługi dużo, ale cichość, ład, zajęcie każdego stosowne; porządne sług ubiory, symetria, dobór i gust mebli uderzały. Ogród angielski, niezbyt duży, utrzymywany starannie, szparagarnie obfite, kwiaty śliczne, posadzki w każdym pokoju lśniące się; pokój samój pani nie wielki ale świeży, woniejący, pełen smaku. Sama, zawsze starannie ubrana, ale bez przesady; od wszystkich lubiona, odwiedzana. Takie było życie w Karpowcach gdym ich poznał. Prymus który się cieszył tą rządnością żony, chociaż do tego nic nie pomagał, po pracach gospodarskich grywał na skrzypcach; grał dobrze, bo nawet sławnemu Lipińskiemu akompaniował nieraz. Lubił opowiadać o swój żołnierce, o Radziwille pułkowniku, który jakoby miał 18 milionów rocznego dochodu, trzymał turka do nakła-

dania fajek, któremu gdy przypadkiem spalił się ubiór, posłał Radziwiłł do Stambułu i zapłacił zań 500 dukatów.

Karpowce zaczęły wydawać obfity plon. Prymus dochodem z roli opłacił długi i począł robić kapitał, ona zaś z welny, ogrodów, utrzymywała dom. Miło było patrzeć na młodą kobietę z lepszego towarzystwa, jak umiała dawać wszystkiemu radę; krzątania się, zamętu, zwykłego u pilnych gospodyń, nie było widać: wstawała bardzo rano, cicho wszystkiem rozporządziła i już o siódmej była w salonie, ubrana, z twarzą pogodną, z wolną głową do innego zajęcia. Gościnność jej i uprzejmość była powszechnie znaną; to też kto raz był w Karpowcach, nie trzeba go było zapraszać. Miała szczególny dar prowadzenia rozmowy: dźwięk jej głosu jakiś wdzięczny, pełen kobiecego uroku, nie zmienił się do późnej starości; rozmowa jej nigdy nie była czcza, a zawsze zastosowana do sił umysłowych tego, z kim rozmawiała. Literaturę lubiła i umiała oceniać: toż kiedy zjawił się szereg głośnych w kraju poetów, pamiętam z jakim zachwyceniem czytała i słuchała ich utwory; ile to razy Adama, Bohdana i tyłu, tyłu! czytywaliśmy razem. Każda iskra wyższej myśli odbijała się w jej oczach; wiele ustępów w młodości umiałem na pamięć, umyślnie się uczyłem, żeby mózgi jej powiedzieć, bo o taką słuchaczkę było nie łatwo. Nigdy nie zapomnę ile miłych dni przeżyłem w ich domu, a szczególnie kiedy zgromadziło się kółko jej wybranych: gdy przyjechała siostra z mężem i synem, zacna, miła, niepospolitego charakteru, gdy przyjechał sąsiad jeden i drugi. Zasiadaliśmy w jej miłym pokoju, żywą rozmowę rwaliśmy dla czytania; co tylko było ważniejszego w literaturze krajowej i obcych, mieliśmy. Ludzie, nawet niezbyt zajmujący się książką, których tu dawniej dość było, nie mogli się oprzeć pociągowi takiego towarzystwa: słuchali i powoli umysłowe korzyści nabierały u nich szacunku. Ojciec jej, który tu czasem przyjeżdżał, pełen dowcipu i rozumu człowiek, ożywiał nasze kółko; był kiedyś bogaty: posiadał miasto i kilka wsi, ale szczególna skłonność do sprzedawania dóbr i kupowania nowych, po kilku takich operacjach, przyprowadziła go do ruiny. Nie wpływało to jednak na jego humor: każdą rzecz pochwyił ze śmiesznej strony, i tak swobodnie i wesoło obracał rozmowę, że wszyscy otaczali go z zajęciem. Czasem przyjeżdżał i brat gospodyni, lubiony i ceniony powszechnie.

Przez długi ciąg moich stosunków z tym domem, widywałem panią Zofię w różnych przygodach życia. Miała dwoje dzieci, syna i córkę; córkę wydała za męża za Kajetana Dorożyńskiego, lecz krótko cieszyła się nią: dobra, miła, po roku zamężcia, umarła. Był to dla rodziców ciężki cios. Widziałem ją po tém nieszczęściu: boleść głęboka rozdarła jej serce, ale z chrześcijańską rezygnacją zniosła ją; całą miłość zlała na pozostałe dziecko, ale i tém się długo nie cieszyła, po kilku miesiącach poszło za matką: został tylko syn, cała nadzieja domu.

Mieszkałem od nich o mil sześć, dość odległe na złe drogi naszej prowincyi; mimo zajęć każdego prawie miesiąca odwiedzałem ich. Dom ten przez kilka dziesiątków lat, prawie się nie zmienił, przybyło tylko więcej dostatku, bo gospodarstwo Prymusowi wiodło się: zbierał kapitały, konie piękne zaprowadził. Co dnia można było widzieć starego *Semena* jak na dzielnym wierzchowcu, jeździł wkoło dziedzińca: był to masztalerz, kawalerski jeszcze sługa, jeździec wyborny. Gospodarz siedział na ganku i dyrygował jazdą; kogo polubił, to pozwalał przysłać konia do Karpowiec, kazał go wyjeździć, sam wypróbował i skończonego wierzchowca oddawał. Ten *Semen* całe życie im służył; umarł na parę lat przed ich śmiercią. Z okna pokoju w którym mieszkał Prymus widać krzyż na jego grobie. Gdym przyjechał po śmierci *Semena*, najpierw zaprowadził mnie do okna i pokazał krzyż: „To mego *Semena*,“ ból i żal widziałem w jego oczach.

Była tu od czasów jeszcze panińskich *Zofii* panna *Elżbieta*, typ dawnych, przywiązanych sercem i duszą rezydentek: kogo państwo lubili, ona polubiła, i starała się wszelkimi sposoby dogodzić, pracowita, praktyczna, wielce użyteczną była: lekarka wszystkich chorych we dworze i na wsi, zrządzająca tylko na leniwe sługi, zdawała się nieodbicie potrzebną; wszystkie gospodarskie kłopoty i przyrządy brała na siebie, umiała im dać radę i dumną była z tego: ona utrzymywała owoce, umiała smażyć wyborne konfitury, odznaczała się pieczeniem ciast; pilnowała oszczędności, choć jej w przyjęciu gości nigdy znać nie było. Najmilszą jej rozmową było unoszenie się nad samą panią *Zofią*, i o podróży do *Czortkowa*, gdzie miała po rodzicach jakąś własność, jakie to miała kłopoty i trudy, jak je musiała pokonywać, jak tęskniła do *Karpowiec*. Dom *Karpowiecki* dla wszystkich był otwarty, często tu ktoś bawił. Zachęcała uprzejmość i swoboda gościa, nie było tu owych wytężonych rozmów, każdy był jak u siebie: wszystko szło regularnym trybem. Kiedy znalazł się przedmiot zajęcia, schodzono się do sali, najczęściej do pokoju pani samej. Choć pamiętająca że ma gości, pierwsza do poważnej rozmowy, nigdy prawie nie rozmawiała z próżnemi rękami; bez przerwy coś robiła: takiej pracownicy rzadko. Ubiory dla siebie prawie wszystkie szyła własną ręką. Umiała rysować, grała i przyjemnie w młodszym wieku śpiewała. Całej okolicy otaczał ją szacunek. Była prawdziwa matrona dawna: wszystko swoje kochała i umiała ocenić: cieszyła się każdą pomyślnością drugich. Poważna i pełna wdzięku, ze spokojem na czole, ze słodkim swoim serdecznym uśmiechem, każdego potrafiła pocieszyć, dobrą radą opatrzeć i dziwna, dożywszy lat 72, niewiada w niej było starości. Zawsze czysto i z gustem ubrana, uśmiechnięta, ze swobodą na czole, zajęta jak osoba młoda: literaturą, domem, gośćmi, w ostatnich latach zimą już nie wyjeżdżała. 8 grudnia 1868 roku, towarzyszka jej lat tyłu, owa panna *Elżbieta*, starsza od niej znacznie zachorowała, i w kilka dni umarła. To już bardzo ją dotknęło, ale zdawało się, że cios ten przyjęła z rezygnacją, namówiła nawet mnie już blisko o kilka wiorst mieszkającego, abym z jej

synem pojechał do jej siostry; chciała być samą i usunąć od syna widok konania tój, co go prawie wychowała. W kilka godzin po naszym wyjeździe chora umarła. Wróciwszy zastaliśmy ją powierczośnie uspokojoną, tylko mnie już zatrzymywała usilnie. Przez kilka dni, choć wyjeżdżałem na parę godzin, zawszem wracał, nakoniec ostatniego dnia pragnącego wyjechać, zatrzymała jeszcze na obiad, prosika bym jej napisał do redakcyi Tygodnika, a że i ja miałem wyprowadzić po *Kłosy*, wzięła mój list obiecując nazajutrz wysłać oba na pocztę. Była zupełnie zdrową, wyglądała zwyczajnie, tylko serdeczniejsza bardziej; rozmawialiśmy wesoło i z zupełną spokojnością, mówiła o swoich zamiarach na lato; po obiedzie rozstaliśmy się na kilka dni. Trzeciego dnia w nocy służący wchodzi ze świecą do mego pokoju i mówi, że posłaniec z Karpowicz przyjechał. Kazałem go zawołać; pytam czego w nocy przyjechał? odpowiada: „Pani umarła.“ W pół godziny byłem już w Karpowcach, ujrzałem ją na katafalku; ten sam pokój w obliczu, prawie nie zmieniona. Trudno żądać dłuższego wieku, ale dla niej można było zrobić wyjątek; tyle jeszcze miała władz umysłu i ciała! Cała okolica zasmuciła się, nie mówię już o sobie, chociaż dotkliwszej straty w życiu nie poniosłem: świat mi spustoszał. Rozdzierający widok przedstawiał jej mąż, starzec 78letni: boleść go zgięła, siedział nad zmarłą jak posąg żalu. Rok tylko i dwa miesiące ją przeżył, ale cóż to było za życie? prawie nieprzytomny, z zamgloną zronicą, nie chciał zdało się patrzeć na ludzi. Stan jego tak był okropny, że wszyscy życzyli mu prędszego końca. Zofia umarła 17 grudnia 1868 r., Prymus 13 lutego 1870 r. Takich ludzi już mało. On małomówny, surowy, nie nie potrzebujący dla siebie, ale rządny, regularny, rzetelny, użyteczny; ona słodka, ukształcona, nie zmieniającej się pogody oblicza, czynna, kochająca ludzi, wierząca w postęp, rozumiejąca wszystkie kwestye czasu, słowem, wzorowa niewiasta.

Blizko Zharu w osadzie szlacheckiej zamieszkał znajomy nieco z pism swoich i muzyki Józef Kotoni, nazwiska włoskiego; ojciec jego był tutejszy szlachcic; trudnił się nauczycielstwem, dawał lekye muzyki przez kilkadziesiąt lat w wielu domach. Józef od ojca miał początki, ale wkrótce przewyższył go o wiele, i doszedł do znakomitej siły na fortepianie; przebywał w bogatych ukraińskich domach, gdzie w ukształceniu i muzyce wiele korzystał. Z natury zdolny pracował nad rozwinięciem umysłu; kilka lat młodości przepędził z Sewerynem Goszczyńskim, autorem zamku Kaniowskiego. Gdy go poznałem był w pełnej sile życia, wyglądał z ukraińska, a obciywał daleko zająć w muzyce i literaturze. Było to 1837 roku: kilka lat go nie widziałem, nakoniec odbieram list z Odessy od Aleksandra Wicherskiego, polecający mi Kotoniego, który w okolicy gdzie mieszkam osiadł. Wicherski, kolega mój szkolny, niepospolitych zdolności, korespondent pism Warszawskich. Gdy go zobaczyłem, zmieniony był do niepoznanania, choroba go złamała; kilka lat przeżył w Odessie: klimat przymorski zmienny i tryb życia, jak sam mi mówił, pozba-

wiły go zdrowia. Posiwiął, wychudł, brodę zapuścił długą; wrócił z Odessy z postanowieniem, nigdy już nie mieszkać w większem mieście. Odessa jednak była mu korzystną pod względem materialnym, uzbierał tam ze swęj pracy sumkę, za którą kupił kawał ziemi z domem i sadem. Tu we własnym kącie osiadł, sprowadził fortepian, książki i dożywał wieku. Prawości i loiki niepospolitej, znalazł szacunek i zaufanie u sąsiadów; wieś zapadła gdzie o książce ledwo kto słyszał tak zachęcił i ożywił, że po latach kilku ze składek utworzyła się szkoła, gazet i pism kilka już do niej przychodziło. Szlachta go szacowała, spory jej rozsądzał, i skrócił w znacznej części zakorzenione procesowanie się; czasem wybrał się za granicę swęj siedziby i kilka tygodni bawił. Miałem z nim prawdziwą przyjemność: całemi godzinami słuchałem jego muzyki, grał biegle i z uczuciem. Temata jego utworów znajomych w świecie muzycznym, były wszystkie ukraińskie. Poezyę lubił i miał jej głębokie uczucie. Mówił mi z pamięci wiele własnych utworów; nie były one siły mistrzów naszych społecznych, ale serca, naturalności, wdzięku miały bardzo wiele. Znałem niektóre jego pisma wydane w Wilnie; te co mi mówił, bez porównania wyższe. Słuchacz to był miły: ile to rzeczy wysokiej wartości przeczytaliśmy razem! Do dawnych przyjaciół miał szczególne przywiązanie; stosunki z Odessą utrzymywał listowne, czasem nawet tam jeździł i kilka tygodni bawił. Tęsknił jednak do swego domku, małego, chłodnego, gdzie często wiele rzeczy brakło: obchodził się jakbądź, jadał proste potrawy i tych nie zawsze miał dość, bo chociaż był właścicielem kilkudziesięciu morgów roli, gospodarstwem się nie zajmował i nie miał żadnego dochodu; zawsze jednak swobodnej myśli, nie troszczył się i nie martwił. Gdyby chciał, mógł mieć największe wygody i towarzystwo najlepsze, bo był pożądanym gościem w domach zamożnych, wolał swój niedostatek i swobodę. Goszczyński młodym chłopcem, pracował w kancelaryi obywatela Zaleskiego. Był to chłopak już wtedy obiecujący, dobry towarzysz, trochę bujny. Kotoni w bogatym domu Zaleskiego dawał lekcye muzyki. Znałem niektóre domy gdzie on bywał, wszędzie wspominały z zajęciem i szacunkiem; wiele bogatych panien uczył, znalazłem nawet w Warszawie jego uczennice. Pokąd mu sił starczyło pracował, ubogich swoich krewnych wszystkich prawie nauczył muzyki, tak, że niektórzy mają z tego utrzymanie, obcych nawet ubogich uczył darmo. Miał przy domku w ogrodzie kilka wielkich drzew czeresniowych i parę włoskich orzechów. Jeden z dawnych jego uczni Jakób Czczel, przysłał mu dziesięć pni pasieki; pod czeresniami ją postawił; przebywał tam często w lecie, tam czytał, tam sypiał po obiedzie. Pod koniec życia nadzwyczaj wiele snu potrzebował: kładł się weześnie i po południu musiał sypiać koniecznie. Wyniósłszy się ze strony gdzie on mieszkał, jakiś czas go nie widziałem, gdym go obaczył, nie miał już siły podnieść się; nad łóżkiem miał przybitą szeroką taśmę, której musiał się trzymać, gdy się obracał: nogi mu zbrzękły. Brat go doglądał, kobiety nie było w domu. Żony nigdy

nie miał. Ze łzami rozstaliśmy się, za kilka dni postanowiłem go odwiedzić; nim te przeszły już nie żył. Rękopisma muzyki i poezyi muszą się znajdować u krewnych.

Fryderyk Krause.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Kodex dyplomatyczny Tyniecki.

W zeszłym roku zasoby naszej literatury historycznej wzbogacone zostały dwoma dyplomataruszami: Uniwersytetu Jagiellońskiego i Tynieckim.

Dzięki Zakładowi imienia Ossolińskich, iż zapowiada nam cały szereg publikacyj swoich rękopismów; dzięki, że wstępując na tę drogę, obrał sobie za pierwszy przedmiot wydawnictwa tak ciekawy i tak ważny zbiór dokumentów, jakim jest właśnie dyplomatarusz Tyniecki (1).

Starożytne opactwo Benedyktynów założone na Tyńcu pod Krakowem znane było oddawna jako posiadające ogromny zbiór systematycznie uporządkowanych aktów, zabezpieczających jego prawa do licznych posiadłości i dochodów. Już przed dwustu laty bibliotekarz opactwa, ksiądz Stanisław Szczygielski skreślając krótką jego historią, w drugiej części znanego dzieła, noszącego tytuł *Tinecia*, wydrukował kilkanaście takowych aktów wziętych z archiwum klasztornego (2).

Po zniesieniu opactwa polecono całe jego archiwum przenieść do Lwowa i pomieścić w bibliotece uniwersyteckiej. Podług wiarogodnej wiadomości znajdować się w niem miało przeszło cztery tysiące oryginalnych dokumentów. Aliści pożar wynikły w roku 1848, który zniszczył bibliotekę uniwersytecką, pochłoniął

(1) Tytuł dzieła jest: *Codex diplomaticus Tinecensis. Kodex dyplomatyczny Tyniecki, wydany staraniem i nakładem Zakładu narodowego Imienia Ossolińskich. Część I, XIII i XIV wiek. Lwów 1871 4-to, str. przedm. VII, textu 198.*

(2) *Historiae monasterii Tineciensis lib. II, in quo scripturae privilegia et dispositionum variarum in monasterio Tinecensi factarum notae, instrumenta et tabulae, ex archivo ejusdem desumptae, continentur.*

i archiwum tynieckie. Szczęśliwy tylko traf zrządził, że zachowała się znaczna część odpisów z oryginałów dzisiaj już nie istniejących. Część tych odpisów winni jesteśmy miłośnikowi nauk Alexandrowi Batowskiemu, który oddawna zajął się był sporządzaniem kopij z archiwum tynieckiego w zamiarze wydania ciekawych tych pomników. Choć Batowski umarł przed dokonaniem pracy, ale przekazał kopie swoje Zakładowi imienia Ossolińskich z wyraźnym zastrzeżeniem, aby takowe były drukiem ogłoszone. Większą jeszcze część skarbów tynieckich przechował wynaleziony później kopjaryusz archiwum sporządzony roku 1634.

Zakład imienia Ossolińskich, spełniając włożony na siebie obowiązek, przystąpił w roku zeszłym do wydawnictwa dyplomatarjusza i ogłosił na raz pierwszą, część onego pierwszą, obejmującą dyplomata do końca wieku XIV.

Niepoślednia ważność tej publikacji, stała się powodem, że zamierzam o niej podać bardziej szczegółową wiadomość, dołączając do niej niektóre krytyczne uwagi, już to dotyczące samego nowo-wydanego dyplomatarjusza, już ściągające się do naszych dyplomatarjuszków w ogólności.

W przedmowie wydawcy oświadczają, że do złożenia dyplomatarjusza użyli przedewszystkiem kopij Batowskiego, następnie kopij zamieszczonych w kopjaryuszu z roku 1634 i nakoniec kopij Szczygielskiego.

Załowac wypada, że wydawcy nie uwiadomiamą nas bliżej o pracy pozostałej po Batowskim. Dla uczczenia jego pamięci wypadało wspomnieć, jak znaczną liczbę odpisów sporządził, czy je sam wykonywał, czy z pomocą innych osób i kogo mianowicie (1), czy kopie sporządzone były kollacyonowane? Są to szczegóły drobne ale pożądane dla tych, którzy zajmują się historią piśmiennictwa krajowego.

Wspominając o kopjaryuszu i donosząc, że się składa z dwóch części, należało wyjaśnić, czy prócz tych dwóch części nie istniała jeszcze trzecia, bo druga obejmuje tylko litery od H do T; i w jakim porządku: ile w nim kopij zawartych.

Następnie oznaczywszy trzy źródła, z których zaczerpnięto materyał do dyplomatarjusza, wypadało dać pogląd krytyczny na wartość wzmiankowanych kopij i ocenić ich stosunkową ważność. To co powiedziano o kopiach wziętych z kopjaryusza, nie zdaje się być uzasadnionem. Krytyczne wydanie pomników dawnych wymaga koniecznie dokładnego ocenienia źródeł, z których się czerpie. Miłoby nam było spotkać takowe w przedmowie do dyplomatarjusza Tynieckiego, zwłaszcza że oparty jest w większej części na materyałach pochodzących z drugiej ręki.

Podług objaśnienia wydawców, użyto do wydania dyplomatarjusza, jak dopiero co wspomnieliśmy, trzy źródła; tymczasem przebiegając sam dyplomatarjusz dostrzegamy, że do złożenia

(1) Ile nam się dało zasłyszeć, część kopij sporządzał Slotwiński.

części pierwszej przyłożyły się i inne źródła, a mianowicie kilka dyplomatów Tynieckich, dotąd w oryginale zachowanych, dalej kilka dyplomatów drukowanych w kodeksie dyplomatycznym Rzyszczewskiego i wziętych częścią z oryginałów, częścią z Metryki koronnej. Co do tych ostatnich byłoby nas ucieszyło, gdybyśmy się byli dowiedzieli, że na nowo przejrano księgi Metryki i że przekonano się iż prócz skopiowanych dawniej przez Muczkwoskiego aktów, żadne inne ściągające się do Tyńca, nie zostały wynalezione. Użyto zresztą do skompletowania części pierwszej monumentów Theinera. Nie wątpimy, że dalsze poszukiwania byłyby naprowadziły na inne jeszcze źródła; między innemi wiadomo, że Boczek wydrukował bullę papieża Grzegorza XIV biorącego pod swoją opiekę włości opactwa położone w Szlązku (1).

Wypadało także przypomnieć, że jeszcze kilka dyplomatów Tynieckich drukował Maciejowski, a najdawniejszy dyplomata Bielowski.

Część pierwsza dyplomatarjusza obecnie wydana, przedstawia 93 dokumentów. Z tej liczby znaleźliśmy już ze Szczygielskiego aktów 17, z kodexu Rzyszczewskiego trzy, z Maciejowskiego sześć, z Theinera jeden, z dodatku do Gazety Lwowskiéj jeden. W każdym razie przyczynę nowych 65 dyplomatów stanowi ważną naukową zdobycz.

Z wydanych w dyplomatarjuszu dokumentów najdawniejszy jest akt Idziego kardynała i legata z roku 1105, ostatni Mściskawa opata Tynieckiego z roku 1398 (2).

Ograniczając się do samego wieku XII i XIII, zasługują między nowo wydanymi dyplomatami na szczególną uwagę: akt nadawczy dla kościoła Ś-go Wawrzyńca pod Kaliszem, wydany przez Mieczysława księcia wielkopolskiego z roku 1209; wyrok ferowany przez Henryka księcia szląskiego i krakowskiego w roku 1229 między Komesem Żegotą a Liutfridem opatem Tynieckim o wieś Grójec, przywiléj Bolesława Wstydlwego z 1276 r. na założenie wsi na prawie frankońskiem w dobrach Komesa Wierzbity; zatwierdzenie z r. 1278 przez Przemysława II, aktu nadawczego dla kościoła Ś-go Wawrzyńca pod Kaliszem, wreszcie przywiléj Wacława króla Czeskiego z r. 1293 zwalniający mieszkańców klasztoru Tynieckiego z pod jurysdykcji świeckich urzędów. Szczególniej ciekawy jest wyrok Henryka, z którego dowiadujemy się, że sąd odbywał się na wzgórk pod kościołem Ś-go Michała na zamku krakowskim, objaśniający cały przewód sprawy. Wydaniu wyroku przytomni byli: książę Sobiesław syn Teobalda księcia Czeskiego, Stefan wojewoda wrocławski, Marek wojewoda krakowski, Radosław sędzia dworu, Klemens syn Klemensa (za-

(1) Bulla ta jest z dnia 26 maja 1229, *Codex diplomaticus Moraviae* II 214.

(2) Dłaczego na tymże dyplomatarjuszu wystawiony tylko wiek XIII i XIV.

pewne Klemensa kasztelana krakowskiego) (1), Andrzej brat jego przełożony kościoła Ś-go Michała (2), Projekt zwierzyniecki opat i Piotr przełożony tegoż klasztoru oraz Krzyżan podkanclerzy.

Między dokumentami wieku XIV, których jest znacznie większa liczba, jeszcze więcej, jak naturalnie, dałoby się ukazać ciekawych aktów(3), aby jednakże nie zbyt rozszerzać zakres naszych uwag, zwracamy się do wykazania, w jakim sposobie akta dwóch poprzednich wieków są w dyplomatarjuszu wydane.

Głównem zadaniem wydawnictwa dawnych pomników jest krytyczne obrobienie tychże za użyciem wszelkich środków, jakie tylko nauka przedstawia. Zobaczmy co pod tym względem zrobiono.

Najpierwsza kwestya, jaka się przedstawia wydawcy średniowiecznych piśmiennych pomników, jest: jaką przy wydaniu ich zachować pisownią, czy dawną, średniowieczną, czy nową używaną przy ogłaszaniu klasyków? Kwestya ta była już tak często rozbieganą i zgłębianą, że możnaby ją uważać za wyczerpniętą. Uczony wydawca kodeksu dyplomatycznego Mogilskiego streścił ją bardzo gruntownie, oświadczając się za przyjęciem pisowni nowój (4). Za zdaniem jego przemawiają wszystkie lepsze wydania zagraniczne i krajowe.

Wydawcy dyplomatów Tynieckich, mając pod ręką po większej części same kopie z pisownią nową, jak się zdaje, poniewoli tylko zachowali ją, oświadczają bowiem, że drukując z kopij wziętych z oryginałów trzymali się pisowni dawniej. Mamy tym sposobem w jednym i tym samym dyplomatarjuszu dwie pisownie. Wypadało to usprawiedliwić gruntownemi argumentami.

Ciekawą jest rzeczą, przy tej okoliczności rzucić okiem na zachowywane u nas dotąd pisownie w wydawnictwie średniowiecznych dyplomatów łacińskich. Kodeks dyplomatyczny Wielkopolski przyjął nową pisownią. Kodeks Rzyszczewskiego dał pierwszeństwo pisowni dawniej; w tomie tylko trzecim wydanym przez Bartoszewicza mieszanina dawniej i uowej pisowni. Kodeks Mazowiecki zachował także dawną pisownią. Kodeks Mogilski z wielką konsekwencją przeprowadził pisownią nową, tóż samo uczynił dyplomatarjusz Uniwersytetu Jagiellońskiego. Akta znowu lwowskie, zresztą bardzo starannie wydane, wróciły do pisowni dawniej,

(1) *Dyplomatarjusz Mogilski* akt z r. 1238 str. 12.

(2) Tamże, akt z r. 1229 str. 10.

(3) Mimoходом zwracamy uwagę na ciekawy dekret konsystorza krakowskiego z r. 1353, pokazujący jak ściśle w procesie kanonicznym kraju naszego, były zachowywane formy wyrobione w średniowiecznym przewodzie sądowym włoskim.

(4) *Zbiór dyplomatów klasztoru Mogilskiego*. Kraków 1865.

zachowując nawet użycie wielkich zgłosek tam, gdzie zupełnie niewłaściwie występują (1).

W każdym razie, wartoby nareszcie zgodzić się na jedną zasadę, aby pstrocizna ta przestała szpecić nasze wydania. Zachowanie dawniej pisowni usprawiedliwione tylko w dziełach poświęconych nauce czytania dawnych dyplomatów, a także w pisaniu imion i nazwisk, równie tekstów, których znaczenie wątpliwe, ale wtedy obowiązkiem jest wydawcy na powody zachowania dawniej pisowni, zwrócić uwagę czytelnika.

Zresztą rzecz to jeszcze może podrzędna. Nierównie ważniejszą jest interpunkcja, bo od właściwości jej, zawisło już zrozumienie samych tekstów.

Ponieważ w wiekach średnich teksta zostawiano albo bez wszelkiej interpunkcji, albo wprowadzano do nich często tak dziwaczne przecinkowanie, jakby na umysł chciano zaćnić znaczenie tekstu, przeto jednym z najistotniejszych zadań każdego wydawcy średniowiecznych pomników jest, starać się o zaprowadzenie w wydawanych tekstach, ile być może, jak najbardziej racjonalnej interpunkcji. Wydawca, który ogłasza teksta dawne bez interpunkcji, ściąga na siebie słuszne podejrzenie, że sam tekstu nie zrozumiał, lub że trud zaprowadzenia stosownego przecinkowania pozostawia czytelnikowi. Jedno i drugie doprowadza do niewłaściwych następstw. W pierwszym razie, można być przekonanym, że się ma przed sobą tekst zepsuty, nie obrobiony krytycznie; w drugim, zwała się na czytelnika obowiązek, który właściwie i głównie ciąży samego wydawcę. Czytelnik powinien otrzymać tekst jasny, zrozumiały, wydawca powinien usunąć wszelkie zawady, które temu stoją na przeszkodzie i przygotować tekst tak, aby mógł być zaraz bez nowego trudu i nowych poszukiwań użyty do dalszych badań. Jeśli tego wydawca nie uczyni, czytelnik a tem bardziej badacz, muszą przedewszystkiem dla wyrozumienia tekstu i zrobienia z niego użytku, zakatwić całą pracę przygotowawczą, która ciążyła wydawcę.

Zwracając oczy na nasze dyplomatarjusze i tu znowu dostrzegamy tę samą co przy pisowni niejednostajność, choć zaraz dodać wypada, że większość naszych wydawców, uważała za potrzebne zaprowadzenie przecinkowania. Jako odznaczające się pod tym względem można powołać tom I Dyplomatarjusza Ryszczewskiego, obrobiony w większej części przez Antoniego Helcla, dalej zbiór dyplomatów Mogińskich i Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tom II Dyplomatarjusza Ryszczewskiego już mniej zaspakaja, jeszcze mniej tom III, wydany niedbale przez Bartoszewicza,

(1) *Akta grodzkie i ziemskie z czasów Rzeczypospolitej z archiwum Bernardyńskiego we Lwowie. Lwów 1870 tom drugi.* Jako przykład tej pisowni cytujemy wyjątek z aktu 1353 r.: quod in Nostra Nostrorumque baronum presencia Constituti discreti vivi G. et R. fratres et Germanii filii... cum sorore Ipsorum uterina.

w którym tyle systematów przecinkowania, ile było przepisujących i dostarczających kopie. Jaką taką interpunkcją ma także kodeks Wielkopolski. Drogą średnią poszedł dyplomatarysz Mazowiecki, ma interpunkcją i nie ma jej, to jest niekiedy stosownie do oryginałów wprowadza interpunkcją więcej racjonalną, zwykle jednak zachowuje przecinkowanie oryginałów. Nowy kodeks Tyniecki stanowczo wyrzekł się potrzeby zaprowadzenia interpunkcji racjonalnej. Dla usprawiedliwienia tego twierdzenia, powołujemy się na przykład, który nam przedstawia dyplomata z r. 1276 zajmujący dwie stronnice druku, w którym spotykamy tylko sześć punktów i trzy przecinki; w dyplomie z r. 1293 nie ma ani jednego znaku pisarskiego. Systemat ten przeprowadzony nawet z pewną konsekwencją, bo w dyplomie z r. 1268 wziętym ze Szczygielskiego, poopuszczano znaki pisarskie, które był wprowadził Szczygielski.

Wspomniawszy o pisowni i interpunkcji dyplomatarusza Tynieckiego, przechodzimy do obrobienia tekstu. I tu przedmiotem uwag naszych będą tylko dyplomata wieku XII i XIII.

Dyplomatarysz otwiera pierwszorzędną ważności akt z r. 1105, przedstawiający confirmacją najdawniejszych przywilejów Tynieckich przez kardynała legata papieżkiego Idziego. Obrobienie krytyczne pomnika tego powinno się być stać przedmiotem szczególniejszej troskliwości, tém więcej że od dawna akt ten wywołał różne zdania co do swęj autentyczności, co do daty i co do swęj składowych części. W liczbie osób, które zajmowały się specjalnie jego ocenieniem, występują imiona Naruszewicza, Lelewela, Maciejowskiego, Szulca, Bielowskiego. Mieliśmy prawo żądać od nowego wydawcy tak ważnego pomnika, aby nas o przebiegu całej tęj sprawy zawiadomił i dokładnie określił punkt swój widzenia co do wszystkich wzbudzonych w tym przedmiocie kwestyj. Najwłaściwiej było to uczynić przy samym dyplomie w oddzielnym przypisku, natomiast wydawca poprzestaje na krótkiej wzmiance o dyplomie w przedmowie do całego dzieła, który właściwie będą mogli zrozumieć ci tylko, którym nie jest obcą cała ta sprawa. Należało także wskazać wszystkie poprzednie wydania tego ciekawego pomnika, a mianowicie ostatnie wydanie Bielowskiego; ocenić je i podać, czego się mamy spodziewać po nowém wydaniu.

W stanie obecnym źródeł do obrobienia krytycznego tekstu aktu z r. 1105 posłużyć mogą i użytymi być powinny, najprzód, wydanie onego sporządzone przez Szczygielskiego i kopia jego zamieszczona w kopjaryuszu z r. 1634, następnie transumpt onego w zatwierdzeniu Bolesława Wstydlwego z r. 1275, zachowany w oryginale w zbiorze potuszyckim hr. Dzieduszyckiego i w kopii podanej przez kopjaryusz, wreszcie bulla papieża Grzegorza IX z d. 29 maja 1229 r., zatwierdzająca nadania uczynione na rzecz opactwa Tynieckiego, zachowana przez Szczygielskiego i w kilku kopiach kopjaryusza. Nie przytaczamy tu drugiego oryginału potwierdzenia Bolesława, który prawdopodobnie znajduje się albo

przynajmniej znajdował w Pradze, a z którego otrzymaliśmy przed dwudziestu kilku laty bardzo dokładną kopią, sporządzoną przez czcigodnego Wacława Hanke, a to dla tego, że wydawcom szczegół ten mógł być nieznany. Wydawcy zamiast użycia tych wszystkich głównych i pomocniczych źródeł, wydanie swoje oparli wyłącznie na druku Szczygielskiego, a w notach przytoczyli tylko różnice tekstu wzięte z kopjaryusza. Wyniknęło ztąd, że w pisowni nazwisk posiadłości klasztoru przyjęto formę, którą im nadał Szczygielski, co o tyle uważamy za niewłaściwe, że w ogóle w reprodukowaniu nazwisk powinna być zawsze zachowaną dawna pisownia, bo ona często przedstawia pierwiastkową formę nazwania, dopiero później zmienioną. Właśnie to ma miejsce co do obecnego dyplomu. W kopii aktu z r. 1105 podanej przez kopjaryusza, w oryginalne transumptu Bolesława i w bulli Grzegorza papieża, zamiast formy użytej przez Szczygielskiego: Zdanovice, Bezdechowice Swepe-tovice, stale pisze się *Zdanovici Bezdechovici, Szeptovici*. Formę tę da wniejszą należało koniecznie zachować w nowym wydaniu. Tak samo, przy użyciu wskazanych pomocy, należało było oczyścić cały tekst. Niemogąc wdawać się w te wszystkie szczegóły, zaznaczymy tylko, że ważne miejsce dyplomu, w którym wydawcy drukują: quatuor tabernae et *pecuniae*, w oryginalne pragskim wyrażone: quatuor tabernae et *pecinae* (1). Nie wypadłoby było przyjmować tak rącho wariantu kopii Batowskiego, zwłaszcza kiedy należało było sam oryginał zatwierdzenia Bolesława na nowo zbadać i kiedy Szczygielski, który w ogóle dobrze czytał, miał *petinae*, co stanowiło ważne ostrzeżenie dla wydawcy. W ogóle zamiast nowego krytycznego wydania aktu z r. 1105, mamy tylko podane w kilku miejscach dyplomatarjusza materiały, z których może kiedyś skorzysta krytyczny wydawca tego arcyważnego pomnika, jeśli nowa edycja onego okaże się potrzebną obok wydania Bielowskiego.

W dyplomacie II powinno być niewątpliwie zamiast: *matris ejus gloriae — matris ejus gloriosae*, zamiast Grzywosandowo — *Krzywosandowo*, jak ma konfirmacja Zygmunta III. Tu nadmienić w ogóle wypada, że tam gdzie zachodziła wątpliwość co do nazwiska przytaczanych osiadłości, potrzeba było zebrać wiadomości, czy osiadłości takowe dotąd istnieją i jakie noszą nazwiska. To obowiązek wydawcy, aby teksta ustalać.

Dyplomata XVI wydany podług kopii sporządzonej przez Batowskiego. Do porównania użyto kopjaryusza Szczygielskiego. W oryginalne, który miał pod ręką Batowski, data dokumentu była uszkodzoną, za to kopjaryusz i Szczygielski jednoznacznie oznaczyli ją na rok 1250; jakż więc powód mogli mieć wydawcy dla opuszczenia daty w wydawanym przez siebie dokumencie? Wszakże zdaje się, że celem wydawnictwa było, nie przedrukowanie aku-

(1) Tak samo wydrukował Bielowski, opierając się na oryginalne transumptu będącego własnością hr. Diedożyckiego.

ratne kopij Batowskiego, ale raczej wydanie krytyczne samych dokumentów, do czego Batowski dostarczył tylko pewną liczbę kopij, bardzo często nastęrczających liczne wątpliwości. Podnoszę drobny ten szczegół dla tego, że on rzuca niejako światło na całą metodę jakiej się trzymano przy wydawaniu dyplomatarjusza, a która pociągnęła za sobą mnóstwo usterków.

Dyplomata XVII nosi w wydaniu napis: Bolesław Wstydlivy uwalnia poddanych klasztoru od daniny kasztelanom Wojnickim; raczej należało było powiedzieć: Wyrok Bolesława w sprawie klasztoru z kasztelanem Wojnickim o daniny. Celem napisów powinno być, ile być może najdokładniejsze oznaczenie rodzaju aktów: potrzebne to z wielu względów a mianowicie ułatwić może poszukiwania naukowe. Ponieważ zaś wyrok ten był już poprzednio drukowany przez Maciejowskiego, wypadło i na warianty jego odpisu zwrócić uwagę, a to témbardziej, że podał w wielu miejscach tekst poprawniejszy, i tak np. zamiast: ab ejus exactionem, należy czytać: ab *eis* exactionem, zamiast: supscriptum communimus testimonio, powinno być jak u Maciejowskiego: *subscripto* communimus testimonio.

Podobnie w dyplomacie XVIII wypada czytać nie tak jak Batowski: salvo *tamen* iure molendini, ale jak u Szczygielskiego: salvo *etiam* iure molendini, co daje zupełnie inny sens. W każdym razie, ponieważ w tym razie kopia Batowskiego nie zgadzała się ze Szczygielskim, należało było postarać się wątpliwość tę wyjaśnić przez porównanie kopii z oryginałem zachowanym u hr. Dzie duszyckiego i wariant Szczygielskiego pod tekstem zakonotować.

Dyplomata XX wzięty ze Szczygielskiego i podług niego przedrukowany, w przypisku zaś powołane dzieła Tschopego, Heynego i Hormayera, bez oznaczenia jednak, dlaczego te cytacje zrobione; dopiero zajrzawszy do dzieła Tschopego pokazuje się, że oryginał tego dyplomatu musi się znajdować w archiwum prowincjonalném szląckim. Mając taką wskazówkę, wydawcy powinni się byli postarać o otrzymanie kopii z tego oryginału, co nie było trudno przy znaręd uprzejmości tężniejszego naczelnika archiwum. Otrzymanie kopii takowej, byłoby niewątpliwie zapobiegło niektórym omyłkom jak np.: et quidquid super ipsorum homines dux *indicaverit*, zamiast: dux *judicaverit*.

Do wydania dyplomatu XXI użyto tomu I dyplomatarjusza Ryszczewskiego i tyle razy powołanego kopjaryusza z r. 1634. Wydanie nie nastęrczało wiele trudności, bo obie kopije w ogóle okazały się zgodne: jedna tylko ważniejsza zachodziła między niemi sprzeczność, a mianowicie w imieniu kasztelana wiślickiego, figurującego w akcie jako świadek: u Ryszczewskiego dane mu imię Bolesław, a w kopjaryuszu zwie się Dobiesław. Rozwiązanie téj zagadki w braku innych danych może nie było tak łatwe, co do mnie jednak nie byłbym się ani na chwilę wahał dać pod tym względem pierwszeństwo kopjaryuszowi, a to dlatego iż dawno dostrzegłem, że imiona książęce Mieczysław, Bolesław, Kazimierz,

Władysław, Leszek, Przemysław, były wyłącznie imionami będącymi w użyciu rodziny panujących i nigdy w tych czasach nie były noszone przez osoby prywatne.

Dyplomata XXII. Przedrukowano go z III tomu dyplomatarjusza Rzyszczewskiego. Rekomendacja, jaką przypisek daje, użytą do druku kopii, przywołując że ona sporządzona z aktu wniesionego do Metryki koronnej, zdaniem mojem bardzo słaba, bo wiemy jak same kopije Metryki bywają często bardzo błędne, zwłaszcza jeśli akt wnoszony był w transumpcie. Co więcej, wiadomo już dzisiaj, że do Metryki wnoszono i dyplomata podrobione jak np.: znane dyplomata rodziny Czarnkowskich. Składano także w Metryce falsyfikaty, dla otrzymania potem z nich kopij urzędowych. Posiadamy sami taką kopią dyplomatu Wielopolskich z r. 1113, znajdującego się obecnie w Tajnym Archiwum w Berlinie między dyplomatami krakowskimi, na pierwszy rzut oka sfałszowanego, wniesionego do Metryki przez Jana Wielopolskiego kanclerza, jak to poświadczają komisarze królewscy do rewizji Metryki назначeni, a mianowicie: Stanisław Wojeński, biskup Kamieniecki, Marcin Chomętowski, kasztelan Zatorski, Andrzej Zydowski, wice-starosta Oświęcimski, Bogusław cześnik Bracławski i Stanisław Zdanowski, notaryusz grodu krakowskiego. Wydawca więc nie może bronić się pochodzeniem takich kopij i powinien, ile być może, starać się o oczyszczenie błędów, jakie w ich tekście dostrzeże. Z tego powodu w tekście, dokumentu o którym mówimy, nie powinien być zamieszczać wyrażen: *jure quali ipsa civitas Moniforensis est locata*, gdy oddawna wszystkim zajmującym się gruntowniejszą nauką wiadomo jest, że to nie może być jak tylko *civitas Novifori* (Neumarkt), po polsku Środa, miasto położone na Szlaku. Należało więc w tekście postawić właściwe nazwisko miasta, z którego prawo było wzięte a w nocie wspomnieć tylko, że w kopii Metryki czyta się inaczej. Nie wypadało też w tekście powtarzać takie błędy jak: *possesore* zamiast *possessoris*, *tenebunt* zamiast *tenebuntur*, *judicii* zamiast *judiciis*, *capituli* zamiast *capituli*, które dostrzegł nawet już był Bartoszewicz. Tekst powinien być zawsze dany oczyszczony z błędów: dla zachowania pamięci błędów, jeśli to potrzebne, służą z przeznaczenia przypiski.

Przy dyplomacie XXVI nie nadmieniono, że go drukował Maciejowski.

Jako dalszy dowód braku krytyki w obrobieniu tekstów przedstawia się dyplomata z roku 1286. Znowu i tutaj za podstawę wydanego tekstu użytą została wyłącznie kopia Batowskiego, kiedy dyplomata ten już był drukowany przez Szczygielskiego i kiedy znajduje się aż trzy razy powtórzony w kopiaryuszu. Nie przechodząc po szczególe całego dyplomatu, coby wymagało poświęcenia mu oddzielną obszerną pracę, zatrzymujemy się tylko na miejscu, w którym oznaczone są sprawy, jakie Leszek dozwala

sądzi opatowi Tynieckiemu. Sprawami temi są podług kopii Batowskiego: *meh, kigy, sedemnadzeszeza, penadzeszeze, glova, zaglowna, secgrziwen, chazba, secgrziwen, nestane i trzista*. Wydawcy przyjąwszy do tekstu te same oznaczenia, zapewne jako najwięcej odpowiadające wymaganiom krytyki, w notach cytują warianty trzech kopii kopiaryusza, nie wspominając wcale o wydaniu Szczygielskiego, który przecież także z oryginału kopiował i jak często przekonać się można bardzo trafnie. Otóż Szczygielski naprzód nie powtarza dwa razy sześć grzywień i sprawy powyższe tak oznacza: *meh, kig, sedmnaeste, pednaeste, glova, zaglowa, secgrriuen, chansba, nestane, trista*. Ze Szczygielskim zgodne są zupełnie dwie kopie, wzięte także z oryginału a zamieszczone w kopiaryuszu. Gdyby tu chodziło o rzeczy nam zupełnie nieznanne, możeby się dało usprawiedliwić przyjęcie do tekstu takich oznaczeń, jak *meh, kigy, hazba*, dzisiaj jednak każdy trochę więcej obznajmiony z dyplomatami wie dobrze, że owe *meh, kigy*, znaczą pojedynek na miecze i na kije, co dyplomata wyraził używając liczby pojedynczej i ówczesnej pisowni przez wyrazy *meh* (meh) i *kig* (kij); równie nie może być żadnej wątpliwości, że w oryginale stało nie *hazba* albo *chansza*, ale *chanszba*, co oznaczało kradzież, od czego poszło powtarzane w tysięcznych notach przysięg (zachowanych w dawnych księgach ziemskich), wyrażenie: „Chaszbną rzeczą, co po łacinie oddawano przez *furtive* albo *fustivo modo* (1). Co do pisowni siedem dziesiątej, piętnadziestej, sędzę również, że pisownia Szczygielskiego, jako zgodna z dwoma kopiami użytymi także z oryginału, więcej musi być zbliżona do niego, jak pisownia Batowskiego. W ogóle zatem, książę udzielając opatowi sądownictwo nad ludźmi osiadłymi na ziemiach darowanych klasztorowi, daje mu w sprawach karnych pełną jurysdykcją, bo upoważnia go do sądenia wszystkich spraw, w których za dowód używano pojedynku na miecze i kije, dalej wszystkich przestępstw, na które wyrzeczoną była kara siedemdziesiąt i piędziesiąt, następnie spraw o zabójstwo i kradzież, wreszcie pozwala mu wyrzekać kary sześć grzywień, trzysta i niestane. Było to nadzwyczaj ważne ustępstwo, bo zapewniało zarazem cały dochód z kar klasztorowi. Przy tej okoliczności należy zaraz wspomnieć o dyplomacie XXXII. W nim zamiast przyjętego w poprzednim akcie wyrażenia *chazba* figuruje wyrażenie *charzba*. Maciejowski czytał tu nawet *czazba*. To samo powinno być zaostrzyć uwagę wydawców i pobudzić do zgłębienia rzeczy. Ale w tymże dyplomie występuje jeszcze jeden ciekawy techniczny wyraz, to jest *sbey*. Książę sąd nad *sbey* i nad *charzba* zachowuje sobie, oddaje tylko dochód z kar opatowi. Lecz co to zna-

(1) Maciejowski ogłaszając w roku 1839 kilka podobnych not w swoich *Pomnikach* w T. II, str. 335 wyraźnie powiada, że wyrazów tych nie rozumie.

czy *sbey*? na to odpowiada nadanie Konrada IIgo, księcia Szląskiego z roku 1261, a zatem o 30 lat wcześniejsze od dyplomu XXXII, w którym stoi nie *sbej* ale *zboy*, z objaśnieniem łacińskim *spolium publicum*, z kąd poszło późniejsze *rozboj*, *zbójca*. Wydawcy powinni byli znać ten dyplom Szląski, kiedy sami przytaczają w inném miejscu dzieło, w którym się znajduje i podług niego poprawić tekst wydawanego przez siebie aktu. Z tego wszystkiego wynikało, że w jednym i tym samym dyplomatarjuszu, ta sama rzecz, nosi w przeciągu lat 30tu dwa nazwania: *chazba* i *charzba*. Nie dosyć na tém, pod rokiem 1353 (LIII) *chazba* nazwana *chanszba*. Nareszcie więc znalazło się i właściwe wyrażenie, tak samo jak w tymże samym dyplomacie, zamiast *meh*, stoi *mecz*.

Dziwne także usterki przedstawia tekst dyplomu XXX. Wydawca miał pod ręką: edycją Szczygielskiego, wydanie Maciejowskiego i kopiariusz. Słusznie może nazywa kopią Maciejowskiego błędną, ale dlaczego wołał drukować dyplom podług kopiaryusza, a nie podług Szczygielskiego, trudno odgadnąć, kiedy wyraźnie kopia Szczygielskiego lepsza od drugiej. Nie ma w niej takich bezsensów jak *emebant* zamiast *tenebant*, *prachabito* zamiast *praelibato*, *Jmrainmus* zamiast *Jmramus*, gdzie niema niepotrzebnego *ut* przy wyrazach *in praedicto nostro monasterio*, gdzie po wyrazach: *sub poena unius marcae auri nobis*, dodane konieczne *applicandae*. Z tego i z poprzednich uwag wypływa, że wydawcy przyjęli za zasadę: że gdzie będą mieli kopią Batowskiego, tam usuwając na bok wszystkie inne źródła pomocnicze, dadzą tekst wyłącznie podług tej kopii, a gdzie nie będzie kopii Batowskiego, tam pójdą znowu bezwzględnie za kopiaryuszem. Przykłady przytoczone przekonały, że metoda obrona była fałszywą.

Ale jeszcze jeden przykład. W dyplomacie XXXI z r. 1288 drukowanym poprzednio przez Szczygielskiego i Maciejowskiego, jak mówią wydawcy, z kopii snadź bardzo błędnej, powiedziano: że naruszający swobody nadane kościołowi Tynieckiemu ma płacić markę srebra kasztelanowi, wojewodzie i sędziemu *Krakovskim*, tymczasem wydawca podług błędnej kopii Batowskiego drukuje: *castellano, palatino, iudici concernentibus* cuilibet unam marcam argenti persolvere teneatur! Zdaje się, że Szczygielski lepij oryginal przeczytał. W każdym razie obowiązkiem było wydawcy, naznaczyć przynajmniej różnicę tekstu Szczygielskiego.

Poprzestajemy na tych uwagach, łatwo byłoby ich liczbę powiększyć; uważamy wszakże, że są aż nazbyt dostateczne dla wykazania, że teksta dyplomatarjusza Tynieckiego są wydane bez dostatecznej krytyki i że właściwie czekać znowu należy na nowego wydawcę, któryby wycisnął na nich piętno przyzwoitej dojrzałości. W stanie, w jakim są dzisiaj, mogą z nich tylko korzystać, jeszcze bardzo nieliczni znawcy naszych średniowiecznych pomników.

W notach dodanych do tekstu zamieszczone w ogóle same tylko warianty czyli różnice kopij, rzadko inna jaka wyjaśniająca uwaga.

Helcel przy obrobieniu pierwszego sta dokumentów wydrukowanych w pierwszym tomie dyplomatarusza Rzyszczewskiego zadał sobie pracę oznaczania położenia miejscowości wspomnianych w dyplomach i nazwisk ich dzisiejszych. Za przykładem tym poszli uczeni i staranni wydawcy aktów lwowskich. Nie przeczymy, że praca to niemiała, zwłaszcza jeśli się drukują dyplomata z różnych odległych od siebie stron, ale praca nader użyteczna i w pewnym względzie niezbędna, dla rozjaśnienia mnóstwa pytań historycznych. Trudno jest zwolnić od tego obowiązku, mianowicie wydawców dyplomataruszów jakowego pojedynczego klasztoru, miasta lub instytutu, a to już dla tego, że tu liczba miejscowości zwykle mniejsza i nietylko rozrzuconych po różnych stronach kraju. Wydawcy dyplomatarusza Tynieckiego nie poczuli się do zadość uczynienia temu ważnemu zadaniu.

Do dyplomatarusza dodanych jest pięć spisów: pierwszy przedstawia registr alfabetyczny imion i nazwisk osób wspomnianych w dyplomataruszu, drugi registr alfabetyczny miejscowości, trzeci nosi napis: słownik wyrazów technicznych, czwarty napis: itineraria książąt, piąty bez napisu przedstawia wyliczenie osób wspomnianych wedle ich godności.

Dodatki podobne, za wyłączeniem tylko itinerariów, które tutaj po raz pierwszy występują, znajdują się także i przy innych naszych dyplomataruszach, z tą różnicą, że w jednych jest ich więcej, w drugich mniej, i zakres niektórych jest niekiedy obszerniejszy, niekiedy więcej ścięsniony. I tak, kodeks dyplomacyjny Uniwersytetu Jagiellońskiego przedstawia jeden tylko registr, w którym pomieszczone są w porządku alfabetycznym spisy osób, miejscowości, godności i wszystkich innych uwagi godnych przedmiotów. Akta lwowskie mają dwa spisy: jeden dla osób, miejscowości i godności, drugi nosi napis: *Spis słów i zwrotów nielacińskich*. Mogilski dyplomatarusz ma najprzód spis imion osób, potem wybornie i bardzo starannie obrobiony spis osób według godności, dalej wykaz miejscowości, nareszcie *spis ważniejszych wyrażeń*. Podobnie i dyplomatarusz Rzyszczewskiego przedstawia trzy spisy, z tą tylko różnicą, iż spis trzeci przeznaczony jest do zaznaczenia wyrażeń średniowiecznych i technicznych, ale w ogóle dla pomieszczenia w nim wzmianki o przedmiotach ważniejszych zawartych w dyplomataruszu.

Z przedstawienia tego widzimy, że między wydawcami zachodzi zupełna zgoda co do spisu osób, miejscowości i co do wykazów godności piastowanych przez różne osoby; różnica między nimi polega tylko na tém, że jedni wszystkie te trzy spisy łączą razem z sobą, drudzy rozdzielają je na dwa lub trzy osobne spisy. U Rzyszczewskiego spis godności połączony jest ze spisem miejscowości;

przeciwnie w Dyplomatarjuszu Mogilskim umieszczony nie bez słusznój przyczyny oddzielnie, bo niektóre godności nie przywiązane do miejsca, a o tyle o ile są godnościami miejscowemi, wspomniane są jeszcze raz przy odpowiednich miejscowościach. Najistotniejszą różnicę w pojęciu zadania swego przedstawiają tak nazwane spisy wyrazów technicznych, spisy słów i zwrotów niełacińskich i spisy ważniejszych wyrażen. Napisy te różniące, wyraźnie świadczą, iż każdy z wydawców inaczej pojmował zadanie swoje. Najobszerniejszy zakres tego rodzaju spisowi nadał Helcel, bo objął w nim nietylko wyrażenia średniowieczne ale w ogóle zamieścił w nim spis ważniejszych przedmiotów. Jakoż w spisie tym do I tomu spotykamy wzmiankę o zakonach różnych reguł, o różnego gatunku prawach, o żydach, tatarach i inne tym podobne. Żałować tylko wypada, że ułożony pod wpływem tój myśli spis, jest jeszcze nader niekompletny. Prawda, iż oznaczenie granic podobnego spisu przedmiotów, jest bardzo trudne. Przy układaniu jego, tylko rodzaj ogłaszanych dokumentów i pewien wyższy naukowy pogląd, mogą stanowić wskazówkę co do przedmiotów, które powinny wejść w skład podobnego spisu. Samo przez się rozumie się, że przedewszystkiem w spisie takowym znaleźć także powinny miejsce wyrażenia techniczne, a mianowicie tóż wyrażenia średniowieczne, czy to łacińskie, czy polskie, czy z innego języka. Jest nawet do życzenia, aby wyrażenia polskie, starodawne, otrzymały w spisie oddzielne pomieszczenie dla łatwiejszego ich przeglądu. Przy wyrazach starych łacińskich lub polskich, jeśli są mniej zrozumiałe, wypada podać ich objaśnienie, zwłaszcza za pomocą tych samych dokumentów, z których są wzięte, albo, gdy te nie wystarczają, z innych współczesnych pomników (1).

Po tych kilku ogólnych uwagach zwracamy się jeszcze do dyplomatarjusza Tynieckiego, a mianowicie do jego słownika wyrazów technicznych. Z prawdziwym żalem oświadczyć możemy, że i ten słownik bardzo niedokładnie sporządzony. Są w nim objaśnione wyrazy, które objaśnienia nie potrzebują, jak wyrazy: *advocatia*, *scultetia*, bardzo dobrze wszystkim znane, a bez objaśnienia pozostawione wyrazy najważniejsze albo objaśnione w sposób zupełnie niezadawalniający. Najwięcej wyrazów objaśnionych jest przez dwa wyrażenia: *exactio* lub *causa judicialis*. Taką *causa judicialis* jest: *dchanszba*, *glova*, *kigy*, *mecz*, *nestaue*, *penandzeszcze*, *saglova*, *sbey*, *secgrziven*, *sedmnadeszcza*, *trista*. Niewątpliwie są to wyrazy mające związek ze sprawami sądowemi; ale to nie sprawy sądowe. Natrafiają się nawet w słowniku miejsca niepojęte, naprzykład: *Bobrovi vocatus glovni*. Zacytowany dyplomata XXIX ma co innego i pisze: *Johannes bobrovi vocatus glovni*. To przedstawia zupełnie inny sens: Jan, który był przy spisaniu dokumentu świadkiem, nosił przezwisko *glovni*, tak samo jak Piotr w doku-

(1) Za wzór godny naśladowania przy układaniu podobnych spisów i objaśnień, można przedstawić dyplomatarjusz czeski Erbena.

mencie XXIII nazwany był Zrobadlo, dodane zaś oznaczenie: bobrovi, podług wszelkiego podobieństwa do prawdy znamionuje bobrownika albo po prostu bobrowego.

Niedostateczny również jest spis osób wedle godności dołączony do dyplomatarjusza, bo obejmuje tylko wykaz biskupów krakowskich, opatów tynieckich, wojewodów, kasztelanów, starostów i kanclerzy. Szkoda, że przy układaniu spisu takowego, nie użyto sobie za wzór wydania dyplomatów mogińskich. W ogóle, zdaje mi się, że w pracach podobnych, zamiast szukania nowych dróg, najlepiej iść za przykładami wzorowemi, jakie już przedstawia piśmiennictwo krajowe. Wolno je udoskonalić, ale cofać nie godzi się.

Kończąc na tym uwagi nasze nad dyplomatarjuszem tynieckim, a zarazem dorywcze spostrzeżenia nad innemi tego rodzaju naszymi publikacyami, pozwalam sobie takowe streścić i przedstawić je rozważyć późniejszych wydawców dyplomatarjuszków, z życzeniem, aby co do punktów spornych zająć mogło porozumienie.

Zdaniem mojem jest, że w wydawnictwie dyplomatarjuszków należałoby:

1) Przyjąć pisownią nową zachowując jedynie pisownią starą w nazwiskach i w wyrazach technicznych, zwłaszcza takich, których istotne znaczenie dotąd nie udeterminowane.

2) Starać się o zaprowadzenie ile być może racjonalnej interpunkcyi, z pominięciem błędnej interpunkcyi samych pomników.

3) Tekst dokumentów dawać ile być może oczyszczony z błędów i poprawny.

4) W przedmowach zamieszczać dokładną i specjalną wiadomość o źródłach i pomocach, jakie służyły do uskutecznienia wydawnictwa.

5) W notach do każdego dokumentu z osobna, podawać to wszystko, co się może ściągać do objaśnienia jego znaczenia i zrozumienia, oraz do usprawiedliwienia przyjętego tekstu i robionych w nim popraw.

6) Opatrzyć każdy dyplomatarjusz dokładnym: a) spisem osób; b) wykazem miejscowości; c) spisem osób według godności, stanów i powołań; d) rejestrem alfabetycznym ważniejszych przedmiotów, w którym pomieścić słowniki wszelkiego rodzaju wyrażań technicznych, z potrzebnem, jeśli można objaśnieniem ich znaczenia, osobno nadto ugrupować wszelkie wyrażenia dawne polskie, ze względu na potrzebę dostarczenia materiału dla obrobienia historyi języka.

Czechia i Morawia. (Wydanie komitetu Słowiańskiego,
Petersburg 1871).

Jedną z ważniejszych publikacyj rosyjskich z ostatnich czasów jest dzieło: *Czechia i Morawia*, obejmujące encyklopedyczny zarys obu tych krajów, pod względem historycznym, statystycznym i etnograficznym, a rozpoczynające całą seryą tego rodzaju popularnych wydawnictw, których zadaniem jest bliższe obznajomienie się z przeszłością i teraźniejszością słowiańskich ludów. Dziełko to, wydane przez komitet słowiański petersburski, pod redakcją sekretarza tegoż komitetu p. Herbela, opracowane jest podług źródeł czeskich, a jakkolwiek nie wielkich rozmiarów, to jednak zaleca się staranném opracowaniem i dokładnością.

W pierwszym rozdziale znajdujemy opis Czechii pod względem geograficznym, geologicznym, klimatologicznym i t. d., w drugim dość szczegółową statystykę kraju. Nader ciekawą jest tutaj porównawcza cyfra ludności. I tak podług spisu 1754 r. znajdowało się w Czechach 1,924,284 mieszkańców, zaś w 1857 r. było 4,705, 525 (bez wojska), zatem w przeciągu 103 lat ludność wzrosła o 0,81%.

Pod względem zaś narodowości, ludność Czechii w ten sposób daje się rozklassyfikować: Czechów 2,925,982, Niemców 1,706,372, Żydów 86,339.

Ludność niemiecka najwięcej się rozsiała w zachodniej stronie kraju, gdzie téż fabryk jest najwięcej; powierzchnia zaś kraju wynosi 944 mil kwadratowych, zatem Czechia jest najludniejszą ze wszystkich prowincyj Cesarstwa Austriackiego.

Nie mniej także ciekawe są statystyczne dane o szkołach i oświeceniu w Czechach.

W 1860 r. katolickich szkółek ludowych było w całym kraju 3741, w nich 610,980 uczących się dzieci, a 7146 nauczycieli i nauczycielek.

Gimnazyi było w 1861 roku 23, w nich 6923 uczni i 310 professorów (czeskich gimnazyj 10, niemieckich 6, a 7 w których wykładano nauki w obu językach), w tymże roku było szkół realnych 8, w nich 2980 uczni i 109 professorów.

Prażski instytut politechniczny miał w 1860/61 roku, 26 nauczycieli i 787 uczni.

Prażski uniwersytet z 4 fakultetami (teologiczny, prawny, medyczny i filozoficzny) miał 122 nauczycieli i 1185 studentów; nadto cztery teologiczne zakłady (20 nauczycieli i 230 uczni), oraz Serbo-Łużyckie Seminaryum w Pradze z dwoma profesorami i 45 uczniami.

Towarzystw naukowych i literackich znajduje się w Czechach do 15. Z tych ważniejsze są: Towarzystwo naukowe (123 członków), Towarzystwo Czeskiego Muzeum z oddziałami archeologicznym, nauk przyrodniczych, i literackim z których ostatnie zawiaduje Maticą czeską t. j. zakładem dla wydawania książek czeskich. Towarzystwo to liczy 405 członków, posiada bibliotekę przeszło 100,000 tomów, zbiory archeologiczny, numizmatyczny, nauk przyrodzonych, oraz archiwum. Oprócz tych są jeszcze towarzystwa gospodarcze, przemysłowe, rzemieślnicze, kilka muzycznych i śpiewackich i t. d.

Ilość wychodzących w Czechach czasopismów, jest także wymownym świadectwem stopnia oświaty. I tak w 1862 roku wychodziło w Czechach do siedemdziesięciu pism peryodycznych (37 czeskich i 33 niemieckich). Z tej liczby w samej Pradze 30 czeskich (8 politycznych, 5 teologicznych, 2 pedagogicznych, 5 naukowych, 4 gospodarskich, 1 muzyczne, 2 beletrystycznych, 2 humorystycznych, i 1 medyczne) a 15 niemieckich (1 beletrystyczne, 3 naukowych, zresztą wszystkie inne w celach praktycznych).

W dalszych rozdziałach nie mniej ważne są wiadomości o handlu, przemyśle i gospodarstwie, poczem obszerny znajdujemy ustęp o obowiązujących prawach krajowych z historycznym onych wywodem.

Następnie w krótkich i treściwych, lecz nader trafnych poglądach, autor przechodzi dzieje polityczne narodu czeskiego, pomijając drobniejsze szczegóły lecz wysledzając główne, wybitniejsze piętna każdej epoki.

Historja czeska w najogólniejszém wziętu znaczeniu, powiada autor, przedstawia ciągłą walkę Słowianizmu z wpływami Zachodu, rzymskiej hierarhii z germańskim feudalizmem. Kulminacyjnym punktem tej walki jest hussycki wybuch, obejmujący całe dwa wieki, XV-ty i XIV-ty (1403—1627). Ztąd więc autor dzieli historję czeską na trzy okresy: pierwszy od najdawniejszych czasów do epoki Hussa, drugi obejmujący walki hussyckie, i trzeci wreszcie od bitwy pod Białą górą aż do ostatnich czasów. Trafny niezmiernie podział, bo każdy z tych okresów oddziela się wybitną linią demarkacyjną, utworzoną przez fakta dziejowe niezmiernego znaczenia.

Bitwa przed Białą górą (8 listopada 1620 roku), okropny cios zadała narodowości Czechów. Czém dla Serbów Kossowe Pole, tém jest Biała góra dla Czechów. Smutną pamięć tej bitwy fatalnej, okropniejszej jeszcze w swoich następstwach, do dziś dnia Czesi obchodzą uroczyście, a najbiedniejszy *sedlak* czeski mówi o niej z taką znajomością, jakby o rzeczy wczorajszej. W dniu tym fatalnym stara szlachta czeska wyginęła ze szczętem, a co się zostało, padało wkrótce ofiarą zemsty zwycięzców. Prześladowania do tego doszły stopnia, że niszczone księgi nawet czeskie, wszystko, co ożywić lub utrzymać mogło wstrętą dla

Niemców narodowość. Później gdy namiętności ostygły, szaloną zemstę i gwałtowny ucisk zamieniono systematycznym wynaradawianiem. Wykształcony absolutyzm XVIII wieku, ścieśnia węzły najściślejszego centralizmu, a choć Józef II, przejęty filozoficznymi zasadami swojego wieku, daje Czechii cień swobody, przynajmniej religijnej, patentem tolerancyi (1784), a jednocześnie zezwala na poprawę form administracyjnych i sądowniczych, nie mniej przeto dążył jak jego poprzednicy ku ostatecznemu zgermanizowaniu Czechii. Dopiero brat jego Leopold II odnawia dawniejsze ustawy sejmowe i koronuje się w Pradze (1791 roku). Następca jego Franciszek, strwożony widmem rewolucyi francuzkiej, nie śmie wystąpić do walki z odradzającą się po dwu wiekowie prawie uśpieniu, narodowością czeską, i także koronuje się w Pradze (1792), zostawiając sejmom obszerniejszy zakres działalności.

Tymczasem coraz silniej i wybitniej rozbudza się w narodzie czeskim uczucie narodowości; na podstawie badań dziejowych, odnajdują prawa korony czeskiej i przywrócenia onych domagają się, a wskrzeszając zapomniany już niemal język czeski, wywołują w całym narodzie uczucia patryotyzmu. Długa i uporna walka dyplomatyczna Czechów w ostatnich czasach, wraca im ich prawa dawniejsze, jeśli nie w całości to o tyle przynajmniej, iż pomyślnie rozwijać mogą wszystkie swoje zasoby moralne i materyalne.

W dalszym ciągu pracy pana H., znajdujemy wielce zajmujący ustęp o wewnętrznych i zewnętrznych stosunkach Czechii w różnych epokach; głównie rozpatrywane tu są formy jurydyczne, administracyjne i sądownicze, oraz wpływ prawodawstwa i stosunków społecznych na bieg wypadków politycznych, następnie przechodzi autor dzieje Kościoła w Czechach, które ze względu na walki religijne Hussytów stanowią niezmiernie ciekawy przedmiot, a dotyczący już nie samej tylko Czechii, lecz całej prawie ludzkości, tak bowiem przeważnie wpływały na współczesne wypadki, na kombinacye polityczne, wreszcie na kształtowanie się nowych pojęć religijnych i społecznych.

W następnych rozdziałach znajdujemy w krótkości podaną historję języka czeskiego, piśmiennictwa i sztuki. Kolejno rozpatruje tu autor literackie płody Czechów, począwszy od najdawniejszych zabytków piśmiennictwa czeskiego, tak świetnie reprezentowanych w Zelenogórskim i Kralodworskim rękopismach, aż do ostatnich prac lingwistycznych, i historycznych Jungmana, Palackiego, Szafarzyka, Hanka, Erbena i wielu innych.

Dla uzupełnienia wreszcie obrazu, autor podaje nam jeszcze dokładną wiadomość o handlu, przemyśle, rolnictwie, rękodzielnicach i. t. d.

Druga część pracy pana H., obejmuje takież sam statystyczno-historyczny opis Morawii, nie mniejsze także przedstawiając zajęcie.

Margrabstwo Morawskie, mające 370 mil kwadratowych przestrzeni, liczy 1,870,000 mieszkańców; w tém 1,318,000 Słowian, 519,000 Niemców, reszta Żydów. W ogóle na każdych 100 ludzi przypada 70 Słowian, 28 Niemców i 2 Żydów; zatem stosunek ludności niemieckiej do słowiańskiej znacznie jest mniejszy w Morawii niż w Czechach. Stopień zaś oświaty wykazują następujące cyfry statystyczne:

W 1863 roku było w Morawii szkólek ludowych 1731, w téj liczbie 1658 katolickich, 37 protestanckich, 36 żydowskich.

Po czesku uczono w 1142 szkólkach, po niemiecku w 511, a w pozostałych 78 szkólkach w obu językach. Uczących się dzieci we wszystkich szkólkach ludowych na Morawii było 265,474.

Gimnazyj w 1863 roku było 9 a w nich 2755 uczni (1505 Czechów i 1250 Niemców).

Nadto znajduje się jeszcze w Morawii 5 szkół realnych (około 1500 uczni), instytut politechniczny w Bernie (200 studentów), medyczno-hirurgiczna szkoła w Ołomuńcu (120 studentów), szkoły teologiczne w Ołomuńcu i Bernie, akademie rolnicza i szkoła leśnia w Usowie (40 uczni).

Historja polityczna Morawii, oraz pobieżny pogląd na stosunki społeczne, zestawienie obowiązujących praw dzisiejszych z historycznym onych wywodem, pogląd wreszcie na handel, przemysł i rolnictwo, téj prowincyi, mieszczą się w ostatnich rozdziałach pracy pana H.

W ogóle dzieło to: *Czechia i Morawia* nader jest ważném, bo nic pominiętém nie jest, co tylko dotyczy tak przeszłości jak i terażniejszości obu tych krajów, i zasługiwałoby na przekład. Wprawdzie w piśmiennictwie naszém, posiadamy jedno dzieło w tym rodzaju: *Czechia i Czechowie, przez Edmunda Chojeckiego (Berlin 1847)*, w téj jednakże pracy choć obszerniej jeszcze rozwinięty jest obraz historyi i piśmiennictwa czeskiego, zato statystyka zupełnie pominięta i zresztą, od 1848 roku Czesi ogromny krok zrobili, formy ich administracyjne, prawa polityczne, rozwój piśmiennictwa i t. d., wszystko to na nową wstąpiło drogę postępu, i godne jest bliższego poznania.

Tego rodzaju dzieła, jak *Czechia i Morawia*, przedstawiające w przystępnej formie, encyklopedyczny zarys kraju i narodu, najbardziej popularyzują naukę i pożądanymby było aby i w naszym piśmiennictwie zjawiły się podobne prace.

K. P.

Das Schaui. Ein Beitrag zur Berberischen Sprachen- und Völkerkunde von Adam Graf Sierakowski, Dr. jur. Mitglied der geographischen und der anthropologischen Gesellschaft zu Berlin. Dresden, Verlag von J. I. Kraszewski. 1871.

Hr. Adam Sierakowski zaczął zawód swój naukowo-piśmienniczy rozprawą inauguracyjną „De singulari nobilitatis in occidentali Prussia hereditario jure.“ (Berlin 1867). Z jego imieniem łączy się szczęśliwe przyswojenie naszej literaturze ważnego pomnika, odnoszącego się do historii prawa polskiego. Ciekawy ten zabytek odpisany przez młodego badacza, zamieścił Helcel na czele drugiego tomu swoich „Starodawnych prawa polskiego pomników (Kra-ków 1870).“ Przymówienie się hr. Sier. które poprzedza sam tekst, zawiera ciekawe skazówki co do sposobu w jakim Prawo Polski obowiązywało w Prusach, a autor obiecuje w tej mierze szerszą, zupełniejszą i więcej wyczerpującą pracę, po zgromadzeniu stosownych materyałów.

W roku zeszłym hr. Sierakowski ogłosił w języku niemieckim pismo do innego zakresu umiejętności odnoszące się, którego tytuł na czele podaliśmy. Jest ono owocem podróży odbytej w Algierze w roku 1869 a uważać je należy jako istotny przyczynek do umiejętności języków i do ogólnej gramatyki porównawczej, a zatem jednej z gałęzi wiedzy która poważne w obecnych czasach zajmuje stanowisko.

Pismo o którym mówimy z trzech głównych składa się części: wstępu gramatyki, narzecza berberyjskiego *Schaui* i słownika tegoż narzecza. We wstępie zebrał starannie autor owoce najnowszych poszukiwań historycznych i etnograficznych co do ludów zamieszkujących północną Afrykę. Dowiadujemy się tam jakie szczepy i pokolenia złożyły się na zaludnienie tych okolic, jak mieszały się ze sobą tworząc w jednych okolicach grupy czystego pochodzenia pierwotnego, zachowujące swój język; w innych grupy tak złączone językiem i obyczajem iż zaledwie śladów ich pierwotnych znamion dopatrzeć się można. Grupy te oznacza autor, określa ich granice, równie jak zakres różnych dyalektów któremi te plemiona i grupy się posługują. Obszerniejsze miejsce zajmują studia nad pochodzeniem ludów berberyjskich, w czem autor posługuje się głównie pracą generała Faidherbe przedłożoną w roku 1868 stowarzyszeniu Algierskiemu „do klimatologii, nauk fizycznych i przyrodniczych,” a której to pracy autor znakomitą przyznaje wartość. I tu jak wszędzie co do pochodzenia wędrowek i mieszania się plemion spotyka się zagadki, nad których rozwiązaniem pracują uczeni nieraz napróżno stawiając coraz odmienniejsze domysły. Spotykane pojedyncze twarze z jaśniejszą skórą, regularniejszymi rysami, jasnym włosom i niebieskimi oczami, wpośród śniadych czarnowłosych i czarnookich

Berberów tworzy jedną z takich zagadek w północnej Afryce. Generał Faidherbe uważa Berberów za autochtonów, blondynów za napływowych, co i autor rozpatrując się w różnicach tych dwóch typów, podziela: to przecież nie rozwiązuje pytania z kąd wzięli się ci przychodnie? Byliby to potomkowie Wandalów? Ależ o nich mówią już w epoce poprzedzającej napad Wandalów. Zagadka jest nierozwiązana, tem więcej że w języku żadnego dla niej przewodnika odkryć się dotąd nie udało ani dopatrzeć granicy, do której te jasnowłose indywidua sięgają wewnątrz Afryki.

Co do języków używanych w północnej Afryce, tak samo są jeszcze podzielone zdania uczonych, jak co do pochodzenia plemion i ich napływu. Jedni odnoszą je do grupy języków Semickich, inni tworzą oddzielną z nich grupę języków Chamickich. Powinowactwo mowy herberyjskiej z językiem Koptów także nie jest zupełnie wyjaśnione.

Narzecze *Schaūi* którego autor podaje gramatykę i słownik jest jednym z narzeczy berberyjskich; mówi pokrewna gałąź niem plemienia Kabyłów zamieszkująca okolice gór Aures, licząca 186,647 osób.

Gramatyka *Schaūi* jest ułożona przez p. Torchon, udzielona autorowi w rękopiśmie i pierwszy raz przez niego ogłoszona w języku francuzkim. Nad tą częścią pisma wstrzymujemy się od wszelkich uwag, dodamy tylko że trzecia odrębna część dzieła stanowiąca słownik powyższego narzecza, jest już owocem pracy samego autora. Tem większe należy mu się za tę pracę uznanie, że narzecze *Schaūi* nie będąc piśmienne, z ust tylko krajowców mógł go ułożyć.

Dwa odmienne w pismach młodego uczonego wyżej wspomnianych uwydatnione kierunki badań, wskazują umysł zasobny, dobrze przysposobiony do studyów naukowych i łaknący wiedzy. Kto może pracować jednocześnie dla krajowej literatury i dla umiejętności nie jeden kraj ale wszystkich obchodzącej, ten niewątpliwie szersze sobie pole zasług przyspasabia. Cieszymy się więc spotykając młodego pracownika idącego odważnie do tego dwoistego celu a pragnęlibyśmy aby przez cały ciąg swego zawodu obudwóch nie spuszczał z oka.

E. S.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

Marzec. 1872. — Równocześnie dwa ogłoszono prospekta na nowe Encyklopedye: Dawna i zasłużona firma S. Orgelbranda, na 8 tomów *Encyklopedyi powszechnej*, a wydawca Tygodnika Ilustrowanego na *Encyklopedyę ogólną wiedzy ludzkiej*, także w 8-tomach. Zmarły S. Orgelbrand, który dał nam pierwszą *Ency-*

kłopedę powszechną w 28 tomach, za życia swojego już przygotował kilka tomów mniejszej, którą obecnie synowie jego ogłaszają. Dla prenumeratorów *Więca* i *Tygodnika Ilustrowanego z Wędrowcem*, cena tych publikacji jest obniżoną.

— Nakładem księgarni S. Arcta w Lublinie, a z drukarni Józefa Sikorskiego wyszła książka p. n: *Wyjątki z Kroniki mojej okolicy, z Notat pana Marcina, przez Leona Kunickiego* (w 12-ce str. 164).

— W dalszym ciągu wydawnictwa w nowej edycji Lwowskiej *Zbioru powieści* J. I. Kraszewskiego, wyszły dwa ostatnie tomy „*Chaty za Wsią.*“ — „*Poeta i świat.*“ (dwa tomy) i *pod Włoskiem niebem*, tom jeden. Zapowiedziane są, następne: „*Stary sluga.*“ — „*Dziwadła.*“ i „*Latarnia Czarnoksiężka.*“ Publikacja wydanych obecnie wynosi dziesięć tomów.

— Wyszła z druku rozprawa p. Stanisława Wojciecha Łukomskiego studenta b. Szkoły Głównej warszawskiej p. n. „*Rys badań o cholery, oraz o środkach w celu zapobieżenia jej i ograniczeniu,*“ podług dr. Pappenheima. Jest to odbitka z *Pamiętnika Lekarskiego*.

— Redakcja Gazety Lekarskiej oddzielném wydaniem Biblioteki umiejętności Lekarskiej coraz większą jedną sobie zastęgu. Oprócz znacznej liczby dzieł dotąd wydrukowanych, stosownie do ogłoszonego prospektu pod redakcją *Dr. Girsztowta* rozpoczęło się wydawnictwo: *Przeglądu postępów nauki lekarskiej we wszystkich jej gałęziach i we wszystkich krajach.* W tych dniach wyszedł pierwszy zeszyt Przeglądu, obejmujący drobnym, ścisłym drukiem 10 arkuszy formatu większej ósemki i zawiera: 1) Pogląd na rozwój nauki lekarskiej w XIX wieku przez profesora dr. *Łuczkiewicza*, 2) Patologia ogólna przez dr. *St. Witkowskiego*, 3) Terapia ogólna przez profesora dr. *Dybka*, 4) Patologia i Terapia szczegółowa przez prof. dr. *Łuczkiewicza*, 5) Psihiatria przez dr. *A. Rothe*, 6) Choroby układu nerwowego, przez dr. *A. Rothe*.

— Prof. warsz. uniw. Okolski wydał po rosyjsku obszerną pracę z 40 arkuszy złożoną: „*O stosunku państwa do wychowania narodowego*“ gdzie spotykamy rozbiór najważniejszych kwestyj, dziś tak żywo zajmujących umysły we wszystkich państwach.

— W języku hebrajskim i polskim wyszła w tym czasie książka pod tytułem: *Prawda wieczna czyli zasady religii Mojżeszowej, ułożył Izaak Kranstük.* Jest to katechizm Izraelitów przygotowany dla młodzieży a to według Pisma Ś-go, Talmudu i innych dzieł rabinicznych. Autor podaje, że teraz księgi teologiczne ustąpiły miejsca naukom świeckim. W tym wykładzie moralności znajdują się następujące zdania: Miłuj bliźniego twego jak samego siebie miłujesz. Bliżnim jest każdy człowiek bez różnicy stanu i wyznania, bo Pismo Ś-te nazywa Egipcyan bliźnimi Izraelitów. Gdy twój nieprzyjaciel głodny, nakarm go chlebem, a jeśli spragniony, podaj mu wody. Mądry gdy widzi niebezpie-

czeństwo chroni się, a głupcy weń wstępują i cierpią. Nie stawaj beczynnym tam gdzie idzie o krew twojego bliźniego. Przekleństwo Boże jest w domu złoczyńcy, a mieszkanie sprawiedliwych Bóg błogosławi. W domu sprawiedliwego jest wielki dostatek, w zbiorach złoczyńcy utrapienie; wieńcem dla mędrców jest ich majątek. Definicja cnoty jest następująca: Cnota jest to zamiłowanie i chęć wykonywania tego co człowiek znajduje dobrą, piękną, szczerą, co jest zgodną z wolą Boga, z moralnością i z własnym naszym sumieniem, oraz pogardzenie tęp wszystkim, co się tym wskazówkom dobrego sprzeciwia.

— Niestrudzony nasz badacz przeszłości i tyle już zasłużony dla literatury krajowej Eustachy hr. Tyszkiewicz, w liście swoim do jednego przyjaciół, donosi o nową pracę. Podajemy tu ten ustęp dosłownie. „Znaleziona przezemnie w języku łacińskim korespondencya i dyplomatyczne rokowania ze Szwedami, króla Stefana Batorego w 1582 roku, stanowi nieporównanej wartości materiały historyczny. Jest on z epoki wysłania do Szwecyi posła, *Dominiaka Alemanni*ego, po zawartym traktacie, a raczej rozjemie dziesięcio letnim w *Zapolu* z Iwanem Groźnym, i z łacińskiego starannie a umiejętnie obecnie w Wilnie przetłumaczonym. Ułożyłem to wszystko w jedną całość, i dodając medal bity przez Batorego, na przyłączenie Infant i Połocka do Polski (nieumieszczony w *Gabinecie Medalów* hr. Raczyńskiego) dałem tytuł: „*Stefana Batorego dyplomatyczne rokowania ze Szwedami w 1582 r.*“ „Załączam treść dzieła. List Jana III króla Szwedzkiego do Batorego. Instrukcyja dana przez króla Stefana w Rydze posłowi Alemanniemu. Relacyja posła przesłana królowi ze Sztokolmu. List Katarzyny Jagiellonki do króla. Powrót Batorego z Rygi do Warszawy. Ośm listów sekretarza Zamoyskiego Jana, do Jędrzeja Opalińskiego Marszałka W. koronnego, pisane po polsku z obozu pod Pskowem, z Dorpatu, Rygi, Knyszyna, Grodna 1582 r. Listy te są nadzwyczajnie zajmujące.“

— Genialny nasz malarz Jan Matejko, doczekał się należnego uznania od Niemców. W numerze 14 z r. b. pisma: „*Ueber Land und Meer*“ znajdujemy następne porównanie Matejki ze słynnym w Europie Kaulbachem. „Austryackie Towarzystwo sztuk pięknych nabyło na wystawę nowy wielki karton Wilhelma Kaulbacha: „Król Jan Vty szkocki otwiera sąd najwyższy w Edinburgu.“ Jest to jedna z tych scen dworskich i urzędowych, które rzadko kiedy pozwalają malarzom uniknąć konwencyjonalnego układu. Nie powiodło się też wielkiemu mistrzowi zrobić coś więcej z tego motywu bez znaczenia, jak złożyć wybornie narysowaną ogólną grupę, która dzieli się na kilka mniejszych, szczegółami zajmujących, gdy natomiast kompozytca pozostawia oczywiście widza chłodnym. Brakuje tu właśnie owego porywu, owej namiętności, która przy podobnym zadaniu genialnemu malarzowi Matejce służy w pomoc, i lubo możemy podziwiać udatne typy narodowe Kaulbacha, ale właśnie same jednostajne zimne rysy podnoszą jeszcze wra-

zenie nudów, jakie sprawiają na nas ten sztywny król i jego panowie, prałaci i prawnicy z rażąco małemi głowami. Kaulbach chcąc się ratować, urozmaicił grupy na galeryi; ale w ten sposób nie parlament, nie główne postacie, lecz galerya, osoby które powinny być tylko odbiciem głównej akcji i niejako jój komentarzem, stanowią treść obrazu.

Z LITERATURY ROSSYJSKIEJ.

— W czasopiśmie miesięczném *Zorza*, w Petersburgu wychodzącém, pod redakcją p. Kaszpirewa, znajdujemy przekład *Konrada Wallenroda*, Mickiewicza, przez S. Przekład wierny i pełen siły. W zeszytcie Grudniowym r. z. czytamy dalszy ciąg wspomnionego utworu, mianowicie: *Uczę i Piesń Wajdeloty*. Pan S. .. prawdziwą zdobycz umysłową przynosi literaturze swego kraju, przyswajając jój arcydzieło wielkiego poety w tak pełnym talentu i natchnienia przekładzie.

W témże czasopiśmie w dziale bibliograficznym czytamy między innemi sprawozdanie o 3cim tomie dzieła ks. Wasilczykowa p. t.: *O samorządzie*. Autor (słowa sprawozdawcy) w tym jak i poprzednich tomach przedstawia obraz jasny o poborach i rozkładzie ich w Anglii, Francyi i Prusach, zwracając głównie uwagę czytelnika na to, że w Anglii wszelkie ciężary oparte są na dochodach z własności, rozkład zaś tych ciężarów zostawiony jest zarządowi instytucyi ziemskich. Systemat podobny rozwija siły produkcyjne krajowe z taką konsekwencją i szybkością, jakich żadne gdzieindziej systematy podatkowania nie osiągnęły dotąd. Odpowiada zaś interessom i ustroju państwowego i dobrobytu narodowego. Taki racjonalny pogląd posłużył ks. Wasilczykowi za motyw, że mówiąc o etatach i rozkładach powinności w Rossyi, wnosi, iż i ten systemat podobny okazałby się korzystnym.

Zorza, grudzień 1871. W roku 1775 znany Pestalozzi w Argau, w Szwajcaryi, założył własnym kosztem Przytułek wiejski dla dzieci ubogich sierot i opuszczonych. Tu dzieci uczyły się praktycznie, przysposabiając się głównie do zajęć właściwych ich stanowi wiejskiemu. Świetne rezultaty tego Zakładu nietylko zniewoliły rząd Szwajcarski do przeniesienia instytucyi na koszt skarbu, ale nadto potworzył i inne oprócz już założonej. Przykład ten podzielał i na inne kraje. Zaczęły więc powstawać podobne zakłady na zachodzie Europy, znane pod nazwą osad rolniczych, przytułków rzemieślniczych, szkół przemysłowych i t. d., które wszystkie w początkach zakładane były siłami stowarzyszeń prywatnych. W roku 1839 podobną kolonię założył Demesse, a bogaty obywatel de Brétignier de Courteill darował na własność jedną ze swych majątności w okolicy Tur Mettré, inni złożyli w darze liczne ofiary pieniężne, miasta potwierzały składki, utworzyło się towarzystwo dla zachęty tego przedsiębiorstwa (*Société paternelle*). Tym sposobem Mettré, które w roku 1840 miało 9 wychowaućców, rosło z szybkością

niezwykłą, tak dalece, że w roku 1850 wyszło prawo, oddając wychowanie nieletnich przestępców poprawczym osadom rolniczym, w których dawano pierwszeństwo osadom prywatnym przed rządowemi. Nic więc dziwnego, że kolonia Mettré znalazła naśladowców w Holandyi, Belgii i Anglii. Na wniosek znane go lorda Brougham w roku 1857 zaproszono Demesa do Londynu dla założenia kilku kolonij na wzór osady w Mettré. W Rossyi także zaczęto wiele mówić i pisać o korzyściach podobnych instytucyj, ale projekt ten w wykonaniu natrafiał na liczne przeszkody, między niemi zaś na zakres prawa, które nie dopuszczają w tym względzie stowarzyszeń prywatnych. Przysnać jednak trzeba, że prawodawstwo samo podjęło myśl zastąpienia dla małoletnich zamknięcia więziennego wychowaniem poprawczém w przytułkach rolnych, dodano przytém w projekcie, że do zakładania podobnie pożytecznych instytucyj właściwemi będą: ziemstwo, stowarzyszenia, instytucje duchowne, oraz osoby prywatne. Projekt ten uzyskał moc prawa 5go listopada 1866 roku, a w roku 1869 przedstawiona ministrowi spraw wewnętrznych, Ustawa zawiązanego świeżo w Petersburgu Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. W zakresie działalności tego Towarzystwa leży urządzenie osad rolnych i przytułków rzemieślniczych po większych miastach Rossyi, a celem kształcenia w kierunku rolnictwa i rzemiosł nieletnich przestępców i włóczęgów, skazywanych wyrokami sądów na uwięzienie, ubogich dzieci, sierot, dzieci nieprawych, podrzutków, dzieci porzuconych przez rodziców, w ogóle dzieci niemających przytułku. Oprócz tego Towarzystwo czuwa nad dalszym losem swych wychowańców, i przychodzi im z różnemi pomocami. Kolonia podobna założona niedaleko Petersburga w r. 1871, otwartą była początkowo dla 30 chłopców; normalny zaś jój etat dochodzi do 200 osób. Z początku przyjmują się tylko sami nieletni przestępcy, nie młodszy od lat 10 na czas od 2 do 3 lat. Wychowanie ma na celu rozwijanie sił wychowańca pod względem fizycznym, religijnym, moralnym i umysłowym, dla wyrobienia go głównie na samoistnego rolnika. Uczy on się oprócz tego i rzemiosła o tyle, o ile to okazuje się łącznym z przyszłym jego gospodarczym zawodem. Przy kolonii istnieje cerkiew, folwark i warsztaty. Fundusze Towarzystwa składają się, z sum przeznaczonych przez komitet więzienny na utrzymanie małoletnich przestępców z dochodów gospodarstwa kolonialnego i warsztatów, z ofiar pieniężnych i w różnych przedmiotach, z ofiar prywatnych, nareszcie z funduszków zbiorowych w różnych kółkach, loteryach i t. p. pomocach. (Podobna Ustawa Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych dla Królestwa Polskiego zatwierdzona d. 20 lutego 1871 r. przez ministra spraw wewnętrznych, zaczęła już wchodzić w życie. Celem Towarzystwa jest moralna poprawa dzieci płci obojga, które za występki skazane zostały sądownie na karę, tudzież polepszenie losu nieletnich żebraków i włóczęgów

bez przytułku). Według statystyki sądowej w r. 1865, przestępców nieletnich zostawało pod sądem od 10—19 osób 1035, a od 19—21 osób 7342, razem 8377, t. j. blisko 9% przestępców wszystkich w Rosyi. Od samego początku powstania podobnych osad, Towarzystwo przystąpiło do wyświeetlenia kwestyi, jakie reformy są konieczne w prawie kryminalnym, co do przestępców małoletnich. Pracę tę podjął Prof. Uniw. Tagancew w dziele swem: *Badania o odpowiedzialności małoletnich* i. t. d.

Goniec Europy, styczeń 1872. Interesującą publikacją jest zbiór lepszych utworów poetycznych, ludów słowiańskich w przekładzie rosyjskim Herbla p. t. *Poezya Słowian*. Książka ta pięknie wydana, więcéj obiecuje aniżeli daje. We wstępie jéj czyni wydawca literatom rosyjskim zupełnie słuszny zarzut nieznamościami literatury słowiańskiej, i przesađu, który im nie dozwala przyznać Słowiańszczyźnie wielkich poetów. Wylicza więcéj dziesiątki imion takich, któreby w każdym piękném piśmiennictwie europejskiém mogły zająć poczesne miejsce. Ale w tym względzie słaby postawił dowód. Większąby usługę uczynił wydawca (słowa sprawozdawcy), gdyby był wybrał rzeczywistych wieszczów Słowiańszczyzny, przedstawił ich w żywych charakterystycznych obrazach; musimy przecieź przyznać, że w publikacyi Herbla poeci czescy i polscy przedstawieni świetnieją daleko od innych, dla téj prostéj przyczyny, że poezya czeska i polska bardziej się rozwinęła i dojrzała od poezyj innych szczepów słowiańskich. W przekładach Herbla niewolnicza prawidłowość języka i wierśzowania ściera barwę obrazową pierwowzoru i przedstawia go w formie bezbarwnéj a prozaicznéj.

Dielo, grudzień 1871. Ze wszystkich gałęzi wiedzy odnoszących się do Rosyi, najuboższą jest etnografia. Dotychczasowi etnografowie byli tylko nabieraczami surowych materyałów. Badali oni jedynie zewnętrzną stronę życia narodowego, nie dotykając wcale saméj istoty. *Cisza leśna*, obraz życia narodowego ze wspomnień i notatek podróźnych Maximowa, nie wiadomo nawet dla czego taki tytuł nosi. W téj *Ciszy leśnéj* (słowa sprawozdawcy) autor opisuje życie rzemieślników petersburskich, rozpowiada o listach chińskich, japońskich o jarmarku niżnogrodzkim, daje biografię jakiegoś żołnierza. Jest tam jeszcze i artykuł o akademii smorgońskiej. Co do belletrystycznój formy w jaką odziana jest *Cisza leśna*, to sprawozdawca przyznaje jéj jedyną zaletę a mianowicie że zdolną jest sprowadzić luby sen na powieki czytelnika.

Gazeta sądowa zawieszona w skutek trzechkrotnego ostrzeżenia, zaczyna wychodzić w Petersburgu od 19go marca r. b. w powiększonym formacie. Otdąd powraca do pierwotnego programu, wypuszcza dział polityczny, a zostaje wyłącznie piśmem prawném.

— W Żytomierzu Konstanty Budkiewicz otworzył księgarnię i skład nut muzycznych. Oprócz książek polskich, swoim nakładem wydał dzieło p. n. „*O Jezusie Chrystusie*. Konferencye mia-

ne w kościele N. Panny Maryi w Paryżu przez O. Henryka Dominika Lakordera.“

— Otrzymujemy z pewnego źródła wiadomość, że wydawnictwo *dział Długosza*, rozpoczęte przez śp. Alexandra Przędzieckiego, nie dozna żadnej przerwy, albowiem dwaj synowie zmarłego badacza Konstanty i Gustaw popierają je dalej postawiwszy na czele takowego dr. i prof. Józefa Łepkowskiego, jako kierownika naukowego, a w którym ojciec ich pokładał całe swoje zaufanie. W r. b. mają wyjść dwa tomy *dziejów* Długosza w tekście oryginalnym: tom V *Jagiellonek. Modlitwy Wacława, zabytek polszczyzny z XV stulecia. Rzecz o runach i kamieniach Mikorzyjskich*. Drobniejsze prace pozostałe w rękopiśmie mają być nadesłane do kilku pism czasowych warszawskich p. n. „Z tek ś. p. A. Przędzieckiego.“

— Zarząd Towarzystwa Sztuk pięknych w Krakowie polecił rzeźbiarzowi Statlerowi wykonanie popiersia w marmurze malarza Jana Matejki, które ma zdobić salę główną wystawy, w pałacu dawnym biskupów krakowskich.

— Z drukarni *Kraju* wyszedł pierwszy zeszyt dzieła w IV tomach p. n.: *Dzieje filozofii prawa i państwa, przedstawione na tle dziejów cywilizacji przez dr. Władysława Daisenberga*.“ (w 8-ce), prenumerować można w Warszawie w księgarni Maurycego Olgerbranda.

— Otrzymaliśmy następne ogłoszenie *Konkursu*, które do słownie zamieszczamy. Lwowskie Towarzystwo prawnicze ogłasza niniejszém w skutek uchwały walnego zgromadzenia z dnia 12 lutego b. r. konkurs na najlepsze dzieło napisane w języku polskim a obejmujące: „*Wykład austriackiego powszechnego prawa wezłowego*.“ *Przedmiot ma być opracowany w ten sposób, iżby dzieło, stojąc na dzisiejszém stanowisku nauki, odpowiadało oraz potrzebom tak młodzieży uniwersyteckiej jak również praktyki*. Praca uznana za najlepszą otrzyma nagrodę w kwocie czterech set (:400:) Złr. w. a. Ubiegający się o nagrodę nadeszlą prace swoje do Towarzystwa prawniczego, na ręce prezesa, najdalej do końca marca 1873 roku, a to w dwóch egzemplarzach oznaczonych pewnym godłem. Nazwisko i miejsce pobytu autora ma być podane osobno w opieczetowanej kopercie, oznaczonej tém samém godłem jak rękopis. Nadesłane prace oceni komisya, którą po upływie terminu konkursowego wybierze lwowskie Towarzystwo prawnicze. Autorowi dzieła uznanego za najlepsze wypłaci się bezzwłocznie nagrodę i zwróci zarazem jeden z przedłożonych egzemplarzy rękopisu. Inni autorowie otrzymają także napowrót swe rękopisy. Własność literacką dzieła nagrodzonego pozostawia się autorowi. Autor będzie jednak obowiązany ogłosić dzieło drukiem w przeciągu jednego roku od dnia, w którym nagrodę otrzyma i nadesłać je Towarzystwu w 10 egzemplarzach. Gdyby zaś w tym terminie dzieła drukiem nie ogłoszono, natenczas własność literacka dzieła przechodzi na

lwowskie Towarzystwo prawnicze. Lwów, dnia 16 września 1871 r. Dr. Marcełi Madeyski, prezes Towarzystwa. Dr. Tytus Kirchnerberger, sekretarz Towarzystwa.

— W Galicyi Zachodniej ustanowiona została z ramienia rządu Komissya, w celu przygotowania przedmiotów na *Wystawę światową* w Wiedniu, zapowiedzianą na rok 1873. W niej, w oddziale *Sztuk pięknych, Archeologii, Antropologii i Etnografii*, zasiadają professor i prezes Towarzystwa Naukowego Krakowskiego Józef Majer, Wincenty Pol, Jan Matejko, Księżarski, Józef Łepkowski i Juljusz Kossak.

— W *Gazecie polskiej* czytamy: Ze sprawozdania Towarzystwa ks. Jabłonowskiego w Lipsku dowiadujemy się, że na rok 1870 było naznaczone następujące do konkursu zadanie z dziedziny historycznej: *dziejopisarstwo polskie w średnich wiekach*. Jeden tylko znalazł się konkurent z mottem: „*ne frustra panem Polonicum manducarem*” (Gallus, chron. Pol. L. III. praef.). Stowarzyszenie uznało z zadowoleniem, jak rozległe i gruntowne studia autor dla tój pracy porobił, jak z odnośnym materiałem w skutek dłuższej nad nim pracy z zamikowaniem dokonanej, jest oswojony i zupełnym jest jój panem. Zna i wyzyskuje literaturę na wielką skalę; umiał także korzystać z manuskryptów w rozległy sposób i zachować stanowisko niezależne w krytykowaniu rzeczy. Rozległy zakres szczegółowych badań przez autora przedsięwziętych, dostatecznie wyjaśnia i uniewinnia autora, że swój pracy na czas nie ukończył. Niedostaje jeszcze, jak konkurent sam w dołączonym liście nadmienia, oceny Długosza polskich dziejów i przeglądu źródeł przez niego używanych, jakoteż wstępu oceniającego historyografję średnich wieków, zbiory źródeł i. t. d. Nie zaprzecza także autor, że jego dzieło niedostaje jeszcze ostatniej redakcyi, wymagającej znacznego skrócenia oddziałów z lekka tylko dotykających właściwego tematu, i ściślejszego połączenia z głównym zadaniem. Ponieważ Towarzystwo nie wątpi, że praca po wykończeniu i przerobieniu zupełnie na nagrodę zasługiwać będzie, postanowiło według życzenia konkurenta, przedłużyć mu termin aż do końca lutego 1872 roku. Na dwa inne konkursy na rok 1870 nie nadeszły żadne prace. Towarzystwo wszakże prolongowało je do końca listopada. Na rok 1871 wyznaczone konkursy przedłużono do roku 1873. Jeden z nich jest z dziejów ekonomii politycznej. Przy wysokim znaczeniu, jakie handel zboża międzynarodowy nie tylko praktycznie przedstawia dla dobra kupujących i sprzedających, ale także obustronnie jako symptom powszechnej cywilizacyi; jakoteż przy względnie ważnym stanowisku, jakie w polskim handlu od wieków wywóz zboża zajął, życzy sobie Towarzystwo mieć źródłową historję polskiego handlu zbożem z zagranicą. Czas przed upadkiem państwa byzantyńskiego posłuży tylko za wstęp, a nowszy czas od końca XVIII w. tylko za konkluzję;

główny nacisk położy się na trzy pomiędzy temi epokami leżące wieki. Nagroda 60 dukatów.

— Był czas gdy Kopernika Niemcy nam zabierali, teraz Czechy uznają go za swego. Gazeta „*Narodni Listy*“ pisze: „Sławny astronom Kopernik, którego czterechsetna rocznica urodzin przypada w następnym roku, pochodzi z rodziny czeskiej. W aktach fundacyjnych kościoła parafialnego w *Rosmanos* pod Jungbunzlau, datowanych 25 października 1391 roku, podpisany jest jako świadek niejaki „*Ulricus de Kopernik*.“ Rodzina rycerska Koperników mieszkała w dzisiejszym powiecie Jungbunzlau i posiadała tam majątność téj saméj nazwy. Członek téj rodziny przeniósł się w końcu XIV wieku do Krakowa, gdzie w roku 1396 otrzymał prawo obywatelstwa; pochodzenie jego jest w „*Acta consulari, Cracoviensia*.“ Jeden z jego synów osiadł w Toruniu, gdzie zajmował się piekarstwem. Onto właśnie jest ojcem wielkiego Mikołaja Kopernika urodzonego w roku 1473.“

— W Berlinie wyszło nowe tłumaczenie *Sonetów* Mickiewicza przez Franza Horna, jednego ze zdolniejszych niemieckich liryków. Nie jest to dosłowny ale wolny przekład.

— W piśmie włoskiem wychodzącém zeszytami we Florencji, *La Rivista Europea*, jest chlubna wzmianka o dziele Alexandra Tyszyńskiego: „*Pierwsze zasady krytyki powszechnéj*.“

— Od najdawniejszych czasów, najznakomitsi badacze usiłowali wyśledzić okolicę, która obejmowała on sławny Ophir, z którego według Pisma Świętego Salomon przed trzema tysiącami lat do budowy świątyni Jerozolimskiej, dziwiącej wspaniałością, sprowadzał na okrętach fenicyjskich ogromną ilość złota, kości słoniowej, klejnotów i tym podobnych przedmiotów. Tyło wiekowa praca badaczy nie przyniosła żadnego skutku. Jedni wskazywali Ophir w wschodniej Afryce lub południowej Arabii, inni w Sumatrze lub w Indjach, niektórzy w wschodnich Indyjach i w Peru. Od pewnego czasu z europejskich osad na Kaplandzie i w Rzeczypospolitej Transwaas, rozchodziły się pogłoski rozmaite o rozległych zwaliskach świątyni, piramid, obelisków i tym podobnych budowli znajdujących się w głębokiej południowej Afryce. Towarzystwo missyjne w Berlinie szczególną zwróciło uwagę na te doniesienia i miało chęć sprawdzić dotychczasowe ciemne powieści i o ile można przez członków swych na miejscu przekonać się o istnieniu i stanie głoszonych zwalisk. Taki sam zamiar powziął Karol Mauch znakomity podróżnik, odznaczający się swemi pracami i badaniami, i za zachętą Towarzystwa w zaprzeszłej jesieni udał się w podróż do tych okolic. Teraz przez missyonarzy Grütznera i Mereńskiego nadeszła Mauch z Zimbabya listy z dnia 13 października 1871 wraz z mapami, które oddane zostały dr. Petermannowi w Gotha i potwierdzają że ten podróżnik odkrył rozległe gmachy i zwaliska nadzwyczajnej starożytności. W pobliżu Zimbabya znalazł Mauch także złoto alluwialne i manadzieję płukać je

i wydobywać. Zwaliska składają się z wież, murów i t. d. trzydzieści stóp wysokości, piętnaście szerokości, wieże w przecięciu rozległe na 450 stóp, wszystkie budowle z ciosanego granitu osadzanego bez wapna. Rysunki ozdób usuwają wszelką wątpliwość aby te budowle stawiane były przez Portugalczyków lub Arabów, lecz wyraźnie są tworem fenicyjskim, owych żeglarzy, którzy z Ophiru dostarczali Salomonowi rozmaitych przedmiotów zamawianych. W każdym razie są to prace bardzo starożytne. Mauch dotąd bardzo pobieżnie te zwaliska obejrzał. Na północno zachodniej stronie o trzy dni drogi od Zimbabya znajdować się mają inne zwaliska a jak krajowcy wyjaśniają ma tam być obelisk. Jest nadzieja że cała okolica będzie najstaranniej przejrzaną. Okolice jest piękną, wzniesiona na 4000 s. nad poziom morza, przerznęta strumieniami, żyzna, ludna, mieszka tam pokolenie Marsalaki, które zajmuje się uprawą roli, sieje ryż, zboże, ma bydło, owce i kozy.

† Dnia 14 lutego r. b. w Poznaniu zakończył życie ks. *Aleksy Prusinowski* proboszcz w mieście *Grodzisku* w Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Urodził się w *Grodzisku* 1819 roku; po ukończeniu gimnazyum w Poznaniu, wyższe nauki odebrał w uniwersytecie Berlińskim, gdzie otrzymał stopień doktora filozofii. Wyświęcony na kapłana 1845 roku, mianowany został nauczycielem religii w Gimnazyum Poznańskiem, następnie w Trzemesznie. W roku 1847 powołany na mansonarza i kaznodzieję kollegiaty poznańskiej Ś-tój Maryi Magdaleny, był redaktorem i wydawcą pism ludowych, wysokiej wartości. Był to znany kapłan, znakomity pisarz w zawodzie publicystycznym, jak zarazem kaznodzieja. Kilkakrotnie zasiadał w sejmie pruskim jako deputowany. W roku 1853 przeniesiony na proboszcza do *Grodziska*, od roku 1860 wydawał i redagował „Tygodnik katolicki,“ który pod jego kierunkiem był zupełnie czem innym niż dzisiaj.

† Dnia 23 lutego r. b. w Łomży zakończył życie *Jakób Ignacy Waga* brat rodzony, młodszy Antoniego, znanego entymologa i podróżnika. Zmarły J. I. Waga urodził się w *Grabowie* w gubernii Augustowskiej, na uniwersytecie Warszawskim otrzymał stopień magistra filozofii, był nauczycielem w Warszawie, Radomiu, a następnie w Łomży, wykładając nauki przyrodnicze. Tu jako w rodzinnej stronie stałe już pozostał. Z ważniejszych prac, pierwsze miejsce zajmuje *Flora Polska* (1848 roku) dwa tomy, do której zbierał z soby w umyślnie przedsiębranych podróżach w rozmaite okolice kraju. W roku 1871 wydał dzieło *Historja roślin* przez Ludwika Figuier we 3 tomach: oraz *Flammarionna: „Wielość światów zamieszkanych.“* Drugie wydanie znacznie pomnożone przygotowane do druku, pozostawił w rękopiśmie.

† Obok głośnych i zasłużonych imion, o jakich zejściu musimy z żalem wspominać choć w kilku słowach w naszej kronice, przychodzi nam dziś donieść o śmierci zasłużonego, a jednak cichego pracownika około naszego pisma, ś. p. *Stanisława Giszczynskiego*, zmarłego dnia 16 marca r. b. Nieboszczyk przez lat *dwadzieścia sześć* był bez przerwy głównym i naczelnym zecerem naszego pisma, a praca jego nie na lata, ale na miesiące może się liczyć, tak każdy z nich kończył się dla niego gorączkowym pośpiechem. Nie ma prawie pisarza w Warszawie, któryby go nie znał i chętnych usług od niego nie doświadczył. Obok tej pracy był on jeszcze w zakładzie instruktorem młodzieży, poświęcającej się sztuce drukarskiej. Pod jego to okiem, i najczęściej na kolumnach Biblioteki Warszawskiej, młodzi kandydaci uczyli się stawiać pierwsze kroki w zecerstwie, a krzywdy im nie wyrządzał, bo był sam ojcem dzieci. Naukę swoją ukończył w drukarni pod firmą Gałęzowskiego, która wydała wielu zdolnych pracowników, choćbyśmy tylko z nich wymienili St. Strąbskiego. W ciągu swego życia, a żył lat 60, zmienił tylko trzy razy swych przełożonych, i to z konieczności, bo zakłady były zwinęte: czwartego, po latach 18-tu on sam już porzucił! Wierny i przywiązany do zakładu, radował się jego powodzeniem, jak w chwilach niepowodzeń, smucił się. Z żalem trzeba wyznać, że ludzi pracy jemu podobnych już coraz mniej, ale da Bóg! nie będzie on u nas ostatnim.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

SPROSTOWANIE.

Na stronnicy 1-szej:

zamiast : „Studia Ekonomiczne przez Edwarda Stawiskiego,“

czytać należy : „Edmunda Stawiskiego.“

PROSPEKT

NA

PISMA KAZIMIRZA BRODZIŃSKIEGO.

Wydanie zupełne, poprawne i pomnożone z niewydanych rękopisów.

Imię i pisma Kazimirza z Krolówki pozostaną w literaturze. Był on dla niej zwiastunem nowej ery; pierwszym co przewidział i przysposobił zwrot w pojęciach zadania, treści i formy piśmiennictwa. — Ceniony przez współczesnych, zaćmiony chwilowo przez tych, którym torował drogi, Brodziński odzyskuje dziś właściwe sobie stanowisko w szacunku i wdzięczności ogółu. Jako człowiek i jako pisarz zarówno jest jedną z najsympatyczniejszych postaci niedawnej przeszłości: Cześć innym, Brodzińskiemu z cziłą miłością się należy, bo on tém uczuciem telnął dla ludzkości, dla kraju, dla ludu, dla języka swojego. Spokojny i poważny cień jego unosi się nad pierwszymi latami nowej epoki literatury jak anioł zwiastowania. Zdrowym pokarmem pism jego karmią się pokolenia młode rzeźwią dojrzałe, pocieszają odchodzące. Zdawna się zasłudze tego człowieka należało, co najmniej, wydanie godne niego, pism w spuściznie po nim pozostałych. Brakło nam go dotąd. Gdy inne narody mnożą do nieskończoności wydania klasyków swoich i popularyzują ich dzieła, myśmy się w tym obowiązku zaniedbali. Zwolna, teraz dopiero uznajemy tę powinność i potrzebę. Pisma Brodzińskiego rozproszone w wydaniach oddzielnych po pismach perjodycznych, raz tylko zebrane zostały niedostatecznie, z pośpiechem, nie dosyć poprawnie i w warunkach, które nie dozwalały, by edycja była zupełną. Wiele rzeczy jak naprzykład, obszerny kurs historii literatury polskiej, wcale drukowanemi nie były, inne mniejszej objętości urywki pominięte w zbiorze, wiele poezji spisano z błędnych kopji z rażącemi pomyłkami. Niedawno zmarły Fr. Sal. Dmo-

chowski zajmował się w ciągu kilku lat ostatnich życia zgromadzeniem wszystkiego, co pozostało po Brodzińskim. Świadek jego prac i życia, obdarzony nadzwyczajną pamięcią, najlepiej wiedział gdzie i czego szukać było potrzeba. Z pomocą zebranego przezeń materiału, przedsięwierzemy to nowe wydanie, które całe dzieła Brodzińskiego, po raz pierwszy zawierać będzie, starając się, ażeby pod względem poprawności i wykonania artystycznego — nie zostawiło nic do życzenia. (Papieru i druku próbę niniejszy prospekt przedstawia.)

Dzieła wszystkie, poezje oryginalne, tłumaczenia, rozprawy, opowiadania, kursa, mowy, urywki okolicznościowe i t. p. obejmą sześć wielkich tomów ścisłego druku w ósemce większej. Pragnąc ułatwić nabycie tego zbioru jak największej liczbie czytelników — postanawiamy cenę jak najprzystępniejszą — a dla prenumeratorów zniżamy ją jeszcze.

Cenę prenumeraty za tom (jaki zwykle w handlu sprzedaje się dwa talary) postanawiamy talara. (W Królestwie i Cesarstwie 1 Rsr. a z przesyłką pocztową za 6 tomów Rsr. 7 kop. 50); po wyjściu z druku tom kosztować będzie półtora talara. (Rsr. 1 kop. 50 z przesyłką pocztową za 6 tomów Rsr. 10.) Każdy prenumerujący obowiązuje się wziąć dzieło całkowite, wyjąwszy tom ostatni, zawierający pisma okolicznościowe, dodatki itp., który sprzedawać się będzie osobno. Prenumerata opłaca się z góry za tom jeden, za drugi przy odbiorze pierwszego itd., aż do ukończenia wydania. Druk pierwszego tomu w tych dniach rozpoczynamy, i bez przerwy z pośpiechem ciągnąć będziemy tak, by dzieła wszystkie w przeciągu kilkunastu miesięcy wyjść mogły.

Przyjmują prenumeratę uproszone Redakcje *Dziennika Poznańskiego* w Poznaniu, *Kraju* w Krakowie, *Dziennika Polskiego* we Lwowie, oraz księgarnie, które główny skład przyjąć przyrzekły: w *Warszawie* pp. Gebetnera i Wolffa; w *Poznaniu* p. J. K. Żupańskiego; we *Lwowie* na Galicję pp. Gubrynowieza i Schmidta.

DREZNO, w grudniu 1871. r.

J. I. KRASZEWSKI.

Niemasz ważniejszej i trudniejszej do opisu epoki dziejów oświaty, nad dzieje początków chrześcijaństwa aż do wskrzeszenia nauk. Wieki te powszechnie wiekami ciemnoty i barbarzyństwa nazywane, są przecież dla badacza tak ważne, iż w nich jedynie może znaleźć źródło teraźniejszego stanu Europy.

Co tylko umysł ludzki zadziwić i przerazić może, to wszystko ten zaburzony, nadzwyczajny stan społeczeństwa zawiera, najwyższą ciemność i najwyższe wygórowanie umysłów, najczarniejsze zbrodnie i najświetniejszy heroizm, najgorsze starego świata zepsucie, najdziksze nowego barbarzyństwa, walki wojenne starego świata z nowym, walki umysłowe starych wyobrażeń z nowymi. Niebo, ziemia, narody, języki, czucie i wyobrażenia zmienione, krzyżowanie się wschodu z południem, północy z zachodem, w smaku, religii i filozofii, zmiana zupełna rządu i wyobrażeń trzech części świata, otóż straszny i nauczający przestwór dziejów, który dziś najmniej nas obchodzi się zdaje.

W tej to epoce, jak tyle innych, zawiązał się i nasz naród, a przynajmniej ku jęj końcowi religię przyjąwszy, pewniejsze swe dzieje poczyna. Jak we wszystkich prawie narodach do XIV. wieku, tak zwana kościelna literatura rozszerzoną była, tak równie i na polski naród, aż do wskrzeszenia nauk wyłączny wpływ miała.

Ażebyśmy więc o duchu naszej literatury sądzić mogli, zwłaszcza gdy wszyscy pisarze nasi aż do XVI. wieku i później, jedynie do chrześcijańsko-łacińskiej literatury i języka należą, zobaczymy skrócony obraz tej ważnej epoki, przejdziemy stan ludów słowiańskich w tych czasach.

Powszechnem jest zdaniem, że wprowadzenie religii chrześcijańskiej na dziesięć wieków światło zatamowało. Okropny wyrzut, na który cała ludzkość zapłakaćby winna, obaczmy, ile jest pewny i sprawiedliwy.

„Najwyższa mądrość zakreśliła społeczności epoki, równie jak płodom natury, według których nauki wzrastać, kwitnąć, psuć się i przerażać muszą. Takim czasem przerażania była epoka rozkrzewiania chrześcijaństwa. Nie było ono samo z sie-

STUDYA EKONOMICZNE.

Przez
Edmunda Stawiskiego.

Dział Ekonomii społecznej w naszej literaturze — grupy, na jakie się rozpada — uwydatnienie niektórych pism i pisarzy.

(Dokończenie).

II.

Drugi okres, okres nowoczesny, w który teraz wchodzimy rozkłada się na cztery grupy:

a) Pierwsza obejmuje dzieła oryginalne traktujące całość nauki jako teorią lub stosowanie jej zasad do ogółu położenia ekonomicznego kraju;

b) Druga obejmuje pojedyncze części nauki monograficznie traktowane;

c) Trzecia tłumaczenia;

d) Czwarta grupa obejmuje prace głównie tu nas obchodzące z naszego specjalnego punktu widzenia, to jest prace około historyi stosunków ekonomicznych krajowych. Ważność tej ostatniej nabiera przez to znaczenia, że ona głównie łączy się ze zwrotem jaki wzięła świeżo nauka ekonomii politycznej.

Metoda historyczna na nowe tory ją wprowadza, a materiał dla niej właśnie w badaniach tego rodzaju się ukrywa. Jeżeli więc dotąd poszukiwania na tém polu miały miejscowy interes i były niejako dowodem i wyrazem czci synowskiej dla przeszłości, dziś mają znaczenie naukowe w ogólném i humanitarném tego słowa znaczeniu. Skoro bowiem postęp i ugruntowanie się jakiej nauki, mającej rozległy wpływ i zastosowanie wszędzie, jest rzeczą ogólnego interesu; to téż obowiązkiem każdej w szczególności społeczności i każdego organizmu politycznego, dostarczać jej materiału ze swoich doświadczeń i kolei dziejowych, bo z nich tylko może ona coś zupełnego utworzyć.

Co do pierwszej grupy:

Zrobiliśmy poprzednio wzmiankę że, charakterystyczną cechą w okresie pierwszym, o którym dotąd mówiliśmy, jest zwiążanie materji ekonomicznych z innemi i niewydzielenie się teorii jako odrębnej nauki. Wydzielanie to jak każde przejście w naturze i umyśle ludzkim odbywa się powoli i stopniowo. Wtenczas jeszcze kiedy już zaokrąglenia i odrębności teoretycznej nabiera, nie odważa się wyjść na świat samo. W dziele księdza Popławskiego idzie oparta o właściwą politykę, w dziele (1) księdza Hieronima Strojnowskiego tuli się do prawa przyrodzonego, politycznego i prawa narodów. Najważniejsze z ostatnich lat wieku XVIII dzieło, rozbiorem rzeczy ekonomicznych się zajmujące, wychodzi pod formą uwag nad życiem Jana Zamoyskiego. W pięknej pracy tej zeszyły się: gruntowna znajomość prawd teoretycznych i umiejętne ich stosowanie do potrzeb i wymagań miejsca i czasu. Jestto właściwie to, co później nazwano gospodarstwem społecznem stosowanem; forma zaś pisma przypomina owe mięszane utwory dawnych wieków, o których w poprzedniej części mówiliśmy. Ale że sposób traktowania materji ekonomicznych jest w duchu metod i zasad nowoczesnej nauki, tym więc sposobem to pełne zalet pismo, dające się dziś z równą korzyścią czytać jak wtenczas kiedy wyszło, stoi jako pierwsza wydatna ekonomiczna praca w tym nowym okresie, z piętnem oryginalnem i z charakterem miejscowym. Ważnem jest jeszcze to dzieło w literaturze nuszłej z powodu ruchu umysłowego i piśmienniczego jaki wywołało. Encyklopedia powszechna wylicza szereg pism, do których uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego dały powód, a podobno że to jeszcze nie wszystkie; nie chcemy jednak wchodzić na pole bibliografii.

Niektóre z uwag do dzieła Staszica się odnoszących a dopiero co wyłuszczonych, odnieść się da do dzieł Tadeusza Czackiego. Nie są one ekonomicznej natury, ani miał nigdy zamiaru pisarz ten, nauki tej, jako całość odrębną traktować. Jednakże że pisma jego są wielostronne, że obejmują różne kierunki życia narodowego, dotyczą więc wielu najważniejszych zadań ekonomicznych; dotyczą je zaś z gruntowną rzeczy znajomością. Biegłość w prawodawstwie i historii rozszerza i gruntuje każde ze zdań tego pisarza; znajomość zaś nauk ówczesnych ekonomicznych służy wszędzie znakomitemu uczonemu za przewodnika nieomylnego w rzeczach społecznych. Jestto więc istotny skarb wiadomości, tak pod względem historii stosunków ekonomicznych

(1) Dzieło to ma tytuł: „Nauka prawa przyrodzonego, politycznego, ekonomiki politycznej i prawa narodów etc. w Wilnie, r. 1785. Ekonom. poli. jest od str. 153 do str. 234. pisane ze stanowiska fizyokratów. stylem jasnym, językiem dobrym, było w swoim czasie najlepszym streszczeniem zasad panujących w nauce ekonomii politycznej.

społecznych, jak pod względem owoczesnego sposobu zapatrywania się na różne kwestye społeczne.

U Czackiego bardziej jeszcze jak u Staszica rzeczy ekonomiczne są rozcząstkowane i podzielone. Wypływa to z formy i natury pism jego. Noszą przeto niejako cechę wiadomości encyklopedycznych, nie tak żywo wiąże się z życiem i potrzebami miejsca i czasu; są jednak również szacowne pod względem naukowym i równie ważne dają stanowisko w dziedzinie literatury ekonomicznej temu pisarzowi.

Spotkaliśmy powoływanego Andrzeja Horodyskiego, jako pewną powagę ekonomiczną. Wypadło zajrzeć do jego pism. Dziełko o rozkładaniu i podzieleniu majątków jest tłumaczeniem z francuzkiego dzieła bezimiennego autora, ale widocznie przed Smithowskiej szkoły. Dodane pismo oryginalne o reprodukcji corocznej krajowej. Wzięliśmy je do ręki z prawdziwem zaciekawieniem; spodziewaliśmy się spotkać z wejrzeniem w siły produkcyjne miejscowe. Tymczasem tego tu niema; jest tylko idealny rachunek bez ścisłości i naukowych podstaw, w jakim stosunku dzielą się dochody pomiędzy różne klasy społeczeństwa. Rzecz traktowana z fizykratycznego stanowiska.

Spotykamy dalej idąc pismo, jeżeli nie wiążące w system, to w jedną odrębną całość pojęcia i poglądy autora na stosunki i potrzeby ekonomiczne kraju. Tytuł jego chełpliwy: „Rys szczęścia narodowego p. Łopacińskiego, Warszawa 1809.“ Szczęście narodu zredukowane do pomyślnych warunków handlu, przemysłu i rolnictwa. Smutny to przedświt onych pojęć, które miały się rozwielmożnić niebawem i ściągnąć na wiek i na naukę służny zarzut materializmu.

W zakresie dosyć szczupłym, jaki sobie autor nazaczył, bo nie sięgającym wyżyn teorii, wiele uwag zdrowych i pożytecznych, wiele błędnych i niewiadomości zasad naukowych zdradzających. Zdrowe są uwagi co do podniesienia stanu włościańskiego, nauczania przymusowego a raczej obowiązkowego; wprowadzenia gimnastyki, podniesienia przemysłu; poprawy rolnictwa przez zmianowanie cztero-polowe i t. d., a obok tego obstawanie za przestarzałymi bo uznanymi za bezskuteczne prawami przeciw zbytkom, za monopolem rządowym w handlu zbożowym i t. d. Obok tego wszystkiego styl deklamacyjny, historycznych statystycznych objaśnień żadnych; jednem słowem pismo niewątpliwie dobrej woli i życzliwych dla kraju chęci, ale mniejszej wartości.

Jednego tylko Znoskę wymienia p. Nehring w swoim kursie literatury z pomiędzy ówczesnych ekonomistów. Tymczasem jego nauka E. P. (Wilno 1811) jest dobrém ale skróconém bardzo tłumaczeniem Smitha. Odrzucając zaś wszystko co się odnosi do Anglii, autor odjął dziełu Smitha rzeczywiste jego podstawy. Pozostała czysta teoria, na kształt jakiegoś traktatu algebry albo optyki postawiona; gdy tymczasem wiadomo już dostatecznie, że prawdy ekonomiczne są prawdami względnymi, odnośnie do miej-

sca i czasu, a mała liczba praw ogólnych, na prawach ogólnych natury ludzkiej gruntująca się, właśnie utwierdza się tylko jak największą liczbą obserwacji i porównań. Raczejby więc dodać należało to, co z historii i stosunków miejscowych posłużyć mogło na poparcie twierdzeń Smitha, jak odrzucać to, co on z własnego zapatrywania wstawił.

Ale autor nie w tój rozległości pojmował zadanie ekonomisty. Przyjął to co zdobył sławny szkocki pisarz, jako kanon nauki i podjął rozszerzenie jej w swym kraju językiem dobrym (1).

Pierwsze systematyczne, naukowe i oryginalne dzieło o ekonomii politycznej w naszym języku napisał Waleryan hr. Strojnowski pod tytułem: *Ekonomika powszechna krajowa, narodowa*. Warszawa 1815. Jednocześnie dzieło to wyszło w języku rossyjskim. Skromny autor w przedmowie do czytelnika, zaczyna od tego, iż powiada, że dzieło jakie niesie publiczności nie jest jego. Jestto jednak powiedziane w tём znaczeniu, że nauka każda jest zbiorem prawd ogólnych a tworzy się pracą wieków i wielu ludzi. Rzeczywiście dzieło Strojnowskiego nie jest ani tłumaczeniem, ani naśladowaniem. Jestto praca myślącego człowieka, który wszystkich pisarzy współczesnych i dawniejszych znał i porównywał, naukę samą badał, a co więcej potrzeby i położenie ekonomiczne kraju, dla którego pisał, rozpatrywał pilnie i starał się do niego stosować zasady nauki. Jakkolwiek wysoko ceni Smitha, sądzi go, robi mu pewne zarzuty i odkrywa co winien poprzednikom a mianowicie Quesnay'owi. Tak samo krytycznie ocenia Say'a i sądzi go zbyt surowo, Quesnay'owi wielkie oddaje pochwały i bodaj czy nie zanadto ku niemu się pochyla. On pierwszy używu wyrazu: „Gospodarstwo narodów”, co utorowało drogę do wyrobienia się wyrażenia: „gospodarstwo narodowe.” Ekonomikę powszechną dzieli na gospodarstwo krajowe narodów i na ekonomię polityczną, przez którą to ostatnią właściwie rozumie rzecz o rządzie politycznym. Pierwszą tylko połowę zamierzonej pracy zamknął w ogłoszonym dziele. Rozpada ono na 4-ry części: 1-sza obejmuje istotne wiadomości całego gospodarstwa narodowego, czyli główne zasadnicze prawdy naukowe; 2-ga traktuje o pieniądzech, ich wartości, ich działaniu w handlu całego świata i krajowym i o sposobie jakim pomnażają bogactwo krajowe i osób szczególnych; 3-cia: o handlu tak wewnątrz jak zewnątrz i o wynikających ztąd wszelkich stosunkach; 4-ta: o sposobie jakim w kraju udzielnym sprawuje się gospodarstwo powszechne, czyli: o politycyi, o sądach, o sile zbrojnej, o podatkach, o cłach, o stemplu, o poczcie, o skarbie, o długach krajowych; wreszcie: o po-

(1) W Encyklop. pow. pod wyr. Znosko czytamy, że autor ten napisał i wydał w roku 1816 rozprawę o ekonomii politycznej, jej historii i systematach. Tego pisma nie zdarzyło nam się napotkać, nie przeto o nióm powiedzieć nie umiemy.

wszechniej edukacji krajowej, o wolności druku i jej ograniczeniu, o edukacji kobiet.

W ogólności bardzo to poważna praca a prawie u nas nieznaną: nie spotkaliśmy się z jej szczegółowem ocenieniem. Rzeczywiście W. Strojnowski jest pierwszym u nas ekonomistą, który we własnym umyśle przetrawioną naukę systematycznie, niepodległe i ze względem na warunki kraju dla którego pisze, traktuje. Podnieść, przypomnieć wartość dzieła i zasługę pisarza uważaliśmy za nasz obowiązek.

Wypada nam zapisać z kolei dzieło Surowieckiego, o upadku miast w Polsce, które lubo właściwie należy do działu historii stosunków ekonomicznych i tam o niem powiemy, otwiera się przez piękny i jasny wykład ogólnych prawd ekonomicznych, który obok najlepszych wykładów popularnych tej nauki postawiony być może.

Zawód literacki Fryderyka hr. Skarbka długi był i różnorodny, przez cały jednak czas tego zawodu czynnym był na polu ekonomii politycznej. Nie powiemy, izby Skarbek rozprzestrzenił lub posunął umiejętność, ale można powiedzieć iż ją przyswoił i znakomicie przyłożył się do jej rozpowszechnienia. Zasługa jego w tym kierunku jest niezaprzeczoną i imię jego jeżeli nie jako znakomitego, to jako zasłużonego krajowi ekonomisty, musi być zawsze wspomniane.

Pismo w którym najwięcej okazał samoistności i właściwe swoje poglądy na stosunki i potrzeby miejscowe rozwinął, jest: gospodarstwo społeczne stosowane (1). Ważniejsze ono zajmuje miejsce w historii naszych pojęć ekonomicznych, jak inne dzieła ekonomiczne tegoż pisarza, chociaż nierównie mniejsze rozmiarem. Dziwna rzecz, że mimo stanowiska i powagi autora, dzieło to właśnie nie miało wpływu i nie zwróciło na siebie uwagi. Przypisać to zapewne potrzeba tej okoliczności, że pismo to pojawiło się wśród mocnego rozbudzenia umysłów i trafiło na prądy idące w innym kierunku, z którymi ani się rachować ani wprost z niemi walczyć nie chciało. Wiele tam zdrowych i gruntownych myśli, ale noszących piętno zasad konserwatywnych a więc wstrętnych umysłom większości wtenczas, kiedy potrzeba reform społecznych jest uznana powszechnie, a stronnictwa krańcowe roznamiętniają gwałtownością żądań i sposobem ich sformułowania.

Po burzy pisma takie zyskują więcej uznania, jeżeli mieszczą w sobie prawdy i zasady dające się stosować do innych warunków, jakie wypadki wyrobiły.

Z wyłączonego i nowego w naszym piśmiennictwie punktu widzenia zapatrywał się na gospodarstwo społeczne, autor pisma: Zarzysy Ekonomii Politycznej zgodne z religią chrześcijańską za-

(1) Tytuł jego: Gospodarstwo narodowe stosowane czyli Zasady gospodarstwa narodowego zastosowane do praktyki, przez Fryderyka hr. Skarbka. Znajomość kraju. Rolnictwo. Warszawa, 1860.

stosowane do gospodarstwa wiejskiego. Warszawa 1859. Powieździeliśmy w naszym piśmiennictwie, bo w obcych począwszy od Saint Simonistów wielu pisarzy socyalistowskich próbowało osłonięcia swoich utopij społecznych, niekiedy bardzo materyalistycznych banderą ewangeliczną. Nie zrobimy tej krzywdy autorowi, abyśmy go stawiać mieli w jednym z tamtymi szeregu; są jednak punkta w jego teorii, któremi z niemi się styka. Już to w ogólności doświadczenie pokazało, że chęć stosowania bezpośrednio prawd ewangelicznych do nowój organizacyi stosunków społecznych, ma swoje niebezpieczeństwa. Inną jest naturalna droga działania i wpływu tych wielkich i zasadniczych praw. Polem pierwszój ich uprawy są sumienia, są serca, są przekonania. Ztąd wpływ ich rozlewa się na obyczaje, na urządzenia polityczne, na prawa: te dopiero wytwarzają stosunki ekonomiczne. Tego naturalnego i koniecznego następstwa przerywać ani przeskakiwać nie można bezkarnie. Wszyscy, którzy o tój kolei zapomnieli wpadali na drogi błędne, błąkali umysły, niekiedy rozżarzeni niebezpieczne namiętności i wstrzymywali istotny bieg pożytecznych reform; jak nawzajem ci, którzy zapominali o tём, że teorye ekonomiczne oderwane, odosobnione od pierwiastku zapłodniającego wszystkie sprawy nowoczesne, to jest od Chrześcianizmu, snute *a priori* z umysłu pojedynczego człowieka, bez oparcia się o obyczaje i instytucye, są bez znaczenia i wpływu — ci mówię, sami dobrowolnie prace swoje unicestwiali.

Pomijamy rozbiór kilku dzieł, z któremi nie mieliśmy możności tak dokładnie się poznać, iżbyśmy o nich sąd dojrzały i sumienny ośmielali się wydać, a mianowicie: Bromirskiego Jana: Spostrzeżenia i uwagi nad bogactwem i charakterem narodowym. Płock 1817. Fundamenta budowy społecznej zastosowane do narodu Polskiego. Morzycki. Poznań, 1852: Zasady gosp. społ. p. Leopolda Jakubowskiego. Żytomierz, 1860. Ogólne zasady ekonomii politycznej Z. Dangla, część I-a, Warszawa, 1862. Ekonomia polityczna, Grabowski Leon, Warszawa, 1869. Zwracamy przeciw uwagę redakcyi pisma specjalnego gosp. społ. poświęconego, to jest Ekonomisty, iż rozbiór wszystkich naszych dzieł całość ekonomiki traktujących, nietłumaczonych, a właśnie mniej znanych i upowszechnionych, byłby przysługą dla czytającej publiczności, a zasługą pisma i dałby dopiero ostateczne pojęcie o ruchu historycznym pojęć u nas na tём polu.

Najwydatniejsze miejsce jako ekonomista zajmuje u nas niewątpliwie J. Supiński. Wielka byłaby szkoda, gdyby rzeczywiście dalszy ciąg dzieła jego miał być przez autora zniszczony, jak o tём pisma publiczne donosiły (1). To co jest, przecież wy-

(1) Świeszko wydane we Lwowie IV i V, tom pism J. Supińskiego potwierdza tę wieś. Dalszy ciąg Ekonomii społ. nie ma już wyjść na widok

starcza do naznaczenia mu właściwego stanowiska tak w naszej literaturze, jak i w ogóle w literaturze ekonomicznej. Nie należy tylko mięszać dzieła jego oddzielnego, które autor jakoby fundament dla swój dalszej budowy uważał: „Myśl Fiziologii powszechnej,” ze szkołą p. gosp. społecznego. Pierwsze dzieło, to jest Fiziologia wywołało liczne rozbiory; co do nas pomijamy zdanie o niém tutaj, bo należy ono do innego zakresu literatury. Samo gospodarstwo społeczne odznacza się znakomitemi, wcale niezwykłymi zaletami: wielką gruntownością myśli, niepospolitą jasnością wykładu i wyborynym językiem. Sama nazwa Szkoły pols. wskazuje, że autor Gospodarstwa Społecznego nie uważa jako naukę złożoną z prawd bezwzględnych, bezwarunkowych, że nie traktuje jój jak algebrę lub fizykę, co zwykle przed nim, czyniono: to samo już mu za zasługę poczytujemy. Rozpatrzenie się pilne w ekonomistach obcych różnych narodowości przekonywa o właściwościach i odrębnościach cechujących każdą z nich. Różnice więc rzeczywiste faktycznie istniały. Szkoła zaś dopiéro historyczna doszła już drogą dziejowych badań i porównań, do przyjęcia zasady o warunkowości i względności większej części prawd ekonomicznych. To mając na uwadze, nazwa szkoły nadana przez Supińskiego jego dziełu nie zdaje się być nie usprawiedliwioną śmiałością.

Za zasługę mu poczytujemy, że usiłuje oderwać się od szkoły Smithowskiej, co do stawienia interesu osobistego czyli korzyści osobistój za jedyne go motora w sprawach ekonomicznych i za punkt wyjścia i oparcia dla samój nauki. Doktryna ta stanowczo pogrzebaną została przez bardzo pilne i gruntowne wywody i głębsze wpatrzenie się w przeszłe i bieżące wypadki. Uznano że tak dobrze pobudki do pracy, jak ostateczne cele pracy i w ogólności cele społeczne, związane są tak ściśle z prawami religii i moralności, że każda teoria odrywająca je od nich, uważaną być musi za aberracją czasową. Supiński lubo szczegółowo przedmiotu tego nie rozberra w sposób np. taki, jak to Knies robi, o którym w następnej części obszerniej powiemy, z całego jego ciągu dzieła i wielu pojedynczych miejsc widoczném jest, iż takie właśnie ma przekonania. Za zasługę mu również poczytujemy wywody o daromości darów przyrody, o zasobie, o dochodzie od ziemi czyli o rencie, o własności. W wywodach tych przedmiotów dotyczących dał dowody samoistności, siły i głębokości umysłu.

Nie powiemy, iżby S. stworzył na nowo E. P. lub nowe dla niój drogi i widoki utworzył; ale to niewątpliwe, że jój samoistną postać i właściwe piętno nadał. Nie z pism współczesnych ekonomistów ale z ogółu życia umysłowego epoki wziął i wcielił

publiczny. Dwa te tomy zawierają tylko mniejsze pisma, po większej części już poprzednio drukowane a odnoszące się do ekonomiki, literatury i krytyki.

prawdy nauce téj przydatne. To téż zasady i teorye jego albo się schodzą, albo nawet wyprzedzają to wszystko co ekonomiści innych krajów głosili współcześnie, lub później głosić zaczęli.

Właściwości, warunki, potrzeby miejscowe miał autor na pamięci ciągle i przez to połączenie praw ogólnych z warunkami miejsca i czasu, stworzył całość stojącą na wysokości poziomu naukowego krajów cywilizowanych i trafiającą tak żywo w tętna życia miejscowego.

Takie jest nasze zdanie o pracy ekonomicznój Supińskiego i zdaje się że wszystkie zdania ogłoszone u nas w sądzie takim się zbiegają. Pod względem wielu pojedynczych zdań i pojęć można się z autorem tym różnić; ale tu nad szczegółami się nie zatrzymujemy, ani żadnego krytycznego rozbioru sobie nie dozwalamy.

Przed zamknięciem grupy pismoryginalnych wspomnieć nam jeszcze wypada o jasnym i treściwym wykładzie zasad E. Pol., jakim Tomasz Potocki poprzedził głośne swoje dzieło o urządzeniu stosunków włościańskich w Polsce i Rossyi. Samo zaś dzieło należy do innéj grupy i tam o niem wspomnimy. Dalej dodać tutaj winniśmy wzmiankę o zarysie popularnym zasad Ekonomiki p. Stalkowskiego — i o dwóch działach nieobejmujących całości nauki, ale dostrzeżenia i uwagi nad pojedynczemi jéj częściami, szkice ekonomiczne p. Wzdulskiego i także p. Treпки.

Wreszcie zamknijemy niniejszą grupę kilku słowami o pierwszym i jedyném dotąd piśmie peryodyczném nauce ekonomiki poświęconém, które powstało staraniem światłego i zdolnego ekonomisty p. Nagórnego, a otwarte było rozprawą jego zawierającą rzut oka na całość, wpływ i znaczenie nauki ekonomicznój. Użyteczne to pismo, jakkolwiek niedostatecznie przez publiczność popierane, trwa i rozwija się. O kilku pięknych rozprawach w niem zamieszczonych, jako tworzących odrębną w sobie całość i rozpowszechnionych w odbitkach, wspominamy we właściwych działach. O niektórych innych tam zamieszczonych jak Pr. Dunajewskiego, Deskura, nie mieliśmy sposobności szczegółowo mówić, jakkolwiek odznaczają się wewnętrzną wartością. Gazeta Polska zrobiła Ekonomiście zarzut, słuszny co do jego przeszłości, iż nazbyt wyłącznie trzyma się na polu teoryi, i zbyt wyłącznie traktuje o rzeczach obcych. Zmiana kierunku i rozszerzenie programu w duchu powyższych uwag, są widoczne w nowszym peryodzie tego wydawnictwa. Życzymy mu w imie nauki i interesów miejscowych jak najlepszego powodzenia.

Co do drugiejj grupy: a) W materyi finansów spotykamy: System Banku: Chruckiego, Warszawa 1808. Uwagi nad zasadami podatkovania etc. p. Rembielińskiego. Płock. 1811. O Moratoryum czyli sposoby uiszczania się wierzycielom, 1816. O wpływie systematów podatkovania na stan zamożności narodów p. M. Chońskiego, Krzemieniec 1818. O istotnych zasadach nauki skarbowéj Słotwińskiego Tel. Kraków 1818. O przyczynach upadku naszego

kretytu przez W. L. (ange) War. 1820, tegóz: Pragmatyczny rys historyi kretytu publicznego w War. 1824. T. A. Goleński, De tributis et vectigalibus aliisque oneribus in Polonia, Kraków 1827. Rys ogólny nauki finansów F. Skarbka 1824. Józef hr. Łubieński: System wolnego handlu i podatkwania, wyd. Bobrowicza, Lipsk 1848. O stosunkach włościańsko-gosp. i o potrzebie kretytu rolniczego w Galicyi, p. Skrzyńskiego. Lwów 1859.

Lubo ściśle rzecz biorąc do polskiej literatury nie należą, ale wspomina się z powodu pochodzenia autorów, o następujących dziełach finansowej natury. A. Cieszkowskiego: Du crédit et de la circulation, pismo cenione w kraju i zagranicą, które zaszczytne miejsce wyrobiło autorowi w szeregu ekonomistów; L. Tęgoborskiego powszechnie cenione pisma: Essai sur les consequences eventuelles de la dé couverte des gîtes aurifères en la Californie et en Australie, Paris 1853. Etudes sur les forces productives de la Russie, Paris 1825—55. Des finances et du crédit public de l'Autriche, Paris 1843. Sur les finances de la Russie, Bruxelles 1854.

Wysokie stanowisko wyrobił sobie we francuzkiej literaturze ekonomicznej L. Wołowski, a wiele jego pism jużto oddzielnie, jużto po zbiorach peryodycznych ogłaszanych, odnosi się jużto do ogólnych kwestyj finansowych, jużto do położenia finansowego pojedynczych krajów.

Zubelewicz w r. 1833 wydał dwa dzieła odnoszące się do niniejszego działu; Przewodnik giełdy, o papierach publicznych. Woj. Trzetrzewiński wydał rozprawę: O podatkach gruntowych stałych w Królestwie Polskiem, w Warszawie 1861. Dodać tu wreszcie winniśmy pismo pod tytułem „Ogólne uwagi nad urządzeniem kretytu dla nieruchomości miejskich. Berlin. Poznań, 1862, tudzież pisma: „O kredycie rzeczowym p. Wrotnowskiego w Warszawie r. 1862. O potrzebie Banków rolnicznych p. Wielogłowskiego, 1860. O instytucjach kretytu w kraju naszym p. P. Zaleskiego, w Warszawie 1861. O gospodarstwie majątkowém i stosunkach finansowych w W. X. Poznańskiem p. Wolniewicza, Leszno 1855. O zabezpieczeniach wogóle a wszczególności o zabezpieczeniach w kraju naszym p. A. Kosteckiego, Kraków 1862. Professor Korzybski wydał dzieło o Bankach (1), w którym broni wolności tych instytucyj. Professor Biliński we Lwowie r. 1870 Studya nad podatkiem dochodowym (2).

Tu również należą niektóre wyborne rozprawy zamieszczone po pismach czasowych, a rozpowszechnione w odbitkach lub przedrukach, jak Falkenhagena Zaleskiego: O współkach przemysło-

(1) O kredycie i bankach emisyjnych w zastosowaniu do potrzeb kraju naszego, Warszawa 1862.

(2) Rozbiór tego dzieła p. F. Zielińskiego zamieściła Biblioteka Warszawska w roku zeszłym.

wych, o domach zleceń rolników; Felixa Zielińskiego, O zakładach kredytowych w zastosowaniu do rolnictwa, Ustawa wexlowa niemiecka, o Mac-Leodzie i Bankach Angielskich; Adolfa Kurtza: O cyrkulacji pieniężnej; Kirszrota: Wywód historyczny prawa o lichwie i procentach; Markusfelda: O wolności stopy procentowej; Oczapowskiego: Celniejsi pisarze umiejętności skarbowej; Makowieckiego: Banki zaliczkowe dla rzemieślników.

Do grupy téj zaliczają się również wszystkie mniejsze rozprawy i pisma o urządzeniu spółek spożywczych, stowarzyszeń kredytowych miejskich, i dzieła i rozprawy o Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, z których to ostatnich, mianowicie na wspomnienie zastępują pisma Czerwińskiego, Sulikowskiego i Felixa Zielińskiego.

b) Do grupy handlu jedno tylko nasuwa nam się dzieło Stanisława Budnego: Nauka handlu, w Wilnie 1829 r.

c) W grupie przemysłu, dział rolnictwa, uwydatnia się kilku pismami noszącymi cechę samoistności ich autorów, oraz znajomości tak zasad nauki w ogólności jak warunków miejscowych. Wyliczenie ich, oznaczenie ich charakteru i praktycznej wartości, do specjalnych badań nad tym przedmiotem się odnosi. Wspomniemy tu o najwydatniejszym na polu naszej nauki rolniczej, a mianowicie o dziele b. Dyrektora Instytutu w Marymoncie, Oczapowskiego. Dwa małe przewodniki rolnicze Chłapowskiego i Łyskowskiego używały wziętości i były rozpowszechnione. O bieżącej literaturze, do pism specjalnych odsyłamy.

Przeważnie w tym peryodzie zwróciła się uwaga ogólna na kwestyą włościańską. Wśród pism mniejszego rozmiaru jak: P. Żubińskiego, Rakowieckiego, A. Owidzkiego, Mileskiego, Markowskiego, Stawiarskiego, Rolbieckiego, Strojnowskiego Waleryana, Lipińskiego, Ludwiga, Cyprysińskiego, i. w. i. w kraju i za granicą wyszłych, uwydatniają się dwa dzieła odmienne charakterem i dążeniem, przez dwóch znakomitych a już nie żyjących pisarzy ogłoszone, a mianowicie: Gołuchowskiego, Rozbiór kwestyi włościańskiej i T. Potockiego, O urządzeniu stosunków włościańskich w Polsce i Rossyi, znane pod pseudonimem Krzysztopora. Oba te dzieła, tak jak przedmiot do którego się odnoszą, należą już do historii — ludzie którzy je pisali spoczęli już wgrobie — można i należy o nich mówić z rozwagą, sprawiedliwością, bez uprzedzeń i ducha stronnictwa.

Dzieło Gołuchowskiego ma wszystkie cechy jakie umysł głęboki, wszechstronnie ukształcony i daleko widzący zwykł nadawać swoim utworom. Książka ta czyta się dziś z równym zajęciem i pożytkiem jak w chwili kiedy się ukazała. Wiele prawd i uwag w niej zawartych, nie odnoszą się tylko do pewnej chwili i danego położenia. Niektóre zaś opisy i obrazy położenia warstw społecznych i stosunków są istotną kartą historii wewnętrznej. Talent pisarza jak we wszystkich jego utworach, jest znakomity a indywidualność wybitna.

Dzieło to jednakże jest zarazem dowodem jak w chwilach chylenia się do ważnych reform społecznych i ekonomicznych, których potrzeba weszła w uznanie powszechne, pisma krytyczne i negacyjne mało stosunkowo mają wpływu. Za ledwie tylko chwilowo wywierają działanie hamulca na pociąg idący po nagłej pochyłości. Jeżeli zaś wypadek zdarzy że hamulec pęknie, wtenczas spadek jest jeszcze gwałtowniejszy. Jest to już w naturze ludzkiej, a zwłaszcza w naszym narodowym temperamentie że się z niebezpieczeństwami i trudnościami rachować nie lubimy, a pisarze którzy je wskazują, są zwykle narażeni na niepopularność. Nic też zresztą dziwnego, że kiedy potrzeba dojścia do celu jest uznana koniecznością, chętniej się chwytą i wyżją ceny rady jak dojsz najprędzej i najlepiej, aniżeli przestrogi aby stać w miejscu z obawy pobłądzenia. Gołuchowski za mało się rachował z potrzebą reformy w stosunkach włościańskich i z jej doniosłością, a środkami do jej przeprowadzenia wcale się nie zajmował. Gdyby przynajmniej część krytyczna i negacyjna była zrównoważoną przez równą jej doniosłością i obrobieniem część dodatnią i organiczną, dzieło to stałoby się było pomnikowem.

Tę drugą część zadania podjął T. Potocki, i dla tego dzieło jego i nierównie większy wpływ i większe uznanie znalazło. Tamto jest dziełem filozofa-rolnika, to było dziełem ekonomisty-rolnika, a przedewszystkiem człowieka praktycznego, który wie gdzie idzie i umie właściwie obierać do celu środki. Podnosiły wartość i znaczenie tego dzieła wstęp obejmujący jasny wykład zasad ekonomiczno-polityczny, który za podstawę przyszłej budowy służył, i równie jasny wywód historyczny stosunków włościańskich u nas i w Rosyi. Tak oparłszy się na prawdach naukowych i na historii, bezpiecznym był autor od błędów utopii i przygotowywał tém lepiej czytelnika do podzielenia jego przekonań. Piękny dar słowa i potoczystość, nadaje dziełu temu wartość istotną literacką. W historii zaś pojęć ekonomicznych u nas zawsze ono ciekawe zajmować będzie miejsce.

Do działu pism o ludności rolniczej dodać winniśmy dwa pisma: „Uwagi nad obecnym stanem robotników wiejskich w Królestwie Polskiem p. Ludwika Górskiego 1860. Niemniej ciekawe pismo znanego a zasłużonego pisarza Karola Libelta, o którym kilka relacyj było w naszych pismach publicznych, a mającém za przedmiot urządzenie spółek akcyjnych pomiędzy właścicielami ziemskimi a robotnikami, na wzór niektórych zakładów fabrycznych, w Niemczech nowo urządzonych. Próbę takiego urządzenia autor u siebie na jednym ze swych folwarków przeprowadza.

Stosunki miast i ludności je zamieszkującej nie zdołały zwrócić na siebie pilniejszej uwagi ekonomistów w tym peryodzie. Praktycznie robiono nadzwyczaj wiele, od r. 1815—1830 dla podniesienia miast nowych i zakładania fabryk. Działanie to przecież nie odbiło się w piśmiennictwie. Nie zwracano również uwagi bacniejszej na życie, działanie, wpływ przybyszów obcych

do miast, równie jak na zachowanie się dawnego naszego mieszczaństwa, w obec krzątania się przemysłowego, fabrycznej ludności niemieckiej. O żydach pisano cokolwiek, więcej za księstwa Warszawskiego jak później -- nieomal zawsze bez dostatecznego przygotowania i zgłębienia przedmiotu.

Pisali w tej materji: Czacki, Radomiński, Łętowski, Bronikowski, Wyczyński i. w. i. Znanie są zacne usiłowania Niemcewicza, do poruszenia żydów z ich zapałości cywilizacyjnej i odrębności. Po francuzku pisali w téjże materji gen. Win. Krasiński, Holenderski, Colmanson, Lubliner. Hüppe w swém dziele: *Verfassung der Republik Polen*, zwraca uwagą na pisma niemieckie: *Pertes, die Juden in Posen*, na 6 i 7 tom dzieła Grätza, *Geschichte der Juden* i na 3-ci tom dzieła Josta *Geschichte des Judethums* (1).

Przedmiot ten zasługuje bardzo na rozwagę historyka ekonomisty i moralisty, już z tego względu że wzrost ludności żydowskiej jest stosunkowo szybszy od reszty ludności, jużto z tego względu, że środek zupełnego równouprawnienia, po którym tak wiele spodziewano się, widocznego wpływu dotąd na stosunek tej ludności do reszty kraju, i na jój stanowisko cywilizacyjne nie wykark.

Do działu o ludności odnoszą się pisma: Niemcewicza: O więzieniach publicznych 1818. Projekt polepszenia więzień w Królestwie Polskiem: Potockiego Xawerego, 1819. Skarbka: O poprawie moralnej winowajców, 1822, i jedyne pismo w tak ważnej materji również Skarbka: O Ubóstwie i ubogich, Warszawa 1827.

d) Z podróży i opisów kraju, przedewszystkiem zasługują na wzmiankę: Podróż Niemcewicza i opis Wielko-Polski Ed. h. Raczyńskiego, dalej opis powiatu radomskiego p. K. Siarczyńskiego wyd. Lipińskiego Warszawa 1847. Sądyczczyzna p. Morawskiego, do której później jeszcze wrócimy. Opis powiatu Wasilkowskiego p. Rulikowskiego i wyborny na sumiennych i pracowitych studiach oparty opis powiatu Krotoszyńskiego p. Łukaszewicza. Wreszcie wspominamy tutaj opis Król. Pols. p. Miłkowskiego, 1861. Inne opisy i podróże jak, Kraszewskiego, Konratowicza, Przędzieckiego, mają charakter bardziej archeologiczno-historyczny i artystyczny, jak ekonomiczny.

e) Literatura statystyczna może wykazać szacowne prace. Oprócz prac na tém polu Staszica i Czackiego, zasługują na uwagę:

Obraz statystyczny i polityczny Królestwa Polskiego, Warszawa 1830. Z szczegółowych statystyk:

Łachnickiego: statystyka Gubernii Litewsko Grodzieńskiej, w Wilnie 1817 r. Lubowidzkiego: Statystyka W. Lubelskiego.

(1) Tu jeszcze zaliczyć należy pismo: Rzut oka na nowy projekt bezwarunkowego równouprawnienia żydów, p. H. Schmitta, Lwów 1859. Kraushaara: *Historja żydów w Polsce*. Prawodawstwo co do żydów: Gumplewicz.

X. W. Marczyńskiego: statystyczno-topograficzne i historyczne opisanie Gubernii Podolskiej — Wilno. Słowaczyńskiego: Statistique générale de la ville de Cracovie, Paris 1839. Tykła: Opis historyczno-statystyczny Gubernii Augustowskiej w Bibl. War.; Opisanie historyczno-statystyczne W. X. Poznańskiego, Lipsk 1846. Rys statystyczno-geograficzny Galicji austriackiej p. M. K. Poznań. 1842. Jako materiały statystyczny uważać należy Sumaryusz Królewsczyzn w całej Koronie z r. 1770, wydany p. Piotrowskiego w Żytomierzu 1861.

Zasługują również na wspomnienie pisma odnoszące się do teorii statystycznej, rozprawa Wacława Łuszczewskiego zamieszczona w Rocznikach gospodarstwa krajowego. Z nowych: pisma Załęskiego: O stosunku ekonomiki, prawa i statystyki 1867. Kilka słów o teorii statystyki 1868. Organizacja statystyki administracyjnej w Państwach Europejskich 1869. Z. Korzybskiego wstęp do teorii statystyki, Warszawa 1870.

Wreszcie na wspomnienie zasługują prace statystyczne Wolskiego i R. Wierzchlejskiego, a w piśmie tego ostatniego mieszczą się również wzmianki o tych pracach statystycznych dawniejszych, na których się opierał, które porównywał i dopełniał.

Pomijamy trzecią grupę tłumaczeń, niechcąc wkraczać w dziedzinę bibliografii; tę tylko zrobimy wzmiankę, że niefortunne zrzadzeniem losu, spotyka się w tłumaczeniach nieraz rzeczy nader podważnej wartości, a za to pominięte zostały dzieła niektóre istotną wartość posiadające. I tak, nie spotykamy tłumaczeń dzieł: Maltusa, Riccarda, Rossi, Bastiata, Lista, Careja, Mac Leoda, Hildebranta, Kniesa. Niektóre zaś tłumaczenia wiele zostawiają do życzenia, jak np. bezimienne tłumaczenie Milla i tłumaczenie Beaudrillarta.

Niepodobna nam przecież pominąć milczeniem obszerniej publikacji K. Forstera, z dwóch odrębnych seryj złożonej a mającej przeważnie charakter ekonomiczny. Publikacji tej robią liczne zarzuty (p. Niwa NN. 1, 2); niektóre z tych zarzutów są bezwątpienia słuszne, nie odejmują one przecież autorowi zasługi, ani dziełu jego znaczenia. Być może, nie wszystkie z pism tam zamieszczonych dadzą się odnieść do naszych stosunków, pojęć, a mianowicie stopnia ukształcenia umysłowego niektórych warstw naszych klas pracujących, dla których druga seryja publikacji wyłącznie jest poświęcona. Pomimo tego jest tam tyle rzeczy dobrych i użytecznych, tak często wkracza ta publikacja w zakres panujących dziś prądów wyobrażeń, tak wiele prawd zapomnianych lub sponiewieranych podnosi i objaśnia, że musimy uznanie nasze autorowi wynurzyć i pominąć czynione zarzuty; uznanie podobne naszemu wynurzyły już różne pisma i wiele pojedynczych osób oceniło pracę P. Forstera i usiłowało je popierać. Sądziemy też, że sfery umysłowej naszych ludności miejskich, nie przecigają pisma ogłoszone p. Forstera. Dla oficyalistów wiejskich mogą być z pożytkiem zalecane. Sądziemy oprócz tego, że

osoby z wykształceniem mogą je nieraz z pożytkiem przejrzeć a mianowicie młodzieży obojej płci odczytywać i objaśniać, przygotowując ich umysł do prac obszerniejszych, gruntowniejszych i przedmiot bardziej wyczerpujących. A podobno i naszej szermierskiej młodzieży, porywającej tak ochoczo za broń zaczepną i w imię idei postępowych rzucającej się na wszystko i nieuznającej praw nauki, doświadczenia i zasługi, odczytywanie słów Silvia Pellica w książeczce XVII nie byłoby bez korzyści.

Pod pewnym względem niesprawiedliwość wyrządzamy p. K. Forsterowi, kładąc jego wydawnictwo pod kategorią tłumaczeń, bo są tam i własne jego prace. Tłumaczenia jednak wchodzą w tak przeważnej liczbie, że one nadają charakter publikacji; tak samo, jak publikacja ta pod względem treści nie należy wyłącznie do Ekonomiki, o czém już na początku wspomnieliśmy, ale od przewagi tego oddziały, charakteru ekonomicznego nabiera.

III.

Przechodzimy do głównej części naszego obecnego pisma: do prac około historii naszych stosunków ekonomicznych, do zebrania, oceny tego, co na tém polu zrobiono.

Pojęcie ważności tego rodzaju hadań, poczęło się dopiero z upowszechnieniem się pewnym zakorzenieniem zasad Ekonomii Politycznej, chociaż to upowszechnienie i zakorzenienie za bardzo względne uważać należy. Skojarzenie się tej nauki z innymi do dziś dnia się jeszcze nie spełniło. Toż samo powiedzieć można o pojęciach ogółu w kwestyach ekonomicznych, bieżących i potocznych. Lubo postęp jest znaczny w ostatnich czasach, zauważyć jednak możemy i zaznaczyć tutaj, że nowsi nasi historycy krajowi, tak samo jak dawniejsi, nie wprowadzili dotąd do dzieł swoich, takiego zestawienia rzeczy społecznych i ekonomicznych, z dziejami polityki, wojny, prawodawstwa, kultury i religii, iżby ich związek dziejowy i wpływ wzajemny, stał się przez to widocznym. I tak: Naruszewicz do przypisków odesłał wszystko co tej materji dotyczy, chociaż podał rzeczy nie małej wagi i złożył w tych przypiskach owoc wielkiej pracy. U Lelewela, chociaż ten szerzej nierównie traktuje sprawy ekonomiczne, zwłaszcza w czasach, w których większa obfitość świadectw i materiałów na to zezwala; u Lelewela mówię, górują względy polityczne a prąd republikańsko-demokratyczny jego przekonania zdaje się pochylać wszystko w wskazanym kierunku, a niekiedy jakimś jakby tumanem istotę rzeczy zasłaniać. Uwaga ta nie ubliża ani ujmy czyni wielkiemu badaczowi naszej przeszłości, który za nadto zasług położył na polu naukowym, iżby o nim powiedzieć nie godziło się, że kwestye np.: rolne i ludności rolnej

traktował z pominięciem tego punktu widzenia, który pominięciem być nie powinien, to jest ekonomicznego, i że o porównanie i związek dziejowy urządzeń naszych z współczesnymi w innych krajach, wcale się nie troszczył. Zarzut hypotetyczności w ocenianiu stosunków społecznych, robi mu również jeden z badaczy niemieckich, który może najlepiej z Niemców rzeczy te zbadał. Że w dziełach Moraczewskiego kultura, obyczaje i sprawy ekonomiczne nie znajdują dostatecznego uwzględnienia, że są nieomal nawiasowo traktowane, a nie w organicznym związku z dziejami politycznymi zestawione, na to każdy zgodzić się musi, kto uważnie dzieło jego rozpatrywał. Zarzutu tego zrobić nie można p. Szujskiemu, bo kultura, jój dzieje, rozwój, związek i wpływ na wypadki dziejowe, tak są w te ostatnie organicznie wplecione, iż czuje się dotykalnie ich wzajemny stosunek. Strona ekonomiczna naszej przeszłości nie jest dostatecznie uwzględniona w tém piękném dziele i pod tym względem możnaby zrobić słuszny zarzut autorowi, zwłaszcza że nie mogło ująć jego uwagi, jak uznanie ważności roli, jaką sprawy ekonomiczne odgrywają w losach narodów, wszędzie się rozpościęra i gruntuje. Usprawiedliwić może naszych historyków z zarzutu powyższego, niedostateczne wydobycie z pyłów archiwalnych, i niedostateczne obrobienie materyałów, bo chociaż wiele i pod tym ostatnim względem zrobili badacze specyjalni, wiele jeszcze do zrobienia pozostało. Że zresztą zarzut nasz nie jest nowoczesny i bez podstawy, przytaczamy jako dowód historią powszechną Cantu, w którym dzieje polityczne z dziejami religii, kultury, odkryć, spraw społecznych płyną ciągle razem nawzajem się oświecając i zasilając; a wpływu jaki ekonomia polityczna wywarła na społeczeństwa nowoczesne, żaden ekonomista podobno równie błęgle i trafnie nie określił, jak właśnie ten historyk w zamknięciu swoich dziejów.

Po tój wstępnej uwadze przechodzimy do prac specyjalnych naszych. Przecież stawiamy krok pierwszy nie na właściwym jeszcze gruncie ekonomicznym. Konieczność owego potracania ciągle o nauki inne, wkraczania na cudze pole, niechaj służy za dowód, jak nauki ściśle łączą się z sobą i tworzą jakby familijne grupy, nawzajem od siebie pożyczając, a nieraz do spadku jedna po drugiej przychodząc. Tak rozdzielić nie można historii prawa od historii stosunków ekonomicznych. Jedne nieomal zabytki i pomniki posługują jednej i drugiej. Dziejopisowie prawodawstw równie skutecznie może jak dla prawników pracowali dla ekonomistów. To też pisma Czackiego, braci Bandtków, W. A. Maciejowskiego, Z. Helcla równé są prawie ceny w oczach ekonomisty co prawnika i historyka. Wartość każdego z tych pism rośnie w miarę summy wcielonego surowego materyału, w miarę rozszerzania pola pracy i poszukiwań, a mianowicie w miarę szerszego obeznania się z naturą przedmiotów ekonomicznych z zasadami samej ekonomii politycznej. Im w ściślejszą metodę ujęta forma, tém mniéj zбочeń i rozszerzeń się dopuszcza; ztąd téż pochodzi,

że pisma Bandtków wyjąwszy tych, które specjalnym kwestyom były poświęcone, najmniej może ekonomicznie posługują. Więc p. W. A. Maciejowski jako rozleglejszy obejmujące horyzont. Forma a raczej brak formy w dziele Czackiego dziwnie mu posłużyła do oddzielenia, urozmaicenia i z bogactwa materiału ekonomicznego. Dzieło Helcia zawiera szacowne wypisy z ksiąg sądowych, które są kopalnią różnorodnych wiadomości; zawiera również zupełniejszy zbiór prawodawstwa naszego kościoła dawnego, jak te, które ogłosił poprzednio p. Hube; zbiór łączący się pod pewnemi względami z historią stosunków ekonomicznych w czasach Piastowskich.

Wszystkie niemal pomniki historii i prawodawstwa, wydobyte i ogłoszone, są zarazem materiałem dla historyka-ekonomisty i dlatego musimy przedewszystkiem o tych publikacjach pomówić. Wspomnieć nam więc przychodzi rzeczy następujące: Tytusa Działyńskiego: Zbiór praw litewskich (1841); Raczyńskiego: Kodeks dyplomatyczny; Daniłowicza: Statut Kazimierza Jagiellończyka; tegoż: Skarbiec dyplomatów wydany przez Sidorowicza (1862); Kodeks dyplomatyczny warszawski, Kodeks dyplomatyczny mazowiecki, wydanie księcia T. Lubomirskiego; Zbiór dyplomatyczny z archiwum po-Bernardyńskiego we Lwowie, który funduszem z zapisu Stadnickiego jest wydawany. W części wydanej przez Tatomira nie zyskał uznania znawców. Wspomnieć jeszcze należy jako materiał do historii ekonomii: Wiadomości do dziejów Polskich z archiwum prowincyi szlązkiej A. Mosbacha roku 1860. Pamiętniki kommissyów archeologicznych, wileńskiej i kijowskiej. Co do Szlązka: Urkundensammlung Stentzla. Ciekawy zbiór dokumentów tyjących się wsi wołowskich na północnym stoku Karpat dał Alexander hr Stadnicki, który to zbiór poprzedził rozprawą o wsiach tak zwanych wołoskich. Wielce ważnym materiałem dla stosunków ekonomicznych jest wydana świeżo część dzieł Długosza pod tytułem: *Liber beneficiorum*; ważność tę w rozlicznych kierunkach ocenił w jednym z pism czasowych p. W. A. Maciejowski (1). Wreszcie jako monografia a zarazem zbiór dokumentów, wymieniamy dzieło pod tytułem: Sąddeczynna, wielce zajmujące i ważne do historii stosunków rolniczych. Ważne wskazówki i wiadomości ekonomiczne spotyka się w następujących dziełach: Starożytności polskie sposobem dykcyonarza, wydane staraniem J. Moraczewskiego; Starożytna Polska p. Balińskiego, Lipsk (1843); Dawna Polska (1841), Krzyżanowskiego i Jaroszewicza Obraz Litwy, wreszcie w Encyklopedyi Orgelbranda. Że dzieła: Starożytności, Dawna Polska, Encyklopedia Orgelbranda zawierają z natury swojej tylko pożyteczne niekiedy wskazówki; dzieło Jaroszewicza rzeczy choć bardzo nieraz ważne i ciekawe lecz głównie do Litwy się odno-

(1) Z innego punktu widzenia F. Zieliński w Bibl. Warsz. za miesiąc grudzień 1871 r.

szące; dzieło zaś: Starożytna Polska, przedewszystkiem historyi miast dotyczy: o tém zbytecznym byłoby dodawać.

Wspominamy tylko nawiasem o wielu innych mniejszych i większych publikacjach historycznych, jak Monumenta Bielowskiego, Acta Tomiciana, różne dyaryusze sejmowe, również liczne monografie miast i inne monografie jak np. ks. Jabłońskiego, księdza Gładyszewicza i t. d., bo nie robimy rejestru bibliograficznego ale przegląd rzeczy najważniejszych do historyi stosunków ekonomicznych.

Przechodzimy do monografii ekonomiczno-historycznych, bo na historyą specjalną, całość stosunków ekonomicznych obejmującą, jeszcze się piśmiennictwo nasze nie zdobyło. Przejdziemy je według tego porządku, jaki poprzednio zachowywaliśmy. A więc zaczynamy ten przegląd od skarbowości, finansów i rzeczy z nią związanych. Trzy pisma zwracają tu na siebie uwagę historyka: 1. Poszukiwania historyczne nad finansami polskimi w XIV i XV w. p. F. Zielińskiego, zamieszczone w B. W. za rok 1849 miesiąc wrzesień. 2. O budżecie Rzeczypospolitej Polskiej: w Ekonomistcie przez Rosmana. 3. Dziełko p. L. (Lubomirskiego): Trzy rozdziały z historyi Skarbowości w Polsce, 1507—1532.

Trzy te pisma każde w sobie istotną mające wartość, każde będące owocem sumiennych i poważnych studyów, oświecają znakomicie kwestye finansowe przeszłości krajowej. Dodać jednak winniśmy iż pierwsze, i trzecie z tych prac, obejmują tylko pewne peryody historyczne a nie całość stosunków finansowych.

Co do stosunków handlowych pierwsi torować zaczęli drogę cudzoziemcy. Najdawniejsza i najpierwsza jest historya naszego handlu p. Jekla, stanowiąca tom 3 dzieła jego Polens Staats Veränderungen, dziełko jakkolwiek pozytywne, nie wyczerpujące przedmiotu, bo nie na źródłach oparte. Bogatszego materiału dostarcza, mianowicie co do wieków XIV i XV dzieło i historya handlu gdańskiego T. Hirscha na źródłach oparte, ale dalej nie poprowadzone. Opisy kraju z XVI. w., tablice z Łojki wzięte a zamieszczone w dziełach Czackiego i inne z XVIII w. materiały, dostarczają objaśnień co do czasów późniejszych. Na podstawie powyższych danych, oraz na materiałach zebranych w archiwum głównem i archiwum K. Skarbu, autor niniejszego szkicu ogłosił pismo zamieszczone w Bibl. War. za r. 1860, w części w Rocznikach rolnictwa krajowego, mające na celu badanie, czy wolność handlowa u nas wpłynęła na upadek miast, jak to głosili niektórzy obcy ekonomiści, jaki był stosunek naszego handlu z rolnictwem i ich wpływ na siebie wzajemny. Dodatkowa część w Rocznikach z r. 1862 (1), obejmująca wypisy z ksiąg celnych granicznych w oryginałach w archiwach K. S. przechowanych, miała na widoku skontrolowanie wzajemne podań jakie znajdują się w opisach sta-

(1) Okres III T. 2. Ogól. Zb. T. 47.

tystycznych kraju z wieku XVI. Praca ta nasza surowo sądzona przez niektórych krytyków — wyznajem to otwarcie, nie wyczerpuje przedmiotu. Nie miała też na celu być zupełną historią handlu naszego. Pomieważ jednak Societas Jablonoviana w Lipsku ogłosiła konkurs na historią handlu zbożowego polskiego, który w r. 1872 ma być rozwiązany, jest nadzieja że przedmiot ostatecznie i dostatecznie objaśnionym i wyczerpanym będzie i to wkrótce.

Ubogi nasz przemysł fabryczny nie mógł i nie może dać wątku do osobnej monografii. Wzmianki o niektórych jego gałęziach słabo zieleniejących, jak np. sukienictwo w wieku XVI-m, w XVIII wieku próby ceramiki, tkactwa, przedsiębiorstwa Tyzenhauza i innych, rozrzucone są w historyi miast, handlu, po biografiiach pojedynczych osób. Wniesienie go przez osadników niemieckich w XIX stuleciu zbyt jest nam bliskie, aby wywołać mogło historyczne omówienie.

Za to przemysł rolniczy mógł i powinien być zwrócić na siebie uwagę. Potrzebie tej chciał zadosyć uczynić autor niniejszego pisma, w dziełku którego kilka części zamieszczonych było pierwotnie w Bibliotece Warszawskiej, następnie uzupełnione, wydane zostały nakładem Orgelbranda w roku 1857, pod tytułem: „Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego.“ Pierwsza ta praca na polu nietkniętém dotąd, nie mogła być zupełna i wyczerpująca. Niebawem też Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie ogłosiło program do konkursu mającego na celu wywołanie dzieła: O Historyi Włościan i stosunkach ekonomicznych w dawniej Polsce. Czy konkurs ten będzie z zadowoleniem ogółu i samych ogłaszających dokonany? należy pragnąć i spodziewać się. Gdy jednak rozważamy pilnie program, to lękamy się aby ułomności w nim tkwiące, nie przeszły na dzieło uwieńczyć się mające (1). Kilka uwag następnych pogląd nasz wyjaśni.

Całość ekonomicznych stosunków naszych, historycznie uważanych, przedstawiać się musi oku, które się pilnie chce w nie wpatrzeć, jako pewien organizm, wiążący się i zestawiający z różnych pojedynczych części, według logicznych praw, jakim każda rzecz ulega. Prawa te poznać, uznać potrzeba i rachować się z niemi, bo mszczą się na tych, którzy ich nie uznają. Można pojedyncze części większej całości traktować w oddzielnych monografiach, można je łączyć — ale łączyć tylko grupami, familiami według naturalnego powinowactwa a nie przestawiać dowolnie i składać dowolnie. Rozpatrując się pilnie w częściach, dostrzega się oprócz tego między niemi pewne hierarchiczne pierwszeństwo — takie, iż koniecznie jedne muszą iść przed drugimi, te ostatnie z tamtych wynikać. Ilekroć pisze się monografią

(1) Właśnie czytamy w pismach publicznych, iż Towarzystwo Naukowe Poznańskie rozpatruje trzy nadesłane rękopisma, z których jeden p. W. A. Maciejowskiego.

jednej wyłącznie części, względ na powyżej wykazane prawidła naturalnego grupowania się części, ich hierarchiczność i nie jest potrzebny, ale jest konieczny skoro się kilka części wiąże w jedną całość, tém więcéj zaś skoro się całość ze wszystkimi jéj częściami chce objąć.

Ekonomiczne stosunki kraju przedstawiają się koniecznie przy pilném wpatrzeniu się jako całość obszerna i wiele odrębnych części zawierająca, które grupują się i rozpadają w trzy główne działy, a mianowicie:

a) Urządzenia polityczne i prawodawcze w związku z ekonomiką krajową będące: skarbowość, system podatkowania, system ceł, polityka handlowa, kopalnie i saliny, jedném słowem to co tkwi w prawach i polityce kraju, a bezpośrednio wiąże się ze stosunkami ekonomicznymi.

b) Stosunki miast, ich natura, ich zarząd, ich przemysł, handel wewnętrzny i zewnętrzny, ludność miast.

c) Stosunki wiejskie, — posiadłości ziemskie, ich różnice i klasyfikacya — wielka, średnia i mała uprawa, klasy ludności rolnictwem się trudniące, ich stosunki wzajemne.

Taki w najogólniejszych zarysach przedstawia się obraz stosunków ekonomicznych. Można odmiennie ten plan ułożyć, można zmienić porządek działów, ale nie można bez obrazu logiki zmienić naturalnego powinowactwa jednych przedmiotów z drugimi i pewnej hierarchiczności, jakie mają jedne nad drugimi, pogwałcić. I tak np.: stosunki wiejskie czyli rolniczo-ekonomiczne, nie mogą być annexem do historyi włościan, bo ta ostatnia jest częstką podrzędną, mieszczącą się właśnie w pierwszym przedmiocie jako głównym. Tém mniej historia handlu może być uważana jako annex do historyi włościan, kiedy ona właściwie ma związek tylko z rycerską posiadłością rolną, czyli z wielką własnością, a żadnej z posiadłością i bytem włościan.

Nie sądzimy więc, aby postawienie przez Towarzystwo Przyjaciół Nauk Poznańskie jako przedmiot główny historyi włościan, a dodanie jéj jako partes adnexae stosunków ekonomicznych i historyi handlu, było naturalném i logiczném. Program taki bardzo utrudnia opracowanie dzieła przez to, że krzywi szyk myśli i wynaturza istotę rzeczy.

Pomijam już tę uwagę, że cztery oddzielne szeregi badań musi autor przedsiębrać, aby programowi Tow. zadosyć uczynić, badać źródła do historyi Słowiańszczyzny, do historyi włościan właściwej, do historyi rolnictwa, do historyi handlu. Kto zna ten przedmiot, ten wie że źródła i pomoce tak książkowe jak archiwalne do każdego z tych przedmiotów są odrębne i inne, niektóre tylko są wspólne co do rolnictwa i włościan, ale nie wszystkie. Być może, że ktoś podejmie zbadanie tych czterech kierunków, ale jeżeli zgromadzi dostateczne we wszystkich materiały, to trudno przypuścić aby zgodził się zużytkować je w ten

sposób, żeby główne części miały iść na posługę części z natury swojej mieszczącej się w tamtych.

Lepiej podobno było albo samą historję włościan za zadanie do konkursu postawić, bez obciążania przedmiotu zbyt szeroko sięgającymi wymaganiami; albo rozdzielić konkurs na trzy a może nawet cztery oddzielne konkursy. O ile pamięcią zasięgam historją konkursów u nas, zwykle one upadają właśnie przez to, iż żądania są za obszerne. Mianowicie ścieśnienie konkursu w takich granicach iżby poszukiwania piszącego nie musiały iść w kilku odmiennych kierunkach, jest koniecznym do powodzenia konkursu. Ale dosyć już. Daj Boże, abyśmy się omylili i aby dzieło tak jak konkursem było zamierzone, prędko się pojawiło. Zanim to nastąpi pocieszać się możemy tém, że do historii włościan, oprócz niedostatecznych i tendencyjnych prac Lelewela, przybyły piękne i nowe światło na przedmiot rzucające prace księcia T. Lubomirskiego. Mamy tu na myśli trzy prace tego pisarza w tym kierunku dokonane, a mianowicie: Starostwo Rateńskie, wyjątek z historii osad wołoskich w Polsce; Północno-wschodnie wołoskie osady: obie te rozprawy zamieszczone były w Bibl. Warsz. za rok 1855. Rolnicza ludność w Polsce od XV do XVIgo wieku, również w Bibl. Warsz. zamieszczona rozprawa w latach 1857 i 1858. Tu również zaliczyć należy zajmującą rozprawę Al. hr. Stadnickiego: O osadach wołoskich, poprzedzającą zbiór dokumentów do tego przedmiotu zebranych. Ważnym niemniej przyczynkiem do historii ludności rolniczej jest dzieło pod tytułem: Sądceczyzna, przez Szczęsnego Morawskiego, zawierające mnóstwo miejscowych dokumentów, szkoda tylko że nie w oryginale, ale w tłumaczeniu zamieszczonych i wiele historycznych, ekonomicznych faktów téj okolicy dotyczących się (1). Dalej w szeregu prac rolniczo-historycznych do działu ludności rolniczej, stoją zaszczytnie: Rozprawa o sołtystwach z cyfrą początkowych liter L. X., zamieszczona w Bibliotece Warszawskiej z istotną znajomością rzeczy i gruntownością ułożona. Dalej związek ma z tym przedmiotem pismo znakomitego historyka Roeppla: „O rozszerzeniu się prawa Magdeburgskiego w Polsce“ (2), chociaż właściwie do miast tylko się odnosi.

Te są najważniejsze monografie do historii rolniczych stosunków u nas. Ś. p. Alexander hr. Stadnicki utrzymywał zawsze, że dopóki takie monografie nie wyczerpią wszystkich archiwów prywatnych i publicznych i nie obejmą wszystkich miejscowości,

(1) Tytuł dzieła tego „Sądceczyzna“ przez Szczęsnego Morawskiego. Kraków, 1863. Tom 2gi, Sądceczyzna za Jagiellonów z miastą spiskimi i księstwem Oświęcimskim. Kraków, 1865.

(2) Tytuł właściwy tego pisma jest następujący: Ueber die Verbreitung des Magdeburger Stadtrechts im Gebiete des alten Polnischen Reichs ostwärts der Weichsel. Breslau, 1857.

nie można myśleć o historii ekonomicznej kraju. Bez wątpienia takie monografie są nader pożądane i stanowią najlepszy fundament dla prac historyka. Lecz możnaż zawiesić ciekawość, odłożyć potrzebę poznania przeszłości do czasu nieograniczonego i nie dającego się oznaczyć? Wiadomość o niej jest potrzebą każdego społeczeństwa, a téj potrzebie zaradza się według istnących zasobów, zostawiając przyszłości dalszą pracę około wyszukania, zgromadzenia nowych materyałów, i udoskonalenia roboty poprzedników. Zresztą jeżeli historia ogólna bez zupełnego wyczerpania źródeł rękopiśmiennych i archiwalnych jest nie zupełna, niedokładna w szczegółach, to monograficzne opracowywanie części prowadzi często piszących te monografie, do innego rodzaju usterek, a mianowicie do drobiazgowości i rozproszania się w szczegółach, do nadawania nadmiarę znaczenia rzeczom czysto miejscowym lub wyjątkowym, a co najniebezpieczniejsza, do uogólnienia pojedynczych faktów i wnoszenia ich do rzędu faktów krajowo-historycznych.

Prawa miast, ich dzieje, losy ich ludności i przemysłu miejskiego, oprócz X. Władysława Łubieńskiego, wspomnionego wyżej Mędrzeckiego, opracowywali szerzej lub szuplej, Surowiecki w dziele o upadku miast etc; dziele napisaném pięknie, zawierającym nader cenne dla historyka daty i fakta, ale nie wyczerpujące przedmiotu, J. W. Bandtke, Świącki.

Bogatą kopalnią szczegółów do historii o której mówimy dostarcza za to dzieło niezmierniej zasługi i wielkiej wartości: Starożytna Polska T. Lip. i M. Baliń.; jest to robota jakich nie do zbytku posiada nasza literatura: skrupulatna, sumienna, mozolna, zestawiająca mnóstwo faktów bez ostentacyi i chęci wytwarzania ogólnych poglądów, zwykle mniej więcej tendencyjnych.

Gdy do tego dodamy monografie miast pojedynczych jak np. J. I. Kraszewskiego, Gawareckiego, Baracza-Sadoka, Łukaszewicza, Grajnera i w. i., których szczegółowe wymienienie pozostawiamy pismom bibliograficznym, oraz odnoszące się do historii ludności miejskiej pisma o żydach, jak Kraushara i Gumpłowicza, zobaczymy że stosunki miejskie nie leżały odłogiem i że na tém polu nie jedno zrobiono.

Skończyliśmy przegląd pism pojedynczych.

Obejrawszy chociaż dosyć pobieżnie co już zrobiono dla historii stosunków ekonomicznych, łatwiej nam obejrzyć się co jeszcze do zrobienia pozostaje.

Odpowiedź na to pytanie leży przedewszystkiem w ilości nie spożytkowanych dotąd materyałów. O ile te odrzebywać się będą, ich obrobienie i wydanie będzie zadaniem przyszłych badaczy. Jeżeli dwa pomienione wyżej konkursy Lipski i Poznański przyjdą do skutku, najważniejsze części historii rolniczej zostaną zapełnione. Ogólna historia miast, przemysłu miejskiego i ludności miejskiej byłaby pożądaną; ale najwięcej ogólna historia stosunków ekonomicznych, obejmująca taki program jaki nawiasowo wyżej wspomnieliśmy. Czy jednak praca jednego człowieka mo-

głaby podołać przejrzeniu różnorodnych źródeł, rozrzuconych po tylu miejscach, do których przystęp nieraz najeżony jest trudnościami, jak to mieliśmy sposobność sami się o tém przekonać? Nie chcemy téj kwestyi przesądzać, wynurzamy tylko zdanie nasze, że nie tylko dla dogodzenia ciekawości i próżności naukowej, ale dla dobra ogólnej nauki ekonomicznej, w interesie humanitarnym, leży potrzeba takiego dzieła, do któregoby każdy uczony jakiegobądź narodowości mógł pójść jak do źródła i czerpać w niéj poparcia i dowody dla prawd i praw teoryi. Nieraz uczeni aby poprzéc swoje zasady i wywody uciekać się muszą do odległej starożytności, owianej mgłą czasu; do relacyi podróży o krajach i społeczeństwach różnych, nieraz bardzo nie pewnej wartości; gdy tymczasem obok siebie mogliby mieć fakta historyczne oparte na źródłach pewnych i nie podejrzanéj wartości, rozświetlające w sposób daleko niewątpliwszy sporne teorye. Dostarczyć je, jestto służyć ogólnej sprawie nauki i ludzkości.

Warszawa, 8 lutego 1872.

AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ

W RZECZYPOSPOLITEJ ARGIENTYŃSKIEJ,

p. D. José Marmol.

Przekład z oryginału hiszpańskiego.

(Ciąg dalszy)

CZEŚĆ TRZECIA.

I.

W Montewideo.

Czytelnik zechce nam towarzyszyć w niedługiej wycieczce na północną stronę La Platy, w ślad za jednym z głównych aktorów naszego dramatu; poczem znów uchwycimy wątek historycznych wypadków.

Był to wieczór jednego z ostatnich dni miesiąca lipca.

Niebo La Platy wystroiło się we wszystkie swoje przepyszne klejnoty, a księżyc, niby perła w brylantowej oprawie, srebrne promienie szle na wzburzone fale ogromnej rzeki, które na kilka godzin przedtém zamiatał *Pampero* potężnymi skrzydłami.

Dwieście okrętów kołysze się w szerokiej przystani Montewideo, niby obszerny i gęsty las palmowy, w jesienniej nocy wiatrami wstrząsany i obdarty z liścia.

El Cerro, ten cyklop czuwający na straży przy najmłodziej córce Ameryki, w nocy przy blasku księżyca zdaje się wyżej podnosić głowę, jakby z zabawki gasząc i rozpalając olbrzymią swoją pochodnię.

A tam na widnokregu, od paru godzin na ruchomej płaszczyźnie coś białego majaczy; — czyliż to z pod stopy granitowego strażnika wyleciał jeden z tych morskich gołębi, co od Patagonii brzegów wiatrami pędzone nad południowych mórz wodami, muskają fale przechylając się raz na jedno, raz na drugie skrzydło, to nękają, to znów się ukazują w pośród toczących się bałwanów, aż napotkają maszt okrętowy, albo urwiste skały krawędzie?

To wąta łódka porze zuchwałe nurty tej rzeki co morzu urąga i wyzyw do walki szle mu w dniach rozdąsania i gniewów: mknie szybko po fali i już niedaleka portu. Wojenne okręty rozpoznały wkrótce iż to była *Ballenera* z Buenos-Aires; — tak zwano łodzie przewożące codziennie kontrabandę przez ciąg trwania blokady francuzkiej w tym porcie.

Mały ten odkryty statek niesie tylko czterech ludzi. Dwóch siedzi pośrodku w pogotowiu do zwinięcia wielkiego żagla który łódź pędzi z chyżością ptaka; trzeci przy rudlu, w wełnistej burce i w kapeluszu ceratowym, wzrok od żagla na wodę, z wody na żagiel przenosi; czwarty w gumowym płaszczu i w czapce sukiennej z daszkiem, na ławeczce, o krawędź łodzi oparty, od jednego punktu oczu nie odwraca. Patrzy na miasto, którego gmachy blaskiem księżyca posrebrzone, w kształcie amfiteatru zstępują z pochyłego wzgórza, niby te kamienie mrozem skryształizowane co do brzegów morza Spokojnego Kordyliery Andów pokrywają.

Lecz nietylko uroczy ten widok serce patrzącego pochłania. Łączą się do niego wszelkie wspomnienia jakie w roku 1840 miasto Montewideo w każdym argentyńskim sercu obudzało: Montewideo sprzecznosc żywa i dotykalna w swobodzie i postępie z biednym Buenos-Aires! a co więcej, przywodziło na pamięć całe owo wychodztwo które od lat jedenastu chroniło się na tém pobrzeżu, i wszelkie widoki i nadzieje wyzwolenia Argentyny które na niem wykwiwały, szczepione niestrudzoną w zachodach ręką wygnańców, i wypadkami wyrabiającemi się bezprzestannie w tém szerokim laboratorium, opozycji przeciw Rozasowi, w tém Montewideo, gdzie bez innych środków jak przyzwolenie, w niewielu leciech po-

troiła się ludność, rozwinął do zadziwienia duch handlu i przedsiębiorstwa, i nagromadziły się wszelkie żywioły prawdopodobnie wystarczające do obalenia sąsiedniej dyktatury.

Lecz wyobraźnia ludzka zazwyczaj potęguje wielkość rzeczy i ludzi, w miarę jak je z dalszej widzi odległości; otóż i te rzeczywiste prawdy w przesadnym świetle przedstawia sobie fantazja żeglarza, przypatrującego się miastu z płaszącą po falach łódki.

— „Uczynili się możnemi, bo zjednoczeni, mówił sobie w myśli. Tyr nowy, tam czelka nie pytają z kąd jest, tylko co on umie, i z jakiegokolwiek strony świata przybywa, ustawy krajowe udzielają mu opieki, i handel lub przemysł otwiera mu szerokie wrota, i takim sposobem przyszedli do tego że są silni i bogaci. Dyktatura argentyńska szkodzi ich pokojowi, wolności i handlowi, i wszyscy się zespolili i zgodnie idą przeciw wspólnej zawadzie, i takim postępowaniem rychło zdruzgoczą ten kolos wytworzony z błota i krwi naszych dawniejszych waśni.“

Tak sobie myśli, a promień księżycy oświeca twarz młodą i rozumną, a bystre spojrzenie przebija, rzekłbyś, mury gmachów niedalekiego już grodu, jakby się kusiło śledzeniem mieszkańców sprawdzić swe cnoty, które w tej chwili bujna wyobraźnia im przypisuje, niestety! bardzo odmienne od smutnej rzeczywistości!

— Już wpół do dziesiątej, — rzecze patrząc na zegarek, — czy prędko przybijemy do brzegu, panie Duglas?

— Za chwilę — odpowie od rudła mężczyzna w burce, z wydatnym angielskim akcentem. — Wylądujemy tu na prawo od cytadelli, w przystani gdzie przybijają wojenne statki: korzystając z przypływu morza nie zamoczymy się przy wysiadaniu z łodzi.

W pięć minut wylądowali, i Duglas przewodniczył towarzyszowi po ulicach Montewideo.

Po niejakiem czasie Duglas stanął przed bramą i rzekł:

— Oto ten dom.

— Dobrze; idź pan do gospody *del Vapor*, zatrzymaj dla mnie pokój, i zaczekaj na mój powrót.

— Ale jakże pan wrócisz sam nie znając ulic?

— Ztąd mię odprowadzą. Do widzenia.

Duglas odszedł, a pozostały młodzieniec w gumowym płaszczu stuknął potężnie dwa razy młotkiem w bramę: służący wyszedł otworzyć.

— Czy pan Bouchet de Martigny jest w domu?

— Jest, — odrzekł służący mierząc nieznajomego od stóp do głowy.

— Proszę mu wręczyć to natychmiast, — mówił tenże podając połowę biletu wizytowego.

Służący przyjął ten dziwny przedmiot z pewnym zakłopotaniem, wahając się czy ma zamknąć czy zostawić otworem bramę, gdyż w chwili wydobywania tej kartki z kieszonki od kamizelki,

przybysz uchylając zwierzchnie ubranie, odsłonił parę pięknych pistoletów utkwionych za pasem. Nie śmiał jednakże zamknąć, poszedł ze zleceniem, i po chwili wrócił ugrzeczniony prosząc do pokoju.

II.

Dyplomata francuzki.

Nieznamy zostawił w przedpokoju płaszcz, surdut i pistolety, i wszedł do salonu, gdzie pan de Martigny siedząc przy kominku czytał gazety.

Ajent francuski, człowiek jeszcze młody i dystygowanój powierzchowności, utkwiał badawcze oko w wyrazistą i roztropną twarz młodzieńca, i nie mógł się wstrzymać od objawienia w swojej fizyonomii niejakiego zdziwienia, które nie uszło bystrzej bacności gościa. Sciskając podaną sobie dłoń gospodarza, odezwał się czystą francuzczyzną z uśmiechem:

— Dziwisz się pan widząc tak młodym Twego starego korespondenta? Nie prawdaż, panie de Martigny?

— W tej chwili zadziwia mię jeszcze bardziej trafna przenikliwość pańska. Zgadłeś panie... przepraszam że nie daję nazwiska które jest dla mnie dotąd tajemnicą.

— Lecz od téj chwili nią być przestaje; listy mogły mię narazić, ustne powierzenie się pańskiej dyskrecyi bynajmniej mię nie trwoży. Zowią się Daniel Bello.

Senior Martigny uklonił się grzecznie i usiadł obok siebie przy kominku.

— Niecierpliwie oczekiwałem na pana.

— Widzenie się nasze było umówione na 23 lipca, a to jest data dzisiejsza.

— We wszystkiém podziwiałem zawsze akuratność pańską.

— Panie, polityczne zegary powinny zawsze być dokładnie naregulowane, bo inaczej najprzyjaźniejsze sposobności częstokroć przepadają wraz z czasem który prędko ulata w publicznych sprawach; miałem być w Montewideo na 23ci i jestem, mam być w Buenos-Aires na 25ty o północy, i będę.

— I cóż panie Bello?

— A cóż panie Martigny, bitwa przegrana.

— Ależ nie!

— Wątpisz pan o tém?— zapytał Daniel nieco zdziwiony.

— Nie mamy jeszcze urzędowych szczegółów, lecz według kilku listów mam powód mniemać iż tak źle nie jest.

— A więc pan przypuszczasz wygraną?

— I to nie: myślę że z obu stron napróżno krew przelano.

— Jesteś pan w błędzie, — mówił Daniel tonem tak pewnym i stanowczym, że nim uderzony został umysł pana Martigny.

— Ależ pan nie możesz mieć innych wiadomości jak tylko pogłoski krążące po Buenos-Aires, gdzie wszystko bywa powtarzaniem w świetle korzystnym dla generała Rozasa.

— Zechciej pan sobie przypomnieć, iż od roku dostarczam panu, i jak to musi mu być wiadomem, komissyi argentyńskiej i tutejszej prassie, wszelkich potrzebnych objaśnień, nie tylko o stanie rzeczy w Buenos-Aires, ale także o najtajniejszych sprawach gabinetu Rozasa. Zapominasz pan o tém, przypuszczając iż ja z miejskich pogłosek zebrałem pewność co do wypadku tak wielkiej wagi, o którym obecnie mówimy. Nie miej pan najmniejszej wątpliwości. Bitwa stoczona pod *Wielką Wierzbą* w dniu 16 bieżącego miesiąca była przegrana dla naszych wojsk. Raport generała Echagüe który mam tu z sobą, potwierdzają listy prywatne zaufanej osoby którą mam w wojsku Rozasa.

— Możesz mi pan pokazać ów raport? — spytał p. Martigny nieco zmieszany.

Daniel podał papier, który agent francuzki z wolna rozłożył i czytał stojąc przed kominkiem.

— W raporcie tym, — mówił Daniel gdy gospodarz skończył czytanie, — pełno jest przesady i czelnych przechwałek, znamionujących wszystkie dokumenta tych ludzi. Lecz w gruncie jest prawda: że generał Lavallo przegrał bitwę.

— Jednakże otrzymane listy

— Przepraszam, panie Martigny, ja nie odbyłem podróży z Buenos-Aires do Montewideo dla roztrząsania prawdziwości tego dowodu, gdyż jestem jak najzupełniej o takowej przekonany. Przybyłem w mniemaniu iż tę samą zastanę tu pewność, i że wtenczas będziemy mogli rostrząsać i postanawiać co dalej robić wypada.

— A cóż można robić, panie Bello? — odrzekł Martigny skłaniając się wreszcie do uznania przegranej bitwy.

— Co robić? powiem panu: lecz chciej pan na to zwrócić uwagę, iż pomysły które usłyszysz nie są utworem biednej móżgownicy młodzika, lecz wynikiem samegoż położenia, wypadków, które wymowniej zawsze odzywają się niż ludzie.

— Mów pan, słucham, — rzekł Francuz ujęty stanowczą mową i fizyognomią młodzieńca z której tryskało żywe pojęcie.

— Znanym tu jest stan prowincyi środkowych: wszystkie są w powstaniu; pbrzeżne również oręż do walki podniosły; stan orientalny także zbrojno trzyma się przeciw Rozasowi; Francya rozstawiła silną eskadrę wzdłuż portów i wybrzeży Buenos-Aires. Wszystkie te fakta trwają już jedne od lat dwóch, drugie od roku lub od pół roku. Dobrze: lecz czy przez ten czas postąpiliśmy naprzód lub też cofnęliśmy się na drodze tryumfu nad Rozasem, drodze wspólniej dla Rzeczypospolitej, dla stanu orientalnego i dla

Francyi? — Blokada francuzka z całej swój rościągłości zeszła na to co się znajduje na la Plata wewnątrz jój ujścia do oceanu. Środkowe prowincye nie postąpiły naprzód, a każdy ruch rewolucyjny zatrzymujący się w swoim szybkim pochodzie obraca wszelkie możliwości przeciw sobie. Orientalny oręż rdzewieje na gruncie Rzeczypospolitej, i traci czas na którym zyskuje Rozas. W jednej ze skrajnych prowincyi dyktatura odniosła zwycięstwo które jój posłuży do poskromienia drugiej. — A więc cofamy się zamiast postępować naprzód! — Przyczyna złego bardzo prosta: bo usiłowania pracowników Rozasa nie zwróciły się na Buenos-Aires; tam jest opór i tam powinien być cios wymierzonym. Bitwa stracona, ale nie wojsko, i gdyby generał Lavalle przekroczył Parana i bezwzględnie szedł na Buenos-Aires, i w umówionym dniu i godzinie uderzył na miasto od strony pola, a jednocześnie oddział orientalny włączywszy weń całe argentyńskie wychodztwo tutaj przebywające, wyładował i atakował miasto od *Retivo*, wtenczas Rozas albo musiałby na morze uciekać, albo oddać się w ręce nieprzyjaciela, bo w obecnym stanie miasto nie mogłoby stawić silnego oporu. Gdy stolica będzie wzięta, Echagüe, Lopez, i Aldao nic nie znaczą: potęga Rozasa to sam Rozas, Rzeczpospolita to Buenos-Aires: oddalmy Rozasa, opanujmy miasto, a wojna się skończy.

— Bardzo dobre rozumowanie, i mam sobie za przyjemność uwiadomić pana, iż Lavalle jest tegoż samego zdania co do napadu na Buenos-Aires.

— Przecież!

— Miał je przed bitwą jeszcze.

Oczy Daniela błysnęły radością.

— Oto jest, — rzekł pan Martigny zbliżając się do stołu, — wyciąg z listu pana Lavalle nadesłanego panu Petion głównie dowodzącemu sił zbrojnych francuzkich w Parana. Powiada on iż położenie jego staje się coraz trudniejszym, że liczyć nie może na pokonanie swego przeciwnika Echagüe, i zapytuje pana Petion czy nasze okręty nie mogłyby go przewieźć wraz z dwoma tysiącami ludzi na brzeg przeciwny.

— A więc, — rzekł Daniel, — jeżeli takim było jego zdanie przed bitwą, tém bardziej po stoczonej nie będzie się ościagał. Ale sądziszże pan iż z łatwością uda się skombinować działania jednocześnie o jakich mówiłem?

— Nie tylko łatwém to być nie może, ale jest po prostu niemożliwém.

— Jakto? co pan mówi?

— Tak panie, zapewnie nie możliwém. Pomieniony zamiar generała został rozgłoszonym, a orientalni stronicy Rivery, który bardziej jest nieprzyjaznym Lawallowi aniżeli sam Rozas, okrzyknęli ten zamiar jako zdradę Lawalla przeciwko ich własnym mniemanym planom. Generał Rivera który nie chce położyć kresu rozterkom w Argentynie, nie tylko nie zgodziłby się na to by orientalne siły występowały przeciw Buenos-Aires w porozumieniu z Lavalle,

ale gdyby miał sposób do przeszkodzenia takowemu najściu, użyłby go najniezawodniej.

— Ależ oni poszaleli!

Pan Martigny wzruszył ramionami.

— Poszaleli najoczywiście! — mówił dalej Daniel. — Czyż Rivera nie wie iż w tej sprawie idzie o życie jego kraju więcej jeszcze niż o istnienie Rzeczypospolitej?

— Wie on o tém dobrze. Lecz mniej go to obchodzi aniżeli tryumf Lavalla nad Rozasem. Straszliwe tu jest rozdwojenie pomiędzy pewnym kółkiem oryentalnych zwolenników Rivery a argentyńskiem wychodztwem. Przyjaciele generała wyzyskują jego słabe strony, drażnią go, jątrzą. Oto naprzykład. — mówił p. Martigny biorąc papier ze stolu, — doszedł ręk moich list do Rivery pisany przez pewnego młodzieńca wielce zdolnego, lecz roznamiętnionego w tej kwestyi; między innemi tak się w nim wyraża: „Jesteśmy tu przytłoczeni, poniekąd tyranizowani przez garstkę ludzi: po ich stronie znajdują się także niestety, i oryentalni, którzy tolerują i upoważniają dyskredytowanie kraju, stawianiem na piedestale *zaonych ichmościów* depczących traktaty i zajętych nieprawemi knowaniami i podłą intrygą. Nie jest to przesada, generale, my tu dobrze widzimy, iż ten do kogo to należy, nie zaniedbwa niczego, z wyjątkiem prawdziwych interesów kraju. Widzimy iż fracuzcy ajenci dają tylko ucho argentyńskim wichrzycielom, a z naszej strony nikt się nawet nie pokusił stanąć w pańskiej obronie. Słowem widzimy tu wiele, lecz nie to co widzieć pragniemy. Ton i kierunek nadają tu ci którzy *pójdą sobie zamieszkać w Buenos-Aires*” Widzisz więc pan, — mówił daniel ajent, — iż interesa publiczne miasto kojarzenia się w tutejszych krajach, są w bezustannej rozterce, i rachować nie można jak tylko na częściowe usiłowania każdego stronnictwa. Francya ze swój strony zamierza wycofać się z tej sprawy: instrukcye których się mam trzymać w polityce mają swoje granice, a ufność jaką pokładam w zdolnościach pana Thiers, udaremnia położenie Francyi, która całą obraca uwagę na kwestyę wschodnią, a w naddatku wojna w Afryce nowych nabawia zachodów.

Daniel zbladł jak trup.

— Lecz któż tu rozkazuje w Montewideo? — zapytał.

— Rivera.

— Wiem, Rivera jest prezydentem, ależ on w polu, musi tu mieć zastępcę który rządzi.

— Nie, Rivera sam rządzi.

— A Zgromadzenie.

— Nie ma Zgromadzenia.

— Ależ jest lud?

— Ludy jeszcze nie mają głosu w Ameryce: jest Rivera a oprócz niego nikt. Kilka jest wyższych osobistości, jak Vasquez, Munioz i t. d., i wiele niższych którzy obsaczyli generała Rivera i buntują go przeciw tamtym za to iż tamci sprzyjają Argentynom.

Podniosła się kortyna nowój widowni przed oczyma Daniela. Nigdy mu przez głowę nie przeszedł nawet cień tych rzeczywistości jakie mu pokazywał Martigny. On, którego złotem marzeniem było stowarzyszenie się w polityce a następnie we wszystkim, on, który wierzył dotąd iż Montewideo ze wszystką ludnością stanowiło jedno tylko ciało z jedną duszą polityczną dla zwalczania Rozasa; on, który sądził iż przybywa do miasta gdzie interesa narodu potężniejszy głos mają aniżeli interesa głów i kółek, — na jeden raz ujrzał jak wszystkie jego złudzenia parą się rozwiały, i inna mu nie pozostała nadzieja na obalenie dyktatury, jak tylko w ostatecznym wysiłku wojska Lavalla: — krucjata bohaterów lub męczenników!

Po chwili bolesnego rozmyślenia rzekł:

— Panie Martigny, nie zwykłem czasu tracić nad roztrząsaniem faktów spełnionych. Skoro więc rzeczy tak stoją, niema już co myśleć o współdziałaniu Rivery. Lecz ponieważ Lavalle jest tego zdania żeby do naszej wkroczyć prowincyi, należy wszelkimi siłami starać się go nakłonić by to uczynił w punkcie najbliższym stolicy. Niech bezwzględnie ku niéj postępuje, nie zatrzymując się tylko tyle ile potrzeba na rozbicie słabych sił jakie Rozas ma w téj prowincyi. Niech uderzy na miasto i tam rozstrzyga o życiu lub śmierci ojczyzny. Sama śmiałość tego napadu zbudzi u nas reakcyę. Ja z setką moich przyjaciół obowiązuję się wystąpić najpierwszy na ulicę dla utorowania drogi oswoobodzicielom, i opanować park, fortece, lub jakikolwiek punkt który mi będzie wskazanym.

— Dzielnym jesteś mężem, panie Bello, — rzekł Martigny ściskając mu rękę, — lecz pan wierz, że urzędowe moje stanowisko nakazuje mi wszelką oględność w chwilach tak niepewnych, że względem działań takiego rodzaju mógłbym tylko moje osobiste zdanie Lavallowi objawić. Mogę atoli coś nadto uczynić: pomówię z niektórymi osobami z komisyi argentyńskiej, i dobitnie im przedstawię według pańskich przekonań, prawdopodobne korzyści szybkiego napadu na stolicę.

— Tego tylko pragnę, panie, na tém wszystko zależy.

Pan Martigny chciał mówić dalej, gdy wtém wszedł służący i oznajmił panow Agüero i Varela.

— Prosić, — odpowiedział pan Martigny.

— Odchodzę, — rzekł Daniel.

— Owszem, zostań pan.

— Słówko tylko: znam jedynie rozum i zdolności tych panów, lecz mogę być pewien ich ostrożności?

— Bądź pan spokojny, ręczę za nich.

— W takim razie nie mam potrzeby taić przed niemi mego nazwiska, gdyż polegam najzupełniej na pańskim zaręczeniu.

III.

Zdala i zbliżka.

Po raz pierwszy w życiu Daniel doznawał pewnego rodzaju nieśmielenia, zabrakło mu pewności siebie, za wejściem dwóch nowych postaci, których nazwiska głośnieji się stały, jedno wśród wypadków jakie zaszły w Rzeczypospolitej od 1821 do 1829, drugie w obecnej tak ważnej epoce: — jeden jako mąż stanu, drugi jako literat; jeden, żywe uosobienie stronnictwa unitaryuszów; drugi, śródokujący pomiędzy owym stronnictwem a nowym pokoleniem, które nie stawało ani w imię federacyi ani w idei unii, a do którego wiekiem i zasadami należał Daniel.

Tradycya ludowa powiększająca zazwyczaj ludzi i rzeczy w miarę upływu lat, z jednej strony, z drugiej duch stronnicy, w ostatku nieszczęście pod któremi runęło i szamotało się przez lat tyle to dumne stronnictwo wytworzone w rządzie Las Heras'a, uorganizowane pod prezydenturą, na kongresie świetne i wyniosłe, i ocalone lecz niezwykione wśród gruzów prawodawczej świątyni, którą wznieść umiało ale nie potrafiło utrzymać; wszystko to przyczyniało się do otoczenia go szczególniejszym urokiem. Sławne imiona tego stronnictwa krążyły pomiędzy młodzieżą z najprzesadniejszymi dodatkami, z których się naśmiewali starzy federaliści. Lecz żywo one wrażały się w młode wyobraźnię, tak pochopne ku dawaniu wiary wszelkiej epopei i narodowej kronice, skoro takowe chwałę ojczyzny opowiadają, lub apoteozują tych co dla niej na rusztowanie albo na plac boju życie ponieśli, i tych również co dla niej cierpieli świętą niedolę wygnania, której jak najchlubniejszej sławy zazdroszą ludzie w tym wieku, gdzie każde nieszczęście jest poetycznym laurem na skroni.

Dla tego więc imiona dawnych wychodźców z 1829 roku przedmiotem były czci i poszanowania dla młodzieży Buenos-Aires, nie tyle za to co już uczynili, jak za wszystko co w mniemaniu opinii powszechniej zdolni byli uczynić, kiedy dzień odrodzenia argentyńskiego nadejdzie.

Prowodawstwo, literatura, polityka, wszystko miało swoich wzniosłych przedstawicieli w wychodźstwie. A młodzież w szczerocie ducha właściwej swojemu wiekowi, wierzyła iż z ust tych mężów nie wychodziło ani jedno słowo któreby nie było wyrocznią, prawem, w literaturze, polityce i umiejętnościach. Wszyscy pałali żądzą poznania zbliżka tych pomnikowych postaci argentyńskiej chwały, każdy z drugiej strony lękał się zetknięcia z niemi w politycznych sprawach, nie śmiałyby ust w obec nich otworzyć w głębokim przekonaniu o niewątpliwiej swojej niższości. Taką była w epoce którą opisujemy powszechna argentyńskiej młodzieży wiara.

Silny i niezależny umysł Daniela nie tak łatwo dawał się porywać prądowi opinii. Wszelako mniej więcej zostawał pod tymże co inni urokiem, i nie mógł się otrząsnąć z pewnego rodzaju wrażenia całkiem mu nowego, czuł się niejako upokorzonym, gdy po pierwszy raz w życiu stanęli przed nim, Don Julian Agüero minister z czasu pana Rivadavia, i Don Florencio Varela, brat wieszczki klasycznego tegoż imienia, i jeden z najpierwszych literatów licznego i świetnego zastępu unitaryuszów.

Szybkiem spojrzeniem obrzucił te dwie postacie.

Don Agüero miał około siedemdziesięciu lat, średniego wzrostu, nie otyły, lecz silnej i muskularnej budowy ciała. Cera biała w młodości potemniała z laty. Twarz jego ostra i chmurna, oczy zagłębione pod brwią siwą, gęstą i wystającą, lecz z żywej źrenicy wybiega spojrzenie pewne i przenikliwe. Czoło znakomicie wysokie, bez żadnej zmarszczki, a z tylniej części głowy trochę białych jak śnieg włosów zbiega się na przodzie czaszki zupełnie ołysiałej.

Senior Varela przedstawiał typ całkiem sprzeczny z poprzednim. Wysoki, szczupły, fizygnomia blada, ożywiona i otwarta, ciągły uśmiech na ustach świadczy o łagodnym usposobieniu, a wyraz szczerości na twarzy ręczy za rzetelność tego uśmiechu. Oczy małe lecz żywe i rozumne, czoło nie wysokie lecz wypukłe przysłonięte rzadkim ciemnym włosem spadającym na skroń kościstą: wszystkie rysy znamionujące raczej usposobienie poety aniżeli polityka. Takie wrażenie odniósł Daniel na pierwszy rzut oka.

— Panowie, — rzekł p. Martigny po przyjaznych powitaniach, — będę miał zaszczyt przedstawić wam dawnego przyjaciela naszego, którego dotąd wszakże nie widzieliśmy nigdy. Jest to współrodak panów.

Daniel i nowo przybyli skłonili się sobie wzajem. P. Agüero zachował zwykłą sobie powagę, Varele przeciwnie wyrazistym uśmiechem zdawał się okazywać zadowolenie, i spytał:

— Możemyż wiedzieć nazwisko tego pana?

— Nie wiele się ztąd dowiecie; raczej dla wyjaśnienia rzeczy ja się panów zapytam czy znacie to oto pismo? — odrzekł p. Martigny biorąc list z biórka i podając go panu Varele.

— A! — zawołał tenże, żywe spojrzenie przenosząc z listu na twarz młodzieńca.

— Ten pan jest naszym dawnym korespondentem, którego tak ceniliśmy i pragnęli poznać, — dodał gospodarz.

Pan Varela położył list, nie mówiąc ani słowa, postąpił ku Danielowi i przycisnął go długo do piersi. Każdy z tych dwóch młodych ludzi, Varela bowiem nie miał jak trzydzieści trzy lat wieku, wychodząc z objęć wzajemnych, bledszą miał twarz niż zwykle i wzrok zaćmiony: każdemu z nich zdawało się że ojczyznę do serca przytulił.

Senior Agüero mocno ścisnął rękę Daniela, a potem z niezmiernym spokojem i powagą usiadł przy kominku, gdzie zaraz wszyscy obok niego miejsca zajęli.

— Byłeś pan prześladowanym? — spytał Varele.

— Na szczęście nie, i obecnie jestem dosyć dobrze od prześladowań w Buenos-Aires zabezpieczonym.

— Przecież pan emigrowałeś? — pytał dalej Varele tonem zdziwienia, podczas gdy Agüera patrzył w ogień i laseczką którą trzymał w ręku stukał sobie po bucie.

— Bynajmniej panie, przybyłem tu na kilka godzin i wracam jutro.

Pojmując zdziwienie swoich gości, pan Martigny wyjaśnił powody umówionego przybycia i środek za pomocą którego mógł poznać niewiadomego korespondenta, to jest poślaną mu połowę biletu z nazwiskiem francuzkiego ajenta; poczem dodał:

— Znając ogłędność panów objawię iż widzicie przed sobą pana Daniela Bello. Po dzisiejszym wieczorze nazwisko to powinniśmy na jakiś czas zapomnieć.

— Panie Bello, — rzekł Varela, — oddawna ceniliśmy i podziwiamy pana. Oddajesz wielkie usługi naszemu krajowi przez znoszenie się bez przerw z tymi którzy nad wyzwoleniem jego pracują. Lecz właśnie dla tego czuję się upoważnionym ostrzedz pana, iż się wielce narażasz powrotem do Buenos-Aires po wydalaniu się z niego chociaż na niewiele godzin.

Niedający się określić wyraz fizyognomii i gest Daniela starczyły za najwymowniejszą odpowiedź, którą możnaby streścić w tych słowach: mniejsza o mnie, nie mówmy o tém.

— Cóż słyhać? — pytał Varela zrozumiawszy tę odpowiedź, — co nowego? Prześladowania idą swoim trybem?, były nowe jeszcze ofiary?

— Były... i liczne.

Senior Agüero podniósł oczy na Daniela, popatrzał chwilę, i znów wzrok utkwiał w ogień na kominie.

— Masz pan tu listę, — mówił Daniel podając ją panu Varele, — dwudziestu sześciu uwiezionych w ubiegłym tygodniu.

Varela odczytał głośno, Agüero spytał:

— Czy wiadome są powody tych aresztowań?

— Powiadają to i owo; ale powodów ani pozorów nie trzeba: rozstrzelano przed tygodniem starca w Buenos-Aires nie mówiąc wcale za co. Lecz przyczyny wszelkich tych bezprawii wyluszczone mieliście panowie w całej mojej korespondencji od maja, gdyż od téj daty rozpoczęły się dla kraju naszego czasy, które kiedyś zwać będą opoką *terroryzmu*; bieg jój rozwija się w miarę postępu wypadków politycznych, a ostateczne jój i najstraszliwsze ciosy wymierzy Rozas skoro tego będzie widział potrzebę.

— A więc pokazuje się iż jest przyparty do muru? — odrzekł Varela.

Senior Agüero potwierdził kiwnięciem głowy, nie odwracając oczu od płomienia i kreśląc szybkie kółka laską w powietrzu.

Nie uszedł baczności Daniela ten gest przytakujący. Odrzekł natychmiast:

— Przeciwnie, panowie, polityczne jego ciało ma się gdzie roz-pierać do woli, i właśnie dlatego w ten sposób sobie poczyną. Tu-tejsze peryodyczne pisma dały mi już poznać, iż w przekonaniu panów Rozas wtenczas się pastwi straszliwiej, kiedy mu większe zagraża niebezpieczeństwo, i mam sobie za obowiązek powiedzieć, iż się w tém panowie najzupełniej mylicie.

Senior Agüero spojrzął na Daniela: nie podobał mu się wyraz *mylicie się*.

— Przecież trudno przypuścić ażeby tryumfy jątrzyły czło-wieka, — odezwał się Varela.

— Zapewne; lecz jeżeli Rozasa nie jątrzą tryumfy, nie drażnią go również kłębki, nie działa on nigdy z rozjątrzenia. Dyktatura jego jest rozmyślna, wszelkie zamachy obrachowane. Nie chodzi mu o zabicie tego lub owego, lecz gdy z wyrachowań jego wypadła potrzeba aby krew popłynęła, wtenczas mu cały obojętny rodzaj lub nazwisko ofiary.

Postawiwszy sobie za punkt wyjścia ten system, przerzuj pan pamięcią całe jego postępowanie od lat trzech, a znajdziesz iż w chwili groźnej dla siebie nigdy on uciemiężonych nie doprowadza do ostateczności. Owszem posługuje się nimi jako żywiołami przydatnymi mu do ugruntowania się, a skoro tylko pozbędzie się niebezpieczeństwa, wtenczas uderza w prawo i w lewo, ażeby się nie wbili w pychę że mu byli oparciem.

Takim go pan zobaczysz w każdój fazie naszej sprawy, takim jest i dzisiaj, kiedy zagrożony zdala niebezpieczeństwem daje przed-wstępne próbki straszliwego ciosu, którym uderzy, skoro tylko los mu przyjaźniejszym się stanie: tu i owdzie zmiata jaką głowę, jakie prawo, w miarę jak korzyść jakąś sobie zdobyć potrafił.

Istota Daniela była rzecz można krzemieniem, a dyskusya stała iskry wykrzesującą: rozgrzewając się mową tracił ową lękli-wość która go była na wstępie opanowała, w zapale dowodzeń odzy-skiwał jedrność umysłu i jasność pojęć.

— A jednakże dziś staje się zupełnie sprzecznie z twierdze-niem pana, — odrzekł Varela, uprzejmym uśmiechem łagodząc według swego zwyczaju dotknięcie miłości własnej drugiego, przy wy-kazaniu mu jego błędu. Dziś Rozas władzą swoją gnębi, więzi i morduje, sam pan powiadasz, a robi to w chwili gdy wojsko jego poniosło porażkę.

Senior Agüero potakując głową, łaską żarzewie dotykał. W jego mniemaniu Varela, jeden z jego ulubieńców, z posady obalił rozumowanie tego młodzika który powołał się myśleć inaczej jak myśleli panowie Agüero i Varela. Bowiem dawniejsi czy to uni-taryusze czy federaliści podobni byli do siebie zupełnie w śmiesznej arystokracji z jaką stawiali się względem młodszych.

— W tém się pan mylisz, — odrzekł Daniel, — wszy-stkie te bezprawia spełnionemi zostały w kilka godzin po doj-

ściu do Rozasa wiadomości o dobrém powodzeniu jego oręza pod *Wielką Wierzbą*.

— Przepraszam, to pan jesteś w błędzie, bo Rozas bynajmniej zwycięstwa nie odniósł.

— Przed chwilą czytałem rapport o téj bitwie, — wtrącił Martigny — znasz go pan?

— Rapport ogłoszony przez Rozasa odebraliśmy przed trzema godzinami, i właśnie z tego powodu przybyliśmy tutaj dla pomówienia.

— Maszże pan jaki zbijający go dokument?

— Przeczytaj pan, — rzekł Agüero zwracając głowę do towarzysza.

— Zobacz pan, — mówił Varela wyjmując papiery z pugilaresu, — czy może być w jaśniejszy sposób dowiedzionym fałsz owego rapportu, jak w tym oto artykule który jutro będzie drukowanym, a który właśnie otrzymaliśmy w komissyi.

Daniel uważnie słuchał czytania i własnym uszom nie wierzył.

Każdy ustęp, każdy niemal wyraz rapportu wzięty był na tortury z niezblaganém postanowieniem wydobycia z niego siłą czy podstępem innego znaczenia niż to, w jakim był nakreślony.

Młodzieniec wyjść nie mógł z podziwu na widok dwóch znakomitych umysłów uporczywie siłących się wmówić w siebie i w drugich że nieszczęsna i dowiedziona prawda była fałszem. Dziwiło go tém niewymowniej ich zaślepienie, w którym samą tylko siłą argumentacji fakt obalić niemali możebném. Nie było w tém jednak nic dziwnego. Daniel nie był wychodźcem, nie znał tego życia złudzeń, nadziei omamień fantazyi, które samowładnie opanowują najwyższe inteligencye w chwilach gdy je gorączka wolności rozstraja, gdy żyją w marzeniach tryumfu dla sprawy na której ołtarzach z całą duszą wiarą złożyli swoje szczęście, spokój, obecność i przyszłość żywota swojego. Nadto Daniel nie był unitaryuszem. w ścisłym znaczeniu tego wyrazu określającym stronnictwo rivadavista, i nie pojmował całej pychy członków tego stronnictwa, pychy która przyspieszyła ich zgubę.

— Jeżeli tego nie dosyć, — dodał Varela, — posłuchajcie panowie ustępu z dziennika utrzymywanego w wojsku, a który dopiero co ręk naszych doszedł.

Dziennik szczegółowo wymieniający ruchy oddziałów, obfitujący we wnioski pożądaných korzyści z każdego obrotu przed bitwą, w opisie tejeż unosił się nad odwagą wojsk Lavalla, nadmieniał tylko że się cofnęli, bo Echagile zajmował pozycję obronną wpośród parowów, z której go wyrugować niepodobna było.

Po odczytaniu zapanowała cisza w pokoju. Przerwał ją Daniel :

— A więc panie Varela...?

— A więc co? — podchwycił szybko senior Agüero, zżymnięciem ramion dając poznać nieukontentowanie i nieco impertynenckie lekceważenie.

Daniel z pomocą swojej wprawy w panowaniu nad sobą pokromił na twarzy wybite się wrażenia sprawionego przez te ofuknięcia, i potrafił zachować takt nieodzowny w rozprawie z tak dostojnymi figurami, z którymi widział że mu przyjdzie stoczyć ciężką utarczkę. Odrzekł więc spokojnie :

— Chciałem powiedzieć iż nie przyjmuję wniosku wyciągniętego z obu tych dokumentów.

— A przecież on aż nadto jasny, — odparł senior Agüero.

— Być może, lecz co do mnie powtarzam iż go nie rozumiem.

Varela pospieszył wtrącić się w rozmowę.

— Wszystko to, kochany panie Bello, dowodzi prawie stanowczo, iż bitwa nie była wygraną dla żadnej strony... w najgorszym razie.

Daniel przygryzł wargę.

— Panowie, — rzekł powstając z błyszczącym i śmiałym wejrzeniem, — bitwa była przegrana dla generała Lavalla. Czyż cofnięcie się jego w dniu bitwy z pozycji zajmowanej przed rozprawą przez tyle czasu nie jest już samo tryumfem dla nieprzyjaciela. Nie chcemy faktów obalać argumentacją, strzeżmy się mierzyć wypadki miarą pragnień naszych! Na nieszczęście mam niezbite dowody iż prawdą jest co utrzymuję. Lecz pocóż się mamy spierać? nic te rzeczy nie odmieni, zostanmy każdy przy swoim przekonaniu, a zastanówmy się raczej nad tem, co we wszelakim razie robić nadal potrzeba. Otóż czy nasze wojska zwyciężkie są, czy pobite, jedyny sposób doprowadzenia skutecznie naszej sprawy do końca jest wkroczenie ich jak najrychlejsze do prowincyi Buenos- Aires. Myśl ta powinna być dzisiaj dla nas wszystkich zadaniem każdej godziny, każdej minuty. Nikt nie może tyle wpłynąć na skłonienie do tego kroku Lavalla co panowie, a ponieważ od takowego zależy istnienie naszego kraju, mniemam iż nie zechcecie stracić ani chwili i całych usiłowań dołożycie na poparcie tego planu. Darujcie mi panowie że się tak do was odzywam, wiercie iż tylko miłość dla wspólnej ojczyzny daje mi odwagę do wynurzenia mojego zdania w obec panów.

Varela był ujęty, zachwycony wzrok jego, oblicze łagodne i wyraziste mówiły ile w nim wzbudzała zadowolenia ta żywość uczucia w młodym współziomku.

Pan Martigny zacierał ręce, kontent w duszy.

Senior Agüero dwukrotnie podniósł dumne czoło i popatrzał na twarz tego młokosa, który nie będąc unitaryuszem śmiał tak zuchwale objawiać swoje zdanie, jakby dyktując im co powinni byli czynić.

— Panie Bello, — rzekł Varela — generał Lavalle działa w polu według swoich idei, ma swoje plany wojenne; cóż chcesz żebyśmy ztąd mówili?

— Oh! panie, najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze kampanie wielokrotnie ukartowane bywały i pokierowane z głębi gabinetów, przez ludzi którzy nigdy w rękę nic innego prócz pióra niemiewali,—

odparł Daniel domyślając się po części, iż w odpowiedzi którą usłyszał było coś niedomówionego, o czém nie wiedział a coby wiedzieć powinien. I nie mylił się.

Varela był całą duszą szczerym i otwartym, odrzekł więc z pewnym przyciskiem:

— Zapewne, drogi panie; lecz co się tyczy Lavalla, on sam tylko po swojej myśli postępuje, jedynie po swojej.

Danieli przymknął powieki i silnie potarł ręką czoło.

Zrozumiał Varela co się w umyśle młodzieńca działo i dodał pośpiesznie:

— Jakikolwiek atoli ma plan Lavalle co do działań w prowincyi Buenos-Aires, niema wątpliwości iż mu się powiedzie; nie spotka oporu, bo wszyscy wybiegną naprzeciwko niego. Czyż wątpić można, iż równie na wsi jak w mieście kto żyje powstanie przeciw Rozasowi? Pan co przybywasz z Buenos-Aires nie jesteś pewnym, że lud w ramionach zdusi władzę Rozasa, skoro tylko zasłyszysz o zbliżaniu się wojska?

— Nie, panie, bynajmniej tak nie jestem przekonany — odrzekł stanowczo Daniel.

— Ależ to co pan mówisz, — odparł Varela nieco surowo — nie zgadza się z patryotyzmem naszych współziomków, a nade wszystko z ich okropnym położeniem, z którego pragną się wyswobodzić?

— Panie Varela, zdaje mi się iż niekorzystne wrażenie po sobie tu pozostawię; przykro mi to niewymownie, lecz wolę się na to narazić raczej niż lekkomyślnie w rzeczach tak wielkiej wagi potwierdzać zdanie bynajmniej nieuzasadnione. Wypowiem całą nagą prawdę, chociaż ona wasze najpiękniejsze obali nadzieje. Otóż w naszym mieście ludzie się nie poruszają, chyba aż usłyszą, biorąc dosłownie, szcęk broni oswobodzicieli u drzwi swoich mieszkań; albo gdy ze stu ludzi gotowych na wszystko, jacy może tam pozostali, pójdą od domu do domu wyciągać mieszkańców, aby szli przyłożyć się do obrony samych siebie i kraju!

— O! to nie do uwierzenia! — zawołał Varela, a senior Agüero gwałtownie kręcił laską, gdyż niecierpliwość zaczynała prze magać w nim nad zwykłą flegmą.

— Trudno uwierzyć a jednak tak jest niezawodnie, — mówił dalej Bello. — Nie szukaj pan wytłumaczenia tego moralnego zjawiska w mniejszym lub większym stopniu patryotyzmu albo odwagi; nie: ani się zmieniło usposobienie naszych ziomków, ani duch ich jeszcze się nie wyrodził. Inna istnieje przyczyna moralna, która ich poddaje bezwładnych podjarzmo dyktatury, a tą jest indywidualizm. Widzę że się pan Agüero uśmiecha, lecz ja mam tak głębokie przekonanie o tém co mówię, iż się nie cofnę nawet przed zarzutem, jaki ten uśmiech w sobie zawiera.

— Mylisz się pan, to nie jest zarzut — odparł minister prezydentury.

— Wielce mi to pochlebia, panie Agüero.

— Mów pan dalej, mów, — zawołał niecierpliwie Varela.

— Powtarzam, iż takie jest jedyne źródło odgrętwienia naszych ziomeków. Rozas zaprowadzając swoje rządy nie zastał warstw społecznych, lecz tylko jednostki. Skorzystał z tego stanu rzeczy, do wyzyskania takowego porobił sobie narzędzia z indywidualnego zepsucia, ze zdrady prywatnej, ze szpiegostwa sługi nad panem, słabego nad silnym, przedajnego nad uczciwym. Wprowadził tym sposobem obawę i nieufność wśród klas napozór solidarnych, i nawet aż w obrębie rodzin. Mieszkaniec Buenos-Aires podejrywa każdego, bo w nikim niema ufności, i na tej drodze jaką wypadki w tym roku idą, niedługo ujrzymy rozluźnione nawet węzły natury: brat będzie się lękał brata, mąż nie zwierzy się żonie. Zagrzmi działo w naszej twierdzy, dzwon na trwogę uderzy, na placu *Victoria* podniesie się okrzyk: śmierć Rozasowi!, a każdy mieszkaniec zamknie się w domu i będzie czekał aż sąsiad wyjdzie pierwszy dla sprawdzenia co się stało.

Varela zasłonił twarz rękami. Po chwili milczenia odezwał się znów Daniel:

— Bolejesz pan nad tém, jak każde serce szlachetne i kraj miłujące; lecz zostawmy na boku serce, a zwróćmy się jedynie do rozumu. Ten nam powiada iż takowe zle jest następstwem przyczyn o wiele dawniejszych od Rozasa, wcielonych w społeczeństwo, wśród którego zrodziliśmy się, a na jakie nie zwrócili uwagi najpierwsi nasi polityczni lekarze. Daremnem byłoby chcieć z niego wyleczyć dziś na razie, trzeba radzić co się da mimo niego zrobić! Otóż w krótkich słowach powtórzę co przed chwilą panu Martigny obszerniej wyłożyłem. Przy takim mieście usposobieniu, jeżeli Lavallo będzie się zabawiał na prowincyi, nie wiele sobie można tuszyć powodzenia; lecz jeśli bezzwłocznie ruszy na stolicę, uderzy na nią, stoczy bój śmiertelny z Rozasem na bruku miasta: wtenczas dla niego wszelkie prawdopodobieństwo tryumfu, albowiem po pierwsze: dyktator niema w mieście wojska liniowego, a potwóre: nagły najazd i obecność oswobodzicieli wywoła ogólną reakcyę; skoro każdy na własne oczy ujrzy, że Lavallo tam jest i że połączeniu się z nim nie stoi na zawadzie obawa szpiegostwa i pozostania pojedynczo samemu. Gdyby do tego zamachu udało się ukartować jednoczesne wylądowanie sił orientalnych albo przynajmniej argentyńskich wychodców, wówczas prawdopodobieństwo wygranej dosięgłoby szczybla niezawodnej pewności. Takie są moje idee, i taki główny cel mojej podróży; objawieniem panom rzeczywistego stanu naszego kraju, obalić najpiękniejsze wasze nadzieje, a w zamian wskazać wielkiej wagi rękojmię powodzenia. Teraz wracam do Buenos-Aires, gdzie wespół z niektórymi z moich przyjaciół usiłujemy torować drogi dla możebnych wydarzeń! Może już się nie zobaczymy....., kto wie! Chwila to przesilenia dla naszego kraju: jeżeli nasz oręż zwycięży, wtenczas, panie Va-

rela, spotkam cię pierwszy z otwartými ramiony; w razie niepowodzenia, może w niebie się spotkamy.

Uśmiech pełen szczeroty nie pokrył zupełnie cienia smutku, który się rozlał na wyrazistój twarzy młodzieńca.

Pan Vavela był wzruszony, pan Agüero zamysłony; pan Martigny powstał i lekko dotykając ramienia Daniela, rzekł:

— Jeżeli Opatrzność nie zechce odwrócić oczu od waszego pięknego kraju, będziesz pan żył długo, bo głowa pana dlań potrzebna.

— Jednakże bardzo się boję że się ona Rozasowi dostanie, — odrzekł Daniel z uśmiechem, ściskając rękę Francuza i biorąc za kapelusze.

— Zobaczmy się jutro, o której pan chcesz godzinie? — spytał Varela ujmując jego dłoń.

— Nie, panie, to nie możebne. Jutro jeszcze mam się z kimś widzieć, a wieczorem opuszczam Montevideo. Zobaczmy się w Buenos-Aires.

— Tak, tak, niezawodnie! — odrzekł Varela obejmując go w objęcia.

On go pojął, podzielał jego myśl, i dwie te dusze wielkie i szlachetne jakby się chciały związać z sobą na zawsze bratnim uściskiem w tych dniach boleści i nadziei...

— Bądź zdrow a pisuj do nas jak dawniej.

— Zawsze, zawsze. Żegnam, panie Agüero.

— Panie Bello, do widzenia w Buenos-Aires, — odrzekł chmurny starzec silnie ściskając rękę młodzieńca, który następnie wyszedł do przedpokoju odprowadzony przez uprzejmego gospodarza.

Żegnając się z nim poprosił go jeszcze o list polecający na jutro do pana Vasquez i o służącego, któryby go odprowadził do gospody *del Vapor*. Ze swój strony przyrzekł korzystać z każdej sposobności by szczegółowo zawiadamiać o położeniu Buenos-Aires, pokładając zupełną ufność w szlachetnych chęciach i czynném poparciu zacnego ajenta Francyi.

IV.

Głos publiczny.

W roku 1840 kawiarnia *Don Antonio* była polityczną giełdą Montewideo. Od godziny siódmej do jedenastej wieczorem schodzili się z kolei goście na kawę lub na wieczerzę, na grę i na gawędę o polityce.

Była to złota epoka dla Montewideo: rzekłbyś że drogi kruszec zbytecznie ciążył w kieszeniach mieszkańców orientalnój sto-

licy, i szukali miejsca gdzieby go rozsypywać pełną garścią, obojętni na straty zarówno jak na uśmiechy fortuny; — wiedzieli bowiem że dzisiaj do dna wypróżniona sakiewka, jutro się bez wielkiego napełni trudu, w tych dniach ruchu i bogactwa Montewideo.

Nazajutrz po dniu opisanym w poprzedzającym rozdziale, o godzinie siódmej kawiarnia pełna była gości, po większej części młodzieży argentyńskiej i orientalnej, którzy po kawie i politycznej gawędce rozchodzili się na wizyty, do teatru, na tańczące wieczory; pierwsi ciesząc się nadzieją iż w następnym miesiącu będą w Buenos-Aires; — drudzy bardziej jeszcze ucieszeni że się we własnym znajdują kraju, mocno przekonani iż z niego nie wygna ich nigdy rewolucyjna burza, co wściekłemi skrzydły siekła gromadzące się nad głową La Platy chmury, brzemienne ulewy łez i krwi. Później czy prędzej zerwą się upusty i luną potoki straszliwe: lecz teraz jeszcze nikt nie przewidywał. Stolica Orientalnej Bandy była w wiosnie życia, piękna, radosna, pyszna; śniła bez przerwy w raju ułudnych nadziei dla swojej przyszłości, strojna w zbytckowne szaty obecnej doby. Depcząc po złocie, olśniona szkarłatną łuną zarania wschodzącego na wspaniałym horyzoncie, co się nad jęj dziewiczą roztaczał skronią, ucha nakłaniała tylko na pieśni swoich poetów, na szczere pochlebstwa pyszniących się nią synów. Ta smutna prawda co życie społeczne rozczłonkuje dla wyśledzenia w sokach żywotnych pierwiastków przyszłego istnienia, prawda ta była zbyt surową, zbyt szorstką dla słuchu krasawicy młodej, która pełna tój szlachetnej zarozumiałości młodocianego narodów wieku, śpiewała sobie :

Na wroga mam włócznie Marsa,
Brutusa sztylet na tyrana . . .

W jednym kącie salonu kawiarni, dwóch ludzi usiadło przy małym stoliku. Jeden w płaszczu gumowym, którego wysoki kołnierz zakrywał go aż po uszy, w kapeluszu nizko na brew nasuniętym, pił herbatę z twarzą zwróconą ku środkowi sali. Drugi w czapce i w błękitnej wełnistej burce, bawił się wyciskaniem łyzeczką krążków pomarańczy w stojącej przed sobą szklenicy ponczu.

Obydwa milczeli.

Na prawo i na lewo przy różnych stolikach, jedni grali w domino, drudzy kawę pili, lub paląc cygara zabawiali się rozmową.

Otworzy się drzwi i cztery nowe osoby weszły do kawiarni. Oczy gości w gumowym płaszczu błysnęły radością. Wzrokiem wiódł za nimi jakby się nie mógł nasycić patrzeniem na ich oblicza i szeptał z cicha :

— Alberdi, Gutierrez, Irigoyen, Echeverria! (1)

(1) Współczesneliterackie znakomitości argentyńskie.

— Znasz ich pan? — zapytał towarzysz w burce.

— O tak! i wierzaj mi panie Douglas, nie wiele razy w życiu zmuszony byłem walczyć z tak silną pokusą jak w tej chwili... tak radbym ich uściskać!

— Dajże pokój, panie Danielu, pomnij że za chwilę mamy ruszyć w drogę...

— Bądź pan spokojny, — odrzekł Daniel podnosząc wyżej kołnierz płaszcza, i w tej chwili dał znak milczenia, gdyż towarzystwo cygarowe przy sąsiednim stoliku na prawo, wszczęło rozmowę za wejściem nowo-przybyłych.

— To Argentyni, — rzekł jeden.

— Alboż potrzeba mówić? Ich tylko pełno na wszystkie strony, — odrzekł drugi.

— Przez nich to żyjemy, tak jak żyjemy.

— Święta prawda.

— Że się z sobą porozumieć nie możemy.

— Czekaście, niech-no wróci stary, — mówił wojskowy z siwym wąsem.

— Nie wiesz pan kto się nazywa *stary*, panie Douglas?

— Rivera, — odpowiedział z cicha Douglas na równie ciche zapytanie.

— Co nas ma obchodzić Rozas, — mówił znów inny. Gdyby nie oni nie mieliśmy wojny, bo Rozas nic do nas nie ma.

— To prawda!

— Tylko oni z Francuzami pospołu robią ten cały zamęt a potem wrócą sobie do swego kraju a nas zostawią w tym błocie. Argentyni, to dosyć! Gdyby ich tu nie wpuszczono, byłoby nam daleko lepiej. Ale to stary, wszystkiemu stary winien!

— To też mu zapłacili! Patrzenie ich teraz, wściekają się na niego, że nie przeszedł przez Uruguay i nie daje się zabić za nich.

— Jeszczeby tego brakowało!

— A teraz powiadają że Francuzi żądają od niego zwrotu stu tysięcy *pesas*, które mu dali ażeby rzekę przeszedł.

— Nie przeszedł i dobrze zrobił, bo z temi Argentynami nikt się nie zgodzi, a stary miałby się tam poddać pod rozkazy Lavalla?

— Oczywiście.

— A teraz źle im bez niego. Diabli ich wzięli pod *Wielką Wierzbą*.

— Ba, oni tu wszyscy utrzymują że to fałsz.

— A tak, bo oni panami dziennikarstwa.

— Żebym ja był rządem i pozwolił im tu zakładać dzienniki!

— A, bo mają tutaj protektorów.

— Jak Vasquer naprzykład.

— I wielu innych.

— Rozumie się, Orientalów z nazwiska!

— A jakże, wychowali się tam, pomiędzy tamtemi!

Rozmowa toczyła się dalej w tym samym duchu i tonie.

Daniel nie mógł wyjść z podziwu. Spoglądał niekiedy na Duglasa, który doskonale rozumiał i mówił po hiszpańsku. Poczciwy Szkot, kontrabandzista wychodźców, przebywający z kolei to w Buenos-Aires to Montewideo, uśmiechał się i poncz spokojnie zapijał.

Z lewej strony przy innym stoliku słychać było także polityczną gawędkę.

— Zaradzić temu będzie mogło tylko zgromadzenie, — mówił jeden.

— Alboż pan nie wiesz, — odparł drugi, — że zausznicy Rivery sprzeciwiają się wyborom, pod pozorem że te się nie powinny odbywać w czasie jego nieobecności.

— Wiem o tém, lecz rząd im przytrze rogów i wybory się odbędą.

— To jeszcze gorzej, bo będą starcia, nowe zatargi i właśnie stronnictw: my tu wicherzemy się, wojujemy z Argietyńczykami których sprawa jest naszą wspólną, odstręczamy od siebie Francuzów, we wszystkim i na wszystko tracimy czas, pieniądze i przyjaciół, a tym czasem Rozas idzie naprzód. Taka korzyść z tych stronnictwych rozterek.

— Dzięki Bogu że choć jednego słyszę rozsądnego człowieka, mówił sobie w myśli Daniel. Lecz dostrzegam ja tu coś więcej jak duch stronnictwa: widzę rywalizację narodową; dlaczego?... I w jakich chwilach podobne dzieją się rzeczy?... Ach, tego dramatu chyba ja nie rozumiem, gdyż nie śmiem wyrzec że to wszyscy inni go nie rozumieją!

Istnie że nie rozumiał, bo on jak cała dziatwa Buenos-Aires, nie słyszał by w jego kraju inaczej o Montewideo mówiono, tylko niby jak o jednej ze swoich prowincyi lub republik bratnich, ze szczerem pragnieniem dobra współbratymców, bez cienia zazdrości ani niechęci.

— Chodźmy, panie Duglas, ósma zaraz uderzy.

Lecz nim opuścił to miejsce, gdzie przyszedł dla zbadania ducha publiczności i gorzkie zeń rozczarowania wynosił, jeszcze na pożegnanie z kolei na każdego ze swoich czterech przyjaciół popatrzał rozrzewnionem okiem i sercem boleścią ściśnionem. Oni gawędzili o ojczyźnie wcale się nie domyslając, iż tuż w pobliżu był ktoś co dla niej i dla nich biegł po ślizkich krawędziach przepaści, w której pasowały się z sobą za bary wolność i ciemność, pomyślność i zaguba dwóch ludów w śnie pograżonych; jeden, ze znękania pod nieszczęśnem brzemieniem, drugi od narkotyku szczęśnej doli, przemijającej ale rozkosznej. Pieśń usypiającą szumiały dzikie La Platy wody; lecz dni niewiele upłynie, a głosy fal potężne zagłuszy huk prochu, straszliwy boju wrzask, i jęk żałosny konającego narodu....

V.

Monolog na morzu.

O dziesiątej wieczorem *ballenera* pana Douglas sunęła jak ptak wodny po pięknej zatoce Montewideo. Za godzinę znikła z oczu okrętom najwięcej z portu wysuniętym, tonąc w dali widnokregu wielkiej rzeki, rozjaśnionego łagodnym odbłaskiem z cichój miesiąca twarzy.

W płaszcz obwinięty, wsparty o krawędź łodzi, Daniel już nie w młodociane miasto północnego pobraża la Platy wzrok niecierpliwy utkwiał, jak dwadzieścia cztery godzin przedtem. Oczy miał obrócone na lazurowe nad sobą sklepienie. Jednakże nie widział iskrzących się dyamentów po błękitcie rozsianych, bo umysł jego pochłonęły wspomnienia z krótkiego, lecz nie bezowocnego pobytu w Montewideo.

— Obrachujmy się — mówił do siebie, — gdyż polityka ma także swoją matematykę. Najprzód, dodawanie.

Sądziłem iż zastanę jedność i sojusz w Montewideo, a znalazłem rozterki i właśnie: zyskałem pierwszy zawód.

Myślałem że ludność potężniejsza od jednostek które nie rządzą, a znalazłem że i tu lud ma swego dyktatora, nie krwiożerczego jak Rozas, ale zawsze samowolnego, nie to co potrzeba dla narodu: to drugie rozczarowanie.

Wierzyłem iż dawni unitaryusze są ludzie praktyczni, których umysłem władnie świadomość rzeczy i poglądy szerokie; a znalazłem ich tak pochopnymi do złudzeń jak pierwsi lepsi, a raczej więcej niż ktokolwiekbądź: otóż i rozczarowanie trzecie.

Spodziewałem się od nich objaśnień co do mego kraju, a przekonałem się iż go lepiej znam niż oni: zawód czwarty.

Liczyłem na wspólność w działaniach Lavalla i komissyi argentyńskiej, a widzę że każda z nich samopas idzie; znów zawód: mam ich aż pięć.

Żle! na tyle zysku można oszaleć.

Teraz, klasyfikujmy:

Pan Martigny, człowiek zdolny, serce zacne, oddane naszej sprawie, lecz się obraca w ciasnym kole swoich instrukcyi i wrząd swój nie ma wiary.

Pan Agüero nie nie mówił a powiedział mi wiele: na demokratę zamało giętki, za surowy dla pojęć wolności. Lata wygnania wolno się wlekły dla jego serca, lecz lata życia narodu jak błyskawica przez umysł jego mignęły, i nie dojrzał iż nowe pokolenie wzrosło przez lat czternaście ubiegłych od upadku prezydentury.

Pan Varela, umysł obfity, czynny, pojęcie bystre, serce szczere i gorące; życie postawione na granicy dwóch pokoleń całym różnym w dążeniach; może kiedyś stać się pojedynczą celów jednego i drugiego, gdyby się odstrychnął od zasad nowego pokolenia, potrzeba go pozyskać: wygrana to wielkiej wagi.

Teraz z drugiej strony: Don Vasquez, nie zapomnę dzisiejszej z nim rozmowy: to wielka głowa! gdyby republika oryentalna ze sześciu podobnych jemu posiadała mężów, miałyby o czym zbudować u siebie wielką całość z tak licznych pierwiastków jakie jej natura i rewolucya dały, a z których dotąd żadnego nie zrobiła użytku. Lecz Vasquez nie jest tu na swoim miejscu. Pogląd jego szeroki nie może się pomieścić w ciasnym obrębie drobnych stronnictw, które się uwzięły na gromadzenie zawał dla późniejszego rozwoju tej pięknej krainy. On pracuje nad zjednoczeniem politycznych interesów obu nadrzecznych rzeczypospolitych, a przeciwnicy jego w poprzek mu stoją i odsuwają od działań, zarzucając że jest zwolennikiem Argentynów.

Sąd jego o generale Lavalie całkiem dla mnie nowy, rzuca wiele światła na rzeczy, których nie mogłem sobie wytłumaczyć. Lavalie jest dzielny, rycerski, bezinteresowny; lecz nie posiada przymiotów koniecznych do przodkowania w dzisiejszych okolicznościach. Brak wytrwania w swoich planach, zbyt drażliwość gdy mu życieliwi przychodzą z poradą lub z przypomnieniem raz wytkniętej drogi: to jego ujemne strony. Wyniosłość jego zżyma się na przypuszczenie że nim chcą rządzić i odrzuca wszelką radę; przeszkody go niecierpliwia, a gdy nie może natychmiast cięciem swego silnego miecza je przełamać, zmienia zamiary i plany, omija bokiem przeszkodę, nie bacząc na możliwe następności takowego kroku.

Zrozumiałem teraz wiele rzeczy a zwłaszcza owe słowa pana Varela: Lavalie tylko po swojej myśli działa.

Otóż rachunki skończone: zyskałem czy straciłem? Zyskałem; bo w polityce złudzeniem człowiek się gubi. Rozproszyłem w sobie wiele fałszów, a nabyłem wiele prawd. Ich objaśniłem co do położenia Rozasa; oni mi wyświecili położenie jego przeciwników. Teraz, niechaj się Bóg opiekuje nami, bo po ludziach bardzo się mało spodziewam.

Przez kilka minut milczał, w zachwycie wpatrzony w niebios przestwory, księżycem i gwiazdami zahaftowane, a myśli pobiegły już innym szlakiem w tej duszy samodzielnej i gorącej, a tkliwej i rzennej zarazem.

Tak, Bóg niech się opiekuje nami! — mówił znów myślą, oparłszy głowę na krawędzi *ballenery* z wlepionym wzrokiem w przepyszne sklepienie: Bóg, który jest mądrością i jednością wszechświata!

Bóg, który trzyma zawieszzone na włoskach wszechwładnej swej woli, te jasne światy krążące, niby iskry rozumu Jego, po bez-

miernój przestrzeni, przezroczej jakby ją aniołów utworzyły tchnienia!

Wieczne, jak owo spojrzenie co je rozświeca, gwiazdy to ujrzą kiedyś może zniszczone piękne obrazy, które śni myśl moja! Tak! przyszłość Ameryki zapisana w dziełach Boga samego: to jasna i wspaniała allegorya, w której przeznaczenia nowego świata objawił wielki poeta wszech-stworzenia.

Te błonia bez granic, gdzie kwiat wykwita z każdej kropelki rosy, które na nie spada.

Te rzeki na kształt morza, ogromne, co krążą niby arterye olbrzymiego Ameryki ciała, i wszędzie chłodzą jej wnętrzości ogniem kruszców palone.

Te gęste puszcze, kędy natury leśne orkiestra harmonii naucza sztukę i głos ludzki.

Ten powiew świeży i wonny, co tej krainy oblicze pieści, jakby miłosne westchnienie opiekuńczego geniuszu, który nad nią czuwa.

Te obłoki umalowane zawsze w najcudniejsze i najweselsze barwy, jakie przyroda w swoim posiada skarbcu.

Tak, wszystkie te obrazy tak piękne i wspaniałe, to są wymowne hieroglify Boże, któremi On przyszłość tej ziemi zapisał.

Pokolenia następują po sobie jak fale tej ogromnej rzeki.

Wiek każdy spada na ziemię ludzkości jak potok gwałtowny wydzierający się z rąk czasu na rozgraniczeniu początku i końca wieczności: wre, pędzi, druzgocze, prądem swoim porywa pokolenia, pojęcia, dążenia, występki, wielkości i cnoty ludzi, niesie je i wraz z niemi wpada w wieczysty chaos nicestwa; lecz twórczość, ta druga potęga co żyje i walczy z czasem, zasięwa życie tam gdzie czas dopiero co śmierć zasiał.

Potok ów, wiecznie się odnawiający, uniesie z pobrzeźów rzeki naszej to pokolenie z kurzawy zacyzionie i z własnych łez i krwi. Przyjdzie po niemi inne i znów inne, jak te oto fale co napływają jedna na drugą i nikną w oczach moich.

Każdy naród ma swój wiek, przeznaczenie i królowanie swoje. I ludy La Platy mieć będą w końcu wiek swój, przeznaczenie i królowanie, skoro Boże obietnice niezienne i zapisane w otaczającej nas przyrodzie, zabłyszczą na czole przyszłych pokoleń, które nad naszymi błędami i niedolą łzę litości uronią.

Tak, wierzę w przyszłość ojczyzny mojej, lecz nie pierwej, aż czas z prochem, z którego powstałiśmy, zrówna czoła tych co dzisiaj żyją.

Tak, mam wiarę, lecz wiarę w czasy bardzo od naszych dalekie! Kraju! mój kraju! dziś żyjące pokolenie ojców swoich ma tylko imię!

A ty Florencyo, ukochane serca mego bożyszcze; aniele co godzisz duszę moją z życiem, moje serce z ludźmi, los mój z ojczyzną; ty, tęczo świetlana po której do Boga się zbliżam, roztoczona od nieba do tego ziemskiego błota, gdzie się nurzam i tonę. Tyś

jedyną istotą ze znanych mi na świecie, którąbym pragnął odnaleźć w niebie, aby dusze nasze od czasu do czasu na bladym księżycu promieniu razem zbiegały popatrzeć na tę krainę, co świadkiem była naszej miłości, ach! i tak smutnych zawodów, tylu cnót kłamanych, tylu zbrodni i nędz rzeczywistych!

W tej chwili szkarłatna twarz miesiąca skryła się za zasłonę z szarego obłoku. Daniel pochylił głowę na piersi, marzeniem upojony i kołysany falą potężnej la Platy, zamknął leniwe i senne powieki pod cichą i roziskrzoną niebios kotarą.

VI.

Polityka dyktatury za kulisami.

Konieczność naszkicowania ogólnymi rysami epoki, w której miały miejsce wypadki opowieści niniejszej, wraz z jej ludźmi, zdrożnościami jej i cnotami, odwiodła nas na chwilę od znajomych nam postaci. Po tym więc politycznym obrazie znowu do nich wracamy, cofając się wstecz o parę tygodni, a snując dalej wątek wydarzeń, łącznie z niemi dobiegniemy do dnia z którym się obecnie rozstajemy.

Jeżeli czytelnik zechce nam towarzyszyć do jednego z domów gdzie już z nami raz wstępował przy ulicy *Restauratora*, zaprawdę zobaczy tam sceny o których wątpi wyobraźnia, lecz za które historia ręczy.

Siostra nieboszki żony *Restauratora* Praw dawała posłuchanie w swojej sypialni, a przyległa sala pełna była czekających suplikantów. Stara mulatka nie zalecająca się zbyt niemię ochędóstwem, zastępowała miejsce pazia, adjutanta na służbie i ministra ceremonii. Oparta o drzwi od sypialni, jedną ręką trzymała za klamkę, na znak że nikt tamtędy nie wejdzie bez jej łaskawego przyzwolenia, a w drugą przyjmowała miedziaki i bankocetle, które względnie do swęj możności lub społecznego stanowiska, składali jej w dani pragnący być pierwsi przypuszczonemi przed oblicze doni Ezcurra.

Na jakiejże kiedy audyencyi ujrzeć można razem tak wiele szczebli hierarchii towarzyskiej, barwy tak rozmaite, tyle odmiennych plemion?

Połączeni tam byli i pomieszani murzyn i mulat, indyanie i biały, najniższa klasa i średnia, łotry i poczciwi ludzie. Nie mniejszą różnicę pomiędzy niemi wytwarzały namiętności, obyczaje, widoki i nadzieje odmienne. Jednych przywiódł tam strach, nie-nawisć drugich, tych zepsucie sprowadziło, owych jakaś nadzieja, inni wreszcie biegli tu zrozpaczeni niemożnością zasiągnięcia gdzie-indziej wiadomości względem losu kogoś co popadł w niełaskę Jego Ekscellencyi; ale adjutant służbowy tej monarchini nowego

rodzaju, ściśle się trzyma danych sobie poleceń i za każdym wyjściem odprawionej osoby z sypialni własnym wyborem inną powołuje z tłumy, bezwzględnie na prośby jednych ani na domagania się drugich, którzy sobie okupili prawo pierwszeństwa. Widocznym było iż posłuchania udzielano nie tym, którzy o nie upraszali, lecz tym co nic nie mówili; albowiem ci tu przybyli na wezwanie seniory, a tamci zbiegli się we własnym interesie.

Klamka poruszyła się z wewnątrz, i natychmiast stara mulatka drzwi otworzyła. Z drugiego pokoju wyszła siedemnastoletnia murzynka, i kroczyła przez salę z taką dumną wyniosłością, jakby dama dworu wychodząca z rannego w gotowni królowej przyjęcia, uderzona najpierwszym monarszym uśmiechem.

I zaraz mulatka skinęła na mężczyznę białego, w sukmanie i spodniach błękitnych, w jaskrawej kamizelce, stojącego z czapką w ręku u okna.

Wezwany wolnym krokiem przeszedł przez tłum ku drzwiom, które po jego wejściu do sypialni zamknęły się napowrót.

Donia Marya Józefa Ezcurrea siedziała na małej indyjskiej sofce obok łóżka, otulona w wielki szal merynosowy biały, z ponosowemi szlakami, i piła z tykwy mléko.

— Wejździe, rodaku, siadajcie, — rzekła do wchodzącego, który wielce zakłopotany usiadł na różku drewnianego stołka, naprzeciw sofki.

— Czy pijecie gorzko, czy słodko?

— Jak się wielmożnej pani spodoba, — odrzekł kręcąc czapkę w ręku.

— Beż żadnych tytułów rodaku. Mówcie do mnie po prostu. Teraz myśmy wszyscy równi. Skończyły się już czasy dzikich unitaryuszów, kiedy to biéduak tytułował fraki albo nowe kapelusze. Dziś my wszyscy równi, bo wszyscy jesteśmy federalistami. Czyście w żołnierce, rodaku?

— Nie, seniora. Byłem ranny, już temu lat pięć i dostałem uwolnienie. Jak się wyleczyłem poszedłem za woźnicę.

— A? . . . otóż dyktator ma powołać do służby wszystkich a wszystkich.

— Tak słyhać, wiel . . . seniora.

— Wszyscy muszą bronić federacyi, bo są jej synami, a Juan Manuel pierwszy siądzie na koń, bo jest ojcem wszystkich obrońców świętej sprawy. Jednakowoż będą niektóre wyjątki, nie godzi się bowiem narażać w wojnie ludzi, którzy innego rodzaju usługi mogą sprawie oddawać. Ja już mam listę około pięćdziesięciu, którym każę dać kartki uwalniające, w nagrodę za ich sprawowanie. Macie wiedzieć rodaku, że największą usługą jest wykrycie intryg i spisków dzikich unitaryuszów, którzy są w mieście, bo ci najgorsi, nie prawdaż?

— Tak powiadają, — odrzekł dawny żołnierz, oddając tykwę usługującej murzynce.

— Tak jest z pewnością. Przez ich to intrygi nie mamy po-koju; ludzie nie mogą sobie żyć bez troski, jak tego chce Manuel. Niech-no ich nie będzie, skończy się żołnierka, wszystkim będzie dobrze, dostatnio: to jest właśnie co się nazywa federacją. Zatem dla każdego co odkryje ich spiski, dom Manuela i mój są otworem. Każdy może przyjść po wszystko na czem mu zbywa, bo dyktator nic nie odmówi takim co służą federacji. Rozumiecie rodaku?

— Tak pani, ja też zawsze byłem federalistą.

— Wiem o tém, i Manuel także o tém wie. I dla tego was wezwałam, bo jestem pewna, że nie zataicie prawdy w niczém gdzie chodzi o sprawę.

— A cóż jabym tam mógł wiedzieć, kiedy zawsze między federalistami żyję.

— Kto wie? was pocziwych łatwo otumanić. Powiedźcie-no mi, gdzie służyliście na ostatku?

— Jestem teraz w służbie przy stajniach anglika.

— Wiem, ale przedtém?

— Służyłem na Barakach u jednej seniory wdowy.

— Która się nazywa donia Amalia? co? o, my tu wszystko wiemy! Żeby-się wybrał, ktoby chciał oszukać mnie i Manuela!

— rzekła donia Marya Józefa, wlepiając wzrok jaszczurczy w twarz pocziwca, który siedział jak na szpilkach nie wiedząc o co będzie pytanym.

— A długo tam byliście? do którego czasu?

— Byłem pół roku, przez lato, a w maju odprawiłem się.

— W maju? e? a pamiętacie którego dnia?

— Pamiętam, było to 5go Maja.

— Co? piątego maja? — mówiła stara kręcąc głową i cedząc po wyrazie. A dlaczego tego dnia? z jakiego powodu?

— Seniorsa powiedziała, że musi się oszczędzać w wydatkach i dlatego odprawiła mnie i kucharza. Każdemu z nas dała na odchodném po uncy złota, mówiąc że może później przyjmie nas na powrót i żebyśmy w każdej potrzebie do niej się udawali.

— Jaka dobra pani! chce się oszczędzić i złotem obdarza, — zauważyła chytrze.

— O tak, seniorsa donia Amalia najlepsza ze wszystkich pań na świecie . . . z przeproszeniem.

Donia Ezcurre słów tych nie słyszała: umysł jój zajęty był bratnią rozmową z duchem ciemności.

— Powiedźcie mi rodaku, — ozwała się nagle, — o której godzinie odprawiła was ta pani?

— Pomiędzy siódmą a ósmą z rana.

— A czy zawsze tak wczas wstawała?

— O nie, zazwyczaj wstawała późno.

— A? późno? . . . i nic nowego nie widzieliście w domu?

— Nie.

— A w nocy nie słyszeliście czego?

— Nie, seniora.

— A jacy służący pozostali jakieście z kucharzem odeszli?

Woźnica wyszczególnił pozostałych na służbie domowników.

— Dobrze, powiedzieliście mi prawdę we wszystkiem. Ale, zważcie, spytam was o coś bardzo ważnego dla federacyi; słyszeliście?

— Ja zawsze prawdę mówię, seniora, — odpowiedział rodak spuszczać oczy, bo znieść nie mógł chmurnego i ostrego wejrzenia, które towarzyszyło tym ostatnim wyrazom.

— Zobaczymy: kto bywał u Doni Amalii wieczorem?

— Nikt.

— Jakto nikt? czy zawsze o téj porze bywaliście w domu?

— Nie wydaląłem się, bo często w wieczór kiedy księżyc świecił, zaprzęgałem i wiozłem panią na łąki, gdzie wysiadała i spacerowała na brzegu rzeczutki.

— O, o, spacerowała! a z nią kto?

— Z nią chodziła mała Luiza, którą pani ma zawsze przy sobie.

— A tak lubi tę małą Luizę!

— O, bardzo, jakby do familii pani należała.

— A bo téż może i należy?

— Nic a nic, wcale obca.

— Jednak złe języki utrzymują że to jój córka.

— Jezul seniora! Donia Amalia jest młodziutka, a dziewczyna ma lat dwanaście.

— Młodziutka? e? wieleż ma lat?

— Może dwadzieścia dwa, najwyżej dwadzieścia cztery.

— Niebożatko! nie rachując tych roczków co przy mamce i co na czworakach chodziła. I więcej z nikim nie spacerowała? z kim się spotykała?

— Nigdy a nigdy z nikim.

— Z nikim! i jak nie jechała na spacer, nikogo w domu nie przyjmowała.

— Bo nikt nie przyjeżdżał.

— Hm! czy pacierze odmawiała?

— Nie wiem, pani, ale to wiem że do domu nikt nie wchodził wieczorem, — odrzekł woźnica, który pomimo swego nabożeństwa ku świętej sprawie, zmiarkował że tu chodzi o cześć albo o bezpieczeństwo Amalii, i obruszał się na myśl że ktoś mógł go sądzić zdolnym do szkodenia jój, kiedy w jego przekonaniu nie było pod słońcem kobiety lepszej nad nią ani szlachetniejszej.

Donia Marya Józefa zastanowiła się przez chwilę.

To mi łamie wszystkie szyki, — pomyślała, i spytała głośno: — A w dzień nikt nie bywał?

— Przyjeżdżały panie, czasem.

— Ja się o mężczyzn pytam.

— Bywał raz lub dwa w tygodniu Don Daniel, krewny pani.

- A po odejściu ze służby przychodziliście tam niekiedy?
- Byłem trzy czy cztery razy.
- I kogóż tam widzieliście oprócz pani?
- Nikogo.
- Co? nikogo? e? a chorego kogo nie było?
- Nie seniora, wszyscy byli zdrowi.

Donia Ezcura zamyśliła się.

— Dobrze rodaku. Dyktatór miał pewne doniesienie o tym domu, ale ja mu powtórzę co mówiliście, i jeżeli to prawda, téj wazszej pani oddaliście przysługę; lecz jeżeli coś zatailiście.... no, to wiecie co bywa tym którzy źle służą sprawie.

— Ja jestem federalista, seniora, zawsze mówię prawdę.

— Wierzę temu. Możecie sobie teraz iść.

Natychmiast po wyjściu woźnicy, władczyni przywołała mulatkę-adjutanta.

— Jest tam dziewczyna co wczoraj z Barak przychodziła?... niech wejdzie.

W minutę weszła do sypialni murzynka, brudna, z miną bezczelną; pani popatrzyła na nią przez chwilę, i rzekła:

— Tyś mi nieprawdę mówiła; nie ma żadnego mężczyzny, ani chorych w domu téj pani którą denuncyowałeś.

— Przysięgam pani że powiedziałam prawdę. Służę w szynkowni tuż obok willi téj unitaryuszki, i ze strychu widuję co rano młodziaka bez godła, zrywającego kwiaty w ogrodzie. Potém widziałem ich jak on i ona spacerują pod ręce, a wieczorem siadają pod wierzbą i tam im kawę przynoszą. Ja się zakradam i podpatruję, bo ich niecierpię.

— A to zaco?

-- Bo są unitaryusze.

— Zkądże to wiesz?

— O, bo Donia Amalia przechodząc koło szynkowni nigdy się nie ukloni ani gospodarzowi, ani gospodyni, ani mnie; bo jój sługi nigdy u nas nic nie kupują dlatego żeśmy federaliści; i widziałam ją nieraz jak chodzi po willi w niebieskiej sukni. Tóż jak zobaczyłam że wieczorami ordynans pana Marinio i jeszcze dwóch innych snują się w około domu i wypytuja w szynkowni, tak ja zaraz przybiegłam wielmożnej pani opowiedzieć co widziałam, bo jestem dobra federalistka.

— Nie wiesz co więcéj, po czémby można się upewnić że ona unitaryuszka?

— Co więcéj?... widzi pani, jedna moja kuma dowiedziawszy się że Donia Amalia szuka praczki, poszła tam, ale ją odprawili, a bieliznę dali heretyczne.

— A ta jak się zowie, nie wiesz?

— Nie wiem, ale mogę się zapytać jeśli pani każe.

— Dowiedz się. Cóż wiesz jeszcze?

— A, jeszcze ona późno wieczorem gra na fortepianie i śpiewa.

- No to i cóż?
 — Myślę że to musi być pieśń Lavalla.
 — Zkąd to wiesz?
 — Ja tak sobie myślę.
 — Słuchaj: czybyś nie mogła zakraść się do domu i podłuchać co śpiewa?
 — Sprobuję, o zmroku.
 — Staraj się wejść z wieczora i zostań tam aż do dnia.
 — Może mi się uda... ale cóż tam mam robić?
 — Alboż nie mówiłaś że tam jest młodzik?
 — A! to, to, rozumiem. Już ja ich wyszpieguję.
 — Pamiętaj sobie tylko!
 — No, no, sprawię się dobrze.
 — Cóż więcęj mi mówiłaś wczoraj o tym domu? Pamiętajsz? powtórz!

— Oto że bywa tam panicz co powiadają że jest kuzyn unitaryuszki, a w przeszłych miesiącach prawie co dnia przyjeżdżał doktor Alcorta i dla tego mówiłam pani że tam był chory. A ten chory to musiał być ten młodzik co rwie kwiaty, bo w początkach bardzo chromał.

— A kiedyż to te początki?, jak dawno to było?

— Około dwóch miesięcy temu, a teraz już nie kuleje i doktor Alcorta przestał bywać, i całemi godzinami spaceruje z unitaryuszką, i nie kuleje.

— Dobrze. Miejże oko na wszystko co się dzieć będzie w tym domu i przychodź mi powiedzieć, gdyż tym sposobem wielką oddajesz usługę sprawie, a sprawa to wasza, wasbiędnych, bo w federacyi wszystkim będzie dobrze, i czarnym i białym: rozumiesz?

— Rozumiem pani, i dlatego ja jestem federalistka, i co wyszpieguję to przybiegnę donieść pani.

— Pamiętaj, a teraz możesz iść sobie.

Murzynka wyszła, pyszna ważną usługą wyświadczoną sprawie czarnych i białych, i zaszczytem rozmowy z siostrą żony ojca federacyi.

Następnie długim korowodem wchodziły po kolei przed oblicze monarchini służebne różnego wieku i wszelkich stopni złośliwości z urzędowem sprawozdaniem wszystkiego co wiedziały lub wyobrażały sobie że wiedzą, względem postępowania swoich panów lub sąsiadów zostawiając w pamięci téj federalnej higieny długi rejestr nazwisk osób lub rodzin, które później miały zająć miejsce w martyrologii tego nieszczęsnego narodu, popchniętego na bezdroża przez niecne ręce, co ster nad nim ujęły zdradziecko.

Po donosicielkach dopięro przyszła kolejna przybyłych z prośbami. Z tych tylko maluczka cząstka do posłuchania przypuszczoną została. Nie wiele drudzy na tém stracili w rzeczy, gdyż jakkolwiek protektorka wstawiennictwo swoje skuteczne przyrzekała, i nie wzdragała się przyjmować podarki jakie bogaci i biedni jęj znosili, lecz szwagier z ust jęj dowiadywał się tylko o donosach

i oszczerstwach na osoby i rodziny. Więc go też nic nie obchodziło, równie jak jego współ-pracowniczkę na polu polityki wewnętrznej.

Pióro powieścio-pisarza nie może się zapuszczać w filozoficzne zgłębiania, które są dziejopisa udziałem; wolno mu wszakże rzucić kilka rysów lekkich i ulotnych, dających wyobrażenie o fizygnomii jakowej epoki. Owóż ten mały szkic powyższy gorszącego skażenia na jakim się opierały rządy Rozasa, w chwilach które opisujemy, zdolnym jest jak mniemamy wytłumaczyć zjawisko społeczne i polityczne przypadłe w następnej epoce, w ustępie dyktatury najtragiczniejszym i najbardziej złowrogim.

Orędownicy dyktatora przedstawiając cudzoziemcom zawsze tylko zewnętrzną stronę jego rządów, twierdzili, iż gdyby on był tyranem, gdyby czyny jego były takimi jak je nieprzyjaźni malują, naród nie znosiłby go od lat tylu. Otóż w głąb sprawowania rządów tych zajrzeć potrzeba, by pojąć jakim sposobem ostać się mogły przeciw prądowi woli powszechniej. Orędzem najdzielniejszym w dłoni Rozasa było wzajemne szpiegostwo, donoszenia i oszczerstwo. Długie lata pracy niesłychanej porwały wszelkie społeczne węzły, rozstrój zagnieździły we wszelkich stosunkach; znarowiły klasę ciemną i do szkodenia bliźniemu pochopną, zaprawiając do zbrodni nagrodą jakby za obywatelską cnotę, zasłaniając się zawsze hasłem federacyi, pokrywką wszelkich występków, zdróżności i moralnych przewrotów. To był system Rozasa, to najpierwsze środki, zapomocą których nadwątlił zbiorową siłę narodu, i całe massy jednostek zagarnął zestrachanych pod swoją barbarzyńską władzę.

Los przyjazny temu złowrogiemu człowiekowi, podał mu we własnej rodzinie charaktery, do pomocy w tym szatańskim planie skore i sposobne.

Lepiej niż powieść nasza, dzieje odmalują kiedyś członków tej rodziny, farbami najważniejszymi do uwydatnienia całej potworności serc ich, obyczajów i politycznych działań.

VII.

Godni siebie.

Wybierała się już donia Ezcurra ze zwykłymi odwiedzinami do szwagra. A nadmienić należy iż go nie za każdą swą w domu jego widywała bytnością; lecz wchodziła do pokojów i wychodziła w obec wszystkich dla podtrzymania w opinii uroku dla swego niezbędnego pośrednictwa pomiędzy dyktatorem a suplikantami lub delatorami. W chwili gdy z domu wyjść miała, wszedł do niego poufale komendant Marinio, redaktor *Gazety Handlowej*, tego brudnego ścieku, przez który spływały wszystkie nieczystości dykta-

tury i jój stronnictwa. Codzienny ten paszkwil spotwarzał aż do tajników domowego życia, każdego imiennie, co się nie ogłosił poplecznikiem dyktatury, wynajdywał najohydniejsze oszczerstwa nawet na młodzieź, która jeszcze w politycznych sprawach dotąd udziału nie wzięła.

Pani domu nie dała na siebie długo czekać tak godnym odwiedzinom i wchodząc do sali rzekła:

— Tylko pana jednego przyjmuję, bo miałam iść do Manuela. I na wstępie oświadczam, że jestem pogniwana.

— I ja także, — odrzekł Marinio siadając obok niój na sofie.

— Ale pan nie masz do tego takich jak ja powodów.

— I owszem, tak mi się przynajmniej zdaje. Zacznij pani od swoich, a ja potém moje wyłożę, — odpowiedział redaktor.

— Kiedy tak, otóż mam żal do pana, że nam tylko w połowie służysz.

— *Nam?* . . . Komuż to, seniora?

— Komu! Manuelowi, sprawie, mnie, wszystkim.

— A! . . .

— Tak, tak, a Manuel nie może być z tego kontent.

— Co do tego, ja się z panem gubernatorem porozumiewam, — odrzekł Marinio patrząc na dyplomatkę, czemu trudno było dać wiarę, bo oczy jego zawsze w ukos bieżyły.

— Prawda, widzisz się z nim co wieczór!

— A pani trzy czy cztery razy dziennie, — dodał redaktor chcąc pochlebić gadzinie, jakkolwiek jój nie lubił (nikogo nie lubił w świecie), lecz mu zależało na dobrych z nią stosunkach, zwłaszcza obecnie, gdy osobisty interes radził mu pomocy jój szukać. — Ale wróćmy do rzeczy. W czémże to ja w połowie tylko służę?

— W tém, że *Gazeta Handlowa* woła o wyrznięcie unitaryuszów, a zapomina o unitaryuszkach, które są ze złego najgorszym.

— Zaczyna się od mężczyzn.

— Powinno się zaczynać i kończyć na wszystkich; a jabym nawet od kobiet zaczęła, i od ich szkaradnych dzieciaków, żeby z korzenia wytępić ohydne to plemię.

— Dobrze, dobrze, zrobi się to w swoim czasie, niedługo. Ale teraz muszę ja z mojej strony pani powiedzieć, że są i damy federalne na których życzliwość liczyć nie można.

— Nie wiem o tém, bo co się mnie tyczy. . . .

— Właśnie to się tyczy pani.

— Ot, żarty!

— Nie seniora, to rzecz seryo. Temu ze dwa tygodnie uczyniłem pani pewne zwierzenie.

— A, o Barakach?

— Tak właśnie i żywcem to pani udzieliłaś mojej żonie.

— Oh, tak sobie z niój zażartowałam.

— Ale mnie ten żart drogo kosztuje, bo żona mało mi oczów nie wydrze.

— Ba!

— Nie, nie, to nie są igraszki, i pani nie powinnaś była robić tój przykrości mojej żonie ani mnie także.

— Oh, cóż znów. . . . co za myśl, Marinio! . . . , ona byłaby się inną drogą o tём dowiedziała. a ja się tylko śmiałam że panu w oko wpadła wdówka na Barakach, więcój nic. . . , co za myśl. . . , gdzieżbym ja chciała was różnić. . . . , lecz pozwalam, źle się stało; ale słuchajno i dobre się nie zaniedbało.

— Jakto? co takiego?

— Patrz pan. . . . , wszak mi objawiłeś chęć dowiedzenia się coś o tój pani co mieszka na Barakach; jaki jój tryb życia, kto u niój bywa, a nadewszystko kto jest ten mężczyzna co u niój bawi, którego nigdy nie widać, ani na ulicę nie wyjdzie, ani wyjrzy oknem. Wszak prawda że pan to chciałeś wiedzić?

— Prawda, i dodałem że w tём zachodzi interes polityczny, to jest że idzie o naszą sprawę.

— Aha, interes polityczny!

— Z pewnością. . . . dłączgóż pani wątpisz?

— Ja?

— A cóż znaczy ten uśmiech złośliwy? O, ja znam panią!

— I ja także znam pana.

— Tak, więc znamy się oboje.

— Być może. Ale teraz powiem com zrobiła, i dowiodę czym panu życzliwą. Ta pani mieszka oddawna na Barakach, żyje samotnie a zatém jestto unitaryuszka.

— O, któż to wie!

— Z pewnością unitaryuszka. Wiedziałam że koło domu tój wdowy kręcą się nocami ludzie dla podpatrywania.

— Zkąd pani wiedziałaś?

— Ba! ztąd że znam pana, i widząc że chodzi panu o interes polityczny, — dodała z ironicznym przyciskiem na tych wyrazach, — pewna byłam że nie zaśpisz gruszek w popiele. Otóż i ja tam wyprawiałam swoich, i wiem co pan wiedzić pragniesz.

— Co wiesz pani? — podchwycił skwapliwie.

— Mówiłeś mi pan o ukrywającym się tam mężczyźnie.

— To tylko był mój domysł.

— Nie, utrzymywałeś pan wyraźnie, ja wiem co mówię. Otóż jest tam mężczyzna w samój rzeczy, i to młody i urodziwy, — odrzekła Donia Ezcurra dodając od siebie te przymioty, ażeby nie pominąć sposobności umartwienia bliźniego.

— I co więcój?

— To że bardzo przystojny, że się z wdówką prowadzą pod ręce po wili, że im pod wierzbą kawę przynoszą. razem piją i on jój filiżankę trzyma, potém noc zapada. . . .

— I cóż? — pytał Marinia, a krzywe źrenice krwią mu zabiegły.

— Potém nic, już ich nie widać, — odrzekła z wyrazem wewnętrzznego zadowolenia.

— Dobrze, — mówił redaktor, — ale z tego jeszcze nic na jaw nie dobieżemy. O tém że jest mężczyzna w tym domu wiemy od dwóch tygodni.

— Czy nic ztąd na jaw nie wyjdzie, to jeszcze nie wiadomo. Dotąd pan byłeś sam interesowany, a od wczoraj jest nas dwoje, interes to w połowie mój, w połowie pański.

— Dlaczego od wczoraj?

— Bo dowiedziałam się niektórych rzeczy, i pewna myśl mi utkwiła w głowie, nie wiem dlaczego, ale mi się zdaje że przydybie pewnego ptaszka. Ale to moja rzecz, muszę dowiedzieć się dla siebie, dla samej siebie i to prędko.

— Mniej mi o to chodzi kto jest ten mężczyzna, jak o to jaki jest rodzaj jego stosunku z wdową, i téj wiadomości spodziewam się od pani. Bo trzeba pani wiedzieć że dom ten jest niby klasztor, drzwi i okna wiecznie zamknięte, a na domiar tajemniczości cała służba jakby niemowy. W ciągu trzech tygodni nie wszedł tam nikt, jak tylko kilka razy młoda Dupasquier, Bello kuzyn wdowy prawie co wieczora, i Augustina cztery razy.

— A czemu pan się nie zaprzyjaźnisz z tym kuzynem?

— To młokos, dobry federalista, ale strasznie dumny. Nie lubię go.

— A więc trzeba było prosić Augustinę żeby pana tam wprowadziła.

— Nie chcę robić rozgłosu. Sprawę w widokach politycznych z panią jedną chciałbym załatwić.

— Polityczne widoki! he? o ladaco! ale dobrze robisz. I dobry masz gust, słyhać że wdówka wielce powabna.

— Ach, seniora, dajmy temu pokój!

— Co za wyrafinowana względność! Otóż tak: poprzestaniesz pan na tém, że ona za dni kilka przybędzie do mnie prosić o jakąś przysługę a ja z poleceniem do pana poszlę ją do drukarni lub gdzie pan wskażesz?

— Czy pani naprawdę mówisz? — zapytał Marinio z błyskawicą w oczach przysuwając się do starój.

— O, lotr wierutny! jak się uradował! Będzie to prawdą, i z łatwością jeżeli tylko mię nie myli pewien maleńki domysł. Już mnie to zostaw, a za jakie dni cztery zobaczymy. Uda się albo nie uda.

— Droga pani, — mówił redaktor z przymileniem, — tego tylko pragnąłem żebyś pani za pomocą swego potężnego wpływu i rozumu nieporównanego, uczyniła się potrzebą dla téj wdowy, a widać życzenie moje odgadłaś pani. Dobrze, ręka rękę myje, jak mówi przysłowie.

— Przyznam się panu że w téj sprawie mniej dla pana zrobię aniżeli dla siebie. Jeżeli się wykryje co myślę, to zadam cios śmiertelny panu Victorica w opinii Manuela.

— To więc coś ważnego? — spytał Marinio trochę zaciekawiony.

— Być może, zobaczysz pan. Ale nic darmo.

— Dobrze, dobrze, przyszlę jutro pani sto exemplarzy *Gazety* dla rozdania pomiędzy naszych poczciwców.

— O jaki dowcipny! zgadł od razu! I nie pożałujesz pióra ani na samców ani na samice?

— Będziesz pani zupełnie zadowolniona. Ale za to jeszcze jedna łaska... ani słówka o tém wszystkim przed moją żoną.

— Nie bądź-że dzieckiem! to były żarty, — i rozśmiała się szatańsko; — nie bój się, a skoro tylko mnie się pewna rzecz dostanie, panu dostanie się wdowa: ale jeszcze jeden warunek.

— Co tylko pani chcesz, słowo honoru!

— Dobrze. Otóż jak uchwycę pewną rzecz której nie mógł schwycić Victorica, poszlę panu do koszar straży nocnej, a pan ją przyjmiesz... już mię pan rozumiesz?

— Kogo? wdowę?

— Ech, nic tylko wdówkę w głowie!

— A kogoż pani przyszlę do moich koszar?

— To czego szukam, a co się spodziewam znaleźć.

— A! teraz rozumiem! — odrzekł Marinio z nieokreślonym uśmiechem, pojmując że idzie o jakąś ofiarę, bowiem kto wchodził do koszar straży nocnej, nie wychodził z nich chyba do wieczności.

— Więc przyjaźń pomiędzy nami, Marinio.

— Nie od dzisiaj, — odrzekł wstając. Do widzenia... a kiedy?

— Za dni cztery, pięć. Bądź zdrow, żonie się kłaniaj, a niech się nie martwi moim niewinnym żartem, — dodała przeprowadzając jadowitem spojrzaniem redaktora do drzwi salonu.

VIII.

Prolog do dramatu.

Od nocy 24 maja na której skończyliśmy drugą część naszego opowiadania, sprawy osobiste ludzi równie jak polityczne czasu wypadki aż do ostatnich dni lipca przebyły stopniowe przeobrażenie.

Czas jest najpotężniejszym działaczem przerobów we wszystkich stworzonych rzeczach. Za jego to pośrednictwem poetyczna willa na Barakach ze swęj kwiecistej zagrody wyrzuciła powoli wahanie się i zabobonne trwogi, i zamieniła się w Eden, którego zamknięte dość długo bramy otwarły się zwolna dla dwóch kłępczących przed niemi bezskrzydłych aniołów.

Tajemnicą i niebezpieczeństwem otoczone, na łonie przyrody i samotności, dusze dwie utworzone do najszczytniejszych i najtkliwszych pocy i miłości popędów, jedna szlachetna, mężna i pod-

niosła, — rzewna, poetyczna i harmonijna druga, złączyły na wieki losy swoje na świecie najściślejszymi węzłami uczu serdecznych.

Jeżeli szczęście na ziemi nie jest snem o niebie, mroczącym wyobraźnię w przelotném przejściu od kolebki do grobu, tedy umysły dwojga młodych ludzi zdrzemnęły się w szczęściu zdobnym we wszystkie tęczowe kolory jakimi je stroi fantazyja, i w zachwytach poetycznych widziały, słyszały i dotykały to co tylko w marzonym istnieniu wiekuistej szczęśliwości ludzka myśl wyroić może. I zaprawdę szczęście ich niebiańskiem było, gdyż wśród wzajemnej miłości, uczucie Edwarda pozostało bez przerwy pełnem czci i poszanowania: ani najlżejszy cień skazy nie przyćmił kryształowej czystości sumienia Amalii.

Ułożoném było pomiędzy niemi że Edward powróci do miasta a połączenie ich na zawsze nastąpi za kilka miesięcy. Ale pobyt jego w chwili przedłużył się jeszcze z porady Daniela aż do zupełnego przyścia do zdrowia. Chodził wprawdzie bez trudności, lecz rana była jeszcze bardzo drażliwą.

Pani Dupasquier i jój córka pokochały Amalią jak każdy co ją bliżej mógł i umiał poznać. Lecz ostra zima tegoroczna popsuła drogi, i panie te nie mogły tak często jakby pragnęły odwiedzać miłe ustronie.

Dla człowieka takiego jak Daniel niema przeszkód ani w przyrodzie ani w ludziach, i on prawie codziennie widywał swoją krewnę i przyjaciela. Tylko na Barakach i w swojej Florencyi charakter jego i serce objawić się mogły takimi jak je stworzyła natura. Tam bywał czuły, wesół, dowcipny, żartowniś, niekiedy kąsający, najczęściej dzieciak: gdzieindziej Daniel był tym mężem jakim go już znamy w polityce, lub płochym elegantem w salonach.

Wreszcie, Donia Agustina de Mancilla cztero-krotnie już ponowiła swoje odwiedziny w willi, pobłażliwie przyjmując uniewinnianie się Amalii że jój dotąd ani razu wzajemnie nie odwiedziła. Amalia nie szukała tych stosunków, nie miłe jój były z razu; lecz w końcu poznała że Agustina nie była złą kobietą, a przytém ją bawiła. W dodatku, posiadając wielce rozwinięte piękna poczucie, z przyjemnością przygląda się tak doskonałemu dziełu rąk natury.

Dla rozważnego charakteru Amalii było to rzeczywiście zabawą patrzeć jak generałowa Mancilla przetrząsała jój komody, wyciągała i oglądała wszystko co się w nich zawierało, dopytując się o historję każdego przedmiotu zaczawszy od fabryki aż do ceny. Potém kładła na siebie z kolei to płaszczyk, to szal, koronki, klejnoty pięknej Tukumanki, przechodziła do gotowalni, i przyglądała się w wielkich zwierciadłach obracając się na wszystkie strony. Ciekawém było widzieć kobietę wspaniałych kształtów roszkoszującą się jak ośmioletnia dziewczynka w uciechach tak niezgodnych z jój wiekiem, gdyż o lat kilka starszą była od Amalii. Tę ostatnie

jednak bawiła ta dziecinność, i chętnie ofiarowała w darze strojnisi nie jedną z rzeczy które ją najbardziej zachwycaly. Wywzajemniając się przysłała jój Augustyna ogromnego z porcelany koguta. Lecz po trzech dniach pisała znowuż z prośbą o zwrot onego, ponieważ, jak się wyrażała, tęskno jój było bez niego.

Co się zaś tyczy politycznych wydarzeń, aż do połowy lipca nie zaszła żadna w ogólnym stanie rzeczy ważna zmiana. Stan ten był: wyczekiwanie ze strony Rozasa, bezczynność w Entra-Rios, powolne przygotowanie w innych prowincjach, wahanie się u francuzkich agentów, miejscowe intryki w rzeszypospolitej orientalnój.

Tymczasem Daniel nader smutnego doznał zawodu. W dniu 15 czerwca miało być powtórne zebranie młodzieży w domu Doni Marceliny, i w dniu tymliczba zgromadzonych ograniczyła się na siedmiu. Większa część z uczestniczących na pierwszej schadzce nie znajdowali się już w Buenos-Aires, lecz w Montewideo lub w wojsku.

Niewymownie bolał Daniel nad sposobem w jaki towarzysze jego pojmowali obowiązki względem kraju. Pozostawili go samego. Lecz w odosobnieniu ta dusza uprzywilejowanego hartu zamiast osłabnąć, nowych sił zdawała się czerpać w niepowodzeniach. Pracował, zabiegał na wszystkie strony, i zyskiwał sobie u *mashorki* tytuł najzapaleńszego z federalistów.

W tym to stanie rzeczy odebrał on wiadomość o bitwie stoczonój 16 lipca pod *Wielką Wierzbą* i nazajutrz wyprawił się do Montewideo dla porozumienia się z osobami wśród których go już widzieliśmy. W kilka dni po jego powrocie spotykamy go znów na Barakach w willi, którój mieszkańcy nic o tój przejażdżce nie wiedzieli. Uwiadomił ich dopiero o niój ściskając w objęciach, wolny już od niebezpieczeństw, których obawa byłaby niepokoiła przyjaciół: tej to niespokojności chciał im oszczędzić i dla tego przed wyjazdem żegnając ich na trzy dni, zataił przed nimi swój niebezpieczny zamiar. Do sekretu przypuszczoną była jedna tylko Florencia, a modły jój towarzyszyły ukochanemu w godzinach gdy życie swoje narażał dla ojczyzny.

Była piąta popołudniu, czas zimny i mglisty. Przy kominku, na niskim taborecie u nóg Amalii siedząc, Edward przekładał jój najpiękniejsze ustępy z *Manfreda* Byrona. Amalia rękę wspierała na jego ramieniu, jedwabne pierścienie jój włosów dotykały bledogo czoła kochanka, słuchała zachwycona, więcej jeszcze dźwiękiem głosu który do serca jój przenikał, aniżeli połotém wyobraźni wieszca. A Edward od czasu do czasu głowę podnosił: z ócz jego ukochanej płynęły mu zdroje poezyi pełniejsze, od strumieni które-mi tryskała myśl orla poetów XIX-go stulecia.

Ona i on przedstawiali żywy i dotykalny obraz szczęścia: szczęścia w sobie samych, w głębi serc skrywającego się, które nikogo w świecie ani jednéj łzy nie kosztowało, i w duszach nie pozostawiało tajnego robaka zgryzoty. który tak często zwykł w śród

ludzi przynosić z sobą szczęśliwość poziomą, albo kupioną za cenę złych uczynków.

Dla nich świat cały zawierał się w nich samych. I patrząc na nich powiedziećby można, iż los zawistny nie miałby odwagi dorzucić kropli goryczy do czary szczęścia, którym poity się dwie te istoty niewinne, i kochaniem się spełniające wolę Opatrzności.

Zajechał powóz przed bramę, i po chwili weszła do pokoju pani Dupasquier a za nią jej córka i Daniel. Amalia poznała przez okno powóz przyjaciół, a że dla nich nie było tajemnic, zatem Edward pozostał na miejscu.

Daniel wszedł jak zawsze wchodził: żywy, radosny, serdeczny. W rodzinném jak powiadał, kole, serce jego otrząsało się z trosk i pragnień innego rodzaju, a rozkwitało uczuciem i wrodzonymi popędami.

— Kawy, siostruniu, kawy, bo drżemy z zimna. Od stołu wstaliśmy żeby ją wypić w twojem towarzystwie. Ale to mój pomysł, nie należy się od ciebie wdzięczność ani matce, ani córce, tylko mnie jednemu.

— Tak małej żądasz nagrody, żeś wart bez niej pozostać, za karę iż się nie znasz na wartości swojej zasługi, — odparła Amalia serdecznie ściskając przybyłe panie.

— Nie wierz mu Amalio, to ja myślałam o tój przejeździe, ten leniwiec byłby siedział do nocy przy kominie, — mówiła pani Dupasquier.

Była to osoba lat przeszło czterdziestu, szlachetnej fizyognomii i układu. Twarz jej miała wyraz smętny i słabowity, co się nie rzadko zdarzało spotykać w tych opłakanych czasach u kobiet delikatnego usposobienia: zamknięcie się w domu, ciągła obawa o swoich i blizkich, zgubnie wpływały na zdrowie i moralny nastrój.

— Zgoda, trudnoż mi przeczyć kiedy mówi pani Dupasquier; ależ żadna legika ludzka nie wyprowadzi ztąd wniosku iż nie powinienem pijać kawy w piątki.

— Amalio, wstawiam się za nim, — rzekła matka Florencyi, — bo inaczej będzie nam przez cały wieczór o kawie tylko prawił.

— Tak, tak, dajmu kawy, dogódź we wszystkim, bo dziś jest nieznośny, — dodała córka siadając przy Edwardzie, który jej pokazywał ryciny zdobiące wydanie zupełnych dzieł Byrona.

Amalia zadzwoniła i kazała przynieść kawę.

— Co tam masz za książkę, Edwardzie? — spytał Daniel.

— Napisana przez kogoś, co w niektórych rzeczach tyle miał co ty rozsądku.

— A, to pewno Wolter, gdyż jegomość ten powiedział iż filiżanka kawy więcej warta niż kubek hipokreńskiéj wody.

— Nie zgadłeś, to nie Wolter, — odparła Amalia.

— A więc Rousseau; gdyż zacny genewczyk miał upodobanie zatrzymywać się dla wążchania zapachu palonéj kawy gdziekolwiek go poczuł.

— Widzicie, wyszukuje swego podobieństwa do wielkich ludzi za pośrednictwem kawy, — rzekła pani Dupasquier.

— Ale zawsze źle trafia, — dodała Amalia.

— Nie daję za wygraną. To Napoleon, którego familijna choroba zwiększyła się skutkiem wielu beczek kawy pochłoniętych w ciągu życia.

— Dajże sobie pokój, nie dojdziem nigdzie na tój drodze; to Byron, — rzekł Edward pokazując Florency wizerunek córki poety.

— A! Byron! ten nie pijał kawy z tój przyczyny że była ona ulubionym napojem Napoleona, którego nienawdził, bo chciał żeby tylko jedna sława umarła w XIX wieku. Ale rozsądek nie zawsze dopisywał tak wielkiemu poecie. Bo zamiast kochać tak szalenie swoją żonę, gdyby rozsądek był mu powiedział że ją trzeba więcej kochać wtenczas kiedy go za waryata miała, nie byłoby jego udziałem tak nędzne życie, jakie odtąd włókł na tym świecie.

— Nie rozumiąłem — rzekła Florencia.

— Oto tak, gdyby mnie żona uznała waryatem jedynie z powodu rzucenia zegara w ogień w zapale poetycznych uniesień, i gdyby mię odbiegła jak uczyniła małżonka Byrona, zamiast pisywania listów jak on, postąpiłbym inaczej.

— Jakże to? — spytała żywo Florencia.

— Tak, jakby zrobił każdy z prawych Hiszpanii synów, którzy najlepiej się na takich rzeczach znają. A tybyś jak postąpił Edwardzie?

— Nie wiem, może tak jak Byron.

— To się na nic nie zdało. Jabym wsiadł do powozu, gdybym go nie miał to na konia, a jeżeliby i konia nie było, to na własnych nogach udałbym się najspokojniej do domu gdzieby moja zbiegła przebywała, wzięłbym ją czule pod rękę i powiedział wszystkim obecnym: z drogi, panowie, to moja żona, zabieram ją do siebie!

— A gdyby nie chciała pójść, mój panie? — rzekła Florencia.

— No... oczywiście wtedy jabym pozostał tam gdzie ona. Tylko w razie gdyby mię gospodarze domu za drzwi wyrzucili, to bym wyszedł za nie z moją żoną i rzecz skończona... Ale otóż i kawa!

Służący wniósłszy kawę postawił lampę na stole i zamknął okiennice gdyż wieczór już zapadał. Wszyscy stół obsiedli, i z uciechą patrzyli jak Daniel rozkoszował się wonnym napojem z miną prawdziwego znawcy.

— Wielka szkoda, — mówiła pani Dupasquier, — że nasz Daniel nie odbył podróży do Konstantynopola.

— To prawda, — odrzekł Daniel, — tam wypijają po tuzinie filiżanek kawy! Ale ja od pewnego czasu odprzysiągłem się od podróży na całe życie.

— A zwłaszcza gdyby do Konstantynopola trzeba było płynąć *ballenerą*, — zauważyła Amalia.

— I przez połowę nocy znajdować się po szyję w wodzie dla dostania się napowrót do domu, — dodała Florencyja rzucając spojrzenie wyrzutu na Daniela.

— I narazić się na nieprzyjemność że jakiś gorliwy strażnik weźmie go za kontrabandzistę, — dorzucił Edward.

— Hola! *et tu contra me*, druhu? A prawda, ty najogłędniejszy z ludzi w przygotowaniach do podróży, potrafisz tak się wybrać żeby ci włos z głowy nie spadł!

— Bo w przygodzie na ciebie będzie rachował, — odparła Amalia z czułym na Edwarda spojrzeniem.

— I na to także iż mi Opatrzność da znać: bo co do jego w tej mierze starania, wiem z doświadczenia czego mam się trzymać.

— Daniel ma słuszość, — zauważyła pani Dupasquier.

— Otóż Danielu, zawsze to było dla nas zagadką, jak się stało że zjawiłeś się obok niego w tej okropnej nocy? — spytała Amalia.

— Ponieważ dziś jestem w dobrym humorze, więc ci tę zagadkę rozwiążę.

Wszyscy zwrócili baczną uwagę na dalszą mowę Daniela.

— O godzinie piątej wieczorem dnia 4-go maja, otrzymałem bilecik od tego tu jegomości, donoszący mi że przed nocą opuszcza Buenos-Aires. Zaczyna być modnym, pomyślałem sobie. Ale ponieważ jest we mnie coś proroczego, zaczęła mię ogarniać obawa jakiegoś nieszczęścia. Poszedłem do niego: niema nikogo, zamknięto. Biegnę do jakich dziesięciu lub więcej kolegów: toż samo. Już w pół do dziesiątej wieczorem nie mogłem dosiedzieć w domu tej oto pani; przekroczyłem jedyny raz w życiu prawidła dobrego tonu, i wyszedłem narażając się na ... no, narażając się *et cetera*, seniorita dokończy frazesu. Wyszedłem więc i krążę po mieście aż do mieszkania jednego z moich przyjaciół Szkota, który musi być w zмовie z Rozasem aby nasze miasto wyludnić: on jednych wywozi do Montewideo, a Rozas drugich wysyła gdzie indziej. Lecz Szkot mój spał głęboko, jak gdyby w swoich znajdował się górach czekając aż Walter-Scott przyjdzie go sportretować. Był to dzień jego rekreacji. Cóż tu robić? Uciekam się do loiki: na statek wsiada się tylko u rzeki, a więc, ponieważ Edward ma wypłynąć, spotkać go można nie gdzie indziej jak na brzegu. Z tym syllogizmem zbiegam na dół, i jak cień zakłęty snuję się po rzeczonym nadbrzeżu.

— Sam jeden! — zawołała Florencyja blednąc.

— No! bo milczę!

— Nie nie, mów dalej! — rzekła zdobywając się na uśmiech.

— Uszedłem już kilka staj drogi, a cisza i pustka w rozpacz mię wprowadzały, gdy wtém ucha mego doszedł szczepek broni; skierowałem się w tę stronę, i wkrótce poznałem głos tego którego szukałem. Potém ... potém już koniec powieści, — zakończył Daniel widząc bladłość młodych kobiet.

Edward zabierał się nadać inny zwrot rozmowie, kiedy szmer w przedpokoju obrócił wszystkie spojrzenia ku drzwiom, przez które wnet weszły dwie damy: były to panie Mancilla i Ezcurra. Wszyscy mocno zajęci opowiadaniem Daniela, nie usłyszeli turkotu powozu po piaszczystej drodze, i Edward nie miał już czasu odejść do dalszych pokoi, jak to zwykle czynił za przybyciem kogoś z obcych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

MARCIN BIELSKI,

przed sądem królewskim w Piotrkowie 1552 r.

Podał do wiadomości A. Pawiński.

Delere licebit

quod non edideris, nescit voxmissa reverti.

Hor. ar. poet.

Wszyscy, a tych jest liczba nie mała, co o Marcynie Bielskim pisali, słusznie na brak wiadomości o jego życiu się skarżą. Ten, który pierwszy u nas zaczął w polskim języku uprawiać dziejopisarską niwę, więcej nam jest znany z pism swoich niżeli z domowego żywota. Prócz kilku szczegółów, podających rok urodzenia i śmierci (1495, † 1575), niemal żadne inne rysy nie uwydatniają nam postaci dziejopisarza polskiego, nie obznajmiają nas z losami jego osoby. „Bohomolec w przedmowie do edycji Warszawskiej, pisze J. M. Ossoliński (1), krom wzmiankowanych okoliczności, nic o nim przytoczyć nie mógł; jakoż i ze wszystkich własnych pism Marcina Bielskiego nie więcej daje się wyczerpnąć, jak że z młodu wojskowo służywał, nawet znajdował się na Obertyńskiej z Wołoszą pod Janem Tarnowskim i że zostawał na dworze sławnego Kmity, wojewody krakowskiego.“ Kilku nowemi szczegółami wzbogacił życiorys Marcina Bielskiego F. Sobieszczański w przedmowie do wydanego przez siebie „Dalszego ciągu kroniki polskiej“ (2). Na nich opierają się też głównie wiadomości, jakie podał Nehring, rozprawiający między innemi historykami polskimi XVIgo wieku także i o Marcynie Bielskim (3).

(1) Wiadomości hist.-kryt. I. 394. 1819 r.

(2) Joachima B., dalszy ciąg i t. d., wyd w Warszawie, 1851 roku.

(3) O hist. polsk. XVI-go wieku. Poznań, 1861 roku.

Szczupły zakres, w jakim się zamknęły dzieje żywota pierwszego polskiego historyka, który jesteśmy w stanie powiększyć, podając do wiadomości ciekawy a nieznaný dotąd szczegół, stanowi przyczynek do dziejów osobistych i zarazem rzuca światło na losy, jakie najważniejszą pracę Marcina Bielskiego spotkały, jego Kronikę wszystkiego świata.

W téj księdze dziejowej „na sześć wieków rozdzielonéj“ przypisanéj „Najjaśniejszemu a miłosciwemu Panu Zygmuntowi Augustowi z Bożéj łaski królowi polskiemu i t. d.“ rozpowiada Bielski dzieje powszechne, dołączając do nich w ostatnim rozdziale dzieje Polski, doprowadzone do śmierci Zygmunta Igo w 1548 roku. W dwa lata późniéj t. j. w roku 1550 ukazało się pierwsze jéj wydanie w 4ce.

W tém pierwszém wydaniu Kroniki świata pomieszczona jest o sejmie Radomskim, złożonym w roku 1505 przez króla Alexandra, następująca wiadomość:

„Na tym sejmie (list 261), król z radami swemi uffalił, wszytki złoczyńce a mordercze karac y starostom przykazał aby takie karano na gardle według przewinienia, stey przyczyny Rusinowska poimana y obieszona w meszczyznim ubraniu jako sie nosiła, bo zbiyała y kradła, też Osuchowskiego y Myszковского ubieszono, którzy w Sędomirskiej ziemi drapieżyli.“

Był to wiek, w którym książka poważna, dzieje świata roztrząsająca, powszechne budziła zajęcie. Nadto, o ile wiemy, Kronika Bielskiego była pierwszą historią obejmującą całość dziejów w języku polskim. Sama już osnowa zalecała książkę zwłaszcza w państwie, które na tak szerokie weszło tory życia publicznego. O ileż większe powodzenie zapewniało naukowej pracy takie pióro dziejopisarskie, jakiém władał Marcin Bielski. Że się Kronika świata po pierwszém jéj wydaniu bardzo prędko rozpowszechniła, świadczy o tém drugie wydanie, które już się w cztery lat a późniéj w 1554 roku ukazało. Znać, współcześni trafnie wartość dzieła ocenili. Nic dziwnego, że Kronika Bielskiego samemu królowi przypisana, znalazła się niebawem w rękach mężów stanu, senatorów i licznego rycerstwa. Nie dziwi nas także bynajmniej, że Myszkowscy, co na senatorskich naówczas zasiadali krzesłach, byli wielce zgorzzeni wyczytawszy wyżej przytoczoną z kroniki wiadomość o powieszeniu Myszковского, „który w Sędomirskiej ziemi drapieżył.“ Myszkowscy, którzy następnie margrabiowski zostali zaszczytzeni tytułem, już wtedy wysokie piastowali dostojęństwa. Mikołaj na Spytkowcach Myszkowski w roku 1550 postąpił na kasztelanią radomską (1). Drugi z nich około tego czasu, Stanisław z Mirowa, był wojskim krakowskim i krajczym królewskim. Obaj więc Myszkowscy zapoznawali Marcina Bielskiego przed sąd kró-

(1) Świadczy o tém akt z r. ku 1550, zapisany w Metryce Koron. ks. 78 f. 412.

lewski za rozgłaszanie pismem fałszywych i sławie ich uwłaczających wieści. Król zjechał do Piotrkowa, gdzie się odbył w początkach 1552 roku walny sejm znany z głośnego wystąpienia izby poselskiej przeciwko zbyt rozległej jurysdykcji duchownej. O tym sejmie pisze Joachim Bielski pod r. 1552 (1): „Wtedy był sejm w Piotrkowie na pierwszy dzień miesiąca lutego, na który król z Litwy przyjechał. Tam dopiero na tym Seymie przy Mszy o Duchu Ś. (od której się zawsze chwalebnie sejm w Polsce zaczyna) przy podnoszeniu Ciała Pańskiego należeli się niektórzy przed oczyma królewskimi, co czapek nie zdymując stali ani klękać chcieli. Więc pierwój mięso we Szrodę dano, potym ksiądz żonę pojął, a teraz już świętości nie czczono.“ Na tym więc głośnym sejmie rozbieraną była sprawa Marcina Bielskiego, której cały przewód według aktu znalezionej przez nas w księdze Asesorji kor. (ks. 11, f. 6.) w przekładzie przytaczamy.

„Zygmunt i t. d. Oznajmujemy listem niniejszym wszystkim, komu na tém zależy:

Że w sprawie między J. Wielmożnemi Mikołajem kasztelanem radomskim, starostą zatorskim i międzyrzeckim oraz Stanisławem z Mirowa wojskim krakowskim i stołu naszego krajczym Myszkowskiemi jako powódcami z jednej, a urodzonym Marcinem Bielskim z Białej z drugiej strony pozwanym, przed nas wytoczonej i rozbieranej na skutek pozwu tychże podwódców, na mocy którego pozwali tegoż Marcina, iż tenże Bielski w pewnych księgach swoich czyli Rocznikach przez niego w popołitym i polskim języku wydanych dotknął nazwiska i rodziny Myszkowskich i w owych księgach o ich domu i rodzinie rozgłaszał hańbiące wieści w tém mianowicie znaczeniu, jakoby w czasie sejmu Radomskiego ś. p. Najjaśniejszy niegdyś król Alexander, stryj nasz najukochańszy, karząc złoczyńców swego państwa, zniewolony był niejakiego Myszkowskiego za zbrodnie skazać i na gardle ukarać, prosili zarazem, aby z tego powodu pomieniony Bielski na życiu był ukarany za to, że błędnie napisał i wydał tego rodzaju księgi, usiłując zaszczytną rodzinę wzmiankowanych Myszkowskich okryć niesławą, i gdy ta kara należy się autorom pism obelżywych prosili, aby takowa dotknęła także rzeczonoego Bielskiego, iż z umysłu usiłował bezzasadnie takową hańbę przypisać ich zacnej rodzinie, gdyż nigdy to miejsca nie miało, owszem od prawdy dalekiem jest, wielu bowiem z senatorów naszego państwa jako i ze szlachty dotychczas żyje, którzy byli obecni na tym sejmie i sprawę tudzież imiona i nazwiska na gardle skaranych dokładnie znają i pamiętają, a że rzecz się miała inaczej i nikt z téj rodziny ukaranym nie był, jednogłośnie wszyscy potwierdzili i zaświadczyli, że tego nigdy nie było, że tenże (Bielski) mylnie i bezzasadnie napisał, jak to bliżej pozew powódców opiewa.

(1) Wyd. 1596 r., str. 597.

Gdy z drugiej strony pomieniony Marcin Bielski, prawnie i osobiście stawajacy, z mocy sluzacej mu odpowiedzi sadowej wywodzil, iz blad ten nie z umyslu przezen popelniony zostal ani z wyrazonej checi, tylko powstal raczej z niedbalosci przepisujacego, ktory kilka zmienil liter, gdyz zamiast napisac Mysowski przepisal Myszkowski i oswiadczajac, iz jest przekonany o chlubenem i nigdy nieskalanem prowadzeniu domu i rodziny tychze Myszkowskich, pod tym wzgledem przekonanie swoje ujawnil, oraz przedstawil kilka egzemplarzy pomienionych Rocznikow przez siebie wydanych, w ktorych nie Myszkowski ale nazwisko niejakiegos Mysowskiego wydrukowanem bylo, z czego widać bylo, ze w innych egzemplarzach nie z umyslu, tylko blad popelniono w nazwisku, i oswiadczal przytem, iz gdyby mu w tym wzgledzie nie dawano wiary, gotow sie usprawiedliwic wedlug wymagań prawa i przedstawil nadto egzemplarz wzmiankowanych Rocznikow wlasna tegoz Bielskiego raka pisany, z ktorego sie okazalo, iz nazwisko innej osoby mianowicie Mysowskiego a nie Myszkowskiego umieszczone bylo, —

Gdy zaś powódzcy usprawiedliwienie zbijali, przedstawiając Roczników trzy czy cztery księgi, przez samego Marcina Bielskiego wydane i żądali, aby pozwany za to był pociągnięty do kary i abyśmy w tej sprawie według prawa i sprawiedliwości wyrok wydać raczyli, —

My wraz z Radcami naszego państwa natenczas obok nas siedzącami, wiedząc o tem, iz rodzina Myszkowskich zawsze prowadziła się tak chlubnie, iz nikt z niej żadnym występkiem ich zacnej sławy nie splamili, żyją bowiem jeszcze senatorowie państwa, co za czasów naszego stryja obecni byli na radomskim sejmie, którzy zaświadczyli, iz żadne nawet najlżejsze nie powstało podejrzenie co do kogokolwiek z rodziny Myszkowskich, zbadawszy dobrze i roztrząsnawszy spór stron, przejrzawszy i oceniwszy egzemplarze pomienionych Rocznikow tak przez rzeczonych Myszkowskich jako też i Bielskiego przedstawione, widząc z zachodzącą między nimi różnicą, że raczej blad niż cokolwiek innego popełniono, ale chcąc zarazem zapobiedz i przeszkodzić, by nikt nadal pod pozorem omyłki coś podobnego nie śmiał pisać lub wydawać, coby sławie i dobremu imieniu nie tylko tak głośnej i zaszczytnego prowadzenia rodzinie ale nawet komukolwiek z dobrem prowadzeniem uwłaczać lub szkodzić mogło,

Postanowiliśmy i stanowimy niniejszym listem, — iz Marcin Bielski powinien złożyć przysięgę w tej formie i w takiej rocie, że on sam się nie przyczynił i nie dał powodu, oraz że tego nazwiska nie napisał ani o tem wiedział, tudzież, że nie z jego polecenia, ale przez pomyłkę przepisujacego blad ten się dostał do egzemplarzy czyli ksiąg przezen wydanych, tak niech mu dopomoże Pan Bóg i Krzyż Świąty;

Ponieważ zaś tenże Marcin Bielski według podanej wyżej formy i roty przysięgę wykonał i wyrokowi naszemu we wszystkiém zadość uczynił,

Chcemy i stanowimy:

Iż ciż Myszkowscy na tém jego usprawiedliwieniu się po-przestać winni, a co się ich tycze, to im się przez tegoż zaprzeczenie w sposób najgodniejszy zadość stało, zresztą błędy i przewinienia na łaskawość zasługują.

Z tego téż powodu, skoro pomieniony Bielski przysięgą stwierdził, iż to nie z umysłu ale przez pomyłkę zrobioném zostało, jego sławie i dobremu imieniu na przyszłość szkodzić nie będzie i nie powinno, jakoż go od pociągania do odpowiedzialności i z pod zarzutu uwalniamy. Tém nie mniej wszakże skoro wiadomém nam jest, senatorom naszego państwa i rycerstwu, że rodzina Myszkowskich żadną się nie okryła hańbą, ani nią teraz obciążoną nie jest, aby obecna sprawa im i ich rodzinie żadnego na przyszłość mę przyniosła uszczerbku, temu niniejszym dekretem zapobiedz postanowiliśmy, stanowiąc oświadczamy niniejszym naszym wyrokiem, że Myszkowscy i ich rodzina dobrego i chlubnego prowadzenia dziś jest i dawniej zawsze była, czemu się nie sprzeciwia to, iż sprawę i skargę przeciwko Marcinowi Bielskiemu wytoczyli, i w moc orzeczenia naszego ogłaszamy, że przewinienie z winy wzmiankowanego przepisującego ich rodzinie przypisywane nigdy spełnioném nie było, lecz przypadkowo w téjże księdze Roczników zapisane i wydrukowane zostało.

W dowód i na świadectwo czego pieczęć nasza na niniejszém wyciśniętą została. Dano na sejmie walnym Piotrkowskim szóstego dnia (w piątek) najbliższego po niedzieli Suchej (t. j. 18 marca) roku Pańskiego tysięcznego pięćset pięćdziesiątego drugiego, panowania naszego dwudziestego drugiego.

Wpisane do księgi przez Jana Przerębskiego,
podkanclerzego K.

Cała sprawa według aktu przytoczona jest zrozumiała i żadnych objaśnień nie wymaga.

Zobaczmy jednak, jakie się zachowały ślady téj sprawy w drugiem wydaniu Kroniki świata M. Bielskiego, które się już w dwa lata po owym wyroku ukazało. Tam pod r. 1505 o tym sejmie Radomskim z czasów króla Alexandra czytamy, co następuje:

„Na thym seymie król zradami swemi uffalił wssytki zło-czyńce a mordercze karać a starostom przykazał, aby takie karano na gardle według przewinyenya. Stey przyczyny Rusinowska poimana y obyessona we messczynskim ubranyu, bo sye tak nosiła w bocyech y w stroyach pod pirzem, która zbiyała y kradła. Tak-kyeż *Myssowski* y *Ossuchowski* byli poimani y pościniani, którzy w Sędomirskiej zyemi kradali. *W pirssyeh kronikach polskich stalo sye omylenie przez nyepilnosc Impresorską, iż na myesce Myssowskiego lotra położono Myszkowskiego, dobry ze ztym nye ma co czynić*”.

Mamy więc w powyższych słowach potwierdzenie sprawy, jaka się przed królem toczyła. Dla większego uspokojenia Myszkowskich, Bielski na tój samój drodze, na jakiej był ich obraził, uczynił jawne odwołanie.

To *omylenie* i kłopot, który ztąd powstał dla Marcina Bielskiego, może wpłynęły na zniechęcenie pierwszego polskiego historyka do zawodu dziejopisarzkiego, ale w każdym razie, jak wiadomo, syn Joachim nie uląkł się pracy na tój samój ciernistój niwie.

Decretum inter generosos

Nicolaum castellanum Radomiensem et Stanislaum de Mirow Tribunalium Cracoviensem Myskowski et nobilem Martinum Bylsky.

Sigismundus etc. Significamus praesentibus literis, quorum interest, universis, quod in causa inter generosos Nicolaum castellanum Radomiensem Zathoriensem Miedzyrzeczensemque Capitaneum et Stanislaum de Mirow Tribunalium Cracoviensem ac mensae nostrae structorem Myskowski tanquam actores ex una, et nobilem Martinum Bielski de Biala parte ex altera citatum, coram nobis vertente et agitata ex ipsorum actorum citacione, qua ipsum Martinum citaverant, quomodo ipse Bielsky in quobusdam libris suis seu Annalibus per eum vulgari ac polonico idiomate publice editis et conscriptis, nomen ac familiam ipsorum Myszkowskich perstrinxisset et in eisdem libris malam et suspectam opinionem de domo ac familia ipsorum sparsisset in eum videlicet sensum, quasi tempore conventus Radomiensis piaec memoriae Serenissimus olim Rex Alexander patruus noster desideratissimus, Regni sui grassatores punire tunc temporis studens, quendam Myszkowskii maleficii causa condemnare debuisset, extremumque supplicium de eo sumendum mandasset, supplicaveruntque simul ut praefatus Bielsky propterea in vita puniretur, quod false scripsisset et edidisset eiusmodi libros, data opera, familiam praedictorum Myszkowskich honestam nota infamiae aspergere volens, quae poena famosorum librorum scriptoribus debetur, ea in praefatum Bielski extenderetur propterea quod honestae eorum familiae eam infamiae notam dedita opera falso tum adscribere conatus esset, cum hoc in re nunquam fuisset, imo a veritate esset alienum, praesertim cum multi tam ex Senatoribus Regni nostri quam ex Nobilitate adhuc vivunt, qui praesentes ibidem interfuerunt ac rem gestam nominae atque cognomina eorum in quos animadversum est, probe scirent et meminerint, rem aliter gestam fuisse neque quemcunque do hoc cognomine punitum esse, quod uno ore affirmarent et testificarent, hoc ita nunquam esse factum, ut ipse false et minus vere scripsisset, prout citacio ipsorum actorum canit latius. Ubi ex adverso praefatus Martinus Bielsky legitime et personaliter comparens, allegatus in vim responsionis iudiciariae, hoc erratum non studiose neque ex industria aliqua se fecisse, verum per calcographi negligentiam accidisse, ut literas quasdam mutaret, nam ubi debuit scribere Mysowsky illic descripsit Myskowski asserens testimonium

indubitatum ac certam scientiam de honesta et nunquam contaminata conversatione domus ac familiae ipsorum Myskowskich verificando, intentionem suam exhibuit et reprodixit nonnulla exemplaria praefatorum Annalium quae edidit, in quibus non Miskowsky sed cuiusdam Myssowsky nomen fuit expressum, unde apparebat in aliis exemplaribus non data opera, sed errorem in cognomine esse commissum, offerens se de hoc, ubi ei fides non daretur, ita ut iuris esset iustificaturum, deducebatque ac producebat exemplar praefatae annalis historiae manu ipsius Bielski scriptum, in quo apparebat nomen alterius personae puta Mysowski esse scriptum et non Myskowsky.

Actoribus contrarium allegantibus et tribus aut quatuor Annalium libris per ipsum Martinum Bielski editis hoc ipsum probantibus postulantisque, ut in ipsum citatum ob id animadvertere atque id. quod iuris et iustitiae esset, decernere dignemur.

Nos cum consiliariis regni nostri protano lateri nostro assidentibus, principio compertum habentes familiam Miskowsky ita se semper gessisse honeste in regno nostro, ut nemo ex ea extiterit, qui vel nota honestam illius opinionem aspserit, extentque etiam nunc Senatores Regni, qui vivente patruo nostro conventui Radomiensi interfuerunt, qui testati sunt nunquam vel tenuem aliquam suspicionem de aliquo ex Myschkowskich familia ortam tunc fuisse, partium controversia bene cognita et examinata revisisque et recensitis praedictis annalium exemplaribus tam per praefatos Mischkowskie, quam etiam Bielskie reproductis, attendentes ex diversitate eorum potius errorem quam aliud quidpiam commissum fuisse, volentes tamen obviare et praeccludere viam, ne sub praetextu erroris deinceps quispiam tale aliquid scribere vel edere auderet, quod bonam aestimationem et opinionem non solum insignis et probae conversationis familiae, sed nec personam cuiuscunque hominis bonae conversationis impetere vel laedere audeat, — decrevimus ita vel decernimus praesentibus literis, ipsum Martinum Bielski corporale iuramentum praestare debere in hanc scilicet formam et rotham, per eum non stetisse, neque occasionem dedidisse, neque hoc cognomen scripsisse, neque in vulgus emisisse, neque de hoc soivisse, sed nec mandato suo sed errore calcographi hunc errorem in exemplaria seu libros per se editos inductum et inspersionem esse, ita cum Deo adiuvet et Sancta Crux. Quoniam vero ipse Martinus Bielsky in forma et rotha hic descripta et expressa hoc ipsum iusiurandum praestitit ac decreto nostro in toto satisfecit, volumus et decernimus, ipsos Mischkowskie in tali ipsius expurgatione contentos esse debere, honestissimeque quo ad eos pertineat eisdem per ipsius negativam satisfactum esse et quoniam errores et delicta clementiam mereantur, idcirco praefati Bielski, ex quo id iuramento comprobavit errore non data opera hoc factum esse, honori et famae id in futurum non nocebit nec nocere debet, quem a citatione et impetitione liberum et absolutum pronunciamus. Nihilominus etiam, ex quo compertum est nobis Regni nostri Sonatui et equestri ordinis hominibus familiam Myskowskich nulla unquam nota conspersam et contaminatam fuisse neque etiam nunc esse, ne praesens actio ipsis et familiae ipsorum aliquid praecudicii adferre videatur, praesenti decreto hoc

nostro providendum eis duximus, decernentes, prout decernimus praesentibus, ipsos Miskowskie eorumque familiam bonae et honestae conversationis esse nunc et antea fuisse semper, non obstante hoc quod litem et actionem sibi Martino Bielski intenterunt et veluti vitium hoc erroneum calcographi praetacti causa nunquam in denominatione familiae eorum fuisset commissum, sed ita fortuito casu in ipso libro annalium scriptum et excussum, hac nostra sententia mediante. In cuius rei fidem et testimonium sigillum nostrum praesentibus est appressum. Datum in Conventione generali Piotrcoviensi feria sexta post dominicam Reminiscere proxima. Anno domini Millesimo quingentesimo quinquagesimo secundo, regni nostri vigesimo secundo.

Relatio venerabilis Joannis Przerębski,
Vicecancellarii.

Dziennik z oblężenia Paryża.

Napisany przez

Antoniego Oleszczyńskiego (1).

Po nieszczęśliwych wypadkach w Sedanie, gdzie cesarz Napoleon III-ci wraz z wojskiem zdał się na łaskę zwycięzcy, Prusacy dążyli pod Paryż, grożąc onemu oblężeniem i zdobyciem; Paryżanie ufni w swe olbrzymie fortyfikacje rozciągające się na 10 mil francuzkich, uważali pogrozkę za rzecz niepodobną, więc zabezpieczyli się w żywność ledwie na dni kilka lub kilkanaście. Co do mnie, widząc w wypadkach *Palec Boży*, zgromadziłem żywność z górą na cały miesiąc; lecz gdy oblężenie i bombardowanie przedłużyło się do czterech, przez trzy przeto miesiące pożywaliliśmy jak inni końskie, kocie i psie mięso. Za okrasę służyła nam tłustość końska lub łój ze świec przetopionych.

Mięsa końskiego udzielano nam po 300 gramm na cztery osoby i na dni trzy. Tak wielką oszczędność w mięsie dopełnialiśmy chlebem, jakiego w *Ryczywole* lub w *Kluczkowicach* nawet

(1) Autor tego dziennika, dziś sędziwy starzec liczący 78 rok życia, jest z współczesnych najznakomitszym rytownikiem. Szczegółowy życiorys tego artysty, znajduje się w *Encyklopedyi Powszechnej* S. Orgelbranda. Stale osiedlony w Paryżu prawie od lat 47, wytrzymał w nim i oblężenie i był świadkiem panowania i walk komuny. Na prośbę pani Seweryny z Żochowskich D. autorki *Kroniki Paryżkiej i Zagranicznej*, w naszym piśmie drukującej się, skreślił swoje wspomnienia i wrażenia z tego smutnego okresu. Pośpieszamy z ogłoszeniem w całości nadesłanego nam tego dziennika, który zasługuje na uwagę naszych czytelników.

P. R. B. W.

na przednówku nigdy nie widziano. Z czego ten chleb się składał, najlepiej oświéci urzędowy jego opis w tutejszym dzienniku: „Funt tego chleba zawiera w sobie $\frac{1}{8}$ mieszaniny z korzonków kartoflanych, z ryżu, soczewicy, grochu gniecionego, z wyki, owsa i żyta razem zmielonego, $\frac{2}{8}$ wody, $\frac{1}{8}$ słomy i różnych odpadków, jak: plew, obierzyn i t. d.” Smak tego chleba był gorzko-śmierdząco-kwaskowaty.

Mało jedliśmy psów, kotów i szczurów, gdyż ich cena była za wysoka na naszą kieszeń. Był to przysmak szczególnie dla wielkich panów, bo i oni stali się mniej wybredni, gdy cena wiktuałów niesłychanie się podniosła, jak naprzykład: funt masła kosztował 60 franków, funt szynki 50 fr., jajko 3 fr., funt psiego mięsa 8 fr., gęś 150 fr., kapłon 70 fr., indyk 190 fr., miarka kartofli 50 fr., szczur 3 fr., główka kapusty 18 fr., miarka cebuli 80 fr.; wróble nawet zdrożały, gdy je przedtém po *susie* sprzedawano, wówczas po franku jednym ledwo się było można dokupić, jak to w drukowanej taryfie napotykamy.

Na nasze szczęście przezorna żona zaopatrzyła piwnicę naszą w beczukę wina i nieco palonéj kawy: te to wiktuały głód nasz łagodziły. Zimno pokonywaliśmy paleniem w piecu zbyt niemi meblami, gdyż nad naszą możność węgle zwyczajne zdrożały funt do 12 franków, zaś ziemnych kosztował funt 15 franków. Luni bez ceremonii szli na bulwar lub skwer, ścinali odwieczne drzewa i jak swoje brali na ogrzanie. Dla nas ten sposób zaopatrzenia się w drzewo, nie był łatwy i przywoity.

W tak przykrém położeniu, kiedy w naszej portmonetce już nie było jak 35 fr., przywlokło się do nas dwóch ziomeków, niegdys dumnych i szumnych, a teraz zgłodniałych i już od półtoréj doby nie mających żadnego pożywienia! Dawszy im najprzód moralną naukę, że nie należało dawniej tak rozrzutnie szafować szampanem i pasztetami... skracając morał, bo nim długo traktować zgłodniałych byloby okrucieństwem, zaprosiliśmy ich na obiad tego rodzaju: zamiast sztuki mięsa ugotowaliśmy na rosół porządny kawał koniny, do tego zamiast włoszczyzny wrzuciliśmy trzy kartofle, bo ich więcéj nie mieliśmy; na pieczyście była połowa kota (ale pod nazwą królika), na deser korniszony z chlebem. Te przysmaki chociaż bez soli, bo już jéj nam zabrakło, przecież okraszone winem i kawą bez cukru, wydały się im i nam wybornémi, chociaż nasz rosół był bardzo cienki a mięso nie bardzo świeże. Na odchodném, nasi goście dziękując nam za ucztę, dodali: *kociól garnkowi przymarwia a oba smolą*; prawda, że my niegdys zbytkowali, wy zaś zbytkujećie teraz dając nam obiad, jaki od dwóch miesięcy nam się nawet nie przysnił.

Po tym bankiecie, gdy nasza kassa aż do siedmiu franków się zredukowała, poczęło nas udrećzać przekonanie, że jutro my sami będziemy musieli dzień cały opędzić o gorzkim chlebie!... Ufni przecież w Opatrzność Boską nie rozpaczaliśmy, w przekonaniu, że dzieląc się z potrzebniejszymi, Bóg nam uczynność wy-

nagrodzi i zasłoni od ostateczności. Gdy więc ja żonę a żona mnie w ten sposób pociesza, przychodzi *konsierż* i nas uwiadamia, że przyniesiono dwa pakiety pod naszym adresem... W pierwszym znajdujemy 500 franków przysłanych nam z Bruxeli od naszej Jadwigi; druga zaś paka zawierała pożywne wiktuały: mięso wędzone, salcesony, ryż, cukier i ciasta nawet, przysłane nam z Londynu od pana *Hull* ojca pani *Placheckiej*, przez ambasadę. Ta niespodzianka mimowolnie przypomniała nam ów psalm: „*Kto się w opiekę poda Panu swemu, i t. d.*” uznaliśmy, że ten śpiew Dawida nie był czczém słowem!

Tak pożywienie nasze chociaż suto na czas niejaki zabezpieczone, przecież całkowicie nas nie uszczęśliwiało, gdy przekłete bomby jak złowieszcze ptaki uwijały się po Paryżu. Raz gdy w salonie zatrudniałem się układaniem ksiąg w mój ubogiej biblioteczce, wpada bomba w dom stojący naprzeciw mojego, przebija dach, trzecie i drugie piętro pokojów i swym rozpryskiem wybija mi okna i tłucze porcelanę na *geridonie* rozstawioną!... Mnie przecież te żuzle ominęły... , lecz, aby uniknąć podobnego razu, przenieśliem się do pokoju od dziedzińca, a żona moja zesłała wraz z sąsiadami do piwnicy. Wtém wpada bomba na dziedzińiec i zapala stajnie tuż pod mémi oknami!... Dym już począł zaglądać do moich okien... , zbiegam więc na dół i wywoławszy sąsiadów z piwnic, wspólnemi siłami gasimy pożar wodą i piaskiem, które przeczorny gospodarz domu wcześniej przygotował na wszelki wypadek.

Zawarty pokój nie długo nas uszczęśliwiał, chociaż żywność i produkta poczęły wracać do dawniejszej ceny, a Prusacy odstąpili gościńce; lecz wśród tak pożądanego szczęścia, pojawiła się przekłeta Komuna gorsza od bomb, głodu i oblężenia... Skład jej był następujący: Dwunastu dziennikarzy; bo tu wielu jest gotowych do usług nierządowi, czterech nauczycieli szkółek wzdychających do rektorstwa, czterech adwokatów bez klienteli, trzech lekarzy bez zatrudnienia, dwóch aptekarzyków, pięciu malarzy bez talentu prócz Courbeta, dwóch architektów co nigdy nie budovali, dwóch inżynierów, którzy swych nauk jeszcze nie skończyli, sześciu kupczyków, jeden rzeźbiarz bez stawy i zatrudnienia, dwóch kramarzy, jeden jubiler, jeden rytownik, jeden drukarz, dwóch introligatorów, dwóch farbiarzy, sześciu szewców, jeden kapelusznik, pięciu robotników machin, jeden bednarz, jeden kotlarz, jeden stolarz, jeden rachmistrz, jeden perfumista, dwóch studentów z tępą głową i trzech właścicieli kawałka ziemi. Prócz tych jeszcze dziewięciu członków téj osobliwej komuny, której skład tak różnorodny bez sensu, bez serca i sumienia powziął pretensyę rządzenia Francją, obalenia religii i narzucenia całemu światu swych fantastycznych urojeń; a na tajemném posiadzeniu téj obrzydłej komuny niejaki Blanqui z natury i profesyji zapamiętały konspirator, zrobił wniosek przyjęty z wielkim oklaskiem w tych słowach: „Kto nie chce żebyśmy go uszczęśliwili, zabije-

my go. Nie można zniszczyć własności bez zabicia właściciela, sprawiedliwości bez zabicia sędziów, religii bez zabicia księży. Liczba egzekucyi musi dojść dwóch milionów i spełnić się w ciągu dni piętnastu."

Z początku komuna pisała po murach: wolność, równość, braterstwo! Były to powabne wykrzykniki, lecz w rzeczywistości ona nie myślała o innej wolności jak o takiej jaką nasz Skarga w ten sposób potępił: „Jestto dyabelska wolność żyć bez prawa, bez urzędu, na zwierchność niedbać, mędrszemu i starszemu nie ustąpić, wolność mieć do łupienia i do zabijania!" Do niejakiego czasu komuna udawała, że wszystko co robi, to robi w interesie Paryża, Francyi, a nawet całej ludzkości; lecz nareszcie zrzuciła kłamliwą maskę, otworzyła drzwi zbrodniarzom i wcieliła ich do swych zbirów. Zgromadziła zakładników i tych wraz z arcybiskupem, 65 księży i tyluż żandarmów rozstrzelała. Pozamykała kościoły, obdarła je z wotów srebrnych i złotych, nareszcie sprofanowała, otworzywszy je dla klubów szalonych.

Raz przechodząc wieczorem koło naszego kościoła *S-go Jakóba*, postrzegłem kościół otwarty i oświecony; sądziłem przeto że tam być musi jakie nabożeństwo: wszedłem więc do kościoła z uszanowaniem. Ten był pełen hałastu w bluzach z nakrytą głową i z fajkami w ustach. Z pośród nich jeden mówca wtoczył się na ambonę ze swym psem faworytem, który wsparłszy się na poręczy, przerażony mnogością ludu, począł przeraźliwie szczekać. Echo kościelne pomnażało hałas, a czém więcej odbierał oklasków, tém więcej wyć począł. Nareszcie ściągnięto go z ambony, a podchmielony mówca tak począł perorować: „Obywatele! z tej ambony już się dosyć nasłuchaliście głupstw, bajek i fałszów! Oto ja z tejże samej ambony odkryję wam prawdy, których nigdy od księży nie usłyszycie, a najprzód mówić będę o Bogu!" . . Na ten wstęp cały kościół zagrzmiął oklaskiem, a ja wyszedłem z kościoła nie ciekawy zapowiedzianych objawień przez niedorzecznego mówcę i teologa.

W kościele *St. Germain de l'auxerois* był klub jeszcze rozwzięlejszy, klub kobiet, na którym one tylko z ambony przemawiały, zostawiwszy mężczyznom jedyny przywilej przyklaskiwania! Tam najprzód wysoka, chuda, blada i zczowata baba chyżo wbiegła na ambonę i poczęła piorunować na mężczyzn, przywłaszczających sobie prawo władzy wyłącznie dla siebie, jakby to kobiety równie jak oni, nie mogłyby być professorami, posłami, urzędnikami! Po tej druga, mała, krępa i tłusta narzekała z ambony na prawa krajowe nie pozwalające rozwodów...., ztąd krępujące położenie kobiet, które słusznie obrzydziły sobie niewolniczą uległość mężom. Wzywała więc klub, aby ten groźnie odniósł się do komuny, żądając usunięcia prawa tak niewygodnego dla kobiet! Nareszcie trzecia ukwefiona ropucha dopadłszy ambony poczęła pleść banialuki od powyższych niedorzeczniejsze z wezwaniem aby każda z nich miała na pogotowiu zapalki i petrol, by w danym razie mo-

gły sobie uczynić statysfakcyę z bogaczy! Mowę tak gorącą zakończyła słowami: Precz ze stolicą! precz z bogaczami! precz z majątkami.

Kiedy więc po tak zwanych djatrybach cały kościół napełnił się oklaskami i szemraniem, inna jakaś gosposia rumiana z brudnym fartuchem i niedbale uczesaną głową, wezwała obywatelki do uciszenia się i kaczkowatym swym głosem tak poczęła perorować: „Ja nie z ambony lecz z mego stołka odpowiem na trzy słyszane kazania. Na pierwsze: że nie życzę sobie zostać urzędnikiem, chociaż umiem czytać i trochę pisać, bo któż za mnie umiecie izbę, umyje dziecko i zaprowadzi go do szkoły; kto nareszcie ugotuje nam obiad i pościeli łóżka? nie mam więc czasu na urzędowanie. Co do drugiego kazania uważam, że rozwód byłby niezłym, gdyby każdy mąż w niczem nie mógł swęj żony zadowolnić i jej się do czegobądź przydać. Lecz po większej części mężczyzni, mimo swęj groźnej miny (jak mój mąż), są pracowici i posłuszni żonom, jeżeli tylko energia żony umie prowadzić męża za nos i wyrobić w nim posłuszeństwo; lepiej więc że niema rozwodu. Co zaś do trzeciego kazania, tego w całkowitości pochwalić nie mogę, bo czyliż nie lepiej jest schować petrol do naszych lamp, przy których cđrujemy i obszywamy domową bieliznę?” Tu chwilę zastanowiwszy się, solennie wyrzekła: „Jeśli krzyczymy precz z bogaczami! to dlatego, że chcemy postawić się w ich miejscu. Inaczęj byłoby to wielkie głupstwo!“ Hałas, świstanie i oklaski długo nie ustawały.

Niniejsze szczegóły przytaczam dla okazania z jaką to łatwością komuna zdołała wzniecić w motłochu fałszywy apetyt i zachwiać jego uszanowanie dla prawego rządu, religii i dla wszelkich praw Boskich i ludzkich, bez których człowiek staje się zwierzęciem tylko z instynktem tygrysa! . . . Niegdyś sprawiedliwe były uwagi Jana Zamoyskiego, któremu gdy Zebrzydowski odkrył zamiar rokoszu, Zamoyski odpowiedział: „Cofnij waszmość swój krok niebezpieczny. Wiem ja, że łatwo jest wzniecić pożar, lecz go ugasić daleko jest trudnięj. Łatwo obudzić jest niesforność, dumę i osobiste widoki ludzi nierozważnych; lecz aby ich potem sprowadzić do karbów, potrzeba czasu i środków gwałtownych: nie radzę przeto zacne waszmości imię wystawiać na potomną nagangę, zaniechaj waszmość rokoszu.“ Uwagi tak mądre i nigdy nie przestarzałe, gdyż oparte na poznaniu natury ludzkiej, której jak dotąd tak i nadal zapewne nikt zmienić nie potrafi; gdyby się kto ośmielił komunie je przedstawić, byłby od nięj uznanym za bałamuta godnego klątki Bonifratrów . . . , bo komuna lekceważąc wszelką mądrość przeszłości marzyła o postępie, a w rzeczywistości cofała się do barbarzyństwa! . . . Ściągnęła więc na Paryż i na Francę pogardę i upomnienia obcych, bardzo niezaszczytne i po gazetach zagranicznych rozmazywane.

Kiedy Francya przygniecioną została pięciu miliardami wojennęj kontrybucyi w skutek niewczesnego wybuchu komuny, tra-

ciła codziennie trzydzieści cztery miliony czyli miliard na miesiąc. Szczegółowe wyrachowanie tych summ olbrzymich znajduje się w *Dayli Telegraph*. Tymczasem komuniści wydzielali dla siebieienne pensye tak dostateczne, że mogli opilstwo i obżarstwo posunąć aż do zbytku. Dziennik *le Soir* podał do potomności ciekawą kartę śniadania, którą u *Freres Provençaux* pożywał *Raul Rigault* ze swym przyjacielem *Dacosta*. Oba niegdyś biédacy, co by zupą szczawiową doskonale śniadali, dziś jako członkowie komuny jedli śniadania Sardanapalskie. . . . Jakiż to tam być musiał ich obiad? gdy to śniadanie kosztowało 75 franków i 35 cen.

Co zaś do tutejszych uboższych mieszkańców, ci więcej jeszcze zubożeli, żyjąc przez kilka miesięcy z gotowego grosza i bez zarobku. Jedli więc po dawnemu psy, koty i konie, gdyż ich mięsa staniały, a konina tak się w reputacyi podniosła, że jeden z niepoślednich poetów w jej interesie skreślił następną bajeczkę:

Szczęśliwe były czasy, gdy pełen swobody
Po dąbrowach samopas bujał źrebiec młody;
Gdy wędzidłem nie sprężon, kark unosząc w górę,
Zdaleka mijał pola i grody ponure.
Gdzież się te czasy podziały!
Dziś nas ćwiertują w kawały:
Takaż za wierność zapłata?
Przyszedł kres naszój swobodzie:
Ten, co nas siodłem przygniata
Człowiek, pożera nas w głodzie.

Jak niegdyś dla Izraelitów spuszczał Bóg mannę i przepiórki, tak dla ubogich Paryżanów, w podziemnych kanałach nadzwyczajnie rozrodziły się szczury, tak co dawniej jeden kosztował 3 franki, to spadł na 5 sous. Robiono więc z nich wyśmienitą potrawkę, gdy dziennik *Petit Moniteur Universel* ją zachwalił, podał nawet receptę, jak ją przyporządać. Co zaś do psów, dziennik wyszczególnia różnice i zalety mięsa różnych rass psów, na końcu dodaje: „co się tyczy buldoga, to mięso jego twarde, kupuje go się prawie za nic, to jest po 3 franki funt; koty prym trzymają, a przedewszystkié samce i t. p.”

Jeżeli w téj chwili pióro moje zatrudniam tak poziomemi i dziś obrzydliwemi przedmiotami, to w chęci dobitniejszego ukazania, na jaką niedolę wojna, oblężenie i komuna nas tu wystawiła. Zresztą one dowodzą, że aby w ostateczności życie i zdrowie zachować, to zwyczajne naszych obiadów przysmaki nie są konieczne.

Wyżej wspomniałem o sprofanowaniu kościołów, tu dodać należy, że kościół *S-go Piotra* na *Montmartre* był z tych ostatnim, który otrzymał zaszczyt być otwartym. . . . ale dla klubu. . . . gdyż na jego drzwiach był od niejakiego czasu przyklejony dekret,

którego zrazu nie śmiano odlepić, chociaż wymowa miejscowych włóczęgów przynaglała do popisania się na ambonie. Ten pamiętny dekret następnej jest treści: „Zważywszy, że księża to są bandyci, a kościoły to jaskinie, gdzie mordują lud moralnie, delegowany cywilny rozkazuje aby kościół Ś-go Piotra został zamknięty, a księża i zakonnicy uwięzieni. Dnia 10 kwietnia 1871. r. *Le Mossu.*”

Między niezliczoną liczbą ludzi byłem i ja na placu *Vandom*, gdy obalono kolumnę; pomnik ten sławy krajowej był tak mocno zbudowanym, że nie mógł być łatwo przewróconym: podrabano więc jego zręby i sznurami ściągnięto na ziemię usłaną piaskiem i gnojem. Nim upadł na ziemię, jęknął i w powietrzu przełamał się na dwoje i tak wielki pył wzniesił, że aż słońce zaćmił. Był to widok arcyżałosny dla ludzi uczciwych, lecz sankiuloty krzyczeli z oklaskiem: „niech żyje komuna.“ Wtém jakiś starzec stojący przy mnie, widząc moje wzruszenie, szepnął mi do ucha: „niech żyje komuna jak ta kolumna!“ Na to odpowiedziałam: „w tej chwili i ja pomyślałam toż samo i spodziewam się, że nasze życzenia niezadługo się spełnią.“ Uśmiechnął się, kiwnął głową i odszedł odemnie.

Już się też dopełniła miara nieprawości, gdy komuna zaczęła polować na ludzi po ulicach. . . . i gwałtem wcielać do swych zbirów. Strach, niepewność i najuciążliwszy terroryzm przygniótł ze swój natury gadatliwych mieszkańców do milczenia, wzdychania i do ostrożności. *Panteon* podsadzony prochem groził ruiną całemu kwartałowi i nam jego sąsiadom nieochybną śmiercią. Zbrodniarze! do krzyża panteońskiego, odpiłowawszy onemu ramiona, przyczepili do drąga czerwoną chorągiew.

Jeszcze niedostawało komunie środków do wywarcia ostatecznego na Paryż okrucieństwa. Zgromadziła więc około tysiąca kobiet, wybranych z pomiędzy nierządnic i zbrodniarek z więzień wypuszczonych, te podzieliwszy na oddziały, każdemu przeznaczyła pewną okolicę miasta z poleceniem, aby za danym znakiem, lały petrol i podpalały domy. Tej piekielnej zgrai dano nazwę *braves petrauleuses!* Później czyn dowiódł, że te harpie nie zawiodły oczekiwania nieubłaganiej komuny. Widzieliśmy więc nierząd, okrucieństwo, niesprawiedliwość, cynizm, bezbożność, bezwstyd i zuchwałość w całej swój ohydzie.

Wśród tak wielkiego obłąkania umysłów komuna skasowała dzienniki ostrzegające o niebezpieczeństwie, natomiast utworzyła swoje gazety, bezkarnie bluźniące przeciw Bogu, pobudzające do co raz większych zbrodni i głoszące o wielkich swych zwycięstwach nad Wersalczykami; tymczasem oni pobiwszy wszędzie komunistów, dzielnie wdarli się do Paryża i rozpoczęli walkę we wszystkich stronach miasta.

Na nasze nieszczęście ulica Ś-go Jakóba obsaczoną była dokoła silnymi barykadami, przyszło więc na nią do upartej

bójki. Trwała bitwa od rana do godziny piątej. Trzęsienie ziemi od huków dział i ręcznej broni było okropne, tembardziej, że nasz fortepian za każdym strzałem wstrząśnięty, żałośnym odpowiadał jękiem. Tymczasem kule nie pobiły mieszkańcom, dom zaś naprzeciwko nas stojący, od bomb utracił trzy podstawy na których wisiął; zostało dwie, a gdyby jedna jeszcze z nich była zgruchotaną, naówczas cały sześćo-piętrowy dom zważyłby się na nasz i byłby nas swym ogromem zgniółł i przywalił. Wyprawiwszy więc płaczącą swą żonę do piwnicy, sam w tylnym pokoju usiadłem do pisania testamentu, nie spodziewając się, abym go mógł skończyć.

Przecież bój posunawszy się dalej oswobodził nas i okolice Panteonu; było to w samą porę, gdyż tlał już knot do prochów panteońskich. Pierwszemu więc staraniem było wersalczyków, przecięcie i zgaszenie zabójczego knotu, z którego diabelskiej łaski za kwadrans, cały kwartał wraz z nami wyleciałby w powietrze. Najprzód wiedzieliśmy co nas czekało, ztąd po przecięciu knota uważyliśmy siebie za ludzi przywróconych z śmierci do życia.

Mimo osobistego zbawienia, jeżeli jeszcze smutek i trwoga nas nie opuszczały, to z powodu że w tej samej chwili celne pomniki już obalono, lub też dogorywały w iskrzących się płomieniach. Petrolicie dokazywały cuda dowcipu i waleczności w swém piekielnym urządowaniu. Pomagali im powstańcy lejąc w sikawki petrol, czem zamiast gasić podsycali ogień. Lecz cóż im przewiniła biblioteka Luvru? bezwątpienia niemało. . . . gdyż zawierała rzeczy jedyne i osobliwości typograficzne, jakich żadna inna nie posiada. W tym razie przemądra komuna naśladowała Omara, który spalił bibliotekę Alexandryjską; lecz Omar ten przynajmniej zrobił z niej użytek, gdyż przez trzy miesiące palił voluminami w publicznych łaźniach: komuna zaś niestety! . . . przeszła swém barbarzyństwem dzikiego Omara, niszcząc odrazu skarb tak drogocenny.

Mówiąc o petrolicach, nie mogę zapomnieć cudu. . . , którego cały Paryż nie przestaje podziwiać! Kto w cuda nie wierzy, niech tu przybędzie i obejrzy znaną kaplicę Świętą. Ten starożytny pomnik pobożności S-go Ludwika zbudowany został dla Relikwii Chrystusowych nabytych na wagę złota od *Boduena* cesarza Łacińsko-byzantyjskiego. Budowniczym jego był *Montereau*, któremu dawniej mury jerozolimskie winny swe istnienie. Ta kaplica jedyna pamiątka smaku i budownictwa XII i XIII-go wieku, a którą Ludwik Filip z wielką starannością przyprowadził do pierwotnego stanu i okazałości, jest tu szczególnym przedmiotem ciekawości archeologów i artystów. Ten pomnik przytykał do pałacu sprawiedliwości (spalony) i był okrażony budowlami. Wszystko naokoło S. kaplicy z łaski petrolic zgorzało. . . . ję tylko samę ogień nie śmiał się dotknąć, chociaż z góry do dołu była oblaną petrolem, a wiatr pędził na nie płomienie. Ten niepojęty wypadek, ci nawet co w cuda nie wierzą, cudem nazywają.

Otóż i drugi cud!.. Wpodyle nas jest klasztor zakonnic Św. Michała, tam podczas wyżej wspomnianej bitwy, zgromadziły się w jednej sali wszystkie kobiety, a ufne w mur ich zasłaniający, uklęły do modlitwy na uproszenie Boga, aby oddalił od nich widoczne niebezpieczeństwo. Kiedy więc wszystkie na kolanach przed Ukrzyżowanym. . . . bomba przebija mur, wpada przez okno do sali i nad ich głowami wylata przeciwległym oknem na dziedziniec i wówczas dopięro pęka!.. Gdyby te kobiety nie klęczały, żadnaby z nich nie uratowała swęj głowy. . . , kilka ze strachu omdlało, nareszcie wszystkie nie śmiejąc prosić Boga o powtórzenie cudu, zeszyły do piwnicy dla ukończenia rozpoczętej modlitwy.

Oswojeni z hukiem i niebezpieczeństwami, skoro bój oddalił się od nas, wyszliśmy z domu, bo było niepodobieństwem poskromić naszą ciekawość, a ubezpieczeni nowiną, że knot do prochów panteońskich zgaszony, wyszliśmy na ulicę, aby obejrzeć jaki był koniec bitwy. Widzimy wszystkie domy pokaleczone i bez okien. . . Wprawdzie i nasz je utracił, lecz w porównaniu położenie jego względem drugich było szczęśliwsze, gdyż był nieco od ulicy wklęśniętym, ztąd sąsiednie domy odbierały za niego bolesne kul pocałunki. Ledwie kilka kroków postąpiliśmy, aliści kupa gruzów i niemała liczba poległych tak zasłała ulicę, że trudno było się przemieszać bez nastąpienia na głowę, rękę, nogę lub wnętrzości którego z poległych.

Nie jeden dom był krwią obryzany lub mózgiem poległego. Ręce i nogi od ciała kartaczami oderwane leżały w rynsztokach, a bruki krwią zbroczone, jakby po krwawym deszczu. Na jednę rękę widziałem pierścionki. . . . lecz na rozoranych piersiach jednego z poległych ujrzałem szkaplerz. . . . Francuzi ich nie noszą. . . . w smutném wzruszeniu cofnąłem kroku. . . . a wtém pojawił się wielki wóz i poczęto na niego tłoczyć poległych jak śledzi. Tak wóz z górą naładowany trupami, pomykał się dalej, roniąc za sobą gęsty strumień krwi. Dalej oglądaliśmy zabite konie i pokruszone od armat lawety, a widząc że jeszcze ztąd i owąd pojawiają się strzały, wróciliśmy do domu, aby w przypadku zabezpieczyć go od pożaru.

Place Chateau d'eau był okrążony barykadami, najeżony armatami, obsadzony najliczniejszą zgrają komunistów i otoczony domami w płomieniach. Przystęp do niego zdawał się być niepodobnym, przecież mimo silnego oporu, ulecz musiał odwadze Wersalczyków. Wyparci komuniści szukali schronienia na *Père-la-Chaise*. Wtém Bóg dopuścił na nich niepojęty przestach, tak że wielu z nich usiłowało ratować się ucieczką; lecz było to zapóźno, gdyż ten otoczony już był wojskiem, a główna kolumna Wersalczyków wpadłszy na cmentarz, wszystkich z bronią napotkanych rozstrzelała natychmiast. Poległo przeszło dwadzieścia tysięcy komunistów. . . . Tym sposobem Paryż

oczyścił się trochę z łajdactwa i otworzyła się droga do pożądanéj legalności i porządku; a jak dawniej łowili oni pocziwych i niewinnych ludzi, tak teraz prawa wojenne śledzą, łowią i sądzą tych zbrodniarzy, których już ułowiono 36,000 przeszło.

Później za parę dni wyszedłem na miasto dla obejrzenia zgliszczów przyległych Luwrowi. Wtém napotykam Kwiatkowskiego, który mnie przywitał nie zwyczajném słowem *jak się masz!* lecz pytaniem: czy żyjesz, czyś nieraniony? gdyż już cały Paryż wiedział, co się stało na naszêj ulicy, a my będąc długo zabarykadowani, jakby w antypodach nie wiedzieliśmy co się dzieje na drugiéj stronie Sekwany. Pytam go o nowiny? odpowiedział: smutne nowiny, masz przed sobą i za sobą ruiny, dym, płomień. . . . powiem raczej to, o czém może wśród grania armat nie słyszałeś, i zaczął więc w ten sposób opowiadać: Przed kilku dniami byłem na przedmieściu St. Honoré dla obejrzenia rozgłoszonej piękności. . . . wiedzieć należy, że po zawarciu pokoju z Prusakami, tam pojawił się pierwszy chleb biały; ale z początku niewięcej można było go nabyć jak jedną smaczną bułeczkę. Piekarz przybyły z Dijon nie mógł odrazu więcéj przywieźć mąki jak kilka worków, a późniêj gdy już wszyscy piekarze piekli chleb biały, owe bułeczki z mody nie wychodziły; bo lubo piekarz był łysy, bez zębów i z trędowatym nosem, przecież miał żonę tak piękną, że na przedmieściu powszechność paryzka temu małżeństwu nadała nazwę Wulkanu i Wenery! Ta Wenus pozyskała wkrótce wielu postulantów, gdyż w Paryżu nie zbywa na amatorach. Lecz pocziwa kobieta każdego zalotnika obojętnością, nawet ucinkowemi żartami z kwitkiem odpychała od siebie. Byłem w jêj sklepie, gdy odebrała jakieś pismo przez kommissyonera. Spojrzała i rzuciła go na kantor z miną niezadowolnienia, potem wzięwszy bułeczkę obwinęła w ów papier i mnie ją wręczyła. W domu byłem ciekawy co na tym wzgardzonym papierze było napisane, aliści postrzegam, że to był madrygał skreślony z talentem w tych słowach:

Na twe dary płacę skrycie,
I przeklinam czar uroczy;
Gdy twa ręka daje życie,
Śmierć mi dają twoje oczy.
Próżno błagam — próżno roję,
Sen mi nocą zbiega z oka;
Gdy tak miękkie bułki twoje,
Czemuż serce jak opoka?

N.

Zrazu niniejszą powieść Kwiatkowskiego wziętem za anegdotę, lecz nazajutrz tę samą wyczytałem w dzienniku *Petit Moniteur Universel*.

Paryż niedługo miał kształt upadłej Troi, Babilonu lub zburzonego Rzymu przez barbarzyńców. Nasi nowożytni barbarzyńcy pokazali się być dzikszymi, obalając kolumnę Vendom, gdy tamci nawet nie uszkodzili kolumny Trajana. Ślady zniszczenia już poczęły się zacierać, główne tylko pomniki długo jeszcze smucić nas będą widokiem rozległych ruin.

Nie wątpię, że nie jeden ustęp niniejszego pisma każdego zasmuci, chociaż on zaledwie jest cieniem tego, co my tu widzieli i ucierpieli, tak osobiście, oraz jako świadki wypadków i przygód, jakich nam żadna w świecie historia nie przekazuje! Te to wypadki wskazały nam prawdziwych przyjaciół, których osobliwie można poznać w nieszczęściu. One to zahartowały naszą cierpliwość i odkryły niebezpieczną stronę fałszywej cywilizacji!

Nareszcie objawiły jak Bóg, dumę, zarozumiałość i lekceważenie praw Boskich i ludzkich, karze wojną, poniżeniem, głodem, ogniem i mieczem! . . . One nakoniec utwierdziły nas w przekonaniu, że w wielkich niebezpieczeństwach i uciskach, jedyną i dzielną napotkać można pociechę i ratunek w Bogu, w czystym sumieniu i współczuciu przyjaciół.

Paryż, 1871 r.

OSTATNI KLASSYK.

WSPOMNIENIE Z PIÉRWSZÉJ POŁOWY NASZEGO STULECIA.

(Dokończenie).

IX.

W nowym kierunku coraz się więcej pojawiało młodych poetów i pisarzy. W roku 1828 wychodzi w Warszawie powieść poetyczna Seweryna Goszczyńskiego: „Zamek Kaniowski” która wywołała nowy zachwyt romantyków — a niesłychane oburzenie klasyków.

Utwór ten, tak różny od wszystkich jakie się dotąd pokazały po poczytach Mickiewicza, wyczerpał tych ostatnich resztki cierpliwości. Zaczęli więc chórem przypominać rozprawę Jana Śniadeckiego o *klassyczności i romantyczności*, a z niej o owych *dubach smalonych*, uwiecznionych w wierszu Mickiewicza „*Romantyczność*.”

Sceny krwawe *Zamku Kaniowskiego*, wstrząsające nerwowo do głębi najzapaleńszych romantyków, dzikie i ponure postacie hajdamaków, i straszny obraz *Koliszczyzny* odmalowany z całą prawdą, którą jeszcze roziskrzyły barwy poetyczne, obudzały podziwienie w obu szeregach przeciwników. Klassycy za cel szyderstwa i dowcipkowania, brali *rozmowę puszczyków*, to pieśń wabiącą *Latawca* „*Wyplłyn, wyplłyn z za obłoku!*“ niezwracając bynajmniej uwagi na mnóstwo ustępów zachwycających, które mniej uprzedzonych zajmowały. Franciszek Morawski, jedyny z klasyków, który pojmował toczącą się walki ważne następstwa dla rozwoju literackiego, nietylko w poezyi, ale i innych gałęziach, szczególnie był zachwycony owym rzeczywiście najwznioślejszym ustępem, gdy *Nebaba*, z wierzchołku starego dęba, rozpatruje krajobraz, i przywodzi sobie na pamięć chwile lat dziecinnych, przy ogniskach *Kupały* (Sobotki).

Z prawdziwym zapałem, rad w kółku poufniejszych, deklamował część z tego wspaniałego obrazu, gdy poeta mówi:

„Kogoż ten widok, kogo nie zachwyci?
 Kiedy, nad otchłań pogneębienia wzbici,
 Krążymy po niej wspomnieniem współ-bożem,
 A, bliżsi nieba, czuć wyraźniej możemy,
 Ześmy na samém dwóch sfer pograniczu,
 W swojej kolebki, w ojczyzny obliczu.
 Weselsza dusza żywić tu promieni,
 Jaśniej tu czyta w literach z płomieni,
 Któremi wieczny, w tle chaosu cieni,
 Do swój potęgi dziedzictwa ją wpisał:
 Z przed tronu Boga głośniej tu dolata
 Śpiew, co ją w łonie wieczności kołysał:
 Głuszej tu jęczy płacz niskiego świata!
 Na dół, do ziemi, smutku kwef ponury,
 Na dół westchnienie co zawichrza duszą,
 Łzy, sercu ciężkie, na dół tu ciec muszą,
 Jak nawałnice, i deszcze i chmury,
 Płyną do ziemi, od niebieskiej góry!”

A deklamacją swoją kończył temi słowami:

— Daje wam słowo honoru, że to prawdziwie klasyczny utwór, chociaż romantyk pisał, ale nasi klassycy ani tak wysoko wznieść myśli, ani tak pisać nie umieją.

Jak Goszczyński wprowadził nowy żywioł nad-Dnieprzański, w żelaznych postaciach swoich bohaterów, krwią i dymem pożogi dyszących, stawając w przeciwieństwie z melodyjnie śpiewnym J. Bohdanem Zaleskim, tak w dwóch następnych latach pojawiają się poeci szkoły romantycznej, w innych zupełnie sferach szukających treści i natchnienia do swoich utworów.

Pierwszym *Alexander Chodźko*, któremu dał chlubny rozgłos Mickiewicz, *improwizacją* swoją w 1825 roku wypowiedzianą, w której świątą mu przyszłość przepowiadając, a sobie zgon rychły, wyrzekł te słowa:

. . . ty latać będziesz,
Adam gdy ginie, ty żyjesz:
Na jego tronie ty kiedyś sidziesz,
Jego się blaskiem okryjesz!

Takie polecenie twórcy *Dziadów*, wpłynęło na uprzejme przyjęcie młodego poety.

W Petersburgu wydał on swoje *poezyje*, (drukiem Karola Kraya 1829 r.). Mieści się tu zbiór pieśni *nowogreckich* które przypisał Mickiewiczowi: *Derar* powieść wschodnia w dwóch *kasydach*, i drobniejsze utwory, jak elegije, ballady, piosnki, już oryginalne już tłumaczone.

Jakkolwiek Mickiewicza przepowiedni nie uiszczał Chodźko, a po twórcy *Grażyny*, J. B. Zaleskim i Goszczyńskim stał o wiele niżej, i pod żadnym względem nietylko porównania, ale nawet zbliżenia nie było, pomnożył on szereg zawsze, coraz liczniejszych poetów romantycznych.

W następnym roku, w Petersburgu także, wyszły *poezyje Juliana Korsaka*, przypisane A. Edwardowi Odyńcowi przyjacielowi lat młodych. W zbiorze tym, więcej znajdujemy utworów oryginalnych jak w poprzednim. Są tu elegie, liryki, listy i drobne wiersze, ale obok tego, przekłady z Lorda Bajrona, z Horacyusza, ułamki z poetyki *Widy*, w końcu tłumaczenie ody *Pindara*.

Jeżeli klassycy niechętném okiem spoglądali na poezye Chodźki, teraz zgodnym hymnem chwalili Korsaka, tak ich ujął za serce przekładem ubóstwionego Horacyusza, i odą greckiego pieśniarza.

— Romantycy (mówili z radością między sobą) już powoli zwijają chorągiewkę: — w miejsce głupich ballad i romansów, wracają do naszego Horacyusza: poczekajmy, a śladu po téj wichurze nie będzie, i ci sami zapaleńcy uderzą czołem przed powagą *naszej* klassyczości!

Równocześnie, bo w tym samym roku kiedy w Warszawie pojawił się *Zamek Kaniowski* Goszczyńskiego, w Wilnie ukazały się dwa drobne tomiki, poezyi *Jozefa Massalskiego* (w druk. A. Marcinowskiego 1828 r. w 18-ce). Młody ten poeta, lubo nie należał wcale do romantyków, a treścią swoich utworów, jak i ich formą był czystym klasykiem, i u jednych i u drugich znalazł serdeczne przyjęcie. Z pierwszymi łączyły go ściśle stosunki przyjaźni i koleżeństwa, u drugich miał mir do razu, że ich *kodeksu* pilnował. Massalski, z poetyczną duszą, odmalował się najlepiej w *obrazka czerwonym*: a niewdając się w spory literackie, pisał jak umiał, i to comu natchnienie kazało. A miał wielką łatwość w wierszowaniu, i oddaniu myśli pełnych prostoty a z serca płynących. Kilka jego pieśni było wielce popularne, i śpiewano je wszędzie (1).

W dwóch pomie nionych tomikach najwięcej jest bajek, z których wiele przypomina Krasickiego; po nich powieści, listy i drobne wiersze. W młodocianych latach, walczył jako żołnierz na Kaukazie i tu zakończył życie. W wierszu pełnym rzewności „*poranek w obozie*” maluje swoje marzenia i uczucia duszy. Budzi go ze świtem, nie głos słowika,

„Nie roje wdzięcznie w wonnych dolinach dzwoniące;
Nie wietrzyk, co na miękkiej wypieszczony łące,
Zapłochu igra z rąbkiem złotowłosej Zosi,

(1) Szczególniej upowszechnioną była piosnka z odpowiednią melodyą, pełna naiwności; której początek :

Dalibóg że powiem mamie,
On coś złego zrobić gotów:
Jęczy, wzdycha, ręce łamie,
Klnie potęgę mych przymiotów!
Nazwał serce moje lodem,
Wzrok sztyletem! jęszcze kłamie,
Że ja jego łez powodem:
Dalibóg że powiem mamie!

Szepcząc liściom o wiosnie, szum w gajach roznosi,
 Lub hula w chłodnych falach i świeżością dinucha:
 Lecz tu, gromem, co z paszczy ognistej wybucha,
 Siarczystem ćmiąc wyziewem zorzy twarz nieśmiałą,
 Ogłosiło dnia powrót, obudzone działo”.

Przyjaciele i koledzy, rozrzucone utwory w wiosnie życia zgasłego Massalskiego zebrali razem i po jego zgonie te dwa tomiki wydali.

X.

Jeżeli przewrót zupełny już nastąpił w pojęciach o poezji, i przewagę stanowczą wziął romantyzm, pobratymcza jęj gałąź i tak ściśle z nią złączona *powieść*, w dwóch swych rodzajach wydatnych, jako powieść *obyczajowa* i *historyczna*, zaczyna nabierać życia, rozwoju coraz większego, aż dochodzi do tego znaczenia, że staje się jednym z najgłówniejszych żywiołów duchowego pokarmu.

Weźmiemy najprzód pod uwagę powieść obyczajową, a mówiąc o niej musimy spojrzeć na ustrój naszej społeczności, do której myśli i potrzeb stosowała się ta gałąź literatury; napomknęliśmy już lekko powyżej o powieści: tu szerzej należy nam się zastanowić, nad drogą którą przebiegała, zanim stanęła na dzisiejszém stanowisku.

Koniec wieku XVIII odcisnął właściwe sobie piętna, jeżeli nie na całej społeczności, to przynajmniej na najważniejszej jęj części, bo na niewiastach polskich.

Chociaż po dworach wiejskich, przy braku dróg dobrych i trudniejszej komunikacji, przy zamiłowaniu do życia ziemiańskiego, i przez silną jeszcze tradycję, utrzymywał się jeszcze stary zwyczaj i obyczaj, młode pokolenie kobiet naszych, pomimo czułej troskliwości matek, już wybiegało myślą poza szranki dotąd nieprzebyte. Mówimy tu najprzód o kobietach, które właśnie wywołały powieści w naszej literaturze, mężkie bowiem pokolenie gdzieindziej zwracało myśl swoją.

W drugiej połowie XVIII stulecia, nowe idee zrobiwszy wyłom w pojęciach dawniej uświęconych, nowe wyprowadzają

postacie kobiet polskich. Lekkomysłność, wzajemna zdrada po ślubie, upędzanie się młodych mężatek z najwyższych sfer, za własną niesławą, współzawodnictwo zapalczywe w odbijaniu sobie kochanków, byle wysoko stojących na szczeblu społecznym, to rzeczy zwyczajne tego okresu. Ginie w takim natłoku burzliwych namiętności czyste uczucie, prawdziwa miłość odbiera pociski szyderstwa: pałały głowy przy ostygniętych sercach. W takim położeniu moralnym, wyrabia się *egzaltacya*, niemająca żadnego związku z sercem, egzaltacya rozbujanéj wyobraźni, i prosta gra krwi gorącój.

Ze zdrowego pokolenia zdrowa dziatwa nie znająca nerwowego rozstroju, zaczyna wynajdywać sztuczną chorobę *spazmów*. Zaledwie się w jednym i drugim pałacu w Warszawie pokazała, przechodzi w epidemię. Do spazmów, czy je poprzedzały czy były ich następstwem, łączyły się *migrena*, *wapory* i drzenie serca; a rzecz to godna uwagi, że ta choroba pojawiała się wtedy, kiedy jéj było potrzeba. Każde niezadowolenie młodéj piękności, każdy opór jéj woli i zachciankom, sprowadzały ją natychmiast, i nie ustawała prędzej, aż póki, jak pogańskie bożyszcze, drogą jaką ofiarą prześląganą nie była. Doktorzy ówczesni zbierali obfite teraz żniwo: spieszyli gorliwie z troskliwą pomocą, a posiadając zaufanie licznych pacjentek, umieli doświadczone mi lekarstwami przynosić im ulgę.

Jeżeli mąż czynił żonie jakie wyrzuty, mając mocne podejrzenia, lub téż dowody w rękę; jeżeli żona szukała powodów, ażeby męża pobudzić do większego uniesienia, lub rozczulić *amanta*, albo dać mu odprawę; jeżeli zapragnęła nowego pojazdu, salonowych brylantów i zbytkowego stroju, spazmy były jedynym na to wszystko środkiem. Straszna to była chwila i zamieszanie w całym *pańskim* domu, gdy pani dotkniętą została przerażającymi spazmami. Służba biegła po wszystkich pokojach, niosąc rozmaite przybory ratunku, karetą galopem przywoziła doktora, mąż z załamanemi rękoma w rozpacz, spoglądał z załzawionemi oczyma na umierającą swoją piękność!

Wojciech Bogusławski, pierwszy twórca teatru polskiego, świadek tego objawu choroby, która coraz szersze przybierała rozmiary, pragnął bronią satyry ze sceny powstrzymać jéj rozwój, ale długo się wahał wyjawić na deskach

teatralnych tajemnicę spazmów, wiadomą dotąd tylko samej płci pięknej i uprzywilejowanym jej lekarzom. Wypadek następny przyspieszył wykonanie tego zamiaru, jak sam Bogusławski opowiada.

„W grono artystów dramatycznych (pisze w *Dzielałch dramatycznych* T. 2. r. 1820), niedawno policzona panienka, przy pięknej postaci, powabnej twarzy, i świeżych młodości wdziękach, tak nie zgrabną, nieczułą i niezdatną do sztuki scenicznej okazała się przy początkowych rolach, że cała publiczność żałując mocno uprzyjemniających ją natury darów, jednomyślny wydała wyrok, iż nigdy i do żadnej roli nie będzie zdatną. Chociaż nie pierwszy już raz udało mi się było, z nieczyniących żadnej nadziei, wystawić później ulubionych publiczności artystów, wyznać wszelako muszę, że i sam o ulepszeniu wspomnionej młodej aktorki, wątpić zaczynałem, kiedy wchodząc raz do jej pomieszkania, zastałem u nóg jej kochanka w rozpaczach pogrążonego, onę zaś najstraszliwsze drżenie serca tak przewybornie udającą, że zdawała się być w ostatnich konwulsjach śmierci! Spojrzawszy na mnie wzrokiem który w uśmiechu twarzy, udanie choroby potwierdził, dała mi sposobność poznania jak wybornie i naturalnie podobne spazmy wystawiłaby na scenie. Siadłem nieodwłocznie do pióra, a w skończonej w przeciągu dwóch miesięcy komedyi: *Spazmy modne*, umyślnie dla niej napisaną rolę *Starosciny*, doskonale wprzód wypróbawwszy jako aktorkę, w pierwszych rolach grać zaczynającą, wystawiłem na scenę. Nie potrafię opisać zadziwienia i zadowolenia patrzących, równie jak doskonałego przez tę młodą osobę wystawienia rozlicznych sposobów uczuć, jęków, wzdychań i konwulsyj, które zdawały się wyrzucać serce z jej piersi. Tysiącznemi uwielbiona oklaskami, lepsze sama o sobie powziąwszy rozumienie, występowała później w głównych rolach.“

Komedia *Spazmy modne*, napisana i w Warszawie przedstawiona w roku 1797, z zapałem przyjęta przez publiczność, wszędzie gdziekolwiek się ukazała, ściągnąwszy na autora wiele zagniewanych spojrzeń i dotkliwych przycinków; przetrwała nakoniec burze, a jak wszystkie rzetelne prawdy, rzuciwszy światło na tajemnicę modnej choroby, ośmieszywszy ją, powstrzymywała od jej zaraźliwości. Ta jednak przesadna społeczność niewieścia, wraz z modną Francją

wzdychała do klassycznej *Sielanki!* Była w powietrzu jakaś wilgoć łzawa, która rozwadniała wszystko. Uległo jej wpływowi i męskie pokolenie, głównie téż poeci. Dusze ich otwierały się do jakiegoś nieokreślonej nadziei: snom pasterskim, dziecinnym rojeniom, dekoracya sielska zakrywała wszystko, gdy na Bożym świecie odgrywał się krwawy dramat i huk dział zwycięzkich Napoleona I-go, zwiastował dla jego chorągwi zwycięztwa coraz świetniejsze. Na takięto dekoracyi przesuwaly się postacie słodziuchnego *Floryana*, którego dobrze nazywał *Diderot: Floryanetkiem*. *Gesner* roztkliwiał Niemców swymi sielankami; romanse *Floryana* uważane u nas były jako arcydzieła. Na czele ich stała *Galatea* tłumaczona na język polski: poważny *Staszic* zajął się przekładem *Numy Pompiliusza*. *Galatea* czy w oryginale spoczywając na buduarze damy wyższej, czy w tłumaczeniu skrycie przechodząc przez ręce pensyonarek i pańien *respektowych*, po dworach pańskich, czy wpadła pod strzechę słomianą ziemianina, wyciskała wszędzie potoki łez rzewnych, rozbudzając zarówno silnie uczucia serca jak w późniejszych latach *Gustaw Mickiewicza*. Romanse *Pani de Genlis*, nie skromne powieści *Pani Cottin*, z miłośkami *Napoleona*, tłumaczone skwapliwie, rozpięrały się w tysiącach egzemplarzy i to nie tyle z księgarń naszych, jak głównie ze straganów przykościelnych, gdzie leżały zgodnie obok *Gorzkich żalów*, pieśni pobożnych i książek do nabożeństwa, wraz z paciorkami i krzyżykami poświęcanými.

Potrzeba czytania wzrastała coraz więcej, ale przy upowszechnionej znajomości języka francuzkiego w wyższej warstwie społecznej, zaspakajano ją sprowadzaniem romansów z Paryża. Ci, dla których ten język był nieprzystępnym, karmili się przekładami.

W braku powieści oryginalnych, powoli wyrabiało się przekonanie, popierane przez zwolenników klassyczności francuzkiej, że nasza mowa niezdolną jest do wydania uczuć miłości i delikatnych odcieni w grze tego uczucia.

Liczba romansów tłumaczonych nie małą była do 1806 r. Wyszedł zbiór ich obejmujący kilkanaście tomów, i wtedy pojawiła się pierwsza oryginalna powieść Cypryana Godebskiego p. n.: „*Grenadyer-filozof*“. Ale pomimo tego, że sam autor nazwał ten utwór *powieścią*, jestto raczej ustęp z pa-

miętników lub wspomnień, bo główną myślą jest przedstawienie ponurego grenadyera francuzkiego, z pozoru zimnego i mało okrzesanego jako człowieka, który pod tą grubą i chropawą zewnętrzną powłoką, ukrywał serce pełne uczuć szlachetnych i łatwo dostępne miłości.

Nastąpiła długa przerwa, bo dziesięciu całych lat, w których znowu od czasu do czasu, lecz rzadziej pojawiają się powieści tłumaczone, a wychodzące głównie w Krakowie. Czasy wojenne nie sprzyjały rozwojowi literatury. W przekładach ta uderza wybitna różnica, że sielanka pasterska błednieje i znika, a jęj miejsce zajmują powieści więcj dramatyczne, nieraz przeładowane niesłychanemi okropnościami.

Pierwszą prawdziwie oryginalną polską powieścią jest *Malwina czyli domyślność serca*: wyszła z pod prassy w roku 1816, a jak chlubnego doznała przyjęcia najlepiej dowodzi, że w te czasy, kiedy handel księgarski był u nas w powijkach dziecięcych, Natan Glücksberg nakładca, musiał powtarzać jęj edycye w latach 1817, 1821 i 1828 (1).

Autorka w przypisaniu na czele umieszczonem *do brata*, z całą skromnością tak pisze o swęj *Malwinie*:

„Niema ona innęj zalety nad tę, że w ojczystym języku pierwszym jest w tym rodzaju romansem; gdyż romanse *Krasickiego*, *Jezierskiego* i wielu innych opisują zwyczaję naszych ojców i dziadów, lecz bynajmniej nie malują obrazu terażniejszego społeczeństwa. Ten obraz w *Malwinie* nie jest ani doskonałym, ani dokończonym; lecz będąc pierwszym wzbudzi może ciekawość, przebiegającym te kart kilka przypomni, że niema tego rodzaju pisma, do którego język polski nie byłby zdolnym, i wtedyto, co moja dobra chęć nastreżyczyć chciała, wyższa czyja umiejętność dokona.”

W tym wstępie uderzy każdego ta wątpliwość, o której jużesmy wyżej napomknęli: czy język ojczysty zdolnym jest do wszystkich potrzeb duchowych, czy może być odpowiednim organem dla rozwoju narodowej literatury? Takie

(1) Zaledwie ukazała się *Malwina*, w roku następnym wyszedł jęj przekład francuzki. W roku 1822 *Anna z Krajewskich Nakwaska* ogłosiła nowe jęj tłumaczenie francuzkie w Paryżu. Przekład rossyjski ukazał się w Moskwie 1834 roku.

to zapomnienie odkryło arcydzieło XVI stulecia, takie pojęcie miała owoczesna społeczność nasza!

Autorka w dalszym ciągu przemowy tłumaczy się, że powodem do ujęcia pióra i skreślenia romansu, był brak w naszym języku tego rodzaju utworów, i jakby proroczym duchem przepowiada wysokie znaczenie w przyszłości powieści.

„Zdaje mi się (mówi dalej), że przepisy prawdy i nauk, które pod pokrywką zabawy, w dobrym romansie znaleźć można, więcej nieraz przekonywają, aniżeli suche morały obnażone z ponęt ciekawość wzbudzających, a do czytania których, mało kto się nawet porywa. W romansach zaś, w tych szczerych obrazach społeczeństwa, każdy niemal znajdując zdarzenia podobne tym, których doświadczał, uczucia sercu znajome, błędy w które wpadał, namiętności jakie nieraz w pożyciu spotykał; mimowolnie zajmuje się tém opisaniem: porównywa, rozważa i częstokroć skutkiem tych rozważ czynionych bez uprzedzenia, staje się to w głębi serca przekonanie, że w jakiegokolwiek doli, w jakimkolwiek wypadku, *działać dla cnoty, jestto pewniejszym nad wszelkie inne sposoby, działać dla szczęścia!*”

Owóż tu mamy wyraźnie cel powieści określony i jój wpływ przeważny, jeżeli umie godnie odpowiedzieć swemu zadaniu.

Malwina, nie tylko jako pierwsza powieść oryginalna zasługuje na uwagę, ale jako utwór artystyczny, postawiony we właściwych ramach swego okresu, wysoką ma wartość, maluje nam albowiem wiernie kółko społeczności arystokratycznej, do którego sama autorka należała (1).

W cztery lata po pojawieniu się *Malwiny* wyszła powieść p. n.: *Nierozsądne śluby, listy dwojga kochanków, na brzegach Wisły mieszkających, przez F. B. zebrane.* (Warszawa 1820 roku. Nakładem Zawadzkiego i Węckiego w dwóch tomach z dwoma stalorytami). Jestto pierwszy utwór głośnego później autora *Pojaty*, *Feliksa Bernatowicza*. Autor powieść swoją przynosi do czasów Henryka Wale-

(1) Marya z Czartoryskich księżna Wirtembergska, w rok po *Malwinie* wydała *Pielgrzyma w Dobromilu* (1817 r.). Urodzona 1768 roku, zmarła 1854 licząc osiemdziesiąt sześć lat życia.

zyusza; ale tło historyczne jest tak blade, jak i wszystkie postacie, w niczém nie przypominające tak odległe wieki. Są to raczej figury z początków naszego stulecia i to z okresu podniesionego uczucia do egzaltacyi, którego ostatnim wyrazem była powieść Stefana Witwickiego *Edmund*, łącząca w sobie stare czułości z Floryańskiej doby, z naśladownictwem niektórych postaci Byrona.

Po czternastoletnim spoczynku w rękopiśmie, autor *Ludgardy*, tragedyi z wielkiém powodzeniem przedstawionėj na scenie teatru narodowego w Warszawie, wydał swój romans: „*Julia i Adolf czyli nadzwyczajna miłość dwojga kochanków nad brzegami Dniestru.*” (Warszawa. Nakład N. Glücksberga 1824 r., dwa tomy). Zaczyna myśl obywatelska kierowała piórem zasłużonego autora; widzimy to z przemowy *do czytelnika*.

„Romans ten napisałem w roku 1810, do czego wiele miałem powodów, a między innémi i ten, że powszechnie wówczas było uprzedzenie płci pięknej, iż nasz język nie jest zdolnym wydać tkliwych uczuć delikatnej miłości, dla których język francuzki, zwłaszcza w *Nowej Heloizie* zdaje się być stworzonym. Dzięki autorce *Malwiny* i innym mówiącej ojczyzną piszącym polkom, że tak szkodliwy narodowości przesąd, znikać u nas zaczyna” (1).

Położywszy za godło na czele ten dwu-wiersz Stanisława Trembeckiego (z *Syna marnotrawnego*):

„*Ten kto jest zdolnym uczuć najczystsze kochanie,
Albo już jest pocziwy, albo nim się stanie.*”

W dalszym ciągu swój przemowy, dla zjednania sobie przychylności czytelników, tak mówi o swoim utworze:

(1) Kropiński w końcu téj przemowy pisze: „Abym nie był posądzony o przywłaszczanie sobie myśli cudzych, winienem ostrzedz czytelnika, iż rękopism tego romansu, wkrótce po napisaniu, znajdował się w ręku autora *pisma* pod tytułem: „*Nierozsądne śluby*”. Porównyując te dwie powieści, przyznajemy że tak być musiało, bo widocznie Bernatowicz naśladował romans Kropińskiego, mimoto, więcej życia, więcej ciepła, więcej prawdy w *Nierozsądnych ślubach* widzimy. Różnicę tę wytłumaczyć możemy głównie tém, że Kropiński pisał swą powieść, zaczynając piąty krzyżyk wieku, gdy Bernatowicza, *Nierozsądne śluby*, należą do utworów lat jego młodych.

„Biada każdemu romansowi, a tém bardziej mojemu, jeżeli przyjdzie pod sąd samego tylko rozumu i zimnej rozważy. O pismach serca powinno wyrokować serce, kierowane dokładną znajomością serc ludzkich.”

Odwwołanie się do tkliwości czytelników nie było daremne. Romans ten niesłychane znalazł powodzenie, najprzód w salonach pań naszych, a następnie w całym grodzie wykształconej społeczności. Całe wydanie w ciągu kilku miesięcy wyczerpano z handlu księgarskiego.

Dla dzisiejszych krytyków tak świetne powodzenie tego utworu Kropińskiego jest podziwem i niezrozumiałym zjawiskiem, ale my świadkowie owych czasów i nastroju społeczności naszej, pojmujemy dobrze tak zadziwiający teraz przyjęcie romansu: *Julii i Adolfa*. Stanowił on bowiem przejście od ckiej francuzkiej sielanki, do prawdziwszych, lubo wyegzaltowanych uczuć, wielu nawet upatrywało pewne jego zbliżenie do *Nowej Heloizy* J. J. Rousseau.

Gdziekolwiek się obrócił słyszałeś tylko najwyższe pochwały *Julii i Adolfa*: sami byliśmy świadkami scen rzewnych, jak przy czytaniu tych listów kochanków wylewano potoki łez, jakie łkania rozlegały się nie tylko pomiędzy piękną, ale rozczulało niemniej i męskie plemię.

Ale prędko to zachwycenie przeminęło wśród walki klasyków z romantykami, społeczność nasza zaczęła uczuwać prawdę w życiu i *słowie*, i nabierać poznania do prawdziwego piękna artystycznego. Mgłość sielankowa, a po niej chorobliwość uczucia, wraz z filozofią Woltera i ateizmem, które w wielkiej części głów panowały, powoli ulatniały się, jak mgła gęsta przed promieniami słońca.

Na czele nowego zwrotu powieści oryginalnych, po autorce *Malwiny*, stoją dwaj dobrze zasłużeni literaturze krajowej mężowie, *Julian Ursyn Niemcewicz* i *Fryderyk hrabia Skarbek*. Pierwszy utworami jak: *Dwaj panowie Sieciechowie* (1825 roku), „*Lejbe i Siora*“ (1821 roku), a w końcu *Janem z Tęczyna*; drugi powieściami humorystycznymi jak *Pan Antoni* (1821 r.), „*Podróż bez celu*“ (1821 r.). Szczególniej też najznakomitszą ze wszystkich w tym rodzaju „*Pan Starosta*“ (Warszawa 1826 roku, dwa

tomy) ubogacili tę niwę. Pomimo to, przyznać z całą bezstronnością należy, że prawdziwemi, że się tak wyrażę, *fundatorkami* powieści obyczajowej są nasze niewiasty. Po księżnie Wirtembergskiej, która swoją *Malwiną* wyprzedziła wszystkich, staje *Elżbieta z hr. Krasińskich Jaraczewska*, która trzema powieściami znakomitej wartości i najszlachetniejszych dążności: *Zofia i Emilia* (1827 roku, dwa tomy) „*Wieczór adwentowy*“ (1828 roku, dwa tomy) i *Pierwsza miłość, pierwsze uczucie* (1829 roku, cztery tomy) jedno z najwybitniejszych stanowisk jako powieściopisarka zajęła. Prawdą uczucia i zdrowej myśli, jak postaciami wziętymi ze swęj społeczności, wiernie odmalowanemi, stała się wzorem w tym rodzaju dla następnych pisarzy i zatarła pamięć *Adolfa i Julii* jak i *Nierozsądnych ślubów*. Zakończy ten okres powieściopisarstwa, który się zamyka z 1830 rokiem, *Klementyna Tańska*, późniejsza *Hoffmanowa*, redaktorka „*Rozrywek dla dzieci*“ i autorka „*Pamiętki po dobrej matce*“ W pierwszych, do powieści należą: „*Listy Rzeczyckiej*“ i *Dziennik Franciszki Krasińskiej*.“ Główną postacią w tym *dzienniku*, jest Franciszka Krasińska córka Stanisława, starosty nowomiejskiego, tajemnie poślubiona dnia 4 listopada 1760 roku Karolowi księciu kurlandzkiemu, synowi Augusta III (1). Autorka opisuje przygody téj młodej piękności, i zarazem stawia nam obraz tamtych czasów, tak cudownie ubarwiony kolorytem właściwym, że zdaje się każdemu z czytelników iż żyje w téj dobie, widzi wszystkie w ruch wprowadzone osoby, rozmawia z niemi i spółem bawi. Przez zamęczenie swoje, zdawało się że piękna Krasińska los świetny zrobiła; tymczasem życie jéj dalsze, było pełne trosk i umartwień, i ono jest treścią tego *dziennika*. Tańska swój cudny, a tak prawdą tchnący właściwych czasów koloryt, to malowidło wierne, tak jak Skarbek i późniejszy Rzewuski (*Soplica, Listopad*), zawdzięcza tradycyi żywego słowa. Szczęśliwym trafem poznała wiele osób w sędziwych już latach, które znały zblizka bohaterkę téj po-

(1) Franciszka Krasińska, w której się kochał Kazimierz Pułaski i wiernym jéj do zgonu pozostał, zmarła w Dreźnie dnia 30 kwietnia 1796 r. Mążonek jéj, który zatruwał życie całe nieszczęśliwej Krasińskiej, w kilka miesięcy w tymże roku umarł, i osierocił jedynaczkę, która w rok po śmierci rodziców poślubioną została księciu Sabaudzkiemu *Karolowi de Carignan*.

wieści, w opowiedzianym dramacie same miały udział i wypadki ważniejsze, jak i drobne szczegóły w świeżej zachowały pamięci. Tak bogaty materiał mając autorka pod ręką, umiała z niego korzystać i z wielkim talentem pisarskim ułożyła całość, która pomiędzy jęj pracami małe arcydzieło stanowi.

XI.

Druga gałąź *powieści historycznej*, pojawia się równocześnie wtym okresie walki romantyków zklasykami, a niespodziewanie, i coraz większego nabiera znaczenia. Zapał ku niej co chwila się potęguje i występują zaraz liczni pracownicy. Ten rodzaj tak zajmujących utworów, zawdzięczamy jedynie i wyłącznie *Walterskottowi*, który na początku naszego stulecia, po zbiorze ludowych ballad szkockich (1802 r.) a następnie ogłoszonych poematach, wystąpił w roku 1814 jako romansopisarz z *Waverlejem*, biorąc osnowę do historycznych powieści z dziejów swęj ojczyzny Szkocyi. Z poematem jego *Pani Jeziora*, pierwszy nas zapoznał Karol Siemkiewicz, jak już mówiliśmy: z przekładem dwóch innych (*Pan dwóchset wysęp* — i *Matylda Rokeby*) Wanda Malecka 1826, jakkolwiek tłumaczenia jęj prozą, zaledwie tylko były w stanie treść ich tylko oddać.

Powieści historyczne *Walterskotta*, w staranniejszym przekładzie dał Fr. S. Dmochowski. Najprzód wydał w trzech tomach *Ryszarda Lwie serce* (1826 r.), a gdy ujrzał jak skwapliwie utwor ten rozchwytno, postanowił ogłosić prenumeratę na tłumaczenie romansów *Walterskotta*, i znalazł jak na owe czasy niesłychaną liczbę prenumeratorów, bo do 3000 dochodzącą. Od roku 1827 do 1830 wydał następane: *Więzienie w Edyburgu*, *Purytanie Szkoccy*, *Naręczona Lamermoru*, *Iwanhoe czyli powrót krzyżowca*, *Hetman z Chester*, *Waverlej* czyli lat temu sześćdziesiąt: wogóle wydał tych przekładów tomów dwadzieścia dziewięć. Rodzaj zachwyty porwał młode umysły; zawiązała się spółka pomiędzy trzema przyjaciółmi: *Zygmuntem Krasieńskim*, *Dominikiem Magnuszewskim* i *Konstantym Gąszyńskim*, którzy po wspólnym planie w ułożeniu *wielkiej historycznej powieści*, zaczęli

nad nią pracować. Owocem tych usiłowań był: *Władysław Herman i dwór jego*, w 3 tomach, ogłoszony drukiem w roku 1829.

Miałem niemałą rozrywkę patrząc na Magnuszewskiego i Gaszyńskiego skurczonych, i ślęczących nad starymi kronikami, gdy Krasiński z rozognionem obliczem, rzucał im rozdzielą napisane przez siebie. I w tym utworze składkowym, ustępy porywające zapalem poetycznym, odbijające wśród innych, są pióra Krasińskiego i Magnuszewskiego. Gaszyński samodzielnie napisał powieść historyczną „*Dwaj Szreniawici*” (3 tomy), Krasiński: „*Zawiszę Czarnego*”. *Szreniawici* wyszli z pod prasy nakładem autora (przy pomocy F. S. Dmochowskiego który je w swój drukarni odbił), rękopism zaś *Zawiszy*, bezpowrotnie zaginął. Magnuszewski wziął się do historycznego dramatu po studyach nad Wiktorem Hugo, którego całym sercem ukochał.

Tłumaczenia te romansów historycznych Walterskotta, wyprzedził Julian Ursyn *Niemcewicz*, powieścią historyczną *Jan z Tęczyna* (Warszawa 1825 r., trzy tomy). Natan Glücksberg wydał ją swoim nakładem, zapłaciwszy autorowi ogromną sumę i niepraktykowaną dotąd, bo 500 dukatów złotem obrączkowym. Ale hojność ta sownie mu się opłaciła, bo za ledwie wiadomość rozbiegła się po Warszawie że powieść ta już jest do nabycia, w ciągu niespełna sześciu godzin we własnej księgarni sprzedał jęj 500 egzemplarzy każdy po 24 złp. ówczesnej monety. Niemcewicz pojmował dobrze znaczenie i wartość historycznej powieści, a zarazem z jakim zasobem wiadomości dziejowych, dopiero do jęj pisanania przystępować należy. Wzór najlepszy i przykład miał w twórcy genialnym tego rodzaju utworów w Walterskocie. W latach młodości zbierał on pieśni ludowe i stare podania, zwiedzał rozmaite swęj ojczyzny miejscowości, rozpatrywał je, ażeby cudnem piórem czarowne ich widoki i pejzaże odmalować. Obok tego oznajmiał się z dziejami przeszłości, z życiem domowem, starożytnościami krajowemi. Z tak ogromną dopiero wiedzą, zabrał się do pisanania romansów historycznych, a przy wrodzonym geniuszu, nie dziwno, że do razu znalazł poklask całego świata i wywołał mnóstwo we wszystkich krajach naśladowców. Niemcewicz lubo bez talentu wielkiego Szkocyci pisarza, ale w równą niemal zasob-

bny wiedzę co do dziejów i tradycji swego kraju, w sędziwych dopiero latach wziął się do pisania romansu historycznego.

„Zważywszy (pisze w swój przemowie), jak od lat kilkunastu, we wszystkich krajach dzieła rodzaju tego chciwie są czytane, podobnymże ziomkom moim przysłużyć się umyśliłem. Jakoż wielu zgodzi się ze mną, że rodzaj ten z pożytkiem, przyjemnością i zabawą łączy. Jest on, iż tak rzekę, uzupełnieniem objaśniającym surowe i poważne dzieje.

„Historja wystawia nam ważniejsze Królestw wypadki, zapisuje rozkazy monarchów, czyny przedniejszych podwładzców i wodzów, poruszenia na dworach monarchów: zawsze na szczycie wysokości; nie zniża się ona do prywatnych towarzystw, nie wchodzi nigdy do poziomych ludu lepianek.

„Romans historyczny bierze za cel obraz towarzystwa narodu jakiego, w wybranej przez autora epoce. Pisarz wchodząc w nim w szczegóły zbyt drobne dla dziejopisa, wystawia nam ludzi wszelkiego rzędu i stanu. Wszystkie osoby tego dramatu, nietylko czynami, mową nawet, powinny nam dać poznać, jakimi było towarzystwo, polityczne kraju położenie, jego oświata, opinie, namiętności, przesady nawet: powinny nas przenieść w owe czasy, pomiędzy siebie, słowem dać nam żyć i obcować z sobą.

„Obrałem czasy Zygmunta Augusta w połowie XVI-go wieku, jako jedną z najświetniejszych epok naszych.“

Okres ten rzeczywiście podaje się zarówno dobrze pod pióro romansopisarza jak i poety. Nie brak bowiem już bogatych materyałów, rozjaśniających nietylko same dzieje, ale życie wewnętrzne narodu, zwyczaj i obyczaj. Rej, Jan Kochanowski, Górnicki, współcześni, rzucają nam całemi garściami drogocenne szczegóły życia domowego, malują z wiernością fotograficzną postacie rozgłośnie działające w tych czasach. Niemcewicz, cały romans osnował na tle ściśle historycznym — w zakończeniu tylko nie był jój wiernym. Jan z Tęczyna podług dziejów, schwytyany na morzu Bałtyckiem, przez okręta Duńskie, umarł w więzieniu w Kopenhadze: w powieści spada ze skały na samotnej wyspie i kończy życie.

Jeden z przyjaciół zaufanych Niemcewicza objaśnił mnie, że wbrew historyi dla tego poszedł, iż chciał w postaci swe-

go bohatera, i ostatniej jego chwili przedstawić los kraju za Napoleona I-go, ale tej myśli autora, ogół bynajmniej nie zrozumiał.

Powieść ta, nietylko jako pierwsza historyczna, ale jako dająca wierny obraz czasów, które przedstawia rzeczywistością swoją, stać będzie zawsze na czele w tej gałęzi utworów.

W rok później, bo w 1826 ukazał się romans historyczny Feliksa Bernatowicza: „*Pojata córka Lezdeyki, albo Litwini w XIV wieku*“ w 4ch tomach. Godło na czele położone:

„*Po jednej stronie błyszczą świątyni szczyty,
I szumią lasy, pomieszkania bogów;
Po drugiej stronie na pagórku wbity
Krzyż.*“

zwiastuje, że treścią tego romansu są obrazy dwóch plebion, dwóch społeczności: chrześcijańskiej i pogańskiej. Młody autor „*Nierozsądnych ślubów*“ wszedł teraz na poważniejsze pole i z całą sumiennością zabrał się do nowego zawodu. Jakoż *Pojata* okazuje staranne studia jakimi zbadał gruntownie stan Litwy bałwochwalczej i stosunki jej ówczesne, a lubo główna bohaterka przypomina wiele *Rebekę z Iwanhoe* Walterskotta, nie ujmuje to wartości tego utworu. Romans ten znalazł do razu niemały rozgłos, całe pierwsze wydanie rozchwytało w ciągu kilku miesięcy, a dochód czysty jaki autor zebrał, wynosił do tysiąca dukatów (1).

Właśnie pod owe czasy zjawia się nowy pisarz historycznych romansów, oficer wojsk polskich *Aleksander Bronikowski*, ale piszący po niemiecku. Pierwszymi zaraz utwo-

(1) *Pojata* miała kilka wydań. Ostatnie za życia autora wyszło w Puławach w drukarni bibliotecznój 1829 r., w czterech tomach. W roku 1828 wydał romans z dziejów Polski: *Nałęcz* w 2-ch tomach, ale ten nie dorównywa w wartości *Pojacie*. Z małych powiastek tego autora zasługuje na wspomnienie, pełen artystycznej wartości obrazek p. n.: *Powódź* wydany w ogólnym zbiorze: „*Powieści z podań i obyczajów krajowych*.“ Niezależliwa miłość do słynnej i pełnej talentu piękności w Warszawie, była powodem obłąkania umysłu: zakończył życie mając rok 49 wieku, w samej sile dojrzałości talentu, zwiastującego znakomitego autora romansów historycznych. Umarł w roku 1836, pochowany w Łomży na cmentarzu miejskim, pod skromnym nagrobkiem z napisem: „*Tu leży Feliks Bernatowicz, autor Pojaty.*“

rami pozyskał sobie głośne imię, zarówno w całych Niemczech jak i w kraju, albowiem bezwzględnie zaczęto wszystkie jego romanse tłumaczyć. Od roku 1827, a zatem zaraz w rok jak po niemiecku drukował, do roku 1830, wyszły przekłady romansów historycznych Bronikowskiego: *Mysza wieża na jeziorze Gople* (tłumaczenie Fr. Królikowskiego, autora *Prozody polskiej*); *Hipolit Boratyński i Zawieprzycy*, w przekładzie J. K. Ordyńca, redaktora Dziennika Warszawskiego; *Jana Kazimierza Wazy więzienie we Francji* (tłumaczenie Adryana Krzyżanowskiego); *Elekcya, Olgert i Olga czyli Polska w XI wieku*; *Pretendenci*, powieść z początku XVIII wieku, i *Jan III i dwór jego, czyli Polska w XVIII wieku*.

Widzimy z tego jak *romans historyczny* zaledwie się ukazał, rozrasta się w niezwykłych rozmiarach i jak przychylne znalazł przyjęcie. Nietylko on zapalił młode wyobraźnię, ale porwał za sobą i najpoważniejszych klasyków. *Franciszek Wężyk*, autor tragedj oryginalnych po kroju klasyczno-francuzkim, pierwszy z niewykłmym zapalem rzucił się do pisania romansów historycznych, i w roku 1828 wydał ich dwa: *Władysław Łokietek czyli Polska w XIII wieku* i „*Zygmunt z Szamotuł, powieść z XIV wieku*” każdy we trzech tomach. W jego ślady poszedł i Fryderyk hr. Skarbek, ale te powieści nie wytrzymają porównania z *Janem z Tęczyna* i *Pojatą*, tak są pozbawione właściwej barwy historycznej swoich czasów, jak i wyprowadzonych postaci na scenę działania. Pomnożyły one *ilość* nie *jakość* oryginalnych historycznych romansów. I nie mogło być inaczej, gdy *nauka starożytności*, wyjaśniająca szczegóły domowego życia, zupełnie nie była znaną. A jakże się powieść historyczna bez nich obyć mogła. Brak było tego, że tak nazwę historycznego *inwentarza*, który drobnostkowo opisuje *dom* i ognisko domowe, sposób życia, zastawę, potrawy i napoje, ubior, konie z *rzędami* pod jeźdźca i do zaprzęgu pojazdów; ubiory i zbroje, jak kształt i przystrój komnat, tak szlacheckiego dworu jak pałacu magnata, lub warownego zamku można-władzcy, czyli *Panoszy*, jak dobrze *panów* w dawnych wiekach, nazywa heraldyk *Paprocki*.

Brakowało objaśniających i wyczerpujących monografij, czy do wydatnych postaci dziejowych, czy miejscowości, które wspomina historia.

Pisarze tego rodzaju powieści, znajdowali maluczkie tylko pomoce w coraz rozwijającej się literaturze krajowej. Tomasz Święcki dał *Opis Starożytnej Polski*, Franciszek Wężyk, ogłasza swój poemat: *Okolice Krakowa*; Ambroży Grabowski w roku 1822 pierwszy *Opis Krakowa*; Feliks Bentkowski daje bibliograficzny spis *literatury polskiej*; J. U. Niemcewicz, najdrogocenniejszy w tym kierunku *Zbiór pamiątek o dawniej Polsce*. Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk ogłosiło z rękopismu pierwszy tom *Historji narodu polskiego* Adama Naruszewicza i z niego też Bernatowicz obficie czerpie zasoby do swęj *Pojaty*, jak Niemcewicz do *Jana z Tęczyna* ze zbioru własnych *Pamiątek*. Dopiero w ostatnich latach tego okresu ukazały się cztery tomy Łukasza Gołębiowskiego: *Lud polski*, *Dwory*, *Ubiory*, *Gry i zabawy*, które miały za przedmiot starożytności krajowe, ale żaden z powieściopisarzy historycznych korzystać z nich nie potrafił.

XII.

Przy końcu zaciętj i wrzącj z początku walki klasyków z romantykami, która blisko lat dziewięć trwała, zaczynając się od r. 1822, po otrzymaném zwycięztwie ostatnich, i zgnieceniu francuzkiego klassycyzmu, ostygała zawziętość, wróciła rozwaga i stosunki przyjazne pomiędzy wrogami pierwiastkowo obozami, lubo nienawiść do utworów klassycznych w całej się sile utrzymywała.

Poważni pracownicy, nie poeci, ale oddani badaniom dziejów krajowych i naukom ścisłym, nie mogli darować Mickiewiczowi rozprawy „O krytykach i recenzentach warszawskich,“ ale godzili się z nim, bo ich umiał przeprosić *Konradem Walenrodem*, *Sonetami*, i wielu drobniejszymi poezyjami, szczególniej téż wierszem „do *Joachima Lelewela*.“ Nie mogli się wszelako pogodzić, na tę zuchwałość innych młodzików co z krytyką rzucali się ostrą, na pierwsze powagi naukowe.

Nie zapomnę téj chwili, kiedy w *Gazecie Polskiej* ukazał się rozbiór wydanego tomu *Rocznika Towarzystwa Przyjaciół Nauk*. Nazajutrz odbieram kartkę, od mecenasa Tomasza Święckiego, autora *Opisu Starożytnej Polski*, i członka tegoż

towarzystwa, zapraszającą ażebym co rychlój mógł się z nim zobaczyć. Zaledwem drzwi otworzył, ujrzałem go chodzącego po pokoju w niezwykłym rozdrażnieniu. Gdy mnie zobaczył, uściskawszy zapytuje:

— Czytałeś krytykę na Rocznik naszego Towarzystwa?

— Czytałem.

— A to *smyk* zuchwały!

Nic nie odrzekłem: tym *smykiem* był Maurycy Mochnacki.

Święcki z uniesieniem mówił dalej.

— Towarzystwo dziś odbyło nadzwyczajne posiedzenie, i zdecydowało nie nie odpowiadać; — zbyć tę zjadliwą krytykę pogardliwem milczeniem. Uchybiałoby godności Towarzystwa wdawanie się w polemikę z młokosem, który jeszcze żadnych zasług nie położył, a zaczyna swój zawód literacki od szermierstwa krytyką.

Staralem się uspokoić głębokie wruszenie sędziwego prawnika, a jednego z najgodniejszych ludzi. I udało mi się to szczęśliwie, przechodząc z tak drażliwego przedmiotu, do pojawiających się prac historycznych.

W pośród tych drażliwych nieraz swarów literackich, dwóch pisarzy stało niedotkniętych nigdy ostrzem pióra krytyki: *Juljan Ursyn Niemcewicz*, i *Jan Woronicz*. Były to dwa ogniwa duchowe łączące wiek XVIII z naszym stuleciem. Cała szkoła romantyczna miała ich w wielkiem poszanowaniu, i uznawała ich powagę i stanowisko wyniosłe jakie wkole naszój społeczności zajmowali.

Niem mało do zgody i uciszenia wrzawy obustronnej przyłożył się młody naówczas a dziś nestor naszych poetów *Antoni Edward Odyniec*, wydawnictwem Noworocznika p. n. *Melitele* (1). Przyjaciel od serca Mickiewicza i towarzyszy jego lat wiośnianych z ławy szkolnej, postanowił w tym roczniku zespolić pisarzy, z obu dotąd wrogich dla siebie obozów. Stosunki jakie miał ze wszystkimi literatami ułatwiły mu wielce to zadanie. W r. 1829 wydał pierwszy *Noworocznik* (2).

(1) W mitologii prusko-litewskiej *Melitele*, była boginią kwiatów i zieloności.

(2) *Melitele Noworocznik* . . . Wydany przez Antoniego Edwarda Odyńca. Warszawa, w drukarni A. Gałęzowskiego. 1829 (w 16-ce, str.

W przemowie swęj wyjaśnia powody dla których przedsięwziął to wydawnictwo.

„Od trzydziestu przeszło lat, zaprowadzone w Europie i we wszystkich jęj, oprócz naszego, krajach, coraz tłumniej pod różnemi tytułami i w rozmaitych celach zjawiające się *Almanaki*, podały mi myśl przysłużenia się lubownikom literatury ojczystej, upominkiem podobnegoż rodzaju.

„Przedsiębiorąc wydanie niniejszego Noworocznika, miałem na celu nie tak zwykle przeznaczenie Almanaków, aby za wiązanie w dzień *Nowego roku* służyły, jak raczėj korzystając z chlubnej dla mnie znajomości, dobroci lub przyjaźni, znakomitszych w kraju naszym pisarzów, starałem się o nadanie mu literackiej wartości, a umieszczając w nim obok siebie płody rozmaitych autorów, chciałem go uczynić niejako skazówką rozmaitego ich charakteru i dążenia.“

Ten ton umiarkowania, ten szlachetny spokój jaki z tēj przemowy A. E. Odyńca odbijał, wpłynął przeważnie na przychylne przyjęcie jego Noworocznika. Widzimy obok siebie utwory tak poezyi jak prozy: Brodzińskiego Kazimierza, Chodzków Aleksandra i Ignacego, dwóch Fredrów Aleksandra i J. Maksymiliana, Antoniego Góreckiego, Konstantego Gaszyńskiego, Stanisława Jachowicza, Juliana Korsaka, Józefa Korzeniowskiego, Józefa Lipińskiego, Mickiewicza, Morawskiego Franciszka, J. D. Minasowicza, J. U. Niemcewicza, samegoż A. E. Odyńca, Klementyny Tańskiej, Stefana Witwickiego, i Józefa Bogdana Zaleskiego.

W roku 1830 wydał drugi Noworocznik. W nim oprócz już wymienionych pisarzy, pojawiły się utwory Woronicza, L. Żukowskiego. (Pierwsza rozprawa po Z. D. Chodakowskim: „*O zwyczajach i obyczajach naszego ludu.*“) Seweryna Goszczyńskiego, i Krystyna Lacha Szyrmy. Tu wiele najpiękniejszych poezyj J. B. Zaleskiego mamy, i znakomity *Fragment*, Józefa Korzeniowskiego, który powszechną zwrócił uwagę na tego młodego poetę.

Oba te Noworoczniki, wkrótce wyczerpane zostały z obiegu księgarskiego. W żadnym śladu niemamy nowėj

254). Zdobi go litografowane popiersie Józefa Lipińskiego. *Rok drugi*, w początkach 1830 roku wydany, w tymże formacie, z popiersiem *Jana Pawła Pawęża Woronicza prymasa królestwa Polskiego*, obejmuje str. 236.

pracy Ludwika Osńskiego, który tłumacząc się zajęciami katedry swojej, już oddawna nic nie pisał, spoczywając na dawno zdobytych laurach, wierny dawnym swoim zasadom, jako *Ostatni klasyk*.

W tych dwóch właśnie latach w których Noworocznik „*Melitele*,” ogłaszał A. E. Odyniec, Kazimierz Brodziński występuje z nowemi pracami swojemi.

W roku 1829 wydał *Elegie Jana Kochanowskiego* z łacińskiego przełożone, a w roku 1830, „*Pisma rozmaite*“ tom pierwszy: oba dzieła nakładem własnym.

Elegie poprzedza przedmowa, a w niej najwyborniej skreślony żywot wielkiego poety XVI stulecia. Służyć on mógł za wzór mistrzowski, jak się biografie pisać powinny, i stawał w rażącej sprzeczności, z owymi *pochwałami* zmarłych, ściśle wedle klassycznej formy pisanych, z których się Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk otrząsnąć do tej chwili nie zdołało. W każdej z nich piszący *pochwałę* silił się nie na to, ażeby wierny podać życiorys zgasłego męża, i odzwierciedlić jego postać i charakter, ale ażeby popisać się z własną wymową, mniej dbając o główny przedmiot.

Brodziński, wielbiciel gorący Jana Kochanowskiego, a zbliżony do śpiewaka Czarnolesia, uczuciami serca i prostotą, zabrał się z zapałem do tego tłumaczenia, pragnąc jak sam wyraża oddać: „hołd drogiej jego pamięci.“

Rzuca tu myśl potrzeby, przekładu celniejszych poetów polskich co po łacinie pisali, którą później w wiele lat podjął i urzeczywistnił Władysław Syrokomla.

„Powszechności dzisiejszej (pisze dalej Brodziński) zwróconej do smaku Anglików i Niemców, do poezyi sentymentalnej, niemoże się podobać dawny naśladowca starożytnych, połączanie miłość opiewający, pełny zużywanym obrazów greckiej mitologii. Każdy jednakże wiek ma swoje zalety i wady, swoje oddzielne cechy: naszemu zaś ta jest najwłaściwsza że wszystkie płody ludzkiego rozumu i czucia, umie oceniać według ducha narodu i czasu, który je wydał; że się chroni wady i pedantyzmu, i nie rodzaj, ale wartość poezyi ocenia. Kiedy Anglicy obok czci dla Szekspirów i Byronów, dziś wydają i tłumaczą łacińskich poetów chrześcijańskich, kiedy w Niemczech, we Francyi i Holandyi, gdzie nowi poeci, zapomnienie dawniejszych w obcym języku piszących,

usprawiedliwiaćby mogli, poszukiwane są nowe tychże wydania i przekłady: godzien jest równie pamięci Jan Kochanowski, który pierwszy

„Wdarł się na górę pięknej Kaliopy,
Gdzie dotychczas nie było śladu polskiej stopy.“

Pierwszy tom *pism* obejmuje rozprawy „O życiu i pismach Karpińskiego.“ „O Fabianie i Birkowskim, „O Satyrze i Elegii,“ „O Krytyce,“ w ostatku „o Egzaltacyi i Entuzjazmie.“ Dwie te rozprawy wywołały ostre recenzye, które tak zraziły Brodzińskiego, że dalszego wydawnictwa zaniechał. Daremne były zachęty przyjaciół. „Niech ta burza przeminie (mówił do mnie) co tak umysłami wstrząsa, i zaślepia na prawdy wiekuiste; przyjdzie czas, że uznają, iż to com napisał, wynikało z głębi moich przekonań i serca.“

W pierwszej „o krytyce“ ustęp następujący zamykający całą rozprawę, był szczególnie napastowany.

„Ja sędzę (pisze Brodziński) że ani możliwością jest krytyki, ażeby genialnych i oryginalnych poetów tworzyła; jęj rzeczą jest tylko dać ich poznać i uczuć publiczności, ze względem na smak, to jest na czystą prawdę i zgodę rozumu z czuciem. Geniusze są tylko darem Opatrzności dla narodu, nie skutkiem jego woli i starań; one owszem należą do świata całego, ziomkowie niemają często prawa niemi się szczycić, ale rzeczą i chwałą całego narodu jest dążność ku szlachetnym celom, zdrowe czucie piękności: to jest własne jego dzieło. owoc oświecenia i cel krytyki.

„Geniusz nie da się wywołać, ani opinie nagle narzucić. Z pochodnią zwolna postępować należy, ażeby się jęj światło w dym nie zamieniło. Myśleć i czuć głęboko nie możemy wszyscy, ale staraniem naszym być powinno, myśleć porządnie i czuć zdrowo: w tém powołaniu jest krytyka zawsze zbawiennym przewodnikiem, jeżeli nie talentów samych, to publiczności. Talenta same mogą zły albo dobry jęj smakowi nadać kierunek, pierwszy prostować, drugi utrzymywać, jest obowiązkiem krytyka; publiczność zawsze prędzej w smaku postąpi, niżeli geniusze na oklaskiwanie krytyków wywołać się dadzą i unicść zdołają.

„Jeżeli poetę w twórczym usposobieniu *Muza* prowadzi, niech przewodnikiem krytyka będzie *Minerwa*: nie w swojej

nadludzkiej postaci, która ęmi oczy śmiertelnych, nie z głową *Gorgony*, któraby nieprzyjaciół w kamienie obracała, ale w ludzkiej *Mentora* postaci, w której przyjaźnią z *Telemakiem* złączona, naprowadza go, ostrzega, samym pożytkiem jego zajęta, i sam tylko zastosowany rozum objawia; niech wraza razem miłość ku ojcu i synowi, niech zagrzewa starą ociężałość, i młodzieńcze uniesienia miarkuje, niech usiłuje, aby za jej przewodnią jeden i drugi różnemi drogami zdążyli do jednego celu, do ziemi ojczyściej. Niech obadwa poskromią fałszywych Penelopy zalotników, i uwodzicieliw samej niedoświadczonej czeladki; a najwięcej niechaj obadwa, wzbogaceni światłem u obcych ludów zebraném, ulepszą gospodarstwo, ale nie niszczą drzew dawnych dla nowych szczepów, niech szanują wspólnie bogi domowe, niech syn rzeźwiejszy wyręcza ojca, niech dalej postępuje, ale niech cnoty patryarchalne szanuje, niech dumnie nie ogłasza się panem.“

Ton ten umiarkowany, szlachetne i zdrowe myśli, nie znalazły miru u młodych krytyków. Ale ostrzej jeszcze, i z większą zaciekłością uderzyli na rozprawę „o *Egzaltacy i entuzjazmie*.“

Jak w powyżej przytoczonym ostatnim ustępie, nie podobą się porównanie do Mentora i Telemaka, tak tu razila ich gorąca obrona Brodzińskiego, z jaką wystąpił, za wiekami starożytnej hellady; Brodzińskiego okrzyknięto za wroga *zapalu i entuzjazmu*: z jakiegoż powodu? Oto z tych słów które w końcu tej pracy wypowiedział:

„Niech, jak chcą teoretycy rozprawiają o zupełnej metamorfozie człowieka po zniknięciu starożytnych, podług których miał się na wywrót przemienić; my przynajmy, że mu tylko wyższych wyobrażeń i więcej gotowości przybyło. Są to wszystko zabytki mistycyzmu i przebujałości wschodniej, napuszystości zbytku i zepsucia Rzymian, sofistów greckich, barbarzyńców północnych, połączonych z wynaturzonym ludem starożytności, sektarzów i szkolników późniejszych, egzaltacy samotników i szału ogłupionych rycerzy. Spaczone uczucie, krzywe wyobrażenia, sztuka sprzeczna naturze nie mogły wydać czynów ani utworów prawdziwie wzniosłych i pięknych. Całe późniejsze dążenie było tylko wydobywaniem się z tego stanu; największe więc charaktery i geniusze, nie mogły być bez znamion tych, lub owych. Staroży-

tni w ograniczeniu do najpiękniejszej swojej epoki doskonalili czysto od natury dane im siły, mogli przeto więcej mieć niedoskonałości, niżeli wad przeciw naturze; późniejsi musieli pozbywać się fałszu i razem ku wyższej dążyć doskonałości. Tamci zawsze będą doskonałym wzorem, ci wielkimi przykładami. Jak Danta Wirgiliusz, tak starożytni zawsze poetów w świat nowy poezji wprowadzać będą. Anglicy, naród najoryginalniejszy w charakterach i geniuszach, najwyższą cenią klasyków i na nich się kształcą.

„Chrześcijaństwo, które wiarę maluje i miłość, owe jedyne zasady szczęścia za powinność ogłasza, wykazało przez nie najpiękniejszą zgodę rozumu i czucia i pogodę wyobrażeń. Są to, śmiałym powiedzieć, trzy chrześcijańskie *gracye*, którym poeta, jak filozof, ofiarę składać powinien. Ku prostocie nie wiedzącą o sobie, wzniosłości i uroczystej pogodzie ze wszystkich bezdrożów, kiedyś zdążymy.

„Ludy słowiańskie a w szczególności Polacy, nigdy nie dzieliły szału i obłąkań, jakie od zepsucia Rzymian, tak długo smak i uczucia moralne kaziły; obok z innemi ludy dążyły ku ukształceniu lecz wydobywały się jak starożytne ludy, z ciemnoty przecież nie z zepsucia. Dziś jeszcze mimo tylu przeważnych wpływów cudzoziemszczyzny, którym jako niższe w oświeceniu, muszą hołdować, dochowały odrębną swą cechę: miłość natury, umysł pogodny i wesołą rezygnację, jedyny entuzjazm, miłość swęj ziemi, wrodzoną skromność i obyczajność, zdolne jedynie do prawdziwego wykształcenia. Z tego własnego gruntu ciągnąc soki ożywcze ku rozkwitnieniu swojemu, niech się żywią powszechnym światłem wszystkim ludom przyświecającym, lecz niech strzegą zarazy przelotnej z stron obcych.“

Nie wiem zkąd, ale Brodzińskiego stawiono, jak bałwochwalczego stronnika sielankowości w poezji czy dlatego, że dał jedną z najpiękniejszych sielanek w naszej literaturze, jakim jest i będzie *Wiesław*? To uprzedzenie podzielał i sam Mickiewicz, gdy w usta literata warszawskiego, tę przymówkę do Brodzińskiego, w kilka lat później podał:

„Nasz naród się prostotą, gościnnością chlubi,
Nasz naród scen okropnych, gwałtownych nie lubi:
Śpiewać naprzykład, wiejskich chłopców zalecanki,
Trzody, cienie — Słowianie, my lubim sielanki.“

Wyliczyliśmy cały już poczet poetów i pisarzy, którzy w tym okresie odznaczyli się na niwie literackiej. Pozostaje nam jeszcze wspomnienie słynnego śpiewaka z tej doby, którego pieśni były wielce upowszechnione, i w każdym niemal domu powtarzane. Melodye do nich łatwe a śpiewne, popularyzowały je jeszcze więcej.

Przed pojawieniem się Mickiewicza, już te piosenki rozbiegały się jak jaskółki lotne i przylegały do strzech naszych domowych. Nigdzie nie były drukowane, znano je tylko w rękopiśmie, a melodye z posłuchu chwymano. W tymże roku 1822, gdy pierwsze wydanie wileńskie poezyi twórcy *Dziadów* ukazało się u nas: Ludwik Osiński dyrektor ówczesnego Teatru Narodowego otrzymał od autora tych pieśni *Stanisława Doliwy Starzyńskiego*, który w nich przybrał nazwę *Stacha z Zamiechowa*, rodzinnego po ojcu gniazda, przekład dramatu *Grillpartzera*: „*Matka rodu Dobratyńskich*“ i wystawił go na scenie tegoż teatru. Dramat ten wyprzedził o lat kilka pojawienie się na tychże deskach *Precyozy* Minasowicza. Główne role Osiński rozdał pierwszym ówczesnym artystom. Starego *Hrabiego na Dobratyniu* grał Szymanowski (dziad dzisiejszego artysty dramatycznego), *Klarę* jego córkę słynna Leduchowska, *Bolesława Anczyc* (ojciec znanego pisarza *Władysława*) a głównego bohatera *Jaromira*, Werowski.

Znakomity ten artysta, szczególnież zapalił się do tej roli, a zachwycony nią, przybiegł na parę dni przed wystąpieniem do mnie i z niezwykłym zapałem piękniejsze ustępy przedeklamował. Nizkie i skromne ściany mojej stancyjki na trzeciem piętrze, pod urokiem tej gry Werowskiego zamieniły się w scenę teatru narodowego; tak porwał mnie swoim zapałem i oczarował. Ta chwila oczarowania nic zatarła się dotąd w mojej pamięci.

Przedstawienie ściągnęło tłumy widzów i głębokie wywarło wrażenie na młodém wówczas pokoleniu. Gra pełna prawdy i energii Werowskiego, przyłożyła się głównie do tego. Wszystkich uderzyła niezwykła miara ósmio-zgłoskowego wiersza, który jednakże goręcej mógł oddać uczucia miłości, zemsty, bólu i rzewnój tęsknoty, niż owe trzynastozgłoskowe, tak długo w tragediach klassycznych panujące wszechwładnie na scenie warszawskiej.

Teraz dopiero dowiedzieliśmy się że ów *Stach z Zamiechowa*, krórego piosenki tak nas zachwycaly, był tłumaczem *Matki rodu Dobratyńskich*.

Z kilkudziesięciu pieśni jego jakie krążyły w ustach, najulubieńszymi były: *Kowal, Maj, Słowik, Banialuka, Obaczymy, Do zobaczyska, Zostawcie mnie w mojej chatce, Paciorek, Krakowiak*, i sławna pieśń humorystyczna, *Dyabeł nieboszczyk*, której strofka każda kończy się dwuwierszem:

„Sic est, sic est, ita, ita
Zabił dyabła Jezuita!”

Każda z tych śpiewanek odznaczała się szczerem uczuciem, prawdą a prostotą myśli, oddane wierszem gładkim i potoczystym, a pięknym językiem.

Teraz pierwszy raz usłyszałem nazwisko *Tymka Padurry* i jego *dumki* ruskie, które równie nie drukowane jak *Stacha z Zamiechowa*, również były popularne.

W Warszawie na *Miodowej* ulicy w dawnym pałacu bankiera *Teppera* a teraz *Grabowskiego*, mieściła się na pierwszym piętrze w jego uboczu kawiarnia, w której się zbierało liczne grono młodych literatów. Tu codziennie w po biednej godzinie spotykałeś Maurycego Mochnackiego, Seweryna Goszczyńskiego, Nabelaka, Józefa Bohdana Zaleskiego, Bronikowskiego, Andrzeja Kucharskiego, który niedawno wrócił z podróży po krajach słowiańskich odbytej, i wielu innych. Goszczyński znał oddawna dumki Padurry, dla nas była to nowość. J. Bohdan Zaleski, raz wbiega z niezwykłą żywością i opowiada nam, że tylko co dostał nowy utwór Padurry. Staje w środku naszego koła a dobywszy rękopism zaczyna czytać. Była to śliczna owa дума: „*Roman z Koszary*“, z której pierwsza strofka brzmi w tych słowach:

„Nicz była temna, witer z nyw szerokych
Z łyściam w dołyny kotyw czorni chmari,
A misiać czasom z pid nebes wysokych
Liczyw nad Bohom sediaszczi Tatory:”

Trzeba było widzieć i słyszeć Bohdana, z jakim zapalem deklamował, jak się unosił nad tym utworem.

Później dopiero miałem sposobność przekonania się, jak nad Dniestrem, Sanem i Prutem, po dworach ziemian naszych, dumki Padurry ze śpiewankami Starzyńskiego, były rozpowsechnione, i jak zgodnie brzmiały przy wtórze ulubionych melodyj (1).

Ruch któryśmy opisali, nie zwykle obudzone duchowe życie, obcemi były dla Ludwika Osińskiego. Zwolennik filozofii Woltera jak i klassyczności francuzkiej, obojętnem okiem spoglądał w około siebie, nie pojmując, ani tego ruchu ani nowych idei, jakie zapanowały w świecie literackim. Dla nich miał tylko szyderyczy uśmiech, a w ustach dowcipki nie zawsze dowcipne. Porwany jednak pomimo woli i wiedzy prądem nowych idei ten *ostatni klassyk*, jako dyrektor Teatru Narodowego, *romantyzm* w pierwej wprowadził i ustalił na scenie, nim potrafił wziąć przewagę w piśmiennictwie. Nie mała to jego zasługa. Nadto, jako pisarz i poeta znakomitego talentu w pierwszych latach naszego stulecia, wzniosłe zajmując stanowisko, godny na bliższe rozpatrzenie i zbadań prac jego, którymi we właściwym sobie okresie zyskał tak chlubny a zasłużony rozgłos w narodzie.

XIII.

W małym i lichym miasteczku Podlasia *Kocku*, po nad *Wieprzem*, położonem na gościńcu pocztowym z Lublina do Radzyna, dnia 24 sierpnia 1774 roku urodził się Ludwik Osiński z ojca Jana i Barbary z Markowskich. Po ukoń-

(1) W kilkanaście lat później, bo w roku 1844, miałem sposobność poznania bliższego tego poety. Bawił on w Warszawie, gdy przyjaciel jego szkolny, a zarazem i mój kolega Gustaw Leon Glücksberg księgarz, drukował zbiór Padurry poezyi, i wydał w drukarni Stanisława Strąbskiego w pięknej edycji z nutami p. n.: „*Ukrainky z nutaju Tymka Padurry*” (Warszawa 1844, w 8-ce str. 195). Padurra zajmował się wtedy historią Kozaków i Ukrainy i wiele tu zebrał notat. Czy tę pracę wykończył, jak zamierzał, wedle planu o którym mi rozpowiadał, nie wiem. Przekładał poezye Mickiewicza na narzecze ukraińskie, i pozostawił mi na pamiątkę tłumaczenie swoje ballady tego poety: *Albufara*, w którym obok ścisłej wierności zachował całą siłę oryginału. Pisywał i poezyo polskie: wyjątki z nich drukowałem w Bibliotece Warszawskiej. Umarł 1872 roku.

czeniu nauk w szkołach księży Pijarów w Łomży, wyższe wykształcenie odbierał wtémże samém zgromadzeniu, którego sukienkę przyjął, i pełnił obowiązki nauczyciela. Nie czując wszakże powołania do tego stanu, wyrokiem dwóch instancji Sądu Duchownego uwolniony, wystąpił z tego zgromadzenia, poświęciwszy się zawodowi nauczycielskiemu.

W dwudziestym czwartym roku życia, idąc za modą literacką ówczesną, wydał *Zbiór zabawek wierszem*(1) w dwóch częściach. Nosząc sukienkę jeszcze zakonną, rozpoczyna je od wiersza p. n. *Bóg!* maluje dalej *Wschód słońca*, *Cztery pory roku*, i różne powszedniej treści przedmioty, wiersz w nich niezwykle gładki, język czysty. Część *druga* obejmująca *Sielanki*, słabszą jest od pierwszej, chociaż zawsze forma staranna. Osieńki sielankami nazwał niewłaściwie drobne wierszyki, które żadnego charakteru tego rodzaju wiersza nie mają, podług *kodeksu* klasyków francuzkich. Ale zasługuje wybijający kierunek ku satyrze i naśladownictwo Krasickiego, na co nie zwracano uwagi.

Nabożny powierzchownie, *Wolne zdania*, *Urodzenie*, *Mოდnie ukształcony*, *Pan z przemysłu*, *Dziedzic i poddani*, *Sędzia*, *Pieniacz*, *Obmowa* i *niemodna wieśniaczka*, są to wszystko utwory lubo mniejszych rozmiarów jak satyry Krasickiego, ale mogą obok nich dopełniać galeryi charakterów i postaci z końca XVIII wieku, które tak po mistrzowsku odmalował twórca *Myszeis*.

Dla poparcia naszego zdania przytoczymy tu wiersz :

„*Nabożny powierzchownie*”.

„Bernard sztucznie nabożny, sto rozańców zmówił,
I mnie o libertyństwo pobożnie obmówił.
Czemu? żem się nie krzywił, misternie nie stękał,
Czołem nie bił o ławkę, przed kruchtą nie klękał;

(1) „*Zbiór zabawek wierszem Ludwika Osieńskiego. W Warszawie roku 1799. Nakładem i drukiem wdowy Zawadzkiej*” (w 8 ce str. 79). Część pierwsza obejmuje str. 46, druga od 47 do 79. Wydanie to dziś należy do rzadkości bibliograficznych, albowiem autor jak poprzednio F. D. Książnin swoje *Erotyki*, a w okresie, który opisujemy Stefan Witwicki swoje *Ballady i romanse*, tak Ludwik Osieński ten zbiór zabawek wierszem, wykupywał i palił, uważając druk ich za niewczesny i ujmę dla siebie.

W post z olejem nie jądłem, a kiedy zagrzmiało
 Nie zawsze zwykłem mówić: „A słowo się stało!”
 Ale nie zdarł biednego z fortunki szlachcica,
 Nie wdieram się z kąd cudza dzieli mię granica;
 Pieniędzy nie mam w lichwie, a bliźnich w pogardzie!
 Niepomogą rozańce i posty, Bernardzie,
 Kiedy serce bezwstydnę, a czoło jak z miedzi!
 Nigdy z chciwym zarobkiem pobożność nie siedzi.
 Na co liczyć w tuziny i kopy pacierze,
 A zdradzać przyjaciela, żyć z ludźmi nie szczerze,
 Zdobić ołtarze Boże w pamiętniki złote,
 A gnębić starą wdowę, lub zdzierać sierotę;
 Krzyż w rękę, a ludzkości prawa w poniewierce:
 Bernardzie! świat na pozór, Bóg patrzy na serce!”

Od roku 1801 do 1807 utrzymywał Osiński razem z *Konstantym Wolskim*, znakomitym wówczas pedagogiem, wyższą pensję mężką, która najzdolniejszych uczniów dostarczyła dla Liceum Warszawskiego; pisywał do *Gazety Warszawskiej* recenzye teatralne, do *Pamiętnika Warszawskiego* Franciszka Dmochowskiego tłumacza *Iljady* a swego przewodnika naukowego, w którym pomieścił większe utwory swoje, jak wiersz dydaktyczny o *Dobroczynności*, i drugi: *O sztuce aktorskiej*, napisany dla młodej a znakomitej artystki *Ledóchowskiej*, córki słynnej aktorki *Truskulawskiej* (1).

(1) *Józefa z Truskulawskich Ledóchowska*, była za dyrekcji *Osińskiego* jedyną najznakomitszą artystką sceny teatru narodowego. Natura obdarzyła ją przymiotami niezbędnymi dla aktorki: wzrost wysoki a smagły, noga mała i kształtna, ręce składne, oblicze przyjemne, a oczy szczególnie piękne, czarne, pałające ogniem życia; organ mowy dźwięczny i przyjemny. Do darów z urodzenia przyszła jej w pomoc rada i przestrogi matki, prawdziwie wielkiej artystki. Znałem je obiedwie: *Ledóchowską*, gdy na scenie współzawodniczki nie miała. *Truskulawska* już złamana wiekiem i pochylona; trzęsły się jej głowa i ręce. Nie zapomnę nigdy sceny, jakiej byłem świadkiem. *Ledóchowska* miała zwyczaj spoczywając w łóżku, uczyć się roli, głośno ją deklamując. Przechodząc ze szkoły już po 12 w południe, wstępuję odwiedzić ich i słyszę deklamującą *Ledóchowską*. *Truskulawska* daje mi znak ażebym cicho się zachował, a sama wytężyła słuch na dochodzący głos córki z drugiego pokoju. Nagle zerwała się sędziwa matrona, a roztworzywszy drzwi do jej sypialni wchodzi i odzywa się w te słowa:

— Ustęć ten, moja *Józio*, inaczej deklamować potrzeba; ja go tak pojmuje. . . .

I staje na środku pokoju, przybierając odpowiednią postać do roli.

W tej chwili zmienia się do niepoznanania: głowa i ręce trząsą się przestają, zgarbiona postawa przybiera bujność *topolową*; na oblicze zmar-

Wtym ostatnim, nie możemy pominąć ustępu, co pisze o *deklamacyi*, wskazuje bowiem jak pojmował jęj znaczenie, jak wczesnie znał jęj tajemnicę, zanim nią zaczął porywać i zachwycać słuchaczy, gdy przemawiał z katedry.

„Nabywaj długą pracą tęg silnęg wymowy,
Co rzeczom z siebie pięknym, wdzięg nadaje nowy.
Umieję myslą pisarza, głosem odpowiadać,
Każdemu wyrazowi moc właściwą nadać.
Niech do górnieszych tonów twój język przywyknie,
Często w złém wymówieniu cała piękność zniknie,
Jakże się mam nad sztuką unosić z zapałem,
Jeślim mało rozumiał, reszty nie słyszałem?
Tu słuchacz końca rzeczy z uniesieniem czeka!
Któż wtenczas ciężkie słowa leniwie przewleka?
Lub skąpy; nieużyty w publicznej potrzebie,
Zacznie wiersz, dla nas wszystkich, a skończy dla siebie.
Synowie jednej matki, wzajemnie uczynni,
Zawsze aktor z autorem wpierać się powinni!”

W roku 1802 został członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a w roku 1804 sekretarzem tegoż zebrania. Wtedy na publiczném posiedzeniu, odczytał wyjątek z *Przemian Owidyusza* swego przekładu: „*Mowa Ajaksa i Ullisessa o zbroje Achillesa*”.

szczone i blade wybiega wyraz młodości, oczy jaśnieją dawném życiem, głos nawet ma dźwięk jakiś nieznanym, metaliczny, harmonijny.

Osłupiała z podziwienia, wpatrywałem się w tę scenę z zachwyceniem. Po chwili gdy Truskulawska skończyła ten ustęp, nagle ręce jęj opadły i trząść się zaczęły wraz z głową; postać wyniosła złamała się jak zawsze, na oblicze wróciły dawne zmarszczki i wyraz starości wybił znowu na zwiędłe policzki.

Była to chwila *odzycia*, w której potęgą ducha odmładzała organizm artystki.

Ledóchowska wyborną była aktorką w rolach klasycznych tragedji z francuzkiego tłumaczonych, lub oryginalnych polskich na ich wzór pisanych; ale w dramatach nowszych a szczególnie natchnionych duchem romantycznym, wiele traciła, lubo jako *Ledy Makbet*, soonę snu, gdy ze krwi ręce obmywa, genialnie odgrywała.

W komedjach brakowało jęj lekkości i ruchu właściwego. Już przy końcu swego zawodu, występowała w roli *Dziewicy Orleańskiej*, ale siły nieodpowiadały. Wtedy ją zastąpiła słynna z wielkiego talentu jak i wdzięków *Leontyna Żuczowska*, która tak w dramacie jak w komedji przez długie lata była ozdobą i chlubą sceny warszawskiej.

Biegły w języku łacińskim, a przytem mając niepospolity talent do tłumaczeń, znakomicie ten ustęp z *Metamorfóz* przelał na ojczysty język, i liczne zebranie słuchaczy zachwycił nieporównaną swoją deklamacją.

W roku 1805 zwiedził Paryż i Francję, jako nauczyciel i przewodnik w podróży młodego Romana Sołtyka; po kilku miesiącach wróciwszy do kraju, oddał się na nowo swemu zawodowi i pracom literackim.

Z końcem roku następnego po bitwie pod *Jena* nastąpiły zmiany w kraju, w roku 1807 ogłoszono księstwo Warszawskie. Osiński wszedł do składu krajowego zarządu i został sekretarzem Dyrekcyi Sprawiedliwości, a wkrótce potem sekretarzem generalnym w Ministeryum Sprawiedliwości, ostatecznie zaś pisarzem Sądu Kassacyjnego. Miał sobie poruczone zwiedzenie sądów nowo organizowanych, ogólną redakcyę urzędów form i wzorów do aktów stanu cywilnego, i należał do rewizyi przekładu Kodeksu Napoleona.

„Był to dla niego (jak dobrze wyraża F. S. Dmochowski, w życiorysie L. Osińskiego na czele dzieł jego) podobnie jak dla wszystkich polaków powołanych z zacisza wiejskiego, albo od prac literackich, do urzędów publicznych, nowy rodzaj czynności, w którój trzeba było uczyć się kodeksu nadanego krajowi przez Cesarza francuzów, i nie znanych form administracyjnych francuzkich, a zarazem wykonywać czynności z obowiązków urzędu wynikające.

„Osobliwy to był widok! Dla sędziów, pisarzy, obrońców, pozywających i pozwanych, było przewodnikiem nowe prawo, którego sami uczyć się i niezwłocznie stosować je musieli. Zaiste, niemały to jest dowód zdolności umysłowych narodu naszego, że z tak trudnego zadania wyszli bez ciężkich i dolegliwych błędów. Proste uznanie sprawiedliwości, zdrowy rozsądek i gorliwe wypełnianie obowiązków, wsparło ich niedoświadczone kroki. W tym nowym dla siebie zawodzie Osiński odznaczył się bystrością umysłu i trafnym sądem: świadczą o tém wyroki *Sądu Kassacyjnego*, przez niego redagowane i pisane, a znajdujące się w osobnym zbiorze, i w dawnych aktach.“

Zyskał już sobie Osiński poprzednio za *czasów* tak zwanych *pruskich*, ogromny rozgłos, przekładem tragedyi Piotra Kornela *Horacyjusze*. Pierwsze przedstawienie było w poło-

wie przez artystów teatru narodowego, w połowie przez amatorów z wyższego towarzystwa polskiego odegrane. Bogusławski dyrektor teatru, najznakomitszy artysta, jakiego kiedykolwiek aż do owéj pory, scena polska posiadała, grał rolę starego Horacyjusza; Truskulawska, wielka aktorka tragiczna rolę Kamilli: młodego Horacyjusza *Pawłowicz*; Kuryjaczusza, sam tłumacz, rolę Sabiny, Stanisławowa Sołtykowa, małżonka podstolego koronnego i posła na sejmie czteroletnim. Teatr brzmiał nieustannemi oklaskami: publiczność po raz pierwszy słyszała tak piękne wiersze, tak wzniosłe myśli, i nie znany jéj dotąd szlachetny styl dramatyczny. Wywołano tłumacza, a gdy się ukazał, przejęci niepamiętnym zapalem widzowie, podnieśli go na rękach i obnosili, wśród okrzyków uwielbienia (1).

Rok 1809 wykazuje największą działalność Osińskiego na literackim polu; wtedy bowiem dał na scenę teatru narodowego tragedję Piotra Kornela „*Cynnę*.” i od stycznia

(1) Bogusławskiego już w sędziwych latach, widziałem raz w roli *Fryderyka Wielkiego*, drugi raz w starym *Horacyuszu*. Wysokiego wzrostu, twarz rzymskich rysów, ruch każdy szlachetny i właściwy; pomimo tego że już nieco szeplecił, dla braku zębów, głębokie wywarł na mnie wrażenie. O ile przypominam sobie, wystąpienie jego w *Horacyuszach* było ostatnie; n jakież zapal, jaki ogień tryskał z téj roli! Kiedy w głośnej scenie, w krórej *Kamilla* donosi staremu Horacyuszowi, że syn jego pozostały, uchodził z pola walki: i mówi:

— Cóż miał przeciw trzem czynić?

Horacyusz odpowiada na to sławnym wyrazem, ubóstwianym przez Klasyków:

— *Umrzć!*

Trzeba było być obecnym i słyszcć jaka pobożna z początku cisza panowała na teatrze, jak po téj odpowiedzi pioronujące oklaski i wrzawa, zatrząsły ścianami teatru narodowego. Podobne przyjęcie i grzmoty oklasków widziałem jedynie raz jeszcze, gdy w *Wielkim Teatrze* ukazał się po raz pierwszy, najznakomitszy z dzisiejszych artystów dramatycznych *Jan Królikowski*, gdy wystąpił w scenie jednéj *Zbójców* Szyllera.

Na przedstawieniu Horacyuszów, o których wspominał, siedział obok mnie Francuz, niedawno przybyły z Paryża, ale rozumiejący po polsku. Ten, gdy ujrzał takie powitanie i pożegnanie sędziwego starca, rzekł do mnie:

— U was lepiej jak u nas, bo umiécie szanować zasługi i starość. W Paryżu, gdyby nawet sam *Telma* w takim wieku się ukazał, i braki, które wiek wycisnął, tak były widoczne jak w waszym Bogusławskim, wysykanoby go niezawodnie. Wy porwani jego grą jeszcze jesteście, pounąc czém był ten wielki aktor. To pięknie! to bardzo pięknie!

zaczął wydawać *Pamiętnik Warszawski*, który był wznowieniem zasłużonej publikacji tłumacza *Iliady*, wychodzącej od roku 1801 do 1805 pod tymże tytułem. Treścią tego *Pamiętnika* były: poezya, wymowa, język polski (*synonimy*), edukacya, prawodawstwo, historia, podróże, ekonomika, teatr narodowy, medycyna, chemia, korespondencye i rozmaitości. W roku 1810 weszły i wiadomości polityczne. Pierwszy zeszyt styczniowy 1809 roku, rozpoczyna: Duma o Bolesławie Chrobrym J. U. Niemcewicza, bo redaktor poezye stawiał na czele. Po wydaniu pierwszego tomu za styczeń, luty i marzec, drugi obejmuje tylko zeszyty za kwiecień, wrzesień i październik. Przerwa ta nastąpiła z powodu napadu armii austriackiej, i zajęcia chwilowego Warszawy. Tom trzeci, zamyka seryę pomienionego roku. W następnym wyszedł tylko tom jeden za pierwszy kwartał, i Osiński wydawnictwo swoje zamknął. Jako redaktor z prac własnych pomieścił w tym *Pamiętniku* Osiński: rozprawę „O życiu i piśmach Franciszka Dmochowskiego“ do którego był zbliżony, cenił wysokie jego zasługi nietylko położone na polu literackim, ale w zawodzie swoim wiele mu rad i pomocy zawodząca. Akt II z *Cynny* Piotra Kornela: „Obrona pułkownika Siemianowskiego“ i „*Wiersz na powrót wojska*“ czytany na posiedzeniu Towarzystwa przyjaciół nauk d. 22 grudnia 1809 roku.

Do rozgłosu chlubnego jaki pozyskał za przekład *Horacyuszów i Cynny*, przybyły nowe listki wawrzynu. Wiersz ten wywołał powszechny zachwyt, i dał mu tytuł pierwszego poety. Tradycya zachowała w pamięci późniejszych podając jako rzecz godną uwagi, że Osiński zawezwany przez pomienione *Towarzystwo* do napisania wiersza, w wigilię dnia tego, ani pióra nie wziął do ręki. Szukając natchnienia poszedł na rynek *Starego miasta*.

Na środku jego stał odwieczny *ratusz* pełen pamiątek historycznych. Osiński obszedł go kilka razy dookoła i wtedy pierwsze strofy tego wiersza ułożył.

Tytuł *pierwszego mówcy*, pozyskał sobie sławną *obroną* pułkownika Siemianowskiego, obwinionego o zabicie żołnierza. Wszyscy byli pewni wyroku potępienia, gdy staje w dniu 2 stycznia 1810 r. Osiński przed sądem wojennym

jako obrońca. Świetna wymowa, głęboko wzruszyła zarówno sędziów jak i słuchaczy: oskarżony jednomyślnie został za niewinnego uznany.

Nie należy nam się dziwić, że Osiński nie wytrwał dłużej z wydawnictwem *Pamiętnika Warszawskiego* i zamknąć go musiał w czterech tylko tomach. Pisma polityczne jak *Gazeta Warszawska*, zaledwie 500 prenumeratorów miała, a cóż powiedzieć o piśmie treści literackiej i naukowej. Niedociągały one do 200 nawet sprzedających się egzemplarzy; a lubo żaden redaktor ani szeląga nie płacił za artykuły i darmo je otrzymywał, koszt druku i papieru, pokrytym być nawet nie mógł. Czasy wreszcie wojenne nie sprzyjały ani prassie literackiej, ani wydawnictwu książek. Gdy zbadamy właśnie okres księstwa Warszawskiego, ujrzymy jak mały plon z niego literatura nasza odniosła.

Sam Osiński, zajęty sprawami swego urzędu, już od roku 1810 przestał pisać. W r. 1808 poślubił Rozalię Bogusławską, córkę twórcy pierwszego teatru w Polsce, znakomitego aktora i pisarza dramatycznego: ten stosunek w kilka lat później wpłynął przeważnie, na nowy kierunek jego w zawodzie literackim. Od roku bowiem 1814, kiedy sędziwy Bogusławski opuścił scenę, Osiński po teściu swoim objął przedsiębiorstwo teatru narodowego i wtenczas opuścił obowiązki pisarza sądu kassacyjnego. Lat trzynaście prowadził tę scenę i jak wyżej wspomnieliśmy, mimowiednie na nią ustalił *romantycznego* ducha. Ale nikt w tej porze nie pojmował różnicy pomiędzy *klassycznością* a *romantycznością*. We cztery lata dopiero później (1818 roku) wystąpił Kazimierz Brodziński ze swoją rozprawą: *O klassyczności i romantyczności*.

Osiński stanąwszy na czele tak ważnej instytucji jakim był teatr narodowy, rozumiał dobrze swoje obowiązki i całe znaczenie sceny. Wróciwszy do prac literackich i zajęty jęj dyrekcją, przez lat trzynaście wytrwał na tém stanowisku, wymagającem nie mało trudu jak i poświęcenia. Wprawdzie miał już doborową truppę aktorów, ale szczyby wkrótce się w niej pokazały, gdy starsi wickiem zaczęli zmniejszać ten piękny zastęp, a drudzy już słabli na siłach. Osiński zbierał z prowincjonalnych teatrów zdolniejszych artystów: wtedy to zajaśniali talentem *Zdanowicz* (jeden z najwyborniej-

szych komików wyższych): Ignacy Werowski, do ról pierwszych kochanków, którego zastępował później znakomity *Piasecki*, wreszcie przybyła Leontyna Żuczkowska, późniejsza Halpertowa, artystka jakiej scena nasza nie miała i nie ma dotychczas.

Lubo Szekspira już dał poznać na scenie Warszawskiej Wojciech Bogusławski, za dyrekcji Osieńskiego ujrzało *Hamleta*, *Machbeta*, *Otella* i *Króla Lira*.

Z dramatów Szyllera przedstawiono: *Fieschi*, *Intryga i miłość*, *Dziewicę Orleańską* (w przekładzie Andrzeja Brodzińskiego, starszego brata Kazimierza, który zginął na wyprawie 1812 roku).

Ukazały się i komedye Alexandra Fredry, a niespracowany J. U. Niemcewicz, zasilał teatr narodowy, zarówno dramata, komedyami, jak i librettami do oper. Z dramatów największe wywarł wrażenie *Zbigniew*, którego znakomicie przedstawił Werowski, tak postawą, deklamacją jak wybornym zrozumieniem roli (1).

„Osieński podniósł wysoko krajową operę, i dał pierwszy zawiązek baletowi, on pierwszy, (jak dobrze pisze najbliższy

(1) Werowski zaledwie ukazał się na scenie Teatru Narodowego w Warszawie, zyskał odrazu chlubne uznanie, przyjęcie i oklaski. Jakoż do ról głównych bohaterów tragedji klasycznych potrzeba było aktora, któryby oprócz talentu i wymowy, imponował na scenie tak doniosłym wzrostem jak silnym głosem do deklamowania przez pięć długich aktów. Tak pożądane przymioty posiadał Werowski: silnej i krzepkiej budowy, wyniosłego wzrostu, twarzy w rysach wydatnych, męskich; oczy duże i mówiące; głos z szerokich piersi płynący, grzmiał zarówno potęgą namiętności, jak miękł pod uczuciem miłości, lub rzewnej tęsknoty. Werowski wykształcony naukowo, był obok tego zapalonym *bibliomanem*. Miał piękną bibliotekę i zwykle gdy zamieszkał w Warszawie rok rocznie z benefisu swego, połowę oddawał księgarni Zawadzkiego i Węckiego za wybrane książki. Sumienny jako artysta, mając przedstawić jaką wydatną historyczną postać, szukał dzieł ażeby zbadać bohatera swego charakter główny i jego odcienia: śledził wszystkie szczegóły co do ubioru i jego uzbrojenia należało. Te poszukiwania i zapal bibliomana zbliżyły Werowskiego do mnie, i wtedy miałem sposobność poznać zarówno jego wykształcenie, jak szlachetny zapal dla sztuki, której się poświęcił. Oddany wyłącznie z początku rolom ściśle tragedji klasycznych, następnie w romantycznych utworach, grał znakomicie pierwsze role bohaterów i kochanków. On w komedyi Fredry: „*Pan Jowialski*“ stworzył komiczną rolę *Szambelana Jowialskiego* tak wybornie, że dotąd nikt lepiej zagrać nie potrafił.

świadek F. S. Dmochowski), zwrócił uwagę na zastosowanie miary wiersza do muzyki i teorią Elsnera, Królikowskiego i Kurpińskiego, którzy nad rytmicznością języka polskiego pracowali, wprowadził do tłumaczenia oper i podkładania słów pod muzykę. On skłonił kilku naszych lepszych pisarzy, mianowicie Brodzińskiego i Kruszyńskiego, że się tą pracą zajęli, a gładkość i czystość języka połączyli z miarami i taktem muzycznym. Jako wzór takiej pracy postawić możemy „*Operę Włoską w podróży*” tłumaczenie Kruszyńskiego Jana, i *Kalmorę* Brodzińskiego, niektóre opery Osiński sam przełożył, innych przekłady troskliwie przeglądał i poprawiał. On pomimo braku funduszków, kazał zrobić kilkadziesiąt pięknych dekoracyj, i ulepszyć garderobę teatralną. Reprezentacje *Machabeuszów*, *Dziewicy Orleańskiej* i kilka oper odznaczały się pięknnością wystawy. W ogólności przyznać trzeba tę zasługę Osińskiemu, że miał zawsze na względzie smak dobry, a godności sceny ojczyściej nie poświęcał dla widoków zysku” (1).

Znając dobrze, jak wykształcenia naukowego potrzebuje każdy aktor, ażeby pojmował należycie powierzoną sobie rolę, i umiał się z niej wywiązać, od roku 1814 do 1824 wykładał język polski i literaturę w *szkole dramatycznej* utrzymywanej przy teatrze. W sztuce scenicznej Osiński był wybornym przewodnikiem, a nieporównanym w nauce deklamacyi. Z téj szkoły wyszli tak znakomici artyści jak *Żuczkowska* (Halpertowa) i *Piasecki*, w sile męskiego wieku zgasły.

Przeznaczony ze skarbu Królestwa zasiłek coroczny dla Teatru Narodowego (mieszczącego się przez cały ciąg dyrekcji Osińskiego przy *placu Krasiańskich*) nie pokrywał braku w dochodach. Przedsięwzięcie to stawało się coraz przykrzejszém, i w końcu teatr zagrożonym został zupełném rozprzężeniem i upadkiem. Wówczas od dnia 12 czerwca 1827 roku, rząd wziął na siebie administracyę, od Osińskiego zakupił dekoracye i garderobę, zostawiając go przy obowiązkach pierwszego dyrektora. Obowiązki te pełnił aż do 16 grudnia 1833 roku.

(1) Dzieła Ludwika Osińskiego, Warszawa 1861 r. Tom I.

Wśród tych zajęć, zajął się tłumaczeniem *Cyda*, tragedji Piotra Kornela. Przed półtora wiekiem, też samę tragedję przełożył *Andrzej Morsztyn* podskarbi wielki koronny, i przedstawił ją w Zamku Warszawskim 1661 roku, wobec króla Jana Kazimierza i jego małżonki Maryi Ludwiki. Tłumacz poprzedził wystawę stosownym prologiem, w której uosobiona *Wisła*, po wielu klęskach doznanych i niedoli, przez oboje królestwo, składa pozdrowienie i powitanie (1).

Morsztyn trzymając się ściśle oryginalnego tekstu, w całości ten dramat przełożył; Osiński wyrzucił rolę królowej i Leonory jej ochmistrzyni, przez co ożywił działanie dramatyczne. Zachował on jednakże niektóre wiersze i zwroty pierwszego tłumacza, przez szacunek dla jego pamięci; ale dość nam tu przytoczyć mały ustęp, ażeby pokazać jaka różnica jest między przekładem Morsztyna a Osińskiego. W scenie pierszej piątego aktu, kiedy Rodryk, po odniesioném zwycięstwie nad Maurami, przygotowuje się do pojedynku z młodym rycerzem *Sanchez*, i żegnając się z *Xymena*, przekonany o jej wzajemności, w zapale, czuje zdwojone męztwo a siły i nie może zataić radości, w tłumaczeniu Morsztyna, tak przemawia.

„Nastąpcieź teraz wszystkie potęgi choć z piekła,
Stańcie tu Nawarczycy, Grenado, Maurowie,
I kto się tylko mężem w Hiszpanii zowie:
Złączcie się wszyscy na mnie, nastąpcie obozem,
Tak zagrzany, wszystkich was powiodę za wozem;
Zmówcie się, rozerwać mi tak piękną nadzieję:
Śmieję się z was, i jedną ręką was rozwieję.“

W przekładzie Osińskiego ten sam ustęp czytamy:

„Powstańcie teraz wszystkie potęgi choć z piekła!
Złączcie się Kastyllaunie, Nawarro, Maurowie!
I kto się tylko mężem w Hiszpanii zowie,

(1) Tłumaczenie to wyszło w dziele p. n.: „Psyche z Lucyana Apulejusza Marina, *Cyd* albo *Roderik*, komedya hiszpańska z francuzkiego przetłumaczona. *Hipolit* i *Andromacha* tragedia z francuzkiego przetłumaczona JW. J. M. P. Andrzeja Morsztyna natenczas podskarbiego W. K., teraz zaś na wielu instancjach przedrukowana, kosztem Stanisława Sławińskiego Bibl. J. K. M. w Lipsku. Roku MDCCLII (1752)” w 4ce, str. 360.

Jakież nadludzki ogień w mojem sercu płonie!
 Walczyć mam dla miłości, w Xymeny obronie.
 Ach! tą lubą nadzieją ręka ośmielona,
 Na wszystko się odważy, i wszystko pokona!“

Cyd zgromadzał licznych zawsze widzów, ściąganych mistrzowskiem tłumaczeniem, wzniosłą treścią samego dramatu i znakomitą grą Werowskiego a następnie Piaseckiego, którzy odegrywali rolę *Cyda*.

Wśród trudnych obowiązków dyrektora Teatru Narodowego, od 21 kwietnia 1818 przyjął ofiarowaną sobie w niedawno otworzonym Uniwersytecie warszawskim, katedrę *literatury porównawczej*, którą mu ofiarowano. Gruntowna znajomość literatury rzymskiej i francuskiej, ułatwiała mu niemało to nowe stanowisko; zajmował tę katedrę do końca 1830 roku, a od 12 marca t. r. pełnił zarazem obowiązki dziekana *wydziału nauk i sztuk pięknych*.

Dwie godziny tygodniowo zajmowały mu te obowiązki: we czwartki jedna przeznaczona była na praktyczne ćwiczenia stylu uczniów *wydziału nauk pięknych*. Ci składali mu swoje prace, oryginalne lub tłumaczone; on je rozbiierał i oceniał. Szczególniej zwracał uwagę na czystość języka, na unikanie cudzoziemskich zwrotów, na składnię z duchem polszczyzny nie zgodną.“ Uczęszczałem (pisze F. S. Dmochowski) na te prelekye w roku 1819, i z wdzięcznością przyznaję, że wskazania Osińskiego naprowadziły mię na sposób, jakim w tłumaczeniach z obcych języków, trzeba unikać cudzoziemskich zwrotów i zastępować je prawdziwie polskimi (1).“

Drugą godzinę w *sobotę* od czwartej do piątej, poświęcał na wykład z katedry i odczytywanie prelekyi. Ta dostępna była i dla publiczności. Zwolna, za coraz większym rozgłosem, do wielkiej sali w Uniwersytecie warszawskim, przybywało ciekawych słuchaczy, i wciągu zaraz pierwszych dwóch lat, doszło do tego, że wszystkie ławki zajmowane były, i to wcześniej przed nadejściem profesora.

Kiedy wchodził Osiński w toę przybrany, wszyscy powstawali: było to nieme powitanie ulubieńca. Kiedy zasiadł katedrę, zalegała cisza głęboka w pośród wielkiej sali, bo nikt nie chciał jednego słowa utracić.

(1) Dzieła L. Osińskiego. T. I.

Osiński kładł tabakierkę złotą przy sobie, z której od czasu do czasu zażywał, rozwijał rękopism, i zaczynał czytać. Każda prelekcyja obliczona była tak, że nie zajmowała nigdy więcej nad godzinę oznaczoną: każdą zaś układał w ten sposób, że przy wykładzie czy to epopei, czy poezyi dramatycznej i t. p. przytaczał obszernie z dzieł ważniejszych ustępy, czy to w wyjątkach oryginalnych pisarzy polskich, czy też w tłumaczeniach. Wtedy rozwijał najwyższy urok, i czarował słuchaczy cudną swoją deklamacyą. Było w niej coś tak porywającego, tyle powabu mieściła w sobie, że najzapaleńsi romantycy spieszyli na te wykłady. Na jednej z takich prelekcyj Osińskiego po raz pierwszy poznałem się z Antonim Edwardem Odyńcem.

W wykładzie *literatury porównawczej* obejmował w najszerszych rozmiarach utwory poetyczne, w bardzo zaś szczupłych traktował *wymowę*. Ograniczenie to pozbawiało Osińskiego możności, do dania jakiegokolwiek obrazu chociaż w zarysach literatury, tych narodów, o których mówił z katedry. Ale przynajmy, że dla ówczesnej publiczności więcej wykształconej, taki wykład miał właśnie wielką pojętę. Każdy co pospieszał na prelekcyje Osińskiego, był pewnym, że najprzyjemniej godzinę czasu przepędzi — „*nasłucha się ślicznej deklamacyi i czegoś się z niej nauczy*”. Takie było w owe czasy zdanie powszechnie.

Wykład swój rozpoczął od *epopei*. W dziale tym obejmował *Iliadę* i *Odyseję* Homera, *Enejdę* Wirgiliusza, *Farsalję* Lukana, *Luzjadę* Kamoensa, *Jerozolimę wyzwoloną* Tassa, *Raj utracony* Milтона, *Heryadę* Woltera, i *Wojnę Chocimską* Krasickiego; po epopei, mówił o poezyi *heroikomicznej*, w której mieścił *Myszejdę* i *Monomachię* Krasickiego. Następnie przechodził do poezyi dramatycznej. Dział ten w wykładach Osińskiego, najszersze zajmuje ramy, bo też to był rodzaj przez niego ulubiony szczególniej, i najwięcej mu pióro swoje poświęcał.

Mówił więc o tragedyi u Greków i u nowożytnych. Następnie brał pod rozbiór i uwagę Kornela, Lopez de Vega, Kalderona, Szekspira, Rassyna. Dawał obraz teatru niemieckiego z Szyllerem, włoskiego, z Alfierim; przechodził następnie do komedyi u starożytnych. Znaleźli tu wspo-

mnienie Arystofanes, Plaut i Terencyusz. W komedyi nowożytnéj stał na czele Molier i jego następcy: zwracał uwagę na komedye u Włochów, i zamykał kurs téj literatury, *Sztuką dramatyczną w Polsce*, do końca wieku XVIII. W wykładzie o *poezyi lirycznój* określał *ody i pieśni*, poezyję biblijną, zamykał ten dział Jan Kochanowski. W poezyi *dydaktycznej*, na czele szło *Ziemiaństwo* Wirgiliusza, *Przemiany* Owidyusza, i *Ziemiaństwo* Delila. W ostatku mówił o poezyi *pasterskiej*, *satyrze*, *listach* i *bajkach*.

Nie uważamy ani za powabne, ani za potrzebne, zajmowanie się krytyczną oceną tego *wykładu literatury porównawczej* Osińskiego. W obec dzisiejszych pojęć i badań, a ztąd rozszerzonej wiedzy, w téj gałęzi, wykład ten, nie wytrzyma krytyki. Wszelako gdy zwrócimy uwagę na czasy w których przemawiał z katedry, gdy sumiennie przepatrzymy zasoby literackie, jakie mógł mieć pod ręką, a co najważniejsza przypomnimy sobie, atmosferę duchową, w jakiej oddychaliśmy, przyznać musimy że Osiński, wiernym będąc synem swego okresu, spełniał dobrze swoje powołanie, i użytecznie dla społeczności téj właśnie doby. Niemałe on położył zasługi, że smak i zamiłowanie do literatury ojczystej w obojętnéj dotąd *publiczności* wzniecał i rozszerzał, zarówno ze sceny Teatru Narodowego, jak i z katedry uniwersyteckiej.

Wykład literatury poprzedzał *wstępem*, w którym rzucał ogólny pogląd, na to co w sobie ma obejmować. Ten który się mieści przy wydaniu dzieł Osińskiego przez F. S. Dmochowskiego, jest ostatniej redakcyi profesora, (bo kilka razy go poprawiał, zmieniał), napisany pod wpływem gorącej walki klasyków z romantykami.

Jako dyrektor sceny narodowej, jakeśmy już wspominali, *romantyzm* z całą przewagą do Teatru Narodowego wprowadził: jako profesor katedry uniwersytetu nie zrozumiał co właściwie jest *romantyczność*, i jaki przewrót w literaturze polskiej wywołał.

Musimy przywieść ustęp ze *wstępu* do prelekcyci, ażeby udowodnić nasze zdanie.

„Ileż walk zapalczywych, pisze Osiński, ile przeciwnych sądów utworzyła nowa szkoła pisarzy *romantycznemi* zwanymi! jak daleko jeszcze to zjawisko różnić będzie zdania piszących? Ani mojego obowiązku, ani mojéj zdolności jest

udziałem, sądzić i jednać te spory; to jedno bowiem, co mię w rozbiorze tych licznych badań, a poniekąd potwarzy i kłótni, uderzyło szczególniej.

„Mąż nader znakomity w literaturze niemieckiej, biegły starożytności badacz, który z bogacił swój język, powszechnie szanowanym przykładem pierwszych poetów greckich, hiszpańskich, angielskich, oddając cześć wysoką wzorom Homera i Sofokla, uznał w późniejszych, a mianowicie w Szekspirze i Kalderonie, niepospolitego rzędu zalety. Może jako poeta, którego przyrodzonym żywiołem, jest zapał i podziwienie, przeniknął się aż do entuzyazmu pięknościami, które do oczystej mowy prznosił, i chcąc uczucie swoje przelać w serca innych, użył do tego wszelkich sił swego dowcipu.

„Lecz zastanawiając się nad duchem dzieła jego w ogólności, widzę tam, iż *romantyczność*, chlubę swoją, wzory i początek, prowadzi od Homerów i Sofokłów, równie jak tychże samych ojców poezya *klassyczna*, za swoich prawodawców uznaje. O cóż więc te zacięte spory powstają? oto ściśle mówiąc, *samo nazwisko* zapaliło niezgodę, bo rzecz od jednego źródła pochodząca, tak daleko się różnić nie mogła. Zawczesnym jest, tak sędzę, u nas zamiarem, wszczynać rozprawy o nowej sztuce, i wprowadzać naukę, bez wzorów, do którychby czucia i sądy nasze odnosić się mogły. Należałoby raczej, ażeby torem *Schlegla*, kto zechce nowy ten rodzaj w kraju naszym przyswoić, zaczął od bliższego obeznania nas z temi dziełami, na których on istotnie swój byt i swoje rzeczywistość zasadza. *Zdarzy się i nam zapewne w tém zgromadzeniu, powracać nieraz do przedmiotu*, o którym *krótką tu uczynilem wzmiankę*, bo niepodobna jest pominąć uczonych tego pisarza uwag, gdy część literatury dramatycznej rozważać nam przyjdzie. Jeżeli, jakem wspomniał, starożytni Grecy pisarze stawają na czele *romantyczności*; jeżeli jak niedawno światły krytyk osądził, dzieło Piotra Kornela, *Cyd*, mieści w sobie i tego rodzaju zalety: nie przewiduję bynajmniej, iżby rzecz sama, nazwiskiem tylko rażąca klasyków troskliwość, miała być trudną do pojęcia i należytego ocenienia”.

Dość te słowa przeczytać, ażeby przekonać się jak nie rozumiał Osiński znaczenia nowych wyobrażeń, i nie pojmował ich następstw w życiowym rozwoju; jak fałszywie ro-

mantyczność oceniał, dając jej jak i francuzkiej klassycznosci za ojców *Homerów i Sofoklów*. Ustęp ten napisał przed sławną rozprawą Mickiewicza: „*O recenzentach i krytykach Warszawskich*” po której już go z katedry więcej nie powtórzył, i nie zdarzyła mu się, jak miał nadzieję, po temu dobra sposobność.

Osiński nie pojmował tego, że właśnie forma klassyczna zabijała prawdziwe nawet talenta. Żywe tego przykłady mieliśmy na klassykach naszych jak na Kajetanie Koźmianie i Franciszku Wężyku.

Pierwszy miał nieraz rzeczywiste natchnienie poetyczne, i formę piękną językową na zawołanie, ale ściśnięty więzami klassycznosci, pełzał jak niewolnik za śladami pana, a samodzielnie nigdzie stąpać nie chciał i nie umiał.

Wężyk, w równe uposażony przymioty, chciał się z więzów klassycznosci nieraz wydobyć, ale tak jak mucha uwięzła w pajęczynie, chociaż się zerwał, znowu zapadał w tę matnię.

Dziwna, niepojęta ślepotą, tak świątłych zkądinąd ludzi, że pojąć nie mogli, iż klassyczność brana wedle ich myśli, była wrogiem prawdziwej poezji, bo zagręznawszy sama w naśladownictwie, nie rozumiała samodzielności, potępiając każdą myśl wyższą, każdy wykrzyk serca lub gry namiętności, jeżeli w czémkolwiek wykraczała, przeciw ściśłym przepisom klassycznosci.

Chociaż Osiński miał zawsze na odczyty swoje co *sobota* nacisk ciekawych słuchaczy, szczupła przecież liczba uczniów Uniwersytetu podzielała jego przekonania. Cały orszak zwolenników profesora, składał się z dwóch *Cyprysińskich*: Antoniego i brata, oraz trzech czy czterech współ-kolegów.

Zbierali się oni na *Mostowej* ulicy, w kawiarni na pierwszym piętrze, gdzie popijając wyborne *Kazimirusa* grzane piwo dubeltowe, przy miedzianym imbryku prowadzili gawędy literackie. Tutaj to po raz pierwszy usłyszałem drwinki z Mickiewicza i jego naśladowców; ztąd wyszedł jakoby dowcip Osińskiego na *Dziady*: ów dwu-wiersz:

„*Ciemno wszędzie, głupio wszędzie:
Nic nie było i nie będzie.*”

Albo inaczej przetrawerstowany:

„Cóż to było? Nic nie będzie:
Głupio było, głupio będzie.”

Miał to wypowiedzieć professor na obiedzie u hr. Wincentego Krasińskiego, przy dobrém winie i po sutym obiedzie.

Przypuszczam że to być mogło, w gronie zaufaném i przyjacielskiém, a głównie złożoném ze zwolenników klasy cyzmu i wrogów, tak Mickiewicza jak i nowój szkoły *romantycznej*, ale nigdyby tak przenicowanych wierszy twórcy *Dziadów*, Osiński nie wygłosił z katedry, jak mu to mniej świadomi rzeczy przypisywali. Osiński zbyt wiele miał smaku tak literackiego jak poloru towarzyskiego, ażeby dostojność *katedry* i godność osobistą profesora Uniwersytetu, tego rodzaju żarcikami znieważał. Wreszcie rzeczą jest dobrze wiadomą, że klassycy owocześni odznaczeni się grzecznością i uprzejmością niezwykłą; jednakowo dla równych sobie jako i niższych nawet w hierarchii społecznej. Nie jeden z nich miał gorycz w sercu, może i zawziętość, ale gdy się ten pokazał przeciwko któremu ony wrzały, nikt nie poznał ani z oblicza, ani z obejścia co się na dnie duszy ukrywało. Do liczby téj ludzi należał Osiński. Znał dobrze sztukę aktorską, przez długie lata ją studyując, i wybornie na drodze życia z niéj korzystał.

Należy mu się ta wielka zasługa, że umiał serca społecznosci rozbudzić do tego co piękne, co wzniosłe. Do podniesienia, wygładzenia i oczyszczenia języka ojczystego, nie mało się przyłożył. Jakkolwiek duch z utworów literackich od czasów *Stanisława Augusta*, jeden powiéwa: jakaż to ogromna różnica języka Krasickiego i Naruszewicza, od języka Osińskiego. Nietylko gładkość i potoczystość wiersza bez porównania staranniejsza, ale z troskliwością drobiazgową czuwał on, ażeby z wyrazów cudzoziemskich, których tak pełno w dwóch wymienionych pisarzach, oczyścić. W tym względzie, dla najzdolniejszych *romantyków* mógł Osiński służyć za wzór i naukę. Już prelekeye jego weszły w modę i licznie były odwiedzane, kiedy we cztery lata później w ro-

ku 1822, *Kazimierz Brodziński* zaczął wykładać literaturę polską w Uniwersytecie warszawskim. Jakkolwiek prelekcye Brodzińskiego bez porównania były wyższej wartości, prawie sami uczniowie otaczali jego katedrę, ażeby nie utracić żadnego słowa, z odczytów cichym głosem wygłoszonych. Wartość ich najlepiej wybijała w druku; Osiński swoich nie chciał drukować i raz tylko udzielił jednej prelekcji o sztuce dramatycznej w Polsce, którą Fr. Grzymała w swojej *Astrei* wydrukował.

Dlaczego tak zazdrośnie je ukrywał? Była to jego tajemnica, ale zdaje się nie tak trudna do odgadnienia: nie drukował raz dlatego, żeby nie spowszechniały i jużby drugi raz ich odczytywać nie mógł, a tak przez ciąg lat dwunastu powtarzał się wkółko: drugi raz dlatego, że wypadało mu nieraz ogłoszone zdanie przerobić, zmienić albo całkiem wyrzucić. Ostrożność ta Osińskiego na dobre mu wyszła, bo wśród gorącej walki klasyków z romantykami, ci ostatni uderzali na niego, ale nie mając dowodów w ręku piśmiennych, na gołosłownych zarzutach przestawać musieli. A były w nich prawdziwe, których się później wypierał Osiński.

Kto był długoletnim jego słuchaczem jak F. S. Dmochowski od 1819 do 1825 roku; od tej zaś pory do 1830 roku ja sam brałem w nich udział, a potem gdyśmy wspólnie z sobą o tych prelekcjach rozmawiali i rozbiérali je nieraz, widzieliśmy w nich te uderzające zmiany.

Gdy w piérwszych latach lekceważył Szekspira, Szyllera i Getego, a za nieomylną i najwyższą powagę krytyczną stawiał *La Harpa* i *Boàla*, gdy nie dopatrywał nic więcej jak tylko samą literaturę francuzką, popiieraną od czasu do czasu rzymską, powoli zmieniał swoje zdania i sądy literackie: *Szlegel* zastępywać zaczął *La Harpa*, a wielcy poeci Albionu i Niemiec znaleźli właściwe miejsce w samym wykładzie. Ustępstwa te mogą dać świadectwo, że Osiński nie był tak zapalonym jak *Koźmian* klasykiem, ale z drugiey strony jako dwaj nieodstępni przyjaciele, pozostali wierni dawnym wyobrażeniom literackim. Osiński leniwy do pracy, nie miał czasu poświęcać się studjom nad pisarzami sobie nieznanymi ani badać literatury niemieckiey i angielskiey, jak tego jego stanowisko nakazywało; *Koźmian* nic nie widział w całym świecie wyższego nad *Wirgiliusza* i *Horacego*.

Do rozgłosu jaki miały Osińskiego prelekcyje, poprzednie lata utorowały drogę, jako tłumaczowi *Horacyuszów* i *Cynny*, twórcy *Wiersza na powrót wojsk 1809 roku*, i *Ody na cześć Kopernika*, oraz jednemu z najznakomitszych mówców. Liczne stosunki już przyjaźni już zażyłości powiększały grono wielbicieli Osińskiego; ale oprócz tego ścigał on słuchaczy, samym powabem i czarem swój deklamacyi i tych liczba może była największa.

W prelekcyach Osińskiego były niektóre, szczególnie ulubione przez ówczesną publiczność. Do takich należała ta, w której mówił o *Ziemiaństwie Delilla* i przytaczał z niego ustępy; z szczególniejszém też natężeniem i uwagą oczekiwano téj chwili, gdy deklamował *polowanie na jelenia*, w przekładzie Aloizego Felińskiego. Na kilka dni wprzód wiedziało o czém będzie czytać Osiński; to też gdy wieść obiegła że Delill przychodzi na katedrę, ścisk był zawsze większy niż w inne soboty. Liczne karety, pojazdy i doróżki zapełniały obszerny dziedziniec Uniwersytetu (1).

(1) Ustęp ten cały przywodzę tu, dla przypomnienia towarzyszom owych chwil drogich, gdy się z zachwytem młodej duszy, słuchało porywającej deklamacyi Osińskiego.

„Z mieszkańcy powietrznemi czas-li nadszedł wojny?

Strzelec orężem gromy ciskającym zbrojny

Przyklada go do oka, nawodzi, wymierza:

Leci grot, ogień błyska i piorun uderza.

Jakiz-to ptak od gradu morderczego ginie?

Ach! ty ozajko co kwilisz błędząc po nizinie;

Ty skowronku! umierasz w pierwszej życia wiosnie,

Kiedy w obłoku nucić zaczynasz miłośnie.

Ale za cóżby moje pienia wysławiały

Te tryumfy bez zysku, te walki bez obwały?

Muzo! coś tyle razy wdziękiem swego tonu

Wypraszała gajowych spiewaków od zgonu,

Skaż na śmicć zwierza, który dla naszego męztwa,

Pole do ohlubniejszego otwiera zwycięztwa,

Niszczyciela obory, niszczyciela żniwa.

Lecz już donośnym głosem trąba się odzywa:

Rwie się ognisty rumak do boju oohoczy,

Kopie nogą, stal żuje, białe piany toczy.

Na te krzyki rycerzów, na ten odgłos wojny,

Drży, dziwi się, i wacha jelen niespokojny,

Czy swoim szybkim biegiem łowców ma unikać?

Czy dostać, i walecznie z nimi się spotykać?

Pomimo nastawań ostrych na Osinińskiego, a młodzi recenzenci szkoły romantycznej, nie żalowali ani słów, ani pióra na niego, nie utracił popularności do ostatniej chwili ani

Bezpieczniej-li zdać życie wśród naglającej trwogi,
 Na uzbrojone czoło, lub na lekkie nogi?
 Raz go zajmuje bojaźń, drugi raz odwaga:
 Chwieje się długo! bojaźń nakoniec przemaga.
 Zrywa się, rusza, spieszy i lekkim poskokiem
 Przebiega w chwili przestwór nieścigniony okiem.
 Las, psy i trąba za nim daleko zostały.
 Wolny wreszcie wypada w pole rumak śmiały,
 Rozgania się, wypręża, i piersiami swemi
 Porze świszczące wiatry zniżony ku ziemi.
 Na nim pędzi myśliwico jak wicher burzliwy,
 Przygięty, twarzą niemal dotyka się grzywy;
 Drze się przez gęste krzaki, przelatuje łany,
 A za nim czarne kurzu toczą się tumany.
 Jeleń tymczasem leci, za nim pay po lesie
 Biegną w ślad cząstek lekkich które wiatr im niesie,
 A gdzie piętna stóp ujrzą na piasku utkwione,
 Przykładają swe do nich nozdrza rozognione.
 Drży jeleń, i uchodząc przeklina zdumiały
 Zdradną wonię i tropy które go wydały,
 A gdy go nieprzyjaciół otacza gromada,
 Ostatnią w przyjaciółach nadzieję pokłada.
 Ów niegdyś władca borów, postrzegłszy na łące
 Jelenie po nad wodą swobodnie błędzące,
 Spieszy, czoło schylając, ich pomocy wzywać,
 Poruczać im swe życie i wstyd swój ukrywać.
 Ale każdy od zbiega natrętnego stroni
 I smutnych jego losów zarazy się chroni:
 Opuszczają go wszyscy; tak pochlebców tłuszcza,
 Króla i najlepszego w nieszczęściu opuszcza!

Nędzny tułacz rzuca się z zalem w inne strony:
 Przebiega ten las czarny, ten las ulubiony,
 Gdzie niegdyś pędzą młodość bezpieczną i śmiałą,
 Sto razy się napawał rozkoszą i chwałą;
 Gdzie okoliczne drzewa, jaskinie i skały
 Głos wojny i miłości jego powtarzały,
 A on, jak pyszny sultan, w szlachetnym zapale,
 Sto kochanek rozkoszą obdzielał wspaniale:
 Cześć, miłość, panowanie, wszystko dzisiaj traaci;
 Próżno, niosąc szlachetną pomoc jeden z braci,
 Młody, który śmie wszystko i na nic nie zważa
 Wyskakuje, i sam się za niego naraża:
 Doświadczone ogary podstępę dostrzegły,

pomiędzy uczniami, ani u ogółu, który z jednem-że upodobaniem zgromadzał się na jego prelekcye.

Wtém go uderza znowu trąby głos odległy:
 Pędzi, bieży i w biegu, zdawna świadom zdrady,
 Wbok nagle uskakując swe przerywa ślady,
 A zdaleka od ścieszek, w kącie utajony
 Czuwa i wodzi drżący wzrok na wszystkie strony;
 Wraca, krzyżuje, mięsza drogę, czasem stawa,
 Rozgląda się i słucha; już myśliwych wrzawa,
 Trąby i psów okropny głos, którym brzmią gaje,
 Mooniej coraz i bliżej słyszcć mu się daje.
 Bieży jeszcze, na zdrady jeszcze się zdobywa,
 Lecz trwoga już w nim drżące żyły wskroś przeszywa;
 Każdy szmer wnieca rozpacz w sercu zalęknioném,
 Drzewo mu każde wrogiem, każdy wróg jest zgonem.
 Naówozas daremnými zmęczony zawody
 Z ładu przeniawierczego rzuca się do wody;
 Lecz odmieniwszy żywioł nie odmienia losu,
 Napęlniając las dźwiękiem wrzaskliwego głosu;
 Z iskrzącemi oczyma za nim tuż przypada
 Łaknąca barbarzyńskiej uczyt psów gromada,
 Okryta kurzem, potu ociekła strumieniem,
 Zapalona wściekłością, ziejąca pragnieniem:
 Spiekłym ich paszczom woda ledwo starożyć zdoła;
 Ale gdzieindziej zapęd okrutny ich wola:
 Krwi pragną i krwią tylko nasycić się mogą.
 Bez wsparcia, jeden zgrają otoczony srogą
 Jeleń, gdy nieuchronnej śmierci wyrok czyta,
 Słabość jego szalonej rozpaczy się chwytą.
 Za cóż, próżno niestety! pierwsze jego siły
 Trwoga i niedołączne wybiegi zwątlily?
 Czemuż wprzód, jak mu radził jego umysł mężki
 Szlachetną walką swojej nie uświetnił kłęski?
 Po płonnych wreszcie skokach, podstępach i znoju
 Ożywia się . . . i staje straszliwy do boju?
 Odpięra tysiąć szturmów, a w gniewie wspaniała
 Z najmężniejszymi tylko szuka w bitwie chwały.
 Uderzają nań hurmem wszystkie przeciwniki,
 Mięszają się ich ciosy, ich wściekłość, ich krzyki;
 On dobywa ostatnich sił w ostatniej toni
 Mdlejący walczy jeszcze i jeszcze się broni
 Nadaremnie, niestety; na cóż mu się zdała
 Ta kibić tak wysumkła, ta postać wspaniała?
 Cóż pomogły to pyszne, te potężne rogi,
 I te, co po ziół wierzohach migaly się nogi?
 Chwieje się, pada, kona, a łez dwa strumienie
 Wzbudzają i w zabójcach samych rozrzewnienie!"

Kiedy opuścił katedrę, jako pierwszy dyrektor teatru, pełnił te obowiązki do 1833 roku, zajmował się sceną; w tym czasie mianowany referendarzem w Radzie Stanu i przeznaczony do wydziału wyznań i oświecenia publicznego: w sześćdziesiątym roku życia zmarł w Warszawie dnia 27 listopada 1838 roku. Zwłoki jego spoczywają na cmentarzu Powązkowskim.

Z prac Osieńskiego, za jego życia w całości był przekład *Horacyuszów* drukowany, innych tragedyj małe wyjątki. Z drobniejszych utworów ukazało się kilka w Pamiętniku warszawskim Fr. Dmochowskiego z 1809: prelekcyjne zaś pozostały w rękopismie u wdowy zgasłego pisarza. We dwadzieścia trzy lat dopiero po jego zgonie, ś. p. *Jan Kanty Wołowski*, uczeń i uwielbiciel Osieńskiego, pragnąc ażeby rękopisma jego jak wiele innych nie zaginęły, głównie dopomógł do wydania wszystkich prac zgasłego profesora. Za wezwaniem do pomocy F. S. Dmochowskiego, ucznia także tłumacza *Horacyuszów* i *Cyda*, który rękopisma zachowane u wdowy Osieńskiego, ułożył, życiorysem na wstępie opatrzył, i wydrukował w czterech tomach, (w 8-ce w drukarni J. Jaworskiego) z popiersiem litografowanym, wielce podobnym: p. n. „*Dzieła Ludwika Osieńskiego.*” Tom pierwszy obejmuje: *Piotra Kornela* trzy tragedye wierszem po pięć aktów każda: *Cyd*, *Horacyusze*, *Cynna czyli łaskawość Augusta*; *Woltera*: *Alzyra czyli Amerykanie*, tragedia w 5 aktach wierszem: *Fenelon czyli Zakonnice w Kambre*, tragedia w 5 aktach wierszem z *Cheniera*; *Gabryela de Vergy*, tragedia w 5 aktach p. *Du Belloy*, prozą. Wydawca F. S. Dmochowski wybrał ten dramat z wielu innych jakie Osieński, kierując sceną Teatru narodowego tłumaczył (1).

W tym tomie mieszczą się poezye oryginalne i tłumaczone większych rozmiarów. Do pierwszych należą: wiersz o *Dobroczyńności*, *Oda na cześć Kopernika* i o *Sztuce aktor-*

(1) Pozostały w rękopiśmie i posiada je niewątpliwie biblioteka *Teatru Wielkiego* w Warszawie, następne libretta do oper: 1) *Szewc*, czyli żony przemienione. 2) *Turek we Włoszech* z muzyką Rossiniego. 3) *Sroka-złodziej* z muzyką tegoż. 4) *Dziadek*. 5) *Intryga w oknach*. 6) *Janek i Stefanek*. *Tragedye* przerobione z *Szekspira* przez *Ducissa*; 7) *Król Lear*. 8) *Otello* — i *komedye*: 9) *Pan Wilhelm*. 10) *Rywale samych siebie*.

skieję; z przekładów, z Przemian Owidyusza; „*Mowa Ajaxa i Ulissesza.*” W końcu, mamy wiersze ulotne.

Tom drugi i trzeci zajmuje: „*Wykład Literatury porównawczej*” czytanej w Uniwersytecie warszawskim.

Tom czwarty na czele mieści: *Wstęp* czytany przy rozpoczęciu powtórnego kursu literatury porównawczej, a dalej następuje wykład: o stylu, geniusz i szczytność: ogólne prawidła wymowy, jej rodzaje: wymowa u Greków i Rzymian: wymowa *naradna* i sądowa, kaznodziejska, pochwalna. Wprowadza zajmującą rzecz o *deklamacyi*, o tłumaczeniach z obcych języków, i o potrzebie, ważności i warunkach przekładów.

Następnie idą *mowy pochwalne i obrony sądowe* Osińskiego, dalej *krytyki i sprawozdania*, wyjęte z pism ówczesnych peryodycznych, zamyka ten tom ostatni, *rozprawa o pisowni*: o używaniu liter *j, y, i*, którą napisał jako członek Towarzystwa przyjaciół nauk, i przeznaczony z jego ramienia do *delegacyi*, wysadzonej dla ustalenia pisowni polskiej.

XIII.

Przeżył Osiński swoją epokę, swoją *szkołę* i swoją *sławę*. Kiedy dogorywał, już o nim nikt nie wspomniał, a gdy zakończył życie, tylko w Kuryerze Warszawskim podał jego krótką biografję F. S. Dmochowski. Starzy przyjaciele Osińskiego wymarli lub gaśli, a z wielbicieli dawnych, wszyscy bez wyjątku przeszli do przeciwników obozu.

Nie będziemy sięgali po za granice, któreśmy sobie naznaczyli, ale w zakończeniu naszego wspomnienia o *ostatnim klasyku* i jego epoce, należy nam rzucić jeszcze raz baczném okiem, na zapadłą już w przeszłość ową epokę.

Okres ten który się rozpoczął od roku 1814, zamykają w roku 1830, *Pisma Kazimierza Brodzińskiego* i Noworocznik Antoniego Edwarda Odyńca *Melitele* (rok drugi).

Warto przypomnieć zdobycze duchowe, jakie mieliśmy z początków naszego stulecia lub pozyskaliśmy w téj dobie, gdyż one są podścieliskiem nowego okresu rozpoczętego w roku 1832, a który się rozwija po dzień dzisiejszy. Jest

on drogocenném złotém ogniwem, wiążącym wiek XVIII i jego tradycye, z naszym stuleciem.

W poezyi wyższy geniusz nad Mickiewicza już się nie pojawił. Plejadę poetów ówczesnych obok niego stanowią: Kazimierz Brodziński, Antoni Maleczski, Józef Bogdan Zaleski, A. Edward Odyniec, Seweryn Goszczyński, Stefan Witwicki, Chodźko, Korsak, Józef Korzeniowski, I. D. Minasowicz, Konstanty Gaszyński, i Dominik Magnuszewski; a jakżeż przy nich niewspomnieć Antoniego Goreckiego, Franciszka Morawskiego i Maurycyego Gośławskiego.

Juliusz Słowacki młodzieniaszek, odbywał pielgrzymkę pobożną do *Ursynowa* pod Wilanowem, ażeby poznać i złożyć hołd sędziwemu autorowi „*Śpiewów historycznych*” i *Jana z Tęczyna*.

Oddzielnie w posągowej postaci, na granicznej między dzielącej dwa wieki, upłyniony z naszym, stoją Julian Ursyn Niemcewicz, i Jan Paweł Woronicz, obaj znakomici poeci, jedną myślą i jedném uczuciem tchnący.

W dziale *estetyki i krytyki*, po Dantisku, autorze „*Myśli o pismach polskich*” (Wilno 1801 roku) odznaczają się Kazimierz Brodziński, Maurycy Mochnacki, Michał Grabowski, i ze stanowiska swego sam Osiński.

Co do historyi literatury polskiej, już zasoby mieliśmy nie małe. Rozpoczyna w téj gałęzi pracę *Tomasz Szumski*, professor przy akademii wojskowej w Berlinie, wydaniem dziełka: „*Krótki rys historyi i literatury polskiej od najpóźniejszych do terażniejszych czasów*” (Berlin 1807 r. u J. F. Unger, w 12-ce str. 204). W cztery lata niepospolity pisarz pierwszych lat naszego stulecia *Ignacy Lubicz Czerwiński*, daje nam w dwóch tomach: „*Rys dziejów kultury i oświecenia narodu polskiego, od wieku X do końca wieku XVII*” (w Przemyślu 1810).

Obraz literatury bibliograficzny dał w swoim dziele *Feliks Bentkowski*: *Historja literatury polskiej wystawiona w spisie dzieł drukiem ogłoszonych*. (Dwa tomy, Warszawa i Wilno 1814 r.). Praca ta, potężnie była wpływową; zaledwie się ukazała, poruszyła mnóstwo bibliomanów i bibliografów, którzy z niezwykłym i nie znanym dotąd zapałem, zaczęli zbierać dawne książki, broszury i rękopisma. Zabiegi ich i starania lubo niekiedy były powodem żartu lub szyder-

stwa, uratowały od zatury najpiękniejsze dzieła XVI i następnych wieków. Im to zawdzięczamy, poznanie i zbadanie, zapomnianej od lat tyłu literatury pomienionych czasów.

Tytus hr. Działyński, sam mi we Lwowie opowiadał, jak po odczytaniu dzieła Bentkowskiego porzucił zamiłowanie do koni, a oddał się zbieraniu starych książek i rękopisów. Owocem tych starań powstała jego słynna biblioteka w *Kurniku*. Ważnym przyczynkiem do historii literatury polskiej jest: „*Dykcjonarz poetów polskich*” przez księdza M. Hieronima Juszyńskiego, w dwóch wielkich tomach: (Kraków 1820 r.) i rozprawa obszerna *Jana Sowińskiego*: „*O uczonych polkach*” (Warszawa i Krzemieniec 1821). Wzbogaca tę gałąź i zamyka wostatku Joachim Lelewel, znakomitą pracą swoją: „*Bibliograficznych ksiąg dwoje*” w dwóch tomach, 1823 r.

W dziale historii stał na czele po Tadeuszu Czackim tenże sam genialny Joachim Lelewel, obok niego J. U. Niemcewicz, Wawrzyniec Surowiecki, Łukasz Gołębiowski, Kajetan Kwiatkowski.

Reprezentantem *wymowy*, (niewspominając do dawniejszego okresu należących Stanisława Potockiego i Jana Woronicza) a do tego *wymowy pochwalnej i sądowej* był sam tylko Osiński.

Archeologia była nieznaną, w *etnografii* przepomnieć nie możemy bardzo ważnego dzieła *Ignacego Lubicz Czerwińskiego* p. n. *Okolica Zadniestrska między Stryjem i Łomnicą, czyli opis ziemi i dawnych kłesk lub odmian tej okolicy. Jaki jest lud prosty dla religii i dla pana swego? Zgoła, jaki on jest w całym sposobie życia swego, lub w swych zabobonach albo zwyczajach.*” Wyrzucił on Zoryana Dołęgę Chodakowskiego, i wszystkich zbieraczy pieśni i podań ludowych. Wiele prac w tym kierunku rozpoczętych ale nie ogłoszonych: tu wspomnieć musimy *Tomasza Święckiego*, autora *Opisu Starożytniej Polski*, i *Wincentego Gawareckiego*, pilnego monografiste.

Gałąź powieści tak obyczajowych jak historycznych, już bujnym okryła się kwieciami. Tu na czele spytkamy polskie niewiasty, jak *Maryę księżną Wirtembergską*, *Jaraczewską*, i *Klementynę Tańską*, a dalej *J. U. Niemcewicza*, *Fryderyka hr. Skarbka* i *Feliksa Bernatowicza*.

Wyrastający z pacholęcia Zygmunt Krasiński, pierwsze próbki talentu swego składa w historycznej powieści. Jak *duch romantyczny* daleko wcześniej opanował scenę, niż w piśmiennictwie wziął przewagę, już wspominałem; teraz wychyla się groźny jego pierwiastek i w literaturze dramatycznej oryginalnej polskiej. Józef Korzeniowski, szkolny towarzysz Karola Sienkiewicza i Tymona Zaborowskiego, występuje z *Próbkami dramatycznymi* drukując je w *Począjowie* 1826 r. W nich pomieścił dwa dramata, białym wierszem bezrymowym: *Klara i Aniela*, każdy w pięciu aktach. Był to początek zawodu Korzeniowskiego na polu dramatycznym, które następnie tak świetnie ubogacił, takimi utworami jak *Mnich*, *Górale Karpaccy*, *Andrzej Batory*, niewymieniając już wielu innych.

Prassa peryodyczna, (wyjąwszy usiłowań co do dzienników treści naukowej, które długiego nie miały nigdy życia), odbija wydatnie w dwóch codziennych pismach: w *Gazecie Polskiej*, i *Kuryerze Polskim* (1).

Sztuki piękne, reprezentowane przez właściwy swój wydział w Uniwersytecie Warszawskim, ściśle trzymane były w przepisach *czysto klasycznych*, tak przez profesorów jak i uczniów. *Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie*, pobite na polu literackim, formy, owęj *czystej klasyczności* podtrzymywało silnie w malarstwie i rzeźbie. To też gdy powierzono słynnemu *Thorwaldsenowi* wyrobienie konnego posągu, księcia Józefa Poniatowskiego, zastrzeżono, ażeby się trzymał stylu klasycznego.

Kiedy już odlanego ustawiono w wozowni na *Długiej ulicy*, wszedłem właśnie w tę chwilę, kiedy przyszedł Osiński i kilku dawnych towarzyszków broni.

Posąg stał na samym środku. Starzy wásacze, pytają, a gdzie jest książe? Osiński wskazał palcem na stojący posąg konny.

(1) *Kuryer polski*, w tej dobie liczył się do najpierwszych organów prasy Warszawskiej. Wychodził w 4-cc, mając za godło pocztyliona z trąbką. Ze wszystkich jego główniejszych współpracowników i członków redakcyi, żyje tylko *Wincenty Majewski* mecenas, współredaktor Biblioteki Warszawskiej i jeden z pierwszych założycieli tegoż pisma.

— Co? zawołał jeden z nich — ten golec z łydkami gołemi i rękoma, ze łbem ufryzowanym, i rzeźniczym nożem w rękę, to ma być nasz książę?

Splunął z oburzeniem, towarzysze się jego rozśmieli, i wyszli niesłychanie rozgniewani.

Osiński, poczekał chwilkę, opuścił smutnie głowę i wyszedł za nimi zmieszany, bo czuł się do winy, gdyż i on głosował na styl klasyczny; ale skręcił zaraz na stronę, żeby się więcéj nie spotkać ze starymi wojakami.

W malarstwie wszakże nie mogę przepomnąć ważnego wypadku. Nie pamiętam dobrze roku, ale zawsze było to pomiędzy 1823 a 1826.

Na *wystawie krajowej sztuk pięknych* w sali Uniwersytetu warszawskiego, gdzie podziwiano *klasyczne* obrazy znakomitego profesora *Brodowskiego*, i *wnętrza* kościołów *Zaleskiego*, ukazały się dwa małe olejne obrazki: jeden przedstawiał *śmierć Warneńczyka*; drugi bitwę pod Wiedniem 1683 roku i oswobodzenie tego miasta przez króla Jana III-go; tłumy widzów stały przed niemi, a rozgłos dany przez nie na nasze miasto, zgromadzał coraz większą liczbę ciekawych.

Na pierwszym, już pieszo walczy Władysław Warneńczyk osaczony ze wszystkich stron przez zjadłych Muzułmanów, a cios ostatni, śmiertelny, przygotowuje młodemu bohaterowi ranny murzyn, który podpełza jak gadzina, ażeby po chwili w serce, krzywym jataganem uderzył. W tej kompozycji najwyższe wrażenie wywierała tu właśnie czarna postać.

W drugim, mającym za treść odsiecz Wiednia, w odległości jak we mgle ukazuje się Jan III ze zbrojnym orszakiem: całe życie zbiegało się na pierwszym planie.

Tu na wozie dwukolnym, który unoszą ręce Anatolskie bieguny, ucieka Mufty z wielką chorągwią proroka, ale hussarya skrzydlata, już go dopadła; w zaciętym boju rozbija straż jego. Mufty zasłania się wielką księgą *Koranu*, wzywając daremnie swego proroka na pomoc!

Ten właśnie głównie obrazek, wprowadził w zachwyt wszystkich, tyle z niego tryskało poezji i życia. Odbiegano od wielkich obrazów, a wokoło niego był ścisk zawsze wielki.

„Kto to malował? kto to komponował? odzywały się ciągle głosy wśród tłumów zgromadzonych.“

Był to *January Suchodolski* znany malarz, dziś sędziwy starzec, wówczas młody amator, który z młodzieńczym zapałem oddawał się sztuce. On jak Brodziński, był u nas zwiastunem i twórcą, nowej szkoły historycznych malarzy polskich.

Z tego obrazu jasno widzimy, jak zamożna była literatura nasza, we wszystkich swoich gałęziach, jak bogaty skarbiec duchowy już posiadaliśmy, który mógł starczyć na długie lata następne, do pokarmu młodych pokoleń.

Poetów większych (jak już wspomniałem) następny okres nasz, nie wydał nad tych których mieliśmy. W powieści mamy zasób poważny w każdym jój kierunku; do historii literatury bogate materyały, nie mniej jak do samych dziejów. Porównanie ówczesnego stanu z dzisiejszym, który do tak dawnej przeszłości należy, bo 42 lat już nas od tego okresu oddziela, nie może jak tylko w każdym poważnym myślicielu, obudzić wielkie współczucie dla tylu zacnych pisarzy, którzy talent swój i prace całego życia, oddawali bezinteresownie, gdyż żaden nietylko nie otrzymywał najmniejszego honorarium, ale w myśli nawet o nióm nie marzył. Wprawdzie, i to dopiero w kilku przedostatnich latach tego okresu zdarzały się wyjątki, że księgarz i wydawca płacił honorarium, jak widzieliśmy za *Jana z Tenczyna*, J. U. Niemcewiczowi, lub autor coś zarobił ze sprzedaży swego nakładu; ale z drugiej strony Feliks Bentkowski brał sto dukatów za redakcyą *Pamiętnika Warszawskiego*, z warunkiem dostarczania na cztery duże tomy rocznie, darmo wszystkich artykułów; stotakże dukatów otrzymał od księgarza Zawadzkiego i Węckiego, za przygotowane drugie pomnożone znacznie wydanie *Historji literatury polskiej*, gdy pierwsza edycya wyczerpaną prędko została i gruby pieniądź wniosła do kieszeni pomienionych księgarzy, którzy ją swoim nakładem wydali.

Tomasz Święcki, za pierwsze wydanie „*Opisu Starożytnej Polski*,” nad którym wiele lat pracował (a wiem to od niegoż) dostał jako honorarium sto egzemplarzy swego dzieła bezpłatnie. Joachim Lelewel oddawał wszystkie rękopisma swoje darmo, i dopiero, jak mi sam mówił, pierwsze honorarium do 7000 ówczesnych złotych polskich wynoszące, miał

za wydane swoim nakładem: „*Dzieje Polski synowcom opowiadane.*“

Było to w roku 1829.

Postęp więc literatury był powolny ale gruntowny, rozwijał się na innych zupełnie warunkach jak w naszej dobie; nie podniecał go tak silny bodziec, jak pieniądź. Każdy z pisarzy pracował na niwie literackiej z natchnienia i powołania, wiedziony poczuciem obowiązku obywatelskiego.

Kto z tego stanowiska przypatrzy się bliżej okresowi *Ostatniego Klasyka*, potrafi ocenić ważność, zasługę, wielkie a zacne prace które zostaną chlubą tegoż okresu, na potomne czasy, chociaż obejmował w sobie tylko lat szesnaście!

W pięć lat później, na łożu boleści złożony, dogorywał *zwiastun* nowej epoki literatury naszej, a przy nim troskliwie czuwał zapalony romantyk, przyjaciel i długoletni towarzysz Mickiewicza. Ale ten romantyk był to człowiek rzadkiego serca, pełnego miłości chrześcijańskiej i najszlachetniejszych uczuć, który czuł w umierającym wielkiego poetę i pisarza, a zarazem człowieka, co zasługiwał ażeby przed skromną jego postacią, głowę pochylić.

Świadek chwil ostatnich pisze o nich (1): „W wigilią śmierci czułem się weselszym i swobodniejszym niż kiedykolwiek. Drzemiąc napół w nocy miał bardzo piękne widzenie, októrem sam z wielkiem wzruszeniem powiadał i które mu wielką radość i spokojność przyniosło: widział przed sobą Zbawiciela w białej szacie, który uśmiechając się łagodnie, rękę ku niemu wyciągnął.”

Wkrótce zamknął oczy na wieki. Zwłoki jego spoczęły wśród cmentarza katolickiego na przedmieściu Drezdeńskim Fridrichstadt, a nad niemi stawał skromny pomnik, w kształcie czworogranniej kolumny, w około u spodu obłożonej granitowemi kamieniami, z tym prostym napisem:

„KAZIMIERZOWI BRODZIŃSKIEMU,
Ziomkowie.

Urodzony 1791, † 1835 10 października.”

(1) W liście do Katarzyny z Lipińskich Lewockiej.

Ku czci zgasłego, ten romantyk napisał wiersz pod świeżem wrażeniem tak bolesnej straty, a przywołując na pamięć owo *widzenie*, o którym mu umierający rozpowiedział poeta, tak ostatnie chwile jego kreśli:

„I on uczuł znak Pański, i jakby anieli
 Na straży mu u serca i myśli stanęli;
 Taki pokój tchnął w licu, taka w oku radość,
 Że nawet w onój chwili, gdy już śmierci bladeść
 Zwiastowała jój przyjście, gdy na łup jój ciało
 Skazane, znać w jój ręku konwulsyjnie drgało,
 A skroń jego stygnącą, jako marmur biały,
 Usta już tylko moje i łzy ogrzewały;
 Że nawet w onój chwili, którą widząc człowiek,
 Drzy tylko albo płacze: z pod gasnących powiek
 Lśnił jakiś taki promień, taki blask weselny,
 Tak się dawał czuć tryumf duszy nieśmiertelnój;
 Taka pewność, że żyje i idzie do Boga,
 Że grzechemby się zdały litość albo trwoga:
 I tom jedno czuł tylko w głębi serca mego,
 Jak dobry Pan! jak słodka śmierć sprawiedliwego” (1).

Obaj poeci, umierający na obcej ziemi i czuwający nad nim, zbratani duchem i uczuciem do tego co wielkie i piękne, wierni pozostali swemu powołaniu. Brodzińskiego czysta i niepokalana dusza uleciała już dawno do stóp *Przedwiecznego*, a z żyjących jeden tylko A. E. Odyniec, mógł godnie uczcić jego pamięć i zasługi.“

K. Wł. Wójcicki.

Warszawa, dnia 16 kwietnia 1872 r.

(1) Poezye Antoniego Edwarda Odyńca. Wilno, 1859 r. Tom I.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA i ARTYSTYCZNA.

Powrót do Paryża. — Strasburg. — Katedra z pogorzałym dachem. — Mefistofeles na frontonie. — Zegar astronomiczny: Wizerunek Kopernika; napis *Vratislaviensis*. — Michał Wrocławczyk mistrz akademii Jagiellońskiej w XVI wieku, wydawca kalendarzy krakowskich. — Zgłiszcza Biblioteki i Muzeum. — Nowa granica. — Paryż. — Ruiny. — Ruch w świecie inteligencji: Kobiety francuzkie — Panna Bader. — Dzieło: *Kobieta grecka*. — Broszura: *Une question vitale*. — *Dziennik oblężonej podczas blokady Paryża*. — Dziełko J. Janina o Ponsardzie. — Szkoła eklektyków. — *Lukrecya*. — *Agnieszka z Meranu*. — *Ulysses*. — *Karolina Corday*. — *Horacy i Lidya*. — *Honor i pieniądze*. — *Gielda*. — *Lew zakochany*. — *Galileusz*. — Obrazki poetyczne Fr. Coppée: *Maluczcy (Les Humbles)*. — *Dworek na przedmieściu*. — Scena dramatyczna: *Klejnoty*. — Dramat pana Dardenin: *Daniel Manin*. — Nowe dzieło włoskie: *La vite e i tempi di Daniele Manin*. — Rzut oka na przeszłość Wenecyi. — Zborowscy, — Górkowie. — Łukasz Górnicki. — Słowa Jana Zamojskiego. — Potwarz. — Dzisiejsza krytyka. — Paweł de St. Victor. — Wystawa obrazów Henryka Regnault: *Thetis przynosząca oręż Achillesowi*. — *Automedon*. — *Judyta*. — *Egzekucya bez sądu pod Maurytańskimi królami Grenady*. — Konferencye paryżkie Ernesta Legouve. — Nowe odkrycia archeologiczne: Świątynia Dyanny w Efezie. — Szkielet Troglodyty. — Listy pani de Maintenon. — Widowisko we Florencyi. — Konferencya p. Elex w Akademii Sztuk pięknych. — Posiedzenie w Sorbonie. — Śmierć księdza Gratry członka Akademii. — Augustyn Cochin.

Kronikę bieżącą piszemy nakoniec z Paryża. Jesteśmy znów w tém nadzwyczajném mieście, nad którym przelatało niedawno tysiące bomb i granatów, nad którym niedawno połyaskała najstraszliwsza łuna jaką kiedykolwiek świat widział. Jesteśmy w tém mieście zalaném niedawno krwią i łzami, zaslaném tysiącami trupów, zabluzganém tysiącami obelg i potwarzy. Tenże-to Paryż? pytamy sami siebie; oważ-to pyszna gospoda świata? oważ-to pochodnia, co przyświecała ludom od lat tyłu?

Tak jest, to ten sam Paryż. I jakże byłby w błędzie ktoby myślał, że bez Tuilleries, bez Ratusza lub bez kolumny Vendome Paryż przestanie być Paryżem. Ten potężny czar co bije na zewnątrz z łona miasta, nie przyrósł do tego lub owego gmachu, do tój lub owój instytucyi: ogniskiem jego żywa pierś mieszkańców,

grzesznych niekiedy, to prawda; lecz jak szczerze okupujących winy swoje, żarem miłości i ofiary!

Ktokolwiek zwał Paryż Babilonem lub Niniwą, niechaj tu przyjdzie, niech przyłoży ciepłą rękę do serca grodu; a przekona się że ztąd nie wieje wcale duch wiekuistego zatracenia.

Co więcej: porwany tym niesłychanym prądem życia, jakim Paryż pochwyca przybyszów, nie jeden może przejdzie koło rumowisk Tuilleryjskiego pałacu i patrząc na snujące się tłumy żywych, przepomni o kamiennym kościotrupie.

Takie wrażenie odnieśliśmy summując z jednej strony naj-sroższe klęski całej Francyi i stołecznego miasta, a z drugiej tę nadzwyczajną giętkość umysłu, tę energię, te niesłychane zasoby materyalne, naukowe i moralne jakie Francya posiada. Mówimy i moralne: ten wyraz zdziwi a może nawet zgorszy nie jednego z czytelników; wielu bowiem widzi w dzisiejszej Francyi same tylko ruiny i zgłiszczą tak w materyalnym jak moralnym znaczeniu. Sąd to nazbyt pobieżny i jednostronny. Chcąc wyrokować o narodach potrzeba wziąć na uwagę rozmaite objawy ich życia. Na zarzuty czynione Francyi, Alzacya najwymowniej-szą daje odpowiedź.

Wszakże ta Alzacya miałaby prawo oskarżać Francję, o zapomnienie najświętszych względem niej obowiązków: tymczasem, lubo nowy porządek rzeczy otwiera jej drogę do wszelkich bogactw, do wszelkiego postępu materyalnego na jaki świat zdobyć się może, ona jednak ściślej niż w dniach tryumfu łączy się duchem z pokonaną Francją, dzielając z nią boleść, nawet upokorzenie. Uczucia te panują we wszystkich warstwach społeczeństwa.

O tym kierunku Alzacyi wiedzieliśmy od dawna z książek i dzienników, nie tylko francuzkich lecz również i niemieckich, ale jeden rzut oka na miejscowość, więcej nam powiedział niż książki i dzienniki.

W przejeździe ze Szwajcaryi do Paryża obróciliśmy drogę na Strasburg. Byliśmy jeszcze w Badeńskim, gdy z po za Renu przez siną mgłę oddalenia, uderzył nas w oczy sławny Minster, dziś z dachem pogorzałym, z wieżycą na bok pochyloną. Wymowny obraz nowego stanu Alzacyi!

Droga z Zurychu do Strasburga trwa blisko siedm godzin. Trudno pojąć jakim sposobem Zuryżanie, pozbawieni jeszcze dróg żelaznych, wozili braciom Strasburgezykom gorącą kaszę w kotle, na uroczyste zjazdy kurkowych strzelców. Tak przecież bywało przez wieki: świadczył o tém pamiątkowy kocioł, spalony dziś w Muzeum strasburskiem z innemi zabytkami przeszłości! Zuryżanie jak wiadomo dochowali wiernie dawną przyjaźń, a dali jej świeże dowody w dniach wielkich prób jakie Strasburg przechodził. Pod gradem kul i kartaczy wchodzili oni po dwakroć w bramy bombardowanego miasta, aby zabrać kobiety, dzieci

i starców, i dać im gościnny przytułek w mieście swojem. Była to z ich strony prawdziwa ofiara; Prusacy bowiem pozwolili Szwajcarom przejść linie bojowe, ale z warunkiem że strzały ani na chwilę nie ustają. Warunek ciężki, straszna próba przyjaźni! Szlachetni Zuryzanie przyjęli ją przecież bez wahania.

Miłość ich dla braci Alzatów, silniejsza dziś niż była kiedykolwiek. Wzmocniły ją położone dla nich ofiary, a co więcej wzmocniła ją obawa podobnej doli. My sami przebywając w Zurychu, mieliśmy sposobność słyszeć na zebraniu uroczystem, słowa jednego z profesorów, objawiające najsmutniejsze przypuszczenia!

Widok popalonych przedmieść Strasburga, w części zaledwie odbudowanych, ciężkim przejmując smutkiem przy wstępie do fortecy, a cóż powiedzieć o samem mieście! Ruch w niem jak dawniej bardzo wielki, lecz atmosfera ciężka, przesycona dymem pożarów. Nie żadna to przenośnia poetyczna! zrazu nie dowierzaliśmy sami sobie, sądząc że to proste złudzenie; w Paryżu dopiero, przekonaliśmy się przechodząc koło spalonych gmachów, że woń zgorzelizny przetrwała tam i słoty jesienne i twardy mróz zimowy. Cóż dziwnego że ten swąd czuć jeszcze podziś dzień w Strasburgu?

Jadąc powozem od Dworca do katedry szczególnie doznaaliśmy wrażenia. Przyszła nam na myśl chwila, kiedy przed dwudziestu laty stawiliśmy po raz pierwszy w życiu stopę na ziemi francuskiej. Wjechawszy podówczas do Strasburga, pytaliśmy sami siebie, czy doprawdy jesteście wy Francyi? mówiły nam o tém trójkolorowe chorągwie powiewające z gmachów; ale napisy niemieckie nad sklepami, ale słowa niemieckie w ustach ludu, budziły w nas wątpliwość. Nie wiedzieliśmy wówczas, że są prawa wyższe nad prawa lingwistyki, świadczące o narodowości ludów! Dziś i te nawet zewnętrzne objawy lepiej harmonizują z uczuciem. Napróżno szukaliśmy na sklepach napisu niemieckiego, nigdzie go nie dopatrzeć; wszystkie szyldy francuskie: lud nawet na ulicy rozmawia po francuzku.

Wszystko tu świadczy o świeżym kataklizmie. Okna sklepów zapełnione muśtwem obusów rozmaitej miary, przerobionych na kałamarze, puhary, puszki do tytoniu i t. p. We wszystkich szybach widoki płonącego grodu, fotografie zwalisk, słowem niezliczone pamiątki.

Stanęliśmy nakoniec przed katedrą. Wspaniały fronton na pozór nie wiele się odmienił, w tém niesłychanem bogactwie rzeźb, w tym przepychu ozdób architektonicznych, postręcane głowy i ręce figur nikną z razu dla oka; przypatrzawszy się jednak bliżej, spostrzegamy co chwila smutne ślady nowoczesnego wandalizmu. Ucierpiała szczególniej parabola z Pisma Świętego cudnie wyrzeźbiona po nad głównymi dzwiarami. Grupa ta przedstawia *panny mądre*, piastujące w ręku lampy z olejem, i *panny głupie* z próżnemi lampami, przyjmujące wesoło oblubieńca. Ręce pańien wszystkie podtręcane; *mądre* utraciły nie tylko lampy ale

nawet i głowy, głupie, uszły jakoś szczęśliwiej; lecz kto wyszedł cało z kataklizmu? oto Mefistofil, mniemany oblubieniec! Wesoły, uśmiechnięty, rad z siebie i z tego co się stało, on tu sam tryumfuje, jemu tylko nie spadł ani jeden włos z głowy, ani jeden z tysięcy gadów pełzających po jego grzbiecie.

Tego dyabła nie bez przyczyny, nazwaliśmy Mefistofeilesem: Goete, który jak wiadomo przebył tu część młodości, znalazł niewątpliwie w dyable na katedrze Strasburskiej, prototyp sławnego kusiciela.

Wysadził nas z powozu komisjoner, któremu oddaliśmy się pod opiekę. Uszczęśliwiony że znalazł cudzoziemców do których nie potrzebuje mówić niemiłą mu niemieczyzną, zajął się nami nadzwyczaj gorliwie. Ono wskazał nam wspomnionego dyabła, zwracając uwagę, że on jeden wyszedł cały, i śmieje się ze wszystkich.

Nasz *cicerone* oprowadził nas wkoło katedry: boki jej nierównie więcej ucierpiały niż fronton. Uderza tu w oczy spalony całkiem dach, i ta strzelista wieża, ujęta dziś mocno w żelazne obręcze, które przywróciły jej w części kierunek horyzontalny, pochyło jednak wygląda, gdyż od jednej strony figury postrącane obusami, tworzą niekształną szczerbę.

Weszliśmy do kościoła. U drzwi nasz przewodnik polecił nas innemu.

— Czy mam mówić po niemiecku? — zapytał kwaśno zakrystyan — wcale nie, ci państwo wolą francuzki język — odparł komisjoner?

— *A la bonne heure!* zawołał zakrystyan; rysy jego nagle się rozchmurzyły.

I jał nam rozpowiadać długo a szeroko, jak odłam granatu wpadł oknem do kościoła i zgruchotał mu nogę, jak przez dziesięć miesięcy nie mógł postąpić kroku. Oprowadził nas po katedrze, ukazał nam ślady potrzaskanych szyb, znikłych bezpowrotnie z tych wielkich okien, których były ozdobą w ciągu wieków; nie pominął ani jednej szczerby w murze, ani jednej szkody wyrządzonej. Zajęty ledwie co ubiegłą przeszłością, przepomniał zupełnie o dawniej, nie wspominał nawet imienia Erdwina ze Steinbacha, którego imię przyrosło do tych murów. Erdwin był Badenczykiem, stąd zapewne powód niefaski.

Zatrzymaliśmy się dłużej przed sławnym zegarem: ten przynajmniej ocalał. Wśród wizerunków Newtona i Gallileusza zdobiących to arcydzieło, nasz *cicerone* zbył pospiesznie Kopernika, znać z powodu jego jakoby niemieckiej narodowości. Ucieszył się też niewymownie gdyśmy mu zaręczyli że Kopernik był polakiem nie zaś Niemcem.

Z kościoła przeszliśmy do przybocznego domu pięknej budowy w stylu odrodzenia. Dom ten należy do bractwa Panny Maryi, czuwającego z urzędu nad katedrą. Tu w wielkiej galerii, bractwo przechowuje starannie każdy odłam strącony ze sławnego

pomnika wieków, ręką czasu lub ręką ludzką. Jest to prawdziwe muzeum, rok przeszły w smutny sposób pomnożył te bogactwa. Tu dopiéro, patrząc na owe stopy kamiennych odłamów, przekonać się można najlepiej o wielkości strat poniesionych: koszta reparacyi obliczają na miliony.

W tém muzeum jedyném jakie teraz posiada Strasburg, przyglądaliśmy się staremu zegarowi, wskazującemu wszelkie obroty ciał niebieskich według systematu Kopernika. Wiadomo że zegar pomieszczony dziś w katedrze jest po prostu kopiją dawnego, wykonaną przed trzydziestu laty. Na owémto pierwotném arcydziele sztuki zegarmistrzowskiej, dopatrzyliśmy wyrytą gotyckiem literami nazwę *Vratislaviensis*. Jest to niezawodnie nasz Michał Wrocławczyk, sławny matematyk urodzony w XV, zmarły w XVI-tym wieku, uczeń a potem mistrz akademii krakowskiej. Zkąd to imię na Strasburskim zegarze? Wrocławczyk mógł być osobiście w Strasburgu, tu bowiem w r. 1515 drukowane było w piątém wydaniu dzieło jego *Introductionum dialectice etc.*, ale nasz uczony zmarł w r. 1533, zegar zaś Strasburski, mistrzowskie dzieło Izaaka Habrick, nosi datę 1574. Przypuścić potrzeba że Habrick, aby nadać utworowi swemu sankcyą wysokiej nauki, pomieścił na niem wizerunek Kopernika jak również imię Wrocławczyka. Temi dwoma imionami chciał zasłonić siebie od zarzutu nowatorstwa; było to bowiem w czasach najzaciętszych walk religijnych, kiedy protestanci zostawali jeszcze pod silném wrażeniem opinii Marcina Lutra i Melanchtona, przeciwnych Kopernikowi.

W zeszyłym numerze Biblioteki Warszawskiej czytaliśmy własne słowa Lutra w tym przedmiocie. Z równą siłą wyrażał się i Melanchton. Oto jego wyrazy, zapisane w dziele *O początkach nauki filozoficznej*: „Oczy świadczą że niebo obraca się co 24 godzin, a przecież są tacy, którzy czy to przez miłość nowości, czy też dla okazania prostoduszności swojej, przyszli do wniosku że ziemia się porusza a sfera i słońce są w spoczynku. Otóż jakkolwiek ci zuchwali marzyciele wynajdują wiele dowcipnych rzeczy dla zabawki swego umysłu, zawsze jest brakiem szacunku i uczciwości tak niedorzeczne tezy publicznie wygłaszać; niebezpieczny to przykład, bo każdy dobrze wierzący, obowiązany przyjmować prawdę, jak jest od Boga objawioną i tém się zadowolniać” (1).

Być może iż sama opieka jaką papież Paweł III otoczył prace wielkiego astronoma krakowskiego, zwiększyła ku niemu nienawiść przeciwników, wielu zresztą i katolików wahało się z przyjęciem nowego systemu.

Imię Wrocławczyka słynęło wtedy w świecie. Na jego wykłady, jak niemniej na wykłady współczesnego mu Jana z Głogowa, przybywało do Akademii krakowskiej wielu chciwych nauki

(1) Świeżo wydana Rozprawa C. Cantu, z powodu czterechsetletniej rocznicy Kopernika.

cudzoziemców, z najdalszych stron Europy. Kto wie czy Izaak Habrick nie był także w ich liczbie. Sam zresztą kalendarz układu Wrocławczyka wydawany u Hallera od r. 1507, p. t. *Introduc-torium Astronomiae Cracoviense elucidans Almanach*, spopularyzował w świecie jego imię a z nim Akademię krakowską. Nic też dziwnego że nazwisko to znajdujemy na Strasburskim zegarze.

Opuściwszy muzeum katedry, ogarnęliśmy jeszcze raz okiem południową stronę przybytku, odartą z tyłu przepysznych ozdób. Wśród pozostałych, uderzyła nas w oczy dziwnie piękna rzeźba dłuta Sabiny Steinbachówniej, córki sławnego architekta. Przedstawia ona kościół tryumfujący, w postaci wspartej o krzyż niewiasty z kielichem w ręku. Patrząc na tę postać nieknującą mimo gradu bomb i granatów, powtarzaliśmy w duchu: *Galilae vincisti!*

Nasz przewodnik wskazał nam na placu katedralnym narożny dom tejże Sabiny. Jest to jeden z drogich zabytków Strasburga, tak z powodu średniowiecznej architektury, a bardziej jeszcze że był mieszkaniem słynnej rzeźbiarki XV wieku. Sabina należy do tych licznych niewiast wieków średnich, które zadają kłam zbyt upowszechnionemu dziś mniemaniu, jakoby kobiety owej epoki były niewolnicami. Śmiało, pełne fantazyi rysy jej dłuta, świadczą wymownie, że ręka która je kreśliła, że duch który je natchnął, musiał być wolnym, w najpełniejszym tego słowa znaczeniu.

Zbiegło nam kilka godzin na przechadzkę po mieście. Zatrzymaliśmy się dłużej nad gruzami sławnej biblioteki. Nie wspominamy tu o stratach niepowetowanych jakie poniósł świat naukowy z jej zburzeniem, mówiliśmy o nich w swoim czasie. Dziś wszystkie naukowe zakłady niemieckie powołane są do współudziału, w utworzeniu nowej biblioteki dla Strasburga. Będzie ona zapewne bardzo liczną, ale księgozbiór tego rodzaju, jak ten którym szczycił się Strasburg, nie tworzy się na rozkaz. Tworzą go tylko długie wieki, wzbogacają go tradycje miejscowe, podnoszące niesłychanie wartość ksiąg i pergaminów, bo same przez się otwierają nowe widnokreśli badaczom.

Może nienawiść ku zwycięzcom sprawiła, że w Strasburgu krąży mniemanie, jakoby działa wymierzone były szczególnie na zniszczenie biblioteki i muzeum, w których przechowywały się starożytne pomniki przypominające dziejowy rozwój Alzacyi od czasów jeszcze Galskich, kiedy Strasburg zwał się Argentoral, rozwój wbrew przeciwny dzisiejszej centralizacyi germańskiej. Skarga to może i niesłuszna? byłoby loicznie puszczać z dymem zapisaną w dziejach podania, a samémże dziełem pożaru dać pochop do nowych tradycyi, tamujących wyrób jedności.

Ogólnie mówiąc klęski i ofiary jakie poniósł Strasburg, w ciągu wojny, zwłaszcza w czterdziestodniowym bombardowaniu, ta wytrwałość w uczuciach dla Francyi, jaką okazuje w obec całego świata i w obec tryumfujących zdobywców z narażeniem

własnych korzyści materyalnych; wszystko to świadczy że idea francuzka ma w sobie siłę wyższą nad czasowe niepowodzenia, siłę która daje wiarę i nadzieję. Pod wpływem takiejto myśli opuściliśmy Strasburg przed wieczorem. W parę godzin stanęliśmy na nowych kresach cesarstwa niemieckiego i Rzeczypospolitej francuzkiej. Nowymi dla nas były te formalności komory i paszportów, nie daleko tak dobrze nam znanego Lunewilu!

Słońce wschodziło kiedy stanęliśmy pod wałami Paryża. Otóż i te forty i te szance, na które Thiers tak bardzo liczył, gdy podniósł projekt ich budowy w roku 1840, a przecież one nie obroniły grodu! Otóż i samo miasto; ruch tu jak za dawnych czasów, prawdziwe rojowisko ludzi: wszyscy zajęci, wszyscy spieszą, ulice czyste, na domach nie widać śladów zniszczenia.

Wprawdzie ta część miasta ucierpiała najmniej; . . . ale zbliżamy się do Rivoli! Serce drży . . . z wytężonemi oczyma patrzymy naokoło. Wiemy co tu zaszło, wiemy to z książek i z dzienników i od świadków naocznych, a jednak niespokojność ogarnia; jesteśmy bowiem na scenie najstraszniejszego dramatu, jaki zapisały kiedykolwiek dzieje domowych wojen. Niestety! nie potrzeba wyteżać wzroku: dwie kolosalne ruiny same go uderzają. Ruiny to dwóch wspaniałych pomników przeszłości: pałacu Royal i Tuilleries.

Powiedzieliśmy z początku, że Francya musi spełnić wielkie posłannictwo, mimo tylu rumowisk sterzających w sercu stolicy i rozsianych po kraju. Takie jest przekonanie nasze, takie przekonanie tych wszystkich, którzy sądzą Francję, nie pod smutnem wrażeniem tego lub owego objawu, nie okiem tego lub owego stronnictwa politycznego; lecz którzy oceniają społeczeństwo francuzkie w jego całości i ze stanowiska jakie zajmuje w obec społeczeństw europejskich. Tak sądząc, nie zakrywamy przecież oczu, aby nie widzieć złego. Widzimy je, ubolewamy nad niem, a mimoto przekonani jesteśmy, że niemoc jaką dziś przechodzi Francya, to nie rak śmiertelny zagnieżdżony w ciele narodu, to raczej nadmiar sił co sprowadza chwilowy obłęd, lecz nie zdola podkopać organizmu całego społeczeństwa.

Bo i jakże mówić o powszechniej gangrenie tam, gdzie zasadnicze prawa moralności poszanowane tak wysoko. Kilkadziesiąt tysięcy rodzin opuściło Paryż, podczas smutnych wypadków podwójnego oblężenia. Mieszkania ich władze oddały tak zwanym *mobitom*, to jest gwardyi ruchomej, nadbiegłej z różnych okolic Francyi; a jednak własność prywatna wszędzie była najściślej uszanowaną mimo tysięcznych pokus. Władze zagnane gwałtowną potrzebą odbijały zamki opuszczonych mieszkań i oddawały je nowym przybyszom bez spisu inwentarza; jednak powtarzamy, nigdzie nic nie zginęło: właściciele znajdowali na biurkach pieniądze zapomniane w popłochu ucieczki.

Jakże wytłumaczyć te pożary przy tak wielkiem poszanowaniu cudzego dobra? Odpowiedź łatwa na to: menderowic pod

wpływem idei nihilistycznych naleciałych ze świata, skorzystali z gorączki ogólnej, z rozpacz y zbolałego ludu i wciągnęli w zdradliwe sieci cząstkę ludności miejskiej.

I my w skromnym mieszkaniu naszym, znaleźliśmy wszystko tak samo jak zostało, a przecież mieszkanie to przy ulicy Bac było w miejscu najbardziej narażonym na bomby a potem na gwałty komuny. Nie brakło więc pozorów tym, którzyby chcieli korzystać z powszechnego bezładu.

Jeżeli dwa ubiegłe lata silnie wypiętnowały się na murach miasta, o ileż wydatniejsze wycisnęły ślady na obliczu mieszkańców. Dziwnie tu wszyscy postarzel i, każdemu przybyło z jakie lat dziesiątek. Ludzie wyższej inteligencji i wyżej rozwiniętego uożucia, bardziej zmienieni od prostaczków: znać boleśń ducha więcej szarpie siły żywotne niż głód i niewygody! Wszystko się rozpierchło, nie wiedzieć gdzie i kogo szukać. Ten wyniósł się z Paryża, tamtego sejm powołał do Wersalu, ten odmienił mieszkanie a wielużo przepadło gdzieś bez wieści! wielużo spoczęło w ziemi bez krzyżyka nawet nad głową! . . . O! smutniejsze to stokroć szczyerby, niż te, jakie bomby wyżłobiły na murach! Te ostatnie zawalono cegłą i wapnem, po tamtych łzy nie ociekły jeszcze i nie prędko ociekną.

Ci zato, którzy przetrwali kataklizm, pracują za siebie i za drugich. Ruch wielki panuje w świecie inteligencyi. Rozwinięte dziennikarstwo nie zabija bynajmniej handlu księgarskiego; przeciwnie nawet, mimo biędy ogólnej, księgarze utrzymują, że nigdy nie sprzedawali tak wiele poważnych zwłaszcza dzieł jak w tych czasach; wydawcy nie mogą wydażyć z mnóstwem rozpoczętych publikacyj. Naukowe Towarzystwa z podwójną żarliwością nagradzają zbyt długą przerwę w pracach swoich: słowem odrodzenie czuć się daje na każdym polu.

Kobięty francuzkie nie dadzą się ubiedz w tym ruchu tak silnie rozbudzonyn. Podczas gdy jedne z niezmordowaną gorliwością zbierają składki na oswobodzenie prowincyj zajętych przez obce wojska, inne przynoszą na pożytek ogółu plony wytrwałej pracy umysłowej. Na czele tych wspomnimy zasłużone imię panny Bader.

Panna Klarysa Bader, która od lat dziesięciu pracuje nad zbadaniem stanowiska kobiety w różnych społeczeństwach, wydała w tych czasach obszerny dwu-tomowy dzieło p. t.: *Kobięta grecka*. Autorka zaczyna od kobiety mytycznej, prowadzi rzecz przez ciąg starożytnych dziejów Grecyi.

Ważna ta praca podana do konkursu akademickiego, otrzyma niewątpliwie nagrodę, jaką już otrzymało pierwsze dzieło panny Bader: *Kobięta indyjska*. Z tego dzieła przed ośmiu laty daliśmy obszerny sprawozdanie do Biblioteki Warszawskiej; ko-

biecie greckiej zamierzamy też poświęcić znaczny ustęp w przyszłej kronice: dziś poprzestać musimy na tej wzmiance pobieżnej, dzieło bowiem takiej wartości i takiego rozmiaru, wymaga gruntownego zbadania.

Po *Kobiecie indyjskiej* autorka napisała obszerne studjum nad *kobietą biblijną*, pełne zarazem erudycyi i poetycznego uroku. Dziś zbiera materyały do historycznych badań nad *kobietą francuską*: będzie to nie wątpimy korona jęj prac literackich.

Cały czas obłężenia i komuny panna Bader spędziła z rodzicami w Paryżu, wystawiona na pociski bomb i granatów, mieszkając w części miasta najbardziej narażonej na niebezpieczeństwo. Opowiadała nam smutne wrażenia tych chwil, kiedy do obawy o podeszłych rodziców. łączyła się obawa o los *Kobięty greckiej* jeszcze nie drukowanej, a co gorsza nie przepisanej na drugą rękę.

„Biedna *Kobięta grecka* — mówiła do nas autorka — spoczywała w piwnicy przez cały miesiąc, zamknięta w blaszaną trumienkę i zakopana na parę stóp w ziemi. W ostatnich zaś dniach stycznia, kiedy zmuszeni byliśmy uciekać z domu na drugą stronę rzeki (piechotę, gdyż powozów nie było w tym czasie), wieziono ją na wózku z innymi manatkami a ja szłam za nią jak matka za dzieckiem i serce biło mi na myśl, że pierwszy lepszy granat może zniweczyć owoc pięcioletniej mojęj pracy.”

Mimo takich ostrożności wózek oddalił się cokolwiek naprzód. Ruch na ulicach był wielki, kto żywy uciekał na północną stronę miasta gdzie nie sięgały bomby. Panna Bader przybyła z rodzicami na miejsce przeznaczenia, ale *Kobięta grecka* zabłąkała się w dródze. Mija godzina jedna i druga, a wózka jak niema tak niema! Serce autorki bije na gwałt, ojciec wybiega na ulicę, szczęściem po dwóch godzinach poszukiwania wraca z tryumfem niosąc opłakiwaną już zgubę

Byłaby to w rzeczy samęj szkoda trudna do powetowania. Wyobraźmy sobie p. lat pracy najmozolniejszjęj. Panna Bader w *Kobiecie indyjskiej*, oprzestała na skompilowaniu dzieł znanych orientalistów, tak francuzkich jak i angielskich. Cała jęj zasługa polegała na zręcznym zestawieniu szczegółów i na samodzielnym poglądzie. Oceniając ważność publikacyi Towarzystwo azyatyckie zaprosiło autorkę do grona swego. Aby okazać się godną odebranego zaszczytu panna Bader w *Kobiecie greckiej* postanowiła sięgnąć do samych źródeł. Nauczyła się więc po grecku, zwiedziła wszystkie publiczne muzea i prywatne zbiory, poznała niezliczone pomniki starożytnęj cywilizacyi Helenów; przejrzała odwieczne rękopisma greckie w bogatych paryzkich bibliotekach; przełożyła kilka z tych cennych dokumentów, które nigdy nie były tłumaczone ani komentowane: słowem wykonała zupełnie oryginalne dzieło.

„Nie ufałam mojęj grecczyźnie — mówiła do nas autorka z całą prostotą. — Pierwsze przekłady oddałam za pośrednictwem

przyjaciół, pod sąd pana Egger. Na nieszczęście sławny grekofil oddalił się z Paryża na czas jakiś. Wrócił przed oblężeniem, ale w chwilach okropnych wstrząśnień jakie przechodziliśmy, czyż go mogłam trudzić moją Kobiętą grecką? Gdy się rzeczy uspokoiły, wydawca Didier zażądał spiesznie rękopismu. Pan Egger nie miał czasu przejrzeć ostatnich przekładów. Wielka też była moja trwoga, kiedy posłałam mu drukowany egzemplarz. Ogół może nie spostrzedz błędów; ale czyż te się skryją przed okiem biegłego profesora?"

Jakaż więc była radość autorki, kiedy w kilka dni potem doszła ją wieść, że pan Egger przyniósł dzieło jej na katedrę i całą godzinę wykładu w Sorbonie poświęcił ocenieniu tej znakomitej pracy.

Czasy komuny w nadzwyczaj przykry sposób wraziły się w pamięć panny Bader. Na kilka dni przed ustanowieniem nowego porządku a raczej nieporządku w dniu 6 marca, wyszła z druku małeńka ale pełna znaczenia jej broszurka p. t.: *Une question vitale*, wykazująca konieczność żywiołu religijnego w wychowaniu szkolnym młodzieży. Przekonania autorki wprost były przeciwne przekonaniom ówczesnych władców Paryża. Mogło przyjść dogwałtu; jakoż o mało do niego nie przyszło. Razu jednego gdy panna Bader wyjrzała oknem, kula karabinowa przebiegła koło jej twarzy i odbiła się o zewnętrzną ścianę domu,

Przytaczamy ostatnie słowa broszury, której autorka o mało nie przypłaciła życiem:

„Wśród otaczających nas gruzów, pracujemy nad odbudowaniem nowej Francji. Krzepmy odwagę słabych: ogrzewajmy, podnośmy dusze. Niechaj małuczcy z pośród nas staną się pośrednikami świętej sprawy!"

„Do broni! wołaliśmy przed chwilą na braci którzy bronili domowych ognisk naszych. Umilkł dziś okrzyk bojowy: powtarzajmy nowe hasło: „do siewu!"

„Tak jest, do siewu pracownicy rolnicy! zaorcie pługiem strątowane pola nasze! Do siewu! apostołowie wiary, mężowie myśli, mężowie nauki, wy którym dano składać w zranione serca, ziarna dobra, piękna i prawdy!

„Rola przygotowana! . . . o zaci oracze, skiba wasza bogate wyda plony. Użyźniła ją obficie świeża krew synów i braci waszych. I wasz zagon nie chybi, mężowie nauk, krzewiciele szlachetnych myśli. Bolesć żelaznym pługiem zorała serca: odważnie więc do siewu!

„Do was szczególnie przemawiam matki i nauczyciele, do was co zasilacie ziarnem prawdy umysły i dusze młodych dzieci.

„Pamiętajcie, że gorzki owoc który dziś zbieramy we łzach i niedoli, zrodził się z ziarna materializmu posiewanego niestety szczodłą ręką. Aby uchronić przyszłe pokolenie od podobnego zniwa, pamiętajcie, że Słowo Boże, tak niezbędne wychowaniu dziecka, jak słońce kiełkowaniu rośliny."

„Do siewu! ludu mój! pracujmy wytrwale, pracujmy w poście czoła, a kiedy przyjdzie błogosławiony dzień košby, powiemy wtedy z Psalmistą: „kto siewe we łzach, będzie zbierał w radości.“

Przez ciąg obłączenia i komuny panna Bader spisywała dzień po dniu doznane przygody i wrazenia. Dziennik ten jeszcze nie wydany, podobne pamiętniki sypnęły się gradem na Paryż: ta okoliczność zatrzymała dotąd autorkę, z publikacją swojej pracy. Wkrótce jednak ów dziennik wyjdzie z druku p. t. *Le journal d'une assiegeé, pendant le blocus de Paris*. Stanowisko autorki, liczne jej stosunki z całą inteligencją paryżką, dają nam niewątpliwą rękojmię ważności tego dzieła. Skoro się tylko ukaże a może i wprzód jeszcze, nie omieszkamy zdać z niego szczegółowej sprawy.

Panna Bader pochodzi z Alzacyi, jak świadczy samo jej nazwisko. Urodzona w Strasburgu chrzczoną była w sławnym Minsterze. Matkę jej żyjącą dotąd trzymał do chrztu generał Cyprian Godebski. Widzieliśmy na własne oczy akt podpisany czcigodną jego ręką. Ze łzami radości zacna ta matrona przyjęła od nas rysunek grobu naszego Tyrteusza wyjęty z *Cmentarza Powązkowskiego*.

Jules Janin pierwszy krytyk dzisiejszy we Francyi, wydał maleńką książeczkę o zmarłym przed kilku laty poecie dramatycznym Ponsardzie. Trzecia to już książeczka Janina w tym rodzaju. W pierwszej rozbiera życie i prace Lamartina, drugą poświęcił Dumasowi. Jeżeli autor, o czém nie wątpiny, prowadzić będzie dalej podobne publikacye, ułoży się z nich ciekawa historia literatury bieżącego stolecia.

W rozprawie o Dumasie, Janin uwydatnił walkę klasyków z romantykami, zaciętszą może jeszcze we Francyi niż u nas, gdyż Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk nie występowało nigdy tak uporczywie przeciwko nowemu prądowi jak to czyniła Francuzka Akademia; w Ponsardzie ukazuje nam Janin przedstawiciela nowej znów szkoły eklektyków, którzy wzięli sobie za cel połączyć formę klasyczną z duchem romantyzmu, unikając zarówno przestarzałych więzów szkołarstwa, jak niemniej zbytniego rozprzężenia w formie, przeciwnego zdrowemu rozsądkowi.

Po roku 1840 powiał na Francję jakoby duch powtórnego odrodzenia sztuki starożytniej. Rachel jak nowa gwiazda zaświeciła na scenie, przy blasku tej gwiazdy odżył Kornel i Rasyn. Smak powszechny zwrócił się ku tym mistrzom. Ostatni dramat Wiktora Hugo *Burgrafowie* upadł po pierwszym przedstawieniu. Wówczas to daleko od Paryża, w mieście Vienne nad Rodanem nieznany światu młodzian Franciszek Ponsard utworzył tragedję opartą na dziejach starożytnych. Ośmielony radą przyjaciół, przywiózł ją do Paryża. W tydzień potem uczono się Lukrecyi w Odeonie.

Publiczność oczekiwała niecierpliwie nowej sztuki, tymczasem zagorzali czciciele romantyzmu, zasypywali poetę gradem szyderczych pocisków. „Precz z Lukrecyą! wołano; precz z Tarkwiniuszem! co wywłóczyć trupy ze starych kostnic, niech umarli śpią w grobie, zostawmy ich w pokoju.“ Najzłośliwiej szydził Mery. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin, napisał on parodyę Lukrecyi w pięciu aktach, i przedstawił ją w jednym z podrzędnych teatrów wprzód jeszcze nim Lukrecya Ponsarda zjawiała się na scenie.

Dzień przedstawienia tragedyi był dla autora dniem prawdziwego tryumfu. Ogół przyklasnął gorąco sztuce; poważna krytyka ogłosiła Ponsarda poetą.

„Bitwa była wygrana, mówi Janin, wyborne dzieło otrzymało najśluszujsze powodzenie. Nazajutrz potem cały Paryż mówił: *Autor Lukrecyi*, jak mówiono *Autor Hernaniego*. Salony literackie wydierały sobie tego młodzieńca, dotąd nieznanego nikomu. Ponsard przyjął te pochwały z wielką prostotą, opuścił niebawem Paryż, pospieszył do rodzinnego miasta, aby ze starym ojcem i ukochaną matką podzielić się radością z tak niespodziewanych tryumfów.

W trzy lata potem, przedstawił znów w Odeonie „Agnieszkę z Meranu“, tragedye nie ustępującą Lukrecyi: przyjęto ją świetnie, lecz powodzenie krótko trwało. Publiczność przyzwyczajona do scenicznych efektów, nie umiała jeszcze zasmakować w prostocie przypominającej teatr starożytny. Poeta zniechęcony, zawiedziony w nadziejach, powrócił do matki i pod cieniem dachu ojczyznego, wśród bezustannej pracy, przepominał wkrótce przykrych wrażeń.

Badał pilnie Homera; w Odysei nawet zaczerpnął przedmiot do nowego dramatu. Ulises ukazał się niebawem na deskach teatru francuzkiego. Ogół nie potrafił go wówczas ocenić, ale wielcy krytycy podnieśli wysoko wartość utworu. „Prostota, mówi Janin, zgubiła Ulisesa. Jaka tu cisza, jaki takt, jaki spokój, a jaki smak wytworony, jaka harmonia między myślą a słowem! jaka prawdziwa piękność! Mimo takiego uznania, Ulises znikł z repertuaru. Nie ocaliły go nawet śliczne chóry z muzyką Gounoda.“

Poeta uczył z całą goryczą doznany zawód. Tęsknota ogarnęła jego umysł; zapragnął nowych wrażeń: odmet wielkiego świata pociągnął go nieprzepartą siłą. Postanowił wtedy opuścić swój dom rodzinny, w którym ubiegła mu szczęśliwa młodość. Ojciec jego już nie żył: próżno dobra matka usiłowała zatrzymać go przy domowém ognisku.

„Czemuż wydierasz się ztąd dziecię drogie, jedyna ty nadziejo moja, mówiła zalewając się łzami. Znajdzieszli gdzie taki dom wygodny, taki uroczy ogród? taką górę z widokiem na Rodan i wzgórze zasłane zielonym winogradem? pozostań lepij ze mną! będziesz mi wieczorami czytywał twoje wiersze, wciągu dnia napisane! a jak przyjdzie wrzesień upolujesz mi w kniei

zająca. Zostań tu mój słodki poeto, rodzinna góra da ci niewy-czerpane zdroje natchnienia i chwała twoja szeroko ztąd rozbieży się po kraju!"

Poeta nie posłuchał: wydarł się z objęć matki, pośpieszył do Paryża. Biograf nie idzie trop w trop za nim, z kilku jednak słów niewyraźnie rzuconych, łatwo odgadnąć że Ponsard doświadczył tam losu owych nieszczęśliwych rozbitków, których burzliwe koleje nasz Kraszewski skreślił tak mistrzowsko w obrazie *Świata i poety*, w *Pamiętnikach nieznanomego* i t. p.

Przewrót społeczny 1848 roku, natchnął mu myśl nowęj tragedyi: napisał Karolinę Corday, ów jak mówi Janin, „najpiękniejszy kwiat wykwitły z mózgu i serca poety.“ Sztuka ta, godna świetnych i długotrwałych tryumfów, upadła jednak przez upór sławnęj Rachel, która odrzuciła bez powodu rolę bohaterki. Przedstawiono tragedję w roku 1850, źle odgrana nie znalazła powodzenia.

Nieszczęśliwy, zwątpiały, zniechęcony, z rozpaczą w sercu, z gorączką w duszy, po kilku latach pobytu w stołeczném mieście, wrócił Ponsard do rodzinnej zagrody. Jakże się tu wszystko zmieniło! Matka trawiona chorobą, dogorywała zwolna. Powrót syna marnotrawnego, sprowadził ostatni uśmiech na wywiędłe jej usta. Skonała pobłogosławiwszy go ze łzami.

Poeta błąkał się po pustym domu, podobniejszy do omen-tarnego widma niż do żywęj istoty. Młody jeszcze w lata, lecz postarzały w duchu, gardził ludźmi i sobą, nie wierzył w nic, nie wierzył nawet w własny talent. Naoiśnięty długami, zmuszony był sprzedać połowę ojcowizny, aby choć w części opędzić się wierzycielom. Pośpieszył znowu do Paryża.

Na żądanie panny Rachel napisał wtedy mały obrazek dramatyczny *Horacy i Lidia*, poczem zabrał się do pięcioaktowej komedyi wierszem p. t: *Honor i pieniądze*. Znany u nas ten utwór z wybornego przekładu Wacława Szymanowskiego.

Poklask jaki otrzymał Ponsard, zachęcił go do nowęj pracy na témże polu. W komedyi *Gielda* (la Bourse) dotknął jednę z najzjadliwszych ran, toczących obecne społeczeństwo; widzimy tu smutny obraz zagorzałych graczy giełdowych: matka przegrywa posag córki, ojciec przyprowadza do głodu biedną dziatwę.

Dwie te komedye postawiły poetę na nogach, pierwsza zwłaszcza, dała mu *pieniądze*, przywróciła mu *honor*, pozwalając spłacić znowu część długów i podźwignąć z upadku dom rodzicielski. Poeta zamieszkał znów pod własnym dachem. W mieście Vienne przebywał także znany powieściopisarz Juliusz Sandeau, stały przyjaciel Ponsarda, kolega jego z akademii francuzkiej. Sandeau szczęśliwy małżonek i ojciec pragnał gorąco aby i przyjaciel złamanym życiem, stargany tysiącem boleści i zawodów, zakosztował tego cichego spokoju, tej prawdziwęj pomyślności jaką daje tylko rodzina i domowe ognisko. Onto zbliżył Ponsarda z młodą córką pułkownika Dourmy. Była to kobieta wyższa w całym słowa

znaczeniu. Bez względu na wielką różnicę lat, Ponsard miał bowiem lat pięćdziesiąt, bez względu na stargane zdrowie poety, szlachetna panienka postanowiła oddać mu rękę i zostać opiekuńczym jego aniołem. Daremne były przedstawienia krewnych i przyjaciołek.

— On ubogi — mówiono do niej — tyś nie przywykła do niedostatku.

— Mam własny posag — odpowiedziała — ten dla nas obojga wystarczy.

— On chory, zdrowie jego stargane.

— Ja go wyleczę, jestem pewna.

— On taki smutny i nieszczęśliwy!

— Ognisko domowe powróci mu szczęście i spokój!

Słowa przyjaciółek skruszyły się o żelazną wolę dziewczycy.

Ślub odbył się wkrótce w mieście Vienne. Nowożeńcy zamieszkali w ocalonym domu ojcowskim. Ponsard odżył, szczęście rozwinęło przed nim szerszy widnokrąg, zbudziło na nowo iskrę twórczą w bogatej jego wyobraźni. Kochający i kochany, uwierzył na koniec w swój talent, uwierzył w przyszłość własną. Przyjście na świat syna, stało się dlań najwyższym szczyblem pomyślności.

Shczęście to krótko trwało. W rok po ślubie Ponsard ciężko zachorował, i nigdy już nie wrócił do zdrowia. Ostatnie trzy lata życia jego, były prawdziwem konaniem. W chwilach najsroźszych męczarni, trawiony bezustanną gorączką, utworzył jednak dwa wielkie dramata: z tych *Lew zakochany* liczony powszechnie do najznakomitszych utworów jego pióra.

Poeta przedstawił w dramacie piękną chwilę z dziejów Francyi, kiedy po upadku Robespiera, społeczeństwo wstrząśnięte w posadach, wraca do normalnego stanu. Konwencya wypuszcza z rąk twardy topór, emigranci przybywają do kraju. Nienawiść milknie, trwoga ustępuje miejsca nadziei. Przyjęto sztukę w Paryżu z niesłychanym zapalem. Ponsard patrzył na własny tryumf i serce biło mu od wzruszenia, zacna małżonka dzieliła jego radość. Pod wpływem szczęścia siły poety skrzepiły się chwilowo; gorączka opuściła go na czas jakiś. Kiedy w Paryżu sto razy z rzędu powtarzano przedstawienie, rodzinne miasto wyprawiło autorowi serdeczną owacyą i udarowało go starożytnym puharem.

Po krótkim polepszeniu choroby wzięła górę. Ponsard jednak rozpoczął ostatnie swoje dzieło. „Ręką stężałą od boleści pisał on Galileusza, mówi Janin. Każda myśl wyroniona tu z krwawą łzą, każdy wiersz złożony ze śmiertelnym wysiłkiem, w każdej skardze nieszczęśliwego Galileusza, słyszymy jakby jęk zbolatego Ponsarda.”

Gdy teatr francuzki przedstawiał po raz pierwszy ten pyszny dramat, poeta umierał w Passy pod Paryżem. Napróżno po każdym akcie przyjaciele nadsyłali mu listy i telegramy, świadczące o rozlegających się w sali oklaskach, autor nie był w stanie

czytać tych słów pochlebnych, przyjmował je nawet obojętnie. Skonał w kilka dni potem, jak tryumfujący szermierz na polu bitwy. Umarł w roku 1867. O wielkiej owacyi jaką wyprawilo mu rodzinne miasto przy wzniesieniu pomnika, pisaliśmy w jednej z dawniejszych kronik. Dziełko Janina świeżą koroną uwieńczyło dziś pamięć znakomitego poety.

Franciszek Coppée wydał nowy tom obrazków poetycznych p. t. *Les Humbles* (maluczoj). Są to rodzajowe obrazki, brane prosto z życia, pełne prawdy i niewinnego uroku. Dajemy tu jeden w przekładzie.

DWOREK NA PRZEDMIEŚCIU.

Nie umiałem ja nigdy pojąć ludzkiej pychy:
 Słodką w sobie nagrodę znajdzie człowiek cichy,
 Bez zawiści też patrzę na chwałę i złoto,
 A gdy mnie trudy życia i lata przygniotą,
 Niechże mi Bóg da użyć tej doli szczęśliwej,
 Jaką ma stary dziaduś przy babulce siwej,
 Kiedy po ciężkiej pracy, po długim mozole
 Kupią dworek za miastem, z widokiem na pole.
 Na ten obraz jak słodko raduje się dusza!
 Patrzcie, wiatr chorągiewką na dachu porusza;
 Gdzie rzucić okiem, spokój, cisza i porządek,
 Pod oknami się róże rozrosły wśród grządek
 Otoczonych bukszpanem i opaską darny;
 Pod progiem śpi na słońcu wieray kundel czarny,
 Gospodarz odzian w bluzę szarą dryliskową,
 W słomianym kapeluszu, z pochyloną głową
 Stąpa krętami ścieżki i plony swe liczy:
 Z kieszeni mu wygląda przyrząd ogrodniczy.
 Tu przywiąże gałązkę co się krzywi szpetnie,
 Tam zielsko od korzenia nożykiem podetnie;
 Tu dopatrzy ślimaka co się pnie wśród liści:
 Tam z żarłocznych owadów łodygę oczyści.

W altanie oplecionej powojem w około,
 Babulka w wielkim czepcu zasiadła wesolo;
 Trzyma białą pończoszkę, snąc wprawna jej ręka,
 Nie patrzy na robotę gdy drutem w drut szczęką;
 A przy niej kotek psotnik, to kłębek pochwyci,
 Potoczy go daleko i popłacze nici;
 To najeży pazurki i patrzy ochoczo
 Na ptaszęta, co w gniazdkach swobodnie świergoczą

Słońce w górę się wzięło, coraz mocniej pali,
 Przez drzwi napół otwarte spojrzymy w głębi sali;
 Gdzie rusz, mody odwiecznej wydatne znamiona:
 Na brązowym zegarze biust Napoleona,
 U wygiętych poręczy krzesel i kanapy
 Głowy milczących sfinxów oparte o łapy;
 Wygodnie tu i czysto, i miło tu wszędzie:
 Tak dziś jak było wczora, i jutro tak będzie,
 Dopóki Bóg tej ciszy w głębszą nie zamieni,
 Gdzie oboje po pracy odpoczną strudzeni.
 Gad zawiści nie powstał w ich sercu, ni głowie,
 Czynią to, co czynili dziady i ojcowie;
 Szanowany tu wiernie złoty podań wątek,
 Tu modlitwą uświęcon każdy dnia początek:
 O dziatwie przy śniadaniu gwarzą sobie starzy,
 Babka zbiera owoce, konfitury smaży.
 Niechajże z tej prostoty śmieje się szyderca,
 Wszystko się zestarzało u nich oprócz serca!
 Choć włos im szron ubielił, kochają jak młodzi,
 Pełną, gorącą piersią. Cóż to komu szkodzi
 Że gdy burza zaryczy, gdy piorun się zbliża,
 Na czole i ramionach nakreślą znak krzyża;
 Iż w niedzielę gdy dzwony kościelne uderzą,
 Idą na mszę ubrani świątecznie i świeżo;
 Iż, gdy przyjdzie rok nowy albo dzień patrona,
 Gdy się w domku rodzina zbierze zgromadzona,
 Z pod serca wydobędą zasobów ostatki,
 I ugoszczą je hojnie i obsypią w datki;
 Że pocziwa babunia pieści wnuki czule
 I placek im z migdałem piecze na Trzy Króle!

Szczęśliwi, ach ci stokroć szczęśliwi na świecie,
 Czyja dłoń z prostych kwiatów życia wianek plecie:
 Kto zua słodycz nawyknień, komu próżność nie čmi
 Wzroku mamidły czczemi! Syn z żoną i dziećmi
 Odwiedza rodzicielski dworek co niedziela,
 Dopierożto w ogródku śmiechu i wesela!
 Rozbiegły się dziateczki jak rój pszczoł po łące,
 Ten kopie, tamten grządki podléwa kwitnące;
 Ten wszystkie gniazdka ptasze zliczył w każdym krzaku,
 A mały po murawie pełza na czworaku.

Dano obiad, stół przybran w wety i owoce,
 Działwa siły pokrzepia i gwarno szczebioce,
 A słońce już się chyli, wnet zatonie w mroku:
 Wtém księżyc srebrnym sierpem błysnął z za obłoku.
 — „Czas w drogę!“ Na te hasło w lot zerwają się dzieci,
 I czemuż to Niedziela tak chyżo przeleci!

Wraz dziadka i babunię okrążyli kołem,
 Starzy im z cicha krzyżyk nakreślą nad czołem;
 „Niech was Bóg — rzecze dziadek — od złego ustrzeże,”
 A babka im do ręki kładzie kwiaty świeże.

Dzięki wam! ach to ciepło co z waszych serc bucha,
 Zbudziło skrę wystygłą w głębi mego ducha;
 Ledwie-m dzień przeżył z wami, serce odtąd marzy
 O cichój doli waszój, oh! dzięki wam starzy!

Oprócz wspomnianych wyżej obrazków, Franciszek Copée
 wydał małą scenę wierszem; przytaczamy ją tu w całości:

KLEJNOTY.

*(Wytworny buduar rześisto oświecony. Młoda kobieta w stroju balowym
 cała błyszcząca od klejnotów, siedzi przed zwierciadłem.)*

Dziś bal! ja na bal idę wesoło i strojnie,
 Trudno wyżyćby dłużej w tej nieszczęsnej wojnie;
 Cierpieć głód ciągle słyszę te bomby nad głową:
 Kto wie . . . , może niebaczne ja wyrzekłam słowo?
 Ej nie! . . . Póki pod miastem grzmiały pruskie działa,
 Jam święcie mą powinność z drugimi spełniała;
 Wszak rannym w ambulansie służyłam nie zartem,
 Z tych rączek oswojonych z Lisztem i Mozartem
 Jakże chętnie bez względu na zimę okrutną
 Zrzuciłam rękawiczki i szarpałam płótno.
 Choć mi serce pękało od trwogi i żalu,
 Wszakże byłam w Szampini, byłam w Busenwalu
 Jak żołnierz! I cóż komu ten balik zaszkodzi?
 Wśród krewnych i przyjaciół poskoczym tam młodzi.
 Zbyt długo ta żaloba w więzi nas trzyma,
 Miałaby mi bez tańca ubiedz druga zima?
 Niechaj kto co chce powie, nie widzę w tym grzechu,
 Dawno się usta moje zaparły uśmiechu;
 Dawno bez tych klejnotów ja tęsknię jak dziecię
 Gdy mu zabiorą cacka.

(Patrzy z zadowoleniem w zwierciadło.)

Włożyłam je przecie!

Jak cudnie ten naszyjnik stroi gładką szyję,
 Prześliczne te kolczyki, aż łuna z nich bije;
 Jak ponętnie z kruczymi mych włosów uploty
 Mięszają się te perły; jak ten pierścień złoty
 Utkany szmaragdami zdobi rękę białą:
 Aż mi lica skraśniały i serce zadrżało.

Widokiem tych klejnotów niechże wzrok napieszczę.
Co to jest? jakieś zimne przejęły mnie dreszcze!

(spogląda na zegar).

Ha! . . . dziewiąta dopiero a jam już ubrana,
O tryumfach wieczornych przemyślałam od rana,
Aby blaskiem mych wdzięków i urokiem stroju
Nacieszyć się dowoli; chciałam w tym pokoju
Spędzić sama godzinkę swobodnie jak dziecko,
Z tym świadkiem co mi pochlebstw nie szepcze zdradziecko;
Nim uderzy dziesiąta długo czekać muszę. *(zamyśla się).*

(Po chwili).

Pomnę ja zeszłej zimy . . . , dlaczegoż mi duszę
Wiecznie mąci ta chwila? O téj samej porze
Siedziałam u wezglowia chorego. Mój Boże!
Jak to czas szybko leci! . . . Byłto kmięć ubogi,
Prosty żołnierz. . . , pamiętam jak przyjął bez trwogi
Smutny wyrok, gdy lekarz ogarnął oczyma
Straszną ranę i szepnął: ratunku już niema!
A gdy książd z Panem Bogiem stanął u tapczanu,
Mój nieznany bohater pokłonił się Panu,
W milczeniu prawą rękę przyłożył do czoła,
Jak żołnierz przed sztandarem, gdy trąba zawoła
Walecznych do ataku!

Czuł się coraz gorzej,
Przesiedziałam noc przy nim, a o brzasku zorzy
Spojrzał w okno i rzecze: „Moja meta bliżka,
Ostatni raz dziś dla mnie słoneczko połyska,
Co czynić? człeku Bożej nie przełamać woli!
Jedno dręczy mię tylko . . . ojciec ma kęs roli
I chatę i winnicę w Szampanii nad Marną;
Niemcy tam się rozsiedli a co raz zagarną
Nie prędko puszcza z garści. . . . biedniż wy rodzice!”
I ścisnął wazkie usta i na blade lice
Wystąpiła mu krasa, oko błysło zarem
I z piersi przyciśniętej niedoli ciężarem
Wybiegło ciche łkanie. . . , i nagle mi skręśli
Smutny obraz zrodzony w chorobliwej myśli;
Tu, końskiemi kopyty stratowane plony,
Tam dymiące się zgliszczą chaty rozwalonej.
Głód, chłód, pomór i nędza boleśnie dociska.
Obcy zasiadł wesoło z fajką u ogniska,
I dziewczęta płochemi znieważa zaloty,
I śpiewa pieśń tryumfu, a w nadmiar sromoty
Szablą zo krwi francuzkiej jeszcze nie ociekłą
Straszy wieśniaczą działwę . . . , oh, istne to piekło!

(*Po chwili*).

Tak, ów biédak choć z książek nie uczył się wcale,
 Jak dziwnie był wymowny w gorączkowym szale!
 Słowo jego natchnione wnikało w głąb duszy,
 Wskazał mi dom gdzie żywot ubiegł mu pastuszy.
 Na ścianie wisi obraz, zwycięstwo pod Jeną,
 Wiekopomnej pamięci, kupione krwi ceną:
 Niémiec patrzy i bluzga słowa szyderczemi,
 A dziadek, stary wiarus pochylon ku ziemi
 Słucha, włos mu na skroni drży, biały jak mleko,
 I pyta: rychłóż trumny przytłoczy go wieko?
 Rusza zwiędłemi usty, znać modli się z cicha,
 I drząc leje szydercy wino do kielicha!

(*coraz smutniejszym głosem*).

Słowa tego zmarłego wciąż dzwonią boleśnie
 W mém sercu, jego postać widzę niby we śnie.
 Słusznie mówił..., jak powódź zaleli nam sioła!
 I długo pozostaną... bo Francya czyż zdoła
 Wydobyć tyle złota!... ach!... trzeba-ż go tyle!

(*Spogląda w zwierciadło i uśmiecha się*).

Jam doprawdy dziś piękna... Czas jechać za chwilę,
 Śliczny strój... na tym balu nie jedna dziś może
 Pozazdrości mi w duszy!

(*z goryczą*).

Ten bal... o mój Boże!
 Niedawno cel mych pragnień... czemuż bez odrazy
 Myśleć o nim nie mogę... owiana w te gazy,
 Strojna w perły, w rubiny, z utrefioną głową,
 Dumna i piękna wnijdę na salę balową,
 I blask mi dyamenty rozsieją po czole;
 A tam co?... płacz i nęcza!... tam cudze patrole
 Budzą ze snu wieśniaków... tam brzmi jęk niewieści!
 Tam nasz wiarus nieszczęsny gdy go wróg bezcześci
 Odkrywa przed nim głowę z duszą zrozpaczoną.
 Jak mi serce uderza... jak mi lica płoną!
 Nie, ja na bal nie pójdę!

(*Zacisku oczy, potem spogląda ku drzwiom*).

Co widzę? na Boga!

Jego trup, jego widmo stoi tam... u proga!
 Uśmiecha się i pyta... jak drżący, jak błady...
 —Snać po téj strasznej wojnie zatarte już ślady...
 Snać wolne od najazdu nasze wsie i miasta,
 Skoro na bal pośpiesza francuzka niewiasta
 Zdobna w perły, w klejnoty, w ten przystroj uroczy? —

Zatrząśł się i surowo wzrok wlepia mi w oczy,
 Wskazuje z pod całuna swoją pierś rozdartą
 I w myśli niby liczy ile złoto warto,
 Które ja mam na sobie.

(po chwili z postanowieniem)

Wiem jak użyć trzeba
 Tych skarbów . . . w głosie jego słyszę wyrok nieba!
 Precz z czoła te rubiny, te perły, to złoto!
 Dziecięce te bawidła jak mi piersi gniołą!
 Ten sznur przezczystych pereł ileż łez opłaci?
 Wam topazy, szafiry iść w okup za braci.
 O! iluż ich od nędzy i sromu ocali
 Ten pierścień ze szmaragdu, ta brosza z opali;
 Ta gwiazda brylantowa co mi z czoła błyska,
 Niech szczęście do cichego powróci ogniska;
 A ten drogi naszyjnik ocenion tak wiele,
 On dwudziestu rodzinom przywróci wesele!

(W miarę jak mówi, zdejmując klejnoty i składa je w pudełka rozrzucone po stole).

Teraz pójdę na wieczór bez sztucznej ozdoby
 Silna mojem ubóstwem, dumna z méj żałoby.
 O Francyo! jak ty biedna, jak ty krzepka, młoda!
 A gdy mię kto zapyta co znaczy ta moda?
 Odpowiem z dumnym czołem: wamże pytać o to?
 Mój brat zażądał złota . . . i dałam mu złoto!

Teatr Chatelet przedstawia obecnie dramat historyczny w pięciu aktach a ośmiu obrazach p. t.: *Daniel Manin*. Autorem jego jest p. Dardenin, znany już w literaturze dramatycznej z kilku pomniejszych utworów.

Imię Daniela Manina przeszło więc do legendy. Bohater smutnego dramatu odegranego przed dwudziestu pięciu laty w Wenecyi obłożonej przez wojska Radeckiego, bombardowanej przez rok z górą, wystąpił dziś na deskach teatralnych. Nie jest-że to zniewagą podnosić takie imię? przedrzeźniać taką postać? Co ma odżyć w pieśni, winno wprzód zamrzeć w rzeczywistości, wyrzekł Szyller, a wspomnienie Manina tak żywe jeszcze w świecie, a postać jego tak żywo tkwi w sercu rodaków i przyjaciół; a syn jego Jerzy, który jako niedorostek odgrywa mu rolę w sztuce, żyje dotąd w Wenecyi, gdzie tak godnie uprzytomnia pamięć wielkiego ojca! Wprawdzie przeciwko powadze Szyllerowskiej mamy inną powagę naszego wielkiego Adama. Ten śmiało podejmował żywe wzory i przenosił je w świat ideału. Przypomnijmy sobie jak humorystycznie rozbiiera Mickiewicz ten przedmiot, w znanéj rozmowie dwóch literatów:

Pierwszy literat.

I proszę, jak opiewać współczesne wypadki?
Zamiast mythologii są naoczne świadki,
Potem jest to wyraźny, święty przepis sztuki,
Że należy poetom czekać . . . aż . . . aż . . .

Drugi literat.

Póki?

Wieleż lat czekać trzeba aż się przedmiot świeży
Jak figa ucukruje, jak tytoń uleży?

Literat pierwszy.

Nie ma wyraźnych reguł.

Literat drugi.

Ze sto lat.

Literat pierwszy.

To mało!

Literat trzeci.

Tysiąc . . . parę tysięcy!

Adam nie czekał i tworzył arcydzieła. Pan Darmentin nie czekał także, a lubo nie myślimy stawiać go przy Mickiewiczem, przyznajemy, że nie ubliżył bynajmniej pamięci Manina, ukazując na deskach teatralnych, w sposób pełen godności, piękną i sympatyczną jego postać.

Daniel Manin należy do liczby tych wielkich bohaterów starożytnych, przed których pamięcią tysiące pokoleń zgina głowę. Większy on w nieszczęściu i upadku niżli niejeden tryumfator w bluszczowym wieńcu chwaly. Postać jego jak żywo przypomina Galskiego Weroingtorixa, składającego oręż przed Cezarem, i Rolanda pokonanego w wąwozach Roncewalu i tylu innych, których pamięć stała się dla narodów świętym palladium, lubo zwycięstwo nie uwieńczyło ich oręża.

Wielkim był Manin, powtarzamy, wielkim w chwili rozpaczliwych zapasów przeciw potężnej sile, wielkim w chwili upadku i nieszczęścia, kiedy oddawał Wenecję nie mogąc jej obronić. Z miłością też wszystkim lud wenecki oblewał łzami stopy, wsiadającego na statek dyktatora. Żaden głos nie obwinał go o zdradę. Manin popłynął do Francyi, ubogi, otoczony rodziną. Ledwie że postawił stopę na ziemi obcej, utracił żonę, wierną towarzyszkę niedoli. Ostatnie lata przeżył w Paryżu, na jednej z dalekich i ciasnych ulic. Aby zachować niepodległość, dawał po mieście lekoye włoskiego języka. Nieodstępny przyjaciel jego Toffoli, minister rzeszypospolitej weneckiej opowiada, jak czasami na stole dyktatora, nie było nic prócz półmiska grochu szablatego. Niechętnym okiem patrzyła na tę strawę biedna dziatwa,

zwłaszcza córka Emilia trawiona nieuleczoną chorobą. Widząc to Manin, uśmiechał się słodko, zabawiał dzieci, żartował z nich swobodnie, a niekiedy odwracał głowę i ocierał ukradkiem łzy cisnące się gwałtem do powiek!

Nieszczęśliwy ojciec pochował wreszcie ukochaną córkę i w krótkce położył głowę obok niej w grobie Ary-Szeffera, na cmentarzu Pere la Chaise. W kilka lat potem, 22 marca 1868 roku, oswobodzona Wenecya sprowadziła czcigodne zwłoki bohatera swego, i królewski wyprawiła mu pogrzeb. Widzieliśmy sami w kościele Ś-go Marka sarkofag jego zasłany wieńcami nieśmiertelników.

Wenecya nie poprzestaje na tym hołdzie. Oprócz kamiennego pomnika, wzniosła mu świeżo inny równie zaszczytny. Dwaj uczeni włoscy, professor Alberto Errera i Cezare Finzi, wydali wspólne, kilka miesięcy temu ciekawe dzieło p. t. *La vita e i tempi di Daniele Manin*. (Życie i czasy D. Manina). Do tej ważnej publikacji, służyły za źródło nieznane dokumenta, które syn zmarłego Jerzy Manin, złożył w Muzeum Correr na wieczną po ojcu pamiątkę.

Dzieło to ma być wkrótce przetłumaczone na język francuzki. Dotąd we Francyi, życie Manina znane było tylko z broszury p. de la Forge, i z dzieła Henri Martin, związanego niegdyś najściślejszą przyjaźnią z nieśmiertelnym bohaterem Wenecyi.

Jeżeli postać Manina wysoko poetyczna, niemniej też poetyczną piękna Wenecya, czarodziejska królowa Adryatyku. Pasma jej dwódnastowiekowych dziejów, rozwija się dziwnie uroczo i wspaniale, a błędy, a zbrodnie jej nawet, pełne poezyi, bo wielką natchnioną pobudką. Wyobraźmy sobie tę garstkę Padwańczyków, jak uciekając przed Attylą zakładają gniazdo na morzu, budują na palach gród niedostępny, żyją w nim swobodnie i niepodlegli, umiając zarówno uchronić się szponów feudalnego cesarstwa Rzymasko-Germańskiego, jak paszczy zgrzybiałego Byzancyum. Patrzmy jak potężnie rozwija się życie w tej rzeczypospolitej, założonej na wzór demokratycznych społeczeństw greckich. Silniej niż Ateny pod tarczą Pallady, Wenecya rośnie i potężnieje pod chorągwią Ś-go Marka. Ubodzy niedawno wyspiarze, pchani na wschód nieprzepartą siłą, zdobywają całe wybrzeża swęj zatoki, podbijają Cypr i Peleponez, zagłę ich wieją zwycięzko na Bosforze, sam Carogrod chwilowo ulega ich przemocy, Dalmacya uderza im ozołem, drżą przed nimi Sudanowie Kairu. Im silniej potęga Ottomanów zagraża Europie, tém szerzej Lew Wenecki rozwija skrzydła, tém dzielniej osłania chrześcijaństwo. Nie zdoła wprawdzie ocalić Corogrodu, lecz Kretę i Moreę wydziera z mocy Turków, lecz trzyma na wodzy korsarzy afrykańskich.

W ciągu tych wiekowych zapasów, Wenecya rozwija najwspanialszą cywilizację, samodzielną nacechowaną piętnem. Handel jej sprzęga Europę i Azyę. Wzbogacona, obsypana złotem, umie w godny sposób używać swych zdobyczy. Buduje naj-

wspanialsze gmachy, gród swój zamienia w olbrzymie muzeum pełne nieśmiertelnych dzieł pędzla i dłuta. Wszystkie idealne typy z dalekiego sprowadzone świata, przerabia na swą modłę, dostraja do miary własnych pojęć. W świątyniach jej łączą się łuki gotyckie i byzanckie kopuły, ze stylem arabskich minaretów, a połączenie to równie fantastyczne jak harmonijne, świadczy właśnie o twórczej sile jej geniuszu.

Historja Rzeczypospolitej weneckiej równie fantastyczna, równie samoistna jak i arcydzieła jej sztuki: z żadną inną porównać jej nie można. Aby zrozumieć i sprawiedliwie ocenić jej polityczne instytucye, potrzeba wziąć na uwagę jeograficzne położenie, trudności jakie musiała zwalczać, aby odpowiedzieć wielkiemu celowi swego bytu. Bardzo się pomylili ci którzy chcieli sądzić Wenecyą, według miary innych państw europejskich. Lepiej ją zrozumieli nasi mężowie stanu wieku XVI. Kiedy Zborowscy, Górkowie a z nimi nasz historyk Łukasz Górnicki, zdumieni potęgą Wenecyi, radzili zastosować formę jej rządu do Rzeczypospolitej polskiej, Zamojski wyrzekł pamiętne słowa: „Chcielibyście rządów weneckich, lecz nie macie weneckich rozumów”. Nie dowodzi to wcale żeby wielki kanclerz zaprzeczał rozumowi przeciwnikom swoim, udowodnia tylko że każde państwo ma właściwe sobie polityczne instytucye, i rozum odpowiedni tymże instytucyom. Słowa Zamojskiego świadczą że i on dokładnie rzecz znający jako wychowanek padewskiej akademii, podzielał z przeciwnikami cześć dla Rzeczypospolitej Weneckiej, ale rząd jej uważał jedynie jako odpowiedni potrzebom miejscowym. Inaczej ocenili przeszłość Wenecyi, krytycy i poeci wieku XIX, którzy w dziejach jej dostrzegli jedynie pasmo gwałtów, intryg i zbrodni.

Dziś uważamy jednak widoczny zwrot w pojęciach krytyków francuzkich, o państwie Weneckiem. Przytaczamy tu słowa jednego z nich Pawła St. Victor, który umiał postawić się na bezwzględny stanowisku i patrzeć na rzeczy, nie przez pryzmat dzisiejszych wyobrażeń, lecz tak jak się przedstawiały w swoim miejscu i czasie.

„Wewnętrzny rząd Wenecyi, mówi on, równie był mądrym jak polityka jej zuchwałą i płodną. Żaden gród nie był tak spotwarzony w własnym charakterze, przez całe pasmo dziejów, jak to szlachetne i waleczne miasto. Dzieci krzyczą na widok maski; gdyż pod tą maską domyślają się kształtów ohydnych: potwornych. Wenecya tajemnicza i zamaskowana, podobny rzuciła postrach na powieścio-pisarzów i dramaturgów. Nie zrozumieli oni wcale jej rządu łagodnego w gruncie, a groźnego na zewnątrz, nie umieli pojąć jej tajemniczej, a tak umiejętnie uorganizowanej policyi. Nie dopatrzyli bynajmniej, że tajemniczość była jedyną kotwicą zbawienia dla tej Rzeczypospolitej złożonej z dwudziestu różnorodnych ludów, z luźnych osad słabo połączonych, nie spostrzegli że tylko na takiej kotwicy, mógł się utrzymać ów czarodziejski

okręt, rudlem oparty o Lido, przodem sięgający po wyspy archipelagu. Potrzeba było zręcznych wybiegów politycznych, i tradycyi niezłomnych jak religijne dogmata, i woli niewzruszonej, by utrzymać tak sztuczne państwo. Jak owa tajemnicza grota z powieści arabskich, którą otwierało nagle zakłęte słowo, Wenecya dając się poznać, byłaby postradała swój czarodziejski urok. Ztąd to owe dziwaczne urządzenia, owe zawikłane ubiory, ztąd owe hierarchie niewzruszone, i ci dostojnicy podobni do mumii egipskich, głoszących wyroki jakoby z głębi grobowca. Ta Inkwizycya państwa, te Rady Dziesięciu i Czterdziestu, ci *Coregidory* i *Awo-gadory*, były to widma straszne z pozoru, lecz osłaniające opiekuńczo całość Rzeczypospolitej i niepodległość narodową. Groźna ta fantazmagorya pokrywała prawa mądre, rząd poważny i dobroczynny, niedostępny anarchii, ale otwarty dla postępu, a w rzeczach umysłowych najliberalniejszy jaki istniał w Europie.

„Historya Wenecyi, najlepszą jest apoteozą jęj rządu: pod frontonem spartańskim kryje się tu wytworność i bogactwo sztuki ateńskiej. Jakże cudna legenda tego ludu, który walczy jak bohater Aryosta, prowadzi handel jak wódz karawany z Tysiąca i jednęj nocy, który szafuje złotem z księżęcą szczodrobliwością, z fantazyą wielkiego artysty. Jakież obraz przedstawia to miasto, wyrosłe z łona wód, tak kwitnące a tak wspaniałe! azaliż obrazy mistrzów weneckich, strojne zawsze w barwę święteczną, opromienione słońcem, objawiają sztukę zrodzoną pod wpływem terroryzmu i służebnictwa. Azaliż architektura ludu uciśnionego przedstawia się w tak cudnych rzeźbach, w tak wytwornych koronkach kamiennych, jakimi zdobne pałace wielkiego kanału? pyszne portrety pendzla Georgionów, Fintoretów, Tycyanów, przedstawiają i rysy ujarzmionego ludu. Sam nawet dialekt wenecki, lekki i wesoły jak świergotanie ptastwa, zachowałże akcent skargi albo niedoli?

„Zbadano dziś do gruntu, mówi St. Viktor, tajemniczą historya policji weneckiej. Zdobytym zwycięzko kluczem, otworzono te izby *olowianych poddaszy i studzien*, (1) sławne z tego-czesnych dramatów i powieści! I cóż w nich znaleziono? oto kościotrupy kilku spiskowców i zdrajców, targających się na prawa Rzeczypospolitej. Więzienia te podobne do wszystkich ówczesnych więzień, mogły ledwie pomieścić pięćdziesiąt osób. Ta podejrzliwa Rada Dziesięciu stała jak Sfinx na straży skarbów, jak on mileżąca i tajemnicza. Czuwała nad porządkiem, nad życiem i wolnością ludu, broniła go od spisków i uzurpacyi szlachty, jęj gromy były tylko w czoła napiętnowane zdradą. Tak jest, powtarzamy, tajemniczość niezbędna dla rządu weneckiego, stała się powodem rzucanych nań potwarzy. Jęk wybiegający z głębi podziemnych lochów, silniej poruszał niż skargi z po za muru zwyczajnych więzień. Winowajca prowadzon na rusztowanie

(1) *Plombi i pozzi* sławne więzienia weneckie.

przez zamaskowanego kata, stawał się męczennikiem. Były tu niewątpliwie i błędy i nadużycia; nieraz osobista zemsta kryła się pod płaszcz polityki; mimo to rządy Rzeczypospolitej okazały się zbawienne dla niej samej: dzięki im, Wenecya przez długie wieki, wśród odmetu włoskiej anarchii, była oazą niepodległości i pokoju.“

Przytoczyliśmy słowa poważnego krytyka, nie chcąc brać na własną odpowiedzialność zdania, które w obec panujących powszechnie opinii, może wydać się komu za nadto śmiałym. I my dosyć długo bawiliśmy w Wenecyi; znamy nieporównane cuda sztuki jakie w sobie zawiera, i my zatrzymaliśmy się nieraz w tej sławnej sali, na której ścianach pomalowane wizerunki Dożów weneckich, i widzieliśmy wśród nich ową czarną plamę z napisem: Marino Faliero ściętą za popełnioną zbrodnię. Otóż wyznamy szczerze, mimo całego uroku poezji jakim Byron otoczył Falierego, nie widzieliśmy w nim nigdy męczennika, ale raczej pysznego możnowładcę dążącego do najwyższej władzy, z pogwałceniem zasadniczych praw Rzeczypospolitej.

Wenecya jak wiadomo, po zwycięstwie Napoleona I-go, i obaleniu ołwiecznego porządku rzeczy, oddaną została Austrii, mocą traktatu w Campo Formio. Przez lat czterdzieści Wenecya zgadzała się niejako ze swym losem, nie mieszając się do postronnych spisków; ztąd nawet posądzano ją o apatyę i zupełny upadek ducha. Rok 1848, wymowną był odpowiedzią na te zarzuty. Lew S-go Marka zbudził się i rozwinął potężne skrzydła. Austriacy zmuszeni byli ustąpić z lagun. Wówczas rozpoczęła się ta bohaterska walka zrozpaczonego i odciętego miasta, przypominająca zapasy Numancyi i Saragossy. Włochy upadły, Wenecya trwała w oporze, trwała do ostatniego ładunku, do ostatniego kęsu chleba. Wycieńczona głodem, zasypana bombami, zdziesiątkowana cholera; uległa w obec niesłychanie przewyższającej siły.

Wenecya znalazła godnego siebie wodza, znalazła go w Daniele Maninie. Prosty mieszczanin, adwokat, od krutek trybunałskich przeszedł odrazu na stanowisko Dandolów i Morozinich. Stał na czele ruchu i żelazną prowadził go ręką, powściągając dzielnie umysły zbyt skłonne do bezrządu. Kochał gorąco lud, lecz umiał powstrzymać go na wodzy, i obudzić w nim poszanowanie prawa. W mieście tak przywykłym do ostentacyi, zachował niesłychaną prostotę i pociągnął drugich własnym przykładem. „Czasy arystokratycznych Włoch minęły już, powtarzał. Pokażmy dziś Włochy z innej strony.“ Jakkolwiek ubogi, odrzucił jednak wszelkie wynagrodzenie. „Godzi się, mawiał, aby zebrząca ojczyzna (*une patria mendica*) płaciła mi jałmużnę?“ Kiedy zbierano podpisy na kosztą wojny, oddał jedyny klejnot jaki posiadał, tabakierkę srebną: było istny grosz wdowi. Lud też niesłychaną czcią otaczał dyktatora.

Tę wielką chwilę z życia Manina i z dziejów Wenecyi, obrał P. Dardenin za przedmiot do dramatu. Z całą prostotą, wernie

a bez przesady stawia autor przed oczyma widzów obronę sławnego miasta. Wszystko tu szczerą prawdą: wymyślony tylko jedyny epizod, przejmujący i dramatyczny, miłość Emilii dla syna jednego z generałów austriackich. Młodzian pod obcym nazwiskiem oddawna bywał w domu Manina, pokochał jego córkę. Dzień ślubu już zatwierdzony, kiedy Emilia dowiaduje się że jest naręczona Austryjaka. Miłość jej zmienia się nagle w nienawiść; dzielna wenecyjanka wyrzuca z serca uczucia, z ust jej wybiega przekleństwo. Leopold tymczasem wychowany przez matkę Madjarę, wykarmiony jej tradycją a przytém zbratany oddawna z Włochami siłą szczerego współczucia, poświęca się ich sprawie. Podczas oblężenia Emilia znajduje go w szeregach walczących Weneccyan, wraca mu dawną miłość.

W pierwszym akcie strażę zatrzymują Manina w własnym domu i prowadzą go do więzienia. Tyny obraz przedstawia pyszne wybrzeże *Riva dei Schiavoni*. Po jednej stronie widać pałac Dożów, zbudowany z czerwonego i białego marmuru, wsparty na kolumnadzie; z drugiej wspaniałą Bibliotekę, w głębi dwie kolumny: jedna z posągami Ś-go Teodora, druga ze sławnym lwem Weneckim, poniżej przystań gondolierów. Tłumy krążą niespokojne, kwiaciarki rozdają symboliczne bukiety. Wrzawa coraz to bardziej rośnie; Maretti, wierny towarzysz Manina, godzi w uroczysty sposób dwa zacięte stronnictwa gondolierów, Nicolottich i Castelanich: przewodcy ich zamieniają szarfy i poprzysięgają sobie wieczną zgodę. Nadbiega na to Emilia Manin, istna Pythia starożytna; rozpala iskrę w piersi ludu, wskazuje więzienie ojcowskie.

Następny obraz zgodny zupełnie z prawdą historyczną. Manin mąż sprawiedliwy, nie przyjmuje wolności zdobytej gwałtem. Opuszcza dopiero więzienie, gdy mu wręczono wyrok trybunału, który go skazał.

Rzecz postępuje szybko. Manin na czele garstki ludu zdobywa arsenał; lud ogłasza go trybunem i dyktatorem. Wojska austriackie wyparte z miasta, wracają po bitwie Nawarskiej i oblegają Wenecję. Następuje obraz dziwnie piękny. Na pierwszym planie wewnątrz jednego z bastyonów fortu Malaguera. Po za murami na tle zachodzącego słońca rysują się wieże i dzwonnice Wenecyi, odbijające w wodzie. W bastyonie wrzawa, kłótnie i pieśni. Żołnierze chwytają dwóch zdrajców na gorącym uczynku. Raca rzucona przez nich pęka, na ten sygnał ukazują się łodzie; Austriacy podpływają pod fort, przyjęci gradem strzałów odbiegają spłoszeni, ale dowódca fortu padł ugodzony w piersi kulą. Żołnierze obwijają ciało jego sztandarem, który on ocalił od nieślawy.

Nowy akt odbywa się w dziedzińcu, w głębi pałacu Dożów. Rozwarto bramy na oścież, lud Wenecki szuka tu uchrony: miasto ściśnięte ognistą obręczą; oddychać już nie może. Działa grzmiały, bomby przebiegają z pogwizdem; kęsa chleba niema już

w Wenecyi. Ukazuje się Manin blady jak trup, z sercem rozdartem śmiertelną boleścią. Zstępuje z marmurowych schodów pałacu, składa władzę, gotów iść na wygnanie.

Ostatni obraz jest apoteozą, lecz apoteozą pośmiertną: Manin umiera w Paryżu w ubogiej izdebce. Nagle ogarnia scenę czarna chaotyczna noc, lecz chmury rozsuwają się pomału i odkrywają przed okiem konającego wewnątrz bazyliki Ś-go Marka, zrazu niewydatnie, słabo, nakoniec oblane żywem światłem. W blasku bengalskich ogniów rysują się pilastry zwieńczone posągami, i rzeźbione krużganki i anioły z rozpostartemi skrzydły, wykonane pyszną mozaiką na suficie. Przed ołtarzem wznosi się tryumfalny sarkofag, z prochami wygnańca sprowadzonymi do wolnej Wenecyi. Obraz to nieporównanie piękny.

Publiczność paryzka z wielkiem zajęciem patrzy na smutny dramat, stawiający jęj tak żywo przed oczy niedawno przebyte koleje. Oblężenie Wenecyi, te walki po fortach, te bomby świszające nad miastem, ta nędza, ten głód, ta gotowość obrony do ostatniego ładunku i ostatniego kęsa chleba: wszystko to wnika do głębi serc i dobywa łyż z oczu. Poważna krytyka oświadczyła się jednomyślnie za dramatem i przyklasnęła szczerze autorowi, mało dotąd znanemu. Daniel Manin utorował mu drogę i zapewnił mu przyszłość.

Akademia sztuk pięknych urządziła w połowie marca wystawę wszystkich prac pozostałych po najgenialniejszym z francuzkich malarzy, młodym Henryku Regnault, który poległ pod Buzenwallem, na parę dni przed bolesną kapitulacją Paryża. Pisałiśmy już w roku zeszłym o Regnaultcie. Wiadomo że mimo ogromu klęsk jakie przywalały Francję w chwili jego zgonu, kraj przecież cały, wydał głos osobnej boleści, w obec niepowetowanej straty, młodego a wielkiego już mistrza. Jesteśmy właśnie świadkami nowego hołdu jaki Paryż składa jego pamięci. Wystawa obrazów Regnault'a, otwarta na dni dziesięć, takie przyciąga tłumy widzów, że akademia zmuszoną była przedłużyć ją o dni kilkanaście. Rzecz godna uwagi, że w dzisiejszych czasach kiedy zbieracze składek pieniężnych na wykup zajętych prowincyj, korzystają z każdej sposobności aby dojsć prędzej do celu, nie chcieli jednak okładać choćby najmniejszym podatkiem, zwiedzających tę piękną wystawę. Szło głównie o to, aby publiczność nakarmiła się do woli widokiem tych arcydzieł, aby młodzi artyści czerpali w nich twórczą pobudkę.

Powtarzano w roku zeszłym że ważniejsze obrazy Regnault'a przeszły za morze, nabyte do publicznych i prywatnych zbiorów angielskich. Wieść ta zupełnie była mylną. Francya nie dała się ubiedz w tym względzie. Według katalogu który mamy

właśnie przed oczyma, pokazuje się że wszystkie bez wyjątku prace młodego artysty, pozostały drogą puścizną narodu. Jedne z nich posiada akademia sztuk pięknych, inne muzeum Luksemburskie, niektóre przeszły w ręce zamożnych rodzin francuzkich.

Ze czcią i szczerym żalem, przeciskając się w pośród tłumów, oglądaliśmy te obrazy olejne, te akwarelle i rysunki, rozwieszone po ścianach wielkiej sali akademickiej w liczbie dwustu siedmdziesięciu siedmiu. Liczba to bajeczna, gdy pomyślimy że Henryk Regnault skończył ledwie dwódziesiąty siódmy rok życia. Ale też Regnault urodził się artystą, twórczy jego geniusz pracował bezustannie, objawiał się w tysiącznych kształtach, szukał coraz to nowęj formy. Wszystkie rodzaje sztuki spostrzegamy w tych śmiałych rzutach pędzla, ołówka, pióra albo wiszoru: tu uderza w oczy pełna dramatu scena historyczna, lub fantastyczna postać, tam wewnątrz katedry, meczetu lub alkazaru, oddane z archeologiczną ścisłością; tu portret pełen życia, tam biegun rozhlukany w pędzie, tu psy, tam ubita zwierzyna, a tam znów szkice lwów i tygrysów, wewnątrz hiszpańskiej gospody albo chaty wieśniaczej. Niepodobna zliczyć tych drogocennych klejnotów, świadczących wymownie o wszechstronnym geniuszu nieodżałowanego malarza.

Między mnóstwem rysunków, znajdujemy jedenaście szkiców nakreślonych ołówkiem: są to pojedyncze studia do wielkiego obrazu religijnego: *Złożenie Chrystusa do grobu*. Obraz ten olejny w części już wykonany, zniszczony był w Sevres podczas wojny.

Rysunki ułożone chronologicznym porządkiem, zaczynają się od trzech bitew, które jedenastoletni chłopczyk kreślił podczas szkolnego kursu historyi. Kiedy inna dziatwa mozoliła się nad zapamiętaniem dat i faktów, Regnault obrazował zasłyszane słowo i tworzył z niego pełen życia dramat. Pierwsze to próby jakie zachowano, dawniejsze zagięły, a było ich bardzo wiele. Szczególne to dziecko już od trzeciego roku życia darło się do ołówka i papieru. Chorowite, wątle, leżące na dywanie, kreśliło i to lewą ręką wydatne kształty ludzi i zwierząt. Słusznie też utrzymywał że wprzód Regnault umiał rysować niżli mówić. Zwyczaj rysowania lewą ręką, zachował i później, do pisania jednak używał ręki prawej.

Największą dla niego uciechą były przechadzki po ogrodzie Zoologicznym. Za powrotem do domu, odtwarzał z pamięci rozmaite zwierzęta. Ztąd owo mnóstwo lwów i tygrysów, które widzimy pomiędzy szkicami: znać te najsilniej uderzyły dziecięcą wyobraźnię.

Właściwą naukę rysunku rozpoczął dopiero w siedmnastym roku, ojciec żądał koniecznie aby wprzód ukończył nauki w liceum, zaczem się weźmie stanowczo do ołówka lub pędzla. Pierwszym jego mistrzem był malarz Lamothe, później pracował w szkole sztuk pięknych, więcej jednak czerpał z własnego instynktu i natchnienia, niżeli z cudzych formuł.

W zesłoroczném sprawozdaniu naszym o Regnaulcie, określiliśmy tylko cudną jego Salome, tę perłę wystawy 1870 roku, i portret generała Pryma, ozdobę poprzedniej wystawy. Inne utwory zupełnie nam były nieznanne. Wprawdzie dosyć było widzieć dwa powyższe arcydzieła, aby ocenić geniusz artysty o tém co utworzył najznakomitszego, a jednak dziwnie zajmują zebrane razem jego prace, wskazują bowiem drogi jakimi szedł młody mistrz, a raczej powietrzne szlaki po których wzbijał się młody orzeł w nieśmiertelne dziedziny ideału.

Widzimy tu najprzód, wielki obraz konkursowy, podany do Akademii Sztuk Pięknych w r. 1866; jest to grupa złożona z trzech osób: Thetis przynosi Achillesowi orzeł wykuty przez Wulkana. Jakaż tu mężka siła, jaki dramat! Achilles pochylony nad trupem Patroklesa, odwraca oczy ku wchodzącej matce: włos jego najeżony, policzki krwią nabiegłe, w oku szalona rozpacz. Postać Tetydy półboska, kształty jej tylko śmiertelne, koloryt i wyraz oblicza zapowiada niebiankę. Obraz ten zjednał artystę nagrodę konkursową i otworzył mu drogę do francuzkiej akademii w Rzymie.

W rok potem dwódziesięcioletni młodzian przysłał z Rzymu pyszną scenę z Illiady: Automedona poskramiającego konie Achillesowe. Nie wielki to obraz, lecz pełen niesłychanej siły. Dzielne bieguny szarpia się, wichler rozmiata długie ich grzywy, płomień bucha przez oczy i przez nozdrza; Automedon krzepką ręką trzyma obu za uzdy, postać jego spokojna: nie wąpi o zwycięztwie.

Druga przesyłka z Rzymu wprawiła w zdumienie świat artystyczny. Była to cudna Judyta, poprzedniczka sławnej Salome. Młody mistrz otwarza tu starożytny świat assyryjski według biblijnych tradycyji. Holofernes wyciągnięty na lwiej skórze i bogatych kobiercach wschodnich, śpi ciężkim snem, z głową nieco w tył przechyloną. Na pół nagiem ramieniu widać nakłóte bałwochwaleze godła, pociągnięte laurem. Typ oblicza dziki z usty wypukłemi i brodą kędzierzawą, przypomina typy wojowników na płaskorzeźbach niniewskich.

Judyta wchodzi do namiotu, lewą ręką podnosi zasłonę, w prawej opuszczoną niedbale trzyma kindżał przytwierdzony mocno jedwabnym sznurem; postać jej piękna, lecz podobniejsza do widma zaświatowego niż do żywej istoty. Cera trupio biała, straszno odbija obok bujnych kruczonych włosów, zdobnych w szmaragdowe i rubinowe gwiazdy. Szata aksamitna czarna, objęta wschodnim pasem złotolitym, harmonijnie odpowiada rysem i całej postawie. Palce jej rąk a nawet nóg, pokryte pierścieniami; każdy szczegół ubrania obmyślany, snąc bohaterka z Betulii postanowiła ujarzmić wodza assyryjskiego, którego śmiercią ma ocalić lud Izraela.

Judyta odwraca oblicze ze wstrętem, na widok śpiącego staje struchlała, jakby jej stopy wrosły w ziemię. Za nią w cie-

niu, ukazuje się sługa sucha, śniada, wychyla niecierpliwie głowę obwiniętą w żółty turban.

Salome przewyższa jeszcze Judytę jeśli nie bogactwem kompozycyi, to nieporównanym kolorytem, i słonecznym blaskiem rozsianym wśród obrazu. Na widok tego arcydzieła, cały Paryż przyklasnął artyście. Sąd powszechny uznał go pierwszym z malarzy francuzkich. Pomijamy ten utwór jako znany już czytelnikom Biblioteki, a przechodzimy do ostatniego z wielkich dzieł mistrza, jest to obraz wykonany w Tangerze: *Egzekucya bez sądu, pod maurytańskimi królami Grenady*.

Na pierwszym planie widzimy wschody białe marmurowe, prowadzące do sali Abenceragów w sławnej Alhambrze Grenady. Grupa składa się z dwóch osób: z kata i ofiary, a raczej z mordercy i zamordowanego. Obaj przybrani z całym przepychem wschodnim, wyglądają na wodzów arabskich. Morderstwo tylko co spełnione, jeszcze kadłub zda się drgać ostatnim szczątkiem życia; jeszcze ręce wyciągnięte do góry, konwulsyjnie ścisnięte. Głowa potoczyła się o kilka schodów niżej, ale skurozone rysy nie przybrały spokojnego wyrazu śmierci: usta rozwarte szeroko, oczy przewrócone świadczą o strasznej męce konania. Morderca patrzy smutno i pogardliwie na powalonego u stóp swoich delikwenta: połą szaty ociera z krwi jatagan. Spełnił wyrok na zimno, bez gniewu, bez nienawiści, pchany siłą fatalną. Tak kazał prorok, tak napisano w niezbląganą księdze przeznaczenia.

Krew potokiem wytryska z szyi przysłoniętej rękoma wyciągniętymi w górę, purpurowe jej plamy, odbijające na białym marmurze sprawiają wielki efekt.

Trzy akwarelle zadziwiają téż niesłychaném bogactwem kolorytu: przedmioty do nich wzięte ze wschodnich powieści Musseta. Uderza tu szczególniejszą smutną Namonna, hiszpanka branka, przygrywająca na gitarze Hassanowi. Nikt dotąd, jak utrzymują znawcy, nie umiał wydobyć z wodnych farb tak gorących i świetnych tonów. Wszystkie te akwarelle, świadczy napis, są własnością panny Bertou, narzeczonej poległego artysty.

Niepodobna wyliczyć nam rozpoczętych obrazów, ledwie że podłożonych farbami: przedstawiają one powiększłej części wnętrza alkazarów i haremów maurytańskich. Nie jeden z nich wykończony wzbogaciłby kraj nowém arcydziełem godném Judyty lub Salome. Ze ścisniętém sercem publiczność paryzka ogląda tę drogą puściznę po ulubieńcu swoim, ze łzami patrzy na spiżowe popiersie młodego mistrza, pomieszczone w pośrodku galerii. Świeże wieńce zróz i kamelii otaczają co dnia piękny pomnik.

Kiedy to piszemy wystawa już zamknięta, obrazy przeniesiono do sali Drouot i wystawiono na publiczną sprzedaż, oprócz najznakomitszych, które już miały właścicieli. O ile dotąd wiemy obraz przedstawiający *zwierzynę* kupiony za 45,000 franków, mały obrazek architektoniczny, *wnętrze Alhambrzy* za 10,000 fr.

Do najsympatyczniejszych publikacyj, jakie się w tych czasach pojawiły należą *konferencye paryżkie* p. Ernesta Legouvé członka Akademii. Nic w tém dziwnego, bo też autor jest niewątpliwie najsympatyczniejszym z grona czterdziestu nieśmiertelnych.

Pan Legouvé przebywał na wsi w lecie 1870 roku. Na wieść o wojnie pośpieszył do stolicy; pragnął dzielić z paryżanami spodziewane tryumfy, niestety! podzielił z niemi niespodziewane klęski i niedolę. Obecność jego w dniach oblężenia była dla Paryża prawdziwem błogosławieństwem. Uczony równie jak wymowny mąż, w chwilach najboleśniejszych, znajdował zawsze w sercu słowo ukojenia i pociechy. Nie mając chleba aby nakarmić głodnych, karmił przynajmniej tych, którzy łaknęli duchowego zasilku: przynosił im szczerze strawę moralną. Posłuchajmy co mówi sam w jednej z tych pięknych konferencyj.

„Jakżebym pragnął w mojem pokloisiu zebrać wszystkie ziarenka, wszystkie źdźbła nadziei, związać je w snopek aby nakarmić biedną chorą. Tém to pożyteczniej, że karmiąc duszę, karmimy zarazem i ciało. Energia moralna, wybory to kordy! Chudy obiad z mężkiem spożyty sercem, starczy nam częstokroć za ucztę. Kiedy nie znajdziecie już nic więcej tylko suchy kawałek chleba, połóżcie nań trochę odwagi, a pokrzepi was dzielnie. Zuoicie cud rozmnożenia chleba, zapisany w Nowym Testamencie. Owóz ten cud powtórzyć się może dla człowieka, który ma poczucie obowiązku — wiary. Człowiek ten nakarmi tłumy częścią duszy własnej i tłumy odejdą zasilone. Czerpamy więc obficie w dwóch ożywczych źródłach, w ufności i nadziei; a ponieważ dzięki Bogu nie potrzebujemy odtąd dzielić się ostatniemi zasobami żywności, podzielmy się zasobami serca!“

Słowa Legouvégo coraz to gorętsze w miarę klęsk walących się na Francją, przyczyniły się nie mało do podtrzymania téj zadziwiającej energii, jaką okazywał Paryż w dniach ciężkich prób, trawiony głodem, zasypany bombami.

Po strasznym kataklizmie, w obec tlejących jeszcze zgliszczy spalonego miasta, Legouvé podniósł się do najwyższego szczytu wymowy. Konferencya o *strzaskanych szczątkach rozbitego okrętu* (sur les espaves du naufrage), należy do najpiękniejszych.

„Obliczmy, mówi on, nie straty nasze lecz to co nam jeszcze pozostało. Lud może być pokonanym, zrujnowanym, a przecież nie skazanym na wiekiwiste zatracenie. Zwaliska podźwigną się, rany zagoją, pieniądze wypłacą, odcięte nawet członki odrosną kiedyś, bo ta jest różnica między jednostką a narodem, że kiedy jednostka utraci rękę, na zawsze ją utraci, członki zaś narodu aczkolwiek odcięte odrastają. Wprzód więc zaczęliśmy skazemy lud jakiś na ztratę, przyłożmy mu rękę do serca i zobaczymy ażali jeszcze bije. Idźmy więc śmiało w pośród gruzów, pod zgorzeliškami miast, badajmy gdzie dusza Francji; zobaczymy w co ją obróciły jedenasto-miesięczne klęski, zobaczymy ile pozostało jéj

siły moralnej, ile krzepkich cnót, ile niezłomnych zasad. Oto są deski strzaskanego okrętu, oto żywioły z których się odradza wielki naród!"

Oprócz tych konferencyj, nowa książka Legouvego obejmuje rozprawy krytyczne i moralne, sprawozdania z literatury dramatycznej, uwagi o wychowaniu, o stanowisku kobiety w społeczeństwie, szkice bibliograficzne i t. p. Każdy ustęp ogrzany ciepłem uczucia, opromieniony poezją; słowa żyją, ruszają się, wnioskują do serca, bo z serca wypłynęły. Między innymi czytamy tu mowę akademicką na cześć Ancellota, po którym Legouve objął krzesło. Ancellot, jak wiadomo autor dramatyczny pisał najwięcej w kollaboracyi z drugimi. Cóż tu powiedzieć o pisarzu tak mało samodzielnym, że nie umiał stać o własnych siłach. Każdy inny akademik najeżyłby urzędowe pochwały tysiącem żądań i spileczek. Legouve inaczej postąpił. Wrodzona dobroć nie pozwoliła mu zabawić słuchaczy cudzym kosztem, znalazł więc wyborny sofizmat i poświęcając miłość własną, podniósł zasługę poprzednika.

„Pisarz jeden, mowi on, nie wymieniam go, sami bowiem zgadnicie jego imię, pragnąc otrzymać zaszczytne miejsce w waszém gronie, postanowił o własnych siłach napisać tragedya wierszem. Nie żałował ani czasu ani mozołu, a kiedy po dwóch latach pracy ukonczył swoje dzieło, poddał je pod wyrok odpowiednich sędziów, znanych wam w wielkiej części. Sędziowie ci nie sypali mu próżnych pochwał, ale co ważniejsza udzielili mu zdrowej rady. Jeden wskazał mu jak uwydatnić postać bohatera (tym bohaterem był Jazon), drugi zwrócił uwagę na błąd w układzie rzeczy; trzeci doradzał jak rozwinąć zaniedbany szczegół, słowem każdy podał mu jakąś nową myśl, lub skrytykował jakąś wadę. Autor przyjął ich uwagi, spożytkował je wszystkie i koniec końcem, wyznaje to z całą szczerością, nigdy nie miałem tylu kollaboratorów jak w mojej Medei, choć niby to sam ją napisałem. Bo zaprawdę, panowie, wszystko w życiu jest wspólną pracą. Ty się przechwalasz biedny artysto, swoją powieścią lub dramatem! ależ ta postać stworzona przez ciebie, czémże jest? oto wspomnieniem z lat dziecięcych! To słowo przejmujące do głębi duszy, zdjąłeś je żywcem z ust przyjaciela, ten wzniósłszy czyn ofiary, obsypany oklaskami, jako połysk twórczego geniuszu: wydobyłeś go z serca matki twojej. Odłóż więc na bok pychę i powtórz słowa Marka Aureliusza: „Nie nie jest naszym całkowicie, ani w zasługach ani w pracy naszej: ci których kochamy współdziałają z nami we wszystkim.”

Te wyrazy pięknie malują szlachetny umysł akademika. Nie dziwić się że dzieło Legouvego znalazło w Paryżu równy po-klask, jaki wywołują zwykle jego akademickie rozprawy i konferenye.

Czasy dzisiejsze prawdziwem są żniwem dla archeologów. Ziemia wyrzuca z łona swego, coraz to nowe, od wieków ukryte w niem skarby. Przemysł dzielnie wspiera naukę. Ileżto przy kopaniu kanału Suezkiego wynaleziono starożytnych pomników cywilizacyi egipskiej? W zeszłej korespondencyi wspomnieliśmy o ważnych odkryciach Mariette-Beya, dziś powiemy słowo o świeżej a równie ważnej zdobyczy naukowej, archeologa angielskiego p. Wood. Odkrył on wśród gruzów starożytnego Efezu szczątki sławnej świątyni Dyanny, policzonej do siedmiu cudów świata.

Od roku 1863, Wood zajmował się z godną uczonego wytrwałością, poszukiwaniem miejsca, gdzie według tradycyi zbudowany był ten odwieczny pomnik. W ciągu roku zeszłego, wsparty przez *British Museum*, prowadził na wielką skalę prace archeologiczne; jakoż z początkiem zimy dokopał się drogocennych zwalisk.

Sławna świątynia Dyanny, zniszczona w wielkiej części przez trzęsienie ziemi, złupioną była przez Gotów w III-cim wieku ery chrześcijańskiej. Płyty z niej marmurowe służyły architektom greckim do zbudowania na zgłiszczach Efezu, miasta Bizantyjskiego, za panowania Justyniana.

Zaniedbane szczątki murów, znikły pomału z powierzchni ziemi. Piaszczyste zasy napędzane wiatrem, pokrywając je coraz to wyżej, utworzyły na nich wzgórek wysoki na 22 stopy. Pod owemto wzgórzem, starożytnik angielski znalazł mnóstwo podruzgotanych marmurów, w stanie w jakim zostawili je barbarzyńcy.

Rozmiary świątyni zadziwiają ogromem, przechodziła ona o wiele świątynię Jowisza Olimpijskiego w Atenach, i wszystkie znane pomniki architektury greckiej.

Z brył marmurowych jakie dotąd zostały, p. Wood mógł obliczyć rozmiary sławnych kolumn: średnica ich wynosi do sześciu stóp. Największa z tych brył stanowiła podstawę (tambour) owych sławnych kolumn, o których mówi Pliniusz *coelatae columnae*, z rzeźbionemi głowami. Było takich trzydzieści sześć w świątyni.

Równie śmiałego pomysłu nie przedstawiała znana architektura grecka. Płaskorzeźba na tej podstawie wyobraza grupy bogów, między temi można tylko rozpoznać Merkurego, są także wśród nich szczątki postaci niewieści. Na odłamie wielkiego pilastru rzeźba wyobraza Herkulesa walczącego z udrapowaną kobietą.

Rzeźby te nadzwyczaj są efektowe, ale brak im tego wdzięku delikatnego, jaki mają brzozy Parthenonu. Pod względem zaś potęgi dramatycznej, nie mogą iść na równi z fryzami sławnego Mauzoleum. Wykonanie w nich cokolwiek zaniedbaue i nie wierne, przedstawia charakter z epoki macedońskiej. Pracowano wtedy z pośpiechem, aby zadowolić pychę królów. Widać tu wyraźnie wpływ wschodniego smaku. Ogromem rozmiarów usiłowano zastąpić idealną piękność formy.

Architektura świątyni Dyanny należy do porzątku Jońskie-go. Odkrycie to nadzwyczaj ważne dla nauki, stawia bowiem przed oczyma, nieznaną zwrot w historii architektury greckiej. Myśl zresztą sama, że Ś. ty Paweł widział te kolumny, że z pomiędzy nich przemawiał do Efezów, nadaje tym szczątkom niesłychanie ważne znaczenie.

Statek angielski Kaledonia, wysłany do Smirny, zabiera cenniejsze marmury, które wzbogacą wkrótce sławne British Muzeum.

Świat archeologiczny niemniej dziś zajęty inną równie ważnym odkryciem. W bliskości Nicei, na pograniczu Sabaudyi i Włoch, starożytnik francuzki p. Rivere, znalazł szkielet człowieka z plemienia Troglodytów.

Odkryto go w jaskini, u stóp góry zwaną Baoussé-Roussé, (skała czerwona), o trzy kilometry na wschód Mantony, na terytorium włoskiem. Morze Śródziemne oblewa podnóże tej góry, wysokią na pięćdziesiąt metrów.

Szkielet Troglodyty leżał na piasku, w postawie spiącego człowieka, obróconego na lewy bok, nogi miał skulone, ręce założone nakrzyż. Wszystkie części ciała zachowały się wybornie, głowa wygląda jakby skamieniała, napuszczona była jak widać jakimś płynem brunatnym, cała tatuowana, opasana dwoma rzędamy nawleczonych na sznurek kamyczków i muszelek. Wkoło szkieletu rozrzucone kościane strzały, nożyki, siekierki kamienne, i szczątki kości sarnich.

Plemię Troglodytów należy do epoki kamienną, ci ludzie mieszkali po jaskiniach. Nazwisko ich składa się z dwóch wyrazów greckich: *trogles* znaczy jaskinia, *duo, dunw*, znaczy przebywanie pod czem, lub w głębi jakiegoś przedmiotu.

Starożytni znajdowali Troglodytów w Egipcie, nad zatoką Arabską, w Palestynie, na dalekim Wschodzie i w Scytyi, później odkryto ich na sycylijskich brzegach. Najlepiej znani ci którzy mieszkali wzdłuż zatoki Arabskiej i morza Czarnego. Pierwszy wspomina o nich Strabon. Później Ptolemeusz zowie brzeg zatoki Arabskiej i Awaliickiej wybrzeżem Troglodyckim. Według tych kronikarzy, Troglodytowie zajmowali się chowem bydła, mieli nad sobą po kilku wodzów razem. Żony ich i dzieci były wspólne, wodzowie tylko osobne składali rodziny. Żywili się w ogólności mięsem zwierząt ssących, gadów i t. p. Biodra opasywali skórą.

Niektórzy w szczególny sposób grzebali umarłych: głowę trupa przywiązywali do nóg, tak skulonego zanosili z wrzawą i śmiechem na pagórek, poczem każdy z obecnych rzucał nań po kamieniu dopóki całkiem nie zasypano ciała.

Świeżo odkryty szkielet, wkrótce będzie przysyłany do muzeum paryzkiego; dziś zdejmują z niego fotografie. Uczeni i ciekawi tłumem zdążają na miejsce, aby przypatrzeć się temu osobliwemu zjawisku.

Biblioteka Narodowa Paryzka wzbogaciła w tych czasach zbiory swoje materiałem historycznym wielkiego znaczenia. Są niemi listy pani de Maintenon żony Ludwika XIVgo, w liczbie stu i jeden. Znaleziono je w mieście Crony sur Ourcq, na poddaszu, w domu notaryusza, wśród stosu powyrzucanych papierów.

Te listy pisane wszystkie do pani Brinon przełożonej domu wychowania w St. Cyr, przyjaciółki od serca pani de Maintenon. Znano z pomiędzy nich kilka, przepisanych przez sekretarkę pannę d'Anmale: te wydał niedawno p. Lavelle. Większa część całkiem dotąd nieznaną, rzuci nowe światło tak na życie pani de Maintenon, jak na dwór Ludwika XIV-go, i dzieje tej ważnej epoki.

Stosunek Włoch do Francji objawia się dziś w nadzwyczaj sprzeczny sposób: mówimy tu o stosunku duchowym dwóch sąsiadnich a spowinowacanych z sobą narodów, nie wchodząc bynajmniej na stanowisko polityczne. Podczas kiedy niektóre pisma i przeglądy florenckie, traktują Francję z dziwnym lekceważeniem, podczas kiedy publicyści rzucają złośliwe pamflety w oczy pokonanym, jak ów senator włoski Giovanni Siotto, broszurą *Fouri Francia!* precz z Francją! podczas gdy jedne uderzają czołem w obec zwyciężkiej siły: inni tymczasem, okazują wprost przeciwną dążność, świadczącą o wyższych uczuciach włoskiego narodu.

Z przyjemnością zapisujemy piękny objaw owych szlachejnych uczuć, do którego dała pochop kobieta, pani Peruzzi, małżonka jednego z wysokich dostojników florenckich. Na wieść o składkach zbieranych przez towarzystwo francuzkich kobiet, na wykup zajętych prowincyj, włoskie panie, pod kierunkiem pani Peruzzi, urządziły przedstawienie w teatrze, na które pospieszyła cała florencka arystokracja. P. Fenzi syn jednego z senatorów, odczytał piękny wiersz własnego utworu, pełen gorących uczuć dla Francji: publiczność obsypała go oklaskami. Zapisujemy ten fakt w kronice naszej, jako charakteryzujący nowy kierunek umysłów.

Liczne konferencye w Paryżu przyciągają mnóstwo słuchaczy. Do najciekawszych jakie słyszeliśmy należy konferencya p. Etex architekta, w Akademii Sztuk Pięknych. Gdyby nie tyle innych dowodów, już sama konferencya odparłaby wymownie

zarzut powszechnego materyalizmowania, rzucany lekkomyślnie w oczy Francyi. Przebiegając z filozoficznego stanowiska trzy rodzaje sztuki: architekturę, rzeźbę, malarstwo, prelegent określił sztukę w Egipcie i starożytnej Grecyi, podniósł wiek Peryklesa; ale prawdziwy tryumf arcyzmu, widzi on dopiero w rozwiniętej idei chrześcijańskiej, w zapanowaniu ducha nad materją. Mówi o miłości w najczystszej znaczeniu tego słowa, o nieprzebranym źródle piękna i prawdy, o religijnej wierze, jako głównym ognisku twórczych natchnień: za przykład stawia arcydzieła Rafała i Michała Anioła.

Towarzystwa naukowe z departamentów Francyi, przysłały do Paryża delegowanych, aby według ustawy, zdać sprawę z wykonanych prac w ciągu roku. Tymrazem sprawozdanie obejmowało dwa lata, wskutek przerwy spowodowanej wojną. Byliśmy na publicznym posiedzeniu w Sorbonie, gdzie rozdawano nagrody zasłużonym członkom tychże towarzystw; p. Blachard, członek instytutu z wydziału nauk, obliczył prace wykonane w ciągu dwóch lat po za obrębem Paryża. Do najważniejszych nabytków naukowych, należy zadziwiający postęp w meteorologii, postęp, który według wniosku uczonych, pozwoli wkrótce odkryć powszechne prawa tej nauki, a przez to samo przyniesie nie obliczone korzyści dla rolnictwa.

Do skarbuicy wiedzy powszechniej, specjaliści przynieśli nowe plony z różnych gałęzi nauk przyrodzonych: chemii, botaniki, paleontologii i t. p. Jeden ze złotych medalów przyznano p. Grandidier, za naukowe zbadanie Madagaskaru. Dzieło nad którym pracuje uczony, obejmie piętnaście tomów i pięćset tablic.

Ożywił nadzwyczaj posiedzenie p. Jansson, sprawozdaniem z ostatniego zaćmienia słońca. Już sama osobistość uczonego, nadawała szczególny urok jego słowu; wiadomo bowiem że p. Jansson wyleciał balonem z oblężonego Paryża w końcu listopada 1870 roku, aby zbadać zaćmienie widzialne w Indyi w dniu 12 grudnia. Wiedząc z pism o tej nadzwyczajnej wyprawie, wyobrażaliśmy sobie w panu Jansson rzutkiego i śmiałego młodzieńca; jakże zdziwił nas widok siwych jego włosów i długiej białej brody, ale wiek nie ostudził w nim jak widać młodzieńczego zapału. Spostrzeżenia jego nad słońcem, uważane są powszechnie za nadzwyczaj ważne dla nauki.

Jakby na domiar klęsk, śmierć wydziera Francyi najznakomitszych pracowników na każdym polu. W zeszłym miesiącu umarł w Szwajcaryi uczony ksiądz Gratry, professor teologii w Sorbonie, członek akademii Francuzkiej, autor wielu dzieł filozoficzno-chrześcijańskich, mianowicie kursu filozofii w sześciu tomach.

Złożony chorobą ksiądz Gratry przepędził zimę w Montreux nad Lemanem. Na kilka dni przed śmiercią dowiedział się o zawiązanem towarzystwie kobiet francuzkich, w celu zbierania składek na wykup zajętych prowincyj. Wiadomość ta napełniła radością jego serce. Nakreślił z tego powodu kilka słów ołówkiem do księdza Perault. „Umieram spokojny — pisze on — bo duch ofiary żywy w sercach, daje mi rękojmię rychłego odrodzenia Francyi”.

Wielką też stratę poniósł kraj przez śmierć Augustyna Cochin, sławnego filantropa i ekonomisty, członka akademii nauk społecznych. Ścisła przyjaźń łączyła go od młodu z Montalembertem. O pracach literackich pana Cochin powiemy obszerniej w jednej z następnych kronik.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Kodex dyplomatyczny Wielicki. Wydany z polecenia hr. Ag. Góluhowskiego staraniem i nakładem redakcyi Gazety Lwowskiej. — Lwów, 1872 roku.

Po dość długiej przerwie ruch w wydawnictwie dyplomatów znów się ożywia. Kodeksa się mnożą, wychodzą na świat nowe źródła do dziejów ojczystych. Liczbę niedawno wydanych w Krakowie i Lwowie Zbiorów powiększa obecnie świeżo wyszły kodeks miasta Wieliczki, który obejmuje w przedziale czasu od 1290—1765 roku 82 dyplomata, z tych 22 najdawniejsze są przedstawione w podobiznach. Zbiór dyplomatów do dziejów jednego, oddzielnego miasta jest niemal nowością w naszej literaturze, gdyż wszystkie poprzednie kodeksa dotyczą albo całej prowincyi, jednej panującej osoby albo instytucyi świeckiej lub duchownej, kościoła, lub klasztoru. Mamy zaledwie przywileje kilku miast: Wilna, Kalisza, Wschowy w jedną całość zgromadzone, gdy tymczasem archiwa kilkudziesięciu co najmniej miast mogłyby dostarczyć nie mało materyału dla tyluż kodeksów. Również sporą wiązkę przywilejów i dokumentów jak do dziejów Wieliczki, dałoby się zebrać dla skreślenia historyi nawet mniej ważnych, mniej głośniejszych miast. Z tych pojedynczych części

złożyłaby się z czasem pełniejsza całość, co by nam dała rozległy a wier-ny obraz miejskiego rządu, zwyczajów prawnych, przemysłu i handlu, który się głównie rozwijał w miastach.

Jednym z najobfitszych, jak wiadomo, źródłem przemysłu w dawniej Polsce były kopalnie soli w Bochni i Wieliczce. Ztąd nie małą przywiązywaćby należało wagę do zbioru dyplomatów i dokumentów, co by nam odślaniały na wiarogodnych świadectwach opartą historią miasta, które około żup solnych osadzone było i którego mieszkańcy wydobywaniem i rozwożeniem soli się trudnili. Taki zbiór zupełny, dokładny, jużby mógł służyć za podstawę do nakreślenia dziejów miasta i przemysłu, który się w niem rozwijał. Tymczasem takiego zbioru nie posiadamy, bo u Łabęckiego tylko nieskończenie drobna część tego materiału się znajduje. Kodeks Wielicki nowo wydany daje jak do dziejów żup solnych, tak też i samego miasta znacznie więcej, ale niestety nie przedstawia wyczerpującej całości.

Wielce żałować wypada, że przy kosztownem wydaniu i moli-wołnej pracy nie postarano się o uzupełnienie Wielickiego zbioru. Ze szczupłej co do treści przedmowy nie jesteśmy w stanie się do-wiedzieć, czy wydane zostały wszystkie dyplomata i akta, czy też tylko ważniejsze. O liczebnem bogactwie miejskiego archiwum nie ma żadnej wzmianki. Przypuszczamy więc, że skoro w przedmowie nie wspomniano o wyborze przy drukowaniu dyplomatów, wydano wszystkie, jakie się na miejscu znalazły. Tymczasem nie wiele by-łoby kosztowało zachodu znacznie powiększyć objętość kodeksu i tym sposobem zebrać w pełniejszą całość wszystko, cokolwiek stanowi ważny przyczynek do dziejów Wieliczki. Ku temu mogłyby posłu-żyć dwa źródła.

1) W Bibliotece warszawskiego Uniwersytetu znajduje się w rękopiśmie zbiór przywilejów Wielickich pod n.: *Privilegiorum ci-vilium copiae ob celeritate inventionis in eundem librum insertae cura ac industria consulum residentium et caet. . . .* sporządzony z polecenia rajców miasta Wieliczki w roku 1552, na podstawie odpisów z oryginałów. Odpisy są dokonane z wielką dokładnością i starannością przez pisarza, który biegle czytał dawniejsze pismo.

Jest to wiarogodna kopia urzędowa, z której można korzystać bez obawy, gdyż przekonaliśmy się przy porównaniu z podobiznami (w wydanym kod. dypl. Wiel.), iż wszędzie trafnie rozwiązano są skrócenia. Zbiór ten jest dość znaczny, obejmuje zapewne wszyst-kie dyplomata, jakie się naówczas w XVI wieku znajdowały w miej-skiem archiwum, a z których następnie pewna część zaginęła. Dru-ga część nosi tytuł: *Farago omnium privilegiorum, mandatorum etc. in hunc librum descriptorum, 1624 r.*, w której się mieszczą doku-menta z XVI i XVII wieku, w końcu dołączone są kopie sporzą-dzone w XVIII wieku. Ten obszerny urzędowy kopiaryusz byłby mógł znacznie powiększyć dyplomatyczny kodeks Wieliczki. Zna-chodzą się w nim ważne nadania z XIV wieku, między innymi Kazi-merza Wielkiego:

- z roku 1334. Uwolnienie mieszczan W. od cła w Skawinie;
 „ 1361. Nadanie miastu prawa Magdeburgskiego;
 „ 1363. Pozwolenie założenia szpitala w Wieliczce.

Elżbiety królowej z roku 1372 uwolnienie od cła, następnie z tegoż wieku liczne akta sprzedaży prywatnych i różnych tranzakcyj z roku 1372, 1373, 1375, 1376, 1379 i t. d., co wszystko razem wzięte cenny stanowi materiał zwłaszcza dla XIV wieku tak ubogo przez dyplomata reprezentowanego we wszystkich naszych zbiorach. Nie mówimy już o dyplomatach i dokumentach z późniejszych wieków, które się mieszczą w przytoczonym wyżej kopiaryuszu w pierwszej jego i drugiej części.

2) Nierównież ważniejszym źródłem jest Metryka koronna, do której wypadało wydawcy się udać, żeby uzupełnić kodeks dyplomatyczny Wieliczki. Byłoby najwłaściwszem, żeby miasto, wydając swój kodeks, wcieliło doń wszystko, co z dziejami jego bezpośrednio się wiąże. W takim kodeksie jako w najodpowiedniejszym miejscu mogłyby się pomieścić te liczne źródła, te nadania, przywileje, ustawy miejskie, rozporządzenia, oblatowane w kancelaryi królewskiej i do Metryki wciągnięte. Zapewniamy wydawcę, że przynajmniej o 150 numerów mógłby być swój Zbiór powiększyć wypisami z Metryki koronnej.

Pomińmy jednak to, co zaniedbanem zostało, a co z niewielkim zachodem mógłoby być uzupełnionem. Zwrócimy się raczej do ocenienia strony wydawniczej kodeksu.

Wszystkie niemal dyplomata przedrukowane zostały z oryginałów, wydawca więc miał do zwalczenia tylko dwie trudności: odczytać tekst wiernie, rozwiązać trafnie skrócenia. Jedno i drugie dopełnione zostało z wielką dokładnością i biegłością. Nie spotykamy tu tych rażących błędów, jakie się w Kodeksie Tynieckim znajdują. Kilka omyłek zaliczyć wypada na karb drukarskiej nieuwagi, które wszakże łatwo czytelnik spostrzeże i usunie (np. *presentium a date zam. data str. 6, w. 21a, transsimere zam. transsumere str. 19, w. 4a, r. 1336, Babtiste zam. Baptiste, w. 38c, str. 21 i kilka innych*). Co do skrótów, to rozwiązanie ich jest zdaniem naszym niekiedy błędne. I tak na str. 4, w 11c, ze skróconego wyrazu *sniandi*, autor zrobił *sinuandi*, co wcale nie przypada do znaczenia całego zdania i gdzie właściwój być powinno *sententiandi*. Ten wyraz *sententia*, *sententiandi* zawsze się skraca w sposobie, w jakim jest w dyplomacie (zobacz podobiznę):

snia = *sententia*, *sna tr* = *sententialiter*,
sniandi = *sententiandi*.

Zresztą już formuła zwykle w orzeczeniach tego rodzaju używana. powinna była wydawcę naprowadzić na trafną drogę. (*Ple nam et omnimodam damus facultatem sententiandi, iudicandi, puniendi et condemnandi i t. d.*).

Wątpliwem jest, zdaje nam się, w dypl. str. 19, r. 1336 w. 6c., czy trafnie przeczytano Nicolao Gallico... cive Cracoviensi atque *Jamensi*. Wydawca zrobił Jamiensi i przetłumaczył obywatel z miasta Amiens. Dlaczego Amiens nazwano w dyplomacie Jamiensi? Tymczasem możnaby, sądząc z podobizny, czytać właściwie Januensi, co znaczyłoby obywatel Genueński, gdyż Genuę nazywano po łacinie w wiekach średnich obok Genua także Janua.

Jeżeli te drobne usterki rzadko napotykanne świadczą o dokładności w odczytaniu tekstu oryginalnego, to w innym względzie żadnego nie przyłożono starania, żeby tekst podać czytelnikowi w formie oczyszczonej. I tak, dziwny tu widzimy sposób rozwiązywania skrótów: wszystkie są ujęte w nawiasy, z kądem powstaje w tekście nie wyrazistość i pstrocizna nużąca oko, w jednym wyrazie sześć nawiasów np. pl(ur)ib(us)q(ne), w jednym wierszu niekiedy 12 lub 14. Rozumiemy chęci wydawcy, chciał zostawić ślady pierwotnego wzoru i odznaczyć to, co sam dodał, rozwiązując skrócenia. Ale ta skrupulatność za daleko posunięta. Jestto rzeczą wydawcy posiadać biegłość w objaśnieniu abrewiatur, a żadnej odpowiedzialności nie weźmie na siebie, jeśli skrócony wyraz np. atq. objaśni przez atque bez żadnych nawiasów i t. d. Tymczasem te ciągle znaki i haczyki odejmują pismu przejrzystość.

Co do pisowni i znaków przestankowych trzymano się także ściśle pierwotnych, ztąd nowa powstaje pstrocizna. W tym względzie podzielimy zdanie i rady wypowiedziane przez uczonego krytyka R. H., z powodu Kodeksu Tynieckiego w kwietniowym zeszycie Bibl. Warsz. Stała jednostajna pisownia i interpunkcja racjonalna nie zwracająca uwagi na znaki pisarskie w oryginałach, są niezbędne. Ale nawet i w tem wiernem trzymaniu się pierwotnego dostrzegać się dają ze strony wydawcy dowolność. I tak dwugłoski, ae., oo, nie są zupełnie używane w pisowni łacińskiej dyplomatów aż do XVI wieku, wydawca zaś używa ich w nawiasach w dyplomatach odnoszących się do poprzednich wieków. I tak w jednym i tym samym dokumencie praesens pisze się według oryginału przez e, w innym razie wydawca stawia w nawiasach w skróconym wyrazie ae np. p(rae)sens.

Brak numeracji dyplomatów jest także ważnym niedostatkiem, przez co się utrudnia przytaczanie i powoływanie się na takowe; tak np. na str. 13 są dwa dyplomata z tego samego roku 1393. Czém odróżnić jeden od drugiego? Nadto wydawca nie zadał sobie trudu przytoczyć w nagłówku miejsca wydania dyplomatu i zamieścić datę kościelnego kalendarza na datę cywilnego. Są to formy i obowiązki, którym zadość uczynić należy do wydawcy, i od przyjętych raz zasad, stosowanych w zagranicznych literaturach nie należałoby odstępować.

Wiadomo, jak ważną jest rzeczą rejestr imion, nazwisk miejscowości, brak którego najlepiej mógł poczuć ten, komu wypadło np. dla odszukania nazwiska tej lud innej osoby przejrzeć od deski do deski 9 tomów Tomicyanów. Kodeks Wielicki wprawdzie pomieścił

pod koniec rejestr, ale wszystko połączył w jeden systemat nazwiska osób, miejscowości i rzeczy godniejsze uwagi. Nie jest to jednak właściwy sposób układania rejestru, który ma na celu nieraz ułatwić poszukiwanie dla tego, co nie ma czasu przeglądać wszystkich dyptomatów. Rejestra powinny być, o ile można szczegółowe i dokładne.

Po tylu zarzutach niech nam wolno będzie w końcu wytoczyć jeszcze jeden, dłaczego wydawca tylko początkowe dyplomata opatrzył przypiskami i uwagami krytycznymi lub wyjaśniającymi, przy następnych zaś już zaniechał tej pracy, która podwójnie dla czytelnika przedstawia trudności.

Za litografowane podobizny w tak znacznej liczbie, jak się rzadko nawet spotyka w dodatkach do kodeksów, należy się wydawcy zupełne uznanie i wdzięczność, jako za ważny przyczynek do naszej paleografii.

A. P.

Odpowiedź Panu W. K. na uwagi nad moją Meteorologią.

W Bibliotece Warszawskiej z 1872 r. T. I Zesz. 2 str. 483 — 490, pan W. K. podał krótką, jak powiada wzmiankę, o mojej Meteorologii, czyniąc przytem zarzuty z wielką rzeczy znajomością i biegłością, dla których szacunkiem przejęty pospieszam z odpowiedzią, którą postaram się uczynić jeszcze treściwszą. Kto chleb powszedni zbiera nie na polu nauki, a jednak nie ma odwagi wyrzec się niewdzięcznej na nię pracy, temu lakonizm każdy wybaczy, a uchylonie szermierki osobistej należycie oceni. A więc do rzeczy:

Wartość (g) ciężaru powietrza pod szerokością geograficzną 45°, jakoby opuszczoną na str. 44, znajdzie czytelnik na teźże str. podaną 1,292734 gram.

Ze para jest czystym połączeniem wody z ciepłikiem, jak to na str. 129—130 wypowiedziałem, zgadza się to zupełnie z doświadczeniami, z poglądem celniejszych meteorologów i nie staje bynajmniej w sprzeczności z *Teoryą mechaniczną ciepła Clausius'a*.

Na str. 175—6 omyłka rzeczywista, za której wykrycie wdzięczny jestem szanownemu recenzentowi. Wprowadzając atoli, jak pan W. K. czyni, $g = 32,17$ stóp ang. zamiast $g = 30,2$ stóp paryż. wypadki pozostają te same. Jakim sposobem omyłka ta się wcisnęła wytłumaczyć nie umiem; zapewnić tylko mogę, że przykłady przezemnie podane nie są żadnym odpisem, jak wnosi szanowny recenzent, a co jest zresztą dla przedmiotu rzeczą obojętną. Chyżość końcowa U oznacza bardzo prosto chyżość, jaką kulka w powietrzu spadająca przybiera w końcu stale. Wzór przez nas podany nie może się stosować do spadających kropel lub gradu, jak to każdy zauważy snadnie: najprzód dla tego, że stosunek $\frac{m}{m}$, nie pozostaje stały na całej przebytej przez kroplę drodze i może się zmieniać ze stanem powietrza; potem że same krople, spadając, nie zachowują postaci ku-

listej, lecz przybierają kształt podobny do ziarenek gradu-spłaszczony u dołu a zaostzony do góry, przez co i opór powietrza staje się innym jak dla kulki. Nakoniec jeśli zważymy, że krople i pęcherzyki w samym spadaniu mogą się zmniejszać, a częściej powiększać, że prądy powietrzne igrają niemi w rozlicznych kierunkach, tedy jasną już będzie rzeczą, że ich ruch musi się różnić od tego, jaki wzór nasz podaje. Czytelnik baczny, zauważywszy to wszystko, pojmie snadnie, że tu nie idzie o ścisłość matematyczną, lecz tylko o utworzenie przybliżonego pojęcia i zdanie sobie sprawy dlaczego pęcherzyki mgliste lub kryształki śniegowe, będąc o wiele cięższe niż powietrze, bujają w niezmiernych wysokościach, a duże krople deszczów zwrotnikowych dlaczego chłuszczą boleśnie Negra obnażonego. Kto w tym znaczeniu właściwem pojął ustęp str. 175 - 6, temu nie pokażą się wypadki bez *sensu* wtenczas nawet, gdy zamiast np. 0,655 stóp ang., otrzymujemy 0,6344, albowiem ten sam rezultat potępiony $U = 0,6344$ stóp ang. znajdujemy i przy $g = 32,17$ s. a., jeśli weźmiemy pod rachunek pęcherzyk o średnicy 0,00023457 stóp ang. A że pęcherzyki takie zawierają się w granicach przez Kämtza podanych (Lehrb. IIIp. 102) a mianowicie:

w styczniu $2r = 0,0010686$ cal. par. (Max)

w maju $= 0,0005434$ „ (Min)

przeto tak jeden wypadek (0,655) jak i drugi (0,6344) nie są pozbawione sensu ogólnego. Z przytoczonych tu względów uważałem za zbyt cenne nużyć czytelnika rozwikłaniem wzoru, mającego tu znaczenie podrzędne. Pojmujemy też, że uwzględniając te lub owe z pomienionych okoliczności, wpływających na ścisłość wypadku, mechanika teoretyczna musi doprowadzić do wzorów odmiennych, tym bardziej, że i oszacowanie oporu powietrza jest zadaniem hypotetycznym.

Żem wiele korzystał z dzieł Kämtza, zarzutu tego nietylko odpiąć nie mam zamiaru, lecz owszem obwinę siebie bardziej jeszcze, gdy przy tej sposobności poszczęję się, żeń był jego gorliwym słuchaczem. Owoż stosunkom moim z tym mężem zawdzięczam i wyjaśnienie jego myłki *pióra*, o której każdy przekonać się może w T II jego Meteor. str. XIV. A że i ten twórca Meteorologii nie mógł swego dzieła ochronić od licznych dość błędów, że i Schmid w swym wielce szacowném, lubo najmniej oryginalném dziele nie uniknął tej wspólnej nam wszystkim śmiertelnikom słabości, to przecież nie zdarzyło mi się ani czytać, ani słyszeć, aby postrzegający te błędy walczyć musieli z pokusą *uśmiechu*. Jeśli się komu spodoba przestudować bliżej dzieło Schmida, znajdzie w niem więcej może błędów niż u mnie, choćby np. w rozwikłaniu wzoru Bessela, które przytém jest u niego mniej kompletne, Słaba to zaiste moja obrona, lecz pusty śmiech w rzeczach poważnych mniej jeszcze trafia do przekonania.

Zarzut ostani pan W. K. zrodagował w sposób najdotkliwszy:

„ Aby nie przedłużać zbyt cennych tych uwag, tak się odzywa po *uśmiechu*, zrobimy jeszcze jedną tylko do str. 508. Na tej stronni-

cy autor objaśnia rzecz o załamaniu się światła w pryzmacie, i gdy dochodzi do tego miejsca, gdzie mówi o najmniejszym zboczeniu b , sprawioném przez pryzmat, tak się wyraża: „To minimum kąta b odznacza się tćm, że przy powiększeniu lub zmniejszeniu kąta wpadania *o wiele nawet stopni*, wartości swojej prawie nie zmienia.“ Jeżeli to wyrazy „o wiele nawet stopni“ nie są prostą omyłką drukarską (a pomiędzy omyłkami wykazanych ich nie ma), to zawierają *gruby błąd, o którym nawet rozpisywać się nie widzimy potrzeby.*“

Nie jest to bynajmniej omyłką druku, jak mić laskawy pan W. K. tłumaczyć usiłuje, ani żaden błąd, lecz prawda istotna według tegoż *Biota*, którego cytować uznał szanowny recenzent za zbyteczne, ze względu, że prawdy te elementarne są powszechnie znane. Proszę czytelnika o wyrozumiałość, jeśli go zniecierpliwie, odwołując się do nieomylnego sędzięgo, jakim jest rachunek.

Odwróćmy str. 508 mojej *Meteorologii* i posilkując się rysunkiem tam zamieszczonym, przypomnijmy komu potrzeba prawdy elementarne *znane każdemu*:

$$(1) \quad \cos BDF = \frac{\cos SDC}{n}$$

$$(2) \quad \angle FOS = \delta = \angle BDF + \angle BFD - \angle SDC - \angle OFA. \\ = 120^\circ - \angle SDC - \angle OFA \quad (\text{w naszym pryzm.})$$

Powiedzieliśmy, że $\angle \delta$ dochodzi najmniejszości, kiedy

$$\angle SDC = \angle OFA,$$

a przyjmując dla promieni czerwonych $n = 1,303$
fioletowych $n = 1,316$

otrzymaliśmy:

$$\text{dla 1-ch } \angle OFA = \angle SDC = 49^\circ 21', \quad \angle \delta = 21^\circ 18'$$

$$\text{dla 2-ch} \quad \quad \quad = 48 \quad 51 \quad \quad = 22 \quad 18$$

Obracajmy teraz pryzmat na około jego osi tak, ażeby $\angle SDC$ wpadania przebiegał wielkości od 40° do 60° , a gdy to czynić będziemy, uważmy jakim zmianom ulegnie $\angle \delta$. Dla krótkości obliczmy w odstępach 5° :

a) dla promieni czerwonych:

Przy $\angle SDC = 40^\circ$, mamy

$$\text{z (1) } \cos BDF = \frac{\cos SDC}{n} = \frac{\cos 40^\circ}{1,303}$$

$$\text{z kąd } \angle BDF = 53^\circ 59'$$

Ponieważ w $\triangle BDF$: $\angle FBD = 60^\circ$

$$\text{zatem } \angle BFD + \angle BDF = 120^\circ$$

$$\text{czyli } \angle BFD = 120^\circ - 53^\circ 59' = 66^\circ 1'$$

A że w tekście $\cos OFA = n \cos BFD = 1,303 \cos 66^\circ 1'$

$$\text{z kąd } \angle OFA = 58^\circ 1'.$$

Nakoniec z (2): $\delta = 120^\circ - 40 - 58^\circ 1' = 21^\circ 59'$

Podobnym sposobem :

Kiedy \angle SDC = 45° , to \angle BFD = $62^\circ 52'$	
	\angle OFA = $53 \ 32$ a . . . $\delta = 21 \ 28$
Przy \angle SDC = 50° ,	\angle BFD = $59 \ 34$
	\angle OFA = $48 \ 42$ a . . . $\delta = 21 \ 18$
Przy \angle SDC = 55° ,	\angle BFD = $56 \ 7$
	\angle OFA = $43 \ 25$ a . . . $\delta = 21 \ 25$
Przy \angle SDC = 60° ,	\angle BFD = $52 \ 34$
	\angle OFA = $37 \ 37$ a . . . $\delta = 22 \ 23$

b) dla promieni fioletowych :

tym samym zupełnie sposobem otrzymujemy :

przy wpadaniu promienia pod \angle 40°	$\delta = 22^\circ 56'$
45°	$\delta = 22 \ 25$
50°	$\delta = 22 \ 19$
55°	$\delta = 22 \ 39$
60°	$\delta = 23 \ 32$

Przekonywamy się ztąd najwyraźniej, że kiedy kąt wpadania SDC, odpowiadający najmniejszości \angle δ , staje się większym lub mniejszym o 10° nawet, promień załamany prawie ten sam kąt δ z wpadającym tworzy; różnica będzie jeszcze mniejsza, jeśli zważymy, że światło nie z jednego punktu, lecz z tarczy około $30'$ średnicy rozlewa się. Jeśli obliczymy \angle δ dla każdego stopnia wpadania, obracając nasz przyrząd od stopnia do stopnia, tedy zauważymy, że przybrać on może 120 tylko różnych pozycyj, a z tych 20 będzie takich, co promienie załamane rzucają w jedno i to samo prawie miejsce. Szósta więc część wszystkich możliwych promieni po wyjściu z przyrządu schodzi się prawie w okolicy minimum \angle δ i tworzy tu jasność uwydatnioną (koło świetne), której powstawania nie potrafimy wytłumaczyć, skoro *matematyczną* jej przyczynę, za *gruby błąd* uznamy.

Smutna to rzecz, powiedział Thiers, zmuszony wyklądać prawdy elementarne, gdy rzecz szła o własności — smutna, ale nie *śmieszna*. Kończąc zatem z powagą, niech mi wolno będzie wynurzyć wdzięczność panu W. K. za trud sobie zadany w pobieżnym przejrzaniu mojej książki, tudzież za uznanie pracy, które, że pochodzi od osoby z tą gałęzią wiedzy głęboko obeznanéj, tém wyżej oceniamy.

A. Piethkiewicz.

Biała Cerkiew, dnia 6 (18) marca 1872 r.

Die bisher bekannten Pflanzen Galiziens und der Bukowina von Josef Armin Knapp. Wien 1872, Wilhelm Braumüller K. K. Hof- und Universitätsbuchhändler. (Poznane dotychczas rośliny Galicyi i Bukowiny, przez Józefa Armin Knappa, w Wiedniu 1872 r. u Wilhelma Braumüllera C. K. nadwornego i uniwersyteckiego księgarza. Str. 520 in 8-vo, przypisane Alexandrowi hrabiemu Branickiemu).

Książka napisana przez cudzoziemca i jego językiem, a mająca za przedmiot to co należy do nas, jest i rzadkiem w dzisiejszym piśmiennictwie zjawiskiem, i szacownym dla nas darem, jeśli zwłaszcza przedmiot z całą sumiennością opracowywa. Książka o której mówię mamy, jest dziełem wykonanem z pracowitością niemiecką. Nie mieliśmy podobnej w dziedzinie nauk przyrodzonych, i widać że w miarę jak postępujemy, cudzoziemcy uwagę na nas zwracają: biegną z pomocą dla nas, gdy widzą, że nie ustajemy w dziele dobijania się o zasługę na polu walk umysłowych.

Autor książki o której mówimy, p. Knapp, urodzony w Węgrzech, oprócz języków tam używanych, poznał język polski przynajmniej o tyle, o ile go potrzebuje literat do zrozumienia dzieł polskich w przedmiocie dla swoich badań wybranych. P. Knapp dla swoich badań wybrał botanikę, a poznając Florę okolic swoich, zwracał tem samém uwagę i na sąsiednią, i w ciągu tych działań spostrzegł że Polacy już od XVI w. mieli w literaturze swojej botanicznej to wszystko, co miał podówczas uczony Zachód, lecz do którego wiadomości tylko to dochodziło, co było wydane w języku łacińskim. Nowsze prace Arnolda (1) i Adamskiego (2) w tym języku, doprowadziły pana Knappa do poznania tego, co Polacy mają *in lingua vernacula*. Podochodził więc nietylko do tych starych szpargałów, w niczem nieustępujących Matthioliowi, tych Falimierzów, Spiczyńskich, Suienników, Urzędów i Syreniuszów, ale nawet do zrozumienia i ocenienia prac fitografów naszych po Linneuszu, tak iż dopiero teraz powraca nam, zatrzymane dotąd z powodu języka, *jus prioritatis*.

I tak, poznając coraz bliżej florę naszą, p. Knapp dziwnie się w niej rozmiłował. Czyni dla niej to, czego może niktby nie uczynił: wszystkie godziny życia poświęca już na unużające zestawianie podań w pismach fizyografów naszych wskazujących miejscowości dla każdej znalezionej rośliny, już na niemniej pełne trudu zwiedzanie tych miejscowości w celu sprawdzenia czy jest tam roślina którą podano, i czy jest ta sama którą nazwano. Słowem p. Knapp żelazną pracą dostępuje sławy znakomitego autora geografii roślin polskich.

(1) De monumentis historiae naturalis in Polonia usque finem saeculi XVI.

(2) Prodrromus historiae rei herbariae in Polonia etc.

I nie dziw, że to co dotąd w tej mierze ogłosił a o czém mówimy, ściąga się tylko do galicyjskich roślin. Flora Galicyi była przedmiotem badań najściślejszych botaników, nawet niemieckich: badań Bessera, Herbicha, a dziś, od zawiązania się komisji fizyograficznych, dochodzimy tam do tego, ażeby wiedzieć co na każdym łokciu kwadratowym tego kraju rośnie, byleby oznaczenie gatunku było tak jak chce p. Knapp ściśle. Galicya zresztą jest prowincją zostającą pod tém samém berłem, pod którém tyle swobody i sławy uzyskało szanowne *Zjednoczenie botaniczno - zoologiczne Wiedeńskie* (1), w którego murach p. Knapp każdodziennie osnowę prac przedsięwziętych rozszerza. Gdy to wszystko zważymy, przyznamy panu Knapp słuszną, że poświęca swą pracę nowemu obywatelowi Galicyi, znawcy i miłośnikowi roślin, a którego imieniem już i inni roślinopisarze krajowi, starali się dzieła swe zaszczyścić.

Co nas także nie mało ku pracom p. Knappa zniewala, że w niemieckiej książce jego w Wiedniu wydanej, wszystkie przytoczenia polskie, polskie imiona własne miejscowości i t. p. wypisane są z rzadką dokładnością. Znajdą się może omyłki druku, ale nie omyłki pisowni.

I owoż położony cokuł, na którym utrzymać się może wiekotrwale pomnik prawdziwej zasłudze Polaków w dziejach botaniki, tej umiejętności tak powabnej, tak użytecznej i z taką dziś gorliwością wszędzie rozkrzewianej. Niezmordowany robotnik wysławszy w świat co miał gotowe, nawinął już na warsztat osnowę pracy nowej, rozleglejszej, która pod ogólnym tytułem *Prodromus Florae Poloniae*, obejmie krytyczne wyliczenie i ściśle opisanie roślin wszystkich krajów dawną składających Polskę, włącznie z kryptogamiami i kopalniami gatunkami, o ile te poznane dotąd zostały.

A. W.

Kraków przed czterdziestą laty, przez Walerego Wielogłowskiego. (Wydanie pośmiertne.) W Krakowie. Nakładem wydawnictwa dzieł Władysława Jaworskiego. 1871 r. (w 12cc, str. 298).

W papierach pozostałych po Walerym Wielogłowskim zmarłym 1865 roku, znalazła się powieść p. n. *Kraków przed czterdziestą laty*, nie dokończona. Dopelnienia tego utworu niecałym rozdziałem zgasłego pisarza, podjął się Lucyan Siemieński, jak sam wyraża: „jedynie z miłości ku zmarłemu, a razem z miłości dla jego pracy, aby ta nie tylko nie była straconą, lecz owszem odświeżyła pamięć człowieka, który tyle uczuć i myśli, tyle wonnych kwiatów,

(1) K. K. zoolog. botanische Gesellschaft in Wien.

rozsypawszy za życia, jeszcze po zgonie darzy nas bławatką wyrosłym na jego mogile”.

Rzecz sama jako powieść nie odznacza się ani pomysłem ani wykonaniem. Pani X. z Podola, przybywszy do Krakowa, postanowiła córkę swoją Olimpią wydać za hrabiego galicyjskiego Rudolfa, z użytego na świecie, i w jesiennej porze wieku, pomimo jej woli, która kochała młodego i wykształconego Mieczysława, a przyjaciela swoich lat młodych. Daremnie używała rozmaitych intryg i podejść nawet niegodnych, znalazłszy jednak opór silniejszy niż mniemała, musiała zezwolić na połączenie młodej pary, sama zaś, jako „pokutnica” osiadła w jednym z klasztorów Krakowa: „Ostrzej reguły”.

Strona więc powieściowa nie wykazuje ani talentu autora, ani biegłości pióra, jakim się odznacza w późniejszych czasach zmarły Wielogłowski, ale temu dziełu nadaje nie małą wartość tło właściwe, na którym opowiadanie się przesuwają.

Dramat odegrywa się w Krakowie i jego okolicach bliższych, przed czterdziestą laty; autor, student wówczas Akademii Jagiellońskiej, maluje ten gród stary jakim był wówczas, i w żywej u niego odzwierciedlał się myśli. Dla żyjących w owym okresie obudza miłe wspomnienie lat młodości, dla tych którzy Krakowa nie znali w owe czasy, daje zajmujący obrazek. Czytelnik znajdzie tu wiele zajmujących żywo ustępów, jak opis zwalisk Łobzowskiego zamku i wyborny opis wesela krakowskiego ludu, które od owej doby nie małym uległo zmianom.

Ś. p. Walery Wielogłowski, jako redaktor i wydawca, jako pisarz powieści i obrazków ludowych, nie mało położył zasługi dla literatury krajowej. „*Dom mojej babki*”. (Kraków 1856 r.) może stać obok *Obrazków litewskich* Ignacego Chodźki; a powieść z życia ludu galicyjskiego: „*Komornica*” należy do najudolniejszych utworów w tym rodzaju. *Obrazki wiejskie* zalecające się wiernóm fotografowaniem stron ujemnych i wad ludowych, grzeszą tym właśnie, że autor wykazując cieni, nigdzie nie dał światła. Nie dorównał w tym J. K. Gregorowiczowi, który malując lud sandomierski, wpatrzył się w jego charakterystykę z miłością dla ludu, a nie tając wad, umiał podnosić i uwydatniać i zalety jego zarazem. W.

Książki wydawane przez Instytut warszawski Głuchoniemych i Ociemniałych.

Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych od założenia swego to jest od 1817 roku (1) do chwili obecnej przechodził różno koleje;

(1) *Korrespondent Warszawski i Zagraniczny* w Nr. 87 z r. 1817 donosi, że 23 października tegoż roku odbyło się uroczyste otwarcie Instytutu Głuchoniemych.

historia tego Zakładu byłaby bardzo pożądaną i nie bez pewnego znaczenia. W historii tej widzielibyśmy dwie fazy: pierwszą od założenia Instytutu do roku 1864, drugą od tegoż roku, to jest od czasu kiedy Instytut z pod rady głównej opiekuńczej zakładów dobroczynnych, przeszedł pod zarząd oświecenia publicznego i staraniem dyrektora Papłońskiego uzyskał Ustawę (1866 roku) do chwili obecnej.

Gdybyśmy z samych książek tylko odnośnych sądzić o Instytucie chcieli, których w kilku latach ostatnich wyszło więcej niż w ciągu kilkudziesięciu poprzedzających, uderzyć nas musi szybki rozwój i działalność Instytucji, która już dziś uznana została przez ogół i przez władzę, za pierwszorzędną w Europie.

Działalność założyciela Instytutu ks. Falkowskiego i jego pisma dawały wiedzieć szerszym kołom publiczności o tym Zakładzie, jego urządzeniu i sposobach nauczania (1); publiczność przyciłem na do- rocznych egzaminach mogła być świadkiem rezultatów pracy nad głuchoniemami, drukowały się dla niej jeszcze programy egzaminów male bardzo z początku, po kilka kartek in 8-vo pod tytułem: *Instytut Głuchoniemych zaprasza na egzamen.*

Z postępem czasu, z wzrostem liczby głuchoniemych i środków materyalnych, od roku 1838 zwłaszcza, programaty drukowały się w większych rozmiarach, z artykułami wstępnymi. Posiadamy programaty od początku to jest od 1818 roku, z każdego prawie roku do 1844 włącznie. Następuje długa przerwa; dopiero za Papłońskiego drukuje się program roku 1866 i lat następnych.

Programaty objaśniając publiczność w rzeczach odnoszących się do egzaminu i Zakładu samego; mając na celu jakby okazanie całorocznej działalności Zakładu, jakby zdanie rachunku przed publicznością; nie mogą się jeszcze uważać za książki przedstawiające zasługę i pożytek, godne dłuższej pamięci i uwagi. Takimi są obok podręczników prace specjalne nauczycieli, rozjaśniające i ułatwiające drogę pracownikom następnym, posuwające teorią nauczania. Taki objaw działalności może być dobrą miarą postępu i wzrostu specjalnego Zakładu.

Wzgląd ten miał na uwadze rektor Wysocki, kiedy zaczął wydawać:

„*Pamiętnik o Głuchoniemych i metodzie ich uczenia, tudzież o tém wszystkiem co tylko do tego przedmiotu ściągac się może.*” Ozdobiony dwiema rycinami. Wyszły dwa zeszyty pierwszego tomu (8 min. zeszyt I-szy str. 140, zeszyt II-gi str. 141).

(1) Mamy np. interesującą książkę ks. Falkowskiego p. t. *O początku i postępie Instytutu Warszawskiego Głuchoniemych, oraz niektóre jego urządzenia, dla wiadomości osób jakkolwiek związek z tymże Instytutem mieć mogących.* (Warszawa 1823 8-vo min., str. 87). Przy tej sposobności wspomina o życiorysie Falkowskiego przez Ks. T. F. p. t.: *Przyjaciel i Ojciec Głuchoniemych Ks. Jakób Falkowski.* (Warszawa 1850, w 16-ce maj. str. 159). Biografia obszerna o ks. Falkowskim umieszczona także w „*Życiorysach znakomitych ludzi.*”

Z tytułu, jak i ze spisu materji mającej się zawięrać, podanego na okładce, wnosimy że miało się wyczerpująco i gruntownie traktować wszystko, cokolwiek głuchoniemych dotyczyć może tak we względnie naukowym (teoryi i metodyki) jak i praktycznym. Artykuły zresztą znajdujące się w pierwszych dwóch poszytach (niektóre niepokojone) dowodzą, że Wysocki, kompetentny, mając za sobą dane, zdobyte własną praktyką, śledzeniem metod nauczania w Niemczech i zamiłowaniem swego zawodu, mógł być spełnić w zupełności zadanie, jakie sobie postawił i jakie w części spełnił. Wymieniamy ważniejsze: „*O mowie czyli gestach i migach głuchoniemych*” jest to część słownika migowego; „*O nauce rachunków*”: gruntownie wyłożona metoda nauczania tego przedmiotu najtrudniejszego dla głuchoniemych; „*O zasadach mowy ustnej w zastosowaniu do uczenia głuchoniemych*” praca obszerniejsza na wglębieniu się w przedmiot nie obcy sobie, oparta.

Głuchoniemi od samego początku Instytutu posiadali odpowiednie pomoce naukowe, karty, rysunki, elementarze, książeczki do nabożeństwa umyślnie dla nich przygotowane. Z większych książek, które do obecnej chwili będąc w użyciu, odpowiadają swemu celowi, wymieniamy:

„*Książka do nabożeństwa dla Głuchomych, ułożona przez ks. Józefa Szczygielskiego, Rektora warszawskiego Instytutu Głuchoniemych* (Warszawa, wydanie I-sze 1841, wydanie II-gie roku 1855). *Nauka Religii wykładana w Warszawskim Instytucie głuchoniemych, ułożona przez księdza Józefa Hollaka Prefekta i nauczyciela religii w tymże Instytucie* (Warszawa, 1855 roku, Części cztery). Po długiej bardzo odpowiedniej książce wyklada się głuchoniemych nauka religii. Uderza szczególnie część pierwsza, przedstawiająca stopniową doskonałość istot począwszy od najprostszycch aż do ich Twórcy.

Dokładne zrozumienie swego zadania przez Instytut, wzmocniony materialnie w drugiej fazie swego istnienia (od roku 1864), ujawniło się w książkach wydawanych ostatniemi laty przez tę instytucję, która przedewszystkiem ociemniałych i głuchoniemych *wszystkich* ma na względzie, nietylko swoich wychowawców; z wszystkimi bowiem tymi nieszczęśliwymi Instytut czuje się moralnie związanym. Przedewszystkiem więc książki do czytania dla ociemnianych, podręczniki do nauki głuchoniemych; następnie dopiéro idzie wzgląd ważny bardzo, który powoli wchodzi w wykonanie: mówimy tu o pracy nauczycieli na polu teoryi, metodyki, przyczém specyjalna ta część pedagogiki rozwijając się daje coraz inteligentniejszych nauczycieli, dochodzących do coraz większej świadomości środków nauczania i władania niemi! Ten wzgląd był przyczyną, że zamiast dotychczasowych programatów egzaminu, Instytut od dwóch lat wydaje obszerny pamiętnik.

Egzystencya ociemniałych w Instytucie przez czas długi nie była ustaloną i nauczanie ich umysłowe więc nie było stałym. Są ślady że od samego początku czytali oni książki przygotowane na ręcznych drukarniach drukiem śpilkowym. W roku 1852 wydrukowano elementarz literami wypukłemi, z którego jednak ociemniiali korzystać nie mogli, skutkiem zbyt drobnych i mało wypukłych liter. Dopiero w roku 1866 wyszedł „*Elementarz dla ociemniałych*” z upoważnienia kom. rząd. ośw. publ., staraniem Jana Papłońskiego dyrektora Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, pracą Leona Talmy Naucz. (format nutowy, kart 26).

Nastąpiły ulepszenia, odlano czcionki odpowiedniejsze, sprowadzono prasę drukarską i w roku 1870 wyszła druga, bez porównania obszerniejsza książka:

„*Święta Jezusa Chrystusa Ewangelia według Ś-go Marka, wydrukowana dla Ociemniałych*” (kart 126). Oddrukowanie książki takiej, dużych rozmiarów (1) wiele trudu wymagało, ale trud się opłacił, jest ona bowiem pokarmem duchowym dla ociemniałych zewnątrz Instytutu w samotności życia pędzących; nie jest przytępem bez pewnej doniosłości bibliograficznej. Piękny ten dowód miłości bliźniego i solidarności z nieszczęśliwym, w najpierwszych bibliotekach poważne zajmuje miejsce.

W Instytucie warszawskim wszyscy bezwarunkowo głuchoniemi uczą się wymawiania; nauczanie ma miejsce w mowie i w piśmie, migi zaś nie są celem ale środkiem, w niższych klasach zwłaszcza, w wykładzie. W takim stanie rzeczy najgłówniejszym zadaniem jest nauka wymawiania, a następnie nauka języka. Niewtajemniczonemu nie łatwo sobie wyobrazić z jakimi trudnościami praca taka jest połączoną, jak powoli, umiejętnie, z żelazną konsekwencją prowadzoną być musi. Kto się weźmie do nauczania głuchoniemych, po latach paru dopiero może się wyrobić i liczyć na rezultaty. Inaczej mówiąc, tylko nauczyciele Instytutu Głuchoniemych mogą nauczać głuchoniemych. Ale liczba tych upośledzonych wzrasta, Instytut, wszystkich przyjąć nie mogąc, czuł się w obowiązku podać metody nauczania, aby każdy, komu będzie tego potrzeba, przy rozpatrzeniu się w książkach przez Instytut wydanych, mógł próbować nauczać głuchoniemego. Tym celem rada pedagogiczna Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych w r. 1870 wydała:

Przewodnik dla Rodziców i Nauczycieli do uczenia Głuchoniemych wymawiania, czytania, pisania, poznawania mowy z ust, oraz

(1) Każdemu wiadomo jakiej może być objętości książeczka, zawierająca XVI rozdziałów Ewangelii według Ś. Marka, z którą w porównanie iść nie może objętość tej samej treści w druku wypukłym, pod który bierze się papier gruby, większy niż nutowy; druk musi być duży (mniejszy nieco od kalligrafii pisaniej przez początkujących) i z jednej tylko strony może się znajdować, a 126 kart takiego druku, skutkiem wypukłości liter grubszą książkę stanowią niż 1260 stron książki zwyczajnej.

do *poprawiania błędnego wymawiania* (Warszawa w 8-ce str. 141). W dziełku tém obszernem, będącém niejako rezultatem wyrobienia, postępów, doświadczeń i ulepszeń w nauce wymawiania głuchoniemych, praktykowanej przez wszystkich nauczycieli (korzystano wiele z prac Szczygielskiego), podane są zasady jak potrzeba układać organa mowne, jak wydobywać dźwięki z głuchoniemego, jak uczyć te dźwięki. Praca taka z głuchoniemym ciąglego zajęcia się nim wymaga, gdyż taki uczeń mechanicznie naśladowując układ ust nauczyciela, a nie słysząc swego głosu, wymawia fałszywie, zapomina, sam ani na krok postąpić nie może; tylko długa bardzo wprawa ucznia i ciągle odpowiednie z nim ćwiczenia mogą postęp zapewnić. Do takiej nauki potrzebny wypróbowany elementarz i taki właśnie Instytut także wydał p. t.:

„*Kurs nauki wymawiania, czytania i pisania dla Głuchoniemych.*“ Klasa pierwsza (Warszawa 1870, w 8-ce str. 184). Elementarz ten bardzo starannie dużemi literami odbity, (otwarty przedstawia lewą stronicę litografowaną pisanym charakterem, prawą drukowaną) stanowi całość z *Przewodnikiem*.

Po nauce czytania następuje nauka języka, nauka trudna bardzo i powolna, podobnie jak gdybyśmy się uczyli jakiego języka (tak pełnego fleksyi jak polski np.) nie słysząc nigdy nikogo mówiącego tym językiem, ani książek nie czytając. (Głuchoniemy po kilkoletniej nauce z trudnością i to nie każdy rozumieć może książkę najelementarniejszą dla dzieci). Głuchoniememu przedewszystkiem potrzebny jest pewien zasób wyrazów, nie nauczył on się ich będąc dziećciem: i tu spotykamy podręcznik: *Kurs nauki języka dla Głuchoniemych*. Klasa druga (Warszawa r. 1869 w 8-ce str. 71). Znajdujemy tu wyliczone grupy wyrazów; jak stosunki rodzinne, części ciała, odzież, sprzęty, naczynia, pokarmy, zwierzęta, rośliny i t. p; dalej idą kategoriami przymiotniki (1); dalej szeregi rzeczowników podług rodzajów, liczb; następnie przykłady na ćwiczenia na nabytém materiale oparte przy tworzeniu krótkich zdań. Użycie przypadków nie wchodzi tu jeszcze. Ruchliwość naszego języka w przypadkach i w osobowaniu przedstawia dla cudzoziemca wielkie trudności, co dopiero dla głuchoniemego; dlatego więc tej rzeczy poświęcony jest kurs dwuletni, wydany obecnie właśnie przez Instytut p. t. *Kurs nauki języka polskiego dla Głuchoniemych*. Klasa trzecia (Warszawa, druk i nakład Inst. Głuch. i Ociem. r. 1871 w 8-ce str. 277). Książka równająca się prawie z pozoru objętości gramatyki Małeckiego, a przecież część zaledwie gramatyki obejmuje, a najmniej prawideł gramatycznych tam znajdziemy. Są tu w cz. I-ój wzory deklinacyj i konjugacyj (odmiany imion i słów). Cz. II-ga (obszerniejsza) przedstawia ćwiczenia praktyczne na tworzenie zdań, przykłady pracowicie zebrane, opierające się na materiale z kursu na klasę II-gą

(1) Znaczenie każdego wyrazu objaśnia się przy wykładzie okazami z natury, rysunkami, modelikami.

i z cz. I-ój. Są więc przykłady na użycie rzeczowników i przymiotników, przypadków, pytań, przeczeń, słów, trybów i t. p. Książka ta, jak i wszystkie przez radę pedagogiczną Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych, pod prezydencją dyrektora Papłońskiego wydawane jest pracą wspólną dokonana, jako owoc długoletniej praktyki w nauczaniu. Książka taka bardzo może być dobrym podręcznikiem dla wszystkich dzieci, które racjonalną metodą uczyć się powinny języka. Praca ta zasługuje na uwagę pedagogów, a każdy z zabierających się do pisania gramatyki elementarnej już z niej skorzystać powinien.

W końcu nadmieniamy (o czém już wyżej się wspomniało), że Instytut corocznie wydaje Pamiętnik; posiadamy już dwa takie: *Pamiętnik Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych* z roku szkolnego 1869/70. Rok pierwszy (Warszawa 1870 w 8-ce str. 183 i XI kart utworów muzycznych) i *Pamiętnik Warszawskiego Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych*, z roku szkolnego 1870/71. Rok drugi (Warszawa. W drukarni Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych str. 137 i XI kart utworów muzycznych).

Prwie cały Pamiętnik pierwszy zajmuje *Sprawozdanie o zakładach dla Głuchoniemych i ociemniałych w niektórych państwach Europy Zachodniej* złożone JW. Ministrowi Oświecenia Publicznego hrabiemu Tołstoj przez dyrektora Warszawskiego Instytutu Głuch. i Ociem. Jana Papłońskiego. Rzecz mogąca interesować każdego, jasno przedstawia nam dwadzieścia kilka zakładów głuch. i ociem. we względzie metod nauczania i ich zestawienia, urządzeń, stanu zakładów, administracji i t. p. W drugim Pamiętniku obok innych mieszczą się wyjątki z Diesterwega i Hilla o Ociem. i Głuch. tudzież próbka jednego z nauczycieli: *Sposób, w jaki należy wykazać głuchoniemym różnicę pojęcia rzeczy i przymiotu*. Dwa te pamiętniki, jak widzimy, nie odpowiadają w zupełności swemu założeniu (jakie zresztą we wstępie pierwszego roku jest postawione). W publikacji takiej, obok wszelkich szczegółów dotyczących zakładu, spodziewamy się spotkać prace specjalne odnoszące się do głuchoniemych i ociemniałych we wszelkim względzie; przedewszystkiem zaś rozprawy co do metod nauczania, oparte bądźto na własnym doświadczeniu, bądź na gruntownym rozbiore metod zagranicznych, albo dzieł odnośnych. Niemożna zbyt wiele odrazu wymagać: na wszystko potrzeba czasu. Dziś oddać musimy sprawiedliwość komu należy w obec tak ważnego faktu, że w ciągu lat paru, za sprawą dyrektora Papłońskiego powstała w naszej literaturze nowa specjalna gałąź pedagogiki, która dotąd nie istniała. Działalność tak pięknie i korzystnie zaczęta rozwijać się i wzbogacać nas będzie, działalność, z której owoców dziś już nietylko głuchoniemi korzystają; takim jest niewątpliwie *Kurs języka na Klasę III*, takimi są *Wzory kwiatów rysowane przez głuchonieme uczennice Warsz. Inst. Głuch. i Ociem.* (Zeszyt I-szy 15 tablic, zeszyt II 17 tablic. Warszawa 1871 r.), których wiele się rozeszło po zakładach naukowych, rządowych i prywatnych.

Wł. Nowicki.

O zakładach karnych dla nieletnich przestępców i dzieci potrzebujących opieki. Przez A. Moldenhawera. Warszawa. 1872 roku.

Autor w tej pracy przedstawił historię wzmiankowanych zakładów w Anglii, Francji, Belgii, w Niemczech, Szwajcaryi, Ameryce, Rossyi i innych krajach. Do rzędu trudności głównych, jakie napotyka na tej drodze reforma, słusznie zalicza uderzającą niejednostajność zapatrywania się różnych prawodawstw na kwestyę, czyli i o ile nieletni przestępca ma być stawiony przed sądy i jak należy stosunkować wówczas co do niego miarę zwykłej kary.

W urzędzeniu zaś samych zakładów również zasadnie wytyka ich wadę, leżącą w tém, że niedostateczny uczyniono rozdział między instytucjami, w jakich nieletni cierpieć mają kary, i w których główną cechą stanowić winna repressya, a zakładami poprawczemi, w których się mieszczą uwalniani przez sądy włóczęgi, żebraki, oraz oddawani przez rodziców, gdzie przewodnią idea winno być *wychowanie prewencyjne*. Kongres frankfurcki z 1857, uwzględnił tę ważną okoliczność, i wykazał lukę jaką spotykamy we wszystkich prawie dotychczasowych prawodawstwach co do urzędzeń względem nieletnich wychodzących z podobnych instytucyj. Brak stowarzyszeń, któreby czuwały nad dalszym losom wychodzących z zakładu udaremnić może najszlachetniejsze jego cele. Inicytywa prywatna, jak już wyświadczyła ważne usługi pierwotnemu zakładaniu podobnych instytucyj, znalazłaby i na tem polu przedmiot godny swojego zadania.

Broszura p. Moldenhawera, obejmująca wiele materyałów treściwie i starannie zebranych, tém żywiej obchodzić może czytelników, kiedy i w kraju naszym instytucya podobnego rodzaju już w życie wchodzi zaczęła.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Towarzystwo Lekarskie Warszawskie* podało trzy następujące temata do konkursu i wyznacza na każdy nagrodę po rs. 150.

1) *Z funduszu stałego nagrody konkursowej Imienia Doktora Adama Helbicha, Członku Honorowego Towarzystwa Lekarskiego,*

następujący temat: „Wykazać doświadczeniami względną wartość i skuteczność rozmaitych limf używanych do szczepienia ospy ochronnej.“

2) *Z funduszu rs. 300, pozostałego po wzniesieniu nagrobka ś. p. Bronisławowi Chojnowskiemu, Członkowi Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego i Professorowi tutejszego Uniwersytetu, dwa następujące temata:*

a) „Wykazać za pośrednictwem doświadczeń: o ile w jednej z chorób zakaźnych (np. diphteritis, zapalenia puerperalne, septicoemia, i t. p.) nauka o pasożytném jęj pochodzeniu jest uzasadnioną lub nie“?

b) „Rozebrać wpływ zimnych kąpiei na przebieg chorób gorączkowych, na zasadzie własnych spostrzeżeń.“

Na konkurs imienia Helbicha wyznacza się trzyletni termin, na konkurs zaś imienia Chojnowskiego dwuletni termin, licząc od dnia 1 marca r. b., rozprawy więc na konkurs pierwszy oczekiwane będą najpóźniej do dnia 1 marca 1875 r., na konkurs drugi do dnia 1 marca 1874 r. Wszystkie rozprawy nadsyłane być mają na ręce Sekretarza stałego Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, według zwyczajnych form konkursowych, t. j. z nazwiskami autorów w kopertach zabezpieczonych i opatrzonych stosownemi dewizami. Pierwsze prawo do własności rozprawy uwiecznionej zastrzega sobie Towarzystwo Lekarskie.

— *Niwa*, dwutygodnik naukowy, literacki i artystyczny, ogłosił konkurs na napisanie rozprawy: „O tegoczesnym u nas handlu zbożowym.“ Warunki takowego są następujące. Autor rozprawy uznanej za najlepszą otrzyma od redakcyi *Niwy*, rubli sr. 120 (złp. 800) jako premium, i pozostaje wyłącznym właścicielem swego dzieła. Gdyby je chciał sprzedać, pierwszeństwo w nabyciu służy redakcyi, a gdyby w rok po przyjęciu, rozprawy nie wydrukował, takowa staje się własnością *Niwy*, bez żadnego oddzielnego wynagrodzenia. Termin ostateczny nadsyłania prac konkursowych, naznacza się na dzień 1 stycznia 1873 roku. Po upływie tego terminu, redakcyja zaprosi na sędziów kilka osób znanych z nauki. Adresować należy wprost do redakcyi *Niwy* w Warszawie. Każda rozprawa winna być opatrzoną dewizą wypisaną również na zabezpieczowanej kopercie, w której znajdować się ma imię, nazwisko i zamieszkanie autora.

— Redakcyja *Tygodnika popularno naukowego, Przyroda i przemysł*, ogłosiła konkurs za najlepszą rozprawę na temat: „Wpływ nieczystości miejskich na skład wody wiślanej, podczas niskiego stanu rzeki.“ Nagroda wynosi rubli sr. 100.

— „Rozprawa ta (pisze redakcyja) powinna być opartą, przynajmniej na pięciu rozbiorach wody wiślanej, zacerpanej podczas niskiego stanu rzeki, a mianowicie: 1) Powyżej ścieków miejskich. 2) Na kilkaset kroków poniżej ścieku prowadzącego nieczystość z rzeźni (szlachtuza) na Solcu. 3) Tuż przy otworze rury wodociągowej. 4) Poniżej wszystkich ścieków, czyli za Warszawą, i nakoniec. 5) Na rozbiórce wody wodociągowej. Główną uwagę

zwrócić należy na obecność ciał organicznych, oraz produkta ich rozkładu, wodę zaś czerpać należy w możliwie najkrótszych odstępach czasu, i niedaleko od brzegu, gdyż takiej najczęściej używamy, a próbki jej, w ilości dwóch litrów, zachować należy. Premium udzielone zostanie d. 4 lutego 1873 r. Ostatnim terminem złożenia rozprawy jest 1 stycznia 1873 roku.

— Z drukarni Józefa Bergera wyszedł z pod prassy: „*Kodeks Cywilny Królestwa Polskiego*. (Prawo z r. 1825). Objaśniony motywami do prawa i jurisprudencją. Zebrał Juliusz Walewski adwokat przy sądzie apellacyjnym król. Pols. (księga 1). Warszawa. 1872 r. (w 16ce, str. 216). Autor we wstępie pisze: „Jeżeli praca ta pokaże się rzeczą użyteczną, wyjdzie w następstwie: Ustawa hypoteczna z r. 1818, Prawo o Przywilejach i Hypotekach z r. 1825, i Prawo o Małżeństwie z roku 1836.“

— W téjże drukarni już jest pod prassą dzieło p. Tadeusza Korzona p. n. „Kurs historii wieków średnich“. Obejmie dwa tomy w kroju wielkiej ósemki.

— W wydaniu trzeciem wyszło z drukarni J. Sikorskiego *Henryka Levittoux* doktora medycyny Uniwersytetu Paryżkiego i byłej Rady Lekarskiej w Królestwie Polskiem, dzieło p. n. *Filozofia natury*, (w 8ce str. XXVIII, i 589). W końcu pomieszcza: *Odpowiedź* na krytykę recenzentów warszawskich pierwszego wydania tego dzieła, w której piękny ustęp poświęca zacnej pamięci profesora J. Zochowskiego i *list* do doktora Karola Libelta, w odpowiedzi na jego artykuł: O drugim wydaniu *Filozofii natury* w jednem z pism poznańskich zamieszczony.

— W jednem z pism warszawskich wycytujemy wiadomość, że Henryk hr. Rzewuski, autor *Listopada*, na lat trzy przed swoim zgonem, miał skończyć dzieło p. n. *Moja spowiedź*. Bliżsi zmarłego pisarza zapewniają, że znajduje się w posiadaniu jednego z członków rodziny Rzewuskiego. Ciekawą byłoby rzeczą, jak się w niej wypowiedział ten autor?

— W Petersburgu, w magazynie starożytności A. W. Berga, według czasopisma „*Nowosti*“ zwraca powszechną uwagę, wystawiony na sprzedaż róg myśliwski, z całego kła słonia, przepysznio rzeźbiony. Róg ten własność niegdyś króla Jana Sobieskiego był na wystawie powszechniej w Paryżu.

— Kiedy Towarzystwo przyjaciół nauk w Poznaniu przygotowuje na jubileusz czterechsetnej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika, wydanie najdokładniejsze jego życiorysu, album pamiątkowe, imedal na tę pamiątkę, a jubileusz ten przypada w dniu 19 Lutego 1873 roku, Stowarzyszenie Kopernikowe w Toruniu postanowiło przygotować wydanie nowo ozdobne, według oryginalnego rękopismu, głównego dzieła Kopernika „*De revolutionibus orbium coelestium*“. Dzieło to miało tylko cztery wydania (pierwsze w r. 1543 w Norymberdze), i nie łatwo się z niem spotkać nawet w większych księgozbiorach przy naukowych zakładach. Rękopism oryginalny jest własnością hr. Nostitz-Riemek, w rodzinie którego od lat przeszło dwustu

się przechowuje. Nowe ozdobne wydanie ma kosztować 6 tal. i 20 sgr.

— W Krakowie, zebrana komisyja do ocenienia utworów dramatycznych nadesłanych na konkurs tegoroczny, a złożona z literatów Szujskiego, Tarnowskiego, Estrejchera, Koźmiana, i kilku innych publicystów, a zarazem z Rychtera i Ładnowskiego Bolesława artystów dramatycznych, przyznała główną nagrodę 400 florenów Józefowi Narzymskiemu za komedią; *Pozytywni*, drugą florenów 200 Alexandrowi Ładnowskiemu reżyserowi teatru we Lwowie za komedią w 3 aktach p. n. *Skarby i Upiory*, (Krakowiacy i górale). Komisyja konkursowa zaleciła Dyrekcyi teatru krakowskiego dwa utwory dramatyczne z nadesłanych do przedstawienia na scenie p. n. *Przeor Paulinów*, i *Protegowani i Protegujący*.

— J. K. Żupański wydał V i VI ostatnie tomy *Dziejów Narodu Polskiego* Teodora Morawskiego, obejmujące czasy Stanisława Augusta po rok 1796. Na końcu tego tomu dodany jest poczet biskupów, ministrów, senatorów, od najdawniejszych czasów aż do ostatnich lat XVIII wieku.

— Doktor Teofil Matecki z Poznania, przygotował do druku *Słownik lekarski*, nad którym wiele lat pracował. Pierwszy arkusz jako próbę, już rozesłano medykom i przyrodnikom.

— *Kraków* (wkwietniu 1872 roku. Wyjątek z listu.). „Wśród obumarłego życia tutejszego i pośród wegetujących instytucyj tutejszych, teatr odznacza się jakąś świeżością, zapalem, czasem nawet młodzieńczą śmiałością; od czasu gdy p. Koźmian objął jego dyrekcyę, przestał być antreprzyzą spekulacyjną, a usiłuje się stać instytucyą umysłową i literacką. Pod względem technicznym całość przedstawień jest wielce staranna, wystawa przyzwoita i dokładna, czasem nawet jak na nasze stosunki, wykwiutna. Pierwszorzędnymi artystami są: Rychter i pani Hoffmanowa, po nich idą Benda przyzwoity aktor i z talentem Fiszer. Inni nie psują całości. Komikę wyższą i niższą przedstawiają starannie *Zamojski* i *Ecker*. Personel kobiecy nierównie jest bogatszy. Stoi na czele pani Ekerowa, do ról naiwnych p. Urbanowicz, oraz p. Baumanówna. Role matki dobrze gra p. Wolska (siostra Rakiewiczów), wyborną subretką jest p. Kwiecińska; nareszcie dwie młode a obdarzone niepospolitemi wdziękami aktorki Bendówna i Kwiatyńska. Repertuar znakomicie podniesiony. Najwięcej zajmującym było przedstawienie fragmentu Mickiewicza: *Konfederaci*. Do prawdziwego artyzmu wnieśli się w roli *Marka Ładnowski*, w roli *Hrabiny* Hoffmanowa. Drugim zjawiskiem na scenie naszej była przedstawiona Słowackiego *Beatryx Cenci*, w którą główną rolę wybornie odegrała Hoffmanowa. Dawano całą seryę komedyj Fredry, w których głównie odznaczał się Rychter; przedstawiono z Szekspira *Otella*, *Hamleta*, *Króla Jana*, *Sen nocy letniej*; Szyllera: *Intryga i Miłość* i *Walenstejna*: było tu nieco do zyczenia. usterki jednak nie były rażące, a moralno kordyści z tych arcydzieł wielkie. Smak dobry oznaczał wybór komedyi, oprócz nowszych ujrzelśmy trzy komedye Moliera: *Skapca*, *Świętoszka* i *Doktora*

z *musu*. Staraniem dyrekcji teatralnej wychodzi dzienniczek p. n.: *Afisz teatralny* poświęcony sprawom teatralnym. W odcinku drukuje się dzieło Karola Estrejchera: „*Historja Teatru w Polsce*.” Dodamy do powyższej korespondencji, że ostatnia praca naszego znakomitego bibliografa obejmuje wiele nowych i nieznanych wiadomości, albowiem autor w niej daje nam obraz licznych prowincjonalnych teatrów polskich, wiodących koczujące życie.

— Jako ciekawość podajemy, że uczony Szwajcar Henne am Rhyn, w wydanem przez siebie dziele p. t. *Kultur-Geschichte der neueren Zeit, Leipzig 1870, bei Wigand w 8ce, w tomie I na str. 289*, mówiąc o zakonie Jezuitów, tak się wyraża: „W historii ich zakonu najwięcej odznaczyli się Piotr Skarga *Włoch*, zmarły 1612 r., który wydał *Żywoty świętych i męczenników z Towarzystwa Jezusowego*“.

Zdanie to objaśnienia już nie potrzebuje.

— W miesiącu kwietniu wyszły Tygodnika Ilustrowanego numer 223, 224, 225, obejmują artykuły z drzeworytami: Leszek Dunin Borkowski, — Wspomnienia z Niemiec p. J. Gordona, — Astronomia i Kepler, — Zamek Kamieniecki, — Jakób Waga, — Zbytek i Nędza, — Rysunki humorystyczne F. Kostrzewskiego, — Wójt Krakowski z wieku XV, — Polowanie na niedźwiedzia — Dawna bóżnica w Jurborgu, — F. Grillparzer. Powieści: Narzeczona Harambaszy przez T. I. Jeża, — Natalja Julii Kawanagh. Inne artykuły: Przy pługu, — Z wieczorów nad Tamizą, — Kroniki tygodniowe, — Kronika Zagraniczna J. I. Kraszewskiego, — Korespondencya z Krakowa, — Ze Świata myzycznego, — Pogadanki o rzeczach literackich i artystycznych, — Przegląd piśmienniczy, — Przeglądy polityki zagranicznej, — Rozmaitości, — Zadania Szachowe, — Rebusy. (Prenumerata roczna w Warszawie: rs. 8, na prowincyi pocztowa rs. 12).

— *Kłosów*, czasopisma ilustrowanego od 1 do 18 kwietnia r. b. wyszły trzy zeszyty 353, 354 355 obejmujące: Dersław z Rytwian. Powieść z XV wieku T. T. Jeża. Listy J. I. Kraszewskiego. Życie i obyczaje Czerwonych skór (Indian amerykańskich). Wykłady popularne dla kobiet, tudzież kurs wyższy nauk handlowych przy Muzeum Techniczno-przemysławem w Krakowie. Korespondencya z Węgier, życiorys Bogumiła Dawison. Wiadomości z pola literatury isztuki. Przegląd prasy peryodycznej. Biruta: Wyjątki z poematu Józefa Grajnera: „Rok w pieśni“. Literatura włoska. Wiadomość o niektórych mniej znanych rycinach. Kartki z wycieczki na wieś. Drugie cesarstwo we Francyi. Kościół Ś-tój Trójcy w Paryżu. Z obcego świata J. T. Hodi. Pokłosie. Bona Sforza. Przegląd muzyczny. Korespondencya z Drezna. Adam Ferdynand Adamowicz. Obrazki poleskie. Kalwarya Zebrzydowska. Urywki higieniczne i lekarskie. Polichromia. Z historii wynalazków. W każdym zeszytcie mieści się nadto przegląd polityczny.

† Dnia 11 Marca r. b. zmarł w powiecie Słonimskim, we wsi Żyrowicach, *Placyd Jankowski*, znany w literaturze pod pseudonimem „*John of Dycalp*.“ Był to pisarz niepośledniego

talentu, nieraz nawet miał chwile rzetelnego humoru. Życiorys jego szczegółowy i spis wydanych prac głównie w kroju powieściowym, znajdzie czytelnik w *Encyklopedyi Powszechnej*.

† Dnia 10 kwietnia r. b. w Warszawie zakończył życie mając 82 lat życia, *Stanisław Marszałkiewicz*, artysta malarz celujący szczególnie w miniaturowych robotach. To też jako miniaturzysta, w swoim czasie był najznakomitszym w kraju naszym. Wynalazek fotografii zadał cios stanowczy miniaturom.

OD REDAKCYI. 1. Panom: *Cezarowi M...* Warki, powiat Dziesieński; *Klemensowi Ch...*, Bachwa, Zwingorodka; *Karolowi P...*, Antoniny, Zasław gub. Wołyńska; *Piotrowi Alexandrowi W...*, Petersburg; *Adamowi P...*, Kupiele g. Wołyńska.

Redakcyja oświadcza, iż główną expedycją Biblioteki Warszawskiej zajmuje się wyłącznie księgarnia Gebethnera i Wolffa w Warszawie, która w pierwszych dniach każdego miesiąca za pokwitowaniem urzędowem oddaje na pocztę wszystkie zeszyty dla prenumeratorów pocztowych. Z pokwitowania takiego jest dowód, że zeszyty o które się panowie upominają, oddane zostały pocztcie w właściwym czasie i odeszły z Warszawy. Księgarnia Gebethnera i Wolffa zaraz po odebraniu zawiadomień panów podała zażalenie do zarządu Pocztowego i najdalej w ciągu miesiąca oczekuje na skutek poszukiwań. W każdym razie redakcyja o ile to jest w jej możności starać się będzie, aby straty nie poniósł żaden z tych prenumeratorów pocztowych, którzy przesłali prenumeratę wprost od siebie do księgarni Gebethnera i Wolffa. Przesyłka bowiem prenumeraty za pośrednictwem innych księgarń często staje się powodem nieporządku i opóźnienia.

2. Panu: *Piotrowi Alexandrowi Wereszczyńskiemu w Petersburgu*.

Boleje pan że grubijaństwo wtargnęło do literatury naszej, chociaż naród nasz na równi z francuzkim słynął za najwięcej ugrzeczniejszy. Prawda, smutne to zjawisko, chociaż większe z fabrykacyi makulatury jak w literaturze. Nie-szczęściem nauka coraz większy rozbrat bierze z wychowaniem, literaci nasi chłoną naukę, lecz nie wiedzą co z nią robić. Brak samodzielności w myśleniu, a przyczyna tego jasna. W miejscu zdolności i talentów mamy tylko miłość własną, organ najdrażliwszy. Wszystko jednak trzeba pozostawić losowi. Publiczność nasza poznaje dobrze gdzie jest więcej złości jak rozumu a jeszcze lepiej zna się na farbowanych lisach. Trzeba czekać jak zółć zupełnie się wyleje, to może na pociechę naszą coś czystsze go zobaczymy.

Niepodobna wytykać po szczególe każdemu pismu dziwołagów i skazania językowego. Praca taka przechodzi siły pojedynczego człowieka i objętość dziennika. Pozyteczniejsze pisma już występują z staranniejszym wykładem.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny **K. Wł. Wójcicki.**

Wydawca **Józef Berger.**

W drukarni J. Bergera przy ul. Daniłowiczowskiej Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 19 Апрель 1872 г.

JAN ŁASKI, REFORMATOR KOŚCIOŁA.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNO-BIBLIOGRAFICZNA.

Przez

Cypryana Walewskiego.

I.

Skreśleniem życiorysu Łaskiego zajmowali się dotąd:

1) Jan Fryderyk *Bertram*: Historia critica Joh. a Lasco, Aurich 1733 w 4-ce 3 tomy. Wspomina o nim Jocher: Obraz T. III, str. 593, nr. 9817. Wprawdzie *Bertram* nie zataił tak dobrego jak złego o Łaskim, lecz co się tyczy Polski, wielu rzeczy nie wiedział.

2) Ludwig *Harboe* hochverordneten Bischoffs in Seeland zuverlässige Nachrichten von dem Schicksale des Johann a Lasco und seiner aus England vertriebenen reformirten Gemeinde in Dännemark etc, aus dem Dänischen übersetzt von Christian Gottlob Mengel, Kopenhagen und Leipzig 1758, bei Friedrich Christian Pelt w 8-ce, 3 karty niel. i 286 stron, spisu 5 kart niel. W dziele tém ważném, od str. 3—132 jest życiorys Łaskiego połączony z wypadkami gminy reformowanych wypędzonej z Anglii.

3) Christian Gottlieb Friese Kirchengeschichte des Königreichs Polen etc. Breslau bey W. G. Korn 1786 w 8-ce 1-er Bd. 2-er Thl., od str. 274 do 335 skreśla żywot Łaskiego także i na źródłach polskich oparty.

4) Teodor Hasaeus: Comentarius de vita ac rebus gestis Joh. a Lasco, umieszczony w Bibliotheca Bremensis 1719. Class. I fasc 1, str. 162. Zbyt pobieżnie napisane.

5) Bartels Petrus: Johannes a Lasco, Elberfeld 1860, Verlag von R. L. Friederichs w 8-ce IV i 72 str. napisane dla uczczenia 300-letniej rocznicy śmierci Łaskiego. Bartels nie miał do-



kładnych źródeł, przezco skreślił całą jego młodość w zbyt ogólnych wyrazach.

Nakoniec obiecał nam dr. Kuyper z wydaniem trzeciego tomu ogłosić na nowych odkryciach spisany żywot Łaskiego, jednak bez dotykania źródeł polskich, które są ze wszech miar najciekawsze i ważne, czego dotąd jeszcze nie dopełnił. Posługując się powyżej wymienionemi życiorysami podajemy także jego żywot, o ile można dokładnie streszczony.

Jan Łaski pochodził z oddawna poważanej rodziny szlacheckiej herbu Korab w Wielkopolsce, która nazwisko swe wywodziła od własnych swych dóbr Łask w województwie Sieradzkim położonych. Ojciec Jana Jarosław wojewoda sieradzki, starszy brat Jana prymasa, ożeniony 1493 roku z Zuzanną z Bąkowej Góry (1) miał trzech synów: Jarosława albo Hieronima, Jana i Stanisława. Wszyscy trzej niepoślednią odegrali rolę w swoim czasie. Wyszędzszy z lat pachołęczych, które w domu swych rodziców spędzili, byli oddani na dwór kanclerza i prymasa mieszkającego wówczas w Krakowie, który chciał zbliżka czuwać nad ich początkowym rozwijaniem się zdolności umysłowych. Hojnie od natury uposażeni piękną rokując przyszłość, wysłani byli około 1516 r. do Paryża. Obrócili oni drogę na Zurich, gdzie nasz Jan zapoznał się z Zwingliuszem, który zbadawszy jego charakter, głównie zalecał mu czytanie Pisma Ś go. Wracając Jan z Francji wstąpił do Bazyli, gdzie zapoznał się z Erazmem Roterdamczykiem i przez kilka nawet miesięcy mieszkał u niego (2). Snadność i uprzejmość obyczajów Łaskiego najściślejszy skojarzyły między nimi związek. Erazm w kilku listach pisanych do różnych osób wychwala jego szczerość, otwartość, uprzejmość oraz skromność z nauką połączoną; rachując za najszcześniejsze chwile swego życia spędzone w jego towarzystwie. W końcu dodaje że obcując z nim prawie ożył i odmłodniał. Ubolewa téż za to nad jego rozstaniem i z prawdziwym żalem wynurza się w listach. Łaski nie tylko przez czas swego pobytu znacznym utrzymywał kosztem Erazma, lecz nadto zawarł z nim umowę o kupno jego biblioteki, której zostawując mu używanie do śmierci, połowę ceny od ręki wliczył (3). Łaski z żalem opuścił Erazma, jak się pokazuje z listu tegoż pisanego dnia 5 października 1525 roku, do Krzyckiego. Nie śmiał Erazm dłużej zatrzymywać Łaskiego, ponieważ, jak oświadcza w swym liście do niego z d. 8 marca 1526 r. pisany, iż wiedział, że go król Zygmunt wzywa do ojczyzny. Łaski wszędzie wyrażał się z wysokim dla Erazma szacunkiem szczącąc się nazwą jego ucznia. Ofiarował się nawet niektóre

(1) Z tegoż rodu co i Lanckorońscy pochodzą.

(2) Burigni vie d'Erasmie, Paris 1577, Tom I str. 550.

(3) Burigni tamże, Tom II str. 422.

jego dzieła tłumaczyć na język polski. Erazm (1) pragnął, aby jego pisma tłumaczone na różne języki, rozchodziły się po świecie dla przytłumiania potwarzy, jakimi go mnisi i kacerze obrzucali. Wdzięcznie przyjął to oświadczenie Łaskiego i nawet doradzał mu, aby rozpoczął od dzieła *de honesta vivendi ratione*, czego jednak Łaski nigdy do skutku nie doprowadził.

Za powrotem do ojczyzny Jan obrawszy sobie stan duchowny, wnet za staraniem stryja swego a wówczas prymasa, otrzymał bogate beneficya. Najprzód mianowany kanonikiem gnieźnieńskim, a w rok potem został dziekanem. Zygmunt I, król, dawszy prezentę Janowi Łaskiemu dziekanowi gnieźnieńskiemu na probostwo kolegiaty N. M. P. w Łęczycy, pisał za nim z Krakowa dnia 26 kwietnia 1525 roku do papieża Klemensa VII-go o zatwierdzenie go na téj godności (2).

W aktach kapituły płockiej (3) czytamy, iż na listowne przedstawienie Leona X-go papieża i Zygmunta I króla Polskiego do tejsz kapituły uczynione, mianowany był dnia 15 maja 1525 r. kustoszem katedralnym płockim Jan syn Jarosława Łaski dziekan gnieźnieński. W listopadzie 1526 roku, Zygmunt I król jako kollator dał prezentę ks. Łaskiemu na probostwo w metropolii gnieźnieńskiej, wakujące po ks. Jędrzeju Krzyckim, który został biskupem przemyskim (4).

Zaś 1527 r. czytamy go już proboszczem gnieźnieńskim i łęczyckim. Zygmunt I, król wysłał go w poselstwie do dworu francuzkiego i hiszpańskiego; lecz w jakim interesie, nie wiadomo, gdyż trudno oznaczyć czas dla braku dowodów. W podrózach swych stykał się zwykle z Zwingliuszem i Erazmem, a bliższe z nimi obcowanie głęboko wpłynęło na jego przekonania religijne. Zakradł się niepokój do jego duszy toczący przez lat dziesięć wewnętrzną w nim walkę. To jednak pewna, że gdyby go były nie miały godności duchowne, byłby wyleczył się z swojej choroby i pozostał wierny katolicyzmowi.

Brat jego Jarosław mianowany 1525 roku wojewodą siedmiogrodzkim posiadał wielkie względy u Jana Zapolyi księcia siedmiogrodzkiego, którego po śmierci Ludwika pod Mochaczem namawiał, aby się postarał o koronę węgierską. Jan obiecał zaś Łaskiemu, jeżeli musi się to uda, oddać Siedmiogród. Pobity Jan schroniwszy się do Polski wyprawił Jarosława w poselstwie do Stambułu dla przeciągnięcia Turków na jego stronę. Ujęci obietnicami Turcy wpadli do Węgier i doszli 1529 r. aż pod Wiedeń, wszędzie roznosząc pożogę i zniszczenie. Wówczas Jan Zapolya oddał Łaskiemu zamek Kezmark i inne miasta, a bratu jego Jano

(1) Obacz Listy Erazma, wydanie londyńskie, Księga 18-a i 19-a.

(2) Ob. Metr. Kor., Ks. 39, karta 369 i 70.

(3) Ob. Acta Capit. Cathedr. plocensis, vol. II karta 188; rękopism.

(4) Ob. Metr. Kor. ks. 40 str. 301.

wi udzielił nominację na biskupstwo wesprymskie. Ferdynand król dowiedziawszy się z pewnego źródła, że stryj tychże prymas pożyczyl pieniądze na podtrzymanie króla Jana i Turków, że w dobrach prymasa w Wielkopolsce była wyrabiana broń i amunicja przesyłana następnie do Węgier i Austrii Turkom, oskarżył go więc przed królem polskim i przed papieżem. Prymas uniewinnił się przed królem zwalając wszystko na Jarosława; lecz w Rzymie nie uwierzono temu i zażądano usprawiedliwienia się. Papież Klemens VII rzucił klątwę na prymasa i nakazał stawić mu się osobiście w Rzymie, zowiąc go w swym liście archidiabolus zamiast archiepiscopus. Wyrzuca mu na oczy dopuszczenia się tak niecznych czynów i że nie tylko zastawił wszystkie dobra biskupie, lecz wyrabiał broń i amunicję i takową dostarczał Turkom do Węgier i Austrii. Synowcowie jego doznali także skutków jego gniewu. Jarosław utracił wszystkie dobra na Węgrzech, a nasz Jan biskupstwo wesprymskie, prymas zaś ciężko tym zgryziony zachorował i wkrótce umarł 1531 r. w Kaliszu (1). Niedługo potem nadeszła wiadomość z Węgier o uwięzieniu Jarosława przez króla Jana Zapolę. Dotknięci tym nieszczęściem dwaj jego bracia Stanisław i Jan wszelkich dokładali starań o jego wyzwolenie. Senat nawet polski poczytał dla siebie za ujmę podobne uwięzienie jednego ze swych spół-senatorów i wyprawił osobne w tym celu poselstwo do króla Jana, przekładając mu swą zniewagę. Na prośby naszego Jana biskup Tomicki pisał do króla Zygmunta bawiącego naówczas w Wilnie, aby i on ze swjej strony raczył wstawić się własnem poselstwem do króla Jana za swoim senatorem. Sam Jan Łaski wyjechał do Węgier i wnet ztamtąd pisał do biskupa Tomickiego donosząc mu szczegółowo o wszystkiem. Tomicki w odpowiedzi swjej dziękuje mu za udzielone wiadomości i radzi odwołać się wprost do serca i łaski króla Jana, a jednocześnie zachęcić przyjaciół do wspólnego działania. Jan Łaski wszelkich probując środków do uwolnienia brata napisał z Kezmarku pod dniem 16 października 1534 roku list do królowej Bony, w którym tłumacząc się że mocno strapiony uwięzieniem brata Jarosława, popadł w bardzo ciężką chorobę, co spowodowało, iż tak późno ucieka się do łaski i opieki królowej, która jednak mimo tego swem stawiennictwem wiele już wpłynęła na króla a pana naszego miłościwego, iżby się upomniał o uwolnienie brata mego. Najpokorniejsze składając jēj dzięki błaga ją, aby z łaskawości swjej staranie to do końca doprowadzić raczyła (2).

Wiadomo tylko, że Jarosław w początkach 1535 roku uwolniony został z więzienia na usilne starania Jędrzeja Tęczyńskiego kasztelana krakowskiego, powracającego wówczas z Jerozolimy.

(1) Micler acta litter. Reg. Pol. A. 1755 Tom II str. 97; acta Tomicioana Tom 8 str.

(2) Autograf tego listu znajduje się w bogatej, lecz dziś nie dostępnej bibliotece ordynacyi Zamoyskich w Warszawie.

Kiedy zaś nasz Jan powrócił z Węgier, dotąd nie doczytaliśmy się nigdzie. Niedługo jednak za powrotem starał się Jan Łaski przez swych przyjaciół o wakujące po śmierci ks. Jana Karnkowskiego (1) biskupstwo kujawskie, które mu odmówiono, będąc poświadczony w Rzymie o nowinki religijne. Łaski zniechęcony swym niepowodzeniem, a zostając w ciągłych z reformatorami stosunkach, gorąco zapragnął zreformować kościoły na podawanych przez Erazma zasadach, li tylko z pomocą samego duchowieństwa i monarchów. Jednak usiłowania jego w tym kierunku okazały się bezowocne, i tém więcej jeszcze wpłynęły na umysł Łaskiego, który stanowczo umyślił zerwać z Kościołem Rzymskim. Nim jednak opuścił ojczyznę 1540 roku, zawiadomił o tém listownie króla Zygmunta I i za zezwoleniem tegoż (2) udał się do Niemiec. Następnie przez Holandya pojechał do Brabantu i ożenił się w Leodium z córką ubogiego mieszczanina, zkąd przeniósł się do wschodniej Fryzyi i stale osiadł w Emden. Wnet wiadomość ta doszła do ojczyzny. Był to pierwszy przykład podobnego wykroczenia w Polsce a niesłychany w dziejach, nie mógł ująć bezkarnie. Bawiącemu więc zagranicą Jakób Uchański prymas odebrał wszystkie jego beneficya kościelne i rozdał duchownym; przyczém najsurowiej mu zabronił powrotu do ojczyzny.

Tu nadmienić należy, że probostwo i kanonię gnieźnieńską fundi popowa góra otrzymał wtedy ksiądz Jan Naropiński. Czytaliśmy akt przed notaryuszem w Krakowie dnia 7 lutego 1542 r. spisany między Stanisławem Łaskim kasztelanem przemętskim w imieniu brata swego Jana, a ks. Janem Naropińskim, mocą którego ks. Jan Łaski rzeka się dobrowolnie wszelkich praw do dochodów z wyż rzezonego probostwa i kanonii gnieźnieńskiej z warunkiem, iżby ks. Naropiński rezygnując zczasem też prebendy, zcedował je na rzecz Stanisława syna kasztelana a synowca ks. Jana Łaskiego. Także akta kapituły Krakowskiej podają pod rokiem 1542, że ksiądz Jan Łaski oczyszczał się in Capitulo z potwarzy o małżeństwo; lecz zwał to wszystko na swą podróż, kiedy jeździł do brata Jarosława w Kezmarku na Węgrzech, a która dała powód do onej suspicyi na niego i upraszał aby był przywrócony do czci i swoich prebend. Kapituła przyjęła jego deprekacyą, lecz nie długo potem zrezygnował i kanonią krakowską (3).

Łaski zostawszy r. 1542 kaznodzieją w Emden, zajął się urządzeniem kościołów we Franekerze. Pierwsze lata swego tu pobytu spędził na pracy i naukach, a dla nieznamości języka miejscowego nie przyjął ofiarowanego sobie tamże urzędu superintendenta. Hrabina Anna rejentka wschodniej Fryzyi słysząc tyle o Łaskim, wezwała go dla porozumienia

(1) Umarł 1538 r.

(2) Jak sam o tém mówi w przypisaniu swego dzieła: Forma ac ratio i t. d. Zygmunтови Augustowi, datowaném dnia 6 września 1555 r.

(3) Łętowski, Katalog Tom III str. 288.

się z nim o przeprowadzenie reformy kościołów i mianowała go 1544 roku superintendentem. Łaski przyjął urząd, lecz z warunkiem że na każde wezwanie swych współziomków zwolniony będzie od przyjętych obowiązków. Stanowisko Łaskiego jako superintendenta nie było łatwem. Z jednej strony dwór zostając ze względów politycznych pod wpływem katolickiej Austrii i sąsiedniego Brabantu, nie raz krępował jego prace i zmuszał go do kilkakrotnego wyjazdu; lecz Łaski nie zważając ani na osoby ani na wypadki, postanowił niezbędnie przeprowadzić swe nowe urządzenia. Z drugiej strony inni sekciarze jak Menno Simons i Dawid Joris zbyt utrudniali mu jego działalność w Emden i nie jednego nabawili kłopotu. Łaski często przemawiał o Marcynie Lutrze, odzywając się bardzo pogardliwie, że doktor Marcin jestto chłop niedouczek (1). Mimo wszelkich przykrości nie chciał jednak porzucić rozpoczętej swój pracy i odmówił prośbie księcia Alberta, który go wzywał na superintendenta wszystkich kościołów. Łaski odbywał przytém dalekie w rozmaite strony podróże: chodziło mu bowiem o porobienie znajomości z rozmaitymi teologami Europy zachodniej o zgromadzenie około siebie jak najliczniejszej trzody równie myślących i o upewnienie jakiejś stałej siedziby dla swój owarzni, którą odpychały dotąd zacięcie wszystkie odcienia ówczesnego protestantyzmu; gdyż wyobraźnia Łaskiego sięgała wyżej jak nauka Lutra i Kalwina.

Najważniejszą pracą Łaskiego w Emden było utworzenie zboru pastorów wschodniej Fryzyi, którego celem było wyższe kształcenie pastorów, wzajemne nad sobą czuwanie, jedność w nauce, roztrząsanie potrzeb zborów, tudzież wspólna pomoc i porozumiewanie się w spełnianiu obowiązków pasterskich. Łaski doskonale pojmował że wszelkie odosobnianie się pastorów i brak poczucia łączności, zgubne wywiera skutki tak na pojedyncze zbory jak i na powszechnie. Zrozumiał, że najlepszym środkiem wyrwania zborów ze stanu odrętwienia i bezwładności, jest praca duchownych wspólnymi siłami i wzajemne wspieranie się radą i doświadczeniem, jak niemniej wspólny nadzór nad sobą samym tak pod względem nauki i życia. Zbór (coetus) Łaskiego odpowiadał mniej więcej synodom i naradom pasterskim w innych krajach, a przetrwanie tej jego instytucji aż do dni naszych, najlepszym jest dowodem użyteczności i żywym pomnikiem jego zabiegów. Zaprowadzenie nabożeństwa na podstawach czysto biblijnych jak za czasów apostołskich, urządzenie ścisłej karności kościelnej przez czuwanie nad moralnością członków zboru, obszerna korespondencya z reformatorami Niemiec i Szwajcaryi dla zupełnego zbliżenia luteranów z reformowanymi w nauce o wieczerzy Pańskiej, nie dozwoliły Łaskiemu wiele zajmować się pracami literackimi.

Bardzo dobrze wiodło się Łaskiemu do 1548 roku w Emden. Wówczas umiera w Anglii Henryk VIII, król, a zasiada na tronie

(1) Ob. Harboe str. 70.

Edward VI, który chciał zaprowadzić reformację w swym kraju. Łaski zalecony będąc przez Piotra Martyra i Wilhelma Turnera Tomaszowi Kranmerowi arcybiskupowi Kanterbury, został wezwany do Anglii dla przeprowadzenia nowego urządzenia kościołów. Książę Sommerset wuj królewski, który wszystkiém rządził, sam napisał listy do Łaskiego i do hrabiny Anny rejentki Fryzyi. W tym samym właśnie czasie zwycięzki Karol V. cesarz, nakazał w całych Niemczech wykonanie narzuconego przez siebie protestantom tak zwanego *Interim*, zacierającego w znacznej części najwybitniejsze cechy protestantyzmu w nauce i obrządkach. Początkowo Łaski ociągał się ze swym wyjazdem do Anglii; lecz w końcu postanowił wyjechać. W powyżej przytoczoném przypisaniu wspomina, że otrzymał na to pozwolenie od Zygmunta I i Zygmunta Augusta. Wyjechał z Emden na trzy dni przed nadejściem powyższego interim, umyślnie przysłane tu przez cesarza wraz z edyktem swym dla ogłoszenia go publicznie. Godneto jednak zastanowienia, że Łaski podczas tój podróży przybrał cudze nazwisko i zmienił swój ubiór. Przez Holandję, Brabant i Flandryę udał się do Calais i dnia 7 września stanął na ziemi angielskiej. Pisał najprzód z Antwerpii do duchownych wschodniej Fryzyi, uwiadomiacząc ich o swój podróży i upraszał aby mylnie nie tłumaczyli sobie jego odjazdu. Pisał następnie z Windsoru: w liście tym pociesza ich z powodu tak surowego rozkazu cesarza i obiecuje wkrótce powrócić, skoro tu tylko urządzi swe sprawy. Edward VI król angielski dozwolił reformowanym wolnego wyznania wiary w swém państwie. Listem (1) swym otwartym nazaczył Łaskiego już od dnia 24 lipca 1548 roku superintendentem zboru cudzoziemców w Londynie, którzy dla religii uciekli z Francyi, Włoch, Niemiec, Holandyi i Szkocyi. Nadto obdarzył ich swobodami i nadał nazwę urzędową: „Kościołów cudzoziemskich”, a dla odprawiania nabożeństwa przeznaczył im kościół po księżach Augustyjanach. Urządziwszy się tu nieco Łaski wybiegł na krótko do Emden, gdzie wielce strapioną znalazłszy gminę, oświadczył jój, że więcéj należy słuchać Boga jak cesarza. Rozkaz bowiem cesarski obejmował, iż ci, którzy temu opierać się będą, utracą swój urząd. Doświadczył tego i Łaski; wnet oczerniony i oszkalowany, został oskarżony o ułożenie jakiegoś tajemnego traktatu Anglii z Polską przeciwko cesarzowi. Chociaż wkrótce wyjaśniły się rzeczy i królowie Polski i Angielski poświadczyli jego niewinność, jednak rząd czyniąc zadosyć rozkazowi cesarza złożył go z urzędu. Łaski zażądał uwolnienia i od gminy, lecz ta dała mu tylko na pewien przeciąg czasu. Dnia 25 września 1549 r. dany był dla niego wielki obiad, na którym znajdowało się wielu jego towarzyszy i obywateli. Najlepsze otrzymawszy świadectwa wyjechał dnia 7

(1) List ten królewski jest wydrukowany w dziele Joachima Westphalus: *Iusta defensio adversus insignia mendacia Joannis a Lasco Argentinae 1557 w 8-co sig. M.*

października wraz z żoną i dziećmi do Bremy, gdzie zatrzymał się u Hardenberga. Przy końcu lutego 1550 r. pisał do Emden pocieszając swą gminę, a dnia 5 kwietnia wyjechał do Hamburga gdzie się zapoznał z superintendentem Janem Aepinus. Tu otrzymał list od Zygmunta Augusta króla pisany z Krakowa dnia 3 lutego, w którym poświadcza jego niewinność. Ostatnich dni kwietnia popłynął do Anglii. Nowe czekały go tu kłopoty. Zawistni reformatorowie angielscy, jak: Bucerus, Fagius i Kranmer podejrzewając go o zmienność zdań, wyłączyli go od siebie i poczęli od niego stronić. Łaski zaś dla większego poparcia nauki Zwingliusza o wieczery Pańskiej ogłosił drukiem 1551 roku w Londynie traktat Bullingera (1). W następnym roku nie tylko przychylił się do umowy szwajcarskiej, lecz niemal potwierdził ją wydaniem osobnego traktatu o Sakramentach (2). Dziełko to przypisał królowi Edwardowi i przyłączył doń wspomnianą umowę zurychską. Umowa ta stanęła 1549 roku między Kalwinem a Szwajcarami w Zurichu. Kalwin zgadzał się poprzednio we wszystkim z Marcinem Lutrem i dopiero na zjazdach w Worms i Regensburgu odstąpił od zdań Lutra, inaczéj wykładając formę sakramentalną. Z przywiedzonego traktatu Łaskiego wiadomo nam, czego nauczały kościoły szwajcarski i angielski, między którymi chciał koniecznie Bucerus utworzyć zgodę. Wystąpił słynny naówczas duchowny w Hamburgu Joachim Westphalus i tegoż jeszcze roku wydał pismo przeciw Kalwinowi, Zwingliuszowi i Janowi Łaskiemu pod tytułem:

Farrago confusaneorum et inter se dissidentium opinionum de coena Domini ex Sacramentarium libris congesta, Magdeburgi 1552 w 8ce.

W piśmie tém zamierzył wykazać, że reformowani nie zgadzali się sami z sobą w swych wykładach o wieczery Pańskiej. Pod ten czas bawił Łaski w Prusach u księcia Alberta, który koniecznie pragnął go sprowadzić do Polski. Sam król angielski pisał w tym względzie do króla polskiego, a Jan Łaski w jednym liście pisanym w tedy z Królewca do Wawrzyńca z Przasnysza donosi, że po trzykroć pisał do króla ofiarując mu swe usługi i oczekuje tylko na nie odpowiedzi (3). Niedługo jednak powrócił do Anglii, już bowiem w sierpniu 1552 r. znajdował się w Londynie. Nagle wielka zaszła zmiana w Anglii, że śmiercią Edwarda VI, która nastąpiła d. 5 lipca 1553. Zasiadła na tronie siostra jego Marya wychowana w wierze katolickiej. Wszystko więc co było przeciwne religii katolickiej postanowiła niszczyć i gnębić ogniem, mieczem i więzieniem. Jan Łaski, mając wzbронione sobie publiczne wyznawanie wiary, a bojąc się uledez jakiemuś zbyt twardemu losowi, wyjednał u królowej Maryi pozwolenie na wolny wyjazd

(1) Obacz niżej między pismami nr. 1.

(2) Obacz niżej nr. 17.

(3) Węgierski Hist. eccles. Slavon. str 213.

dla siebie i całej gminy składającej się już wówczas z 4 kaznodziejów i 175 spółwyznawców. Postanowił z całą swą gminą przenieść się do Danii. Napisał najprzód do króla Krystiernia III uważanego wtedy za mędrca swego wieku. Następnie wynajął dwa duńskie statki stojące na Tamizie i d. 17 września 1553 r. opuścił brzegi Anglii w Gravesand. Łaski wraz z żoną i dziećmi także z Mikroniuszem i Utenhofem popłynęli mniejszym statkiem, i przybyli d. 29 października do Helsingöhr. Król przebywając podówczas w Koldyndze, polecił Magistratowi Kopenhagi ściągnąć jak najskrupulatniejsze wiadomości, w jakim oni tu celu przybywają i zarazem odebrać od nich przysięgę, że spokojnie się zachowają i nic zdróżnego przeciw ustawie rządowej nie przedsięwezmą. Nim jednak przyszło do badania, Jan Łaski z Mikroniuszem i Utenhofem, pojechali łądem d. 31 października z Helsingöhru do Koldyngi dla osobistego rozmówienia się z królem.

Za przybyciem swém zaprosili do siebie Pawła Noviomagus kaznodzieję królewskiego, aby wstawiennictwem swém wyjednał u króla dla nich wolne wyznawanie wiary, jakiego dotąd używali w Anglii. Noviomagus ubolewając nad ich smutnym położeniem, obiecał przedstawić to królowi i wyrobić dla nich posłuchanie. Tymczasem Łaski głośno się oświadczał, że lekceważy sobie naukę Lutra, czém wiele sobie zaszkodził. Otrzymali oni posłuchanie d. 10 listopada. Poprzednio wysłuchać musieli kazania w kaplicy zamkowej, jakie miał do nich Noviomagus; w kazaniu tém surowo powstawał na kacerstwo, a osobliwie na Sakramentaryuszów, jak ich nazywał. Łaski urażony o to, dopraszał się po kazaniu u króla o pozwolenie odbycia dysputy z Noviomagem. Odpowiedziano im, aby podali to na piśmie, co mają mu do zarzucenia, a ponieważ są innych przekaonń co do Komunii Ś., jeżeli tych nie zmienia, trudno im będzie dłużej pozostać w Danii dla wybuchać mogących niespokojności. Łaski starał się przejednać dla siebie dwór królewski i zaniósł skargę na Noviomaga o złe pojmowanie Sakramentów. W skutek tego wszystkiego uwiadomiono ich d. 17 listopada, że jeśli uparcie obstawać chcą przy swój nauce, to nie mogą być cierpiani w kraju, gdzie już jest wprowadzone wyznanie wiary ewangelickie według konfesyi augsburskiej, dla niewywołania nowych rozruchów. Osobista nienawiść Noviomaga do Łaskiego i nieszczęsne roznamiętnienie pastorów w sporach teologicznych, odmówiły im przytułku pomimo współczucia króla i mieszkających dla tych nieszczęśliwych wygnańców. Naznaczono im dzień do wyjazdu. Król zapłacił za nich w oberży i dał jeszcze sto talarów na drogę. Dwajsynowie Łaskiego Jan i Hieronim pozostali przez zimę wraz z swoim nauczycielem Bogumiłem Wyner w Kopenhadze.

Wśród wichrowi najprzykrzejszójzimy zmuszeni byli w sposób gwałtowny i dziwnie nie ludzki opuścić niezwłocznie w początkach grudnia brzegi Danii. Z wielkiem niebezpieczeństwem życia przy-

byli na drugą stronę morza do Niemiec północnych. Łaski wprost udał się do Emden, dokąd i część zboru londyńskiego przybyła. Reszta zaś osiadła w Frankfurcie nad Menem i uorganizowała się w zbór cudzoziemski, do którego przybyli i ci członkowie z Londynu, którzy nie mogli wraz z Łaskim opuścić Anglii. Zaraz za przybyciem do Emden Łaski napisał list pod d. 11 grudnia 1553 r. (1) do Krystiernia III króla i przesał przez służącego królewskiego, który go tu odprowadził. W liście swym wystawiając wielką pobożność króla i znakomite jego cnoty, przymyślał przytęm tyle zółci, niesmaku i słów zelżywych, iż z łatwością odgadnąć było można jego usposobienie i nienawiść do kościoła Duńskiego. Międzyinnemi tak mówi: „Żeś nie tylko mójkościół, ale też prawie powszebytni Krystusówkościół, dopuścił przed sobą niesłuszném posądzaniem, a nie wiem zkąd wymyślonymi potwarzami sromocić i potępiać. Druga przyczyna, iżeś nie moje, ale Krystusowekościóły tyraństwem antykrystowem rozproszone, a mnie zwierzone, tak przyjął, gdy się do ciebie ufając pobożności twój uciekły, a wspomżenia twego przez mię w imie Chrystusowe prosili, iżby byli przyszli do poganów, w tēm nic nie wątpię, żeby je daleko łaskawiej było przyjęto. A tak abyś wyrozumiał, iżeś przeciwko Bogu i przeciwko jegokościółowi ciężko wystąpił, obadwa grzechy tu po jednym położę tobie przed oczy i t. d. (2)”.

Takimi to dotkliwemi i twardemi wyrażeniami jest cały list przepełniony. Za wszelkie dobrodziejstwa króla Krystiernia tak niewdzięcznie odplacił mu się Łaski, którego osoby sam król rzeczywiście się obawiał. Łaski uważany był w Danii za człowieka błędne rozsiewającego zdania, co chciał wszystko burzyć i na swój sposób przeciwstawić. Podobne o nim zdanie wyraził i Melancthon w liście pisanym d. 7 lipca 1556 r. do Camerariususa (3). Dania, która już wówczas urzędownie przyjęła zasady nauki Lutra, to głównie zarzucała Łaskiemu i jego gminie, że bez otrzymania pozwolenia królewskiego i bez poprzedniego uwiadomienia o chęci wylądowania na brzegach Danii, w pierwszej zaraz prośbie zażądali od króla, aby zezwolił im osiedlić się w swém państwie i odprawiać publicznie nabożeństwo według swojej liturgii. Nadto przy pierwszej swój dyspacie z teologami królewskimi wyrzekli, że nie dbają o naukę Lutra, stanowczo ją jako błędną odrzucają i radzą im, aby się od nich uczyli prawdziwej naukikościół (4).

Łaski za powrotem do Emden zajął się 1554 r. wydaniem katechizmu dla miejscowychkościółów. Rozmaici wychodźcy przybywali z Holsztynu i z Anglii i rozchodzili się potem do Stras-

(1) Łaski, Opera T. II str. 687.

(2) Obacz Cypr. Bazylika historia o srogiēm prześladowaniukościół i t. d. Brześó litewski 1567 fol. 394.

(3) Harboe zuverlässige Nachricht str. 73.

(4) Dr. Löscher historia motuum lib. III str. 107.

burga, Weselu i Zurichu. Łaski pisał listy do Jana Alberta księcia Meklemburgii i do Gustawa króla Szwecyi z prośbą o wolny pobyt dla jego współwyznawców. Meklembur mocno się tém przeraził, co zaszło w Danii i nie chciał słyszeć. Gustaw zaś odpisał że jeżeli chcą, to w każdej chwili przybyć mogą; jednak Łaski nie korzystał z pozwolenia. Czując tylko, że i mieszkańcy Fryzyi więcej przechylają się do konfessyi augsburskiej, opuścił Emden i w końcu kwietnia 1555 r. wyjechał do Frankfurtu, gdzie największa część jego spółwierzyców przebywała. Tu na nowo udawali zgodność swęj nauki z wyznaniem augsburskiem i starali się przekonać miejscowego pastora Hartmana Bayer, iż zupełnie się z niem we wszystkiem zgadzają. Magistrat oddał im nawet osobny kościół, lecz po jakimś czasie, gdy od swęj liturgii odstąpić nie chcieli, byli zmuszeni wynieść się z miasta.

Spór o Sakrament nieprzerwanie istniał po pismach. Kalwin pisał przeciw Westphalowi, a ten znowu odpowiadał. Także Jan Timann pastor Bremeński wydał swoją Farrago i przydał list Jana Bugenhaga, który pisał do niego d. 1 września 1554 r. i w nim Jana Łaskiego nazywa Erro (hultajem), a jego naukę uważa za bluźnierczą. Dotknięty tém Łaski kazał na nowo wydrukować całą liturgię wygananego kościoła angielskiego i na czele zamieścił list do Zygmunta Augusta króla pol., w którym głównie odpowiada na zarzuty mu uczynione w piśmie Timanna z Bremy. Wyszła ona pod tytułem: Forma ac ratio, obacz niżej między pismami Nr. 21. Wygnańcy angielscy uskuteczнили także nowe wydanie liturgii we Frankfurcie nad Menem, przejrane i potwierdzone przez miejscowy Magistrat.

Łaski zajął się w Frankfurcie owemi niepokojeniami kościoła reformowanego, osobliwie gdy utworzyło się pytanie: czy oni mogą się nazywać współwyznawcami augsburskimi. Przeczując jednak, że nie długo tu już pozostaną, a chciał przed odjazdem do Polski zapewnić bezpieczne schronienie dla swęj gminy, wyjechał w początkach lipca 1556 r. do Wirtembergii dla urządzenia tam gminy na sposób Frankfurcki. Za przybyciem do Sztutgardu odbył dysputę o wieczery Pańskiej z Brenciuszem i innymi teologami wirtemberskimi. Łaski obstawiał przy swoim, że on i jego kościół wcale się nie różni od konfessyi augsburskiej. Brencius zaś w liście z dnia 14 lipca t. r. tak pisze do Piotra Burbacha w Frankfurcie: „Łaski nie chce zgłębiać i poznać prawdziwego rozumienia słów o wieczery Pańskiej i pragnie tylko oszołomić nieświadomych, że on i jego kościół wcale się nie różnią od konfessyi augsburskiej, a z tego powodu i książkę zapewne go opuści”. Brencius w innym liście pisany d. 2 września 1556 r. do Hartmana Bayera w Frankfurcie mówi: Łaski nie mógł odpowiedzieć na stanowcze argumenta o obecności ciała Chrystusowego, lecz tylko swą starą piosnkę powtarza i nie wie, jak się z tego wykręcić. I że on (Brencius) zupełnie jest przekonany, iż Łaski i jego zwolennicy nie trzymają się wcale konfessyi augsbur-

skiej. Ze zaś w r. 1555 zawarty został ów znany w dziejach pokój Augsburski (pax augustana), byli więc tacy, co utrzymywali, iżby postąpiono wbrew zasadom tegoż pokoju, jeśliby dłużej cierpieli wygnańców, Zwinglianów i Sakramentarzów z ich gminami: gdy pokój ten służył tylko tym, którzy się otwarcie przyłączają do konfessyi augsburskiej. Z tego więc względu wygnańcy powinni albo dowieść, że są współwyznawcami konfessyi, albo, jeżeli rzeczywiście do niej nie należą, zdanie swoje odmienić. Owoż pierwsze z tego Łaski usiłuje dwojako okazać i odpowiada w imieniu swęj gminy w Frankfurcie nad Menem na obelgi i wymysły wynikię z niepojęcia prawdziwéj religii, jakoby nauka ich o obecności Jezusa Chrystusa w wieczerzy Pańskiej nie zgadzała się z nauką wyznania augsburskiego. Takowe oczyszczenie się podpisali Jan Łaski, Walerandus Pollanus, Wilhelm Holbrach, Robert Horn, i Piotr Dathenus i przypisali je Magistratowi miasta Frankfurtu. Pierwój jednak posłali do przejrzenia Kalwinowi do Genewy, w piśmie tém oświadczają: że nie przywiązują się ściśle do konfessyi augsburskiej, a miłości chrześciańskiej i braterstwa nie chcą ścieśniać artykułami téjże konfessyi. Z tąd więc ci wszyscy którzy nie przystają na to dosłownie, winni być wykluczeni od kościoła Bożego, a spór, jaki między nami istnieje, zniknie. Porównajmy tylko z sobą artykuł 10 i 13 konfessyi augsburskiej i następnie objaśnijmy je wedle pism tych autorów, co ją układali. Sądziłem bowiem, że poprze ich w tém Melanchton i cały spór załagodzi. Jednak i Melanchton i Kalwin usunęli się od tego i przycichli zupełnie,

Łaski nie mogąc nigdzie długo się utrzymać, wszędzie przyjmowany i traktowany z pewną podejrzliwością i złorzeczeniem postanowił, po dwudziestoletniej niebytności powrócić do ojczyzny. Widocznie zatęsknił na starość do miejsc rodzinnych, tém więcej, że żadnych nie widział przeszkód stawianych ku temu. Przesłał najprzód do Polski swą książkę o nauce i organizacyi zboru cudzoziemskiego w Londynie, na wzór którego pragnął wprowadzić do Polski nową reformacyę, jednającą sobie coraz więcej zwolenników. W przypisaniu swém do króla, Senatu i Stanów Rzeczypospolitéj upomina, że stanowcza nadeszła dla Polski w jéj dziejach chwila nawiedzenia Pańskiego. Łaski ze swego stanowiska uważał podobnie jak i Mikołaj Radziwiłł, zgubne skutki w powstrzymaniu się przyjęcia reformacyi, zrywał więc naród do szczyrego a zupełnego przechylenia się na jéj stronę. Łaski przeczuwał jako wyższy myśliciel i reformator w pojęciu czystéj ewangelii źródło błogostawieństwa Bożego, a w odrzuceniu jéj, źródło nieszczęść i klęsk dla kraju. Niemordowany w swych zabiegach o połączenie lutrów z reformowanymi, przed swym powrotem do Polski odbywał po różnych miejscach dysputy z teologami i umyślnie nawet jeździł do Wittembergi dla naradzenia się z Melanchtonem, iżby bez udziału panujących zwołać wszystkich teolo-

gów na Sobór powszechny. Łaski nie ośmielił się bez pozwolenia króla powracać do Polski; wyprawił więc umyślnego z listem i z książką, którą przypisał królowi. Nadto osobno upraszał księcia Radziwiłła wojewodę wileńskiego iżby wymiarkował, czyby mógł swobodnie powrócić do kraju. Zygmunt August w liście swym odpowiedział mu, że nie wzbrania powrotu i jeżeli chce powracać, radzi mu wstrzymać się do jesieni, gdyż wtedy na zwołać się mającym sejmie coś pewnego względem religii postanowioném będzie. Nim jednak przybędzie, powinien poprzednio publicznie przekonać i dowieść jedności swój z konfessją augsburską, osobliwie co do artykułu o wieczery Pańskiej (1). Postaniec prócz odpowiedzi królewskiej przywiózł mu różne listy od jego przyjaciół i krewnych, jakimi byli Stanisław Myszkowski starosta malborski, Jan Bonar, Ostrorogowie, Wojciech Łaski, Jan Filipowski, a osobliwie Mikołaj książę Radziwiłł. Wszyscy namawiali go do powrotu, zapewniając, iż chętnie widziany będzie od swych znajomych, wysoko będąc poważany przez sekty religijne, które się szeroko po całym kraju rozpostarły. Wówczas bowiem jedna tylko Polska stała dla wszystkich otworem.

Łaski odebrawszy odpowiedź królewską wyjechał w początkach października 1556 roku do Wittenbergi dla widzenia się z Melanchtonem, który przy fėj sposobności ciekawy napisał list do króla Zygmunta Augusta tėj treści: „Obecnie Królestwo Polskie jest przedmurzem przeciw Turkom poganom, za co Europa ma wiele do podziękowania. Lecz byłoby jeszcze do życzenia, aby i światło Ewangelii zabłyśło w tэм państwie, gdzie król jako mądry pan sam dopatruje, jakie się to wkradły nadużycia w kościele papieżkim. Sam winien dobadać się powodów przez czytanie pism Hozyusza i innych przeciw reformacyi wydanych. Konfessya Augsburska obejmuje w sobie samą treść nauki luterskiej i z tego względu załącza dla niego egzemplarz tójże dla gruntowniejszego jėj zbadania.”

W chwili kiedy sejm odbywał się w Warszawie, Łaski przybył wraz z Utenhofem dnia 5 grudnia 1556 roku do Polski, pragnąc połączyć z sobą kościoły. Osiadł czasowo w Balicach, dobrach Jana Bonara i zaraz napisał pod datą dnia 28 grudnia t. r. list do króla, donosząc mu o swym powrocie do Polski, przyczém załączył list Melanchtona z prośbą, iżby król nie ociągał się dłużej z przeprowadzeniem dzieła reformacyi, które zasłoni i ocali kraj od grożącego mu niebezpieczeństwa (2). Oddał to wszystko swemu krewnemu kasztelanowi Myszkowskiemu dla wręczenia do własnych rąk królewskich. Ks. Przerembski podkanclerzy koronny chciał przejąć te listy, jednak Myszkowski oddał je osobiście samemu królowi. Wypadek zrządził, że kiedy Myszkowski czytał królowi Konfessyę Augsburską przysłałą mu przez Melanchtona

(1) Friese Reformationsgeschichte II T. I Band str. 257.

(2) Łaski, Opera T. II str. 738.

a tymczasem list Łaskiego leżał na krześle, pies będący wówczas w pokoju ściągnął go na ziemię i podarł w kawałki. Postrzegłszy to pokojowiec zebrał podarte kawałki i oddał je Budzińskiemu domownikowi Myszkowskiego, który je razem posklejał i po przepisaniu wręczył nazad królowi (1).

Zygmunt August po otrzymaniu listu odpisał Łaskiemu w krótkich lecz dosadnych wyrazach tój treści: „Dowiadujemy się o twoim obecnie powrocie do naszego państwa. Upominamy cię abyś nic nowego nie wszczynał w sprawach religii. Jeżeli nam doniosą coś przeciwnego o tobie, wiedz, że nie ścierpimy cię w granicach naszego królestwa. Zastosuj się do tego. Dan w Warszawie dnia 7 stycznia 1557 roku, panowania naszego 27” (2).

List ten mocno przeraził Łaskiego i zrobił go uważniejszym w swém działaniu. Niektórzy mniemali że list ten był zmyślony przez jego nieprzyjaciół, lecz stwierdza jego wiarogodność i Joachim Camerarius w swém dziele (3). Zdaje się, że głównie do napisania tego listu skłoniły zabiegi duchownych, albowiem Lipoman nuncyusz, dowiedziawszy się o przybyciu Łaskiego do Polski przyszedł do króla na czele biskupów i dopraszał się, aby niezwłocznie tego arcy-heretyka wypędził z kraju. Także Zebrzydowski biskup krakowski nazywał go (carnifex) katem kościoła i upewniał, że Łaski zbiera wojsko na zburzenie kościołów w jego dyeczyi. Król zaś zezwoliwszy na powrót Łaskiemu, nie mógł go na nowo z kraju rugować bez ważniejszej przyczyny nad proste oskarżenie biskupa krakowskiego.

Utenhof, który wraz z Łaskim przybył do Polski, napisał z Krakowa dnia 19 lutego 1557 roku list (4) do Kalwina, donosząc mu o wszystkiém, z czego Kalwin chciał zaraz skorzystać. Ciekawy jest przypisek dołączony do tegoż listu przez Łaskiego w te słowa: „Tak zarzucony jestem sprawami i zabiegami, mój Kalwinie, iż nie mam wolnej chwili do pisania. Tam nieprzyjaciele, tu bracia fałszywi, szarpią nas zewsząd i nigdzie nie mamy wycoczynku. Lecz Bogu dzięki mamy i wielu nabożnych, którzy nas krzepią i pocieszają. Nasz Utenhof wie o wszystkiém. A tak, cokolwiek on napisał, uważaj to za napisane przezemnie. Bądź zdrów

(1) Obacz niżej między pismami Nr. 28.

(2) Sigismundus Augustus Dei gratia Rex poloniae etc. Generoso Joanni a Lasco. Generose. Intelleximus, te proximo peractis hisce temporibus in regnum nostrum commigrasse. Hortamur itaque et omnino ita habere volentes mandamus, ut nihil omnino in Regno nostro, quod ad religionis attinet negotium, innoves. Nam si quid in contrarium de te ad nos perlatum fuerit, nos nequaquam te in regno ditionibusque nostris esse patiemur. Secus itaque ne feceris. Datae Varsaviae VII Januar anno dni MDLVII. Regni nostri XXVII.

(3) Historica narratio de fratrum orthodox. ecclesii i t. d. str. 140.

(4) List Utenhofa jest umieszczony w Epistolae Calwini et responsis str. 193.

i z serca pozdrawiam wszystkich braci w Panu. Jan Łaski własną ręką (1).

Łaski swą wymową i pismami zjednał sobie za powrotem do Polski początkowo wielu stronników, osobiwie między tymi, którzy chycyli się nauki Zwingliusza i poczęli nawet wznosić kościoły w Małej Polsce i Litwie. Ze jednak Łaski napotykał wiele trudności do zwalczenia z ewangelikami, z którymi chciał się szczerze pogodzić, mocno go to bolało iż zawsze brali nad nim górę, gdyż i Stany Rzeczypospolitej domagały się na sejmie 1557 roku, aby konfessya augsburgska była publicznie cierpiana w całym państwie. Łaski za przybyciem do Polski znajdował się na Synodzie w Iwanowicach odbytym i na drugim podobnie odprawionym w Włodziszawiu dnia 15 czerwca 1557 roku. Na obudwóch tych synodach pragnął Łaski aby przed zaczęciem się sejmu, wyprowadzić na dysputę wyznawców konfessyi augsburgskiej dla skłonienia ich do braterskiego połączenia się z sobą i wspólnego działania w obronie swych zasad religijnych.

Rzeczywistą zaś przyczyną tego nieporozumienia było świeżo wydane w Niemczech pisemko Joachima Westphala p. t. „Justa defensio adversus insignia Joannis a Lasco etc. Argentorati“ 1557 w 8-ce: jak utrzymuje Daniel Jabłoński w swęj historii synodu sandomierskiego (2). Łaski ciśniony i prześladowany zewsząd, sam począł tworzyć jakieś zamieszanie między swymi współwyznawcami; o czém nadmienia nam Melanchton w liście do Mathejusza (3). Wyraźniej opisuje nam to Węgierski (4) mówiąc: Skoro Łaski spostrzegł, że nie może tak urządzić reformacyi, jak sobie życzył, a przynajmniej jak ją rozpoczął w Anglii, tak nie kwapił się bardzo i opieszalęj rzecz traktował, wprowadzając jakiś nieporządek w odprawianiu nabożeństwa. W skutek tego mocno poróżnił się nawet z braćmi czeskimi, którzy dotąd jego stronę trzymali, ganiąc ich liturgię i sposób spełniania wieczery Pańskiej; w końcu zażądał od nich wyraźnego objaśnienia. Tém obruszył na siebie Piotra Vergeriusza, który otwarciem Łaskiemu zarzucił, iż podobne jego wymysły więćej szkodzą ich sekcje, jak przynoszą pożytku i tём samém zmusił go do piśmiennego usprawiedliwienia się przed swoim krewnym Stanisławem Ostrorogiem, którego koniecznie chciał przeciągnąć na swoją stronę.

(1) Tak brzmi w oryginale: Ita nunc obruor curis ac negotiis, mi Calvine, ut nihil possim scribere. Hinc hostes hinc falsi fratres, nos adiuruntur, ut non sit quies ulla. Sed et pios multos habemus, sit Deo gratia, qui nobis sunt adjumento et consolationi. Utenhovius noster novit omnia. Itaque, quae is scripsit, a me scripta esse cogitabis. Vale! Saluere officiosissime jubeo fratres in Domino omnes. Joannes a Lasco manu propria.

(2) Historia Consensus Sandomiriensis str. 7.

(3) Libr. II epist. 95 fol. 251.

(4) Hist. eccles. Slavon. lib. I str 129.

Usilnie pracował Łaski nad zwołaniem w październiku 1557 r. synodu do Gołuchowa dla pojednania stron poważnionych. Ze strony braci czeskich przybyli: Jerzy Izrael, Jau Laurencyusz i Jan Rokita. Ze strony reformowanych małopolskich nikt się nie stawił, a sam Łaski zachorował, lub też z powodu pisma Westphala powyżej wspomnianego podał się za chorego i tém wytłumaczył swą nieobecność. Z ewangelików wielu przybyło wraz z książką Westphala dla odczytania z niego różnych miejsc publicznie. Ztąd wielka wynikła nienawiść między ewangelikami i helwetami, przyczém i bracia czescy poczęli ich odstępować a łączyć się z Lutrami.

Srodze zgryziony tém Łaski namówił Utenhofa do napisania historyi wygnańców angielskich, która już 1558 roku była gotowa, jak to widzimy z przedmowy napisanej w Kaliszu dnia 26 marca tegoż roku przez samego Łaskiego. Lecz zaszyły jakieś ku temu przeszkody ze strony Jana Oporina (1) drukarza w Bazylei, który spóźnił się z jej wydrukowaniem i dopiero po śmierci Łaskiego ukazała się z druku. Książka ta nie podobała się wielu reformowanym, gdyż niektórzy magnaci i zwierzchność duchowna czuła się nią obrażona. Odtąd Łaski bądź chorobą bądź też niepowodzeniem przygnębiony, mało dawał wiadomości o sobie. Ciągłe pracował tylko nad tém, żeby Małopolanie otwarcie się oświadczyli za wyznaniem helweckim. Znajdując się bowiem w listopadzie 1558 roku na synodzie małopolskim i przewodnicząc jako superintendent, zmiarkował, że przyszłość protestantyzmu zawisła głównie od jedności i zgody protestantów między sobą, a najniebezpieczniejszym dlań stawał się podnoszący wtedy socynianizm. Całemi więc siłami pragnął Łaski połączyć braci czeskich, lutrów i kalwinów, aby tym sposobem silny utworzyć zastęp do skutecznego zrównoważenia nacisku przeciwników. Położywszy kamień węgielny dougody sandomierskiej, której już nie dożył, chciał, aby w Polsce król był najwyższą głową kościoła, a dziesięciny przedewszystkiem były zniesione. Lecz król Zygmunt August zawiódł jego nadzieje, gdyż okazał wielki brak siły i stanowczej woli w zrozumieniu zasad reformacji, a tém samém najmocniej sparaliżował wszelkie usiłowania różnowierców.

Nareszcie śmierć przerwała pasmo dni jego żywota: umarł na dysenterję dnia 8 stycznia 1560 roku w Pińczowie w 61 roku życia swego i pochowany tamże w kościele parafialnym dnia 29 stycznia przy liczném zebraniu ludu. Stanisław Sarnicki pastor w Niedzwiedziu i Piotr Statorius rektor szkoły pińczowskiej odprawili nabożeństwo żałobne w języku polskim. Kazanie pogrze-

(1) Uniewinnić się pragnie z tego Oporyn, w liście do Łaskiego pisanym dnia 6 kwietnia 1559 roku, tłumacząc się, że wkrótce rozpocznie druk tego dziełka. Obacz Simon Abbes Gabbema epist. illustr. et clar. virorum edit, Harling 1664 str. 139.

bowe miał Piotr Statorius i te drukiem ogłosił (1); prócz tego napisał i wydał Abel Sylwiusz mowę pogrzebową (2). Obiedwie te mowy, dziś bardzo rzadkie znajdując się w bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

Łaski ksiądz ożeniony, nie kalwin ani też luteranin, był apostołem utworzonego przez siebie obrządku, który istniał w jednej części miasta Londynu i w kilku miastach Niemiec północnych. Mąż wielkiej nauki, lecz charakteru gwałtownego i burzliwego. Mieszał się do wszystkiego, wszędzie chciał przewodzić, nie będąc

(1) *In clarissimi viri D. Joannis a Lasko Poloniae Baronis obitum funebris oratio, conscripta et habita a Petro Statorio. Impressum Pińczowiae in officina Danielis Lancicii Anno 1560 w 8-ce mn. 20 kart nieliczb. sig. A—Cijj.* Na odwrotnej str. tytułu przypis autora Franciszkowi Lizmaninowi, gdzie mówi: że Lizmanin miał wypowiedzieć mowę pogrzebową dla Łaskiego, lecz gdy zachorował jemu polecił mieć też mowę. W samej mowie są niektóre drobne szczegóły do jego żywota. Między innymi mówi: „że tak był biegły w literaturze łacińskiej i greckiej, iż mógł rywalizować z najpierwszymi wówczas uozonymi. Pierwsze zasady różnowierstwa zaszczerpił w nim Ulryk Zwingliusz. Na dzień przed śmiercią złożony już chorobą rozmawiał jeszcze z otaczającymi go o sprawach religijnych. Zanosił modły do Boga w języku niemieckim, którego używał w rozmowach ze swą żoną. Nazajutrz poleciwszy się Bogu przestał mówić i lekko skonał. Ze śmierci jego szczególnie cieszył się Stankar odszczepieniec i niektórzy papieżnicy. Najbardziej oplakiwała zgon jego żona oddalona od swój ojczyzny i rodziców, następnie pozostałe dzieci i zbór cały.” Na końcu mowy są wiersze: *In obitum Joannis a Lasko epicedium, quod epitaphii loco esse potest* (8 wierszy), — *De codem* (4 wiersze), — *Annus et mensis quo obiit. Clar. vir Joannes a Lasko* (chronostych dwuwierszowy).

(2) *Oratio funebris in obitum praeclarissimi viri et verae religionis vindicis invictissimi Domini Joannis a Lasko, conscripta atque edita ab Abelo Sylvio Frisone. Excussum Pinzowiae in officina Danielis Lancicii Anno 1560 w 8-ce mn. 12 kart nieliczbowanych. sig. A — Biiij.* Na stronie odwrotnej tytułu przypisał autor Franciszkowi Lizmaninowi z Korocyry, dat. *Pinzowiae nono Calendae Februarii A 1560.* Tu nadmienienia iż słysząc, że Statorius i inni bracia gotują mowy pogrzebowe dla Jana Łaskiego, więc i on wydaje tę mowę napisaną w domu Lizmanina. W mowie samej są niektóre także drobne szczegóły do żywota Łaskiego: „Rysy twarzy miał regularne, postać wspaniałą, równą królewskiej, siły olbrzymiej, którą jednak styrały noone ślęczenia nad księgami. Obok wszechstronnej nauki zdobyły go: rozsądek, mądrość, sprawiedliwość, skromność i wspaniałomyślność. W bogactwa nie opływał, żył przeto skromnie i miernie, częstokroć jednak wspomagał swych uczniów. Odwagi jego nie złamać nie mogło, mężnie znosił wszelkie burze przeciw niemu powstałe i długoletnie wygnanie. W rozmowie przyjemny i miły, dom jego zarówno otwarty dla wysokiej szlachty jak i dla najniższego stanu. O ludziach wydawał zawsze sąd łagodny.“

nigdy w zgodzie ani z równymi sobie ani też ze swą zwierchnością. Najlepiej bowiem tego dowiódł w Anglii, gdzie tameczni reformatorowie Cranmer, Bucerus i Fagius nie mogli przemódz jego dumy i wyniosłości. A jednak nieporównana jego szczerłość i otwartość, wielkie cnoty, przykładny jego żywot i ujmująca w obejściu prostota jednały mu wielkie poważanie między wyznawcami wszystkich sekt bez różnicy tak w kraju jak i zagranicą. Niepomierne oddali mu w tym względzie pochwały Jan Jakób Grynaüs, L. Hutterus, Osiander i Melanchton. Po dwakroć wchodził w związki małżeńskie: po raz pierwszy ożenił się 1544 r. w Brabancyi, a po raz drugi w Londynie; drugiej jego żonie było na imię Katarzyna. Z obudwóch małżeństw zostawił trzech synów: Hieronima, Jana i Samuela i dwie córki. Z tych jedna była za Janem Morstynem żupnikiem wielickim, a druga za Stanisławem Lutomirskim.

Łaski opuszczając Emden znaczną część swych książek podarował Wojciechowi Hardenbergowi pastorowi, który je następnie podarował do biblioteki miejskiej w Emden. Na wielu z tych ksiąg znajduje się imię Erazma Roterdamczyka z napisem: sum Erasmi nec muto dominum. Snać pochodzą z tych samych, które Łaski w swój młodości nabył od Erazma. Lecz co się stało z książkami przywiezionemi z sobą przez Łaskiego do Polski, trudno dotąd było śladu dopatrzeć.

II.

W roku 1866 wydał nakładem Mullera w Amszterdamie Dr. A. Kuyper wszystkie pisma Jana Łaskiego znanego reformatora kościołów w wieku XVI, o wydaniu których nie mamy dotąd dokładnego sprawozdania. Pisma te wyszły p. n.:

Joannis a Lasco opera tam edita quam inedita recensuit, vitam auctoris enarravit A. Kuyper theol. Dr. Tomus I Amstelodami apud Frederic Muller, Hagae Comitum apud Martin Nijhoff 1866, w 8—CXXI i 572 stron T. II 4 k. niel. i 771 str. Na końcu Amstelod. ex typographaeo viduae H. F. Bakels et filii.

W przemowie swój Kuyper wcale nie podaje życiorysu Łaskiego, uskarża się tylko na niestychaną rzadkość wszystkich pism jego i że do bajecznej dochodzą ceny, jak u. p. za książkę o Sakramentach kościoła zapłacono na licytacji w Londynie sto jedenaście złotych hol., lecz codziennie prawie te ceny coraz bardziej wzrastają. To samo rozumieć się ma i o jego autografach. W r. 1864, w Paryżu za jedną kartkę listu Łaskiego zapłacono 20 guldenów, Kuyper dołożywszy jednak wszelkich starań, z żelazną wytrwałością zebrał wszystkie znane pisma Łaskiego i te razem w niniejszym zbiorze wydał. Opis ich rozpoczyna od pism mylnie mu przypisywanych jak:

A

a) Melos retrogradum ad Carolum Sudermaniae ducem. Opaczny ten wiersz żadną miarą nie może być pióra Łaskiego, gdyż Karol książę Sudermanii urodził się d. 8 października 1550 r. i dopiero ze śmiercią Gustawa w d. 29 września 1560 r. następującą, mógł przybrać ten tytuł, a Łaski już wtedy nie żył i nigdy wierszy nie pisał.

b) Lasczy (Iwan) Mahumetanische genealogie Berolini 1596. Dziełko to wydane w 36 lat po śmierci Łaskiego i napisane po niemiecku, kiedy Łaski nic w tym języku nie pisał i nigdy w Berlinie nie przebywał.

c) Confessio de Coena Domini, in qua explicat genuinam sententiam verborum Christi: „Accipite, comedite, hoc est corpus meum”. Hospinianus w dziele swém (1) podaje, że Łaski Jan superintendens peregrinorum ecclesiae wydał: confessio de Coena Domini, Londini 1552 r., w czém się myli, gdyż Ł. wydał tylko epistolae de coena i że miał przydać do niej ową konfessyą. Hospinianus pomieszał rzecz całą i ztego nowe utworzył dziełko, nie popartszy żadnym dowodem. Wyjaśnia nam to Bertram (2): że confessio de coena Domini jest umieszczona po za wspomnianym listem p. t. confessio I a Lasco de nostra cum Christo communionem. To samo powtarza i w żywocie Łaskiego, tamże, 1733 str. 33 not. d. wydanym.

d) Catechismus Micronii, — list przydany do tego Katechizmu z podpisem Łaskiego wprowadził w błąd mniej uważnych. W liście tym powiedziano: „Minori hoc Catechismo hoc non agimus, ut e manibus vestris majorem illum deponatis”. Słowa te jasno przekonywają, że był pióra Mikroniusza, a Łaski podpisał tylko z urzędu swego, jaki wówczas posiadał.

B. Dzieła przez innych napisane, a wydane tylko przez Łaskiego.

1) Absoluta de Christi Domini et catholicae ejus ecclesiae Sacramentis tractatio, authore Henrico Bullengero Londini excudebat Steph. Myerdmannus a. 1551 m. april cum privil. ad imprimendum solum w 16ce 123 kart. Dziełka tego znane są dotąd 2 egzemplarze: 1 w bibliotece Dublińskiej, a 2i w księg. prywatnym Wilh. Goode anglika. Przypisane jest Elżbiecie siostrze królewskiej i przydany o tymże przedmiocie list Łaskiego, który i osobno wyszedł, obacz Nr. 12.

Bullinger nie wiedząc wcale o wydaniu swego traktatu w Londynie, wydał go sam p. t. tractatio de doctrina Eucharistiae

(1) P. t. historia Sacramentaria Tiguri T. II a. 1602 p. 219b.

(2) Erläuter. u. Vertheid. Ost-Fries. Kirchengesch. Aurich, 1733, str. 93.

Tiguri, 1551, i włączył je między swe dekady mów.—Łaski posłał swe wydanie autorowi na ręce pana z Bredy, o czém tak nadmieniał w liście d. 7 czerwca 1551 z Londynu pisany (1): „dziełko o sakramentach, które mi przed trzema laty przysłałeś i następnie umieściłeś w swój 5 dekadzie, posyłam ci przez pana z Bredy brata Falesija nie poprawnie drukowane. Nie spodziewałem się że je sam wydasz, gdy tak długo mimo mojej chęci było u mnie, przydałem do tego jeden z moich listów, o czém już przed sześciu laty pisałem „ut doctrinae consensum attestarem”, i bez zaprzeczenia zwracam ci wszystko. Łaski zas ogłosił to pismo z namowy Kranmera arcybiskupa kantuaryjskiego dla rozpowszechnienia nauki o sakramentach w kościele angielskim, i dla wyjednania tą drogą prędszego potwierdzenia swój nauki przez teologów Zurichskich.

2) *Consensio mutua in re Sacramentaria ministrorum Tigurinae ecclesiae et D. Joh. Calvini ministri Genevensis ecclesiae*, jam nunc ab ipsis auctoribus edita Londini a. 1552. Podzielając Ł. zdanie teologów Zurichskich co do traktatu Bullingera, wydał nowe dziełko o Sakramentach, przydając, jak sam mówi, swój traktat dla bliższego porównania i uzyskania zatwierdzenia przez tychże teologów i utrzymać z nimi jedność co do Sakramentów.

C. *Pisma własne.*

a) dotąd nie wydane.

3) *Epistola ad amicum quendam doctum scripta, dum aegrotarem de verbis Coenae Domini, ut vocant, qui nostram de coena doctrinam ex patrum et conciliorum autoritate impugnare, amice tamen conabatur, scripta d. 31 augusti a. 1544 ad Pellicanum, po raz pierwszy wydrukowany w obecnym zbiorze T. I str. 557—572.*

Zdaje się, że list ten był posłany tylko poufnie i później dopiero stał się głośnym powszechnie. Jeżeli niemniej zabraniało prawo przyjaźni udzielania drugim swych listów poufnych, to jednak list o wieczery (ob. Nr. 12) jasno przekonywa, że Łaski zwykle téj formy używał dla zasiągnięcia zdania ogółu. Ważności temu pismu przydaje i czas, w którym był pisany, a o czém dowiadujemy się z listu do Pellicana pisanego. List ten datowany 31 sierpnia 1544 r. zgadza się zupełnie z listem do pewnego przyjaciela, tak iż go za podrobiony uważać nie można. Z tego względu list ten ważny, że mało znany jest żywot Łaskiego z tego czasu a w nim jasno i wyraźnie mamy odmalowane ówczesne pojęcia Łaskiego o wieczery Pańskiej. Z samego zaś tytułu pokazują się, że starał się Łaski w swym liście poprzeć swe zdania powagą Ojców św. i soborów. List ten wyjęty został wraz pismem Nr. 2 z rękopismów biblioteki królewieckiej.

(1) *Lasoi opera* T. II str. 448.

4) Epitome doctrinae ecclesiarum phrisiae orientalis autore Joanne a Lasco a. 1544, po raz pierwszy wydrukowany w tym zbiorze pism T. I str. 481— 557.

W połowie 1543 r. począł układać to pismo. Szeroki rozgłos z powodu tego pisma zrobiony między uczonymi, skłonił Krystiana Entfeldera do napisania listu z Królewca d. 2 marca 1544 r., i w nim udziela mu rad co do utworzenia nowego kościoła. Łaski zaś żądał od niego, jako od dawnego swego przyjaciela, iżby polecił go względem księcia Pruskiego i objawił mu swe zdanie. Na to Entfelder mu odpisał, że ma w księciu wiernego i wspaniałego swego dobroczyńcę i przytém wytknął mu niewłaściwość układu ceremonii. Wodpowiedzi na ten list posłał mu Łaski swą książkę i tak pisze: My nie przepisujemy tu dla ceremonii obcych żadnych stałych zasad, lecz zostawiamy wolność zmieniania ich kościołom, z tą jednak uwagą, aby była pewna jedność zachowana. Utrzymując pewną zgodę w nauce, tém samém staramy się wszelkimi sposobami przyciągać do siebie zwolenników. Żądany przez ciebie mój wykład, posyłam go z warunkiem, aby pozostawał przy tobie i nie był rozgłaszany" (1). Książkę Albert oddał to pismo swym teologom do rozpatrzenia, a każdy z nich dał z osobna swe zdanie jak Rapagellan (2) i Melanchton. Prócz tego Łaski posłał swe dziełko Bullingerowi i Hardenbergowi teologom szwajcarskim dla zasięgnięcia ich opinii (3).

5) Epistola ad ministros Bremenses, a. 1549 scripta. List ten dotąd nie odszukany, a znany tylko ze wzmianki samego Łaskiego uczynionej w przedmowie do pisma p. t. Confessio de nostra cum Christi communione (4). Wspomina także i w liście pisanym 1554 r. do Hardenberga, który wówczas bawił w Bremie (5). Pomimo najstaranniejszej przez Kuypera zarządzonej kwerendy, nigdzie dotąd ten list wynaleziony nie został.

6) Acta disputationis cum Bucero:

a) de re vestiaria napisane 1551 r.

Z prowadzonych z Bucerem rozpraw o ubiorze kleryków, arcybiskup Kraemer zebrał akta téj dysputy i z nich zrobił wyciąg pod tyt.: Summa controversiae de re vestiaria inter Bucerum et Lascum. Lecz akta te są nie znane i nigdy dotąd drukowane nie były.

b) de re sacramentaria a. 1551.

Na krótko przed śmiercią Bucera prowadził z nim rozprawy teologiczne i te jako przerwane nigdy drukowane nie były.

(1) Obacz Lascoi opera T. II 765 str.

(2) Odpowiedź Rapagellana obejmująca 12 ark. znajduje się między rękopisami Archiwum Sekretnego w Królewcu.

(3) Lascoi opera T. II 563 i 582 str.

(4) Obacz Lascoi opera Tom I str. 237.

(5) Obacz Lascoi opera Tom II str. 699.

Wspomina o nich Łaski w liście do Hardenberga (1). Rękopis tychże znajduje się w bibliotece collegium kantabryjskiego.

7) Acta disputationis cum Gellio Fabro a. 1554.

Podczas bytności Łaskiego w Londynie, chciał Gellius Faber de Bouma zmienić w Embden cały system nauki jego, który się tu doskonale przyjął. Za powrotem swym 1554 r. Łaski silnie oparł się temu. Nowy Katechizm, który przygotował do druku Gellius, powagą swą Łaski zakazał drukować, i ostrą przeprowadził szernierkę ze swym przeciwnikiem, dowodząc, że katechizm Gelliusa który chciał wprowadzić do kościoła, winien uleść przejrzeniu i niektórym poprawkom; akta téj rozprawy były zebrane staraniem samego Łaskiego, jak o tém nadmieniam w liście do Bullingera (2), lecz zaginęły i nigdzie nie odkryto dotąd ich śladu.

8) Sylva itineris Danici (a. 1554), umieszczone w bardzo rzadkiem dziś piśmie p. t. Simplex et fidelis narratio de instituta ac demum dissipata Belgarum aliorumque peregrinorum in Anglia ecclesia: et potissimum de susceptis postea illius nomine itineribus, quaeque eis in illis evenerunt per Joannem Utenhovem Gandavum Basileae ex officina Oporini 1560, w 8ce od str. 21—98.

Chociaż to dziełko opatrzone nazwiskiem Utenhova, jednak znaczna jego część jest układu Łaskiego. Przez lat pięć w Polsce nieodstępny był jego towarzyszem Utenhof i wszystko wedle myśli Łaskiego układał. Jednak najlepiej obznajmia nas list drukarza Oporina pisany d. 6 lipca 1559 r. do Łaskiego, a nie do Utenhova, w którym mu donosi o sposobie wydania téj książki (3). Sam nawet Łaski w przedmowie datowanej z Kalisza d. 26 marca 1558 do czytelnika poświadcza to samo, w te słowa: że historia téj naszej podróży jest prawdziwą, tak za niego jak i za siebie poręczamy (4). Z innych także listów Łaskiego pisanych po swoim powrocie z Danii do Embden, a mianowicie do Bullingera z d. 3 marca 1554 r. dowiadujemy się: „posyłam wam Sylvam itineris nostri, aż do chwili, dopóki nie byliśmy przez krola Duńskiego z kraju wydaleny . . . Resztę naszej podróży ani nie dokończę, ani jój téż dopełnić mogę, dopóki rozproszeni nie zbierzemy się razem. Marcin Micronius z większą częścią naszych zwolenników jest w Wizmarze, . . . inni są w Lubece, inni w Hamburgu, lecz wkrótce wszyscy się tu znajdą” (5). Z tych słów jasno przekonywamy się, że rzeczywiście sam Łaski skreślił obraz téj podróży i losy biednych wygnańców z Danii. Bullinger także w swych listach nazywa Łaskiego autorem, jednak rękopisu tych sylwów nigdzie dotąd nie odkryto.

(1) Łaski opera Tom II str. 652.

(2) Opera T. II str. 708.

(3) List umieszczony w Gabbema epistolae claror, virorum str 140.

(4) Opera T. II str. 754.

(5) Łaski opera T. II str. 697.

Dziełko to Utenhofa przetłumaczył na język polski Cyprian Bazylik i wydał pod tytułem:

Historya o postanowieniu i potem rozproszeniu kościołów cudzoziemskich w Anglii, nad którymi był prawdziwym, a prawie krześciańskim biskupem, on świętej pamięci mąż Jan Łaski, a najwięcej o drogach dla tych kościołów podjętych i co się im na tych drogach przytrafiało spisana przez Jana Utenhoviusa Flandra z Gandawu. Umieszczona od karty 348 do 396, w dziele: *Historya o srogiem prześladowaniu kościoła Bożego i t. d. w Brześciu litewskim 1567 r.* folio; na przodzie krótka jest przedmowa do czytelnika, podpisana przez Jana Łaskiego, w ciągu dzieła podana do króla Duńskiego prośba i odpowiedź na nią. Zakończy list do Krystierna króla Duńskiego, pisany z Emden d. 11 grudnia 1553 r.

9) *Tractatus in usum Regis poloniae* (pisany 1557 r.).

O napisaniu podobnego traktatu sam wspomina w liście pisanym z Wilna d. 13 kwietnia 1557 r. do księcia pruskiego w te słowa: częścią dla podupadłego mego zdrowia, częścią dla skreślenia niektórych rzeczy in usum regium (na pożytek królewski), dłużej zatrzymać się tu muszę jak chciałem, a przeto nie mogę zadość uczynić memu pragnieniu w odwiedzeniu waszej książęcej mości (1). Nigdzie nie odkryto dotąd tego traktatu.

10) *Acta cum episcopis polonicis, et alia quaedam minoris momenti.*

Jednym objęliśmy oddziałem pomniejsze jego pisma, o których w swych listach wspomina, a dotąd jeszcze nie odszukanych. I tak:

a) *Acta cum episcopis polonicis A. 1542.*

O takowych sam Łaski nadmienia w liście do Hardenberga pisanym z Emden dnia 12 maja 1542 roku (2): „Zdziwisz się, jak usłyszysz, com zdziałał w ojczyźnie z naszymi biskupami. Wkrótce będą drukiem ogłoszone“; a jednak dotąd nieznanne.

b) *Anecdota quaedam de sacramentis (A. 1547).*

Wspomina o nich w liście pisanym dnia 29 stycznia 1548 r. do Hardenberga (3) i takowe zamieścił w dziele swém o sakramentach 1552 r.

c) *Descriptio caeremoniarum, quae apud Emdanam ecclesiam obtinebant (a. 1548).*

Wezwany od Kranmera do Anglii posłał mu przed swoim wyjazdem opis ceremonii, jaki zaprowadził w Emden, a rzeczywście dla zasięgnięcia jego rady, jak one będą przyjęte w Anglii. O czém pisze w liście 1548 roku do Hardenberga (4) w te słowa:

(1) *Lasci opera* II 752.

(2) *Opera* II 556.

(3) *Opera* II str. 614.

(4) *Opera* II str. 616.

„Zrobiony opis naszych ceremonii posłałem do Anglii i takowy ci przesyłam.“

d) *De coena confessiuncula* (a. 1549).

Łaski przebywając w Hamburgu w domu Jana Aepinus pastora tegoż miasta, napisał rzeczony traktat na prośbę Hardenberga; lecz dotąd nie drukowany.

e) *Apologia cur Emdanae ecclesiae valedixerit* (a. 1551).

Przeciwnicy najfałszywsze rozsiewali wieści o wyjeździe Łaskiego z Fryzyi wschodniej. Chcąc więc Łaski rzeczywisty podać powód swój podróży do Anglii, takowy opisał w dziełku swém wydaném p. t.: *Apologia*.

11) *Epistolae ad diversos*.

Listy do różnych, których 136 zebrał i wydrukował dr. Kuyper na końcu drugiego tomu od str 545 do 767. Pozbierał je najprzód z dzieł drukowanych, a osobliwie: z wydawanéj przez Teodora Hasacusza *Bibliotheca historico-philologico-theologica*. *Bremae 1719—1723* w 8-ce 8 tomów, gdzie w tomie III, IV i VII znajduje się 21 listów Łaskiego. Jak ciekawy list Łaskiego do Konrada Pellikana ministra reformowanego w Bazylei pisany z Embden dnia 31 sierpnia 1544 roku. Listów 15 do Wojciecha Hardenberga ex cystersa i ex opata Adwarskiego niedaleko Grëningi i 5 listów do Drusilli Syssingha. Wiele znajduje się także listów Łaskiego, częścią przez niego pisanych a częścią do niego w dziele *Simonis Abbes Gabbema centuriae epist. illustr. et claror. virorum edit. Harling. 1664*, w 8-ce.

W dziele Hieronima Zanchii *libr. II epistol.* str. 230, jest list Łaskiego do tegoż Zanchiusza. W dziele zaś *epistolae selectiores illustrium et clar. virorum Lugduni Batav. 1617* w 8-ce *Cent. I* str. 70 jest list Łaskiego do Jerzego Cassander wraz z rozwlekłym listem M. Bucera pisany do Łaskiego. List Łaskiego pisany do Zygmunta Augusta króla polskiego z Balic dnia 28 grudnia 1556 roku, umieszczony w *Lubienieckiego hist. reform. pol.* str 79—91; inny list jego pisany z Frankfurtu nad Menem dnia 6 września 1555 roku do tegoż króla, jest wydrukowany w dziele *Joachima Westphala justa defensio etc., Argentorati 1557* w 8-ce i w dziele Łaskiego; *Forma ac ratio i t. d. obacz nr. 21*. Znane są listy Jana Łaskiego pisane do Piotra Tomickiego biskupa krakowskiego umieszczone w *Acta Tomiciana Tom X-ty* i list Łaskiego pisany z Kezmarku dnia 16 października 1534 roku do królowej Bony, w przekładzie polskim zamieścił Mik. Malinowski w *pracach naukowych Stanisława Łaskiego, Wilno 1864* w 8-ce str. LXIV do LXVII. Autograf tego listu znajduje się w bibliotece ordynacyi Zamoyskich w Warszawie. Z tych ostatnich źródeł dr. Kuyper nie korzystał, lecz za to robił staranną kwerendę po rozmaitych bibliotekach i archiwach zagranicznych jak w Rzymie, Królewcu, Berlinie, po całej Anglii, w Zurich i Monachium i otrzymał razem 53 listów dotąd wcale nie znanych i nie drukowanych.

D) *Fisma drukowane.*

Około 1546 r. miał wydać po łacinie dziełko pod tytułem:

12) *De fug. pag. illicit. sacrís*, lecz wydanie to łacińskie wcale dotąd nieznanie, tylko trzy jego przekłady w językach holenderskim, francuzkim i niemieckim są zuane jako drukowane. Po francuzku ma tytuł:

Advis de Jean a Lasco Baron de Poloigne superintendent des églises estrangères qui sont à Londres. Assavoir s'il est licité à l'homme chretien, aucunement assister aux services papistiques et principalement aux messes; après avoir cogneu par la parole de Dieu l'impieté du papisme, umieszczone w dziełku od str. 91—128, mającém tytuł: *Les conseils et advis de plusieurs excellens et savans personnages sur le fait des temporiseurs. Et comment le fidele se doit maintenir entre les papistes* Genève 1556 w 12-ce. Przekład holenderski ma tytuł: *Het ghevoelen Joannis a Lasco, baroens in Polen, superintendent der ghemeinte der vremdelinghen te Londen, ofhet den christenen, nadien zij het wort Godes ende de godloosheit des Pauwstdoms bekenen hebben eenighszins verorloft is, dat zij zick in den Pauwstlickengodsdiensten, ende in zonderheit in der misse, vinden laten. Wt den latine in nederduysche sprake ghetrouwlick ouerghezett. Allen liefhebbern der waerheit in dezen tijden zeer nutt endedienstlick. Mit een register oft aenwijzer der zonderlickste stucken, hierin ghehandelt. Jeremia 51, Emdae apud Gellium Ctematium a. 1557, w 8-ce. Sam Ctematius przydał doń przemowę. Przekład zaś niemiecki umieszczony jest w dziełku: *Die römische Exempel-marck d. i. summarische Erzehlung der fürnembsten menschlicher Aufsätze der römischen Kirche. Sampt einem christlichen Bedencken weyland herrn Johannis a Lasco ob ein christlichersich möge inn... der Messe finden lassen. Newstadt an der Hardt by Niclas Schraumer a. 1608 w 8-ce od str. 151—174. Jest pismo Łaskiego z osobym tytułem: Kurtz Bedencken weylandt Herrn Johannis a Lasco Freyhern und Vorstehers der ausländischen Kirche zu Londen in Engellandt, ob den Christen, nachdem sie die göttliche Wahrheit und dagegen des Papsthums Gottlosigkeit und Grewel erkandt, einiger gestalt erlaubt sey, sich in und bey dem papstischen Gottesdienst und sonderlick in der Mess finden zu lassen. Allen Liebhabern der Wahrheit zur Nachrichtung aus dem niderländischen ver-teutschet durch Tobiam Fabricium dienern am Wort Gottes zu Massbach Jerem. 51.6. Neustadt an der Hardt 1608 w 8-ce.**

Przekład holenderski wraz z tłumaczeniem łacińskiem pomieścił dr. Kuyper w zbiorze pism T. 1-ym str. 61—95.

13) *De Christi incarnatione adversus Mennonem* (a. 1545).

Przeciwno nauce Łaskiego wystąpił 1544 roku Menno Simonis i wydał dziełko p. t.: *Een corte ende clare Bélijdinghe ende Schriftelijcke aenwijsinghe. Ten yersten van der menschwer-*

dinghe onsliefs Herren Jesu Christi. Ten tweede, hoe dat beide de leeraers ende de ghemeinte Christi . . . sullen ende moeten geacht zyn, geschreuen aen den Edelen ende hochgeleerden Heeren H. Johann a Lasco, met tsamen zynen medebulpern, binnen Emden a 1544 w 12-ce. Na to pismo odpowiedział swym trakta-tem Łaski, wydanym pod tytułem:

Defensio verae semperque in ecclesia receptae doctrinae de Christi Domini incarnatione, adversus Mennonem Simonis, anabaptistarum doctorem per *Joannem a Lasco* Poloniae baronem, ministrum ecclesiarum Phrisiae Orientalis. Hebraeae II posteaquam pueri communionem habent carnis et sanguinis, et ipse similiter particeps factus est eorumden, ut per mortem aboleret eum, qui mortis habebat imperium. Bonnae ex officina Laurentii Mylii Anno 1545 w 8-ce 74 kart niel. Miała wyjść i trzecia część tego dziełka, lecz nie wyszła. Również nie znane jest drugie wydanie tego pisma, ani żaden przekład bądźto holenderski bądź niemiecki. Umieszczone w zbiorze pism Tom I str. 1—60, egzemplarz znajduje się w bibl. Uniw. Jagielloń. w Krakowie.

14) Epistola Joannis a Lasco ante quinquennium ad amicum quendam scripta continens in se summam controyersiae coeuae Domini breviter explicatam Londini excudebat Stephanus Myerdmannus A 1551, Mens. April, cum privilegio ad imprimendum solum, w 8 ce.

List ten umieszczony także w dziełku od karty 110—123 p. t.: Absoluta de Christi Domini et catholicae ejus ecclesiae sacramentis tractatio, autore Henrico Bullengero. Cui adjecta est ejusdem argumenti epistola per Joannem a Lasco baronem Poloniae ante quinquennium scripta. Accessit rerum ac verborum copiosus index Londini excud. Steph. Myerdmannus A 1551 w 16-ce 123 kart. Przedrukowany w zbiorze pism Tom I str 465—479. List ten pisany z Emden w kwietniu 1545 roku, nazywa Łaski moderatio doctrinae nostrae, pisząc o nim w liście do Hardenberga, do Bullingera i do Daniela Burenus. Znajduje się w bibliotece w Dublinie.

15) Confessio Londinensis a 1551, wyszła rzeczywiście pod tytułem:

Compendium doctrinae de vera unaque Dei et Christi ecclesia ejusque fide et confessione pura: in qua peregrinorum ecclesia Londini instituta est, autoritate atque assensu sacrae Majest. regiae, quem Deus Opt. Max. ad singulare ecclesiae suae decus ornamentum ad defensionem (per gratiam suam), servet gubernet et fortunet, Amen. Una cum publicis precibus ejusdem ecclesiae. Math. 10 qui vos recipit, me recipit. Londini excudebatur in officina Stephani Mirdmanni 1551 w 8-ce.

W obszernym liście przypisał to dziełko Łaski Edwardowi VI królowi, a na końcu przydał krótką liturgię dla kościoła cudzoziemskiego. Dr. Kuyper nie mając wydania łacińskiego pod ręką (a którego jedyny znany egzemplarz jest w bibliotece Du-

bliński), umieścił przedruk téj confessyi podług przekładu hollenderskiego wydania trzeciego, dołączysz obok tekst łaciński. Trzy były wydania przekładu hollenderskiego:

Een cort Begryp der leeringhe van de waerachtghe ende eender ghemeynte Gods ende Christi, ende van't ghelove ende belydinghe dewelcke, door de ghemeynte der Wtlandischen te Londen inghestelt is. Met een voorrede van Jan a Lasco, superintendent en die andere dienaren der Wtlandischer ghemeynten tot Londen inghestelt aen Prins Eduard den seston coning van Engelland etc. met bygevoegde forme der ghemeyner gebeden, die men in de gemeynthe der wtlandischen is gebruyckende. Item eenige psalmen, tien in getale 1, 2, 3, 51, 103, 120, 124, 125, 127, 130. Het Vader onze ende symbolum apostolicum. Londen by Steven Myerdmann 1551 w 8-ce per regalem auctoritatem.

Wydanie 2-gie wyszło podobno w Londynie 1553 r., lecz dotąd nie znane. Pobieżną o niém wiadomość podał nam Utenhof w swój simplex narratio 1560 roku na str. 166. Wydanie trzecie znacznie powiększone wyszło w Embden 1565 r. p. t.:

Een kort begrijp der leeringhe van de waarachtighe ende eenige ghemeynte Gods ende Christi, ende van haer gheloove ende oprechtighe belijdinghe (pod tém znak drukarni Gell. Ctematius z dewizą) w 8-ce, na końcu: ghedruckt te Embden bij Gellium Ctematium A 1565, umieszczone w Zbiorze Pism Tom II 285—339.

16) Catechismus Londinensis major, a. 1551.

Zdaje się, że był jeszcze ułożony 1546 r. i dopióro Utenhof przełożył ten katechizm na język hollenderski i ogłosił drukiem w Londynie p. t.:

De catechismus oft kinderleere, diemente Londen, inde duytsche ghemeynte, ghebruyckende is. Psalm 119. Hoe sal een ionghelinc syn leven onstraffelyc leyden, tenzy dat hy dat stelle na den eysch ws woordts. Ghedruckt tot Londen by Steven Myerdmann A. 1551 w 8-ce. Zprzodu jeden ark. i 92 kart.

List upominający Utenhofa ma datę 15 maja 1551 roku. Podług tego wydania przedrukował Kuyper w Zbiorze pism T. II, str. 341—375 umieściwszy obok tekst łaciński, gdyż wydanie łacińskie wcale dotąd nieznanne. Po raz drugi wyszło także w Londynie 1553 roku pod tym samym tytułem: Gedrukt tot Londen by Nicolas van de Berghhe. Anno 1553 roku w 8-ce. Niektóre są w niém dodatki na marginesie tekstu i przydał siedm zupełnych syllogizmów, gdzie mówi o zstąpieniu Jezusa do piekieł. Wydanie trzecie niczém nie różni się od drugiego z dodatkiem: ghedruckt te Embden by Gellium Ctematium a 1558 Septemb. w 8-ce. Ma być i czwarte wydanie z roku 1563, lecz dotąd nie znane.

17) Brevis et dilucida de sacramentis ecclesiae Christi tractatio, in qua et fons ipse et ratio totius sacramentariae nostri temporis controversiae paucis exponitur; naturaque ac vis sacramentorum compendio et perspicue explicatur, per Joannem a Lasco

baronem Poloniae, superintendentem ecclesiae peregrinorum. Londini. Eph. 4 Obsecro itaque vos cet. Londini per Stephanum Myerdmannum A, 1552 w 8-ce listów 20 kart, i dzieła 141 kart. Osobnym listem przypisał Edwardowi VI królowi Anglii i przydał przedmowę do czytelnika. Na końcu jest tak zwany Consensus Tigurinorum (opisany wyżej pod nr. 2-gim), a który dr. Kuyper w wydaniu dzieł Łaskiego opuścił, jako nie należący wcale do pism Łaskiego. Dzieło to nigdy nie było przedrukowane, ani też na żaden inny język tłumaczone. Znany egzemplarz tego dziełka jest w Muzeum Brytańskim pod nr. 41698 i umieszczone w Zbiorze pism I str. 97—232.

18) *Brevis fidei exploratio*, napisane 1550 r. a wydane 1553, wspomina o niēm napród Łaski w liście do Bullingera pisanym d. 7 stycznia 1551 r. (1): „tak bowiem zgromadzamy kościół, iż ktoby chciał rozważać dla podpisania wydanego przez nas wyznania naszego, to mamy nazwiska całego naszego kościoła w katalogu”, wprawdzie nie wiadomo, czy odnosi się to do konfessyi Londyńskiej, czy też do wyżej wzmiankowanego dziełka. I tak mylą się ci, którzy z listu Łaskiego pisanego do Bullingera dowodzą, że katechizm ten już w r. 1551 wyszedł. Rzeczywiście pod koniec 1550 r. Łaski napisał go po łacinie i tekst jego umieścił w książce, której nadał tytuł: *Forma ac ratio*. Na język zaś holenderski przetoczył niez mordowany tłumacz Łaskiego Utenhof. Jaka jest różnica przekładu od tekstu, najdokładniej wyróżnił to Kuyper na boku w wydaniu pism z r. 1866 i umieścił tenże przekład w T. II str. 477—492 z następnym tytułem: *Een corte undersouckinge des gheloofs, ouer de ghene, die haer tot de duytsche ghemeynte, die te Londen is, begheven willen, uutghestelt doer de Dienaers derselwer, Coloss III. Het wort Christi woene ryckelick in u met alle wysheynt. (Emdae apud Gellium Ctematium 1553) w 8ce.*

Powtórnie wydał je Micronius w swém dziele: *de Christ. ordinancien der Nederlantscher Ghem.* od str. 96—112, po raz trzeci wyszło w Londynie, po raz 4 apud John Daye 1556. Na koniec wyszło po raz piąty pod odmiennym tytułem:

Een korte ondersoeking des gheloofs, ouer de ghene die haer tot de duytsche ghemeynte, die te Londen was, begheven wouden. Wt ghestelt doer de Dienaers der selwer, Coloss III c. XVI. Het woordt Christi wone ryckelick in u, in allerley wysheynt 1558 Emden apud Gellium Ctematium w 8ce.

Badanie to wiary w przekładzie francuzkim i niemieckim jest umieszczone przy przekładzie dzieła Łaskiego p. t. *Forma ac ratio* (ob. Nr. 21).

19) *Confessio Joannis a Lasco, de nostra cum Christo Domino communionem et corporis sui item in coena sua exhibitionem: ad ministros ecclesiarum Frisiae orientalis. Psalm 116 Credidi, propterea et loquor, (Emdae 1554) sine anno et typographo w 8ce*

8 kart nieliczb. Egzemplarz tego jest w bibliotece Rządowej Uniwersytetu Warszawskiego Nr. 3034. Przekład holenderski wyszedł pod tytułem: *Een corte ende clare bekenenisse Joannis a Lasco van de ghemeinscap, die wy met Christo den Heere hebben, ende ooc insghelyckx van de wyse, op de welcke d'lichaeme Christi in d'Nachtmael ons aenghebrocht wordt psalm 116 (Emdae 1554) w 8ce.*

Mylą się pastorowie Emdenscy w naznaczeniu istnienia już tego dziełka w roku 1545. Bo chociaż na tytule opuszczony jest rok wydania, lecz nic łatwiejszego jak oznaczyć czas jego wyjścia; gdyż sam Łaski wskazuje nam to w liście do księcia pruskiego pisanym w Embden dnia 4 czerwca 1554 roku; gdzie tak pisze: „Posyłam Waszjej Wysokości moje krótkie wyznanie o naszej komunii (tu wymienia cały tytuł), które tu wydałem dla wykrycia potwarzy niektórych mi zawistnych (1). W tych mniej więcej słowach napisał i do Bullingera przesyłając mu to samo wyznanie (2).

20) *Catechismus Emdanus minor, a 1554.*

Tak właściwie zwany, był wydany i ogłoszony przez pastora kościoła Emdenkiego 1554 roku. Ma on tylko skróconą formę tego katechizmu, który już od 1546 roku był przyjęty we Fryzji wschodniej, a prawdziwym twórcą tego mniejszego katechizmu był sam Łaski, czego dostatecznie dowiódł nam dr: Kuyper. Katechizm ten wielce zasługuje na uwagę, gdyż jest niejako podstawą Katechizmu hejdelberskiego, mającego znaczenie symboliczne w kościele reformowanym; przezco dokładnie odznacza nam granice, do jakich sięga wpływ i powaga Łaskiego. Porównawszy je z sobą, widzimy, że katechizm hejdelberski w wielu miejscach czerpał z katechizmu Łaskiego. Katechizm ten umieszczony w Zbiorze pism II str 495—543, podług przekładu holenderskiego a obok tekst łaciński podług wydania Gerobula i ma tytuł:

Catechismus effte Kinderlehre, tho nütte der Jöget in Ostfriesslandt dorch de deners des hilligen Godtlicken wordes tho Embden. Uppet korteste vervatet, Ghedruckt te Embden by? Anno MDLIV octobr. 10.

Prawdziwe to wyznanie holenderskie jest nie znane i tylko dopełnił je podług umieszczonego w dziele D. B. Eilshemii, *Handtboeck des waren gelovens Embden 1610.*

Przekład zaś łaciński wyszedł pod tytułem: *Catechesis ecclesiae Emdanae in gratiam studiosae juventutis recens latinitate donata, Joanne Gerobulo Hagano interprete, Aembdae 1566 venales apud Johannem Gaudanum bibliopolam ex officina G. Galiaert w 12-ce wyszło także i w przekładzie francuzkim p. t.:*

Catechisme cést à dire instruction des enfans par S. H. de la Vigne 1612 w 8-ce. Powtórnie wydał go R. L. Grimershemijs

(1) *Lascki Opera II, str. 701.*

(2) *Lascki Opera II, 708.*

w Emden 1630 roku i po raz trzeci w Gröningen 1650 roku wraz z tłumaczeniem niemieckiem obok. Nakoniec wyszedł przekład holenderski 1717 roku p. t. *Catechismus of kinderleere tot nut en dienst van de jeugt in Oost friesland, Door de dienaren des godlycken woords binnen Emden op het korste vervattet, En nu uit de Saksische met de volle Schriftuur plaats en in de Nederlandsche Taal volgens order van hel Eerwaarde Consistorium binnem Emden overgebragt en nagesien. Gedruckt te Emden by H. van Senden en de andere Boeckverkoopers in compagnie 1717 w 8-ce. Wydanie to wielekroć razy przedrukowane było.*

21) *Forma ac ratio tota ecclesiastici ministerii, in peregrinorum potissimum vero Germanorum ecclesia: instituta Londini in Anglia per pientissimum principem Angliae etc. regem Edvardum, ejus nominis sextum: Anno post Christum natum 1550. Ad dito ad calcem libelli privilegio suae majestatis. Autore Joanne a Lasco poloniae barone. Cum brevi etiam (in epistola nuncupatoria) calumniarum quarundam refutatione: quae falso adversus ipsum, in Martiniani cujusdam apud Bremen. Pastoris farragine inspersae habentur, w 8-ce, 68 kart niel. i 658 str., omyłek 1 karta nieliczbowana bez roku i miejsca druku, lecz wyszło w Frankfurcie nad Menem 1555 roku, o czém sam nadmienienia w liście przypisnym (1). Egzemplarz jest w bibliotece rządowej uniwersytetu warszawskiego nr. 3033.*

W obszernym liście przypisał Zygmuntovi Augustowi królowi polsk., senatowi i wszystkim stanom królestwa datowanym z Frankfurtu dnia 6 września 1555 roku i wyklada formę prawa i zasady całego ministerium kościelnego nowo-utworzonego w Anglii w roku 1550 przez Edwarda VI króla. Na samym końcu dzieła jest umieszczony przywilej Edwarda króla, mianujący Łaskiego pierwszym superintendem kościołów.

Friese (w *Bejträge zu der Reformationsgeschichte II Theil I Band, str 292*) opisuje jeszcze drugie wydanie mające się różnić wedle niego drukiem i sygnaturą kart (w czém uważałbym że się myli). Pismo to przedrukowane w *Zbiorze pism Tom II, od str. 1—283*. Do wydania tego w niektórych egzemplarzach jest przydane popiersie Łaskiego (2).

Przekład francuzki tój liturgii wyszedł pod tytułem:

Toute la forme et maniere du ministre ecclesiastique en l'eglise das estrangers, dressée a Londres en Anglettere par le prince trefidele du dit pays, le roy Edouard VI de ce nom; l'an après l'incarnation de Christ 1550 avec le privilege de sa majestie à la fin du livre. Par Jean a Lasco baron de polonie, traduit de latin en françois et imprimé par Giles Ctematius 1556. Que toutes choses se fassent honestement et par ordre en l'eglise 1. Corinth. 34 w 8-ce bez miejsca druku, lecz drukowane w Emden. Znany dotąd egzem-

(1) *Lasco Opera Tom II str. 35.*

(2) Drzeworyt bez wymienienia nazwiska rytownika.

plarz znajduje się w Oxfordzie. W 1861 r. zapłacono na licytacji w Londynie sto złotych holenderskich.

Marcin Micronius skrócił to dziełko i wydał w języku hollenderskim pod tytułem: *De Christlicke ordinancien der nederlantscher Ghemeynten Christi die van den Christelicken prince co, Edewaerdt den VI int iaer 1550, te Londen inghestelt was. De welke met de bewillinghe der dienaren ende Ouderlinghen der selver, ten trooste ende nutte aller ghelooueghen, ghetrouwelick met alder nersticheit t'zamengheuoecht ende wtghesteltsyn. Doer Marten Microen. Waertoe ghedaen is't privilegium des voernoemden Co, Ed. den VI-ter opbouwinghe der voernoemder Nederlantscher ende andere Utlandscher Ghemeynten onder synen grooten seigel ghegeven. Ephe 2. In Christo Jesu alle timmeringhe tsamengheuoecht, wast op tot eenen heyligheen tempel, in den Heere. Ghedruckt buyten Londen, doer Collinus Volckwinners Anno 1554 w 8-ce.*

Przedrukowane powtórnie w Emden 1560 w 12-ce, po raz trzeci w Hollandyi 1563 roku i nakoniec w Antwerpii 1582 roku w 8-ce. Jan Majer przełożył dzieło Microniusza na język niemiecki i ogłosił drukiem p. t.:

Kirchen ordnung, wie die unter dem Christlichen König aus Engelant Edward den VI in der Stadt Londen in der Niederländischen Gemeine Christi durch kou. Majest. mandat geordnet und gehalten worden, mit der Kirchendiener und Eltstenbewilligung durch Herrn Johann von Lasco Freiherren in Polen Superintendenten desselbigen Kirchen in Engelland in lateinischer Sprache weitleuftiger beschrieben, aber durch Martinum Micronium in eine kurtze Summe verfasset, und jetzund verdeutschet, gedruckt in der Christlichen Stadt Heidelberg durch Johannem Mayer 1565 w 8-ce.

Przedrukował je także Richter w swém dziele: *Die ewangelische Kirchenordnungen des XVI Jahrhunderts* 1846 Tom II str. 99 i następne.

22) *Epistolae tres lectu dignissimae de recta et legitima ecclesiarum bene instituendarum ratione ac modo: ad potentissimum Regem Poloniae, senatum, reliquosque ordines. D. Joanne a Lasco barone poloniae etc, auctore. Basileae per Joannem Oporinum, w 8-ce 110 stronnic.* Na ostatniej karcie nieliczbowanej Basileae ex officina Joannis Oporini Anno salutis humanae MDLVI, mense Martio, przedrukowane w Zbiorze pism T. I str. 347—388; egzemplarz jest w bibliotece Ord. Krasińskich w Warszawie i w bibl. rządowej uniw. Warsz. N. 3031.

Rozpoczyna list do króla Zygmunta Augusta pisany przez Łaskiego z Frankfurtu dnia 31go grudnia 1555 roku. W nim ucieka się Łaski pod opiekę króla tak ze swoim wyznaniem, jak i ze swą własną osobą. Od str. 11 jest drugi list pod tą samą datą pisany do Senatorów, w którym zaleca głównie swe wyznanie, zachęca ich do przyjęcia go, aby je tylko zbliska rozpatrzyć chcieli, chętnie skłaniając się ku jego reformie. Od str. 100 jest

trzeci list do narodu pod tąż samą datą i w téjże treści; przytacza je Jocher: *Obraz bibl.* T. 3 str. 562 Nr. 9515.

23) *Purgatio ministrorum in ecclesia peregrinorum Francofurti, adversus eorum calumnias qui ipsorum doctrinam de Christi Domini in coena sua praesentia dissensionis accusant ab Augustana confessione.* Autore D. Joanne a Lasco barone polono, Basileae per Joannem Oporinum, w 8ce 67 stron. Na końcu: *Basileae apud Joan. Oporinum anno salutis humanae MDLVI. Mense Decembri, przedruk w Zbiorze pism T. I str. 243—269, przytacza je Jocher obraz T. II str. 315 i 592, N. 3902.* Łaski przypisał to pismo Magistratowi Frankfurtskiemu i wyszło na jaw po odbytej rozmowie, jaką miał 1556 r. Łaski w Stutgardzie z Brentiusem i innemi teologami Wirtemberskimi o wieczery Pańskiej. Obronę tę prócz Łaskiego czterech innych podpisało ministrów, i taki tylko przyniosła skutek, że ministrowie ci kościołów obcych stracili opiekę Magistratu i sam Łaski musiał miasto opuścić. Przekład niemiecki tego dziełka wyszedł pod tyt. *Purgation das ist ein notwendig Christlich Verantwortung, der frembden kirchendienner zu Frankfurth am mayn, Wider etlicher calunnien und auflagen, so sie aus unverstand wahrer Religion beschuldiget, als ob ire Lehr von gegenwertigkeit des Herrn Christi, in seinem heiligen Abendmahl mit der Augspurgischen Confession nicht übereinstimmete, Von Joanne v. Lasco Freyherrn aus Polen: erstlich in latein beschrieben Anno 1556 ins teutsche übersetzt von Melchior Fromberger, gedruckt zu Heidelberg 1598 w 8ce.* Tak wydanie łacińskie jak i przekład niemiecki są umieszczone w: *Acta de religione Francofurtana T. II fol 167—214* wraz z uwagami Rittersa. Kościół cudzoziemców wygnany z Londynu szukał schronienia wraz z wolnym wyznawaniem swój religii po całych Niemczech zachodnich i takowe uzyskał od Magistratu Frankfurtskiego. Miasto ich przyjęło, dozwoliło zamieszkać i oddało im kościół, w którym mogli odprawiać swe obrządki pod tym jednak warunkiem, aby nie przekraczali granic wyznania augsburskiego. Gdy zaś obrońcy luteranizmu ściśniewszy granice tegoż wyznania, jak to sam uczynił Melanchton, złośliwie oskarżyli zbór obcych przed najwyższym Magistratem, jako oddzielających się od wyznania augsburskiego; przedstawili więc pastorowie zboru obcych, krótkie wyznanie swój wiary Magistratowi w kształcie listu, w którym starano się jak najwięcej uchwycić wyrażen wyznania augsburskiego. Łaski chcąc zaś oczyścić zbór swój od potwarzy i zarazem dowieść publicznie przed książętami i teologami prawdziwej zgody z wyznaniem augsburskiem, napisał w imieniu całego zgromadzenia to oczyszczenie (Nr. 23) i przy liście swym z dnia 21 października 1556 r. złożył je senatowi, żądając pozwolenia na wydrukowanie tegoż. Przyczém przesłał Łaski egzemplarz Kalwinowi i Melanchtonowi do wydania swój opinii z prawem opuszczenia lub poprawienia tego, coby za zdrożne uważali. Stoso-

wnie zatem do ich woli poprawił i wedle aprobaty Kalwina i Melanctona wydał. O czém pisze sam Łaski w liście do Bullingera (1).

Kardynał Hozyusz napisał i wydał 1558 roku dziełko p. t.: „De expresso verbo Dei“ dla zbicia fałszywych wykładów Vergeriusza i innych reformatorów, gdzie i naszego Łaskiego lekko zadrasnął. Wnet wystąpił Łaski ze swoją odpowiedzią i takową ogłosił drukiem p. t.

24) *Brevis ac compendiaria responsio ad collectos certos quosdam ex Erasmo Albero, per Stanislaum Hosium, titulo Varmiensem Episcopum, articulos de doctrina Joannis a Lasco: atque huc demum in Polonia transmissos, simulque et ad libellum ipsius nuper editum: de oppresso verius quam expresso verbo Dei, per ipsummet Joannem a Lasco. Percutiat te Dominus paries dealbate. Act. 23., w 8ce, 123 kart nieliczb. Na końcu: Excusum Pinczoviae in officina Danielis anno salutis humanae 1559. Tertia Maij. Druk bardzo piękny, przedrukowane w Zbiorze pism. T. I, str. 391—462. Znajduje się w Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i Warszawskiego pod Nr. 3032. Łaski przypisał prozą Janowi hr. z Tarnowa, kasztelanowi krakowskiemu i hetmanowi W. kor. W piśmie tém odpowiada na czynione jemu i jego nauczycielom zarzuty przez Hozyusza zawarte w 23 artykułach: jakoby wypisanych z Erazma Albery i na każdy artykuł szczegółowo starał się odpisać. Przy liście datowanym z Dembian dnia 1go września 1559 roku Łaski posłał Elżbiecie, królowej angielskiej egzemplarz tego dzieła. List ten wyjęty z archiwum rządowego w Londynie, jest cały wydrukowany w Zbiorze pism T. II, str. 758—765, nader ciekawy i ważny gdyż dokładnie odmalowuje charakter Łaskiego.*

Łaski w liście do Hardenberga pisanym 1554 roku tak mówi: „Odebrałem pismo Westphala (2), pełne kłamstw i obelg, na które wkrótce odpiszę i nim drukiem ogłoszę, wprzód ci zakomunikuję (3)“. Tego jeszcze roku pisze Łaski do Bullingera te słowa: „Westphalus wydał mieszanię różnych tłumaczeń o wieczności Pańskiej, zebraną z pism Carlostada, Zwingliusza, Oekolampadiusza, Piotra Martyra, z waszjej confessyi, z Bucera, Kalwina, a w końcu i z mego dziełka; lecz chcę mu na to odpowiedzieć“ (4). Czy wyszła jaka osobna odpowiedź na dzieło Westphala, niewiadomo. Tylko w liście do Zygmunta Augusta, przyłączonym do dzieła p. t.: *Forma ac ratio* (Nr. 21), ostro powsta-

(1) *Lascki Opera* II, 735.

(2) Joachim Westphalus wydał: *Farrago confuscanarum et inter se dissidentium opinionum de coena Domini, ex sacramentariorum libris congesta Magdeburgi 1552 w 8-ce.*

(3) *Lascki Opera* II, 696

(4) *Lascki Opera* II, 700.

wał na zuchwalstwo Westphala i surowo go napomniał. Wnet Westphalus odpisał mu i wydał: *Justa defensio adversus insignia mendacia Joannis a Lasco, quae in epistola ad Poloniae regem contra saxonicas ecclesias sparsit Argentorati 1557 ex officina Blasii Fabricii, w 8ce.* Westphalus złośliwie podburzał pastorów Frankfurtskich, a przez nich i senat tegóż miasta przeciwko Łaskiemu i jego nauce. Dotknięty tém Łaski zajął się napisaniem obrony, którą wydał 1556 roku p. t.: *Purgatio.* Wnet i Westphalus wystąpił ze złośliwą i zębatą odpowiedzią p. t.:

Responsio Joachimi Westphali ad scriptum Joannem a Lasco, in quo Augustanam Confessionem in anglicanimum transformat. Addita est haec responsio ejus epistolae, qua breviter respondet ad convicia Joannis Calvini. Ursellis, 1557, w 8ce.

Na to pismo Westphala odpisał dopiéro we dwa lata Łaski.

25) *Responsio ad virulentam, calumniisque ac mendaciis consarcinatam hominis furiosi Joachimi Westphali epistolam quondam, qua purgationem ecclesiarum peregrinarum Francofurti convellere conatur, per Joannem a Lasco, ejus ipsius purgationis autorem, sic ut paragraphi paragraphis e regione respondeant: quo magis faciliusque appareat, utrinam causam aequiorem habeant in hac controversia de augustana Confessione. Accessit rerum quae praecipue toto libello tractantur, index. Basileae 1560 w 8ce 124 stron, na końcu: Basileae ex officina Joannis Oporini, anno salutis humanae 1560 mense Martio.* Odpowiedź ta wyszła już po śmierci Łaskiego i obiecany w tytule spis rzeczy nie został dodany. Jest umieszczona w Zbiorze pism I str. 271—344. Wspomina o niej Jocher obraz T. III str. 586 Nr. 9755, lecz niedokładnie. Egzemplarz tego dziełka znajduje się w bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie.

26) *Rozmaitości.*

Dr. Kuyper między listami zamieścił i takie jego pisma, które w kształcie listu wyszły, a nie były drukowane jak *np.*:

a) Rota przysięgi wykonanej 1526 roku przed arcybiskupem guieźnieńskim i biskupem krakowskim za powrotem swym z Niemiec, wyjęta z archiwum królewieckiego i umieszczona w Zbiorze pism T. II str. 547.

b) Prośba napisana dnia 10 listopada 1556 roku do króla Duńskiego, umieszczona w piśmie Utenbrofa *Simplex narratio* str. 28 - 38, i przedruk w Zbiorze pism T. II str. 680—84.

c) Odpowiedź dana dnia 16 listopada 1553 r. królowi Duńskiemu, wydrukowana także w Utenhofs *Simplex narratio* str. 43 - 48 i przedruk w Zbiorze pism II str. 684—87.

d) Porządek i przebieg rozmowy z Brencyuszem, wyjęta z archiwum królewieckiego i poprawiona, wyszła dopiero w Zbiorze pism II str. 724 - 730.

e) Rada udzielona kościołowi w Wesel (*Vesaliensis*) 1554 r., tamże T. II str. 703—7 i.

f) Odpowiedź dana ministrom kościoła pruskiego dnia 15 kwietnia 1558 r. umieszczona tamże II str. 755.

Podług wydania greckiego, które Robert Stephanus wydał 1550 r. w Paryżu, przełożył Nowy Testament na język holenderski Utenhof, a Gellius Ctematius wydał swoim nakładem w Emden 1556 r. Sam Utenhof oświadcza w przedmowie, że Łaski wraz z Delenem przekład ten na wielu miejscach poprawił i wygładził.

Miał także być jednym z tłumaczy Pisma Ś-go na język polski wspólnie z Szymonem Zaciuszem, Franciszkiem Stankarem, Piotrem Statoriuszem, Lizmaninem, Ochinem, Blandratą i z Marcinem Krowickim, które potem wyszło z druku w Brześciu litewskim 1563 r. pod znanym nazwiskiem biblii Radziwiłłowskiej. Którą zaś częścią Pisma Ś-go zajmował się Łaski, trudno z dokładnością oznaczyć. — Nadto dodać tu należy, że list Łaskiego:

27) Ad Christianum tertium Daniae regem epistola Joannis a Lasco dat Aemdae XI decembris 1553, był najprzód wydrukowany: w *Simplex et fidelis narratio etc. a Joanne Utenhovia Basileae* 1560 w 8ce, następnie przedrukowany w *Miscellaneis Grönninganis*, z kąd wyjęty przedrukował go Ludwik Harboe w dziele p. t. *Nachrichten von dem Schicksale des Johann a Lasco*, Kopenhagen 1758 w 8ce od str. 207—222 i nakoniec umieszczony w *Zbiorze pism* II str. 687—693.

O przekładzie polskim tego listu wspomniano przy tłumaczeniu Bazylika.

28) List Łaskiego pisany z Balic dnia 28 grudnia 1556 roku do Zygmunta Augusta króla, był najprzód wydrukowany w *Lubienieckiego hist. reform. polon.* od str. 79 do 91. Następnie wyszedł wraz z przekładem niemieckim w piśmie p. t.:

Johann a Lasko ehemaligen praepositus zu Gnesen und Lencitz und ernaunten Bischofs zu Vesprin in Ungarn merkwürdiges Schreiben an den König in Pohlen, die Religion betreffend. Joannis a Lasco praepositi olim ecclesiae Gnesnensis et Lenciciensis, nec non nominati Episcopi Vesprinensis in Hungaria, memorabilis admodum epistola ad Poloniae regem, in causa religionis scripta. Cölln 1766, w 4ce, 12 kart niel. Wspomina o tém Jocher *Obraz bibliogr.* III, str. 586 i 672 Nr. 9753, (egzemplarz jest w bibl. Rząd. Warsz.). W krótkiej przemowie bezimienny wydawca mówi: „że żywot Łaskiego jest nadzwyczaj ciekawy i chociaż go dokładnie opisał Jan Fryd. Bertram, lecz możnaby niektóre doń porobić dopełnienia, które jednak na inny czas odkłada. Dla tych, którzy go za wielkiego nie znają męża, czynimy uwagę, jak on z wielkiem przeświadczeniem dowodził o zepsuciu kościoła rzymskiego. Nie mogąc w kraju przeprowadzić swych myśli wyjechał do Holandyi, a ztamtąd do Anglii. Na początku dopiero 1557 roku powrócił do ojczyzny i na kilka dni przedtém doniósł o tém Zygmunтови Augustowi królowi w liście, który obecnie poraz pierwszy wydaję w przekładzie niemieckim. Katolicy wszelkich dokładali usilności, aby to pismo pochwycić,

nimby doręczono go królowi. List ten umieścił Budzinius w rozdz. XVI swój Kroniki, a z niej przepisał go Lubieniecki.“

Cały ten list wydrukował po niemiecku Friese Beyträge zur Reform. Geschichte, 2ter Theil, 1ter Band, str. 305 – 323. Po łacinię zaś umieszczony w Zbiorze pism, T. II, str. 738 – 746.

AMALIA.

USTĘP Z WOJNY DOMOWEJ

W RZECZYPOSPOLITEJ ARGIENTYŃSKIEJ

p. D. José Marmol.

Przekład z oryginału hiszpańskiego.

(Ciąg dalszy).

IX.

Pierwszy akt dramatu.

Z pomiędzy wszystkich obecnych jedna tylko Amalia nie znała Doni Ezcurra; lecz skoro zbliżka ujrzała tę twarz zapadniętą, wywiędtą i odrażającą, te wązkie czoło przysłonięte potarganym włosiem z ogromną ponsową kokardą, odpowiednią barwie całego prawie ubioru, nadającej téj postaci coś szatańskiego: doznała wrażenia dziwnie przykrego, ogarnęła ją jakaś niby obawa, trwoga, i mimowolnie tylko końcami palców dotknęła ręki którą jój przybyła na powitanie podała. Lecz skoro Augustina wyrzekła:

— Mam przyjemność przedstawić pani Donię Maryę Józefę Ezcurra, — nerwowe drgnienie wstrzęsło jój całą istotę jakby elektrycznym uderzeniem, i nie zdając sobie sprawy dlaczego wzrokiem szukała spojrzenia Edwarda.

— Nie spodziewała się mnie pani w czas taki brzydki? — mówiła Augustina do Amalii, podczas gdy wszyscy zabierali miejsca na około kominka.

Niechący czy rozmyślnie Donia Marya Józefa usadowiła się tuż przy Edwardzie. Rozumie się że Amalia nie myślała jój go przedstawić. Reszta wszyscy znali się oddawna.

— W samą rzecz, jest to miła niespodzianka, — odpowiedziała Amalia pani Mancili.

— To pani Marya Józefa gwałtem naparła się tój przejażdżki; a ponieważ wie ona jak ja u pani lubię bywać, sama dała rozkaz woźnicy żeby nas tu powiozł.

Daniel poskrobał się w ucho patrząc w ogień, jakby weń całą zatopił uwagę.

— Ależ widzę, — trzepała dalej Augustina, — że nie my jedne o pani pamiętamy. Oto pani Dupasquier, która już rok jak mię nie odwiedziła; oto Florencya ta niewdzięcznica względem mnie, a zatém oto i senior Bello. A jeszcze mam przyjemność widzieć pana Belgrano, którego od wicków nie ujrzyć nigdzie.

Augustina znała wszystką młodzież w Buenos-Aires. Donia Ezcurra zmierzyła Edwarda od stóp do głowy.

— Szczególny traf: znajomi bardzo mię rzadko odwiedzają, — odrzekła Amalia.

— Ale pani tak tu wyśmienicie mieszkasz, że samotność taka do zazdrości, — zaczęła Marya Józefa.

— W istocie, nie źle mi tutaj, seniora.

— O! Baraki to rozkoszne miejsce! zwłaszcza dla zdrowia, — i wskazując na Edwarda mówiła do Amalii: — ten pan przychodzi do zdrowia?

Twarz Amalii szkarłatem się oblała.

— Seniora, ja jestem zdrow zupełnie.

— A, przepraszam! lecz widzę pana tak bladym!

— To moja zwyczajna cera.

— Przytem spostrzegam że pan nie ma godła, i tak lekki krawacik na szyi w dzień tak zimny; wносиłam ztąd że pan w tym domu mieszka.

— Widzi pani, — z pośpiechem wtrącił Daniel dla zapobieżenia odpowiedzi, która koniecznie musiałaby być albo kłamstwem lub zbyt jawną prawdą, czego potrzeba było unikać, — co się tyczy zimna to zależy od przyzwyczajenia. Naprzykład Szkoci w mroźnej krainie mieszkają a chodzą z obnażonemi nawpół nogami.

— Po heretycku; ależ my tu w Buenos-Aires, — odrzekła Donia Ezcurra.

— W Buenos-Aires mamy też zimy ostre, zwłaszcza tego-roczne, — dodała pani Dupasquier.

— Czy pani kazałaś wstawić u siebie kołnierz? — spytała Florencya, gdyż tak ona jak wszyscy instynktem odgadli iż trzeba odwrócić uwagę staręj od Edwarda.

— Zbyt mam wiele do roboty, moja mała, żebym się takimi rzeczami trudniła; jak się pozbędziemy unitaryuszów którzy nam tyle robią zamętu, wtenczas będzie można pomyśleć o swoich wygódkach.

— Ja dlatego we wszystkich pokojach nie stawiam kominków, że Mancilla zawsze się zaziębi jak odejdzie od ognia, — mówiła Augustina.

— Dziś Mancilla rozgorączkowany nie lada, — odezwała się znów Donia Ezcurrea.

— Jakto? czy chory pan generał? spytała Amalia.

— On nigdy zupełnie zdrow nie jest, — odrzekła generałowa, — ale dziś się nie skarżył na nic.

— O! to gorączka nie z choroby, — wyjaśniła stara, — ale z zapachu. Alboż państwo nie wiecie że już od trzech dni obchodzą uroczyste rozbiście plugawych unitaryuszów w *Entre-Rios*? Przecież o tém wie każdy federalista!

— Właśnie o tém rozmawialiśmy kiedy panie wchodziły, — rzekł Daniel. — Straszna była bitwa!

— I tego ich tam przetrzepali. Czy pan był na uroczystości, panie Belgrano?

— Razem obeszlśmy wszystkie ulice chorągiewami przystrojone, — podchwycił Daniel lękając się odpowiedzi Edwarda.

— A jakie śliczne chorągwie! Powiedz mi pani, zkąd ich biorą tyle? — pytała filutka Florencya.

— Kupują je moja mała, albo je robią dobre federalistki.

— No, i ja przecież federalistką dobrą jestem, a nie psułabym sobie rąk nad nimi. Kiedy w przeszłym roku jeszcze Mancilla mię o chorągwie prosił, posłałam pożyczyc u pana Maudeville, i oddałam je, i używam, i nie oddam. A pani wywiesiłaś także Amalio?

— Nie, pani, ten dom tak oddalony od miasta.

— O, nie tak znów bardzo! — zauważyła Donia Ezcurrea.

— Nigdzie niema tak pięknych jak w teatrze! Była pani w teatrze, Donia Józefo?

— Nie, Florencita, ja w teatrze nie bywam. Ale słyszałam że wielki tam objawił się zapach: był tam pan, senior Belgrano?

— Wié pani co? jak będę jechać którego dnia do teatru, to wstąpię po panią i pojedziemy razem, nie prawdaż?

— Nie trudź się, mała, ja nie bywam w teatrze, — odrzekła stara tonem nieukontentowania, gdyż wszyscy, a najbardziej Florencya, nie dopuszczali jéj do rozmowy z Edwardem.

— Teatr jest miejscem najwłaściwszem do objawów uczuć ogółu, — mówił Daniel.

— Tak, lecz temi wrzaskami nie pozwalają słuchać muzyki, — dodała Augustina.

— Ten krzyk jest najpiękniejszą muzyką naszej świętej sprawy, — wyrzekł Daniel z nieopisaną powagą oblicza.

— Brawo! otóż co się zowie mówić! — zawołała Donia Ezcurrea.

— Florencyo, mogłabyś nam zagrać na fortepianie.

— Zagraj Florencyo, kiedy Amalia sobie życzy, — rzekła matka.

— I owszem. Co pani lubi, Donia Józefo?

— Co sama chcesz.

— To dobrze: choć pani ja się nie popisuję z moim głosem przed gośćmi, ale zaśpiewam pieśń *Narodzenia Restauratora* tylko dla pani, a więc proszę z sobą do fortepianu, — i to mówiąc Florencya stanęła przed nią na znak że nie ustąpi od swojego zaproszenia.

— O, co to za dziewczyna! tak mię wiele kosztuje podnieść się z miejsca gdzie usiadłam! — rzekła stara z piekielnym uśmiechem, — A no, idę, idę. . . wybacz panie Belgrano. . .

I z temi słowy, udając jakoby potrzebowała oparcia się dla powstania, kością i wychudłą rękę położyła na jego lewej nodze, waząc na nią całym ciałem tak silnie, że Edward przejęty bólem aż do kości, gdyż ręka gniotła w samą ranę, odrzucił w tył głowę i nie mógł powstrzymać wykrzyku: — A! seniora! — prawie omdlały i zbladły jak trup.

Daniel pociągnął sobie dłonią po twarzy.

Wszyscy z wyjątkiem Augustyny zrozumieli natychmiast iż postępek Doni Ezcurre zawierał w sobie jakiś złośliwy zamiar; wszyscy zmieszali się i struchleli.

— Czy pana zabolalo? wybacz pan; gdybym była wiedziała że masz lewą nogę tak uciążliwą, byłabym poprosiła o jego ramię do pomocy. Co to jest być starą! gdyby to była młoda dziewczyna, nie poczułbyś pan bólu w lewej nodze. Przepraszam, młodzieńcze! — mówiła wiedźma patrząc na Edwarda z wyrazem zadowolnienia, którego ludzkie pióro określić nie zdolne, i poszła do fortepianu gdzie już Florencya usiadła.

Skutkiem właściwej wyniosłym umysłem reakcyi, Amalia naraz pozbyła się wszelkiej bojaźni, wszelkiej oględności na czasy i znajdujące się obok niej osoby Rozasa blizkie: wstała, chusteczkę wodą kolońską skropiła, i dała powąchać Edwardowi, któremu zaczynał ustępować chwilowy zawrót głowy; potem raptownie krzesło przez Maryę Józefę poprzednio zajmowane na bok usunawszy, inne na jego miejscu postawiła i usiadła obok ukochanego, nie zważając iż plecami była obróconą do krewnej i powiernicy wszechwładnego Dyktatora.

Augustina nie nie rozumiała: rozmawiała z panią Dupasquier o rzeczach obojętnych i błahych, jak to było jęj zwyczajem.

Florencya grała i śpiewała, sama nie wiedząc jak i co.

Donia Józefa spoglądała na Edwarda i Amalię, i głową kręciła, i uśmiechała się.

Daniel stojąc plecami obrócony do komina wyteżał wszystkie duszy władze.

— To nic: już przeszło — szepnął Edward przychodząc nieco do siebie.

— Ależ to szatan nie kobieta! Od chwili wejścia pracuje tylko nad tém aby nam dokuczyć — odrzekła Amalia czułym wzrokiem patrząc na lubego.

— Paradny ogień, — odezwał się Daniel głos podnosząc i spoglądając nieco surowo na Amalię.

— Prawda że wyborny, — rzekła pani Dupasquier, — jednakże. . .

— Tylko do dziesiątej lub jedenastej przy nim się grać będziemy a potem marznąć przez drogę, — przerwał Daniel przecuwając że pani Dupasquier napomknie o wyjeździe.

Zrozumiała natychmiast myśl jego w tych słowach zawartą i w znaczącym spojrzeniu które na nią rzucił; dodała więc:

— Właśnie taki mam zamiar, bo kiedy nam tak się ciężko wybrać, tedy przynajmniej musimy się gosposi do późna naprzykrzyć, aby sobie dłuższą zrobić przyjemność

— Bardzom pani wdzięczna, — odrzekła Amalia.

— Ach i jabym tu chętnie cały wieczór została, — odezwała się Augustina, — ale mam jeszcze być w inném miejscu.

A cóż? udało mi się? — pytała Florencyja wstając od fortepianu.

— O, wybornie! Czy panu ból już przeszedł, panie Belgrano?

— Już, tak pani, — odpowiedziała z pośpiechem Amalia, nie odwracając głowy, nie patrząc na złośliwą babę.

— Ależ pan nie masz do mnie urazy? co?

— Nie ma o co, pani, — odrzekł Edward zadając sobie gwałt by słowo do niej wyrzec.

— Przysięgam panu najuroczyściej że nikomu nie powiem iż pan masz tak dotkliwą lewą nogę, a zwłaszcza dziewczętom, bo te gdyby wiedziały, miałyby chętkę szczypać ją żeby widzieć jak pan mdlejesz.

— Może pani usiądzie? — rzekła Amalia zwracając ku niej głowę, lecz bez podniesienia oczu, i wskazując krzesło po drugiej stronie kominka.

— Nie, nie, — mówiła Augustina, — już jedziemy, bo mam jeszcze jedną wizytę, a przed dziewiątą chcę być w domu.

I piękna małżonka generała Mancilla powstała, wiążąc sobie wstążki czarnego axamitnego kapelusika, przy którym cudnie odbijała białość i świeżość jęj twarzy.

Mimo największych wysiłków nie zdołała Amalia poskromić w sobie odrazy jaką w nią wzbudzała Donia Ezcurre. Nie przeniknęła ona wprawdzie całej złośliwości jęj postępowania, lecz sama już rubasność jaką nacechowany był każdy krok, każde słowo tęj kobiety czyniła obecność jęj niecznośną. Nigdy tóż tę damę tak wielkiego znaczenia w owym czasie, nie spotkało pożegnanie równie oszłte i zimne. Amalia zaledwo jęj podała końce palców, nie podziękowała za odwiedziny, nie zapraszała.

Augustina nic tego nie widziała, zajęta była żegnaniem się, rzucaniem ukradkowych spojrzeń w zwierciadło nad kominkiem, a potem przyjęła ofiarowane sobie ramię Daniela, który gości odprowadził do powozu.

Donia Józefa jeszcze odedrzwi odwróciła głowę i wołała do Edwarda:

— Nie miejże pan do mnie urazy. Ale nie trzeba przykładać wody kolońskiej na nogę, bo będzie boleć.

Powóz już odjechał, a w salonie jeszcze trwało głębokie milczenie które zapanowało po wyjściu dwóch pań przyjezdnych.

Przerwała je najpierwsza Amalia spoglądając po wszystkich i pytając zdumiona:

— Ale cóż to za rodzaj kobiety?

— Jest to kobieta która niema sobie podobnej, — odpowiedziała pani Dupasquier.

— Cóż my jęj zawiniliśmy? pocóż tu przyjechała żeby nas dręczyć wszystkich, choć nie zna mię, ani Edwarda?

— Ach, siostrzyczko droga, cała nasza robota za nic! ta jedza przyjechała tu z planem. Musiała dostać jakieś doniesienie, jakieś poszlaki względem Edwarda, i na nieszczęście odkryła wszystko!

— Jakto? co odkryła?

— Wszystko! alboż myślisz że to przypadkiem przygniotła lewą nogę Edwarda?

— Ach! — zawołała Florencya, — tak, tak, ona wiedziała o rannym w lewą nogę!

Spojrzeli po sobie zdziwieni, a Daniel równie spokojnie i poważnie mówił dalej:

— To jest prawda, jedyną tę poznakę mają na zbiegłym z 4-go maja. Nie przyjechała ona tutaj bez złośliwego zamiaru. Od chwili wejścia przyglądała się Edwardowi, a gdy zmiarkowała że wszyscy jęj przerywamy rozmowę, jednym zamachem postanowiła odkryć prawdę, i na twarzy Edwarda wyczytać wrażenie wywołane przygnieceniem świeżej jeszcze rany. Szatan tylko mógł jęj myśl tę poddać, i odeszła ztąd z najzupełniejszym przeświadczeniem o trafności swego domniemania.

— Ale któż jęj mógł to powiedzieć?

— Dajmy temu pokój, droga Amalio. Wiem jak najdokładniej że tak jest, i to wiem także iż się wszyscy w tęg godzinie znajdujemy nad brzegiem przepaści. Dla tego Edward musi natychmiast dom ten opuścić i zemną jechać.

— Oh, nie! — zawołał Edward powstając z roizkrzonym okiem, — nie! poznaję teraz całą niegodziwość postępowania tęg kobiety, a ponieważ jestem już odkryty, właśnie dla tego powinienem tu pozostać.

— Ani minuty, — odrzekł Daniel tonem stanowczym, jaki przybierał w trudnych okolicznościach.

— A onaż, Danielu, ona? — wołał niecierpliwie Edward.

— Ona cię nie uratuje.

— Ależ nie o to chodzi! lecz ja powinienem bronić ją od zniewagi!

— Jój obronę biorę na siebie.

— Czy sądzisz że tu przyjdą? — pytała Amalia patrząc niepokojnie na Daniela.

— Za parę godzin, może za godzinę.

— Oh mój Boże! Edwardzie błagam cię, jedź natychmiast! — prosiła Amalia przybliżając się do niego, a za nią przystąpiła Florencyja.

— Tak, z nami, z nami pan pojedziesz, — mówiło śliczne pocziwe dziewczę.

— Dom mój otwarty dla pana, moja córka uprzedziła myśl moją, — dodała pani Dupasquier.

— Na Boga, to być nie może! Choćby nieco innego, to honor sam nie pozwala mi odstępować Amalii w chwili niebezpieczeństwa.

— Ręczyć nie mogę czy coś zajdzie tego wieczoru, — mówił Daniel, — lecz się tego obawiam, i na wszelki wypadek wrócę tu za godzinę żeby nie była samą.

— Lecz Amalia może téż z nami jechać, — wtrąciła Florencyja.

— Nie, ona tu pozostać musi, i ja z nią, — odrzekł Daniel. Jeżeli noc przejdzie bez żadnego wypadku, jutro wezmę się do odrabiania tego co Donia Marya Józefa wypracowała dzisiaj. Ale nie traćmy czasu. Edwardzie bierz kapelusz i chodź z nami. Siebie gubiąc, i ją gubisz także.

— Edwardzie! to pierwsza moja prośba: nie odmawiaj! powierz się opiece Daniela, a jutro. . . jutro się zobaczymy cokolwiek Bóg na nas zeszele.

Błagający wyraz załzawionych oczu złamał wolę Edwarda, spuści głowę i stłumionym głosem wyrzekł:

— A więc, idę.

Florencyja klasnęła w ręce i zaczęła się ubierać wołając:

— Do nas, do nas, Edwardzie!

Daniel zachwycony tym popędem duszy, popatrzał na nią wzrokiem pełnym słodyczy i przywiązania.

— Nie, aniele dobroci, nie pojedzie ani do was, ani do siebie; wszędzie go mogą szukać. Już ja wiem gdzie go powiozę.

Florencyja zasępiła się.

— Dobrze, — rzekł Edward, — ale za godzinę tu będziesz?

— Niezawodnie.

— Najpierwszą ofiarę w życiu robię dla ciebie, Amalio, i klnę ci się na pamięć mojej matki że większej nie mógłbym uczynić.

— Dzięki ci, dzięki Edwardzie! Alboż kto wątpić może o twojej odwadze i poświęceniu? Lecz jeśli będę potrzebowała ramienia dla mojej obrony, wątpić równie nie możesz iż Daniel potrafi cię zastąpić.

W kilka chwil potem brama była zaryglowana, stary Pedro przechadzał się po krążanku, u pasa jego tkwił piękny puginał, a o mur stał oparty karabinek od konnicy i dwururka Edwarda.

Służący Edwarda siedział w progu dziedzińca, gotów na rozkazy weterana, który według poleceń Daniela nie miał nikomu otwierać bramy aż do jego powrotu.

X.

Nocne przygody.

Pomimo całego pośpiechu, Daniel nie był w stanie wrócić za godzinę. Musiał odwiedzić panie do ich pomieszkania, odprowadzić Edwarda na odległą ulicę pieszo, nie chcąc przypuszczać do sekretu woźnicę; wstąpić do siebie dla wydania niektórych rozkazów służącemu, zaczekać na osiodłanie konia, i odbyć znów drogę na Baraki.

Było już więc wpół do dziesiątej, to jest półtóry godziny po opuszczeniu willi, kiedy zjeżdżał ze wzgórza *Balcarce*. Myśl jego pracowała zawzięcie nad rozwikłaniem téj matni w której się znalazł tak niespodziewanie, kiedy już był pewnym zatarcia się wszelkich śladów tajemnicy tak starannie ukrywanéj. Widział już jak na dłoni, że kierowana jakimiś doniesieniami kobieta pełniąca obowiązki szpiega swojego szwagra, dotarła do celu i ma jeszcze dowody. Wiedział że Rozas nie daruje temu co się jego śmiało uragać władzy; że Cuitinio a więc i *Mashorca* pragną gorliwości swojej dowieść przyniesieniem głowy tego, który swojem mężstwem zachwiał dobrą opinią o ich sprawności; wreszcie że Marya Józefa uparła się by dopiąć swego, z tém większą zaciętością, im dłużej wymykała się jéj upatrzona ofiara. Dla nich więc wszystkich Edward był zbrodniarzem wyjętym z pod prawa. A zbrodniarz ten ma współników: najpierwszym, Amalia, a z nią wszyscy jéj bliższy, Daniel, może nawet pani Dupasquier i Florencya!

— Oh mój Boże! . . . jak tu zażegnać tę nawałnicę! — wykrzyknął w głębi duszy, zaniepokojony i zatrwożony po raz pierwszy w życiu.

Dziwną sprzecznością natury, serca silnéj woli, nieuległe w zapasach politycznych lub orężnych, słabemi bywają w strapieniach rodzinnych, nieśmiałemi aż do zniewieściałości w obec niebezpieczeństw zagrażających istotom ukochanym sobie. Toż i ten młodzieniec z hartem duszy niezłomnym, co spokojnie czoło stawiał przygodom wśród krwawych przewrotów i wzburzeń, coby oka nie zmrużył przed gradem kul na polu bitwy, w téj chwili uległ bojaźni i trwodze, na widok groźnéj chmury wiszącéj nad drogiemi mu głowami.

— Ha! zresztą, — rzekł w końcu, — niech przyjdą wypadki, uderzeniem wykrzeszą ze mnie iskry, bo jeśli one są ze stali, to ja jestem z krzemienia!

I jakby otrząsając się z nieznanym sobie wrażeń, puścił wodze szlachetnemu rumakowi, który go rączo uniósł po wiadomej drodze, wśród nocy zimnej i mglistej, pod szarą obłoków oponą, tłoczącą umysł złowrogim smutkiem.

Już dobiegał ku poprzecznej drodze wiodącej do portu, gdy nagle ujrzał sześciu jeźdźnych skręcających w pełnym galopie w ulicę *Larga*.

Tajemne przecucie szepnęło mu iż ludzie ci są w jakimś związku z zajmującą go sprawą. Szybki pomysł przeleciał mu przez głowę; powściągnął cugle swego konia, i puścił przed sobą nieznanomych, w chwili prawie gdy się z nim spotkać mieli. Lecz zaledwie go wyprzedzili o pięćdziesiąt kroków, popędził galopem, trzymając się ciągle w tej samej z nimi odległości.

Ulica pusta, kirem nocy zasępiona, niekiedy tylko nagle błyskawica chwilowo przerwie ciemności: młodzieniec bez innej broni jak pistolety, leci by wydrzeć może ofiarę z potężnej dłoni mordercy, co stał na czele federacyi, a tłoczył głowy i barki federalistów!

— Ach! nie omyliłem się! — zawołał w duchu widząc że jeźdźcy zatrzymali się przed domem Amalii, posiadali i zastukali do bramy.

Jeszcze nie mieli czasu powtórzyć stukania, kiedy Daniel przecisnąwszy się przez gromadę koni, zapytał głosem pewnym i śmiałym:

— Cóż to jest, panowie?

— Co jest? . . . a któż to pan jesteś?

— Jestem ten któremu przystałoby podobne panom zadać pytanie. Przybywacie po służbie: czy tak?

— Tak panie, po służbie, — odrzekł jeden przybliżając się i mierząc go spojrzaniem, podczas gdy młodzieniec swobodnie zeskoczył z konia i zakrzyknął rozkazującym tonem:

— Pedro! otwieraj!

Sześciu nieznanomych okrążyli Daniela, sami nie wiedząc co robić: każdy czekał na drugiego by zaczął.

Brama się otworzyła, Daniel usuwając dwóch przy niej stojących, wszedł krokiem pewnym, mówiąc:

— Proszę panów z sobą.

Rzucili się w ślad za nim. Daniel otworzył drzwi od salonu i wszedł. Wszyscy sześciu wkroczyli także wlokąc pałasze po kosztownym kobiercu, na którym bruzdy żłobiły ich ostrogi.

Amalia stała przy stoliku, blada w chwili otwarcia się drzwi; raptem oblała się żywym rumieńcem na widok zbliżających się ku sobie drabów w kapeluszach na głowie, z wstrętliwem piętnem wyuzdanego zuchwalstwa na twarzy. Przelotne wejrzenie Daniela uwiadomiło ją iż powinna zachować zupełne milczenie.

Młodzieniec zdjął z siebie ponsz, rzucił go na krzesło, a odkrywszy ponsową kamizelkę, jaka zaczynała być w modzie u najzapaleńszych federalistów, i zarazem ogromne godło przypięte na

piersiach, zwrócił się ku szczęściu ludziom którzy jeszcze nie mogli przyjść do ładu z myślą co im czynić wypadało.

— Kto dowodzi oddziałem?

— Ja jestem dowódcą, — rzekł jeden występując naprzód.

— Oficer?

— Ordynans komendanta Cuitinio.

— Przybywacie panowie aresztować kogo w tym domu?

— Tak, mamy rozkaz dom przetrząść, i zabrać pewnego człowieka.

— Dobrze. . . . Czytaj pan — rzekł Daniel podając ordynansowi kartkę którą wyjął z kieszeni od kamizelki.

Żołdak rozłożył papier, popatrzał nań, obejrzał na wszystkie strony znajdującą się na nim pieczęć, i wreszcie oddał drugiemu mówiąc:

— Masz, ty umiesz czytać!

Uczony żołnierz zbliżył się do lampy, i syllabizując zgłoska po zgłosce potrafił wyjąkać:

„Niech żyje Federacya i t. d.:

Towarzystwo Ludowe.

Okaziciel niniejszego Don Daniel Bello jest na usługach Towarzystwa Ludowego, i wszystko co robi musi być na korzyść Świętej Sprawy Federacyi, gdyż jest jednym z najlepszych jéj obrońców.

Buenos-Aires 10 czerwca 1840 r.

Julian Gonzalez Salomon
Prezydent. “

— A teraz panowie, — rzekł Daniel patrząc na zbirów którym już w głowach pomąciło się do reszty, — kogoż to szukacie w tym domu, mogę powiedzieć, moim.

Ordynans zbierał się na odpowiedź, gdy loskot straszliwy nagle odwrócił uwagę wszystkich. Konnica wpadła w krużganek, podkowy hałaśliwie zatętniły po ciosowych płytach, szczękneły szable i ostrogi zeskakujących zsiodeł jeźdźców, i gromadnie wtłoczyli się do sali.

Machinalnie Amalia przystąpiła do brata, mała Luiza uczepliła się rękawa swojej pani.

— Żywego lub umarłego! — wrzasnął przewodnik téj czeredy wpadając pierwszy.

— Ani żywego, ani umarłego, komendancie Cuitinio, — odrzekł Daniel.

— Czy umknął?

— Nie ztąd, komendancie, ale zewsząd umykają przed nami unitaryusze zastawiwszy na nas swoje matnie, z pomocą których w pośród nas samych rozterki sięją. Dziękiich manewrom, których

się od zamorskich heretyków wyuczyl, już i dom federalisty nie jest bezpiecznym. Jeżeli tym torem pójdziemy, to nie ręczę czy jutro nie przyjdzie do Restauratora ostrzeżenie iż w domu komendanta Cuitinio ukrywa się jakiś dziki unitaryusz. To jest mój dom, komendancie, a ta pani jest moją siostrą, i ja tutaj powiększej części przebywam. A teraz, Pedro, prowadź tych panów, niech dom przetrząsają jak sami zechcą.

— Ani kroku! — krzyknął Cuitinio na żołdactwo, które się już wybierało za weteranem, — w domu federalisty nie robi się poszukiwań. Jesteś pan tak dobrym federalistą jak ja, panie Bello. Lecz powiedz mi, pocóż mię ta Donia Marya Józefa tak zwiodła?

— Donia Marya Józefa? — zapytał Daniel, jakby nic a nic nie rozumiejąc.

— A tak. Dopiero co przysłała ostrzedz mię, że tutaj się ukrywa unitaryusz, który nam zemknął w ową noc; że go ona sama dzisiejszego wieczora widziała, i że się zowie Belgrano.

— To prawda, pan Belgrano był tu dzisiaj, gdyż niekiedy odwiedza moją siostrę. Ja go znam bardzo dobrze, widywałem przez te czasy prawie codziennie, jest obecnie w mieście, a tamten z owęj nocy, nie sądzę żeby w humorze był zabawiania się przejażdżkami i wizytami, — odrzekł Daniel z uśmiechem bardzo zrozumiałym dla komendanta.

— A więc cóż udyabła! czy ze mnie igraszki sobie robić będą?

— To unitaryusze, komendancie, tak nas chcą omotać; puścili w obieg jakąś baśń, żeby do uszu Doni Ezcurra doszła, bo kobiety nie znają ich tak dobrze jak my, co z nimi codzień mamy do roboty. Ale mniejsza z tém, skoro pan szukasz tego młodzieńca, to on mieszka przy ulicy *Cabildo*; a jeżeli to jest ten unitaryusz co zemknął owęj nocy, łatwo go przecie będzie poznać. Ja zaś będę się widział z Donią Ezcurra i z Don Manuelem także, aby się dowiedzieć czy już mamy przetrząsać domy jedni drugim.

— Nie, panie Bello, daj temu pokój; wszak sam mówisz że to sprawka unitaryuszów, — odparł komendant sądząc że Daniel wielkię używa wziętości w domu Rozasa.

— Można czém służyć, komendancie?

— Dziękuję, bardzo dziękuję; niczego nie pragnę, tylko żeby ta pani na mnie się nie gniewała, bośmy nie wiedzieli co to za dom.

Amalia zaledwo lekko głową kiwnęła, nie mogąc wyjść z osłupienia, nie tyle z powodu obecności komendanta, jak na widok niesłychanej śmiałości Daniela.

— Tak, panie Bello; nawet odpowiedzi nie poszlę Doni Ezcurra.

— Dobrze pan zrobisz: babskie plotki, nic więcęć.

— Seniora, do nówek upadam, — dodał Cuitinio z niskim ukłonem, i z całą drużyną, przeprowadzony przez Daniela, wyszedł do koni.

XI.

Niespodziewany opiekun.

Jeszcze Amalia stała przy stole, kiedy Daniel po odprowadzeniu komendanta powrócił do salonu, śmiejąc się jak student, i przystąpiwszy do niej uściskał ją z braterską czułością.

— Przebacz mi moja droga wszystkie te herezye polityczne i moralne jakie popełniać muszę na każdym kroku w téj uniwersalnej komedyi, w której odegrywam jedną z ról najdziwniejszych. Nędzna gawiedź! przy nich zwierzęca siła, przy mnie rozum człowieka. Już trop zgubili, a co lepsza już pomiędzy nimi kłak niezgody zasiany. Cuitinio będzie z za nic miał co mu powie Donia Ezcurra w téj sprawie, a baba rozsierdzi się na komendanta.

— Ale gdzie jest Edward?

— W miejscu całkiem bezpiecznym.

— Lecz pewno pójdą do jego mieszkania? Czy ma jakie papiery?

— Nie ma żadnych.

— A my jakże stoimy, ty i ja?

— Źle: bardzo źle. Nic nam nie pozostaje jak tylko czekać na przyście wypadków i w nich samych szukać środków ocalenia się.

— Dobrze, ale kiedyż zobaczę Edwarda?

— Może za dni kilka.

— Za kilka dni! Było przecież ułożone że się jutro zobaczymy!

— Tak, lecz nie było ułożonym że nas téj nocy Cuitinio odwiedzi.

— Nic nie szkodzi: jeżeli on tu przybyć nie może, to ja pojedę tam gdzie on jest.

— Zwolna, zwolna! Nic ci nie przyrzekam ani odmawiam. Wszystkie zależeć będzie od następności jakie wynikną z wizyty tego szatana tutaj. Nie sądź żeby się baba zaspokoila niepowodzeniem komendanta. Podrażniona poruszy ziemię i piekło. Wszakże jest jedna okoliczność która mię uspokaja.

— Co takiego? mów!

— To że obecnie Rozas i jego szajka mają klina w głowie.

— Ale cóż takiego? kończ, na Boga!

— Nic, bagatelka, moja najmilsza, — mówił głaszcząc jej włosy nad czołem.

— Śmiejesz się! nieznośny jesteś!

— Dziękuję. Śmieję się, bo rad jestem.

— I masz czoło mi to mówić? Czy rad z tego że wszyscy jesteśmy na wulkanie?

— Nie: oto rad jestem najprzód z tego że Edward w bezpiecznym ukryty miejscu; a powtóre, że Lavalle, jak o tém wszyscy wiedzą, znajduje się w mieście *Jan Pedro*.

— Już! — zawołała Amalia z rozpromienioną radością okiem ujmując rękę brata.

— Tak, już hufce jego wkroczyły w naszą prowincję, już są od nas nie więcej jak o mil trzydzieści, a to zbyt ważny wypadek aby nie zwrócił na siebie całej uwagi naszego Restauratora.

— Ach, będziemy więc wolni! — wołała wstrząsając jego rękę.

— Kto wie, moja droga, kto wie! zależeć to będzie od sposobu działania.

— O mój Boże! pomyśleć sobie że za dni niewiele nie będzie już żadnego niebezpieczeństwa dla Edwarda! Wszak prawda że może przyjść Lavalle za trzy dni do Buenos-Aires!

— Nie tak prędko, ale może być za tydzień, a może nigdy nie przyjść.

— A! nie mów tego!

— Chcesz posłuchać ustępu z odezwy Lavalla do wojska?

— O tak, tak: czytaj całą!

Daniel wyjął papiery z pugilaesu i odczytał odezwę.

— Przedziwna, szczytna! — zawołała entuzjastka.

— Tak moja droga, zawsze znajdowałem że wszelkie proklamacje i odezwy do wojska są do siebie podobne, i wszystkie szczytne. Ale jabym wolał widzieć szczytność czynów. Wyprawa generała Lavalle będzie szczytną jeżeli hufce swoje rozpuści po ulicach Buenos-Aires; lecz jeżeli się będzie wałęsał po polach, może z tego nic nie być!

— O, przyjdzie, przyjdzie!

— Dałby Bóg!

— Ależ mi powiedz szaleńcze, jakim sposobem masz papier ten w kieszeni?

— Dopiero co go dostałem w domu gdzie Edwarda zostawiłem.

— Cóż to więc za dom?

— Po prostu dom urzędnika... bądź spokojna, urzędnika mego!.. sza!.. koń zatrzymał się przed bramą! Pedro! — krzyknął Daniel wychodząc w krążanek.

— Jestem panie, — odpowiedział wierny weteran.

— Ktoś jest u bramy; już pukają; otwórzcie, — i wrócił do pokoju.

Amalia pobladała. Daniel usiadł przy niej spokojny, pewny siebie jak zawsze, wyglądając nowiny która prawdopodobnie przyniesie nowe zawikłania w położeniu jego przyjaciół, gdyż o tej porze, blisko północy, nie mógł nikt przybyć do tego domu, chyba ktoś w związku z poprzednimi wypadkami!

Pedro wszedł do pokoju z listem w ręku.

— Żołnierz przywiózł list do pani.

- Czy sam jeden przyjechał? — spytał Daniel.
 — Sam.
 — A rzuciliście okiem na drogę?
 — Niema nikogo.
 — Dobrze, wracajcie, i baczość.
 — Otwórz, — rzekła Amalia podając list bratu.
 — A! — wykrzyknął Daniel otworzywszy — patrz na podpis, wielka figura, twój znajomy.
 — Marinio! — zawołała Amalia cała zaczerwieniona — czytaj.

— Daniel czytał: — „Seniora. Właśnie się dowiaduję iż wpłątana jesteś pani w sprawę nader nieprzyjemną, i zagrażającą w pewnej mierze jej spokojności. Władze odebrały zawiadomienie iż przez długi czas ukrywałaś pani w swoim domu nieprzyjaciela rządu, ściganego przez sprawiedliwość.

Wiadomo iż osoba ta już w domu pani się nie znajduje, lecz w przypuszczeniu iż pani zuasza miejsce jej pobytu, przekonany jestem iż pociągniętą zostaniesz pani do najsurowszej odpowiedzialności.

W położeniu tak trudnym, bez żadnej wątpliwości potrzebnym pani jest przyjaciel. Stanowisko moje zapewnia mi wpływy dosyć możne; pośpieszam zatem z ofiarowaniem pani moich usług, w niepłonnym przekonaniu iż one panią od wszelkiej nieprzyjemności zaślonią są w stanie.

Jeśli pani dla swojego bezpieczeństwa zechcesz położyć we mnie swoje zaufanie, raczysz pani wskazać mi tylko o której godzinie jutro wolno mi będzie mieć zaszczyt stawić się przed nią, dla naradzenia się co czynić wypada w obecnym razie. Upprzedzam panią, iż tak list jej, jak bytność moja u pani pokryte będą jak najgłębszą tajemnicą. . . .“

— Dosyć tego, dosyć! — wykrzyknęła Amalia chcąc list wydrzeć.

— Czekaj, czekaj, jeszcze nie koniec.

„Od niejakiego już czasu, pobudki silne, które może rozum pani przeniknął, skłaniały mię do szukania, lecz napróżno, sposobności jaka dziś mi się nastęcza; to jest, iż w mocy mojej stanąć w usługach pani z najgłębszym poważaniem i uniżonością, z jakimi piszę się jej najzyczliwszym sługą.

Mikołaj Marinio“

— Już więcéj nic niema, — rzekł Daniel patrząc filuternie na siostrę.

- I tego nadto! zuchwalec!
 — Nie przeczę. Ale że każdy list wywołuje odpowiedź, pomysłyśmy co na ten się odpowić.
 — Daj mi list, podreń go, i kawałki w odpowiedzi odbierze!
 — Czekaj, czekaj, nie tak się robi!

— O mój Boże! na mnie taka zniewaga! prosi o listy i od-wiedziny potajemnie! — wołała zakrywając oczy rękami.

Daniel wyszedł do przyległego gabinetu, i niedługo powrócił mówiąc:

— Otóż taką otrzyma on odpowiedź:

„Senior! Z upoważnienia siostry mojej pani de Olabarrieta, mam przyjemność w odpowiedzi na list jego oświadczyć, iż obawy o bezpieczeństwo mojej siostry nie powinny nadal zakłócać spokojności pańskiej, zarzuty bowiem jej czynione są całkiem bezzasadne. Siostra moja polega zupełnie na sprawiedliwości Jego Ekscelencyi pana Gubernatora, ktoremu ja będę miał zaszczyt przedstawić jutro wszystko co się w ciągu dzisiejszej nocy przytrafiło, a nie zataję najmniejszej okoliczności, w razie gdyby nieprzyjemna ta sprawa miała być dalej popieraną.

Przy tej sposobności pozdrawiam uniżenie i t. d. i t. d.“

— Ależ ten list jego...

— Ten jego list nie da mu spać przez resztę nocy, ze strachu iż jutro może się on do rąk Rozasa dostać. Dla uniknienia tej ostateczności będzie jutro robił zachody aby tej sprawy więcej nie tykano. Taką to drogą doprowadzam naszych wrogów do służenia nam jak najlepsi sprzymierzeńcy.

— Kiedy tak, to odpowiedź tę poszlij.

Daniel zapieczętował i kazał oddać czekającemu u bramy żołdakowi.

W pół godziny potem Daniel nierozebrany spał w pokoju Edwarda, a na drugim końcu domu Amalia w sypialni swojej na kolanach przed krucyfiksem błagała Boga nieskończonej dobroci, o bezpieczeństwo ukochanych, o dobro dla ojczyzny...

XII.

Jak czyta się to co nie było napisanem.

Nazajutrz po nocy w której zaszły powyżej opisane wydarzenia, to jest w poranku 6go sierpnia, dom dyktatora pełen był mnogich kuryerów z prowincyi, przybywających bez ustanku.

Żadnego nie zatrzymywano w kancelaryi. Generał Corvalan miał rozkaz wpuszczać ich bezzwłocznie wszystkich do gabinetu Rozasa. Adjutant Jego Ekscelencyi, z szarfą na brzuchu, że szlifą jedną na piersiach drugą na plecach, ze szpadą płaszącą między kolanami, biegł przez wielki dziedziniec tam i napowrót, upadając ze snu i ze znużenia.

Fizyognomia dyktatora chmurna była jak pomrok co duszę jego kirem osłaniał. Odczytywał raporta swoich władz zamiejskich, donoszące mu o wyładowaniu Lavalla, o łączeniu się z nim ziemskich

właściciele, o dostawianych mu przez tychże gromadach koni, i t. d.: i wydawał rozkazy jakie uważał za potrzebne, a w szczególności co do urządzenia swego obozu głównego w *Santos Lugares*, i co się tyczyło miasta. Ale nieufność, ta żmija kąsająca serca tyranów, wlewała wahanie i lęklivość do wszystkich rozporządzeń, do wszystkich chwil jego życia.

Wysyłał rozkazy jedne za drugimi w różne strony, a w pół godziny, w dziesięć minut, cofał je i rozporządzał odwrotnie. Mianował dowódców, a każde nazwisko przekreślone było a inne na jego miejscu postawione dwadzieścia razy w przeciągu jednego dnia.

Biedna jego córka, przepędziwszy całą noc na czuwaniu, zaglądała od czasu do czasu do gabinetu ojca, w nadziei czy na twarzy jego nie odgadnie jakiej pomyślniej nowiny któraby rozproszyła jego zły humor.

Vigua potworną swą głowę dwukrotnie wścibił przez drzwi: lecz na obliczach sekretarzy Jego Ekscelencyi wyczytał iż to nie był dzień na facecye z panem. I błazen wracał, zasiadał na progu od korytarzyka, zbierał i jadł ziarnka kukurydzy wylatujące ze stępy w której tłukła ją kucharka mulatka, na *mazamorrę* (1), ulubiony przysmak prześwietnego Dyktatora.

Adjutant oznajmił pana Mandeville, i na przyzwalające skinienie Rozasa wprowadził go do pokoju. Minister Jój Kr. Mości Brytańskiej gębokiemi ukłony witał Dyktatora Buenos-Aires, który nie racząc na nie odpowiedzieć, powstał i rzekł:

— Chodźno pan tutaj, — z gabinetu przechodząc do sypialni.

Usiedli, Rozas na łożku, Mandeville obok niego na krześle.

— Jak zdrowie waszój Ekscelencyi, — spytał Anglik.

— Co mi tam ze zdrowiem, — ofuknęła Ekscelencya.

— Wszakże to rzecz najważniejsza, — odrzekł dyplomata przyglądając dłonią kosmaty kapelusz.

— Nie, panie Mandeville, rzeczą najważniejszą jest to, ażeby rządy i ich ministrowie dotrzymywali co przyrzekają.

— Bez wątpienia.

— Bez wątpienia, pan mówisz? A jednak pański rząd i pan, pan i rząd pański, zawsze tylko kłamiecie i kompromitujecie moję sprawę.

— A! panie Dyktatorze!

— Tak, tak. Już od półtora roku obiecujesz mi pan w imieniu swojego rządu pośrednictwo lub interwencyę w tém przeklętém zajściu z Francuzami. Rząd pański lub pan sam, oszukujecie mię.

— Pokazywałem Waszój Ekscelencyi oryginalne depesze urzędowe.

(1) Mazamorra, potrawa z kukurydzy i miodu, we zwyczaj u Peruwiaiu.

— A więc to rząd pański kłamał. To tylko rzecz pewna żeście dla mnie ani na łepkę od śpilki nic nie zrobili. A z łaski Francuzów dziś Lavalle znajduje się odwadzieścia mil ztąd, i cała Rzeczpospolita pod bronią przeciw mnie.

— O, postępowanie Francuzów jest niesłychane!

— Nie udawaj pan głupiego. Oni robią co powinni, skoro są w wojnie ze mną. To wy, Anglicy, zdradzacie mię. Od czegoż jesteście nieprzyjaciółmi Francuzów, od czego macie tyle flot i pieńiędzy, jeżeli tamtych się boicie gdy trzeba przyjść w pomoc sprzymierzeńcowi?

— Nie boimy się, panie Dyktatorze, ale warunki pokoju europejskiego, zasady równowagi kontynentalnej...

— Co mi tam u dyabła z równowagą! Pan i pańscy ziomkowie często tracicie równowagę, a nikt wam za to nic nie mówi. Zdrada, i nic więcej jak zdrada: wszyscy jednakowi. A może to dlatego że pan i wszyscy wasi jesteście tak samo unitaryusze jak Francuzi.

— Ależ nie, panie, ale nie! Ja jestem szczerym stronnikiem Waszój Ekscelencyi i Jego sprawy. I właśnie teraz chcę dać dowód moich uczuć.

— Teraz? a cóż teraz?

— Właśnie przybyłem ofiarować Waszój Ekscelencyi moje osobiste usługi, moję osobę do rozporządzenia.

— A cóżbyś pan uczynił w tym wypadku gdybym ja się ujrzał zgubionym?

— Kazałbym wysadzić na ląd siły zbrojne ze statków angielskich dla czuwania nad bezpieczeństwem osoby pana Dyktatora i Jego rodziny.

— Ba! to pan myślisz że tych trzydziestu czy czterdziestu Anglików co wylądują, będą oszczędzeni przez lud który przeciw mnie powstanie?

— Gdyby im włos z głowy spadł, następności będą straszne.

— Bardzo mi się to na wiele przyda, że Anglicy miasto zbombardują jak już będę rozstrzelany! Nie tak to się zabezpiecza życie przyjaciół, panie Mandeville.

— Jednakże...

— Jednakże gdybym ja był ministrem angielskim, gdybym był panem Mandeville, a pan Manuelem Rozasem, tobym trzymał *ballenere* bezustannie u brzegu, poniżej mego mieszkania, ażeby gdy mój przyjaciel Rozas do mnie przyjedzie, można go było z łatwością na morze wyprowadzić.

— O, dobrze, dobrze, uczynię to!

— Nie, ja panu nie mówię żebyś to uczynił; mówię tylko co ja bym zrobił gdybym był na pana miejscu.

— Przyjaciele pana Dyktatora czuwać będą nad Jego bezpieczeństwem, podczas gdy geniusz i męstwo Jego czuwają nad losami tój pięknej krainy, i sprawy tak słusznej i świetnej. Czy Wasza Ekscelencyja ma wiadomości z prowincyj środkowych?

— Co mię u licha obchodzą prowincye i to co się w nich dzieje! Pan myślisz że gdy zwyciężę Lavalla i rozbitego wyrzucę w prowincyę, to się bardzo będę bał unitaryuszów co się tam pobuntują?

— Bać się nie, ale przedłużenie wojny...

— A tegoż właśnie mi potrzeba! Dla mojego systematu groźne tylko to co blizkie mojej osoby; lecz to co jest daleko i długo się przewleka, to mi nie szkodzi ale pomaga.

— Wasza Ekscellencya jest geniuszem!

— Przynajmniej wart jestem więcej niż europejscy dyplomaci. Biadaż byłoby federacyi, gdyby dla swojej obrony miała takich ludzi jak, wy! Wiesz pan dlaczego unitaryuszów dyabli biorą?

— Zdaję mi się że wiem...

— Nie, mój panie, wcale nie wiesz.

— Może być że się mylę...

— Tak, mylisz się pan: dla tego że się porobili Francuzami i Anglikami.

— A, zapewne; wojny miejscowe...

— Wojny nasze, mów pan.

— A tak, wojny amerykańskie...

— Nie, wojny argentyńskie: do nich potrzeba takich ludzi jak ja.

— Nie wątpię bynajmniej.

— Jeżeli tu Lavalla pobiję, drwię sobie z całej rzeczypospolitej.

— Czy wiadomo W. Ekscellencyi, że generał Paz pomaszerał do *Corrientes*?

— A co? a co? nie widzisz pan jacy głupcy ci unitaryusze?

— Zapewne, generał Paz nic tam nie robi.

— Nie, nie to że nic nie robi; może wiele zrobić! Dlatego są głupcy że jeden idzie w tę, drugi w ową stronę, podzieleni, pokłóceni, zamiast połączyć się wszyscy razem, i iść na mnie jak Lavalle.

— To Opatrzność, panie Dyktatorze!

— Albo szatan. A cóż to pan miałeś mi do powiedzenia o prowincyach?

— Wczorajszego wieczora otrzymałem wiadomości przez Montewideo.

— I dziś w południe z nimi pan do mnie przychodzisz?

— O nie, panie, dopiero jest dziesiąta.

— To dobrze, a więc o dziesiątej.

— Wtenczas tylko jestem skwapliwym, kiedy pomyślnie dla Waszej Ekscellencyi przynieść mogą wieści.

— A więc są to złe nowiny?

— Unitaryusze przesadzają!

— Cóż więc! mówże pan, — mówił Rozas z niepokojem, źle na twarzy skrywany.

W prywatnej korespondencji donoszą mi, że La-Madrid wszedł do *Cordoba* na czele trzech tysięcy pięćset ludzi, i z artylerją. W prowincyi *Catamarca* stanęło do boju dziewięciu set pod dowództwem półkownika Acha; milicya w *Rio-Seco* i kirassyery w *Santa-Catalina* uszykowani i w ruchu.

— To nie mało. Ale wszystko to daleko. Cóż więcéj panu piszą?

— Dołączono mi tę proklamacyę generała Brizuela, głównodowodzącego w prowincyi *Rioja*.

— Ba! deklamacye!

— O, nic więcéj, — odrzekł potulny minister Wielkiej Brytanii.

— I nic więcéj pan nie wiesz? a z Europy?

— Z Europy ?

— Przecież nie po grecku mówię.

— Mniemam, panie gubernatorze, iż kwestya wschodnia bardziej się skomplikowała, lecz że dyplomatyczne zabiegi rządu mojej monarchii załatwią szybko i pomyślnie zatargi niestusnie wzniecone przez francuzów przeciw rządowi W. Ekscellencyi.

— To samo mi pan przed rokiem powiadałeś.

— Ale teraz mam pewne dane

— Te same co zawsze.

— Kwestya wschodnia

— Dajże mi z tém już raz spokój, panie Maudeville, niech ich razem wszyscy dyabli wezmą: to im życzę!

— Interesa są nadzwyczaj skomplikowane i

— To dobrze. Nic już pan nie wiesz więcéj?

— Na teraz nic. Oczekuję na pocztę.

— A więc wybaczysz pan, mam zajęcie, — rzekł Rozas powstając.

— Nie chcę zabierać Waszój Ekscellencyi ani minuty drogiego czasu.

— Tak, dużo mam do roboty, bo przyjaciele nie umieją mi w niczém dopomóć.

Wyszedł z pokoju, a za nim senior Mandeville, bardziej potulny, uległy i upokorzony niż ostatni z lokai ówczesnej federacyi.

Skutkiem roztargnienia raczej niż przez grzeczność, Rozas odprowadził ministra aż do drzwi pokoju poprzedzającego gabinet a łącznego z korytarzem, gdzie spotkali Manuelę wydającą rozkazy mulatce kucharce, zajętej ciągle tłuczeniem kukurydzy.

Pan Mandeville sypnął grzecznościami i komplementami córce Restauratora. Przez ten czas zaświtała nowa myśl w głowie Rozasa, zgodna z jego charakterem, w którym było pół tygrysa i pół lisa, równa część tragedyi i komedyi: oczami i rękami gwałtownie dawał znaki córce, która dołożywszy usilności zrozumiała wreszcie ojcowską pantomimę. Na twarzy jéj odmalowało się wielkie pomięszanie, sama nie wiedziała co odpowiada panu Mandeville, wahała się w spełnieniu rozkazów ojca. Pogromczo jego spojrzenie

przestraszyło ujarzmiony umysł dziewicy. wzięła z rąk mulatki tłuczek, i z twarzą zaczerwienioną, drżącemi rękami dalej kończyła robotę służącą.

— Wiesz pan na co ta kukurydza, którą tłucze moja córka panie Mandeville?

— Nie wiem, panie dyktatorze, — odpowiedział minister wodząc wzrokiem po kolei z ojca na córkę, z kucharki na Padre Nigua siedzącego przy stępie.

— Będzie z niej *mazamorra*.

— A!

— Jadłeś pan kiedy *mazamorre*?

— Nie, panie gubernatorze.

— Ale dziewczyna nie ma siły. Cały ranek tłucze, a ziarnka jeszcze całe. Patrz pan jaka zmęczona. Dalej Padre Nigua, niech Wasza Wielbność podniesie się i trochę pomoże Manueli, bo pan Mandeville ma zbyt delikatne ręce i jest ministrem.

— Oh, nie, panie dyktatorze, z największą przyjemnością wyęcę senioritę! — rzekł Mandeville zbliżając się do stępy i biorąc tłuczek z rąk Manueli, która na znak ojca oddała mu go bez wahania i widząc o co rzecz chodzi uśmiechnęła się.

Minister królowej angielskiej sir Mandeville, odjął batystowe mankiety od koszuli i zabrał się raźnie do roboty.

— Ot, niktby nie powiedział, że to anglik, tylko że kreol, otóż tak się tłucze, widzisz Manuela, naucz się, — mówił Rozas dusząc się ze śmiechu.

— O, to za ciężka robota dla senioryty, — zawołał Mandeville waląc z całych sił, tak że gradem skakały za stępę ziarnka, które chwycił Nigua i z chciwością pożerał.

— Silniej panie Mandeville, silniej. Jeżeli kukurydza nie dobrze roztluczona, *mazamorra* będzie twarda.

A minister, pełnomocnik i poseł nadzwyczajny monarchini królestw zjednoczonych Wielkiej Brytanii i Irlandyi, coraz wolniej tłukł kukurydżę na *mazamorre* dla argentyńskiego dyktatora.

— Jeżeliś się pan zmęczył, to daj pokój.

— O nie, panie gubernatorze, wcale nie! — odrzekł Mandeville wyteńżając wszystkie siły, aż krople potu wystąpiły mu na czoło.

— Zobaczmy, poczekaj-no pan troszkę; — rzekł Rozas przystępując i ręką przesypał ziarna. — Już dobrze, otóż to co się nazywa umieć wziąć się do rzeczy. Dosyć.

W chwili gdy kończył te wyrazy, donia Marya Józefa ukazała się na scenie.

Mandeville powitał ją ukłonem zapinając batystowe mankiety.

— Manuela, odprowadź pana ministra, albo go poproś do salonu jeżeli chce. Ja jestem zajęty, ale zawsze pański przyjaciel.

— Nader mi zaszczytném to przekonanie, panie dyktatorze; i ja też nie zapomnę co Wasza Ekscellencya zrobiłbyś na mojem miejscu, gdybym ja był na miejscu Waszej Ekscellencyi, — odrzekł

minister z przyciskiem na wyrazach odnoszących się do pomysłu Rozasa względem sprowadzenia *ballenery*.

— Rób sobie pan co chcesz. Do widzenia!

Rozas wrócił do gabinetu a z nim Donia Ezcurra.

— Dobre nowiny, — rzekła wchodząc, — o zbiegłym owym z 4-go maja.

— Czy go złapano?

— Nie, lecz będzie wziętym: Cuitinio to bydlę. Ale chodźmy usiąść, — dodała przechodząc wraz z szwagrem do sypialni.

XIII.

W którym dowiadujemy się iż Don Candido podobny do Rozasa.

Tegoż samego poranku, w którym Jaśnie Wielmożny minister pełnomocny królowej W. Brytanii tłukł w stępie kukurydzę na *mazamorre* dla dzikiego *gaucha* z *Pampy*, stary nasz przyjaciel Don Candido Rodriguez przechadzał się po obszernym krążganku swojego domu, przy *Nowym Placu*. Odziany był w surdut brązowy, wierny towarzysz w strasznych swego pana przygodach roku 1820; białą szlafmycę naciśniętą miał aż na uszy, dwa duże liście pomarańczowe łojem na skroniach przyklepione, stare sukienne pantofle na nogach i obie ręce w kieszeniach od surduta.

Chód nieregularny, sine w około powiek obwódki, nagłe ruchy muszkułów na twarzy, dawały do zrozumienia iż źle noc przepędził, i że chwilami puszczał się w wymowną rozprawę z sobą samym.

Dwukrotne stuknięcie do drzwi strzymało nagle jego przechadzkę. Przybliżył się do nich, zajrzał przez dziurkę od klucza, a nie mogąc nic dojrzeć tylko część piersi osoby, ośmielił się zapytać głosem znacznie drżącym:

— Kto tam?

— To ja mój kochany i zacny professorze.

— Daniel?

— On sam: otwórz mi pan.

— Mam ci otworzyć?

— Ależ na wszystkich świętych z nieba już panu to po wiedziałem!

— Lecz czy to ty jesteś w istocie, kochany Danielu?

— Tak mi się zdaje, bądź pan łaskaw otworzyć a zobaczysz.

— Słuchaj: umieść swoją twarz w prostej linii, równolegle z poziomem dziurki od klucza, lecz w odległości trzeciej części lub pół metra, ażebyś skierować mógł ku tobie mój zmysł oczny i rozpoznać cię.

Daniel miał wielką ochotę nogą drzwi wybić; lecz poprzestał na chęci i musiał spełnić rozkaz swego niezblaganego profesora.

— A! w istocie, to ty! — rzekł Don Candido i drzwi otworzył, — Poczekajno, wstrzymaj się Danielu, nie idź dalej! — dodał biorąc ucznia za rękę.

— Cóż to ułicha ma znaczyć, senior? czemu niemam iść dalej?

— Bo chcę żebyś pierwój tu wszedł, do tego pokoju mojej Nikolasy.

— Czy się co stało nowego?

— Nic, ale chodź, mam z tobą pomówić.

— Pan? to źle!

— O rzeczach wielkiej wagi!

— To jeszcze gorzej! . . . słucham pod tym warunkiem że rozmowa nie potrwa dłużej nad dwie lub trzy minuty.

— Przyjmuję warunek, ale chodź.

Wprowadzony za ramię do izby służącej, Daniel usiadł na starym fotelu skórą wybitym, Don Candido stanął przed nim, wyciągnął rękę i rzekł:

— Weź mię za puls, Danielu!

— Ja? cóż pan chcesz u dyabła, żebym się z pańskiego pulsu dowiedział?

— Poznasz gorączkę która mię pali, pożera, trawi, od wczorajszego wieczora. Co ty zemnie chcesz zrobić Danielu? Jakiegoż to człeka ukryłeś w domu moim?

— A! o to idzie! alboż go pan nie znasz?

— Znałem go z dzieciństwa, tak jak ciebie, jak tylu innych, kiedy był chłopięciem słabym i niewinnym jak wszystkie dzieci. Lecz wiemże jakim jest jego życie obecne? jakie są jego przekonania, jakie czyny? Mogęż mniemać iż jest niewinnym kiedy mi go przyprowadzasz w złowrogięj tajemnicy ciemności nocnych, kiedy mi przykazujesz by go nikt nie widział, abym ja o tém przed nikim nie wspominał? Mogęż przypuszczać iż jest przyjacielem rządu, nie widząc na nim żadnego z federalnych godeł, a tylko krawat biały z błękitnym szlakiem? Azaliż nie powinienem z tego wszystkiego wywnioskować z nieodpartą loiką, że w tém gnieździ się jakaś intryga polityczna, jakieś sprzysiężenie, jakiś spisek, jakaś rewolucya, w której ja biorę udział mimo woli i wiedzy mojej? Ja, człek cichy, spokojny, stateczny; ja, który na mojem ważnym i drażliwym stanowisku obecnym jako sekretarz Jego Ekscellencyi pana ministra Arana, który jest mężem znakomitym równie jak jego małżonka i cała familia i nawet jego domownicy i słudzy; ja, mówię, powinienem być z potrzeby, z konieczności rzetelnym, rozważnym, i wiernym moim urzędowym obowiązkom. Czy ci się zdaje? . . .

— Mnie się zdaje że pan zmysły postradałeś, a ponieważ ja nie chcę tracić swoich ani czasu, zatem konferencya nasza skończona i pozwolisz mi pan iść do Edwarda.

— Dopókiż on będzie gościł w moim domu?

— Dopóki się Bogu podoba.
 — Ale to być nie może! żadną miarą!
 — Znakomity mój mistrzu, w dwóch słowach starajmy się wyrozumować położenie ogólne. Słuchaj pan: dla zastąpienia pana od kłesk które federacya w obecnym czasie mogła na pana sprowadzić, umieściłem pana jako sekretarza przy ministrze federacyi. czy nie tak?

— Tak, najniwątliwiej.

— Otoż minister i jego sekretarze bardzo prawdopodobnie mogą być lada dzień powieszani, nie z rozkazu władz, lecz przez lud, który lada chwila może powstać przeciw Rozasowi.

— Oh! — wykrzyknął Don Candido otwierając wielkie oczy.

— Tak panie, powieszani.

— I sekretarze wraz z nim?

— Razem.

— I to nie przez omyłkę?

— Nie przez omyłkę, bynajmniej.

— To okropność!!! położenie jest więc takie: jeżeli rzucam mój urząd, *Mashorca* mię zarzyna; jeśli go nie rzucam, lud mię wie-sza, a jeszcze, w którymkolwiek z dwóch przypadków może mię spotkać nieszczęście przez omyłkę!

— Najniezawodniej, tak dowodzi loika.

— Loika z piekiel, Danielu! loika którą życiem przyplacę, i z twojej winy Danielu.

— Nie, panie, nic nie przyplacisz, jeżeli co ja zechcę bę-dziesz robił.

— Cóż mam czynić? mów!

— Postawię panu założenie w inny sposób. Znajdujemy się w chwili przesilenia: albo zwycięży Rozas Lavalla, lub Lavalle Ro-zasa pokona. Otóż w pierwszym przypadku masz pan w ministrze Arana tarczę za którą możesz snuć dalej wątek szczęśliwych losów, a w drugim, w Edwardzie znajdziesz paradne nożyce dla przecięcia postronka ludowego.

— Jaktó? w Edwardzie?

— Tak, i sza, ani słowa więcej o tém. Widzisz pan że we własnym swoim interesie powinieneś pan go trzymać w domu póki ja zechcę.

— Ależ. . . .

— Jeszcze ale? . kto inny mniej szlachetny jak ja kupiłby pańskie milczenie, mówiąc: Senior Candido, wyborna ta odezwa Lavalla którą dałeś mi wczoraj, napisaną twoją ręką i charakterem, i za najmniejszą pana nieostrożnością dokument ten dostanie się w ręce Rozasa i

— Dosyć, dosyć, Danielu! zgoda na wszystko! . . O mój Boże, ja jestem zupełnie jak Rozas, jednakowego z nim jestem usposobienia, to rzecz jasna! — wołał nieborak szybko chodząc po izbie i przyciskając pomarańczowe plastry do skroni.

— Co? pan jesteś podobny do Rozasa?

— Tak, Danielu, podobny, równy, jednakowy, ten sam!

— Tam do kata! Wyjaśnij mi pan to, Don Candido; bo jeżeli tak jest, to my we dwóch z Edwardem moglibyśmy tu na razie oddać wielką przysługę ludzkości.

— Tak Danielu, podobniusięńki, jednakowy, — odrzekł nie rozumiejąc żartu ucznia.

— Ale w czémże?

— W tém że się boję, Danielu, lękam się mojego położenia!

— Ejże! to pan wiesz że Rozas się lęka?

— Tak, wiem. Wczoraj nad zmierzchem pisałem, to jest odpisywałem kopie dokumentów które ci później pokazałem, gdyż wedle twoich rozkazów przepisuję zawsze na jedną rękę więcej, a pan minister po cichutku rozmawiał z deputowanym Garrigos, i wiesz co mu powiedział?

— Jeżeli mi pan nie powiesz, wątpię żebym zgadł.

— Mówił że pan Gubernator kazał zawieźć na okręt *Akteon* cztery skrzynki złota, i że patrzeć tylko kiedy Jego Ekscelencya sam na pokład wejdzie, gdyż lęka się położenia w którym się znajduje. To są dosłowne wyrazy pana ministra.

— Tam do licha!

— A ja właśnie tego samego doznaję: lękam się położenia w którym się znajduję. I dla tego powiadam żem podobny do Jego Ekscellencyi, a dowód jasny, dobitny, wymowny, jest ten, że w tychże samych chwilach doznajemy jednakowych wrażeń.

— To prawda, -- mówił Daniel rozważając w myśli słowa profesora.

— A fenomen ten nie miałby miejsca, gdyby nasze istoty nie były równe, też same, jednakowo wrażliwe.

— Hm! cztery skrzynki złota . . . i lęka się . . . a pan Arana w tym względzie nic nie mówił?

— Jakże nie mówił? pan minister posiada lojkę równie nieodpartą jak moja. Powiadał do Garrigosa: „Tożby i nam potrzeba pomyśleć o sobie, drogi panie. Nie wyrządziliśmy nic złego nikomu, owszem, staraliśmy się ile w mocy naszej o dobro wszystkich; wypada nam jednakże zapewnić sobie wejście na pokład jak skoro tylko pan Gubernator to uczyni.“ I to jest loiczném, Danielu, i ja téż tak powiadam, jak skoro tylko pan minister wsiada na statek, i ja ruszam pod żagle, bodaj na rzeczulce, choćby się przewieźć na kępe.

— A Garrigos co mówił?

— Ten był odmiennego zdania.

— Głosował za pozostaniem?

— Nie, starał się dowieść panu ministrowi iż roztropniej będzie nie czekać aż Gubernator wsiądzie na okręt, w razie gdyby położenie stawało się groźniejszym. I ja jestem tegoż zdania. Ale naostatku szeptali do siebie tak cicho że więcej nie mogłem usłyszeć. Danielu, czy sądzisz że teraz mi nic nie zagraża?

— Nic, a nic. Idę do Edwarda, ale . . . jestem lekarzem duszy tego młodzieńca, a pan wiesz że lekarze muszą sam na sam rozmawiać z pacjentami.

— Ach, Danielu! . . .

— Cóż?

— Nic . . . idź . . . tam w moim gabinecie.

Edward niespokojny, stęskniony, oczekiwał niecierpliwie przybycia przyjaciela. Dowiedział się od niego pokrótce o wypadkach wczorajszej nocy, jako téż o wkroczeniu Lavalla. Widział teraz jasno, iż wrócić nie może na Baraki bez narażenia Amalii. Mówił to sobie z rozpaczą, gdyż mu brak było światła bez promieni z jéj ócz: bez jéj tchnienia powietrze mu na oddech nie starczyło.

Pocieszał go Daniel zapewnieniem iż rozłąka ich żadną miarą długo trwać nie będzie. Wypadki muszą teraz iść nagle do stanowczego rozwiązania. Wrazie powodzenia Lavalla, szczęściu ich wszystkich nie na zawadzie nie stanie. Jeżeli zaś przeciwny obrót rzeczy wezmą, Edward zmuszony będzie kraj opuścić, a Amalia bez najmniejszej wątpliwości nie odstąpi go na wygnaniu. Może być że i inne osoby z ich towarzystwa wespół z niemi je podzielią. W pojęciu Daniela wszelka przewłoka w ruchach Lavalla będzie jego zgubą. Wojsko jego tak liczebnie jak w zasobach nieskończenie niższém było od sił Rozasa. Miał on tylko za sobą moralne wrażenia sprawione niespodziewaną jego obecnością w Argentynie, swoją przyszłość prawie legendową osobistego męstwa, i zapal swoich młodych szeregowców. Lecz gdy pozwoli przeminać tym pierwszym uniesieniom, krucjata jego znajdzie się we wszystkich warunkach niepowodzenia.

Gdy tak z sobą rozmawiali, klamka zaszeleściła i przez uchylone drzwi wsunął się chwast od białej szlafmicy.

— Czy mogę wejść na chwilę, moi drodzy i zacni uczniowie?

— Prosimy nasz zacny i drogi mistrzu!

Reszta szlafmicy, a za nią i surdut brązowy ukazały się w pokoju.

— Stała się pewna nowina, pewna okoliczność, pewna rzecz. . .

— Bądźże pan łaskaw powiedzieć ją odrazu.

— Właśnie przechadzałem się po krążanku, bo kiedy mię głowa boli nieco jak obecnie, przechadzka przynosi mi ulgę, równie jak plastry z liścia pomarańczowego. Bo trzeba wam wiedzieć, moje dzieci, iż pomarańczowe liście mają szczególniejszą własność dla mojego organizmu. . . .

— Ze pana uzdrawiają a drugich nabawiają choroby. Mówże pan co się stało na wszystkich świętych!

— Mówię, mówię, ty gorączko! mówię. Otóż chodzę sobie po krążanku, aż tu słyszę, ktoś stanął za drzwiami. Przybliżyłem się, niepewny, wahający, wątpliwy. Pytam kto jest, przekonywam się o tożsamości osoby która mi odpowiedziała, i dopiero otwieram . . . jak myślisz Danielu, kto to był?

— Nie wiem, ale radbym żeby to był szatan we własnej postaci.

— Nie, nie szatan, bo ten od pewnego czasu zdaje się być przyszytym do poły mego surduta. Był to Fermin, twój prawy, twój wierny, twój. . .

— Fermin tu? A czemuż pan odrazu nie mówisz, do kroćset bomb! — wykrzyknął Daniel i pędem strzały wybiegł z pokoju.

— Zapaleniec! zgubi się, roztrzaska się o skały losu! Słuchaj ty Edwardzie: ty co się wydajesz rozważniejszym, jakkolwiek od czasu kiedy wyszedłeś ze szkoły, gdzie byłeś spokojnym, cichym i pilnym, nie miałem przyjemności być z tobą w bliższych stosunkach; w obecnym położeniu potrzebna ci jak największa przeczność: powiedz mi czemu dziś zaraz nie wstąpisz na naukę do Jezuitów i nie poświęcisz się stanowi duchownemu?

— Senior, bądź pan łaskaw dać pokój.

— Aj, źle! I ty jesteś jak twój przyjaciel. Czegóż się spodziewacie młodzieńcy zbłąkani po krętych manowcach, na przepaścistej stromiej spadzistości, po której pędzicie na oślep niebaczni?

— Spodziewamy się że pan zostawisz na chwilę nas samych, — rzekł Daniel wchodząc do pokoju w chwili gdy jego nauczyciel początków deklamował tę dzielną apostrofę.

— Czy nam zagraża jakie niebezpieczeństwo? — spytał mówca patrząc mu w oczy trwożliwie.

— Żadne: to są interesa moje i Edwarda.

— Ależ bo my dziś we trzech tworzymy jedno nierozdzielne ciało.

-- Mimo to chwilowo je rozdzielimy. Chciój pan nas zostawić.

— Zostańcie! — rzekł Don Candido wyciągając rękę w stronę swoich zbłąkanych uczniów i zwolna, poważnym krokiem wyszedł.

— Edwardzie, źle się dzieje. Amalia dostała ostrzeżenie że za godzinę policya przybędzie dom jój przetrząsać.

— Cóż uczynimy? . . . Ach to ja na nią ściągnętem wszystkie te przykrości i zniewagi. Ja ją powinienem bronić! . . . Biegnę na Baraki!

— Edwardzie, nie czas na szaleństwa! Gdyby szło o zasłonięcie jój ze szpadą w ręką przed napaścią jednego lub kilku ludzi, najchętniejbym ci ustąpił prawa narażenia życia twego w jój obronie. Ale tu męstwo nic nie pomoże, bo tu jest Rozas i jego szajka. Siebie zgubisz niezawodnie, a ja znam Amalią; tkliwość jój serca, jój exaltowaną wyobraźnię: gdyby ciebie nieszczęście spotkało byłby to dla niej szczyt niedoli, przypłaciłaby cios ten srogą boleścią, życiem może; dla niej więc samą nie powinienes iść na pewną zgubę. A jój także nie ocalisz. Tu potrzeba tylko zręczności i dowcipu dla omylenia zwierzęcych instynktów: tego ja się podejmuję bo ich znam dobrze. Obecność twoja dostarczyłaby im bronii przeciwniej.

— Masz słuszność. Biegnij więc Danielu, śpiesz!

Daniel wybiegł, a tymczasem Don Candido Rodriguez, ponieważ to była jedenasta, wybierał się do prywatnej kancelaryi ministra Don Felipe Arana.

XIV.

Wierny przyjaciel w nieszczęściu.

Opuszczając willę na Barakach tego poranku o dziewiątej, Daniel zostawił w niej swego Fermina, wymieniwszy domy w których go znaleźć może w razie zajścia jakichś nowych okoliczności.

Tak się też stało. Niedługo po jego odejściu przyniesiono list do Amalii z ostrzeżeniem o mających ją spotkać odwiedzinach policyi. Młoda kobieta wysłała natychmiast zawiadomieniem do brata, nie dowierzając sobie samej w obec zniewagi którą miano wyrządzić jej domowi. Sama zaś poszła do pokoju zajmowanego dotąd przez Edwarda, zabrała jego książki, a przekonawszy się iż nie pozostał żaden przedmiot mogący zdradzić bytność osoby którą prawdopodobnie przyjdzie szukać policya, wróciła do salonu, wrzuciła w kominek niektóre papiery, i zaczęła przechadzać się niespokojnie, gdy wtém usłyszała stąpanie kilku koni przed bramą. Było to w kilka zaledwie minut po odejściu Fermina, daleko prędzej niż sądziła. Zbladła, drżąca, rzuciła się na krzesło, z całym wysileniem przywołując odwagę.

W prowadzeni przez starego Pedro weszli do salonu: Don Bernardo Victorica, komisarz policyi, i komendant Marinio.

Dla wszystkich mieszkańców Buenos-Aires którzy nie podpadli owczesnemu znikczemnieniu, Don Victorica był przedmiotem nienawiści i strachu. Nie był on jednak złym do tego stopnia jak powszechnie mniemano. Z surową ścisłością spełniał rozkazy Dyktatora; lecz o ile mógł bez narażenia się zachowywał grzeczność i pewną względność, zwłaszcza ilekroć czynności jego miały na celu osobę skompromitowaną przez doniesienia do których, jak mu się zdawało, pobudką były prywatne widoki lub złość.

Z kapeluszem w rękę skłonił się nisko przed Amalią.

— Seniora, jestem naczelnikiem policyi, przybywam spełnić niemiły obowiązek. Na wyraźny rozkaz pana gubernatora mam ściśle przetrząsnąć dom pani.

— Czy ci panowie również dla téj czynności przybyli? — spytała.

— Ten pan nie, — odrzekł Victorica wskazując na redaktora, — a tamten jest komisarzem policyi.

Amalia pociągnęła za sznurek od dzwonka: weszła mała Luiza.

— Masz towarzyszyć temu panu i otworzyć mu wszystkie drzwi które ci wskaże.

Naczelnik ukłonił się, i wraz z komisarzem poszli do dalszych pokoi. Nie miał pan Victorica gustu tak wyrafinowanego by go zachwycić mogła uroczą wykwintność tajemnego przybytku młodej i pięknej kobiety: lecz zato bystre i wprawne oko naczelnika policyi od razu poznało iż mieszkańcy tego domu nie szczylic się uwielbieniem dla sprawy federacyi. Koberce, franki, porcelany, wszystko raziło jego źrenicę barwą błękitną i białą. Gęste brwi surowego federalisty zbiegły się i zasrożyły. Przepatrzył wszystkie kąty, nawet do szaf zwierciadlanych zajrzał, przerzucił posłanie Luizy, i z jój pokoiku przez dziedziniec przeszedł do przeciwnego skrzydła domu, gdzie był pokój Edwarda i jadalny.

— Kto mieszka w tym pokoju? — spytał.

— Senior Don Daniel, jak czasem na noc zostaje, — odparła niezmiészana dziewczyna.

— A ileż razy w tygodniu to się przytrafia.

— Seniora kazała mi oprowadzić pana po mieszkaniu, ale nie zdawać sprawę z tego co się w niém dzieje. Możesz pan ją samą o to zapytać.

Victorica przygryzł sobie usta, i przeszedł po innych pokojach, nie znajdując nic coby mu dało najmniejszą wskazówkę względem celu jego poszukiwań.

Przez ten czas w salonie miała miejsce nie mniej budująca scena, choć odmiennego rodzaju. Po wyjściu policyi Amalia nie podnosząc oczu na komendanta odezwała się:

— Może pan usiedzie, jeżeli ma zamiar czekać na pana Victorica.

Rumieniec Amalii rozplonął jaskrawo. Marinio przeciwnie bladym był i pomiészanym w obec tój kobiety, której piękność go olśniewała, a upokarzało objeście nakazujące, rzecz można arystokratyczne.

— Zamiarem moim, — rzekł siadając o kilka kroków od niój, — było oddać pani usługę, znakomitą usługę w obecnych okolicznościach.

— Wielcem mu obowiązana, — odparła sucho Amalia.

— W liście który pani musiałaś dziś odebrać, ostrzegłem panią o tém co się miało wydarzyć, ażebyś pani mogła przedsięwziąć środki jakie jój wzgląd na własne bezpieczeństwo mógł poddyktować, — mówił dalej polykając z wysileniem jój wgardliwą odpowiedź.

— Zbyt wiele dobroci względem mnie ze strony pana, lecz nie godnie względem pańskich przyjaciół, bo to jest zdrada.

— Zdrada! a, pani, co za wyrażenie!

— Nie znam innego na podobny postępek.

— Staram się zawsze robić tyle dobrego ile mogę. Donia Ezcurre uwzięła się szczególnie na prześladowanie tego domu, który ja przeciwnie uwzięłam się bronić. Dzisiaj rano uwiadomiła gu-

bernatora iż tu się ukrywa osoba oddawna poszukiwana przez władze, i Jego Ekscellencya wydał natychmiast rozkaz policyi do bezzwłocznego udania się na miejsce. Szczęśliwie się zdarzyło że o tém jednocześnie usłyszałem, i nie tracąc ani chwili posłałem ostrzeżenie do pani. Postanowiłem oraz towarzyszyć pauu Victorica, w nadziei że będę mógł ją uchronić od jakiejś nieprzyjemności. Oto taki mój postępek. I jeżeli to jest zdradą względem moich przyjaciół, pobudka dla której ją popełniam usprawiedliwia mię całkowicie. Pobudka ta jest świętą; źródłem jej sympatya, którą wzbudziłaś pani od razu we mnie skoro tylko miałem szczęście ją ujrzeć. Od téj chwili całe życie moje poświęcone szukaniu sposobności zbliżenia się do tego domu, a mój majątek, moje stanowisko, moje wpływy...

— Pomimo pańskiego stanowiska i wpływów pozwolę sobie zostawić pana samego, skoro pan nie rozumiesz iż obecność jego jest dla mnie uciążliwą, — odrzekła powstając, odstawiła na bok swoje krzesło, i przeszła przez gabinet do sypialnego pokoju, gdzie usiadła na sofie, piękna dumą i oburzeniem.

— Ach! pomszczę się za to wściekła unitaryuszko! — zawołał Marinio zbłądły ze złości.

W kilka chwil potém, Victorica wracając z Luizą tą samą, którą był poszedł drogą, znalazł się z dumną Tukumanką w jej pokoju.

— Seniora, — rzekł — dopełniłem pierwszej części danych mi rozkazów i szczęśliwy jestem, iż będę mógł powiedzieć Jego Ekscellencyi, iż nie znalazłem w tym domu osoby, którą mi szukać polecono. Pozostaje mi tylko otrzymać zeznanie pani. Radbym pominąć z panią zwykłe formalności, a raczej rozmówić się z nią szczerze i otwarcie.

— Mów pan, proszę.

— Znasz pani pana Edwarda Belgrano?

— Tak jest, znam go.

— Od jak dawna?

— Od kilku tygodni, — odrzekła mocno zarumieniona, spuszczać mimowiednie głowę: wstydziła się przed sobą popełnionego po raz pierwszy w życiu kłamstwa.

— Widywano go jednak już dawniej w tym domu. Nie mogłabyś pani złożyć dowodów na to, jako pan Belgrano nie zostawał tu ukrytym od miesiąca maja do tego czasu?

— To pana rzeczą podać mi dowody iż tak było.

— A niewiadomo pani gdzie się obecnie znajduje pan Belgrano?

— Nie wiem, a choćbym wiedziała nie powiedziałabym, — odrzekła dumnie podnosząc głowę, uradowana iż jej się nadarzyła sposobność wypowiedzenia prawdy.

— Czy nie wiesz pani, że tu jestem wykonawcą rozkazów pana gubernatora? — rzekł Victorica zaczynając już żałować za zbytą swą pobłażliwość.

— Już mi pan to oznajmiłeś.

— A więc należałoby zachować więcej względności w odpowiedziach.

— Panie, znam dobrze szacunek należny drugim odemnie, lecz zarówno pamiętam iż mi się on także od drugich należy. I jeżeli pan gubernator lub pan naczelnik policyi chcą donosicielei, to nie w moim domu szukać ich powinni.

— Pani nie oskarżasz drugich ale siebie samą, objawiając fanatyzm zapalonéj unitaryuszki.

— A, panie, nic w tém nadzwyczajnego gdybym nią była, w kraju, gdzie jest tyle tysięcy unitaryuszów.

-- Na nieszczęście ojczyzny i ich samych! Lecz niedługo będzie ich mniej: ręczę pani za to.

— Albo więcej!

— Senioral — zawołał z groźném spojrzeniem, — nadużywasz pani przywilejów swojej płci!

— Tak jak pan swego położenia.

— Nie lękasz się pani następstw swoich słów?

— Nie, panie. W Buenos-Aires tylko mężczyźni znają co to bojaźń; my kobiety potrafimy stanąć w obronie własnej godności o której oni zapomnieli.

— To prawda, kobiety są gorsze, — mówił naczelnik sam do siebie. — Ale skończmy raz; mam jeszcze przejrzeć papiéry: racz pani otworzyć to biurko.

— O, panie, tego nadto! Przybyłeś pan dla szukania w tym domu człowieka: nie znalazłeś go, więc rzecz skończona, i mam zaszczyt oświadczyć panu iż nie daję mego przyzwolenia na żadne więcej u mnie gospodarowanie.

Victorica uśmiechnął się:

— Otwórz pani z dobrej woli: radzę pani.

— Bo inaczej postąpisz pan samowolnie, z prawa mocniejszego? . . ., jak się panu podoba: ja nie otworzę.

Victorica szedł do biurka, w którego zamku tkwił kluczyk, gdy wtém Marinio słuchający w przyległym pokoju téj rozmowy, wpadł pośpiesznie w nadziei, że może tém świetném *coup de theatre* zniewoli sobie serce dumnej piękności.

— Mój drogi, — rzekł do naczelnika, — ustąp na moje poręczenie iż w pani papiérach nie znajduje się nic przeciwnego naszej sprawie.

Victorica cofnął wyciągniętą rękę a Marinio pewnym był iż pozyskał prawo do wdzięczności w tém sercu na jego czułości głuchém, kiedy Amalia poskoczyła do biurka, porywczo je odemknęła, wyciągnęła kilka szufladek, w których się znajdowały listy, klejnotki i pieniądze, i odwrócona od redaktora, z wyrazem nie ukrywanego gniewu, rzekła:

— Panie Victorica, oto wszystko co zawiera moje biurko; przegłądaj pan!

Marinio zagryzł sobie wargi aż do krwi. Victorica oczami przejrzał nie dotykając żadnego przedmiotu i rzekł:

— Skończyłem, pani.

Amalia zaledwie kiwnięciem głowy odpowiedziała i wróciła na sofę, gdyż po gwałtowném wysileniu czuła jakby zawrót głowy mroczący jéj wzrok.

Dwaj towarzysze skłonili się głęboko i wyszli, w salonie złączyli się z czekającym na nich trzecim, a w chwili gdy wsiadali na konie, Daniel nadjechał, zeskokczył z wierzchowca, i po grzecznym ukłonie dla odjeżdżających, wbiegł do domu swojej siostry, mówiąc do siebie:

— Złe, zaraz na wstępie; spóźniłem się; nie dobra wróżba. Ze swéj strony Marinio mówił do naczelnika policyi:

— Ot ten musi wiedzieć o wszystkim. To unitaryusz, pomimo swojego ojca i wszelkich pozorów.

— Tak, trzeba na niego wzrok wyostrzyć — odrzekł Victorica.

— I sztylet także — dodał Marinio. I pokłusowali ku miastu.

XV.

Wszyscy skompromitowani.

Po upływie godziny ten sam pyszny rumak, który szybkim cwałem przybył do willi, powracał wolnym stępem, niosąc swojego pana nie już z czołem do góry i iskrzącymi oczyma jak przed godziną, lecz z spuszczoną głową na piersi ze zmrużoną prawie powieką. Widząc go, powiedziano by że to zniewieściały młodzieniec, którego rozpieszczone członki potrzebują się wygrzać na sierpniowym słońcu wśród ostrój tegorocznej zimy; a konny spacer przeniósł nad pieszy, by ochronić delikatną stopę od wilgotnego na przedmieściach piasku.

W istocie zaś Daniel nie pamiętał czy to była zima lub lato: ani zmysły jego ni umysł nie rozkoszowały się żadną przyjemnością. Pochłonięty własną myślą, zapomniał o wszystkim co go otaczało. Roztrząsał wszelkie środki poddawane przez płodną wyobraźnię, próbując który z nich może go uczynić panem trudnego położenia w jakim się znajdowały losy osób, prawie wyłącznie jego powierzonych straży. Położenie to trapiło go tém niewymowniej, iż go co chwila odrywało od spraw publicznych, którym pragnął poświęcić całą swojego umysłu dzielność.

Nadto, Daniel był zabobonnym jak jego krewna, a raczej jeszcze więcej niż ona, z wyobraźnią gorętszą, z głębszém przekonaniem o fatalizmie w biegu wypadków. Ztąd jakiś nieokreślony niepokój

zapanował nad jego umysłem od chwili gdy ujrzał że zapóźnie przybywa, by obecnym być policyjnym odwiedzinom pana Victorica, które miały mu posłużyć do obrócenia rzeczy na korzyść Amalii.

Potrafił jednakże udać w obec niej zupełne zadowolenie, i wlać w jej serce spokój zapewnieniem o bezpieczeństwie Edwarda. Ułożył się z nią także, iż w razie gdyby stan rzeczy przeciągnął się dłużej nad osm dni, wynajdzie dla niej jaki domek mały i samotny na pobrzeżu w oddali, gdzie mogłaby przemieszkować w ukryciu nie wyprowadzając się z Barak. Ułatwił jej to możność widywania się z Edwardem, i wejścia na statek w danym razie. Na ostatku, udało mu się ją rozśmieszyć, co było jego zwyczajem kiedy sam cierpiał, a przed drugimi swoje cierpienie chciał ukryć.

Tak więc, ważąc myśli, przyjmując plany i odrzucając, przybył przed dom swojej Florencyi, gdzie wchodził zawsze by umysł rozjaśnić i rozradować serce, odetchnieniem wonią tego niewinnego kwiatka, któremu niebo zejść pozwoliło wśród wichrów i gromów strasznej nawałnicy.

Lecz dzień ten był fatalnym. Wchodząc do salonu ujrzał panią Dupasquier omdlałą w fotelu; córka siedząc na bocznej poręczy podtrzymywała głowę matki jedną ręką, a drugą zwilżała otem jej skronie.

— O mój Boże! cóż się tu stało? -- wykrzyknął zbliżając się skwapliwie.

— Cicho mów: to zwykle jej omdlenie.

Daniel ukląkł przed fotelem, ujął bladą i zlodowaciałą rękę zemdlonej, dotknął jej pulsu i wyszepnął:

— Bądź spokojna, to wkrótce przeminie.

I wspólnie oboje matkę szalem otulali patrząc na jej oczy, w wyczekiwaniu pierwszego spojrzenia.

— Jednakże coś zająć musiało, — mówił pocichu Daniel, — zwykle tylko skutkiem jakiegoś zmartwienia podobne miéwa napady słabości.

— Nieinaczej. W tej chwili wyszedł ztąd Victorica. W towarzystwie kommisarza i dwóch żołnierzy przetrzęśli cały dom.

— Czy być może! Czegóż szukali?

— Nie mówił, lecz sądzę że Edwarda, wnosząc z kilku względem niego zadanych pytań, na które mama odmówiła odpowiedzi.

— To dobrze!

— Nie chciała także pozwolić na otwarcie jednego pokoju, który przypadkiem był na klucz zamknięty, a pan Victorica kazał drzwi wybić.

— Dlaczegoż im nie otworzono?

— Dlatego, że na wstępie oświadczyła mama, że nikogo w domu nie przechowuje, i że policyi nie myśli wprowadzać do swego mieszkania, lecz że pan naczelnik może robić co mu się podoba mając siłę za sobą. W całym tém zajściu mama postawiła się odważnie i z godnością, jak ją znasz; lecz skoro zostałyśmy same, mówiła ze mną wiele o naszym pobraniu się, o potrzebie opuszczenia kraju,

może na zawsze i coraz więcej widziałam że cierpiała, słabła, aż zemdląła w moich objęciach... Patrz... , zdaje mi się że przychodzi do siebie... , tak, tak... , — i zrywając się nagle młoda dziewica objęła rękami głowę matki i tuląc ją obsypywała pocałunkami oczy, z których pierwsze spojrzenie padło na ukochane dziecko.

Pani Dupasquier odzyskała zmysły. Pani ta była wyrazistym typem najpołeterowniejszej części społeczeństwa Buenos-Aires. Łączyła w sobie całą dumę, wyniosłość, cały duch owych szlachejnych cór bohaterów naszej niepodległości, które pyszniąc się swoim pochodzeniem, nie cierpiały zetknięcia z niczem co nie było chwałą, rozumem lub szlachetnością w rzeczypospolitej; tych kobiet które bardziej niż mężowie oburzały się na upokorzenia zadawane krajowi przez dyktaturę, i odważniej od nich stawiały czoło gniewom tyрана, i uzbrojonego przez tegoż z rozzuchwalonego motłochu.

Krwawe karty dziejowe epoki rządów Rozasa, wymieniają ofiary tyranii, zgłodzone sztyletem lub ołowiem jawnych morderców. Obok imion przestawnych katów argentyńskiego ludu, takich jak Rozas, Maza, Oribe, wpisuje się bezprzerwanie poczet męczenników opierających się zagubie i znikczemieniu swojej ojczyzny. Lecz tylko Bóg jeden zapisać mógł na świętych kartach wiekiestj książki swojej sprawiedliwości długi katalog zmarłych skutkiem okrucieństw tych zbrojców, przez oddziaływanie na stan fizyczny i moralny. Bóg wie sam tylko ile tam matek wstąpiło do grobu po krwawych śladach swoich synów; ile małżonek poszło szukać po za światem towarzyszw swego życia wydartych im morderczym nożem Rozasa, — tego niesytego krwi potwora, który głowę swoją potomości podał pod niezatarte piętno zgrozy i ohydy!... Tak, sam tylko Bóg zliczyć może ile niewiast argentyńskich zeszło do mogiły z pękniętym sercem od strasznych wstrząśnień tój epoki!...

— Danielu, — mówiła pani Dupasquier, — wy oba z Edwardem musicie się ztąd oddalić jak najprędzej... , jutro, choćby dzisiaj jeżeli można: Amalia i my niedługo za wami pośpieszymy.

— Nie mówmy teraz o tēm. Pani potrzebny spoczynek.

— Alboż go mieć można w tym kraju? Czyż myślisz że każdej chwili nie drżę o ciebie? Prócz tego, skoro już raz podejrzenia Rozasa na twój dom padły, narażonym on będzie na ciągłe zniewagi, i każdy co doń wchodzi będzie szpiegowany i przesładowanym także.

— Może za dni ośm będziemy wyzwoleni z takiego położenia.

— Nie, Danielu, oh nie! Bóg odwrócił oczy od naszej ziemi, i przewidywać możemy same nieszczęścia. Nie chcę nawet żeby Amalia wstąpiła na próg mojego domu.

— Przed dwoma godzinami Amalia przyjmowała także same odwiedziny jak pani.

— I ona także!

— Ach mamó, to dzieło Doni Ezcurra!

Pani Dupasquier wzdrygnęła się jakby na wspomnienie obrzydliwego przedmiotu.

Daniel opowiedział wszystko co od wczorajszego wieczora zaszło na Barakach.

— Lecz jeszcze w tém niema nic zastraszającego, — dodał; — Edwarda nie znajdują, ręczę za to. A ja się postaram nastroic umysł pana Victorica przeciw wszelkim fałszywym doniesieniom które Rozas otrzymał od swojej Megery; skoro czujność policyi będzie zniechęcona, dom ten i Amalii będą mogły być spokojne. Co do mnie, nie mam się zupełnie czego obawiać, — mówił młodzieniec chcąc wzbudzić w drugich ufność którą sam zaczynał tracić.

— Mamo, — rzekła Florencyja, — ponieważ Amalia stanęła już w tój samėj co my kategorii, może więc u nas bywać, a więc poszłę po nią powóz żeby na obiad do nas przyjechała. Daniel zostanie z nami, przepędzimy razem cały dzień.

— Dobrze, dobrze, — rzekł Daniel: — pragnąłbym żebyśmy wszyscy byli razem i nie rozłączyli się nigdy!

Jakieś straszne przeczucie zaczynało uciskać serce młodzieńca.

Za zgodą matki Florencyja pobiegła by kazać zaprządz, i napisać kilka słów do przyjaciółki. W chwili gdy wracała do sali, zastukano do drzwi z przedpokoju. Wszyscy się wzdrygnęli. Daniel wstał, poszedł otworzyć, i rzekł: — To nic, mój Fermin.

Nie wpuścił go do pokoju, lecz sam wyszedł za drzwi, z obawy aby panie nie usłyszały jakiejś niemiłej wieści, bo w dniu tym jakby wszystko sprzysięgło się przeciw wszystkim.

— Don Candido chce mówić z panem, czeka tu w krużganku, — rzekł Fermin.

Daniel jednym skokiem znalazł się obok swego profesora.

— Czy co się stało z Edwardem? — pytał zarazem głosem, oczami i całą twarzą.

— Nic.

Daniel odetchnął.

— Nic mu się nie stało, jest zdrow, spokojny, swobodny. Lecz stało się coś z tobą, młodzieńcze niebaczny, który pędzisz na dno...

— Piekieł... wiem. Cóż się stało?

— Słuchaj!

— Prędko!

— Z wolna, słuchaj. Victorica mówił z panem Marinio.

— Dobrze!

— Marinio mówił z panem Belastegni.

— Daléj!

— Belastegni mówił z panem Arana.

— Następnie!

— A ja słyszałem panów Belastegni i Arana.

— I cóż ztąd?

— Ztąd wykazuje się, że Belastegni powiedział panu Arana, że Marinio powiedział jemu, iż Victorica powiedział mu w policyi, że polecił komisarzowi twojego wydziału żeby od téj nocy miał twój dom na oku i kazał śledzić za tobą, gdyż są straszne na ciebie poszlaki.

— Ho, ho! bardzo dobrze, i cóż więcej?

— Co więcej?! to ci się zdaje mało jeszcze, to olbrzymie, potworne niebezpieczeństwo zawisłe nad twoją głową, a więc oczywiście i nad moją, skoro wszyscy znają nasze ścisłe, poufne, synowskie stosunki! Czy chcesz...?

— Chcę żebyś pan tu na mnie chwilkę zaczekał; w powozie dokończymy rozmowy. Ferminie, siadaj na mego konia i wracaj do domu.

— Co się stało? — zapytały razem matka i córka za wejściem Daniela do sali!

— Nic, zupełnie nic, Edward się niecierpliwi i niepokoi, muszę do niego natychmiast napisać, żeby jakiego dzieciństwa nie zrobił. Jadę do domu, pozwoli pani że wezmę na chwilę jój powóz który dla Amalii zaprzężono, bo swego wierzchowca odesłałem. Wrócę tu przed obiadem.

Pożegnał matkę i córkę udając wesołość, która niestety, już z serca jego uleciała!

— Wiesz Danielu jedną rzecz? — rzekł Don Candido oczekujący go w krużganku.

— Potém, potém, wsiadajmy!

Daniel tak raptownie wybiegł z domu, że za bramą zeskakując z progu uderzył silnie o jakiegoś przechodnia kroczącego poważnie po chodniku z głową zadartą, z kapeluszem na karku.

— Przepraszam pana, — rzekł Daniel nie patrząc na potrąconego: zbliżył się do drzwiczek powozu, otworzył je sam, mówiąc do woźnicy: — do mojego domu!

— A!.. ten głos... rzekł przechodzień stając i spoglądając na Daniela.

— Panie, jedno słówko, jeżeli łaska, — mówił dalej nieznanomy.

— Co pan rozkaże? — odparł młodzieniec, jedną nogą stojąc na stopniu powozu, drugą na ziemi, i obracając się ku mówiącemu, którego twarzy jeszcze nie był widział.

Tymczasem Don Candido, jak trup zbladły, wcisnął się w powóz pod kolanami Daniela, i wsunawszy się w kącik, udawał że chustką twarz z potu obciera, lecz w widocznej chęci zamaskowania się.

— Znasz mię pan?

— A! zdaje mi się że miałam nieszczęście potrącić szanownego księdza Gaete, — odrzekł Daniel tonem zupełnie naturalnym.

— Mnie się zaś zdaje, że głos pański już gdzieś indziej słyzałem. A ten drugi pan co w powozie, to pewno... kto pan jesteś?

Don Candido pokłonił się głową kilka razy, ust nie otwierając i ciągle chustkę przesuwał po twarzy.

— A! to niemowa! — mówił dalej ksiądz.

— Co pan sobie życzy, księżu Gaete?

— Z wielką przyjemnością słucham pańskiego głosu, i chciałbym

— Nie mam czasu, panie, — rzekł Daniel wskakując do powozu, który natychmiast ruszył szybkim pędem.

Wielebny Gaete pozostał na miejscu uśmiechając się z wyrazem piekielnej radości na twarzy, i patrząc na numer domu pani Dupasquier.

KONIEC CZĘŚCI TRZECIEJ.

Historya Literatury Angielskiej.

(z H. Taina.)

Streścił Ed. Lub

Wiek XIX.

Romans nowoczesny.

Wiek XIX historii literatury angielskiej, stanowiący tom IV obszernego dzieła Taina, opiera się jak sam autor przyznaje, na innym planie, ułożonym będąc nie w tym systemie o jaki się postarał autor w trzech tomach pierwszych. „Za pięćdziesiąt lat, powiada sam, będzie można napisać historję tego wieku, tymczasem zaś godzi się ją zeszkiełować.“ Więc Taine szkicuje ale genialnie, nie układając w system, ale daje przewyborną charakterystykę pisarzy i tła ich idei.

Wybrał z pomiędzy nich najwydatniejszych, najkonsekwentniejszych i najbardziej ideami sobie *przeciwnych*. Obok Macaulaya i Carlyle'a, Hallam, Buckle i Grote, obok Dickensa i Tackera, Bulwer, mistres Gaskell, Elliot; obok Tennysona, Elżbieta Browning, — obok Stuarta Milla filozofowie tacy jak Hamilton i Herbert Spencer. Inni pisarze znakomici, piszący w Przeglądach i pismach peryodycznych angielskich, choć nie podpisujący się imieniem i nazwiskiem, charakteryzują jednak jasno skłonność swęj epoki i swego narodu, jedni wyrażając cywilizację angielską, drudzy cywilizację XIX wieku. Jedna jest narodową, druga europejską; jedna pozytywną, druga filozoficzną, arcy pożyteczną, arcy moralną, odznaczającą się czystością natchnień i szlachetnymi poglądami, zaczerpniętymi w samowiedzy i w sumieniu jednostki. W sześciu studyach głębo-

kich i potężnych bystrością spostrzeżeń i uwag, skreśla Taine życie i działalność Dickensa, Thackeraya, Macaulaya, Sturta Milla, Carlyle'a i Tennysona, jako sześciu pracowników, którzy podali dzisiejszej społeczności, oryginalne swe i w pewnej mierze skończone, jeżeli to być może! idee o Bogu, naturze, człowieku, umiejętności, religii, sztuce i moralności. „Trzy tylko dziś istnieją narody, powiada autor, mogące się poszczycić wytworzeniem takich idei, to jest Anglia, Francya i Niemcy;“ w tym celu też stara się, mówiąc o tych sześciu pisarzach dać zarazem obraz porównawczy z dwoma innymi narodami; my streszczając pracę Taina w dalszym ciągu, a gdzie koniecznie należy — należy zaś bardzo często, tłumacząc całe ustępy, sądzimy, że oddajemy czytelnikom naszym rzeczywistą usługę.

* * *

Dickens urodzony w roku 1812, syn stenografa, był zrazu również stenografem, w młodości ubogim i nieszczęśliwym. Czterdzieści tomów powieści jakie w świat puścił, wyrobiły mu sławę i fortunę, dając zarazem niezaprzeczone świadectwo jego talentu.

Pierwsze zapytanie jakie postawić trzeba Dickensowi jak i każdemu artyście, streszcza się w tém: „w jaki sposób zapatruje się na przedmioty, z jaką siłą, jasnością i zapalem?“ Odpowiedź scharakteryzuje talent, bo u romansopisarza, wyobraźnia pierwszy stanowi przymiot, w Dickensie jest ona przyczyną jego błędów i zasług, jego potęgi i przesady.

* * *

Tkwi w nim malarz, i to malarz angielski. Nigdy chyba żaden umysł, nie wyobrażał sobie szczegółów i kolorytu obrazu z taką dokładnością i energią. Dość przeczytać opis burzy, Marcin Chuzlewitz T. II, gdzie zdaje się, że obrazy żywcem zdjęte zostały ze słońca, niby dagerotyp. Wyobraźnia tak jasna i tak energiczna, z łatwością wyraża przedmioty nieżywotne, wzbudza wrażenia nadzwyczajne, bo autor przelewa w te przedmioty cząstkę swęj namiętności, którą jest przepelnięny. Kamienie, pod piórem jego nabierają głosu, mury białe przedłużają się jak olbrzymie widma, studnie czarne poziewają tajemniczo w ciemnościach, chmary istot dziwnych roją się na ugorze, natura samotna zaludnia się a nieżywotna materya porusza. Ale w tym szale nie ma nieladu ani niepewności, obrazy powstają jasne, przedmioty wyobrażane odznaczają się konturem zarówno wyrazistym jak przedmioty rzeczywiste, i marzenie równa się prawdzie. Między innymi, znajduje się opis wichru nocy burzliwej, którego źródłem jak i wszystkich opisów, jest u Dickensa czysta wyobraźnia. Nie opisuje on na sposób W. Scotta miłującego się w topografii dramatu, ani na sposób Bajrona miłującego wspaniałą naturę, ani też dba o dokładność lub wybór piękności; ale uderzony jakimś widowiskiem, zapala się i wybucha niespodziewanemi obrazami. Raz widzi pożółkłe liście ścigane wichrem, i kulące się w przestraczu po bruzdach; to znowu wichur nocny krążący wokół kościoła, który jęcząc

dotyka się po omacku niewidzialną ręką okien i drzwi, zatapia w szczelinach skał, a wydobyć się z nich nie mogąc, płacze i wyje z bólesci. Gdy już naczał się koło nawy, naślizgał po kolumnach, popróbowwał dźwięku pięknych organów, ulatuje, uderza się o sklepienie usiłując wyrwać belki, potem zrozpaczony zaprzepaszcza się, mrucząc pod sklepieniem. Czasami powraca kryjomo i pełza wzdłuż murów, zdaje się jakby odczytywał nagrobki umarłych. Ponad niektórymi przelatuje ze zgrzytliwym hałasem niby wybuchem śmiechu, ponad innymi piszczy i jęczy jakby płakał.“

Z tego poznać imaginację ponurą człowieka północy. Nieco dalej uwidocznia się namiętny zapał religijny protestanta rewolucjonisty, zwłaszcza gdy opowiada o pogrzebnych dźwiękach, jakie wydaje wicher przed ołtarzem, o dzikim akcencie z jakim zdaje się opiewać gwałty popełnione przez człowieka i fałszywych bogów, których człowiek uwielbia. Ale nagle, w jednej chwili, artysta bierze górę, prowadzi czytelnika do dzwonu, i zbiorem nagromadzonych tusłów, sprawia w nerwach wrażenie głosu dzwonu. Wiatr świszczy i przeskakuje arkady, koronki architektoniczne, i ozdoby dziwaczne wieżycy, toczy się i zwija w kłębek w około trzęsących się schodów, okręca chorągiewką która skrzypi. Dickens wszystko to widział w stariej dzwonnicy, myśl jego to zwierciadło, i nie ma szczegółu tak drobnego, tak brzydkiego, którego by nie dotknął. Policzył sztaby żelaza zjedzone rdzą, listki ołowiane pomarszczone i spaczone, które trzeszczą i podnoszą się zdziwione pod gniotącą ją stopą; gniazda ptasie zniszczone i schowane w głębiach drzew spróchniałych, kurz siwawy nagromadzony w kupki; policzył pająki oplecione muchami, niedołężne, otyle, od długiego wypoczynku, a które wisząc na nitkach, kołyszają się leniwie razem z odgłosem dzwonu, nagle zaś stropione pną się po owych linach jak majtkowie, lub spuszczaają się ku ziemi, igrając szybko dwudziestoma swemi zręcznemi łapkami.

Malowanie podobne sprawia złudzenie. Zawieszeni na tej wysokości, pomiędzy obłokami ruchomymi rzucającymi cień na miasto i światła przyćmione, które zaledwie rozeznac można w mgle pary, uczuwa się pewien zawrót, i jest się blizkim idąc w ślad za Dickensem tego odkrycia, że w głosie metalicznym dzwonu, zamieszkała myśl i dusza.

Dickens jest poetą, obraca się z równą swobodą w świecie wyobraźni jak i w rzeczywistym.

Tutaj rozmawiają dzwony z biednym komisynerem pocieszając go, owdzie świerszcz wyśpiewujący *wiejskie radości* domowego ogniska i przypominający stroskanemu panu szczęśliwe wieczory, poufne pogadanki i spokojną wesołość, której doświadczał, a która już nie wróci. Tam znowu czytamy historią chorego dziecięcia, które czuje śmierć blizką, a usypiając w objęciach siostry, słyszy daleką piosenkę fal szemrzących, które go wykołysały. Przedmioty w utworach Dickensa, przybierają koloryt myśli jego osób; wyobraźnia jego tak jest żywą, że pociąga za sobą wszystko ku tej drodze, którą sobie obrała. Jeżeli osoba jest szczęśliwą, to i kamienie, i kwiaty i obłoki szczęśliwemi być muszą; jeżeli jest smutną, cała natura płacze z nim razem. Najbrzydsze nawet

domy, wszystko tu mówi. Styl pędzi za widziadłami, unosząc się aż do najszczególniejszych dziwactw. Oto na przykład młoda dziewczyna przechodzi podwórzec, ażeby zobaczyć brata swego (M. Chuzzlewit t. II). Cóż prostszego, co bardziej pospolitego? Dickens wszakże egzaltuje się. Ażeby ją uczyć, zwołuje ptaki, drzewa, domy, fontannę, biura, akta procesowe i wiele innych rzeczy. Gust nie jednego odrzuci tę afektację, tę tigielki chorobliwe, a przecież afektacja ta jest naturalną, bo wyobraźnia nadzwyczajna, na wzór sznura nazbyt naciągniętego, tworzy sama z siebie wydając tony, które trudno usłyszeć gdzieindziej.

Różnica pomiędzy szaleńcem a człowiekiem genialnym, nie jest zbyt wielką, jak to powiedział Napoleon. Wyobraźnia to wizyonerska, przez którą waryat tworzy widziadła, a artysta osoby, i kto wie czy poglądy jednego nie mogą służyć i drugiemu. Wyobraźnia Dickensa, podobną była do wyobraźni monomana. Zatapiał się on w idei, nie widział nic prócz niej, powtarzał ją pod tysięczną formą, zwiększał, a zwiększoną podprowadzał pod oko widza, ołsniewał, przygniatał ją i tak wdrażał w pamięć, że niepodobna było jej zapomnieć, i to właśnie stanowi charakterystyczną własność jego wyobraźni i jego stylu. W tym też względzie, *David Copperfield* jest arcydziełem. Nigdy przedmioty nie wyrwały się wyraziściej w pamięci czytelnika: dom stary, kuchnia, podwórzec szkolny, są to obrazki domowe, które nie znajdują równych sobie co do plastyki i energii w rysunku. Dickens ma namiętność i cierpliwość malarza swego narodu, oblicza szczegółki, notuje różne kolory pniaków drzew, widzi szczeliny w pniach, rozróżnia zapachy z nich wychodzące, czyta nazwiska uczniów zapisane na drzwiach, i zastanawia się nad formą liter. Ten drobiazgowy jednak opis nie nudzi, rozmiłowanie w szczegółkach dowodzi dokładności. Zuchwałość stylu świadczy o gwałtowności wrażenia, metafory przesadne nasuwają marzenia dziwne. Czytelnik czuje się obłożonym nadzwyczajnymi widziadłami. „Mell wziął slet, powiada Copperfield, i zaczął weń dmuchać w taki sposób, że mi się zdawało, że cała istota jego wejdzie w górny otwór.“ Tom. Pinsch przekonywa się, że nauczyciel jego Pecksniff jest obłudnym łotrem.“ Przywykł był przez tyle czasów maczać Pecksniffa w herbacie swęj wyobraźni, rozpościerać go na swym chlebie, połykać go w swem piwie, że nazajutrz po rozczarowaniu smutne jadł śniadanie.“ Przypominają się fantazje Hoffmanna, nabiera się jakiejś idei fikse, od której głowa boli. Takie ekscentryczności znamionują styl chorobliwy raczej niż zdrowy. Dlatego też Dickens doskonałym jest malarzem halucynacyj. Znać, że doświadcza halucynacyj swych postaci, że wchodzi w ich szal. Jako Anglik i moralista, opisywał często wyrzuty sumienia. Portret Jonasza Chuzzlewit jest straszliwym Jonasz. wyszedłszy pokryjomu ze swęj izby, zabił zdradziecko swego nieprzyjaciela, i sądzi, że odtąd będzie oddychał spokojnie. Atoli wspomnienie morderstwa, niszczy nieznacznie jak trucizna jego umysł. Nie jest już panem swych myśli, unoszą go ciągle. Nieustannie дума o pokoju, w którym sądzi, że śpi. Widzi ten pokój, fałdy ciennych firanek i drzwi, do których zapukać można. W miarę jak się chce pozbyć tego widziadła, coraz bardziej w nięm grzęźnie. Jestto niby przepaść ognista, w którą zapada

z krzykiem, przestraczem i rozpaczą. Zdaje mu się, że leży w łóżku, i po chwilkę widzi sam siebie. Boi się tej drugiej swęj osoby, i staje się sam swoim widmem. A istota ta wyobraźniowa, zdwaja niby zwierciadło przed jego sumieniem, obraz morderstwa i kary. Błady, powlókł się do drzwi swęj izby. On, spekulant, maszyna obrachowująca zimno, stał się nagle chimerycznym jak kobieta nerwowa. Posuwa się na palcach jak gdyby się bał obudzić człowieka, którego przez wyobraźnię widzi śpiącego w łóżku. W chwili, gdy obraca kluczem w zamku, ogarnia go przerażenie, bo . . . gdyby zabity podniósł się i stanął przed nim? Wchodzi nareszcie i zanurza się w łóżku, targany gorączką. Zakrywa oczy kołdrą, ażeby nie widzieć więcj przeklętej izby, lecz widzi ją lepiej jeszcze. Szelest kołdry, szmer owadu, bicie własnego serca krzyczy nań: Morderco! Zapatrzony obłędnie w drzwi, wierzy nareszcie, że je otwierają, słyszy jak drzwi skrzypią. Wrażenia jego przewrócone na wspak, a w tym śnie gdzie władze rozumu umilkły, czuje tylko ciężar przygniatającej go konwulsyjnej rozpaczy. Odtąd wszystkie jego myśli, wszystkie niebezpieczeństwa, cały świat niknie przed nim w tém jedném zapytaniu: kiedy znajdą trupa w lesie? Usiłuje pamięć oderwać od tej myśli, nadarmo, przykuta ona łańcuchem żelaznym. Ciągłe sobie wyobraża, że idzie do lasu, że się tam wśliznął na palcach odginając gałęzie, że się zbliża, zbliża coraz bardziej, i że poluje: „na muchy siedzące na ciele gęstemi sznurkami, niby gałązki jagod.“ I ciągle nadśłuchuje najmniejszego szelestu, i ciągle ma przed oczyma trupa porzuconego w lesie. Myślą wskazuje go wszystkim, których widzi, mówiąc: „Przypatrzcie się, znacie go? Czy macie mnie w podejrzeniu?“ Ta idea stała, uparta, doprowadza Jonasza do szaleństwa.

Dickens prócz niego zrobił kilku waryatów rzeczywistych, na pozór zabawnych, ale tak prawdziwych, że w gruncie strasznymi wydać się muszą. Dwóch zwłaszcza, którzy pobudzając do śmiechu, pobudzają i do dreszczu. *Augustus*, maniak, mający zaślubić miss Pecksniff, i biedny *Dick*, na pół monoman, który żyje z miss Trotwood. Ażeby zrozumieć te nagle egzaltacye i smutki niespodziane, te dziwne podskoki przewrotnej zmysłowości, ażeby wynaleźć słówko jedno urywające frazes i widzieć ten uśmiech idyotyczny, spojrzenie błędne, fizyonomię głupowatą tych starych dzieciaków, którzy co krok uderzają się o próg prawdy, nie mogąc go przeskoczyć, na to trzeba właściwości, którą w równym stopniu co Dickens, miał jeden Hoffmann. Gra tych skołatanych mózgownic, podobna do skrzywienia wrót rozpadłych, którego przykro słuchać. Dostrzedz w tém łatwo jęku i skargi, i prawie przestraszyć się trzeba nad wizerunkiem jasności, dziwaczności i gwałtowności wyobraźni, stwarzającej takie istoty, i naśladującej tak konsekwentnie ich nierozum.

Czemu przypisać siłę takiej wyobraźni? Wyobraźnie różnią się nie tylko naturą, ale i przedmiotem.

Na szerokim świecie, artysta stwarza sobie świat własny, mimowolnie obiera liczbę przedmiotów, które przekłada nad inne, innych nie widzi wcale. Dickens nie widzi wielkich przedmiotów, i to stanowi drugi rys jego wyobraźni. Entuzjazmuje się nad przedmiotami pospolitemi, nad sklepikiem starzyzny, nad szyldem i t. p. Obdarza jednością, lecz

nie dosięga piękności. Wydobywa tony brzmiące, ale nie harmonijne. Kiedy opisuje kamienicę, opisuje ją ze ścisłością geometry, robi z niej istotę żyjącą, której trudno zapomnieć, ale nie dojrzy szlachetności głównych linii, ani majestatycznego ich spokoju, ani jasności radosnej rozlanej na nich. Kiedy opisuje krajobraz, dostrzega dym unoszący się z odległej kałuży, poruszenia owadu w trawie, ale nie dojrzy prawdziwej poezji. Zgubi się w drobiazgowych spostrzeżeniach, nie czując zamiłowania form pięknych i kolorytu pięknego. Brak mu szczęścia. Natchnienie jego jest rodzajem werwy gorączkowej nie robiącej wyboru w przedmiotach, werwy ożywiającej przypadkowo brzydotę, pospolitość, głupstwo, które znowu nadając istotom z nich wyległym życie naprężone, pozabawiają ich harmonij i szczęścia, jakichby się w innych rękach doczekać mogły.

Ażeby się zapalić, dość Dickensowi wsiąść w dyliżans. Ulica, błoto, trzask bicza, świst maszyny, wystarczają do podniecenia go. Galop konia dyktuje mu dytyramb lub odę. Akcenta liryczne, osłaniające szafem poetycznym najpospolitsze drobiazgi, charakteryzują rodzaj wyobrażeń Dickensa. Człowiek któryby w jednej ręce trzymał rondel, w drugiej bat pocztliński i począł wieszczyć, byłby podobizną tego autora.

*
*
*

Łatwo przewidzieć, że rodzaj takiej wyobraźni, gwałtowne wyradzać musi wzruszenia. Sposób poglądu, reguluje sposób czucia. Gdy umysł z głęboką uwagą, wchodzi w szczegóły drobiazgowo obrazu dokładnie widzianego, radość i ból ogarną go całkowicie. Dickens obdarzony tą uwagą i widzi takie szczegółki, dlatego znajdzie wszędzie przedmiot do egzaltacyi. Nie odpoczywa on nigdy w stylu naturalnym ani w opowiadaniu prostem, lecz szczydzi lub płacze, pisze satyry lub elegie. Ma wrażliwość gorączkową kobiety, która zaczyna wybuchem śmiechu, a kończy niespodzianie łzami. Styl ten namiętny. potęgi jest znakomitej, i jemu przypisać trzeba połowę sławy Dickensa. Ogół ludzi wzrusza się z trudnością, pracuje machinalnie a ziewa dużo, na bardzo wiele przedmiotów patrzy chłodno, wiele innych wcale nie widzi. Nagle zjawia się człowiek, który te przedmioty ożywia, co więcej, który z nich dramata stwarza, zamieniając je w przedmioty uwielbienia, czułości lub przerażenia. Nie odchodząc od kominka, mamy oczy pełne łez, lub napada nas śmiech nie powstrzymany. Czujemy życie zdwojone, a dusza nasza wegetująca aż dotąd, czuje teraz, kocha i cierpi. Kontrast, zbiór uczuć powiększają nasze zmięszanie, wpadamy w przepaść uczuć nowych, coraz wzrastających, udzielających nam swęj siły aż do wyczerpania nas i znużenia. Jestto upojenie, któremu publiczność chętnie się poddała.

Taka wrażliwość może się tylko kończyć: śmiechem lub łzami. Trzecia droga, droga wzniosłości, zamkniętą jest dla Dickensa. Atoli nie ma drugiego pisarza, któryby tak łatwo wzruszał. Nie jeden z czytelników nie wiedział przedtem, że ma tyle współczucia w swém sercu.

Żyż jakie Dickens wylewa, są prawdziwe, bo ich jedynym źródłem współczucie. Balzac, Sand, Stendhal natrafiali także na nędcę ludzką.

ale im chodziło o grę namiętności, o stworzenie potężnych charakterów; piszą oni jak artyści, nie przez współczucie dla nieszczęśliwych, ale przez miłość piękna. Dickens nie uspakaja, owszem wybiera przedmioty wykazujące tyranstwo jednych a nędzę drugich.

A przecież ten sam pisarz, jest jednym z najbardziej wesołych, komicznych i szyderskich ze wszystkich pisarzy angielskich, lubo co prawda dziwna to wesołość! Może się jedynie pogodzić z taką wrażliwością namiętną. Jest albowiem śmiech graniczący z płaczem, satyra jest siostrą elegii; jeżeli jedna broni uciśnionych, drugą walczy przeciw ciemnościom. Dickens zraniony występami i błędami ludzi, mści się okrywając ich śmiesznością. Nie maluje ich, ale karze. Nic uciążliwszego jak te długie rozdziały nieustannęj ironii, gdzie sarkazm zatapia się nielitościwie i krwawo w piersi przeciwnika. Jest tych rozdziałów pięć czy sześć na Amerykanów, na dzienniki przedajne, pijackich dziennikarzy, na szarlatanów, spekulantów, na kobiety autorki, ich zuchwałość i czelność, ich brutalność, mogącą zachwyć tyranów i usprawiedliwić tego liberała, który powracając z Nowego Yorku, uściśkał ze łzami w oczach pierwszego żandarma, jakiego spotkał w porcie Hawru. Towarzystwa przemysłowe, rozmowy deputowanych, z wyborami, wszystkie ceremonie i kłamstwa społeczeństwa angielskiego, wyśmiane są z goryczą Hogartowską. Są tam ustępy, w których komizm tak jest gwałtownym, że się zdaje zemstą, naprzykład opowiadanie Jonasza Chuzzlewit. Pierwszy wyraz, który sylabizuje ten młodzieniec zowie się „zysk.“ Drugi (gdy już doszedł do dwugłosek) jest „brylant.“ Taka piękna edukacja wyrodziła dwie niedogodności: jedną, że nauczony przez ojca oszukiwać innych, nabrał nieznacznie gustu do oszukiwania ojca; drugą, że przyzwyczajony uważać wszystko jako kwestyę pieniężną, zaczął patrzeć się na swego ojca jak na pewien rodzaj własności, któryby najlepiej mógł być umieszczony w kufrze żelaznym, zwanym trumną.“

Dickens smutnym jest w gruncie jak Hogarth, ale tak jak ten wołuje śmiech ostrością karykatury. Charaktery dziwaczne nakreśla z rzadką zuchwałością. Jego Pecksniff popisuje się czynami sentymentalnymi i frazesami moralnymi takimi, że już przez to staje się dziwnaczny. Sheridaną hipokryt, niezmiernie różni się od obłudnika Dikensowskiego. Dickens maluje obłudę tak potworną, że jego obłudnik przestając być człowiekiem, staje się raczej jedną z tych figur fantastycznych, której nos większym jest od całego korpusu. Taka przesadzona komika, pochodzi z nadzwyczajnej wyobraźni. Dickens, ażeby lepiej uwidocznić wskazany przedmiot, rozdziera oczy czytelnika, atoli czytelnika zajmuje ta rozpasana werwa. Dzielność obrobienia pozwala mu zapomnieć o nieprawdopodobieństwie, więc śmieje się serdecznie gdy przedsięwzięta pogrzebów p. Mould, wylicza pociechy, jakie miłość synowska zaopatrzona w pieniądze, znaleźć może w jego magazynie. Zazwyczaj Dickens rysując karykatury, sam pozostaje poważny. Dowcip angielski zwykł szalone żarty wypowiadać tonem uroczystym, i wtedy ton kontrastuje z ideami, a każdy kontrast wywiera silne wrażenie.

Otóż Dickens lubuje się w takich kontrastach, a publiczność nie-
mniej. Jeżeli czasem nie chłostcze bliźniego, jeżeli chce bawić, to nie

ma tam tła szczerego szczęścia. Charakteru angielskiego znamieniem, jest już brak szczęścia. Gorąca i uporczywa wyobraźnia Dickensa, zatapia się w przedmiocie, przenika, ale wszystkie te czyny gwałtowne są tylko usiłowaniami, a wszystkie te usiłowania cierpieniami. Ażby być szczęśliwym, potrzeba być lekkim jak Francuz XVIII w., lub zmysłowym jak Włoch z XVI w.; nie trzeba się niepokoić biegiem rzeczy ale używać. Otóż Dickens niepokoi się. Chcąc wreszcie jednym rzutem oka objąć wyobraźnię jego, tak namiętnie przyczepioną do wybranego przedmiotu, tak przywiązaną do szczegółów życia zwyczajnego, tak płodną we wzruszenia i potężną w budzeniu litości bolesnej; chcąc poznać jego szyderstwo i nerwową wesołość: potrzeba sobie przedstawić ulicę Londynu podczas słotnego, zimnego wieczoru. Płomieniste światło gazowe pali oczy, przebłyskuje przez kraty sklepów, odbija się na przechodniach, a odbłyśkiem rażącym uwidocznia szczegółowo i z niezmierną dokładnością ich zmarszczki, skrzywienia i wyraz twardych zmęczonych. Jeżeli w tym tłumie zbrudzonej, odnajdziesz świeżą twarzyczkę młodej dziewczyny, to owo sztuczne światło osłoni ją blaskiem fałszywym. I wtedy umysł ogarnia zdziwienie, a ręką potrzeba zasłonić oczy ażeby przy całym uwielbieniu tego sztucznego światła, obudzić w sobie tęsknotę za spokojną pięknością jasnego dnia.

* * *

Gust publiczności angielskiej względem tych utworów powieściowych, tak się da streścić:

„Bądź moralnym, aby wszystkie twe romanse mogły być czytane przez młode dziewczęta. Jesteśmy bowiem ludźmi praktycznymi, więc nie chcemy ażeby literatura psuła nam życie praktyczne. Czujemy przywiązanie rodzinne, więc nie chcemy ażeby literatura malowała namiętności, burzące życie rodzinne. Jesteśmy protestantami, więc zachowaliśmy surowość naszych ojców, miłość zaś jest najpierwszą namiętnością, łamiącą węzły małżeńskie, mającą związek ten za podrzędny. Romans w tej myśli podjęty, broniąc interesów serca i entuzjastycznej natury, grzeszy często przeciw społeczeństwu i przeciw prawu; nie chcemy przeto, aby naruszono społeczeństwo lub prawo. Uczucie jakieś przedstawiać jako boskie, poświęcać dlań wszystkie instytucje, opiewać heroiczne jego walki, wieńczyć go wszelkimi kwiatami poezyj, jest to samo co podnieść go ponad najpierwsze obowiązki, i otoczyć aureolą najwspanialszą. Być może, że takim jest świat artystów, ale w żadnym razie nie jesto świat zwykłych śmiertelników. Jerzy Sand skreśla charakter kobiety namiętnej, ty skreślaj nam charakter kobiety uczciwej. Jerzy Sand wzbudza ochotę do kochania się, ty wzbudź ochotę do małżeństwa. Prawda, że na tém traci sztuka, ale publiczność zyskuje, bo jeżeli twoje figury dają dobry przykład, to dzieła tracą na wartości. Nic to jednak nie szkodzi, ofiaruj się na to przez miłość moralności. Kochankowie twoi czyzy będą, bo nie umiesz malować namiętnej miłości. W *Mikołaju Nikleby* ukazesz dwóch zacnych młodzieńców, zaślubiających dwie zacne panny; w *Marcinie Chuzzlewit* ukazesz znowu dwóch

porządnych młodzieńców podobniuteńkich do tamtych, zaślubiających również dwie zacne paniąki; w *Dombey and son*, ukazesz wprawdzie jednego tylko zacnego młodzieńca i jedną zącą córę. Lecz różnicy między niemi żadnej a liczba małżeństw tak u ciebie wzrasta, że zaludnisz niemi Anglią. Co zaś ciekawsze, to, że młodzi ci ludzi drwią sobie z pieniędzy.

„Obrazkami rodzinnemi wzruszasz czytelnika, ale najbardziej młode panny, które się nauczą sposobu konkurowania panów kawalerów. Jeżeli się przypadkiem zagalopujesz aż do wykradzenia, jak w *Copperfieldzie*, nie opiszesz z pewnością rozkoszy, zapachu, oszołomienia, czaru miłości, ale nędzę, rozpacz i wyrzuty. Jeżeli jak w *Copperfieldzie* ukazesz kobietę podejrywaną o niewierność, wnet pospieszysz powrócić małżeństwu spokój a żonie niewinność. Jeżeli jak w *Hard Times* (*Ciężkie czasy*) małżonka staje już nad brzegiem przepaści, to ją nad tym brzegiem zatrzymasz. Jeżeli jak w *Dombey and son*, żona ucieknie z domu, to przecież pozostanie czystą i tylko pozory przeciw niej będą; jeżeli nareszcie w *Copperfieldzie* zatrzymasz się dłużej nad drobiazgami i uniesieniami miłości, to nakreślisz zaraz strony jej ujemne, nadrwisz sobie z tej biednej miłości, jakbyś się pragnął uniewinnić przed czytelnikiem. Nigdy nie puścisz wodzy uniesieniu szlachetnemu, gwałtownemu, namiętności wszechpotężnej. Wolisz małżeństwo, które cię też wynagrodzi, bo twój jemuś spostrzegawczy i zamiłowanie szczegółów nastęrczą ci sposobność odmalowania życia domowego, a ty celujesz w malowanie rodzinnej pogadanki przy kominku, rodzinnego pożycia. Piękne też tworzysz portrety kobiet, na przykład Dory, której kaprysy i uśmiechy przypominają nucenie słowika; Estery, której anielska dobroć nie zmniejsza się ani doświadczeniami, ani latami; Agnieszki, tak spokojnej i godnej, tak zachęcającej do uszanowania dla małżeńskiego związku. A gdy nareszcie trzeba będzie odsłonić piękność spełnionego obowiązku, wielkość przyjaźni małżeńskiej, głębokość uczucia wypróbowanego wzajemnym przywiązaniem, odnajdziesz w swjej czułości tak długo hamowanej, tyle słów patetycznych i rzewnych, że zastąpią najsilniejsze zaklęcia miłości. (Dawid Copperfield, scena między doktorem i jego żoną).

„U nas (ciągle niby mówi publiczność angielska) niektórzy podziwiają Balzaca, ale nikt nie chciałby go naśladować, bo każdy wie, że on sobie nie wiele robi z moralności, i gdy Jerzy Sand sławiła jedną namiętność, on sławił wszystkie. My nie chcemy, ażeby człowiek rozstał się ze swem sumieniem, i stracił z oczu życie rzeczywiste. Nie chcemy ażeby czytelnik zajmował się skąpcem, chciwcem, zepsutych obyczajów człowiekiem, wtedy, gdy autor z pomocą logiki psychologicznej tłumaczy konieczność upadku moralnego tych ludzi, bo wtedy czytelnik zachwycając się stworzeniem typu, zapomina o złem, które taki człowiek wyrządza. Wtedy czytelnik staje się filozofem i artystą, zamiast pozostać uczciwym człowiekiem.

„Wielkość namiętności polegająca na tém, żeby ją poznać w najdalszych zakątkach, w całym przebiegu, żeby rozwinąć cały jej fatalny

i szeroki zakres, nie jest twoim udziałem autorze! Twoja niezmierna wrażliwość i twoja ironia zawsze gotowa do boju, potrzebują pola walki; nie masz dosyć spokoju, aby zajrzeć w głąb charakteru, musisz zaraz być ściętym wrogiem lub przyjacielem, a więc stronnym. Oddajesz charakter wdzięcznym lub nienawistnym, lecz go nie malujesz, bo jesteś zanadto namiętny a za mało ciekawy. Dalej uporna twa wyobraźnia zatapiająca się w jakiś szczegół, ogranicza cię, nie pozwala zwiedzić duszy we wszystkich jej zakątkach.

„Charaktery bowiem w ten sposób rysujesz: pochwycisz osobistość w pewnej postawie, z pewnym ruchem, i ten ruch, tę postawę narzucisz jej na zawsze. Twarz tej osoby będzie miała zawsze jeden i ten sam wyraz, a wyraz ten jest skrzywieniem. Miss *Mercy* na przykład będzie się śmiała przy każdym słowie, *mistress Gamp* będzie ciągle już opowiadać o pani Harris, pan *Micawber* będzie plótł przez trzy tomy frazesy emfatyczne, tak że każda z tych osób będzie miała nałóg, cnotę lub śmieszność wcieloną i nieustającą, tak że się ostatecznie zdaje, jakoby się miało do czynienia nie z człowiekiem żyjącym, ale z abstrakcją przebraną za człowieka Ostatecznie zbiór twych charakterów, sprawi wrażenie książki pełnej satyr, ale nie galerii zapełnionej portretami. Przez to samo wszakże, satyry te nie tworzą prawdziwej całości. Jedyny sposób stworzenia całości silnej i naturalnej, polega na nakreśleniu historii namiętności lub charakteru, to jest na śledzeniu ich od urodzenia i rozwoju aż do końca. Autorze, nie trzymasz się tej zasady, robisz go obłudnym lub dobrym od początku do końca monotonnie, a więc nie dajesz jego historii. Zmieniasz tylko okoliczności lecz nie jego samego, z czego wynika, że piszesz przygody, pamiętniki, szkice, zbiór scen, ale nie układasz akcji. Lecz jeżeli gust literacki twego narodu razem z kierunkiem twego talentu, narzuca ci pewne tendencje moralne, niedozwalając wielkiego rysunku charakterów, to jednakże nastęcza twój obserwacyi i wrażliwości, cały szereg figur oryginalnych, należących wyłącznie do Anglii, a tworzących jedyną w swym rodzaju galerję.“

(*Dalszy ciąg nast.*)

Kilka słów o naszych „stacyach krzemiennych.“

Na zachodzie Europy, zwłaszcza w Skandynawii i Francji, odkryto w ciągu ostatnich lat kilkunastu wiele tak zwanych *stacyj krzemiennych* czyli przedhistorycznych wyrobni narzędzi i krzemienia. Na morskich brzegach Jutlandyi

mnóstwo znajduje się podobnych miejscowości, którym uczeni duńscy dali nazwę *Kystfunden* t. j. odkryć brzegowych. Okolice *Korsoer*, *Anholt*, *Aarhus*, obfitują w takie krzemieniarnie. Professor duński Steenstrup z uczonym angielskim Lubock'em w ciągu godziny nazbierali na powierzchni ziemi pod *Korsoer* i *Aarhus* kilkadziesiąt rozmaitych narzędzi krzemiennych i okrzesków powstałych przy łupaniu krzemieni a zwanych przez Francuzów *eclats de silex*. Nawet okrzeski te czyli wióry krzemienne, odpryski: płaskie, ostre i kończaste służyły także w czasach pierwotnej prostoty za narzędzia, n. p. nożyki, kolce, skrobaczki, bełdy do strzał, zęby do pił i ostre brzegi dzid kościanych. W Anglii nierównie mniej znanych jest dotąd stacyi krzemiennych niż w Danii. Dopiero Sheley na polu koło *Reigate* a Jamieson koło *Ellon* podobne poczynili tam odkrycia. Znane są także stacye pod *Bridlington*, *Pont le Voy*, *Spiennes*, *Pressygnny le Grand* i t. d.

Myśmy nie wiele pozostali w tyle, w tego rodzaju odkryciach, tylko że sami dobrze nie wiemy co już mamy. Wielu z nas lubi lekceważyć wszystko czego sami nie odkryli inni, co dowodzi dość płytkich pojęć o nauce. A czy tak być powinno? Gdy nauka u sąsiadów robi olbrzymie postępy, czy wolno nam pozostawać w tyle? Zaliczamy się do ucywilizowanej rodziny europejskiej, a czy pracujemy w rzeczach nauki tyle aby nam ona zapewniła przyzwoite stanowisko w tej rodzinie? Czy obaliliśmy uprzedzenia sąsiadów o niedołęztwie i bierności naszej krwi słowiańskiej? Ale wróćmy do rzeczy. Zacny nasz reprezentant na archeologicznym kongresie w Bononii, zeszłego roku, zawczasie zgasły Alexander Przeddziecki, (na wieczorném posiedzeniu d. 4 października) pierwszy raz mówił przed uczonym światem o odkrytych na ziemiach dawniej Polski dwóch *stacyach krzemiennych*, z których jedna leży w teraźniejszej gubernii Wołyńskiej w okolicy Krzemieńca, (od krzemienia biorącego swą nazwę), druga zaś w miejscowości *Grabówka*, w dobrach Guliczewskich pod Płockiem. (Bibl. War. z roku b. I, 19). O innych stacyach zasłużony nasz badacz nie wspomina, co jest ponieważ przyczyną dzisiejszych moich słów kilku, aby nie sądzono iż ich dziś więcej nad dwie nie mamy.

O stacyi pod Krzemieńcem mówi Przewdziecki, iż przed laty czterdziestu, kiedy nikt jeszcze nie marzył o epoce kamienia, jako osobliwość zbierano na Wołyniu piękne wyroby krzemienne, z których bogaty zbiór utworzył sobie dr. Pawłowski w Dubnie. Część tego zbioru przeszła wraz z innemi podobnego rodzaju narzędziami w posiadanie znakomitego autora *sztuki u Słowian* J. I. Kraszewskiego. Nie określa Przewdziecki ściśle stacyi w okolicach Krzemieńca, bo to uczonych bonońskich mało obchodzić mogło. Musiał jednak mieć na myśli *Moszczanicę Wielką*, jak o tém sędzę z otrzymanego przezemnie w grudniu r. z. listu uczonego autora *sztuki u Słowian*, z którego wyjątek tu przytaczam: „W czasie zjazdu w Bononii pokazywałem Duńczykom i Włochom bardzo piękne wzory wyrobów kamiennych z różnych stron, wspominałem im o naszych stacyach krzemiennych, a mianowicie o najznaczniejszej z nich w *Moszczanicy Wielkiej*, w powiecie Dubieńskim na Wołyniu. Wiem i o *innych*, gdzie obok skończonych wyrobów, znajdowały się napół obrobione, pozaczynane i wióry krzemieni. Otóż mimo mojego i Przewdzieckiego świadectwa, upierali się przy tém, że to są przywożone do nas, skandynawskie kamienie. Upredzeń jest wiele. Potém chcieli koniecznie domagać się u nas nowego i odmiennego typu tych wyrobów, a że odmian od skandynawskich w naszych wyrobach prawie niema, niedowierzali naszym okazom.“ Otęj *Moszczanicy Wielkiej* wspomina także Kraszewski w *Sztuce u Słowian*, str. 31.

Co do drugiej stacyi *Grabówki* pod Płockiem, o której mówił Przewdziecki na kongresie (zowiąc ją przez pomyłkę *Grabówkiem*), to o nięj była podana wiadomość w Bibliotece Warszawskiej na m. lipiec 1871. Pierwszy odkrył i badał tę stacyę w r. 1870 pan Józef Przyborowski professor uniwersytetu warszawskiego. Dzieli on ją na dwie: pod karczma *Grabówką* i wsią *Ośnicą* położone, a będzie to stacya jedna z najbogatszych w Europie, bo dotąd już kilka tysięcy narzędzi i okrzosków p. Przyborowskiemu dostarczyła. W r. 1871 badał tę stacyę Przewdziecki i inni i także wiele nazbierali krzemków, których jeszcze nieskończone mnóstwo znajduje się w piasku. Z powodu iż Przewdziecki mówiąc na kongresie o wykopaliskach metalowych pod *Ośnicą*, wspomina tylko o wiadomych sobie przedmiotach z *bronzu*, muszę tu nadmienić,

że posiadam piękne wykopalisko ozdób *srebrnych*, w téjże miejscowości przed kilką laty znalezionych w popielnicach, które wylew Wisły wymulił z piaszczystego wzgórza. Są to liczne naszyjniki i zausznice, wprawdzie mocno uszkodzone, ale bardzo pięknej roboty z IX lub X wieku.

Oprócz stacyi przy karczmie Grabówce, położonej o ćwierć mili od Płocka i przy wsi Ośnicy nad Wisłą, o pół mili od tegoż grodu (z kąd powyższe moje wykopalisko pochodzi), pan Przyborowski udzielił mi wiadomość o czterech innych jeszcze stacyach krzemiennych, które zwiedził w roku zeszłym, a mianowicie: 1) w *Uniejewie* nad Wisłą, o milę od Płocka, w dół rzeki. 2) w *Popielźnie* pod m. Nasielskiem nad Wkrą, 3) w *Lelewie*, także pod Nasielskiem nad Wkrą i 4) w *Targówku* pod Pragą, o pół mili od Warszawy. Ostatnia ta stacya musi być ubogą, bo chodząc po piaskach Targówka w m. kwietniu r. b., zaledwie kilka znalazłem okrzosków krzemiennych, a tylko wygrzebałem rękami z piasku dwie potłuczone popielnice z kośćmi, w pobliżu chaty starego wieśniaka Maciejewskiego, niegdyś sołtysa w Targówku i na jego gruncie. Jedna z tych urn z gliny czerwonej miała w *pęku* około trzech ćwierci łokcia średnicy, druga była mniejsza i gładza, z gliny ciemnej. W obydwóch glina jak zwykle mieszana z tłuczonym granitem i błyszczem (mika), a zwłaszcza w popielnicy ciemniejszej. Zapewne nie natrafiłem na miejscowość stacyi wiadomój panu Przyborowskiemu.

Na Szląsku pod „*Kobelwitz*“ przed kilkudziesięciu laty odkryto wiele starożytnych przedmiotów a między nimi narzędzia i okrzoski krzemienne, które Niemcy opisali już w r. 1819 z dołączeniem rysunków. Książkę tę widziałem dawniej u profesora Przyborowskiego, ale tytułu jej dobrze nie pomnę. Zapewne *Kobelwitz* (nazwa zniemczona) jest także stacyą krzemienną, która nam w tamtych stronach przybywa.

Na wzmiankę w Bononii zasługiwała niewątpliwie milczeniem pominięta stacya *Leżajska* nad Sanem. Już r. 1853 o wykopaliskach tamtejszych podał krótką wiadomość wikary z Leżajska ks. Podgórski, w numerze 32 *Dziennika Literackiego* we Lwowie. Następnie znalezione tu przedmioty krzemienne, metalowe i gliniane przesłał p. Karolowi Rogą-

wskiemu dziedzicowi Ołpin w Galicyi, który w r. 1856 wydał całą książkę „o wykopaliskach leżajskich.“ Nowość odkrycia prawie nieznanych u nas wtedy tego rodzaju drobnych narzędzi krzemienych wprowadziła p. Rogawskiego w wielki błąd. Jako podobne do znalezionych w Szwajcaryi uważa on je za celtyckie i na téj zasadzie snuje liczne hipotezy, daje nowe kierunki wędrówkom niektórych plemion, nowe siedziby im naznacza. Niema się i czemu dziwić, bo Rogawski nie wiedział że podobnych stacyj jak Leżajska (które nazywa *uroczyskami*) istnieje na ziemiach dawnéj Polski kilkaset a może i więcej, a z odkryciem onych muszą runąć domysły oparte na wykopaliskach tylko leżajskich. Zato trzeba się dziwić dlaczego p. Rogawski pisząc tak szczegółowo o Leżajsku, jego okolicach i wykopaliskach, sam nie zbadał brzegów dolnego Sanu a tylko na relacyach osób innych poprzestał. Znalazłby nie wątpliwie oprócz stacyi Leżajskiej wiele innych nad Sanem, bo jak doniesiono mu, to narzędzia krzemienne, grotty, bełdy i okrzoski znajdują się na polu: 1) pod wsią *Giedlarową* o trzy ćwierci mili od Leżajska; 2) w *Żarczyckiej Woli* (zwanéj pierwotnie *Trzebowicą*) o dobrą milę od tegoż miasta; 3) w *Woli Ranizówkiej* o cztery mile od Leżajska i 4) pod miasteczkiem *Maidan* w tychże okolicach.

W miejscowościach powyższych znajdują się także na piaszczystych wzgórzach popielnice lub ich czerepy a jak z wszystkiego widać, są to stacye krzemienne, których zapewne więcej odkryje się z czasem w tamtych stronach.

Po ostatniem widzeniu się mojem z uczonym sprawozdawcą naszym z kongresu bonońskiego, ale jeszcze przed tym zjazdem, znalazłem bogatą stacyę krzemienią nad Niemnem o dobre pół mili od Druskiennik. Nie miałem wtedy jednak sposobności donieść o tém nie obecnemu w kraju autorowi *Jagiellonek*. Było to w pierwszej połowie września, kiedy płynąc *czajką* po byстрыm nurcie *Chronusu* wysiadłem przy wyniosłym piaszczystym brzegu rzeki, na którego pochyłości porozrzucane kamienie wydały mi się szczątkami podmytego pogańskiego żalnika. Nie omyliłem się w istocie, a wdrapawszy się na wzgórze, oprócz grubych skorup z przedwiecznych wielkich garnków nazbierałem w krótkim czasie na powierzchni piasku kilkaset krzemienych narzędzi i okrzos-

sków. Znalazły się bełdy strzał i nożyki tak wytworniej roboty, że mogą współzawodniczyć o lepsze z najpiękniejszymi okazami zbiorów duńskich. Dwa np. bełdy (lub może nożyki) mają trzouki czyli piętki do osady przy półcalowej długości grube zaledwie na półtory linii cala, a przytém okrągło wyrobione.

W kilka tygodni później, właśnie wtedy gdy obradowano w Bononii, gdy Vogt rozwodził się szeroko o ludożerstwie naszych praocjów, a zebrani z Europy uceni rozkopywali przedhistoryczne śmietniki włoskie i sędziwy kawaler *Aria* poił w *Marzabolto* starożytników sędziwszém jeszcze winem; wtedy depcząc po polach wsi Pajewa, którą uważałem za starożytną osadę, napotkałem nową stacyę krzemienną. Leży ona jak zwykle na wzgórku piaszczystym wśród brzozowych gajów o pięć ćwierci mili od m. Tykocina, a o ćwierć mili od Narwi, w pobliżu granicy Jeżewskiej i żalnika, w którym już przed kilku laty robiłem dość pomyślne poszukiwania. Znalazły się tu jak nad Niemnem czerepy z pierwotnych grubych i wielkich garnków z gliny czerwonej z tłuczonym kamieniem mieszanęj. Obok nich zebrałem sto kilkadziesiąt drobnych blaszkowanych krzemyków i narzędzi. Zastępują między niemi na uwagę dwie piłki zębate podobne nieco do tej, jaką na tablicy wykopalisk leżajskich widzimy pod numerem 17, także skrobaczki i bełdy do strzał, z których jeden trójkątny z wklęsłym bokiem do osady podobny nieco do leżajskiego pod numerem 15 i do licznie znajdujących nad Wisłą, ale przewyższa wszystkie dotąd znane zręcznością roboty. Ze znalezionych w żalniku żelaznych przedmiotów i jednej srebrnej ozdoby, zasługuje na uwagę wykopane w grobie pod wielkim kamieniem, żelazne okucie z drewnianego kubelka a mianowicie: trzy obrączki, kabłęk i uszy do jego zaczepienia. Kubeltek był widocznie z cienkich klepek kształtu używanych tu dotąd wiaderek ale nierównie mniejszy, u podstawy szerszy niż u góry.

Tym sposobem mamy już kilkanaście naszych stacyj krzemiennych a może i więcej, bo nie sędzę abym wiedział o wszystkich odkrytych. Byłoby więc rzeczą bardzo pożądaną, aby posiadający podobne wiadomości zechcieli je dla użytku ogólnego drukiem natychmiast ogłosić lub w osta-

tnim razie raczyli zawiadomić mnie o tém listownie, pod adresem: przez *Tykocin w Jeżewie*, a nie omieszkać każdą taką wiadomość podać przy sposobności w którym z pism naszych.

Zygmunt Gloger.

KRONIKA ZAGRANICZNA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Przekład na język francuzki dzieła Gerwinusa. — *Historia XIX wieku, od czasu Traktatów Wiedeńskich*. — *Dzieje Anglo-Saksonów*. — *Pomniejsze pisma historyczne*. — *Historia literatury poetycznej narodu niemieckiego*. — *Mission des Deutsch-katoliken*. — *Grundzüge der Historik*. — *Hinterlassene Schriften*. — Niewydana autobiografia. — Komedia hiszpańska Luiza Egilaza: *Una aventura di Tirso*. — Amerykanin Samuel Morse, wynalazca elektrycznych telegrafów. — *Rok straszny*: nowy tom poezyi Wiktora Hugo. — Wiersz do wnuczki chorój podczas oblężenia Paryża. — Poohowanie zwłok Alexandra Dumasa w *Villers Cauterets*. — Konferencye o Dumasię p. Lapomierage. — Dramaturg i powieściopisarz. — Powinowactwo ducha między Don Quissotem a Muszkietierami, wstęp do dramatu *Kaligula*. — Konkurs *Nestor Viquesnel*, ogłoszony przez Towarzystwo Etnograficzne paryzkie. — Nowe pytanie konkursowe: Bibliografia etnograficzna ludów słowiańskich. — Uroczystość w akademii Francuzkiej; mowy pp. Rousset i Haussonville. — Zawód literacki Prevost-Paradola. — Prace historyczne Kamila Rousset.

Mimo panującego rozdrażnienia w umysłach i ciężkiego żalu do Niemców, Francuzi uczą się pilnie ich języka, badają ich literaturę, tłumaczą ich utwory. W ostatnich czasach professor Mezieres wydał bardzo ważne studyum nad Goetem, wkrótce zdamy sprawę z téj publikaoyi równie jak ze świeżego dzieła p. Bourdoulou: *L'Allemagne contemporaine*; dziś za to wspomnimy o przekładzie ogromnego dzieła Gerwinusa p. t. *Historia XIX wieku, od czasu Traktatów wiedeńskich*; przekład ten rozpoczęty przed wojną, wykończony został obecnie przez p. Meissen profesora w Liceum Wersalskim. Dwa ostatnie tomy tylko co wyszły z druku. W oryginalne dzieło obejmuje ośm wielkich woluminów. Wydawca francuzki rozdzielił je na tomów dwadzieścia i dwa.

Krytyka niemiecka zajmuje się niemniej Gerwinusem z powodu wydanych świeżo w Wiedniu jego pism pośmiertnych: *Hinderlassene schriften*. Nad grobem sławnego profesora ledwie że zasypałym ziemią, brzmi głośna wrzawa publicystów i uczonych; w obec tak powszechnego zajęcia, czujemy się w obowiązku, poświęcić ustęp w kronice naszej jednemu z pierwszych krytyków i profesorów niemieckich bieżącego stulecia.

Gerwinus urodzony w Darmstacie w r. 1805, od najmłodszych lat z woli ojca, sposobił się do stanu kupieckiego. Odebrany ze szkół w czternastym roku życia, utrzymywał w sklepie rachunki. Znajomość handlu, jak uznają biografowie jego, bardzo mu była pożyteczną, uchroniła go bowiem od wielu wad w jakie wpadają zbyt abstrakcyjni uczeni niemieccy.

Wrodzony popęd pchał jednak młodzieńca w inną stronę. Krótkie lata przepędzone w szkołach, otworzyły przed nim świat wyższych pragnień, rozbudziły w nim ciekawość i niesłychaną miłość nauki. W chwilach wolnych od zajęć, czytywał z zapałem, pracował bez spoczynku. Wypadki zewnętrzne silnie go zajmowały. Pełen współczucia dla sprawy wyzwalających się Greków, wyuczył się nowo-greckiego języka. Podczas wojny hiszpańskiej za Ferdynanda VII, wyuczył się znów po hiszpańsku. Poznał niemniej język francuzki, włoski i angielski. Nad ostatnim z nich gorliwie pracował aby zbadać Szekspira woryginale.

Po czterech latach mozolnych zajęć sklepowych, poznał chciwy wiedzy młodzieniec, że miejsce jego nie za kantorem, ale na szkolnej ławie: porzucił więc sklep, a udał się na uniwersytet zrazu do Giessen, następnie do Heidelberga. Tam zastał profesora który ocenił go i niesłychany wpływ wywarł na przyszły jego zawód. Był nim historyk Schlosser. Gerwinus stał się naprzód gorliwym jego uczniem, potem współpracownikiem, nakoniec kontynuatorem jego prac historycznych.

Po ukończeniu nauk, wykładał w Uniwersytecie Hejdelberskim historią, jako *privat docent*. W roku 1830 wydał kurs swój p. t. *Dzieje Anglo-Saksonów*, w następnym zaś roku *poniejsze pisma historyczne*. W tém ostatniem dziele znajdujemy ważne studyum nad historią Aragonu w średnich wiekach, ze źródeł hiszpańskich, tudzież ciekawy obraz porównawczy historyografów florenckich, z apoteozą Machiawela. Pierwsze te próby świadczyły już o wysokości zdolności krytycznej i o gruntownej nauce.

Wydany wkrótce (1835) pierwszy tom *Historji literatury poetycznej narodu niemieckiego*, rozgłosił imię i ustalił sławę młodego autora. Dzieło to ukończone w siedm lat potem, obejmuje tomów pięć. Gerwinus wziął sobie za cel, uderzyć niemi silnie wyobraźnią ziomków, wykazać im jedność myśli i ducha, łączącą od wieków, wielką rodzinę ludów germańskich a tém samem przygotować umysły do przyszłej jedności politycznej.

Podczas gdy wykończył to ważne dzieło, powołany został na katedrę do Getyngi. Z zalem porzucił mistrza swego Schlosse-

ra; znalazł za to w Getyndze historyka Dahlmana i sławnego filologa Jakóba Grimma, z którymi zawiązał ścisłą przyjaźń, tём ściślejszą że wspólny cel przewodniczył ich pracom.

Krótko Gerwinus cieszył się nową katedrą. Król hanower-ski Ernest August, wstąpiwszy właśnie na tron, wydał manifest unieważniający konstytucję z 1833 roku. Uniwersytet Getyng-ski, silnie zaprotestował przeciw temu. Podpisało protestację siedmiu professorów, Gerwinus był w ich liczbie równie jak Grimm i Dahlman. Wydalony z kraju, udał się do Włoch a ztamąd do Hejdelberga, gdzie otrzymał stałą katedrę. Kurs jego niesły-chany budził zapal młodzieżą niemiecką.

Wówczas to nie poprzestając na głoszeniu naukowych teo-ryj, uczony professor wystąpił na polityczną widownię. Żarliwy promotor narodowości, chwycił się wszelkich środków by prę-dziej dojść do celu. Jednym z tych środków była dla niego religia, Wspólnie z Rungem pracował nad utworzeniem wyłącznego ko-ścioła katolickiego dla Niemców. W tym celu wydał broszurę pod tyt.: *Mission des Deutsch-Katoliken* (1845). Wkrótce jednak uznał się w błędzie i zaniechał tej propagandy.

W kilka lat potem skutkiem przewrotów politycznych w Eu-ropie, nastąpił pamiętny sejm Frankfurecki. Wzięli w nim udział pierwsi professorowie całych Niemiec. Gerwinus reprezentant pruskiej Saksonii, był jednym z najgorliwszych przewodników nowego ruchu. Ze skłonności umysłowej należał on do stron-nictwa demokratycznego, które w jego mniemaniu najlepiej odpo-wiadało potrzebom nowych Niemiec, to jest urzędzeniu się na prawach federacyi; lecz dla przewodniczenia temu stronnictwu, nie miał daru wymowy, a co więcej, jak sam utrzymywał, brakło mu sił fizycznych. W kilkanaście lat później mówił do przyja-ciela: „Na sejmie frankfurekim, czułem się pociągnięty ku de-mokratom, ale potrzeba było mieć głos donośny i powierzchowność szorstką, aby oddziałać na nich, mnie zaś niedostawało tego.“

Oddalił się niemniej od dawnych przyjaćiół politycznych, widząc, że im brak działalności i energii, że sami nie wiedzą gdzie idą. Wiedział Gerwinus dobrze gdzie iść potrzeba, ale mąż nauki, teoretyk, nie mógł odrazu stać się praktycznym polity-kiem. Ustąpił więc z pola bitwy, w chwili najzaciętszych za-pasów.

Z nowym zapalem powrócił do prac literackich. Tu w ży-ciu jego rozpoczyna się nowy okres przez lat dwadzieścia prawie bez spoczynku; wiedza jego, coraz to rozleglejsza, sąd coraz to dojrzałszy. Utworzył odtąd dwa wielkie dzieła, któremi unie-śmiertelnił imię swoje. Rozpoczął od badań nad Szekspirem, wydał je w czterech tomach. Nieraz już Szekspir rozbierany był w Niemczech, między innymi przez Lessynga, Herdera i Schlegla. Praca Gerwinusa przechodzi poprzednie gruntowno-

ścią i samodzielnością poglądu. Jest to prawdziwy pomnik zbudowany przez Niemców Szekspirowi.

Zabrał się potem do olbrzymiej pracy nad *Historią XIXgo wieku, od czasu Traktatów Wiedeńskich*. Dzieło to jest dopełnieniem pracy Schlossera, który jak wiadomo, swoją *Historię* wieku XVIII doprowadził do 1815 roku. Gdzie się zatrzymał mistrz, ztamtąd zaczyna uczeń. Gerwinus ogarnia przeciąg następnych lat piętnastu; kończy rzecz na rewolucyi paryzkiej, jak się wyraża: na *wielkim tygodniu lipcowym*. Opisuje też rewolucyą belgijską i wypadki zaszłe w tymże czasie, w innych krajach Europy.

Dwie odrębne szkoły historyczne, panowały w Niemczech w XVIII-tym i początkach XIX-tego wieku. Naczelnik jednej Ranko, utrzymywał że nauka historii nie powinna mieć żadnego związku z czasami bieżącymi. Sprawy epoki obecnej, wprowadzane w dzieła historyczne, ubliżają bowiem powadze historyka, tamują wolny rozwój jego myśli. Schlosser postawił wprost przeciwną zasadę. Idąc śladem Spittlera, twierdził on że historyk powinien oddawać na pożytek współczesnych, zdobyty skarb doświadczenia, i stać się politycznym ich doradcą. Przekonanie to podzielał w zupełności Gerwinus. Historyk, według niego, ma być piastunem nowych idei, przewodnikiem własnego narodu. Zgodnie z tą zasadą pisał on dla ziomków, pragnął oddziaływać na ich umysł.

W dawniejszém dziele p. t.: *Grundzüge der Historik* (1837) Gerwinus określając zasady i prawa nauki historycznej, widzi w niej dwa osobne rodzaje: *kronikę i pamiętnik*. Stósownie do tego dzieli historyków na dwie grupy. Jedni opowiadają wypadki, opisują szczegóły, odtwarzają świat jak się przedstawiał ich oczom: takimi byli logografowie Jonii, i kronikarze średnich wieków. Wierny ich pędzel zachwyca nas prostotą i prawdą obrazowania; ale nie żądajmy od nich nic więcej. Pogląd ich dobry, lecz wzrokiem nie sięgają daleko: patrzą na wypadki jak dzieci, jak lud, trzymają się powierzchni nie wnikając do gruntu rzeczy. Historycy grupy drugiej, porównywają fakta, wysświetlają główne charaktery; wnoszą się od przemijających objawów do praw stałych, od skutków zstępują do pierwszych przyczyn, nie zatrzymują się nad obrazem wypadków, ale przewidują ich następstwa i starają się rozwikłać tajemne pobudki czynów ludzkich. Są to umysły filozoficzne; tak pisali: Tucydydes, Machiawel i wielu innych. Do tej to kategorii należy sam Gerwinus. Tu źródło jego zalet i niedostatków. W historii XIX wieku, brak niekiedy barwy i życia; autor niekiedy maluje słowo, nie deklamuje wcale, fakta są dla niego tylko podstawą badań filozoficznych.

Wstęp do *Historji XIX wieku* wyszedł z druku w roku 1853. Byłto rzut oka na pochod europejskich społeczeństw od wieków średnich, przez cały ciąg nowożytnych dziejów. Autor przypisał

dzieło Schlosserowi. „Książka ta, mówi on, określa czasy zdrad i kłamstwa, kongresów i protokołów, nadziei i zawodów.“ Są to właśnie wyrazy, któremi Schlosser zakończył swoją historię XVIII wieku. Gerwinus oparł na nich, sąd o wieku następnym. Nad ważnem tém dziełem pracował wytrwale do roku 1866. Ówczesne wypadki wojenne, wytrąciły mu pióro z ręki. Polityka dała mu pochop do pracy, polityka odwróciła go od niej!

Gerwinus pragnął jedności Niemiec; czuł on że stan polityczny jaki istniał od czasów wiedeńskich traktatów, nie pozwoli rozwinąć się całej potędze państwa. Rozczłonkowanie wytliło siły ludów niemieckich, duch lokalny zbyt mocno rozwinięty, nie dawał zrozumieć ogólnego interesu, zabijał niejako ducha narodowego. Potrzeba więc było zcentralizować siły, wzmocnić państwo, bez naruszenia autonomii pojedynczych stanów. Taka centralizacja mogła dokonać się tylko przy zwierzchnictwie Austrii albo Prus; że jednak Austria nie zdołała doprowadzić do kresu jedności Germańskiej, wielu uczonych zwróciło oczy ku oszczędnym i porządnie uorganizowanym Prusom, przyjmując ich przewagę jako *malum necessarium*. Inni jednak powtarzali w duchu: *Germania sara da se*: Gerwinus do nich należał. Chciał on urzeczywistnić program sejmu frankfurckiego, uorganizować federacyą sprzężoną silnym węzłem jedności. Militarizm pruski przerażał go równie jak i wszystkich federalistów.

Łatwo pojąć z jaką boleścią patrzył na stan rzeczy od roku 1866. Bratnia wojna Prus z Austryą, przejmowała go zgrozą i wstrętem. Zniechęcony porzucił niedokończoną pracę nad historią XIX wieku. Po czterech latach głuchego milczenia, postanowił przerobić i wydać na nowo *Historję poezyi niemieckiej*. Było to już piąte wydanie. W listopadzie 1870 roku, ukazał się początek tej ważnej publikacji. W przedmowie ostrzega autor Niemców, o groźném na przyszłość niebezpieczeństwie, jeżeli zerwą z tradycyą literacką i polityczną, a dadzą się wciągnąć w pasmo wojen, i zamarzą o powszechnej monarchii. Nie znajdując odzwźwięku w umysłach ziomków upojonych zwycięstwem, odzywa się do pamięci Jakóba i Wilhelma Grimmów i historyka Dahlmana. „Gdyby ci żyli, woła z uniesieniem, myśl wasza wolną byłaby od szafu, jaki otumaniał umysły braci naszych.“ Ta przedmowa wyszła z druku po Sedanie i kapitulacyi Metz, w chwili największych tryumfów pruskich, podczas oblężenia Paryża. Był to skandal, nuta dysharmonijna w koncercie powszechnych uniesień, rozbudzonej pychy narodowej.

Rozpoczęto gwałtowną polemikę. Pierwszy wystąpił Dr. Karl Braun z Wiessbadenu. Wyrzuca gorzko autorowi, czemu nie pisze dalej historii? pyta, co mu daje prawo utrzymywać, że bracia Grimm i Dahlman, byłiby przeciwni polityce Bismarka? dlaczego powraca do przeszłości literackiej Niemiec, w czasach nieograniczonych nadziei narodu niemieckiego? Braun występuje kwaśno, dotkliwie, szydlerczo, w sposób niegodny uczonego. Po

Braunie dotkliwiej jeszcze odzywa się młody Grimm, syn Jakóba związanego długotrwałą przyjaźnią z Gerwinusem.

Gwałtowne te pociski stargały zdrowie niezmordowanego pracownika. Umarł 18 marca 1871 roku w Heidelbergu, gdzie spędził młodość i cały wiek dojrzały. Od lat kilku, to jest od czasów Sadowy, żył więcej w towarzystwie zmarłych niżeli żywych. Zszedł z drogi, którą szli współrodacy, a raczej oni ustąpili z dawnego toru, on zaś postępował wiernie wytkniętą raz koleją, został na niej samotny i opuszczony. Miał odwagę wypowiedzieć własne przekonanie, ogół nie przebaczył mu tego. Nie złomną siłę przekonania nazwano uporem, nawet odstępstwem; przyszłość zapewne odda mu sprawiedliwość.

W życiu prywatnem Gerwinus zachował całkiem odrębną postać; równie jak Schlosser przypominał greckiego stoika. Energetyczny, szorstki, zawarty w sobie miał charakter niezłomny, wolę nieugiętą. Unikał towarzystwa professorów Hejdelberskich, ztąd nazywano go dumnym i próżnym, oskarżano o zimny egoizm. Zarzucano mu także skłonność do paradoxów, lubił bowiem niekiedy upokarzać słabe umysły dowcipnym żartem, a często rzucał im tezę przechodzącą siłę ich rozumowania. Obracał w śmieszność manię tytułów i orderów, zabiegi o godność *Hofrata*, czego mu akademicy hejdelberscy przebaczyć dotąd nie mogą. Żył w towarzystwie kilku ledwie uczonych, młodzież za to chętnie garnął do siebie. Zapraszał niemniej artystów którzy odgrywali w jego domu klasyczne kwartety i oratoria.

Gerwinus kochał sztukę we wszystkich jej objawach. Trzy razy w ciągu życia odbywał podróż do Włoch. W muzyce ulubionym dlań mistrzem był Haendel, w poezyi Szekspir. Podczas kiedy zajmował katedrę w Getyndze, pojął tam w małżeństwo, osobę godną siebie pod względem umysłowego wykształcenia, która umiała ocenić go za życia, i dziś umie uszanować jego pamięć.

Staraniem wdowy wyszło niedawno w Wiedniu, ostatnie dzieło Gerwinusa: *Hinterlassene schriften*, mimo że przyjaciele odciągali ją silnie od tej publikacyi, aby nie mnożyć zmarłemu pozagrobowych przeciwników. Została po nim oprócz tego obszerna Autobiografia. Pamiętnik ten nie wyjdzie prędzej na świat, aż po śmierci pani Gerwinus.

Znany już czytelnikom naszym dramatyczny poeta hiszpański Egilas. Dawaliśmy po dwakroć obszerny rozbiór jego drama-tów: *Llave di oro i Grazalema*. Dziś chcemy ukazać inną stronę tego niepospolitego talentu i zobaczymy czem jest Egilas w komedyi. Z pomiędzy innych wybieramy komedję osnutą na tle historyczném p. t. *Una aventura de Tirso*. Głównym jej bohaterem słynny poeta hiszpański z XVII wieku, Tirso de Molina, bohaterką

poetka sewilska Felicyana de Guzman. Przedmiot nawet nie jest wymysłem: Egilas podjął go z tradycyji miejscowych.

Młoda, pełna talentu Felicyanna, zachwycała się w szczególności sposobem wierszami młodego Gabryela Tellez, który później tak znakomite zajął miejsce w literaturze hiszpańskiej jako poeta i dramaturg pod imieniem Tirso de Molina. Skoro go ujrzała po raz pierwszy, nie dziwnego że pod wpływem wyobraźni już tak oczarowanej, serce jej uderzyło nieznanem dotąd uczuciem. Zapragnęła poznać z bliska poetę; spotykała go nieraz, ale niestety, przedmiot jej zajęcia za innymi gonił ideałami! Nigdy Gabryel nie spojrzał na Felicyanę, rok płynął, a on zawsze posępny, ze spuszczoneym ku ziemi wzrokiem, nie spotkał nigdy tych pięknych oczu, które go bezustannie ścięgały. Nakoniec opuścił tę willę.

Felicyana dręczona tęsknotą, rozkołysana marzeniem wywroiła plan dziwny. Osierocona po rodzicach, niezależna, bogata nawet, przywdziewa męzki ubiór, i z zaufaną pokojówką równie jak ona przebrają, pospiesza do Salamanki gdzie ukochany jej odbywał nauki uniwersyteckie. Mając w ręku papiery zmarłego krewnego, Feliksa Guzman, pod jego imieniem zapisuje się na ucznia sławnej wszechnicy.

Od tej chwili w przeciągu dwóch lat, czyto na ławach szkolnych, czy w godzinach wypoczynku i zabawy, Feliks zawsze i wszędzie znajdował się przy boku Gabryela. Ten ostatni ponury zwykle i zamknięty w sobie, dał się nakoniec rozbroić, nieustannymi dowodami przyjaźni młodzieuchnego kolegi. Polubił go szczerze, z każdym dniem okazywał mu coraz to tkliwsze przywiązanie, aż przyszło w końcu do tego, że się weale z nim nie rozłączał. Wszystko było wspólne między nimi, i uciechy i troski i pieniądze. Tak ubiegło dwa lata.

Urok przyjaźni rozproszył pomału czarny smutek dręczący oddawna poetę. Felicyana doskonale odgrywa rolę studenta; co więcej, staje się prawdziwym Don Juanem. Znużony Feliks śmiały, roztrzępany, zawraca głowy wszystkim dziewczętom w Salamance. I Tirso rozbudzony żywością młodego przyjaciela, czasami też zwróci uwagę na jakąś ładną twarzyczkę, ale niech się tylko z tém wyda, natychmiast Feliks goni za tą pięknoscia, ogłasza się niewolnikiem jej wdzięków, otacza ją hołdami, wdycha pod jej balkonem, aż dopóki nie skruszy jej serca.

Tirso śmiejąc się wyrzuca przyjacielowi że mu wszędzie zachodzi drogę, a zawsze odnosi zwycięstwo.

— Rad nie rad, rzecze, muszę ci ustępować z placu, a gdy nie ustąpie walczysz ze mną na ostro. Wielki mnie bierzestrach, bo przy tobie próżne wszystkie moje zaloty!

— Ustąpie ci skoro się gniewasz, odpowie naiwnie Feliks. Ale nie sądz abym czynił na przekor. Alboż ja ścięgam je dla tego że się i tobie podobały? Co chcesz . . . mnie się wszystkie podobają! . . . słabość ludzka! . . . nie więcej.

— Ależ to słabość okrutna — rzecze Tirso — na którą tylko spojrzalem, tyś potrafił ją podbić!

I wylicza po imieniu wszystkie zdobycze Feliksa. Siedmi! przez jeden tylko miesiąc! Lecz Tirso nie zazdrości młodemu przyjacielowi łatwych jego tryumfów; obojętnem okiem patrzy on na wszystkie kobiety: serce jego zranione nigdy już nie pokocha.

A jednak szczególne wrażenie sprawiają na pocię listy, które od dwóch lat odbiera stale od jakiejś nieznajomej, listy pełne najgorętszych uczuć. Tirso odpisuje na nie, pragnie usilnie zobaczyć tę nieznajomą. Próżne zabiegi! Przychodzi wreszcie do wniosku że owa kobieta musi być potwornie szpetną, skoro tak ukrywa swoją postać.

Każdy łatwo odgadnie, że autorką listów nie był kto inny jak Felicyana. Ufa w dwuletnią przyjaźń, widząc przytęm żywe zajęcie, jakie budzą w Gabryelu owe tajemnicze listy, zamierza na koniec wyznać mu całą prawdę. Wtém nowe odkrycie uderza w jej serce jakby gromem. Gabryel w poufnej rozmowie z przyjacielem, wyjawia mu bolesną tajemnicę. Przed laty kilku pełnił on obowiązki sekretarza w domu znakomitego pana: pokochał jego córkę. Z pozoru mniemał iż i ona płaci mu wzajemnością; wkrótce jednak panienska oddała rękę bogatemu hrabiemu. W tymże dniu Tirso opuścił dom jej ojca. Odtąd nie widział jej na oczy, ale doznany zawód skłócił poetę z życiem i odebrał mu wiarę w przyszłość. Ztąd obojętność jego dla kobiet, ztąd zagniewanie na cały ród niewieści.

Młoda hrabina owdowiała: Tirso dowiaduje się o tём. Pamięć dawnych uczuć nie wygasła jeszcze w jego sercu; przy sposobności iskra łatwo wybuchnie w płomień.

Felicyana potajemnie stawia na kartę wszystko, aby wyjść z dręczącej niepewności.

— Zbliżę go oko z tą kobietą — mówi sama do siebie — albo na zawsze wróci do niej, lub też moim będzie na wieki.

Wywiaduje się ze piękną wdową zamieszkałą w bliskości Grenady, w napół zrujnowanym zameczku, że tam żyje samotnie, usunięta od świata, nie znana blizkim nawet sąsiadom.

Pod pozorem wycieczki, dla wypoczynku po dłuższej pracy umysłowej, Feliks przyprowadza Gabryela do Grenady, ztamtąd zaś w okolicę do wsi gdzie mieszka hrabina. Stanęli w gospodzie na nocleg. Nazajutrz rano, dwaj przyjaciele zasiadają do śniadania pod drzewami naprzeciwko zameczku.

Tirso nie wie bynajmniej kto w nim mieszka. Przychodzi do stołu z rozpromienionem czołem; otrzymał właśnie list od swojej nieznajomej. Felicyana raduje się w duszy, widzi bowiem, że tajemna korespondentka odnosi tryumf nad dawną miłością.

Ale gmach szczęścia, zbudowany w jej wyobraźni, runął odrazu. Tirso pewien jest, że autorką tych czułych listów, nie może być kto inny, tylko ubóstwiana niegdyś Dyanna. Bo i któżby je

pisał? On wprawdzie nie śmiał nigdy objawić jej swych uczuć, powstrzymywał go tytuł i majątek jej ojca, hrabiego Guewary, odbierało mu odwagę własne ubóstwo i podrzędne stanowisko, jakie zajmował w domu. Czuł jednak iż był panem jej serca. Dziś wolną jest, wdową; ojciec od lat kilku nie żyje. Znikła wszelka wątpliwość: to ona nie kto inny.

— Miałeś słuszną Feliksie — rzecze Tirso, — nigdy już nie rzucę klątwy na kobietę. Ból mój zamieni się wkrótce w wieczną radość!

Biada mi! — pomyśli w duchu Felicyana — i pocóż ja pisywałam te nieszczęśliwe listy!

Ukrywa jednak cierpienia i trwozę. Postanawia bądź co bądź przeprowadzić próbę do końca; zmieniając tylko takrykę w miarę zmieniających się okoliczności.

Dyanna wychowana prawie od dziecka pod jednym dachem z młodym poetą, sama nie wiedziała jak i kiedy, dziecinna zrazu przyjaźń zmieniła się w jej sercu w egzaltowane uczucie. Ale jakkolwiek nie tała miłości swój przed Gabryelem, nie zdołała nigdy wywołać z jego strony najmniejszej oznaki najmniejszego przywiązania. Uczucia jego wylewały się w pieśniach. Paniątka czytywała z zapalem piękne wiersze, umiała je na pamięć. Dla kogo on je tworzy? kto jest tym ideałem poety? zapytywała sama siebie. Czemuż on dla niej nie napisał nigdy ani słówka? Daremne jej zabieg! Próżno usiłowała zalotnością i sztuką wydobyc chociażby jedną piosenkę. Tirso milczał jakby zakłęty. Obrażona w dumie dziewczęcej, wzgardzona, odepchnięta w własnym mniemaniu przez niewdzięcznika, Dyanna uległa woli ojcowskiej i oddała rękę hrabiemu. Wkrótce została wdową. Nieuleczona z dawniej miłości, zagniewana, zrażona do całego rodu męzkiego, wiodła życie samotne, prawie pustelnicze.

Tego właśnie poranku wyszła na balkon smutna i zadumana. Serce jej nagle uderzyło, spostrzega bowiem uwiązana u okna wstążeczkę, ze znany jej dobrze napisem.

— To Gabryel! . . . , on tu być musi! . . . woła uradowana.

I rozkazuje sługom wynieść stół i zastawić śniadanie pod drzewem, za bramą zameczku.

Gdy wszystko przygotowano, pani domu wychodzi; spostrzega w małej odległości dwóch studentów, jedzących śniadanie pod drzewami.

To on!... — mówi do siebie Dyanna. — Przeczucie nie omyliło mnie. Oko jej połyska tajemną radością, lecz udaje że nikogo nie widzi.

To ona! czyżby te listy były od niej? — mówi w duchu Tirso, bardziej jeszcze uradowany i mocniej pomięszany, nie śmiejąc podnieść oczu.

O! jakże ona piękna! . . . pomyśli smutno Felicyana, jakże muszę być szpetną przy niej! . . . I czemuż go tu sprowadziłam?

Już nie pora się cofnąć. Zresztą potrzeba raz wyjść z dręczącej niepewności. Mniemany Feliks podnosi w górę głowę, nastraja minę śmiałą.

Obie strony oglądają na siebie ukradkiem: udają jakby wcale się nie widzieli.

— Czy ona spojrzała na mnie? — pyta Tirso z cicha Feliksa.

— Czy on też na mnie patrzy? — zagadnie Dyanna powiernicę.

Na przeczącą odpowiedź Tirso posądza Dyannę o pogardliwość, ta znów oburza się jego obojętnością.

— Ach! on niezdolny do wszelkiego uniesienia — mówi Dyanna?

— Może to nie ona pisywała te listy . . . — szepnie Gabryel.

— Najlepiej spytać, po prostu radzi Feliks . . . zbliż się . . .

— Nie śmiem!

— Więc ja pójdę w poselstwie.

I z kapeluszem w rękę przystępuje do Dyanny . . . odzywa się . . .; Dyanna udaje podziwienie . . .: sądziła że jest samą.

— Tak, pani jesteś samą — rzecze Feliks — kiedy słońce świeci, czyjeż oko dostrzeże gwiazdy?

Dalsza rozmowa pełna dowcipu. Feliks szafuje szczerze pochlebstwami; Dyanna odpowiada żartobliwie, ale zimne zachowanie Gabryela obraża ją i niepokoi.

Jakby mnie wcale nie widział! — mówi do siebie — to zakrawa na grubijaństwo . . ., nie rzecze słówka, nie poruszy się nawet. Mój Boże! czyżbym ja bardzo zbrzydła?

Pochlebstwa Feliksa zaspakajają miłość własną wdowy. Młodzian zaprasza ją w końcu na podróżne śniadanie, przeprasza za zbytnią śmiałość.

Dyanna upewnia ze swój strony, że ta właśnie śmiałość ma dla niej wielki urok, że nie przebacza tylko uchybień, przez nieśmiałość zbytnią popełnionych. Przyjmuje zaproszenie, ale że słońce coraz to mocniej pali, wzywa podróżnych pod dach swego zamku.

Akt drugi odbywa się w salonie Dyanny. Tirso i Feliks poszli do gościnnych pokojów, spędzić obyczajem hiszpańskim godzinę *siesty* czyli drzymki popołudniowej. Dyanna oblicza wrażenia doznane w poranku. Nagłe zjawienie Gabryela rozbudziło w jej sercu pamięć dawniej miłości, zatartą już cokolwiek. Obojętność poety a raczej jego nieśmiałość drażni boleśnie jej uczucia. Na domiar jeszcze, pokojówka hrabiny dowiaduje się w gospodzie, że Feliks a nie Tirso, zawiesił wstążkę u jej okna. A więc Gabryel nie dla niej tu przybył, nie wiedział że ją tu zastanie! Obrażona w dumie niewieściej, pragnie się pomścić: ale w jaki sposób? znalazła tylko jeden. Postanowiła przyjmować łaskawie hołdy, jakie składa jej młody towarzysz Gabryela. Łatwy to rodzaj zemsty, gotowa też obrać go bez wstępu. Feliks taki miły, taki układny i dowcipny, a do tego jeszcze taki śmiały! aż ochota bierze słuchać jego oświadczeń, czytać gorące uwielbienie w jego oczach. W samą porę schodzi ją piękny młodzian.

— Myślałam że pan śpi: — rzecze Dyanna.

— Ja miałbym spać? o pani! jakże źle czytasz w mo-
jém sercu!

FELIKS. Czém jest miłość, nie pamiętasz,
Lub ci obcą była może;
Znasz jej tylko elementarz:
Ja zasady ci wyłożę.

DYANNA. Pan . . . tak młody . . . dziecko prawie!

FELIKS. Miłość wzięła dziecka postać.

DYANNA. Więc mnie uczyć chcesz łaskawie?

FELIKS. Chcesz-li moim uczniem zostać?

DYANNA. Czyś doktorem?

FELIKS. Nie inaczej.

DYANNA. Do jakiegoż fakultetu
Liczysz miłość?

FELIKS. Miłość mieszczę
W fakultecie medycyny;
Gdzież jęj miejsce, jeśli nie tu?

DYANNA. Czy tak?

FELIKS. Pani to zobaczy,
Gdy pomówim chwilkę jeszcze.
Miłość straszną jest chorobą!
Iluż ślepnie z jęj przyczyny?

DYANNA. Ja to zdanie dzielę z tobą.
Jak ją leczyć?

FELIKS. Łatwa rada.
Hipokrates nam powiada,
Że klin trzeba wybić klinem.

DYANNA. Rada piękna!

FELIKS. Uczeń nowy
Hipokrata, jeśli słowy
Nie przekonam, stwierdzę czynem.

DYANNA. Zobaczymy to za chwilę.

FELIKS. A więc zaraz . . .

DYANNA. Tak, jam skora
Do nauki.

FELIKS. (*siadając obok nięj na sofie.*)
Szczęścia tyle!

DYANNA (*usuwając się.*)
Co? tak blisko!

FELIKS (*z komiczną powagą.*)
Zwyczajszkolny!
Zbyt daleko profesora,
Czyż skorzysta uczeń zdolny?

- DYANNA *(żywo).*
Do nauki!
- FELIKS. Tak, już pora!
(Chrzącha, na stronie).
Jak tu zacząć, wlażem w biedę!
- DYANNA *(niecierpliwie).*
Nie zaczniemy widzę wcale.
- FELIKS. Umiesz pani A, B, C, D?
- DYANNA Jak *Ojciec nasz* doskonale.
- FELIKS *(półgłosem).*
Minka dumna, ale wzdycha *(przybliża się),*
Potem . . . *(chce wziąć rękę Dyanny).*
- DYANNA. Proszę . . . odstęp dalej . . .
Panie mistrzu! . . .
- FELIKS *(na stronie).* Choć odpycha,
Lecz się gniewu jej nie trwożę.
- DYANNA *(na stronie).*
Śmiały chłopiec: im zuchwałej,
Tęm się pewniej w serce wśliska.
(głośno odzywając się):
Wszak mówiłam już, doktorze,
Taka przestrzeń nadto bliska.
- FELIKS *(zgrubiając głos).*
Uczennica przepomina
Względem mistrza czci powinnęj.
- DYANNA *(z uśmiechem).*
Wartam klapsa?
- FELIKS *(z powagą)* Być to może!
- DYANNA. Czy mnie czeka dyscyplina?
- FELIKS *(surowo).*
Strzeż się pani!
- DYANNA *(patrząc na niego).*
Wzrost dziecinny,
Bez mchu jeszcze broda gładka,
Lic niewiasta pozazdrości,
A na głowie doktoratka!
Jak to prawi o miłości!
- FELIKS *(przeciągając ręką po twarzy).*
Wszak starannie brodę gołę.
Zobacz pani bliżej nieco . . .
- DYANNA. O! wybornie . . .
- FELIKS. Ja tak wolę,
Bo urodę wąsy szpecą.
(przysuwa blisko twarz do twarzy Dyanny)

- DYANNA (*usuwając się*).
Widzę . . . wzrok mam doskonały.
Nie dotykać proszę twarzy!
- FELIKS (*z komiczną powagą*).
Uczeń jakoś nazbyt śmiały,
Professora za nie waży.
- DYANNA (*łagodnie*).
Mistrz się gniewa, to nie pięknie!
- FELIKS (*surowo*).
Tak, jam pełen słusznej grozy.
- DYANNA.
Uczeń gniewu się nie zleknie.
- FELIKS.
Trzeba ucznia wziąć do kozy:
Czy jest koza w pani domu?
- DYANNA.
Wcale niema.
- FELIKS.
Ja zaradzę . . .
Zamknę panią pokryjomu,
Professorską wszak mam władzę!
- DYANNA.
Gdzie mnie zamkniesz?
- FELIKS (*z zapalem kładąc rękę na piersi*).
Tutaj, na dno
Mego serca!
- DYANNA.
O! to zdradno!
Mamże sama mój doktorze
Gdzieś w kryjówce żyć nieznaną?
Albo rygle wnet otworzę,
Lub więzienne skruszę ściany.
Daje siłę gniew niewieści!
- FELIKS.
Możesz śmiało tam pozostać (*zbliża się*).
W tém więzieniu już się mieści
Postać jedna . . .
- DYANNA.
Czyja postać?
- FELIKS.
Twoja własna.
- DYANNA.
Odkąd proszę?
- FELIKS.
Od poznania pierwszej chwili
Ja cię w sercu mojem noszę.
- DYANNA.
Miejże litość mistrzu młody,
Jakaż zemsty twój przyczyna?
W czymże, powiedz, moja wina?
- FELIKS (*surowo*).
Twój professor się nie myli.
Wyrządziłaś wielkie szkody;
Ukarałem słusznie za to.
Tyś zabiła moje serce,
Sąd wymaga by mordercę,
Za więzienną trzymać kratą.

- DYANNA (*z przymileniem*).
Lecz dla więźnia tyś nie srogi?
- FELIKS. Łagodniejszy niż przystało.
- DYANNA. Więc mi powiedz mistrzu drogi,
Bez ogródki wyznaj śmiało,
Któż do nauk ciężkich z młodu
Nagiął umysł twój dziecinny?
- FELIKS. To poetka z mego rodu,
Felicyanna! . . . któżby inny?
Wśród sewilskich wieszczów grona
Ona miejsce trzyma pićrwsze.
- DYANNA. Ty żartujesz . . . a więc ona
Choć kobiéta, tworzy wiersze?
Cóż niewieście po tój sławie?
Ją, mężczyznę zwaćby prawie?
- FELIKS (*tonem lekkim*).
Ej nie prawie . . . każdy przyzna,
Że zupełny z niéj mężczyzna,
Ja i ona my jak jedno!
- DYANNA. Więc tak biegła w swojej sztuce?
- FELIKS. Bardzo biegła ależ biedną
Tak szalenie miłośó pęta,
Gdzie ja tylko się obróćę,
Wciąż mnie śeiga jak zaklęta.
- DYANNA. Więc tak bardzo kocha pana?
- FELIKS (*dobitnie*).
Choć odpycham, niéma rady:
Dziwnieź ona zakochana,
Goni za mną jak cień blady.
Nie postąpię sam ni kroku:
Ona zawsze przy mym boku.
- DYANNA. Czyż cię sidła te nie schwyca?
Alboż serce twe ze stali?
- FELIKS. Piękna moja uczennico
Do nauki! . . . idźmy dalej . . .
- DYANNA. Tak, doktorze, jam gotowa.
- FELIKS. I odpowiesz na pytanie?
- DYANNA. Mnie tak bawią twoje słowa!
- FELIKS (*na stronie*).
Nie źle idzie na początek . . .
(*głośno*).
Bacžnoś proszę!
- DYANNA. Mówże panie!

- FELIKS. Dobrze . . . snujmy dalszy wątek.
(*z powagą*).
Gdy młodzieniec cię zagałdnie,
Moich zalet i talentu,
Co w twém sercu leży na dnie?
Czy pogładasz nań bez wstrętu?
Jak odpowiesz na te słowa?
- DYANNA (*śmiejąc się*).
To nauka dla mnie nowa.
Oświeć panie profesorze!
- FELIKS. Tu, odpowiedź zostać może
Utajona w duszy skrycie,
Tak nauczał mistrz w Kazalla
I w Kadyksie i w Madrycie.
- DYANNA. Jakto, milczéć?
- FELIKS. Wszak przyzwala
Ten kto mileczy.
- DYANNA. Bez wątpienia.
- FELIKS. Proszę słuhać . . .
(*z zapalem*). Kocham panią!
(*po pauzie na stronie*).
Radość wzrok jéj rozpromienia,
Mileczy!
(*zbliża się i całuje ją w rękę*).
- DYANNA. Zwolna!
- FELIKS (*na stronie*). Rękę za nią.
Gniów coś wcale jej nie w myśli,
Ni pogarda!
- DYANNA (*niespokojnie*). Kogoś słyszę!
- FELIKS (*z udanym gniewem*).
Gdy professor plany krésli,
Kto śmie macie błogą ciszę?
- DYANNA. Cyt . . .
- FELIKS. Ach! ileż słów tysięcy
Dopowiedziéć miałbym jeszcze!
- DYANNA (*zartobliwie*).
To zabawka i nie więcéj . . .
- FELIKS. Myśl i serce ja nią pieszczę!
- DYANNA. Gwarzyliśmy istne dzieci . . .
- FELIKS. Tak się bawią dzieci duże.
Lecz się lepiéj rzecz wyświéci,
Kiedy wykład mój powtórzę.

DYANNA (na stronie).
Miły chłopiec, z okiem śmiałem!

FELIKS (na stronie).
Przewybornie, tego chciałem!

Nadejście Gabryela przerywa dalszą lekcję.

Przy tém wszystkiém Feliks nie tracił czasu. Przez kilka godzin pobytu swego w zamku hrabiny, pozabierał mnóstwo znajomości, a podchwyceniem tajemnych afektów starego marszałka dworu, pozyskał sobie w nim i w jego narzeczonej wiernych, bo interesowanych sprzymierzeńców.

Otóż zaledwie Tirso wszedł do salonu, marszałek wyuczony naprzód swojej roli, wpada z doniesieniem, że jakaś piękna pani wypytuje się natarczywie o Feliksa, i rozpacza i płacze.

Feliks wybiega żywo naprzeciw nięj. Dyanna widocznie zaniepokojona. Tirso trwoży się tym niepokojem, snać przykro mu że młody uczeń zbyt żywo ją zajmuje. Stary dworak opowiada długo o wdziękach i uniesieniach pięknej podróżnej, która mieni się być krewną Feliksa. Podobni do siebie, dodaje, istne dwie krople wody: rzekłbyś Don Feliks w spódniocy.

— Musi być bardzo piękna, odrzeczce Dyanna z westchnieniem.

I posyła starego sługę na zwiady kto jest ta kobieta, i o czém z sobą rozmawiają.

Dyana i Tirso po raz pierwszy zostają wreszcie sam na sam. Rozmowa zaczyna się od przymówek i złośliwych pocisków, zwolna przechodzi w coraz dobitniejsze wyrzuty, kończy się wyznaniem gorącej miłości ze strony Gabryela, i jak łatwo zgadnąć złagodnieniem gniewu Dyanny, skoro się dowiaduje że była i jest wiernie kochaną.

Lecz zaledwie usta jój wyrzekły pierwsze słowa zgody, nagle powstaje za drzwiami głośnie wrzawa. Z hałasem, zamaszysto wpada do sali młoda nieznajoma. Jest to krewna Feliksa, Felicynna de Guzman, podobna zupełnie do niego. Przystępując próg łaje marszałka że nie chciał jój dopuścić. Wzburzona cała przebiega salę wzdłuż i poprzecz, krzyczy na głos, woła aby oddano jój krewnego. Wié że on przebywa w tym zamku, że hrabina uwikłała go w sieci. Wszystkie kobiety chcą jej wydrzeć Feliksa! Unosi się, płacze, tupie nogami z gniewu. Obecni zdumieni, skandal niesłychany.

— Wiem ja, zawołała nakoniec Felicynna, kto najwięcej nabroił złego... ha! nie ujdzie on mojej zemsty! Feliks niewinny był jak dziecko. I któż go popsuł? kto na złą wprowadził go drogę? Oto ów wierszokleta, co go zowią Tirso de Molina! To zdrajca, to obłudnik! ze swoją nieśmiałą miłą, więcej on zgubił kobiet, niżby kto naliczył ziarn piasku na dnie morza!

I powtarza cały szereg imion, które niedawno wymienił Gabryel, w żartobliwej rozmowie z Feliksem. Zmieszany poeta, przerywa co chwila, próżno nakazuje milczenie. Dyanna odsuwa się zgniewem: Felicjanna biada, tupie, ponawia skargi. Biedny Tirso stoi jak w ziemię wryty, nie śmie oczu podnieść na hrabinę.

— Zapomnij pan żeś mnie znał kiedykolwiek, zawoła Dyanna, patrząc na poetę wzrokiem oburzenia i pogardy.

I wybiega z pokoju.

Tirso w rozpaczy, zwraca się z wyrzutami ku sprawczyni swego nieszczęścia.

— I cóż to pana obchodzi? — spyta Felicjanna — kto jesteś. . . , mów?

— Jestem Tirso de Molina!

— Ha! skoro tak, popełniłam uczynek miłosierny, uwolniłam tę piękną panią z twoich sideł. Godziż się aby ta biedaczka wycierpiała tyle jak tamta, co w Sewilli umiera dla ciebie!

I ozuajmia że jest Felicjanną Gusman, słynną poetką Sewilską, a przyjaciółką od serca młodej panienki śmiertelnie zakochanej w poecie Tirso de Molina. Owa to przyjaciółka pisuje do niego bezimienne a najtkliwsze listy.

— A więc to nie Dyanna! — zawoła Tirso — powiedz, kto ona? zaklinam cię!

I poeta wyznaje, że jeśli wrócił do przedmiotu dawnej miłości, to tylko w mniemaniu że Dyanna jest ową tajemniczą korespondentką. Ta ostatnia panuje wyłącznie w jego sercu. I z najgorętszym zapałem błaga poetkę o uchylenie tajemnej zasłony.

Felicjanna w uniesieniu szczęścia, sama nie wie co odpowiedzieć.

— Przez litość mów pani! — zawoła Tirso.

— A hrabina? — pyta Felicjanna.

— Już o niej ani myślę!

A zresztą Dyanna nie bez winy: albowiem się nie zajęła Feliksem? Nakoniec Felicjanna kładzie za warunek, aby Tirso sprowadził jej młodego towarzysza; wtedy ona odkryje mu w zamian całą prawdę. Mają się zejść w gospodzie wiejskiej, Tirso wybiega jak szalony, przyrzeka wynaleźć Feliksa.

Felicjanna nie posiada się z radości. W najwyższym uniesieniu wylewa uczucia swoje na łono wiernej towarzyszki, która w teje chwili nadbiegła. Ta napróżno usiłuje przyprowadzić ją do rozwagi; poetka nie chce o niczem słyszeć.

Milcz! z radości jam szalona,
Świat mi nowy błysł przed okiem.
Niech wyrzucę z głębi łona
Szczęście moje słów potokiem.
Niech posłyszają je te ściany,
Kwiaty w polu, drzewa w lesie,
Niech daleko je poniesie
Z rosą wietrzyk rozpląsany.

I w milczeniu gdy noc głucha
Cień roztoczy nad obszarem,
Niech powrócą mi do ucha
I zabiją szczęścia czarem!

Zniknięcie Feliksa niepokoi Dyannę. Marszałek dworu w dalszym ciągu tej roli, pokazuje hrabinie list, który jak mówi, Don Feliks kazał wręczyć owęj dziwnęj panience.

„Uciekam ztąd kuzynko moja — pisze Feliks — idę szukać śmierci, bo szczęście moje utopilem w oczach Dyanny, a miłość jej osiągnął Tirso! żyć mi bez nadziei niepodobna!“

Miałażby Dyanna wahać się pomiędzy sercem tak niewinnym, a sercem przeniwiercy? Potrzeba natychmiast szukać biednego młodziana, uprzędzić katastrofę, a zarazem pomścić się nad wiarołomnym!

Tirso ze swęj strony nie mogąc wynaleźć Feliksa, przekonany że Dyanna ukrywa go tajemnie, robi jęj w oczy gorzkie wyrzuty. Ona również wyrzuca mu zdradę. Przychodzi do żywej sprzeczki, do gwałtownych wyrażęń. Tu nadbiega Feliks w ubraniu studenta, słyzy ostre słowa poety, ujmuje się nad znieważoną Dyanną.

— Skarcę tego śmiałka, co ubliża kobiecie! — woła z uniesieniem i porywa za szpadę. Tirso dobywa niemniej oręż z pochwy. Już ma przyjść do walki, lecz obecni rozbrajają zaciętych. Felicjanna drży z trwogi, ale udaje zucha. Dyanna zachwycona mężstwem i poświęceniem wielbiciela swego, płaci mu czułym uściskiem ręki.

— Nie daruję mu tego! — woła Feliks — rozprawimy się później.

— Czekam na ciebie — jeżeliś tak odważny — rzecze Tirso i wychodzi z pokoju.

— Odetchnęłam! — szepcze na stronie Felicjanna. Tchórz! woła wstrząsając pięścią, kiedy przeciwnik już za drzwiami.

Hrabina powstrzymuje całą siłą rozszalonego młodzieńca, zaklina by pozostał dla jęj miłości. Feliks ścisną ją w objęciach i wybiega jak strzała. Przerażona Dyanna pada pół omdlała na krzesło.

Trzeci akt odbywa się w gospodzie wiejskiej. Hrabina przybywa tu szukając Feliksa; bądź co bądź musi powstrzymać pojedynkę. Feliks ukazuje się wkrótce. W gorących i poetycznych słowach maluje swoją ku nięj miłość. Dyanna oczarowana wyznaje że kocha go nawzajem.

— Kochasz mnie! — zawoła Feliks — a więc przysięgnij mi że nigdy tych słów nie wyrzekniesz do Gabryela!

Dyanna przysięga energicznie. Wymaga za to aby Feliks powrócił z nią do zamku.

— Nie mogę! — rzecze jednak z komiczną powagą; — muszę się bić: my mężczyźni na to stworzeni! kto unika pojedynku, uważany za tchórze!

I wydziera się z rąk zrozpaczonej kochanki; wbiega do przybocznego pokoju.

Dyanna stoi osłupiona. Co tu czynić? jak zatrzymać krwi rozlew? Spostrzega wreszcie klucz w drzwiach. Zamknie Feliksa, tymczasem zawiadomi policyę.

Ledwie że to spełniła, wchodzi Tirso. I on goni w ślady za Feliksem. Dyanna korzysta ze spotkania; pragnie okazać mu dumną pogardę.

— Zasłużyłam — rzecze — na to co mnie spotyka, bo zapomniałam kto jestem a kim pan jesteś!

— Jakto? — zawoła zdziwiony Tirso — sądzisz pani że możesz mnie poniżyć?

DYANNA (*dumnie*).

Z szlchetnego jestem domu.

TIRSO. I ja także.

DYANNA. Jam hrabina!

TIRSO (*z uśmiechem pogardliwym*).

Tylko tyle!

DYANNA. Czyż to mało?

TIRSO (*z dumą*).

A jam Tirso de Molina!

DYANNA. Tak się pysznić jestże komu?

TIRSO. Nam na równi iść przystało;
Pani złotą masz koronę,
Ja mam wieniec wawrzynowy!

DYANNA (*z pogardą*).

Równi! słowa to szalone!
Chciej tę równość wybić z głowy.
Mego rodu byleś sługą,
Me pradiady szlachta stara,
W parze ze mną iść daremnie,
Zapominasz . . . jam Guewara!

TIRSO (*z szlchetną dumą podnosząc głowę do góry*).

A ja jestem ja! . . . odemnie
Mój rodowód się zaczyna;
Lecz zaświeci on niedługo,
Moich zasług skąpan chrzestem,
Z czią podejmie go rodzina . . .

DYANNA (*sztyderczo*).

Któż pan jesteś?

TIRSO.

Ja nie jestem,
Ale będę! To co było
Niczem dla mnie, w nową drogę
Pójdę nową party siłą,

W obec tego czém być mogę
 Jestem niczém! Ty od młodu
 Zacność ojców wzięłaś w darze,
 Jam zaś piérwszy z mego rodu;
 Przeto więcéj cześć mą ważę.
 Myśl, żem w prostym zrodzon tłumie
 Nie zapłoni mi oblicza,
 Bo kto imię zdobyć umie,
 Ten cudzego nie pożyczca.

Dyanna coraz bardziej rozgniewana dumą Gabryela rani go coraz dotkliwzszymi przycinkami. Dla kaprysu tylko, jak mówi, zniżyła się do niego. Teraz wraca na właściwe sobie stanowisko.

Tirso dotknięty do żywego, oznajmia jéj że kocha szalenie kobietę, która przez dwa lata pisywała do niego najtkliwsze listy.

— Jeżeli — rzecze — zbliżyłem się znowu do pani, to tylko w mniemaniu że od ciebie te listy pochodziły.

Hrabina oświadcza, że dawna jéj miłość była pustą igraszką, dziecinnym żartem, niezem więcéj. Jeżeli zaś przyjęła go znowu w domu swoim, to jedynie przez wzgląd na Feliksa, który prawdziwie jéj się podobał.

Nie obchodzi to już Gabryela. Pogardliwa hrabina może kochać kogo chce, tamtéj dusza tak piękna, mniejsza o to choćby oblicze jéj było szpetném. On będzie z nią szczęśliwy. Ale czemu Felicjanna tak długo nie nadchodzi? ona mu i tak nie powie o nieznajoméj, dopóki nie wróci jéj krewnego! Ja Feliksa jak nie ma tak nie ma! Gdzież on jest? ukrywał się z bojaźni? .. on taki zuch! .. nie, to być nie może! Zresztą czyż nie wierzy w przyjaźń Gabryela? czyż nie wie że oręż wypadłby z jego ręki, gdyby miało przyjść do rozprawy?

Felicjanna zamknięta na klucz przez hrabinę, wynalazła wyjście do przyległej izdebki; ztamtąd są drzwi do sali w której Tirso дума o nieznajoméj kochance. Temi drzwiami wchodzi poetka w przebraniu wieśniaczki, z twarzą napół zasłoniętą: niesie w ręku kosz kwiatów woskowych na sprzedaż. Gabryel wsłuchuje się w jéj głos, on mu nie obcy . . . może to jego nieznajoma! . . . Chciałby ujrzeć jéj rysy . . . przekupka kwiatów zbywa go zarcikami . . . Może to Felicjanna! . . . Tirso błaga niech powie kim jest! od tego zależy jego przyszłość i szczęście. Kwiciarka przyznaje nakoniec, że służy u fabrykantki kwiatów woskowych, że pani jéj zakochana w jakimś poecie, pisuje do niego ciągłe listy.

— Mówże mi o niéj! — zawoła Tirso z uniesieniem; — żądaj co chcesz a wszystko uczynię dla ciebie!

— Z miłości dla niego — dodaje dziewczyna — pani moja opuściła dom ojcowski, żyje z pracy rąk własnych! ona umrze jeśli nie skruszy jego serca!

— I ja kocham ją nad życie! gdzież ona? powiedz prędko?

— Ona biedna, niskiego stanu . . . i . . . szpetnej urody.

— Kocham ją . . . wielbię taką jaką jest! na Boga! niech ją ujrze!

— Zobaczysz ją niedługo — rzecze Felicyanna — ukrywając swą radość.

Wchodzi hrabina; prowadzi za sobą alguazilów.

— Dwóch ludzi chce się bić z sobą rzecze Dyanna, zamknęłam z nich jednego . . . pochwyćcie go natychmiast, tym sposobem przerwie się pojedynek. Więźnia odstawcie do mego zamku.

I podaje klucz starszemu z alguazilów, ten wchodzi do przyległej izdebki, Dyanna tryumfuje pewna zwycięstwa. Po chwili wraca alguazil, nikogo nie znalazł w izdebce.

— Uciekł! . . . będą się bić! Dyanna w rozpaczy . . . ale jest sposób! uwięzić przeciwnika!

— Biercie tego! — woła Dyanna ukazując poetę.

Felicyanna zasłania go sobą.

— Tego nie weźmiecie — zawoła energicznie, — lecz jeśli wam chodzi o Feliksa, ja wam go dam natychmiast.

— Gdzież on jest?

— Idę po niego — rzecze Felicyanna zwracając się ku drzwiom izdebki.

— Ależ tam byli alguazile i nikogo tam nie znaleźli.

— Ja go znajdę . . . trzymam go pod zakłębem.

Wchodzi do izdebki, wszyscy czekają w osłupieniu. Wiśniacy zbiegli się tłumnie. . . , oblegli gospodę: drżą na myśl czarów. . . , to jakaś cyganka, jakaś wiedźma, to pachnie inkwizycją.

Otwierają się drzwi: wchodzi Felicyanna w zwykłym kobiecym ubraniu, z odsłoniętą twarzą; w ręku niesie studencką odzież.

— Chcecie — rzecze — biednego Feliksa, oto wszystko co z niego pozostało!

I podnosi odzież do góry, a potem upuszcza ją na ziemię.

— Co to jest? — wołają wszyscy.

— Sewilska poetka — rzecze zapłoniona Dyanna.

— Tak jest, Felicyanna i Feliks, krewna i krewny, w jednej osobie razem. — Czym ja tak bardzo szpetna? zagadnio z cicha poetę.

Tirso zachwycony pojął wszystko, zrozumiał miłość i ofiarę poetki.

— Moja panno — zawoła hrabina z gniewem — nie zbyt to zaszczytnie dla jej sławy, tak się włóczyć po świecie.

— Przedstawiam pani małżonkę moją — rzecze z godnością Tirso, biorąc rękę Felicyanny. — Zasłona spada.

We wszystkich komediach Egilasa, widzimy równe życie, równą stronę komiczną. Nie znaleź u niego próżnej sceny, w każdej prosty, nienaciągnięty, efekt. Wyprowadził on na deski teatralne wszystkich niemal dawnych poetów hiszpańskich, czyniąc ich bohaterami swych dramatów i komedyj.

Wciagu ubiegłego miesiąca umarł w Nowym Jorku jeden z tych ludzi, których imię będzie po wszystkie czasy, chlubą XIX-go stulecia. Mowimy tu o sławnym Amerykaninie Samuelu Morse, wynalazcy telegraficznego systematu, przyjętego dziś w całej Europie. Paryż znał dobrze Morsa, który przebywał tu czas długi. Był to ośmdziesięcio letni starzec, z długą białą brodą, z łagodnem okiem, z powagą wyrytą na obliczu, pełen słodyczy i dobroci. W dzisiejszych czasach, kiedy materyalny rozwój cywilizacyi, tak zabija stronę życia poetyczną, tak zciera z jednostek piętno indywidualizmu, znacząc dzieci wieku jednakim niemal stępem; w dzisiejszych czasach tak zimnych i prozaicznych, kiedy społeczeństwo zamienia się pomalą w wielką machinę a ludzie w kółka, kółeczka i śrubki utrzymujące ją w ciągłym ruchu, nie jestże to rzeczą godną zastanowienia, że człowiek który wynalazkiem swoim tak silnie poparł praktyczny kierunek, należy jednak do najpoetyczniejszych osobistości tegoczesnych. Morse stanie się kiedyś bez wątpienia legendową postacią, bohaterem przyszłych powieści i dramatów. Zaświeci on na tle XIX-go wieku, jak na tle XV-go świeci Kopernik i Krysztof Kolumb.

Rzućmy okiem na życie tego człowieka, tak bogate, tak pełne, a co się rzadko zdarza wynalazcom nowych pomysłów, nagrodzone za życia tak sowiecie.

Samuel Morse urodził się w południowych Stanach Zjednoczonych, w Charlestown, roku 1791. Ukończywszy nauki szkolne oddał się z zapałem malarstwu i dla ukształcenia wyższego oddał się w sztuce popłynął do Anglii. Obrazy młodego artysty zajęły uwagę na wystawach Akademii królewskiej. Wrócił w lat kilka potem do Ameryki, zamieszkał najprzód w Bostonie, potem w Hampshire, nakoniec w Nowym Jorku. Ztamąd przedsięwziął nową podróż do Europy w roku 1829. Wracając do kraju po trzech latach oddalenia, kiedy dnia jednego rozmawiając na pokładzie z towarzyszami żeglugi, powziął nagle myśl, zastosowania siły elektrycznej do telegrafu. Nie tracąc czasu, w ciągu tej pamiętnej przeprawy nakreślił dokładny plan przyrządu swego. W Nowym-Jorku wykonał model, i złożył go natychmiast w tamecznym Uniwersytecie. Upłynęło lat kilka, zaczęł otrzymał patent swobody: nastąpiło to dopiero w roku 1837. W tymże samym czasie Wheatsten w Anglii a Steinhal w Bawaryi wynaleźli inne wzory telegrafów, żaden z nich jednak nie mógł iść w porównanie z przy-

rzędem Morsa. Ameryka zastosowała go pierwsza w roku 1844. Za przykładem jej poszły wkrótce kraje niemieckie i Francya; systemat telegrafii elektrycznej upowszechnił się niebawem w całej Europie. Wielkie państwa na dowód wdzięczności i uznania, za wspólnem porozumieniem przeznaczyły wynalazcy 50000 franków dożywotnej pensyi.

Morse był nie tylko człowiekiem twórczego geniuszu, był on nie mniej człowiekiem wielkiego serca. Ciekawy rys z jego życia daje go poznać w zupełności. Jako członek rady wychowania głuchoniemych, odwiedzał często zakład ich w Nowym-Yorku. Razu jednego w gronie wychowanek spostrzegł młodą panienkę. Uderzyła go niepospolitą urodą, a bardziej jeszcze smutkiem rozlanym na obliczu. Biedna głuchoniema cierpiała nad upośledzeniem swoim. Pan Morse owdowiały od lat kilku, uczuł ku niej niewysłowiony pociąg.

Wyuczył się mowy głuchoniemych, zbliżył do pauienki i spytał po prostu.

— Czy chcesz być żoną moją?

— Nigdy. . . ., nigdy! — odrzekła — ofiara to zbyt wielka, nie mogę na nią przystać. Istota jak ja nieszczęśliwa, pozbawiona słuchu i mowy, byłaby zbyt smutną towarzyszką.

Morse nalegał. Pokochał on całym sercem zajmującą panienkę. Nieszczęście jej, tém silniej go przywiązywało.

— Ja cię wyleczę — mówił do niej — ja ci powrócę słuch i mowę, nie zabraknie mi cierpliwości, a człowiek cierpliwy wiele dokonać może.

Głuchoniema pokochała też opiekuna swego, zniewolona gorącą prośbą, oddała mu nakoniec rękę.

Małżeństwo odbyło się w kaplicy instytutu, w obec milczących towarzyszków i towarzyszek z całej szkoły. Zajmująca to była uroczystość. Morse nie był jeszcze sławnym wynalazcą elektrycznego telegrafu, ale dał się już poznać światu jako niepospolity malarz.

Przyjaciele zzymali się na tak dziwny pomysł. — Godzić się — mówili — poślubić głuchoniemą? ten człowiek stracił rozum!

Morse nie uważał na to. Natychmiast po ślubie zabrał młodzieuchną żonę i wyjechał z nią na wieś. Zerwawszy zupełnie stosunki ze światem poświęcił się wyłącznie dla niej. Wierzył on w moc nauki, przekonany był że istnieją w naturze potężne siły, których ludzie dotąd użyć nie umieją. Zagrzebany w książkach i w myślach własnych, badał szczególniej własności siły elektromagnetycznej. Po trzechletnich próbach i doświadczeniach, powtarzanych z niezmordowaną cierpliwością, usta poczęły wreszcie rozwiązywać się głuchoniemą, ucho jej zaczęło chwycić dźwięki, przyszło nakoniec do tego, że z dawnego kalectwa, pozostał jej tylko słuch nieco przytępiony, i maleńkie jękanie.

Miłość żony była dla Morsa pobudką do zbadania siły elektrycznej. Zastosowanie téjże siły obdarzyło świat nowym telegrafem i stało się chwałą XIX-go wieku!

Od dawna już któryś z myślicieli powiedział: geniusz to cierpliwość. Jakże wymownie słuszność téj definicyi, udowodnił sławny amerykański wynalazca.

W chwili gdy piszemy tę kronikę, jakby nowa bomba upadła na Paryż. Wszystkie dzienniki wykrzyknęły chórem: „Wiktor Hugo wydał nowy tom poezyi, książka ukaze się jutro!“ Tytuł jej: *l'année Terrible; Rok straszny*.

Autor zachował w tajemnicy gotującą się publikacyę, dlatego zapewne by silniej uderzyć nią umysły. Snadno pojąć jak poruszyła Paryż wiadomość tak nagła i niespodziewana. Jeszcze książka nie wyszła na świat, a już krytycy jęli ją chłostać ostrém, maczaném w żółci piórem. Poważniejsi z nich nawet, jak Ludwik Ratisbonne, składając na Viktora Hugo poetę, winę Viktora Hugo męża stanu, nie umieli powstrzymać się od złośliwych domysłów. „Jeżeli — mówi krytyk — książka będzie wiernym obrazem historii ojczyzny, ujrzymy karty jej zbroczone krwią i łzami. Będą tam piękne wiersze, bo poeta nieporównanym jest kowalem brzmiących rymów, ale czyż znajdziemy tam choćby okruszynę téj mądrości i tego zdrowego rozsądku, bez których najgenialniejsze nawet dzieło skazane na zatracenie. Wątpimy o tém. Gdyby przynajmniej wielki mistrz słowa, jedynie w poezyi pozwalając sobie majaczyć gorączkowo! na nieszczęście był on nie tylko naczelnikiem wielkiej szkoły literackiej, która wydała tyle słynnych dzieł, wystąpił on także jako przewodca romantycznej szkoły w polityce, szkoły która fantastyczne mrzonki wyobraźni, wprowadziła w sprawę ziemskiego świata.“

Tak się wyraził zdolny publicysta. Nie powtarzamy tu innych sądów daleko gwałtowniejszych niż sąd pana Ratisbonna, a oparłych tylko na domyśle.

Książka pojawiła się u księgarzy: w dniu jednym rozerwano cały nakład. My otrzymaliśmy ją nazajutrz w drugiem wydaniu. Jestto obszerny tom, złożony z obrazów, zamieszczonych porządkiem chronologicznym, w rodzaju *Legendy wieków*: są tu i liryczne pieśni, w których poeta wylewa z duszy gorzką boleść. . . . Zdumiliśmy się na sam widok tomu, obejmującego czterysta przeszło stronnic. Gdzie mógł Wiktor Hugo zająć jak wiadomo publiczną sprawą, jako członek izby prawodawczej, znaleźć czas na utworzenie tyle wierszy? a są między niemi dziwnie piękne, godne zaprawdę śpiewaka *Od i Ballad, Zmierzchu i Liści jesiennych*. Szczególna zaprawdę siła tego olbrzyma! Boleść obosiecznym mieczem ugodziła w pierś jego szeroką, dotykając go jako obywatela i ojca rodziny. Hugo patrzył na klęski i poniżenie ojczyzny, którą

kocha po szalonemu lecz gorąco; patrzył nie mniej na śmierć pierworodnego syna, wydartego mu w jednej chwili. Gwałtowne te pociski nie złamały go jednak, przeciwnie wykrzesaly twórczą iskrę z jego piersi i dobyły z niej przedudny śpiew łabędzi.

Nie znamy jeszcze książki całej: takich utworów nie godzi się czytać pobieżnie, a bardziej jeszcze nie godzi się sądzić ich ze zbytelnym pośpiechem. Przypuszczamy że w tym nawale wierszy mogą być, nie powiemy słabe, ale kreślone ręką gorączkową, stworzone pod wpływem myśli chorobliwej i zbłąkanęj. Wiemy że nie braknie tu paradoksów i naciągniętych antitez, a nawet zdań przewrotnych; że nie jeden wykrzyk bólu, może razić jakimś przypadkowym lub umyślnym dyssonansem: ale to cośmy już poznali, najwymowniejszą jest odpowiedzią dla niewczesnych krytyków, którzy nie umieli rozdzielić w jednej osobistości, omylnego człowieka od wielkiego poety. Krytycy paryzcy, tak skorzy do potępienia książki, zaczęły się ukazała, mileżą dziś upokorzeni, szukają plam na słońcu; znajdują je niewątpliwie, lecz nie w mocy ich odebrać słońcu blask i żywotne ciepło.

W przyszłej kronice rozbieżemy szczegółowo *Rok straszny*, dziś dajemy tylko krótki urywek, któremu przekład odbiera cały urok. Jes-to wierszyk do dwuletniej wnuczki Joalki, choręj podczas obłężenia Paryża.

Jeśli będziesz odychać, o dziecinko błada,
Tą atmosferą duszącą,
Pod cieniem, co od starca tak złowrogo pada
Na siebie wąż i drzącą;
Jeśli ujrzę dni naszych poplątany wątek,
Ja, co u twojéj kołyski,
Patrzę na życia twego promienny początek
I na grób patrzę mój bliski;
Jeśli ku mnie rączęta bieluchne jak płótno,
Będiesz wyciągać żaloso,
Biedne piskłę, w gniazdeczku skulone tak smutno
Zaczem mu piórka wyrosną;
Jeżeli nie zapuścisz na długo, mój kwiecie,
Korzenia, w bujnej téj ziemi,
Ale jak błędny ognik masz chwilkę po świetcie
Oczyrna powieść tęsknemi;
Jeżeli krasą róży pogodnie a jasno
Twe nie zakwitną jagody,
Jeżeli się za tobą te drzwi nie zatrzasną
Którymi przyszłaś na gody;
Jeśli nie ujrzę ciebie z wesołą twarzączką,
Nie spojrzę w hożą twą postać,
Śmiejącą, rozpląsaną,... oh! powiem duszyczko,
Że nie chcesz z nami pozostać!

Że na ziemię gdzie w pasmie półsennych mamideł,
 Całun z pieluszką się splata,
 Zbiegłaś po to aniele. by w cieniu twych skrzydeł
 Unieść mnie z sobą ze świata!

Podczas gdy jeden z wielkich zapasników dzisiejszej szkoły poetycznej, nowym liściem wawrzynu przystraja siedmdziesięcioletnie czoło, drugi odbiera na grobie hołdy Paryża i Francyi. Pochowanie zwłok Aleksandra Dumasa odbyło się w dniu 17 kwietnia, w rodzinném mieście Villiers-Cauterets, dokąd syn sprowadził zwłoki ojca z Normandyi. Villiers-Cauterets leży o dwanaście mil od Paryża. W dniu pogrzebu cała paryzka intelligencja: literaci, artyści, dziennikarze, członkowie naukowych i literackich towarzystw, słowem wszyscy szermierze pióra, z wyjątkiem tych, których choroba zatrzymała w domach, udali się tłumnie na miejsce. Ścisk tak był wielki, że kościół nie mógł pomieścić ani dziesiątej części obecnych. Liczniejszy tłum napelniał cmentarz.

Orszak pogrzebowy, poprzedzony chórami orfeonów, zatrzymał się przed skromnym domem w jednej z ulic miasta. Tu na tablicy marmurowej, udrapowanej krepą, zdobnej w wieńce nieśmiertelników, czytano skreślone wyrazy: *W tym domu urodził się Aleksander Dumas 24 lipca 1802 roku.* Pociągnął orszak dalej: karawan zasłany wieńcami kwiatów wyglądał jakby olbrzymi bukiet. Te kwiaty najpiękniejsze na jakie zdobył się Paryż, były osobliwością w swoim rodzaju. W przed dzień pogrzebu urządzono z nich wystawę na bulwarach: oglądały ją tłumy.

Za trumną szły dzieci zmarłego: Aleksander znany w świecie dramatycznym, i Marya, autorka kilku cenionych powieści, władająca z równą biegłością tak piórem jak i piórem. Całun trzymali przyjaciele, między tymi uważano ośmdziesięcioletniego przeszło starca Barona Taylor. On to przed laty czterdziestu, pierwszy ocenił wartość dramatów Dumasa, i jako dyrektor królewskich teatrów, otworzył im przystęp na scenę osłaniając powagą swoją młodego, nieznanego światu autora. Dziś zgrzybiały starzec rzucił pierwszą garść ziemi na oczy wielkiemu pisarzowi.

Pochowano zwłoki w grobie ocienionym jodłami, obok kości zmarłych dawno rodziców.

Nastąpiły mowy: zabrał najprzód głos p. Gonzales w imieniu Towarzystwa literatów. W krótkich ale gorących słowach, przebiegł czterdziestoletni zawód tego atlety, który na niwie literatury tak głębokie wycisnął ślady stóp swoich, iż wieki zatrzc ich nie zdołają.

Przemówił następnie Emil Perin dyrektor teatru francuzkiego: podnosił głównie dramatyczne utwory Dumasa.

Karol Blanc imieniem ministra oświecenia, wykazał uczciwą i moralną stronę, wydatną we wszystkich literackich pracach zmarłego.

Aleksander Dumas syn, zabrał głos na ostatku. „Zdziwi to może nie jednego — wyrzekł iż pomiędzy dniem śmierci mego ojca a dniem jego pogrzebu, upłynęło czasu tak wiele. Oto przyczyna zwłoki. Ojciec umarł w domu moim w Puy 5 grudnia 1870 roku. Zasnął spokojnie, bez wielkich cierpień, bez walki konania, otoczony rodziną i podczas gdy wojna zmiatała co dnia tyle nieszczęsnych ofiar!

„Ośmnaście miesięcy temu, Departament niższy Sekwany, zajęty był przez nieprzyjaciela. Wojna toczyła się jeszcze. Pochowałem ojca mego w miejscu gdzie umarł, oczekując końca krwawych zapasów. Gdy stanął pokój, Prusacy byli tu, czekali na pieniądze.

„Gdybym wówczas sprowadził kości ojca mego, byłiby niewątpliwie przyszli i oni na ten cmentarz, złączeni z orszakiem pogrzebowym, i zdeptaliby stopą murawę pod którą leżą kości generała Dumas, dzielnego ich niegdyś pogromcy.

„Odeszli ztąd w końcu października. Niebo tak było wówczas chłodne, tak mgliste! lasy odarte z liści. Pragnąłem aby ojciec mój wrócił do swoich, z pierwszym promieniem słońca, chciałem, aby ta uroczystość miała raczej cechę godów a nie żałoby, raczej była zmartwychstaniem a nie pogrzebem!

„Czekałem więc i lepiej się stało; wiosna przyszła mi dzielnie w pomoc.

„Ojciec mówił mi że tu pragnie być pochowanym. Zostawił tu starych przyjaciół i drogie wspomnienia. Serce nie zawiodło go, spostrzegłem to wczora, za przybyciem, kiedy tylerak chętnych podjęło trumnę z żałobnego wozu, i poniosło do kościoła zwłoki zasłużonego przyjaciela. Zrozumiałem wówczas dlaczego ojciec mój pragnął pochowanym być między wami!

„Zaciągnęłem względem was, dług niewygasłej wdzięczności i przekazę go dzieciom moim, tak samo jak ojciec przekazał mi wdzięczność swoją. Niechaj świadectwem mych uczuć, będzie to głębokie wzruszenie, które tamuje mi głos w piersi i nie pozwala wyrazić się jakbym pragnął”.

Gorący poklask był odpowiedzią na te słowa. Starzy przyjaciele Dumasa, poczciwi mieszczanie i strażnicy leśni, zanosili się od łez i pochwyceń za serce, zleli na syna tę miłość, jaką wiernie okazywali ojcu.

Wkrótce stanie na tym cmentarzu spiżowy grobowiec, ku czci wielkiego pisarza. Pamięć jego ożywiła się znów z powodu uroczystości pogrzebowej. Wszystkie pisma poświęciły mu chlubne wspomnienie. Janin w Debatach nie dał się ubieść innym, jako dawny druch i szczerzy wielbiciel zmarłego. W sali konferencyi na Bulwarach, zdolny mówca p. Lapommeraye, rozpoczął szereg

literackich rozpraw o Dumasię. W pierwszej konferencji rozbięrał jego prace dramatyczne, drugą poświęcił powieściom.

Słuchaliśmy z zajęciem zęcznie skreślonej historii powieściopisarstwa we Francji i Europie. Prelegent wskazał w średnio-wiecznych romansach truwerów, ożywionych duchem chrześcijańskim, bogate źródło z którego wytrysnęło tyle rzek i strumieni, rozlanych dziś po świecie. Przebiegł następnie sławne utwory, Cerwantesa i Lesage'a, wskazał bliskie pokrewieństwo duchowe pomiędzy Don Quizotem a Muszkietierami. Nie zarzuca przecięż Dumasowi naśladownictwa; umiał on bowiem wycisnąć osobny stępel na dziełach, stworzonych siłą własnej myśli.

Aleksander Dumas pozostawił tak bajeczną liczbę prac literackich, że w ich nawale łatwo dopatrzeć nie jeden słabszy utwór. Chcąc wykazać czém umiał być poeta, kiedy prawdziwie twórcze natchnienie kierowało jego piórem, Lapomeraye odczytał pyszny wstęp do dramatu Kaliguli. Jest to obraz Rzymu Cezarów w przeddzień upadku swego. Obraz ten mistrzowską nakreślony ręką. Czuć tu niesłychaną siłę natchnienia, a obok tego widać głębką pracę nad zbadaniem zapadłej starożytności. Artysta potrafił odtworzyć przeszłość i ożywić ją siłą geniuszu, ale sam artystyzm nie byłby mu wystarczyć. Nigdzie Dumas nie okazał się tak wielkim erudytą i archeologiem jak w tęg pysznej rozprawie. Dajemy z nię wyjątek. Komuż on nie przypomni Irydyona? Takie powinowactwo dwóch wielkich pisarzy wieku, tńmaczy nam silne współczucie Zygmunta dla Dumasa, wyrażone wymownie w listach. Wstęp do Kaliguli nie istniał jeszcze gdy pojawił się Irydyon; Dumas tęg nie umięjącego po polsku trudno posądzić o naśladownictwo. Znac dwaj poeci spotkali się na jedném polu.

Przytaczamy ustępel z mistrzowskiego obrazu Rzymu za Kaliguli.

„Rzym w tęg epoce nie był tylko stolicą Cezarów: było to centrum świata. Z łona jego taki uderzał rozgłos na wszystkie krańce ziemi, że zmiłkły przy nim poszmary innych grodów. Rzym pokrywał gmachy swięmi szeroką przestrzeń od Tivoli do Ostyi, od Piendemonte do Albano. W tym olbrzymim ulu brzmiał niby rojowisko pszczoł, lud pięciomilionowy, po trzykroć przechodzący dzisiejszą ludność Paryża i Londynu.

„Miał Rzym przepyszny ogród, rozpostarty od podnóży Wezuwiuszu, po skalisty wierzchołek Genewry; miał rozkoszne Gineceum zwane Baja, świetną willę zwaną Neapolem i dwa ogromne spichlerze, pełne zawsze zboża i kukurydzy: Sycylią i Egipt.

„Co więćej, jużto przemocą, już zęcznym działaniem, Rzym odziedziczył skarby Tyru i Babilonu, starych pradziadów swoich; odziedziczył handel Kartaginy i Aleksandryi, swoich współzawodniczek i naukę Aten swęj mistrzyni.

„I z tegoto zęśrodkowania ludzi, złota i wiedzy, powstały dziwne obyczaje, szalony zbytek, rozhukanie Gomory. Kolos Rzy-

mu acz wszech potężny jeszcze na zewnątrz, doświadczał niekiedy podziemnych wstrząśnień i tajemnego dreszczu. Ziemia bowiem czuła podówczas we wnętrzu swoim dojrzewający płód, nie znany owoc przepowiedziany w Pozdrowieniu Anielskiem, a czekany z gorącą wiarą.

„Zgrzybiały gmach starożytny, rozsypywał się w gruzy. Olymp pogański porósł mchem od Wschodu i Zachodu. Ludzkość była pół omdlała, jak wąż gdy zmienia skórę. Śmiertelny dreszcz przebiegał na wskrós po żyłach tego społeczeństwa, które usiłowało szaleńcem rozpustnym zagłuszyć dręczące przecucia, a krwią i łzami zatrzeć one fatalne zgłoski, nakreślone tajemną ręką na ścianach sali biesiadniczej. Rzym nakoniec przestał ufać ziemi i niebu; stał pomiędzy wulkanem a piorunową nawałnicą; miał pod stopami katakumby pełne męczeńskich ofiar, a nad głową miał pusty Olymp.

„Pan albowiem wybrał go do wielkich celów swoich; miasto wiekuiste miało światu błysnąć pochodnią; olbrzymie kotlisko, w którym ród ludzki przetapiał się i zlewał, kipiący w ogniu prób, miało stać się zarazem, olbrzymią modłą nowego społeczeństwa!

„Otóż więc skoro przewroty społeczne acz prowadzone ręką Bożą, spełniają się tylko przez ludzi, Pan chciał powalić tę warownię zbrodni i bezpraw, uderzając zarazem w jej czoło i wstrząsając nią do gruntu w podwalinach. Bóg zesłał szaleństwo na Cesarów, a niewolnikom zesłał wiarę.

„Patrzmy, jak one Cezary, stanąwszy u szczytu potęgi, odziani za ledwie w purpurę, czują się nagle dziwnym porwani obłędem. Ślepotą przyćmiewa im wzrok, szaleńcami im zmysły, a ta ślepotą, ów obłęd dotyka wszystkich bez wyjątku, od Tyberyusza do Juliana. Patrzmy jak ten szalony patrycyat morduje sam siebie, jak na jedno skinienie, na jedno słowo władzy wyciąga szyję pod topór, otwiera sobie żyły, lub daje zamorzyć się głodem. Wszyscy spragnieni śmierci i nicstwa. Niema pałacu w Rzymie, z kądby nie wybiegał chrapliwy jęk skonu, lub westchnienie boleści.

„A teraz powiedźmy wzrokiem, po przeciwnym krańcu społeczeństwa. Tu pociecha zamiast rozpacz, tu zamiast katów zbrojnych w topór, starce z krzyżem i ewangelią: ta ręka zamiast wytaczać krew, z wiarą wskazuje niebo.

„Spełniła się nowa Geneza. Po świetle co spędziło noc z oczu, następuje światłość, co rozpromienia duszę. Bóg stworzył nowy świat z okrucich starożytnego świata!“

Wiadomo, że Towarzystwo Etnograficzne francuskie, przyjęło w roku 1868 pod opiekę swoją konkurs p. t.: *Nestor i Viquesnel*. Konkurs ten ma na celu postęp w badaniach o Słowiańszczyźnie. Przedmiotem pierwszego pytania było: *Przedstawić formuły dla wykładu szkolnego, historii ludów słowiańskich, odpowie-*

dnio dzisiejszemu stanowi krytyki. Otrzymali medale dwaj francuzcy pisarze pp. Charlier de Steinbach i Emil Hervet. Wręczył je laureatom na uroczystém posiedzeniu p. Rouge sławny orientalista, członek Instytutu. Na drugie pytanie: *Jak się tworzył naród Polski?* nadesłano również kilka rozpraw. Z tych jedna wzięta została na uwagę: żądano tylko niektórych dopełnień. Oto deklaracya komitetu nagród:

„Towarzystwo Etnograficzne przedłużyło do r. 1873 termin konkursu *Nestor i Viquesnel*, na pytanie o *pochodzeniu i formacyi polskiego narodu*, wzywając autora nadesłanej rozprawy, aby dopełnił pracę swoją dodatkiem dwóch oddziałów badań: 1-sze Sprawozdaniem ze stanu nauk antropologicznych, dotyczących się plemienia polskiego; 2-gie: Streszczeniem prac wykonanych nad gramatyką porównawczą języków słowiańskich, z zastosowaniem do polskiego języka. Towarzystwo uważałoby też za nader ważne oznaczenie różnych *gwarów* mowy polskiej, z wykazaniem ich na osobnej mapce. Data złożenia rozprawy kończy się z dniem 1-y m października 1873 roku.”

Ów termin ma na celu, nie tylko rozprawę już w zasadzie przyjętą, a dla której Towarzystwo żąda dopełnień, ale i nowe prace, jakie lubownicy badań etnograficznych chcieliby nadesłać w tym przedmiocie. Adresować je należy do Sekretaryatu Towarzystwa Etnograficznego w Paryżu.

O ile wiemy, owa przyjęta rozprawa obejmuje hydrografię, orografię, rozwój historyczny i rozmaite działy etnografii, mianowicie te, które objawiają się w obrzędowych pieśniach ludu naszego. Jest w niej zamieszczony dokładny obraz wesela na Mazowszu.

Nowe, trzecie z rzędu pytanie konkursu *Nestor i Viquesnel*, ma za przedmiot *Bibliografię i etnografię ludów słowiańskich*. Uczni francuzcy w ogólności z upragnieniem czekają na taką rozprawę, ponieważ dotąd francuzka literatura, nic w tym przedmiocie nie posiada.

P. Kamil Rousset obejmował w dniu 2 maja, krzesło akademickie po Prevost-Paradolu, który przed dwoma laty zakończył tak smutno życie w Waszyngtonie. Tym razem mogliśmy patrzeć własnymi oczyma na poważną uroczystość w koleżeńmiertelnych, i wysłuchać dwie długie mowy: wstępującego w grono i delegowanego Akademii, który go instaluje.

Silnie nasuderzyła nadzwyczajna różnica w sztuce oratorskiej dwóch mówców. P. Rousset, historyk militarizmu we Francyi, wyrażał się z energią jak przystało mężowi, który wiele lat przeżywszy wśród archiwów wojskowych, spokrewniony duchem z walecznymi wodzami narodu swego, wchodził jakoby wstępny bojem w progi akademickie. Pan Haussonville zaś aczkolwiek dwóletni dopiero akademik, przyjął już zupełnie styl i formuły uczonego

grona, i jakby skąpany w wodach Lety, zatracił w niej cechy właściwe śmiertelnikom. Mowa jego pełna sztucznych subtelności, dała nam wyobrażenie krasomówczej manieri Aleksandryjskich retorów, kiedy przeciwnie słowa Rousseta, tchnęły pełną werwą i świeżością.

Zwykłym obyczajem nowo przyjęty, skreślił obraz życia i prac poprzednika swego. Obraz to był treściwy, raz że p. Rousset jak widać nie lubi bawić się pustymi frazesami, powtórę że krótkie pasmo dni Paradola, nie przedstawiało wątku do długich rozpraw.

Prewost-Paradol był przedewszystkiem publicystą, w literackich pracach widział on tylko środek, otwierający przed nim szranki zapasów publicznych. Głównym przedmiotem jego zabiegów i pragnień, była teka ministra, którą otrzymał nakoniec i przyplacił zbyt drogo.

Rozpoczął on zawód piśmienny w roku 1854, od *Przeglądu historii powszechnej dla nauki panien*. Wrok później, ubiegając się o stopień doktora, napisał dwie tezy: wstęp historyczny: *o negocyacyach Henryka IV z Elżbietą królową angielską, i Rozprawę o pisarzu angielskim Swifcie*. O ile pierwsza teza, mówi Rousset, przedstawiona w sposób ciemny i zawikłany, zapewne z powodu że i układy Henryka z Elżbietą, zawikłane były i ciemne, o tyle rozprawa nad Swiftem wybornie nakreślona. Znać duchowe powinowactwo łączyło autora z angielskim publicystą. Obaj wzięli za hasło wiersz z hymnu Ateńczyków: „Oplotę miecz mój wieńcem liści mirtowych“ i obaj ranili ostro tym mieczem, z różnicą że Paradol przeszedł swego mistrza, jeśli nie talentem, to ogładą i wytwornością, odpowiednią do czasu i ducha francuzkiego.“

Mianowany profesorem literatury w Aix, w roku 1855 wymowny Paradol zachwycał z katedry młode audytorium. Roczny kurs wydany pod tytułem: *Studya nad moralistami francuzkimi, Montaignem, Paskalem, la Bruyerem i t. p.* uważany powszechnie za najlepsze jego dzieło. W tymże czasie posłał do konkursu, chwaloną rozprawę: *Znaczenie rodziny w wychowaniu*.

Ale skromne pole pedagogii, nie wystarczało dla młodziana zaufanego w własne siły, przewidującego świetną przyszłość.

Pospieszył do Paryża. Tu, jak dowcipnie mówi Rousset, „Wszedł w grono ludzi gładkich, dobrze wychowanych, rozumnych, słowem do redakcyi Debatów. Salon to dotykający ścian Akademii, oddzielony od niej drzwiami tylko! Gość który przychodzi zamtąd, skoro zapuka w te drzwi, może być pewnym że niebawem otworzą się dla niego.“

Zręczny ten przycinek Rousseta, wywołał uśmiech powszechny. Akademicy przecież, obwinieni tak jawnie o koteryjność, nie mogli gniewać się na mówcę, który rzucił im w oczy gorące sympatyje dla Orleanów w obec licznych książy tego domu, zgromadzonych w sali akademickiej.

Wystąpienie Paradola w Debatach silnie dało poparcie stronnictwu Orleańskiemu. Trudności z jakimi łamał się publicysta, gdy nie mógł wypowiedzieć bez ogródki myśli własnej, wyrobiły w nim ten styl sarkastyczny, zaprawiony solą atycką, lekki na pozór, a jednak raniący tak boleśnie. Ironia była orężem najodpowiedniejszym jego pisarskiej zdolności. Tym orężem walczył codziennie zdolny szermierz, a walczył nim tak zręcznie, że kiedy później okoliczności rozwiązały mu usta, słowo jego wypowiedziane jasno, straciło porywającą siłę. Znał Paradol doniosłość tej broni, śmiało też skreślił jej apoteozę odpowiadając na zarzuty moralistów. „Gdyby, mówi on, ironia miała zniknąć ze świata, runęłyby z nią razem ostatnia warownia słabych, ostatni szaniec za który chroni się znieważona ich godność. Bywają czasy, kiedy śmiech ucziwego człowieka, jedynym jest objawem opinii, jedynym głosem sumienia publicznego.“ Ironia też stała się dotkliwą bronią w jego ręku, ostrze tego sztyletu nie miało czasu zardzewieć, godził bowiem co dnia w przeciwników, raził ich do żywego, sarkazmem ośmieszał w obec świata.

Po dziesięcioletnich zapasach polemicznych Prewost Paradol wydał w roku 1868 dzieło pod tytułem: *Nowa Francya*. Dzieło to natchnione duchem pesymistycznym, w chwili ukazania się, zwróciło powszechną uwagę. O ileż to jeszcze nabrało znaczenia w obec ciężkich klęsk, jakie sypnęły się na Francją; klęsk, które autor przeczuł i zapowiedział. Powodem tych smutnych przeżyć była podróż do Niemiec, odbyta w ciągu zimy 1867 roku. Prewost Paradol zatrzymał się w Berlinie. Chłodna atmosfera tego miasta, pozór jego bezbarwny i ponury, mimo całego przepychu, smutnie się odbił w wyobraźni dręczonej chorobliwym sceptycyzmem. Pełen podziwu i przerażenia publicysta francuzki patrzył na te chmary żołnierzy z postawą krzepką, z umysłem poważnie rozwiniętym, napełniające gród stołeczny. Uderza go szczególnie ów Fryderyk II na koniu pomieszczony tak pysznie na głównym placu miasta. „Dla tego ludu w mundurze — mówi on — to Przedwieczny Pan, co go wywiódł z niewoli egipskiej a dał mu piękne miejsce w pośród narodów ziemi.“ Pod takim wrażeniem, napisał Paradol ostatni rozdział *Nowej Francyi* tak smutno-wymowny, a tak straszno proroczy. Francya, zapowiada on, zbliża się do najstraszniejszej próby, jaką kiedykolwiek przechodziła. Dawniej skoro mówiono o wojskowych siłach kontynentalnych, zapytywano tylko ażali Francya zdoła postawić czoło skoalizowanej Europie! Dziś spytałby raczej należało, czy Francya zdoła przeważyć nad Prusami! Nie potrzeba na to silnych dowodów by wykazać, że zwycięstwo Prus nad Francją, byłoby grobem francuzkiej potęgi. Francyi zapewne w proch zetrzeć niepodobna. Przypuśćmy nawet że niewydartoby jej od razu Alzacyę i Lotaryngię, ale coby nam wydarło? oto możność oparcia się temu rozczłonkowaniu, w chwili, którąby zwycięzki wróg uważał za właściwą, a co niewątpliwieby nastąpiło? . . . I czemże byłyby

podówczas żywot jaki przyszedłoby nam wlec, na niedotlonych szczątkach okrętu, osłoniętego jeszcze starą francuzką flagą, lecz szamotanego prądami sprzecznych fal, dłużej lub krócej według uwidzenia Europy, zaczęłby go przepaść pochłoneła, pod okiem zuchwałych tryumfatorów“.

Ohydne to proroctwo, cierpki owoc chorobliwego ducha, natchnione podmuchem szatańskim, przyniosło Francyi nieobliczone klęski; sparaliżowała bowiem tysiące umysłów, tysiącom serc odebrała wiarę i nadzieję. Owe to złowrogie słowa Paradola, więcej może niż same nieszczęścia Francyi rozsiały po świecie niewiarę w przyszłość pokonanego dziś narodu! Ileż to ust powtarza je niebacznie opierając na nich pesymistyczne sądy, jak gdyby jedna klęska lub jedno zwycięstwo stanowiło o przyszłych losach ludu.

Ręka, która zmasała się skreśleniem owęj bluźnierczej wieszczby, miała wkrótce zmasać się samobójstwem. Loiczne to następstwo. Starożytni Jeremiasze wylewali łzy nad niedolą ojczyzny, rozdzierali szaty, posypywali głowy pokutniczym popiołem; lecz mieli odwagę żyć i cierpieć. Żaden z nich nie targnął się bezbożnie na własny żywot. Sam rozpaczliwy skon Paradola świadczy, że należał on do liczby fałszywych proroków, obłąkana-nych szaleńcem samolubstwa i pychy.

Pan Rousset zmuszony z urzędu wysławiać poprzednika, w trudnym zaprawdę znalazł się położeniu. Znakomity historyk wojskowości francuzkiej, pominął złowrogie proroctwo, widząc w niem raczej plamę dla pamięci zmarłego, niżli tytuł do jakiegokolwiek chwały. Inaczej zrozumiał rzecz p. Haussonville. Ten wyrzekłszy zaledwie kilka słów o ważnych pracach nowego członka Akademii, pochwaliwszy lekko monografię Lauvois i obraz epoki Ludwika XIV, jął wysławiać siłę geniuszu Paradola, siłę tak potężną, że zdołała przedrzeć tajemniczą zasłonę przyszłości. Słuchając tych zimnych uniesień powtórzyliśmy w duchu: niech umarli grzebią umarłych.

Dodajmy jeszcze słówko o panu Rousset. Nie należy on bynajmniej do tych badaczy, co jak rzekł poeta E. Manuel:

„*Wywołczą z starych kostnic historyczne śmiecie*“.

Rousset przeciwnie umie wydobyć iskrę z pod popiołów, umie pochwytać w dziejach niedopatrzoną stronę i odtworzyć postacie ludzkie z całym urokiem życia i prawdy. Nie przez drzwi prowadzące z salonu Debatów do sali akademickiej wszedł on między uczone grono: utworowały mu drogę mozolne prace historyczne, którym zawdzięcza niemniej godność dyrektora archiwów wojskowych w Paryżu.

Wysoko cenione w świecie naukowym dzieło Rousseta w czterech tomach p. t.: *Louvois*. Jest to historia wojskowości francuzkiej za czasów Ludwika XIV, wyborny obraz wielkiej epoki, oddany z całą prostotą, godną prawdziwie uczonego. To dzieło podane do akademickiego konkursu w roku 1862, zjednało autorowi wielką nagrodę *Gobert*, powtarzaną przez lat trzy, po 20,000

franków rocznie. Następnie w roku 1866, wydał Rousset: *Korrespondencyą Ludwika XV, z Marszałkiem de Noailles*, w trzech tomach. Ciekawe nadzwyczaj listy tego króla, wydobyte po raz pierwszy z archiwów, wykazują w nowém świetle jego postać. O ile Rousset sprowadził Ludwika XIV z Olympu na którym współczesni postawili go przez pochlebstwo, o tyle znów podnosi z błota, starzaną postać Ludwika XV. Nie powodują autorem żadne legitymistyczne mrzonki, lecz siła głębokiego przekonania.

Przed laty sześciu czytaliśmy obszernie sprawozdanie z tój pracy, tylko co w ówczas dokonanej. Uderzyła nas mocno ta korespondencya Ludwika XV z marszałkiem de Noailles, jako obejmująca szczegóły tyżące się bezpośrednio dziejów naszych. Wiadomo, że zięć Stanisława Leszczyńskiego nie był obojętnym na losy Polski, wiadomo także, jak ta epoka ważną jest dla nas, a może jeszcze niedostatecznie poznaną i ocenioną. Zwracamy tóż uwagę badaczy naszych, na te listy, wydobyte z wojskowych archiwów przez Rousseta.

Oprócz tego znakomity historyk skreślił monografią hr. de Gitors, syna a marszałka Belle - Isle, młodzieńca poległego na polu bitwy: postać to dziwnie piękna i sympatyczna.

Ostatnim utworem nowego akademika jest: *Historya woluntaryuszów Rzeczypospolitej, i wielkiej armii pierwszego Cesarstwa*, napisana w dwóch tomach.

Smutny szereg świeżych wypadków wojennych, stanie się zapewne dla autora pobudką do nowych prac na polu przezeń obrańem. Francya czeka niecierpliwie na te prace, które jeśli nie mogą zadowolnić dumy narodowej, mogą za to stać się na przyszłość zbawienną przestrogą i nauką.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Nasze piśmiennictwo rolnicze w roku 1871 i w kilku latach poprzednich.

A bon etendeur salut.

Po kilku latach ciszy w naszym piśmiennictwie rolniczém panującej, od niejakiego czasu daje się widzieć dążenie, postawienia go na stopie więcj odpowiadającej ogólnej kulturze kraju; coraz częściej zaczęły się odzywać głosy żądające uwolnienia rolnictwa z pojęć już

przestarzałych i przedstawienia w rozwinięciu nabytém pracą uczonych, którzy się poświęcili zbadaniu praw życia i rozwoju organizmów. Ziemianie nasi zdaje się przyszedli do przekonania, że rolnictwo nie może pozostać zajęciem czysto praktycznym, jakim było w dawnych stosunkach; lecz nagłone potrzebą większych plonów, a tęp samém korzyści, dla zrównoważenia budżetu dochodów i wydatków, musi szukać swego udoskonalenia we wszystkich gałęziach wiedzy, mianowicie w naukach przyrodzonych; same bowiem obserwacje praktyczne, dotąd okazały się przewodnikiem nie pewnym i wątpliwym doradcą. Taki zwrot w roku 1871 rozpoczęty, czyni go w historii naszego rolnictwa pamiętnym. Wprawdzie nie wydał ani jednej pracy naukowo rolniczej, któraby na siebie powszechną uwagę zwróciła; lecz w nim poczęła się i dojrzała zbawienna myśl wydania *Encyklopedyi* rolniczej. On także przekazał szczęśliwшему następcy swojemu wydawnictwo kilku pism peryodycznych, mniej lub więcej związku z rolnictwem mających.

W każdej innéj gałęzi literatury naszéj byłby to fakt zwyczajny; lecz, w rolnictwie jest pożądanym i ważnym; ponieważ wystąpienie kilku nowych i zdolnych pracowników, z nowéj szkoły, przygotowanych do uznania ważności dzisiejszych pojęć, nada piśmiennictwu naszemu nowy zwrot, zgodny z obecnym stanem rolnictwa i otworzy peryod lepszej jego przyszłości.

Byłoby zbyt czczeniem rozbierać jakie ma znaczenie Encyklopedia rolnicza. Jako dzieło zbiorowe pracy ludzi naukowych i z częścią techniczną obeznanych, obejmując ogół dzisiejszego rolnictwa, ze ścisłością naukową przedstawiouy; będzie zbiorem nieocenionym wiadomości, w którym rolnik każdej chwili z łatwością znajdzie odpowiedź i objaśnienia, we wszystkich wypadkach wątpliwych. Dlatego dzieło to powinno stać się podręcznym, dla każdego rolnika niezbędnem.

Inne pisma w roku 1871 zapowiedziane, są również dla rolników ważne. „Tygodnik rolniczy“ głównie rolnictwu poświęcony, podając ulepszenia w części teoretycznej lub w technice rolniczej zdobyte, będzie dopełnieniem zbioru wiadomości, po ukończeniu wydawnictwa Encyklopedyi rolnictwo wzbogacających; nateraz zaś zbliży piśmiennictwo nasze do stanu na jakim się u sąsiadów znajduje. Dwa inne dzienniki: „Przyroda i przemysł“ tudzież „Gazeta przemysłowo-rzemieślnicza“ wprawdzie bezpośredniego związku z rolnictwem nie mają; lecz pierwszy obejmując ogół wiadomości z nauk przyrodzonych, które redakcyja zamierza przedstawić w formie najdośćniejszej, bez uszczerbku ścisłości naukowéj, będzie wielką pomocą dla rolników. Wszak zostajemy w ciągłym zetknięciu z przyrodzeniem, ulegamy jego wpływowi, z jego działań korzystamy; nie możemy więc pozostać w niezajomości praw, którym siły naturalne podlegają w objawieniu każdego fenomenu. Bez téj znajomości nie mógłby rolnik z nich korzystać, do pewnego stopnia niemi kierować i zgodnie z niemi działać. Gazeta przemysłowo - rzemieślnicza zamierza wedle programu podawać artykuły odnoszące się do gospodarstwa wiejskiego, ze względu na przemysł, rzemiosła i handel.

Dzięki więc ludziom dobrej woli, rolnicy nasi znajdują materiały do poznania stosunków, jakeimi główny nasz przemysł krajowy wiąże się z innymi gałęziami działalności i środków którymi się wzajemnie wspierać mogą, w dążeniu do wspólnego celu, to jest do podniesienia dobrobytu ogólnego.

Nie wątpimy że rolnicy wyżej wykształceni uznają pisma powyższe za konieczne w naszej literaturze; za godne bliższego poznania i poparcia w pierwszych chwilach ich egzystencji, ażeby wzmocnione życzliwością ziemian, mogły z otuchą oddać się gorliwej pracy, swobodnie im nieść swoje usługi, a rolnictwo nasze godniej niż dotąd przedstawiać i skuteczniej zasilać. Z drugiej strony nie wątpimy także, o zdaniu frakcyi może jeszcze zanadto u nas licznój, która wszystkie pisma rolnicze obok Gazety Rolniczej za zbytęczne uważa; lecz nateraz przestajemy na daniu krótkiej odpowiedzi słowami znakomitego ekonomisty:

„ze wszystkich zajęć którym się człowiek oddaje, rolnictwo najwięcej wiadomości wymaga.“ (Carey.)

Nienamamy powodu do powątpiewania, że pisma zapowiedziane ożywione szlachetnym współubieganiem i szczerą chęcią usłużenia ziemianom, dołożą usiłowania ażeby praca ich była korzystną dla przyszłości. Spełnienie tych życzeń jest pożądanem, terazniejszy bowiem kierunek i treść pism peryodycznych, rolnictwu poświęconych, nie odpowiada jego potrzebom, nie jest na wysokości dzisiejszego stanowiska i o wykształceniu ziemian daje wyobrażenie, na które zgodzić się nie możemy. Nie wszyscy są *maluczcy wiedzą* jak Gazeta Rolnicza przypuszcza (Nr. 3. Gazety Rolniczej 1869); mamy gospodarzy postępowych, pojmujących rolnictwo z wyższego stanowiska naukowego; jeżeli są w mniejszości zbyt słabiej na kraj przeważnie rolniczy, przypisać to należy brakowi organu zdolnego obudzić zajęcie, któryby rozbiorem naukowym ważnych zadań rolnictwa, przedstawił ogółowi znaczenie badań naukowych i okazał ich wyższość od obserwacyj praktycznych, na których rolnicy przywykli z zaufaniem polegać. To wskazałoby ziemianom drogę do postępu. Każdy obliczając własne siły, umiałby ocenić czego potrzebuje do wejścia na stanowisko rolnika racjonalnego, to jest zdolnego do zastosowania każdej myśli w badaniach nabytej, i nie wątpimy że mógłby je zdobyć.

Działanie więc piśmiennictwa rolniczego w nowym peryodzie, rozpoczętym z pomocą nowych sił i świeżych zasobów, powinno przyjąć za główne zadanie; rozszerzać wiadomości naukowe we frakcyi rolników przeważnej, którą zaniedbano objaśnić o wartości naukowego kierunku rolnictwa, nawet uwodzone błędnymi zdaniami. W tem usiłowaniu Tygodnik Rolniczy znajdzie wiele trudności. Pole, na którym staje do pracy, długo zostawione odłogiem albo błędami obsiane, wymagać będzie ciężkiego trudu *wynowienia*; lecz wytrwałość wsparta poczuciem dobra ogólnego i stopniowanie uprawy, potrafią to wykonać, do czego dotychczasowe pisma rolnicze nie były

usposobione albo czasu nie miały. Potrzeba w jednych złą wolę pokonać, w drugich złamać upór, zwykłego towarzysza niewiadomości. Jakich do tego użyć środków? Rozpatrzenie się w przeszłości może podać niejaki wskazówki.

Wszyscy wierzymy, że do upowszechnienia jakiegokolwiek gałęzi wiadomości, najwięcej przyczyniają się pisma peryodyczne specjalne. Przekonywać o tem byłoby równie zbytecznym jak dowodzić potrzeby pokarmu dla głodnego lub lekarstwa dla chorego; lecz jak pokarm powinien być zastosowany do organu trawienia, a lekarstwo do rodzaju choroby przez biegłego lekarza przygotowane, tak pismo peryodyczne musi znać potrzeby swoich czytelników, dopełniać braki, prostować zbroczenia i utrzymywać na równi z postępem i w jego kierunku. Lecz przeszłość naszego piśmiennictwa nie miała tego celu, jak się okazuje z przejrzania najbliższego nas peryodu, bogatego w wypadki nadzwyczaj ważne dla rolnictwa. Niemamy potrzeby sięgać daleko; dosyć będzie przejrzeć stan literatury rolniczej od roku 1855, w którym Liebig ogłosił 50 praw obejmujących zasady jego nauki; z tego zaś peryodu dla nas najważniejsze są lata po roku 1864. Charakter tego okresu siedmioletniego przedstawia Gazeta Rolnicza, jako jedyne w nim pismo peryodyczne rolnicze; tudzież rozprawa p. Adama Poniałowskiego: *O piśmiennictwie gospodarstkiem w ogólności, a o Gazecie Rolniczej w szczególności* (Nr. 221 — 230 Gazety Polskiej 1869), napisana przeciw uwagom wieśniaka (Nr. 181 — 184 Gazety Polskiej 1869), który się dopominał o przejście Gazety Rolniczej z drogi empirycznej na więcój naukową, potrzebom dzisiejszym rolnictwa odpowiedniejszą. Korrespondent handlowy, przemysłowy i rolniczy, przy Gazecie Warszawskiej wydawany, nie jest pismem czysto rolniczym i udzielnym; nigdy też nie uważał się za współzawodnika Gazety Rolniczej i niepożądał wyrobienia sobie opinii poważnego pisma rolniczego.

Peryod, który przejrzeć zamierzamy jest krótki; nie nie znaczy w życiu narodu; lecz w bezczynności spędzony wystarcza do postawienia go daleko w tyle innych, za postępem dążących. Tak się u nas stało. Peryod ten był bogaty w rezultaty najważniejsze dla rolnictwa. Chemicy objaśniali rolników jakie są pokarmy dla roślin konieczne; wskazywali znaczenie każdego w życiu rośliny; wychodząc z tych danych, rozbieżeli na czem zależy żyzność gruntów; jakie są środki jej utrzymania i podwyższenia; jakie jest działanie i przeznaczenie nawozów, ich przygotowanie, zachowanie się ich pierwiastków względem ziemi a z nią następnie względem roślin; podano teorię ugoru; płodozmianu i t. d. i t. d. Wszystkie te kwestye w rolnictwie kardynalne, oddane do zastosowania w gospodarstwie praktycznym, obudziły dyskusyje, które się stopniowo wyjaśniały. Jednak to żywe zajęcie się rolnictwem u naszych sąsiadów, nie znalazło odgłosu u nas, chociaż spory toczony podawały obfity materiał do rozbiórów w pismach peryodycznych, i zasługiwały aby wypadki dyskusyj toczonych, nie zostały obce naszym rolnikom. Ogół ziemian o nich nie-

zawiadomiony, nie upominał się o światło przez naukę na rolnictwo rzucane; główny zaś organ naszego rolnictwa obojętny na walkę opinii w Niemczech toczoną o zasady teorii rolnictwa, w inną stronę zwrócił swoje usiłowania, zaspokajając czytelników, zdaniem korespondenta (Nr. 5. Gazety Rolniczej 1863) „że pisma specjalne obok zawiadomienia czytelników o postępie nauki w obcych krajach, powinny być obrazem naszej narodowej działalności, naszych prób i doświadczeń; *albowiem tylko próby i doświadczenia u nas odbywane, mogą zasłużyć na zaufanie ogółu ziemian, poczęści sprawiedliwie niewierzących w zagraniczne i te tam uczone gospodarki...*”

Inny korespondent z Płockiego podał myśl (Nr. 18 Gazety Rolniczej 1864) ażeby redaktor wezwał wszystkich do pracy doświadczalnej, nad uprawą zboża i chowem inwentarza; ażeby zebrał zobowiązania się do robienia prób i ogłaszania wypadków. Redaktor nie chętny do ogłaszania godnych wiary wypadków prac uczonych i agronomów zagranicznych, pochwała projekt korespondenta; oświadcza gotowość do pracowania, to jest do drukowania tych prac w Gazecie, tem usilniej że p. Wojnarowski powiedział (Nr. 13 Gazety, roku 1864) że wpływ Gazety Rolniczej na postęp rolnictwa w obecnych czasach może być silniejszy.

Łatwo jest przewidzieć źródło tego wsrętu do prac zagranicą wykonanych, i zachęcania naszych rolników do pracy, o której z góry można było powiedzieć że nie będzie wykonaną, w każdym razie byłaby bezużyteczną. Nieobwiniając nikogo, uważamy za rzecz niezawodną, że ówczesne wykształcenie rolnicze ziemian naszych nie odpowiadało wysokości, do jakiej się rolnictwo po 1840 roku podniosło. Wynosząc ze szkoły lekceważenie wiadomości z nauk ścisłych, albo pojęcia niezgodne z powszechnie przyjętymi, słabi w naukach przyrodzonych, które zaledwie jako pomocnicze uważano: sądzili się za zdolnych do prac niewątpliwie najtrudniejszych, w przekonaniu że dosyć mieć dobre chęci ażeby je wykonać. Te braki i zбочzenia musiały się odbić w usposobieniu ziemian, którzy bez pewnych zasad i własnego sądu, chwiejni, łatwo się chylił w stronę nacisku pierwszych lepszych zdań i wrażeń. Jakie w owym czasie panowało wyobrażenie o zakresie i naturze wiadomości dla rolnika potrzebnych, najlepiej przekonywa dziełko pod tytułem „Polaniu”, (z roku 1858), o którym jeden z ówczesnych przewodników młodzieży rolniczej wyraził zdanie: „pragnąłbym dla dobra ogólnego i prywatnego, ażeby dziełko to każdy porządny i porządnie swój zawód prowadzący rolnik, ciągle i nieodłącznie jako najlepszego swego przyjaciela i najszerszego doradcę miał przy sobie i często odczytywałco w nim jest zawarte i t. d. i t. d. (Obacz Polanina). Zdanie to w tak wysokim stopniu pochlebne, niewątpliwie pod wpływem miłości bliźniego wypisane, ciężko grzeszy przeciw ogółowi; wprowadza go w błąd co do rzeczywistej wartości tej pracy. Nieznamy w naszej literaturze rolniczej dziełka, któreby można niżej od Polanina postawić. Chcieć usposobienie rolnika zamknąć w zakresie wiadomości przez Polanina podanych, byłoby urąganiem się z najszlachetniejszego powo-

lania; poniżaniem zawodu który w porządku naturalnym przyjął najważniejszy obowiązek wyżywienia ludności, a t \acute{e} m sam \acute{e} m podtrzymywania bytu narodu i zapewnienia pomyślności indywidual \acute{o} w. Jeżeli w dzisiejsz \acute{e} m społeczeństwie niema prawa karcącego zaniedbanie rolnictwa, jak niegdys \acute{y} u Rzymian Cenzorowie czynili; możemy przynajmniej dopominać się, ażeby recenzenci dzieł i pism rolniczych ogłaszali nam słowa prawdy, nieuwodząc się uprzejmością lub innymi względami. Gdyby zamiast pochwał sypanych dziełom i pismom na to niezasługującym, młode pokolenie ziemian usłyszało z ust swoich nauczycieli, słowa zalecające nowe pojęcia postępu rolniczego; gdyby dzieła i pisma peryodyczne wskazywały sposoby badania naukowo-rolniczego, i drogi prowadzące do wypadków prawdziwych; gdyby wreszcie wykazały różnicę między badaniami naukowemi a obserwacją praktyczną: wielu zapewne szukałoby sposobów nabywania wiadomości uzdatniających do badania i dzisiaj większość rolników postępowych przeważałaby nad wyznawcami rutyny. Lecz Gazeta Rolnicza tego uczynić nie mogła. Będąc w t \acute{e} m sam \acute{e} m połozeniu co ogół rolników, nie miała siły do podniesienia się w wyższe sfery rolnictwa; nie stanęła po stronie nowych jego pojęć, które wymagały naukowego obrobienia i objaśnień; nie miała odwagi kierowania propagandą now \acute{e} j nauki: lecz zaparła się wyznania w roku 1861 powtórzonego: że rolnictwo jest wypadkiem wiadomości z nauk przyrodzonych i poszła za prądem idei dawno u nas osiedlonych. Z organu więc, któremu należało kierować sprawami rolnictwa i jego nabytki upowszechniać, stała się echem pojęć *domorosłych*, które się w korespondencyach odzywały; przez to zyskała opinią pożądaną organu czysto rolnictwu krajowemu poświęconego; lecz w oczach znawców odkryła słabą stronę, że niema jasnego pojęcia jakim wyborem środków może być rolnictwu krajowemu pożyteczną.

Ta zmiana charakteru Gazety Rolnicz \acute{e} j podobała się ziemianom, nieprzygotowanym do wejścia na drogę przez naukę Liebiga wskazaną. Życzliwi korespondenci pospieszyli z pochwałami, których treść przedstawia korespondencya ze Skwiry (nr. 22 Gaz. Rol. 1864): „nie znam pisma, któreby za tak lichą opłatę tyle korzyści przynosiło. Nikt lepiej, bezstronnie \acute{s} s \acute{a} dzić o zasługach Gazety Rolnicz \acute{e} j nie może, jak my ziemianie; a mamyż my wiele takich pism specjalnych? jedyne u nas pismo rolnicze samoistne (!) jest Gazeta Rolnicza.“ W końcu korespondent wyraża obawę: „gdy nakoniec upaść będzie musiała, gdzie my ziemianie uczący się i nauczający komunikować sobie myśli i doświadczenia będziemy.“

Gazeta Rolnicza zamieszczała te pochwały we własnych szpaltach. Redaktor odpowiadał na nie zapewnieniem udzielania *pozewnej rady w cięższych na ten raz czasach rolnictwa Polskiego*, a dla ulżenia ich prosił korespondentów wytrwałych o wspieranie tyłu pożądanemi korespondencyami i o zjednywanie więc \acute{o} j prenumeratorów (nr. 38 Gaz. Rol., 1864). Życzenia te spełniły się. Roczniki gospodarstwa krajowego przestały wychodzić: Gazeta Rolnicza mogła mieć większą liczbę prenumeratorów.

Nigdy nie byliśmy skłonni do uważania Gazety Rolniczej za organ poważny, zdolny przyczynić się do podniesienia rolnictwa krajowego; jednak można było mieć nadzieję, że zostając jedynym piśmie w tym rodzaju, potrafi ocenić ważność swego stanowiska i obowiązzków do niego przywiązanych: lecz Gazeta Rolnicza pozostała na swój drodze. Nie zajmując się poważnym rozbiorem kwestyi rolniczych, została piśmie obywatelskim, opartem na korespondencyach; otwierała ziemianom pola do komunikowania sobie myśli i doświadczeń i pisania z całym wylaniem trosk, pociech, nadziei i przygód życia ziemiańskiego. Było to niewątpliwie zbyt mało na potrzeby rolnictwa i dla godności pisma.

Wszelako przyznajemy Gazecie Rolniczej niejaką zasługę za podtrzymywanie słabego drgania myśli, obudzonej rozważaniem położenia rolnictwa; to bowiem z wolna wydobywało je ze stanu rzeźmistości, które w wykonaniu swoim wiecznie po tej samej drodze krążyło bez myśli. Umielibyśmy to dobro właściwie ocenić, gdyby Gazeta Rolnicza pozostała tylko odgłosem wrażeń i uczuć ziemiańskich, nie dawała błędnego kierunku obudzonej działalności, i nie głosiła zdań sprzecznych z dzisiejszym stanem rolnictwa. Gazeta Rolnicza popełniła błąd przeciw zwyczajom przyjętym w tym, że zostawszy jedynym piśmie rolniczym w kraju, mając być zapewniony, chciała *blógie swoje jedynactwo utrwalić*, przez targanie się bezużyteczne na wartość wszystkich dzienników rolniczych w języku polskim wydawanych. Ogłoszony przez nią *Przegląd rolniczy* zamieszczony w kalendarzu Jaworskiego na r. 1865, wszystkie pisma gani jako nie odpowiadające celowi, tylko Gazecie Rolniczej przyznaje charakter organu czysto rolnictwu krajowemu poświęconego. Krok ten łatwo naprowadza na mniemanie, że Gazeta Rolnicza chcąc uniknąć przygód konkurencyi, miała zamiar sądem sumarycznym inne pisma zdyskredytować, a ogół rolników zwrócić ku sobie jako piśmie wyższej wartości dla rolnictwa krajowego. Lecz to zdanie przeglądu stronne, pod tarczą bezimienności (X. z Lublina) wypowiedziane, w kalendarzu pod kierunkiem Redakcyi Gazety Rolniczej wydanym, jest płodem wysokiej zarozumiałości, było zbyt bezczelne; zbieg bowiem okoliczności więcej Gazecie sprzyjał niż jej zasługi. W istocie pismo to nie jest od innych bogatsze treścią, jego korespondencye nie mają wartości jaką do nich przywiązywano. Sam redaktor później przyznał (Nr 95 Gaz. Pol. 1869 roku), że między niemi jest wiele nieudatnych „wiele plew i kielków uronionych (?) w niedojrzałych i nieumiejętnych pracach.” Redakcyja mało ręki przykładła do swego wydawnictwa. „Artykuły nadsyłane puszcza bez żadnych uwag i zastrzeżeń.” Rzadkie artykuły z pod jej pióra wychodzące nie odznaczają się wyższą znajomością rzeczy i obrobiemieniem.

Jeżeli zgodzimy się na uznanie Gazety Rolniczej „za zbiornik wiadomości agronomicznej kraju (jak sama o sobie mówi), za jedyne światelko, roznoszące specjalną wiedzę w ciemno zakątki rolnictwa (Nr. 95 Gaz. Pol. 1869),” możemy zrobić uwagę, że ten zbiornik

był ubogi, światło blade, kiedy redaktor w roku 1869 przyznał, że *rolnictwo nasze stoi na niskim stopniu; rolnicy są maluczcy wiedzą z tysiąca zaledwie jeden mógłby rozumieć nową naukę rolnictwa* (Nr. 3 Gaz. Rol. 1869 roku).

Gazeta więc Rolnicza cudów nie dokazała, nie przysłużyła się rolnictwu krajowemu więcej niż inne pisma; nie miała więc prawa uważać się za organ więcej do potrzeb rolnictwa zastosowany. Przeciwnie, skutki dwunastoletniej pracy redaktora wymownie świadczą, że był nietrafnym sędzią innych pism rolniczych, kiedy własne prowadził drogą tak mało pożyteczną.

Próba przez Gazetę Rolniczą przeprowadzona, widocznie przekonywa, że w dzisiejszych stosunkach rolnictwa, kierunek czysto-praktyczny jest niekorzystnym; należy więc dać mu przewodnika w prawdach naukowych, przez teorię rolnictwa racjonalnego wskazanych; potrzeba w niej szukać środków, prowadzących do najwyższej i najtańszej produkcji, która jest *zadaniem rolnictwa i gorącym życzeniem ludzkości*. Do tego nie doprowadzą ani pocziwo rady Gazety Rolniczej, ani rady i przykłady sąsiadów; lecz dokładna znajomość potrzeb życia roślin i warunków pełnego rozwinięcia ich organizmu. Potrzeby te są jednakowe we wszystkich klimatach i na wszystkich gruntach; lecz warunki, w jakich stawiany rośliny przez nas pielęgnowane, są tak różne, jak zmiennym jest klimat, natura chemiczna gruntów i ich własności fizyczne, które w bycie roślin mają udział ważniejszy niż zwykle mniemano.

Nie możemy tu wchodzić w szczegółowy rozbiór tych rozmaitości, lecz przytaczamy wniosek ostateczny, że warunki bytu roślin są miejscowe; dopełnienie ich dla utrzymania pełnej wegietyacji (wedle miejscowości zmienne) stanowi trudną *sztukę* znajomości rolnictwa opartego na prawdach naukowych, albo *rzemiosła rolniczego*, gdy się rolnik rządzi rutyną.

Rolnik mimowolnie musi być samolubem, ponieważ nie może innym pomagać przykładem. Każdy musi działać samodzielnie; zbadanie zaś różnicy warunków jakimi rozporządza i jakich roślin wymaga, jest najważniejszem i trudnem zadaniem. Kto nie wie drogi tych dopełnień, zbiera plony jakie ziemia wydać mu raczy w stosunku tych różnic. Kto zaś posiada znajomość tego dopełnienia, ma prawo do pobierania daniny, jaka mu należy za naukę, pracę i kapitał łożony. W prowadzeniu więc gospodarstwa praktyk rządzący się rutyną, postępowaniem zawsze jednakowem otrzymuje wypadki różne; rolnik racjonalny usiłuje mieć wypadki jednakowe, to jest najwyższe, zmieniając postępowanie wedle potrzeby uznanej.

Gazeta Rolnicza byłaby miała niejaki zasługi, gdyby nie zesłała na stanowisko pisma podrzędnego, które szerzyło niechęć do wpływu na rolnictwo nasze badań naukowych zagranicznych; z drugiej zaś strony zachęcało do robienia prób i doświadczeń w kraju. Dwie sprzeczności, równie szkodliwe: odrzucać wpływ badań naukowych, z całą ścisłością w obczyźnie wykonanych, znaczy pozbawiać rolnictwo naszą jedyną pomocy, jaką otrzymać może w rozwinięciu swo-

jem; radzić *w tej chwili* robienie prób krajowych, jest to zachciewać rzeczy do wykonania niepodobnych, jeżeli w nich zażądamy całej ścisłości naukowej; albo rzeczy na nic nieprzydatnych, jeżeli będą bez ścisłości wykonane. Szerzenie tych rad między ziemianami, zbudzanie niechęci do wyższych pojęć chemii rolniczej, podnoszenie praktycznej obserwacji nad badania naukowe: są to błędy dla rolnictwa krajowego szkodliwe, opóźniają postęp, zostawiają następcom ciężką pracę łagodzenia niechęci, uprzedzeń i niewiary naukowej. Do jakiego zaś stopnia dojść może fanatyzm w popieraniu błędu przeciw prawdom najwidoczniejszym, możemy przytoczyć jako kruska białego w naszym stuleciu, obszerną rozprawę p. Adama Poniatowskiego: *O piśmiennictwie gospodarskiem w ogólności, a o Gazecie Rolniczej i Bibliotece rolniczej w szczególności.* (Ob. Nr. 221—230 Gaz. Pol. 1869).

Jest to żarliwa obrona Gaz. Rolniczej, przeciw uwagom wieśniaka nad nią poczynionym (Nr. 181—184 Gaz. Pol. 1869) z powodu sporu Redaktora Gazety Rolniczej z Biblioteką Warszawską, w którym wyraźnie się oświadcza „że mu nie idzie o artykuły teoretyczne *naszpikowane* (sic) wyższą znajomością chemii, logarytmami, potęgami, lub choćby skomplikowanymi lekarstwami wyższej weterynaryi, ale o artykuły praktyczne, jasno popularnie a treściwie przedmioty przedstawiające, tak ażeby każdy, nawet maluczki wiedzą umiał je zrozumieć i ocenić (?), korzystać z udzielonej rady lub doświadczenia. (Nr. 3 Gaz. Rol. 1869). Zdania te w ustach Redaktora pisma peryodycznego rolniczego zdawały się za nadto niewłaściwe; to skłoniło wieśniaka że dopominał się o uznanie znaczenia w rolnictwie zasad teoretycznych, które Redaktor Gazety Rolniczej zbyt nisko ocenia. Przeciw tym uwagom wypowiedzianym z całym umiarkowaniem, jakie przystoi rozprawom w kwestyach naukowych prowadzonym, wystąpił p. Poniatowski w zamiarze dowiedzenia: że tylko rutyna jest właściwą dla naszego rolnictwa i dla Gazety Rolniczej. Korzystając ze skromnego stanowiska wieśniaka, chciał mu dać z góry uczuć swoją przewagę, uprzedzając że w tej sprawie jest sędzią właściwym, ponieważ uczęszczał do trzech Uniwersytetów: w Królewcu, Wrocławiu i w Pradze; w roku 1824 poprawił błąd Oczapowskiego w obliczeniu płodozmianu; od roku 1832 zajmował się gospodarstwem na własnej ziemi 500 włók rozległej, w r. 1863 wyrozumował i przekonał się, że produkcyja tam jest niepodobieństwem i takową zwinął. W czasie swego gospodarstwa prowadzonego według własnych teorii i przekonań przyszedł do wypadków o których marzyć nie mógł. W odosobnieniu obmyślił, a teraz ze źródłami w rękę opracowuje dzieło, całą teorią Ekonomii zawierać mające. Nakoniec zwiędził północny Związek Niemiecki (Nr. 221 Gaz. Pol. 1869). Takię powagi mecenas podniósł głos w obronie zdań Gzety Rolniczej.

Nieubliżając nauce i doświadczeniu autora, zwracamy uwagę, że w trzecim dziesiątku naszego stulecia, żaden uniwersytet nie miał nawet domniemania o pojęciach dzisiaj w rolnictwie przyjętych: pomnikowe dzieło Saussura o wegietacyi leżało w zapomnieniu, ge-

niałna myśl Rükckerta o pokarmach roślin, przeszła bez śladu, chemia organiczna była ledwie w zawiązku, ch. mineralna nie mogła udzielić pomocy rolnictwu, źródła więc wiadomości rolniczych w owym czasie nie mogły być bogate i wysokiej wartości. Teorye własne i przekonania autora w praktyce zastosowane wypadły niepomyślnie, jak sam przyznaje: wszystko więc złożyło się (Nr. 221 Gazety Polskiej 1869) na osłabienie zakroju nieomyślności, którą autor przytoczeniem anteryorów chciał zapewnić swoim zdaniom. Ale naco zapuszczać się w domniemania przeszłości, kiedy tu nie idzie o biografią lecz o zdania autora! Rozbiór niektórych lepiej wyjaśni, czy właściwie sobie przyznaje powagę sędziego kompetentnego i da miarę zapasów jego nauki i doświadczenia.

W obszernej rozprawie o piśmiennictwie gospodarskiem, autor zamierzył jako jeden competens wszystkich przekonać i ostatecznie rozstrzygnąć: że Gazeta Rolnicza jest pismem nieporównanej wartości i do potrzeb rolnictwa krajowego najzupełniej zastosowaném, z czego wynika wniosek konieczny: że wieśniak w uwagach nad Gazetą Rolniczą (Nr. 181 — 184 Gazety Polskiej 1869) błądzi, niepojmując prawdziwego jej znaczenia. Dla mnie mówi autor (Nr. 222 Gazety Polskiej 1869) stała „się rzeczywiście bogatą kopalnią, w której wiele klejnotów prawdziwych wygrzebałem (Ex stercore Aennii Virgillius aurum colligebat). Wdziele mojem (dotąd nie wydanem) niema ani jednej zasady, na którąbym w niej nie znalazł dowodu. Niema błędu w obiegu któryby w niej nie był przez doświadczenie obalony; kto chce badać gospodarstwo krajowe wcałój rozciągłości, kto zechce dochodzić przyczyn naukowych postępowania rutynicznego i z tego wyciągać różne prawa; kto potrzebuje obalić przesady i fałszywe teorye, ten znajdzie w Gazecie Rolniczej zasób materyalów, faktów i spostrzeżeń nieodbitcie do tego potrzebnych.“ (Nr. 222 Gazety Polskiej 1869).

Zdania przytoczone są widocznie zbyt wygórowane, żadne pismo peryodyczne najwięcej w sprawach rolnictwa zasłużone, nie mogłoby się spodziewać tak pochlebnego panegirysty; dla tego wątpić musimy o szczerości pochwał Gazecie Rolniczej sypanych, to bowiem co już wiemy o treści i dążeniu tego pisma, nie zapowiada tak wysokiej jego użyteczności. Jednak pomimo przeciwnego przekonania nie widzimy potrzeby sprawdzać o ile pochwały są z rzeczywistością zgodne, byłaby to praca bezużyteczna w tej chwili, gdy przez wydawnictwo nowych pism rolniczych, treść Gazety Rolniczej stała się dla nas obojętną i podrzędną. Wszystko więc co autor piśmiennictwa gospodarskiego mówi o niej z rozwinięciem całego zapasu erudycji, dowcipu, przysłów polskich i łacinskih, możemy pokryć milczeniem jako rzecz dostatecznie wyjaśniona, zostawiając w rozbiórce ważną kwestyą o *znaczeniu rutyny w rolnictwie*, którą autor podtrzymuje, jedynie w celu wskazania ważności wydawnictwa Gazety Rolniczej.

Rzeczywiście kwestya ta z bliska obchodzi rolnictwo, lecz autor stanowczo ją rozwiązuje prostém oświadczeniem:

„rutyna jest jedyną drogą dla naszego rolnictwa i dla Gazety „Rolniczej“

„winniśmy wdzięczność Redakcyi Gazety Rolniczej za usiłowanie jej ustalenia (Nr. 222 Gazety Polskiej 1869).

Podając te zdania jako pewniki, autor nie widział potrzeby ich popierania rozumowaniem lub faktami, co obecnie po rozwinięciu zasad teoretycznych rolnictwa uczynić należało, wiara bowiem w rutynę mocno została zachwiana.

Że „na rutynę naszą (rownie jak każdą inną) wieki się składały“ uznajemy za rzecz aż uadto widoczną; lecz twierdzenie „że dla tego wieki jej nie obalą“, jest fałszywem prorocstwem: od chwili bowiem ścisłego zbadania naukowego potrzeb życia roślin i warunków ich rczwoju, rutyna stała się zbyteczną i przed nauką ustępuje, jak noc przed jasnością słońca.

Takie stanowcze wystąpienia w obronie rutyny przez ludzi wyższego wykształcenia, zaufanie w nie rolników praktycznych, nade wszystko jej szerzenie przez pisma peryodyczne, w epoce czynnego usiłowania, ażeby rolnictwu nadać charakter nauki na ścisłych badaniach opartej, powinno zwrócić uwagę ziemian naszych: czy takie zaniedbanie postępu rolnictwa nie przynosi straty ogółowi i nie dotyka położenia pojedynczych jego członków? Wiadomo ile obfitość płodów do zospokojenia potrzeb życia służących, wpływa na dobrobyt mieszkańców; dla tego stan rolnictwa krajowego dla nikogo nie jest obojętnym. Każdy konsument niewątpliwie ma na myśli życzenie, ażeby ziemia w ręku rolników naszych wydawała plony najwyższe, jakie wydać jest zdolną. Mamy nawet do tego niejakię prawo. Człowiek przychodząc na świat przynosi życie, z niem prawo do nabycia środków jego utrzymania, przyrodzenie ze swęj strony ułatwia mu ich pozyskanie; ponieważ warunki bytu organizmów złożyło w warstwie roli łatwo dostępnęj, powierzchniä ziemi otaczającęj. W naturalnym przeto porządku dla każdęj istoty żyjącęj, jest pewien udział ziemi do utrzymania życia koniecznęj. Poczucie tego prawa jest źródłem walki o byt, którą nietylko ludzie, ale i zwierzęta między sobą toczą. Lecz taki rozdział własności, raczęj daru przyrodzenia jest niepodobnym w układzie towarzyskim. Ziemia wprawdzie jest zdolną do wydania płodów użytecznych, lecz ich zwykłe nie wydaje bez współdziałania ludzi, to jest bez pracy. Praca więc nadaje jej wartość, i jest pierwszym prawnym tytułem nabycia ziemi pod uprawę zajętej. Do takiej pracy nie wszyscy są zdolni, chętni, lub usposobieni, dla tego w społeczeństwie zawiązaném, musi nastąpić dobrowolny rozdział na rolników i poświęcającęch swą pracę innym zajęciom użytecznym. Ci ostatni zrzekając się swego udziału w ziemi, zachowują prawo wymiany płodów pracy rolnika, do utrzymania życia koniecznych za płody pracy swego mienia: to jest zdolności fizycznych i umysłowych. Jak się dzisiejszy stan towarzyski wyrobił ze stosunków tych dwóch klass ludności? byłoby nie na swojem miejscu to rozbiierać, przestajemy więc na uwadze: że w społeczeństwie dla wza-

jemnej pomocy zawiązanem, rolnik obejmując ziemię jako własność przez pracę nabytą, zyskuje zupełne prawo do korzystania z jej plonów; lecz wraz z nią przyjmuje moralne zobowiązanie (zresztą dla niego korzystne), z przestrzeni pod uprawę wziętej otrzymywania jak najwyższej masy pokarmów i paszy, ażeby wymiana płodów pracy, była obustronnie łatwą i korzystną. Jest to jedyny środek pomyślności materialnego bytu kraju. Czy rutyna tyle zalecana może być w tym celu pomocną? Objaśni krótki pogląd na jej istotę i środki.

Dopóki nauka nie przyszła w pomoc rolnictwu, zawód ten własnym siłom zostawiony, w sobie zamknięty nie miał potrzeby specjalnego wykształcenia; był łatwym do wyuczenia się praktycznie, przez czasowy pobyt w rządém gospodarstwie, dla poznania ruchu wewnętrznego w kolei robót mechanicznych, trafnego ich wykonania i użycia pracy. Był to zawód w swoim organizmie mniej zakłóany, mniej scyentyficzny, do poznania łatwiejszy niż wszelkie inne powołanie produkcyjne, tém samém dla wszystkich dostępny. Dostyć było chcieć zostać rolnikiem. Rzeczywiście na każdym kroku widzimy że ziemia wszędzie z małemi wyjątkami jest zdolną do wydania węgietacyi mniej lub więcej rozwiniętej. Ziarno na ziemię przypadkowo rzucane lub w niej zagrzebane rozwija się, mimo przeszkód rośnie jeżeli inne warunki sprzyjają. Produkcya roślin przedstawia się jako proces organiczny samodzielny, łatwy, i jeżeli od niej nie wymagamy najwyższego plonu jaki ziemia wydać może, rolnik nie znajduje trudności w produkcji, chociaż nie zna czynników i przebiegu działań mających udział w życiu rośliny.

To zajęcie rolnika daje sposobność do uważania, ile na rozwinięcie roślin wpływa uprawa gruntu, jego własności, czas siewu, stan meteorologiczny i t. p. okoliczności, że zatem wysokość plonu zależy od pewnych warunków, których poznanie, rzecz widoczna, jest ważnem. Rolnik odgadując przyczyny tych wypadków, szukając ich związku, wyrabia sobie pojęcia albo raczej *domniemania*, które zdrowy jego rozsadek przyjmuje za objaśnienia, o jakie dopomina się wrodzona umysłowi ludzkiemu żądza poznania początku i przyczyny działań lub fenomenów widzialnych.

Materiały tą drogą zebrane, służyły za pierwsze początki pewnego rodzaju teoryi, wprawdzie mylnych, częstokroć opartych na błędnem pojmowaniu spostrzeżenia, i bez związku w zasadach; lecz koniecznych do nadania kierunku praktycznym działaniom. W zbiorze tych podań i obserwacji mieści się skarbiec wiadomości rolnika praktycznego, tak zwana *rutyna*. Ona przepisuje niezmiennie formy postępowania, wyprowadzone z miejscowych spostrzeżeń praktycznych; lecz nie wyjaśnia na czém się opierają, od czego zależą, do jakiego celu dążą? Można by więc najogólniej powiedzieć że rutyna jest naśladowaniem działania bez znajomości jego przyczyny.

Dopóki rolnik praktyczny nie miał innego przewodnika, nieśmiało zejść z drogi przez nią wytkniętej, nieprzewidując na jakąby wstąpił, z całym przeto zaufaniem poddaje się jej kierunkowi, niepojmując że

wypadki nie na polu jego doświadczeń i nie przez niego otrzymane mogą mu być pomocne. Każdą przeto nową ideę chociażby najzbawiennejszą, każdą prawdę naukową zasadam przez siebie uznawanym przeciwną, wymagającą zmiany w postępowaniu, z niedowierzaniem przyjmuje lub odpycha. Rolnik przeto praktyczny niemoże w swoim zawodzie wyrobić sobie nowęj myśli, ani wyższego o nim pojęcia w celu jego udoskonalenia; ponieważ nie może sobie zdać rachunku ze swego postępowania i z wypadków przez siebie otrzymywanych, przez to najważniejszą sprawę produkcji organizmów, pozostawia losowi. Robi jak sąsiedzi, a jeżeli przypadkowo coś lepiej się stanie, nie jest to płodem jego namysłu lub rozumowania, lecz dziełem trafu i może potem już się nie powtórzyć.

Każdy rolnik znający różnicę obserwacji od doświadczenia, praktyki racjonalnej od rutyny, chętnie się z nami zgodzi, że na tej drodze rolnictwo zbiera wiadomości mało pożyteczne. Środki obserwacji praktycznych są ograniczone; wkrótce się wyczerpują i dochodzą do kresu, na którym tylko ściśle badania naukowe odkryć mogą przyczyny faktów, dla oka zwykłego obserwatora niewidzialne. Zapewnie nikt nie przywiązuje wartości do nagromadzenia faktów lub wypadków, o których powiedzieć niemożna z jakich działań pochodzą, one bowiem wymykają się z pod władzy rolnika, jako wypadki oderwane, których przewidzieć, usunąć, albo na swoją korzyść użyć nie może.

W tych warunkach rolnictwo może się do pewnego stopnia rozwinąć z pomocą rutyny; ale niema w sobie warunków dalszego postępu; przybiera charakter ścisłego konserwatyzmu, który na niem wyciska piętno jednostajności, jak to widocznie się okazuje w porównaniu rolnictwa najdawniejszych czasów z dzisiejszém. Historia i dzieła starożytnych o rolnictwie podają jego obraz, z epoki o wiele erę naszą poprzedzającej; u ludów wyżej umysłowo wykształconych, a tém samém zdolnych do obserwacji, objaśnienia i stosowania myśli z nich powziętej.

W Grecyi na 1100 lat przed Chr. Hezyod z Akry, współczesny Homera, w dziele swoim zostawił wiele rad pożytecznych. W 800 lat później Thyrthamus z Lesbos, Teofrastem zwany, podał zasady rolnictwa wedle pojęć szkoły Aristotelesa i greckiej filozofii natury.

Jeszcze więcej zajmowali się rolnictwem Rzymianie, którzy od samego początku mieli je w najwyższém poważaniu, jako podstawę przyszłego rozwinięcia państwowego. Pierwsi mieszkańcy miasta, które miało zostać wiecznym, trudnili się wyłącznie uprawą gruntów sobie wydzielonych; nie zajmowali się rybolówstwem nawet w Tybrze, wcale nie znali żeglugi. Do najzacniejszych obywateli liczono ziemian; wstydem było przesiedlać się do miasta. Nazwanie obywatela dobrym rolnikiem, było najwyższą pochwałą. Za najpiękniejszy wieńiec obywatelski uważano z kłosów uwity. Wśród powodzenia zawsze mieli na pamięci, czego założyciele państwa od obywateli wymagali; co za najwyższą chlubę poczytywano: *bonus agricola, bonusque colonus*. Cenzor ganił złą uprawę. Wówczas (mówi Pliniusz)

pola we wszystko obfitowały; państwo było wszechwładnem. Dlaczego? Wodzowie nawet własne grunta uprawiali; a ziemia radowała się pługiem laurami wieńczonym, oraczem z tryumfu wracającym. Może oni o swoje pola tak dobrze dbali jak wojny prowadzili; albo może pod znaną ręką wszystko lepiej się udaje. *Dziwi mię że terazniejsi robotnicy nie mają tyle korzyści co dawniej wodzowie.* (Plinius 18, 2, sequ. w wyciągu).

Zamilowanie ludu rzymskiego w życiu wiejskiem, nie zostało bez wpływu. Dzieła dawniejszych pisarzy *de re rustica*, mianowicie Catona, Columelli, Varrona i t. d. świadczą: że żadna gałąź rolnictwa nie była im obca. Każdą tyle rozwinęto praktycznie, że wytrzymać mogą porównanie z gospodarstwami dzisiejszemi. To czem się rolnictwo wzbogaciło w peryodzie od Katona (230 lat przed Chr.) do czasu Thaera, to jest przez 2000 lat upłynionych, zaledwie godnem jest wspomnienia, jeżeli usuniemy przyrządy i maszyny w nowszych czasach wprowadzone.

Zdaje się więc że już w rolnictwie starożytnych, rutyna rozwinęła wszystkie środki swojej możności. Mimowolnie dopomogła do wyczerpania najżyźniejszych gruntów Italii, Hiszpanii, Sycylii i t. d. Jako niemy i bezsilny świadek ich upadku, zostawiło dzieło ich odrodzenia staraniu wyższej potęgi naukowej, zdolnej wyczytać tajemnice dla prostego obserwatora nie dostępne.

Wszelako ta słabość rutyny nie upoważnia nas do jej poczytywania jako złe rolnictwo trapiące. Nie ona szkodzi ziemianom, ale jej wielbiciele, którzy ją rolnikom narzucają, niepojmując że nie jest zdolną przewodniczyć w ulepszeniach jakich rolnictwo wymaga; że się już przeżyła i usługi jej nie mogą się porównywać z korzyściami wypływającymi z zastosowania zasad teoryi ścisłemi badaniami stwierdzonej.

Dlatego pomimo nalegań p. Poniatowskiego (Nr. 222 Gazety Polskiej 1869) nie poczuwamy się do żadnej wdzięczności dla Gazety Rolniczej za pielęgnowanie i krzewienie rutyny; lecz w przekonaniu że ludzie błędzić mogą, niekiedy umyślnie błędzą, idziemy za zdaniem które kwestyę tę bezstronnie rozbiera.

W naszym przekonaniu rutyna nie jest szkodliwą dopóki klimat i ziemia sprzyjają wegetacyi, nie żądają pomocy ze strony rolnika. Ale na nieszczęście dla ludzi, na powierzchni ziemi złe gaunta przeważają, pola zaś z żyzności głośnie powoli ją tracą. Już Katon żalił się na to, Pliniusz się temu dziwił, historycy zaś prztaiczają świadectwa upadku okolic niegdyś niesłychanie bogatych. W nowszych czasach Carey w liście do prezydenta Unii Amerykańskiej ostrzega, o wzrastającym wyczerpaniu gruntów w Stanach: New-York, Ohio, Wirginii Karoliny i t. d. Czarnoziem zaczyna czuć potrzebę nawozów, w ogóle zaś wszędzie występują ślady zmniejszenia żyzności ziemi. W tym stanie rzeczy rolnictwo musi przygotować środki przez naukę podane, ażeby jedno grunta w upadku wstrzymać, drugich żyzność podnieść.

Zadanie to jest trudnym do rozwiązania: nawet w rolnictwie racjonalnym, (tém bardziej rutyna objaśnić go nie potrafi; każdy bowiem fenomen widzialny nie jest wypadkiem jednej ale wielu przyczyn, wspólnie działających. Wynalezienie ich związku w współdziałaniu, to jest badanie, wskazuje ostatecznie źródło fenomenu lub wypadku. Drogi do rozwiązywania zagadnień rolniczych w rutynie i w nauce muszą być odmienne. Pierwsza może iść tylko drogą obserwacji; druga ma do rozporządzenia wszystkie środki badania i doświadczenia. Rolnik praktyczny uważając np. że grunt zostawiony przez rok bez obsiewu, daje po nim wyższe plony, fakt ten tłumaczy zdaniem, że *ziemia potrzebuje spoczynku*, w ciągu którego zasila się pokarmami z atmosfery, przez to nową siłę produkcyjną nabywa. Tłumaczenie to jest logiczne ale nie objaśnia. Rolnik racjonalny nie przypuszcza spoczynku ziemi; siły bowiem naturalno i cząstki materii są w ciągłym działaniu. Dlatego chemik objaśnia czas ugorowania, jako peryod czynnego *procesu wietrzenia*, który współdziałaniem powietrza, wilgoci i kwasu węglanego, na szczątki minerałów grunt składających (mianowicie krzemianów, glinki i alkali), uwalnia ich pierwiastki ze związku chemicznego i przeprowadza w związek fizyczny z cząstkami roli, z którego korzonki najłatwiej pokarm pobierają. Chemik znając te działania, wskazuje jakim sposobem to wietrzenie przyspieszyć lub ułatwić, a tém samym czas ugorowania skrócić albo go zastąpić; wreszcie objaśnia rolnika w jakich gruntach ugorowanie byłoby bezskutecznym i t. d. Rolnik praktyczny i rutyna nie mają środków do takiej analizy fenomenu obserwowanego. Dlatego nie wierzymy zdaniu p. Poniatowskiego „*że rutyna oparta na doświadczeniu* (inna być nie może) *rozwinęła rolnictwo nasze do najwyższego stopnia doskonałości* (Nr. 222 Gaz. Pol. 1869), to bowiem nie zgadza się z jej istotą, możliwością i z wypadkami doświadczenia.

Zdanie: „rutyna ziemiańska u nas wyżej stoi niż zagranicą“ jest grzecznym słówkiem zachęty dla maluczkiej wiedzy, ażeby w nich wzmocnić wiarę w pocziwe rady Gaz. Rol. i w *światło wiedzy agronomicznej, którą roznosi po ciemnych zakątkach rolnictwa krajowego* (Nr. 95 Gaz. Pol. 1869).

Pozostaje nam do przejrzania zdanie charakteryzujące krótki peryod, w którym Gazeta Rolnicza przewodniczyła naszemu ziemianstwu: peryod sprawiedliwie zasługujący na miano „*peryodu Gazety Rolniczej*.“ W nim kwitnęło schlebianie miłości własnej ogółu naszych rolników: stagnacya z powodu niechęci do korzystania z prac agronomów zagranicznych, szerzenie wstrętu do wyższych badań naukowych i nakoniec lekceważenie prac ludzi wysoko na polu agronomicznym zasłużonych. Okazuje się to w ustępie 99 (Nr. 230 Gaz. Pol. 1869) obejmującym treść dowodów p. Poniatowskiego przeciw uwagom przez wieśniaka nad Gazetą Rolniczą zrobionym. Autor w nim powiada: „Rolnictwo nasze w końcu zeszłego wieku doszło do najwyższego szczybla rozwinięcia, bez piśmiennictwa nietylko niemieckiego ale i krajowego. Anglia postępując praktycznie i drogą

doświadczenia przyszła do równego rozwoju swego gospodarstwa ziemiańskiego, chociaż jój fermerzy znają Liebiga *tylko z jego szarlataniskich nawozów* (sic).“ Nie będziemy się spierać do jakiego stopnia doskonałości doszło rolnictwo nasze w zeszłym wieku; na to niema podań statystycznych, ani wzmianki w dziełach; wątpić jednak o tém wolno z natury samej rutyny i oplakanego wówczas stanu wewnętrznego kraju. Twierdzenie że rolnictwo nasze podniosło się bez piśmiennictwa niemieckiego i krajowego jest paradoksem, który można zostawić bez odpowiedzi.

O Anglii wiadomo że jój rolnictwo w zeszłym wieku kwitnęło, i dzisiaj gorliwie nad jego wzrostem pracują. Wprowadzono w niem praktyczne przemiany systemów zagospodarowania, które obudziły uwagę cudzoziemców, a przez Thaera zostały do Niemiec wprowadzone. Do tego wzrostu przyczyniło się zamilowanie rolnictwa, w tym czasie obudzone w arystokracji królestw połączonych. Najznakomitsi właściciele ziemscy, najbogatsi przemysłowcy zamieszkując w majątkach zajmowali się ich zarządem, wspierali swoich dzierżawców i kształcili się w części teoretycznej rolnictwa i hojnie wspierali doświadczenia naukowe. Gospodarstwa usilne rozwinęły się w hrabstwach wschodnich: Northumberland, Norfolk, Leicester, gdzie lord Towanshead i lord Leicester przykład dali; lecz strona zachodnia, mianowicie Walles, większa część Szkocyi i Irlandyi na niższym stopniu pozostały. Dlatego rolnicy praktyczni bez uprzedzenia przeciw zasadom teoretycznym, szczerze przyjęli naukę Liebiga, chcieli jój prawdy w życie wprowadzić, przez fabrykacyą na wielką skalę, nawozów czysto mineralnych, wedle zasad nauki, dla każdego gatunku rośliny przygotowanych. Lecz pomysł ten, niezawodnie uzasadniony, chybił celu. Nawóz patentowy Liebiga okazał się nie czynnym albo zbyt powolnie działającym. To niepowodzenie zastosowania teoryi do praktyki było ciężkim ciosem dla nauki; zachwiało nią w zdaniu rolników praktycznych. którzy sądzili że błąd w jednym punkcie popelniony, przez pierwszego jój przedstawiciela, całą jój wartość maże. Praktycy nie przyznali błędu nie trafnemu zastosowaniu nauki, lecz z góry uznali chemię rolniczą i wszystkie jej pojęcia za bezużyteczne. *My zaś maluczcy wiedzą* dalej się posuwamy; i usiłowania męża chcącego rolnictwu podać środek potężny do podwyższenia produkcji, ośmielamy się kalać (wyrażenie autora Piśmiennictwa gospodarskiego) nazwaniem nawozów szarlataniskich. Autor Piśmiennictwa Gospodarskiego nie wiedział z jakiemi oznakami szacunku przyjmowano Liebiga w jego podróży do Anglii, sądził że fermerzy angielscy znają go tylko z jego nawozu; nabrał więc odwagi cywilnej do odzywiania się z lekceważeniem o zasługach męża należącego do pierwszych znakomitości naszego wieku. Byłto środek źle wybrany na usprawiedliwienie redaktora Gazety Rolniczej z zarzutu przez Bibliotekę Warszawską uczynionego, że czytelników swoich nie prowadzi kierunkiem Liebiga i licznego grona jego zwolenników (Bibl. Warsz. 1869); lecz pomimo tego targanie się na sławę znakomitego chemika, Angli-

cy oceniając jego zasługi w rolnictwie i przemyśle, ozdobili go medalem księcia Alberta, który jak wiadomo corocznie przyznają jednemu tylko wybrańcowi z całego grona mężów, w swoim czasie najwięcej ludzkości zasłużonych; z kroku zaś nierozważnego pozostała śmieszność porównywania dwóch rzeczy nieskończenie różnej wartości.

Zawód w rozwiązaniu kwestyi użyzniania ziemi za pomocą nawozów czysto mineralnych, dla rolnictwa tak ważnej, dał hasło do potępiania zasad teoretycznych nauki Liebiga. Wkrótce po roku 1846 okazało się mnóstwo pism przeciw nim wymierzonych. „Zabawnem jest czytać (mówi Grouven) jak jeden drugiego w tym przedmiocie przepisywał, jak ci ludzie bez względu, czy mają powołanie, sądzili prace wielkiego chemika jakby szło o powszednią sprawę rolnictwa. Pociesznem było patrzeć jak na uczono-poważnych lub liściościwych minach malowało się uczucie zwycięstwa, tém widoczniej im dłużej Liebig ociągał się z wystąpieniem przeciw tym pismidłom. Jego dziesięcioletnie milczenie od r. 1846—1855 uważano za przyznanie porażki, za źródło tryumfu dla przeciwników i wielkiej masy ich ślepego stronnictwa; przyszło wreszcie do tego, że każdy półmędek, każdy osioł sądził się upoważnionym do kopnięcia lwa przypuszczalnie umarłego (Grouven, Vorträge i t. d. k. 47). Ktokolwiek poznał postęp nauki nowego rolnictwa, ten przyzna że błąd w przygotowaniu nawozów mineralnych popełniony, był koniecznym następstwem mniemań w owym czasie panujących. Powszechnie przypuszczano że pokarmy roślinne muszą być w gruntach rozpuszczone ażeby mogły być przez korzonki wciągane; że zaś w tym stanie deszcze łatwo je wypłukują, Liebig zapobiegając stratom ztąd wynikającym, usiłował materye alkaliczne w swoim nawozie uczynić nie rozpuszczalnymi. To było powodem że nie zaraz działa.

Gdyby władza absorbcyjna gruntów przez Thompsona i Way'a odkryta, była wcześniej znaną, Liebig uniknąłby błędu popełnionego w przygotowaniu swego nawozu; metodyczne użycie materyi mineralnych do użyzniania ziemi byłoby wcześniej w rolnictwie wprowadzone. W dalszym ciągu ustępu 99 p. Poniatowski twierdzi „że pisma niemieckie, *choćby ostatnie wydanie Liebiga*, obmyślano w innych okolicznościach i warunkach niż są nasze, nie mogą być kierownikami naszego ziemiaństwa“ lecz nie daje powodów dla czego tak o nich sądzi. To upoważnia nas do przypuszczenia że niepoznał bliżej dzieła Liebiga, to bowiem nie zajmuje się szczegółami rolnictwa jako gałęzi przemysłowej i technicznej, ale rozbiera ogólne prawdy teoretyczne, których poznanie jest równie ważne dla rolników wszystkich krajów. Niewłaściwie przeto autor zarzuca dziełom niemieckim, że dla naszych ziemian są nieużyteczne, owszem radzimy je studyować z uwagą, dzisiejsza bowiem teoria naukowa rolnictwa zrodziła się w Niemczech i Niemcy usilniej niż inne narody dzisiaj jeszcze pracują nad jej rozwinięciem.

Autor wreszcie kończy swój ustęp trafną uwagą „że dzieła niemieckie dają tylko ziemianom praktycznym materyał i pobudki do myślenia, rozumowania, wyprowadzenia przestrog, czynienia prób

i doświadczeń“ lecz te prawdy zamyka fałszywym zwrotem „jeżeli à priori przez zdrowy rozsądek ziemian odrzucone jako niepraktyczne nie będą“ w nim bowiem przemawia zarozumiałość pochodząca z błędnego pojmowania stanu dzisiejszych badań chemiczno-rolniczych. Wszelkie podania w dziełach agronomów niemieckich, są wypadkiem ścisłych doświadczeń; nie można więc ich odrzucać à priori z pobudek przez zdrowy rozsądek podanych; w sprawach bowiem doświadczenia tylko fakta mają prawo przemawiać, zdrowy zaś rozsądek prowadzić może przez najlogiczniejsze rozumowania, do najfałszywszych wniosków. Że gałązka wierzby zważona, rosnąc przez lat kilka w ziemi oznaczonej wagi i samą wodą destylowaną polewana, powiększyła swoją wagę o 146 uncyi, gdy ziemia tylko 2 uncyi straciła: von Helmont zgodnie ze zdrowym rozsądkiem wnioskował, że rośliny samą wodą żyją: kto dzisiaj w to wierzy?

Thaer uważając że na gruntach Möglinu kości nie podwyższały plonu zboża, wnosił zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, że na polach Niemiec fosforan wapna jest nieużytecznym, chociaż jak wiadomo należy do pierwiastków w życiu rośliny najważniejszych. Sprzeczność tę Correnwinder objawił doświadczeniem, a teoria żywienia się roślin przyczynę tłumaczy.

Uwagi autora o piśmiennictwie gospodarskiem przeszliśmy nieco obszerniej, są bowiem w zbyt rażącej sprzeczności z pojęciami o warunkach, do rozwinięcia rolnictwa dzisiaj wymaganych. W krajach wyżej od naszego w tym przedmiocie posuniętych, w literaturę rolniczą bogatszych, możeby przeszły w tłumie innych niespostrzeżone; uważanoby je za anachronizmy ciekawe, które rolnicy poważni z usmiechem na ustach przerzucają zostawiając je w zapomnieniu; ale u nas gdzie *Gazeta Rolnicza po kilku latach pocziwój pracy* zostawiła liczny zastęp maluczkiej wiedzą, darząc *ziemian światelkiem agronomicznej wiedzy, zastosowanej do prostoty naszego rolnictwa*; do niskiego stanu wiedzy rolniczej, *pozbawionej wspólnego ogniska i odpowiedniej potrzeby*. (Uwagi ziemianina Nr. 95 *Gazety polskiej* 1869), u nas, mówię takie kontrasty naukowe mogą poczytywać za prawdy zbawienne, i gasić zaledwie wschodzącą jutrzenkę nowej nauki rolnictwa. Dla tego sądziliśmy za rzecz konieczną, powiedzieć kilka słów ostrzeżenia i zwrócić uwagę ziemian, czy nie za zbyt wczesnie każą nam ufać we własne siły, wyrzekać się korzystania z prac obcych, w zamiarze zastąpienia ich przez obserwacye i doświadczenia krajowe, do których nas niedostatecznie przygotowanych popychają pocziwne rady wątpliwych doradców? Czy nie byłoby korzystnieć, zamiast zabierać się do szukania rzeczy dobrze znanych, nieodrzucać znajomości faktów i nabytków dla nauki już pozyskanych przez obcych; a tymczasem niezaniebwywać usiłowań wyrównania im w próbach i doświadczeniach, tudzież w trudnej znajomości korzystnego ich stosowania w praktycznym użyciu?

Pytanie powyższe nastęrcza nam tegoroczny program *Gazety Rolniczej*, zawiadamiającej, że w roku 1872 wychodzić będzie „*jak zawsze z zamiarem służenia pocziwio rolnictwu krajowemu*“.

Oczekiwaliśmy w nim oświadczenia zamiaru pracowania *szczerze i pożytecznie* dla ogółu, coby niewątpliwie nastąpiło, gdyby redakcja nie nabyła przekonania że nie powinna zmieniać swego programu; „lepiej bowiem (jak mówi) posiłkować się współpracownictwem wszystkich niemal najcelniejszych gospodarzy kraju i mieć na pierwszym względzie sprawy krajowe, niż *posiłkować się tłumaczeniem z pism obcych, rzeczy nie zawsze do potrzeb rolnictwa krajowego stosownych i nie dla każdego dostępnych.*

W tém oświadczeniu widocznie się przebija wpływ dialektyki autora piśmiennictwa gospodarskiego, który redakcyę Gazety Rolniczej utwierdził w przekonaniu, po części może już zachwianém. Każdy rolnik rozsądny przyzna, że Gazeta Rolnicza postępując tą drogą, wyrządza krzywdę rolnictwu krajowemu, ponieważ je pozbawia wszystkich zdobyczy pracą uczonych i agronomów Francyi, Niemiec i t. d. dla rolnictwa zyskanych. Redakcja wystawia sobie rolnictwo nasze jakby odosobnione w Europie, postawione w wyjątkowych stosunkach; kiedy dzisiaj już weszło do ogólnego nastroju i może się na wzór innych rozwijać. Wprawdzie rolnictwo jest pod wpływem miejscowości, lecz wyrównanie ich różnic, wyjąwszy klimat, którym rolnik rozrządzać nie może, należy do zwykłych zadań rolnika; prawie zawsze jest w jego mocy i stanowi cechę jego uzdolnienia.

Jak dalece Gazeta Rolnicza polegać może na współpracownictwie wszystkich niemal najcelniejszych gospodarzy kraju, przyszłość okaże. Najważniejsze kwestye rolnicze już rozwiązano, pozostają do rozbioru pytania szczegółowe; nie wątpimy że są w kraju gospodarze zdolni i wyżej wykształceni, ale czy czas i okoliczności pozwolą im zająć się pracą z poświęceniem, ażeby miała znaczenie i była pożyteczną? Dla tego radzimy redakcyi odstąpić od programu i obok gospodarzy krajowych dopuszczając do szpalt Gazety prace licznego zastępu uczonych agronomów zagranicznych, to bowiem uwolni najcelniejszych gospodarzy krajowych od pracy zbytecznej, odrywającej od obowiązków rolnika i obywateli, pismo zaś dostarczy rzeczy wprawdzie obcych, ale mimo to dla rolnictwa naszego pożytecznych.

Gazeta Rolnicza powinna by sprobować naszej rady, ma bowiem w składzie swęj redakcyi niejaką pomoc w tym rodzaju. Współpracownik jęj p. Rewieński podając w odczycie grudniowym gładki obraz ogólny rolnictwa, dał poznać że wiadomości z nauki Liebiga nie są mu obce; mógłby więc prace w duchu jego pojęć z pism zagranicznych tłumaczyć lub w treści zamieszczać. Takie ulepszenie chętnie powitamy; mamy nawet prawo dopominać się od redaktorów pism specjalnie rolniczych, ażeby zamiast *jako kto może*, uznali potrzebę pracowania *jak należy* dla pożytku rolników. Wynagrodzenie to należy nam przedewszystkiem od Gazety Rolniczej, która przez lat jedenaście okrywała rolników krajowych sukmaną z samodziału i powinna by uczuć, że czas już nadszedł, ażeby nietylko siebie ale i nas odziała w tużurek elegancki z sajety (porównanie wzięte z odpowiedzi re-

daktora Gazety Rolniczej, na uwagi rolnika: obacz Nr. 95 Gazety Polskiej 1869), przywoitszy dla ziemian krajó w ucylwilizowanych.

Tego postępu żądamy od Gazety Rolniczej, domagać się będziemy szczególnież od Tygodnika Rolniczego, który z wiarą w powodzenie, zabiera się do pracy na niwie dla rolników drogiej, zawsze wdzięcznej gdy rozumieją jej żądanie i gotowi są je spełnić; od niego spodziewamy się objaśnienia jej tajemniczój mowy, i tłumaczenia gdy się staje niezrozumiałą. Jak Tygodnik Rolniczy wyjdzie z tego zadania? dzisiaj nie należy nam przewidywać; jednak sądzimy że nie pójdzie śladami Gazety Rolniczej: z tą bowiem dążnością byłby obok niej zbytecznym; nadto doświadczenie tego nie radzi. Przeszłość od roku 1864 zostawiła zbyt nie korzystne wypadki (małuczki wiedzy, prostotę rolnictwa, niski stopień wiedzy rolniczej, obacz Nr. 95 Gazety Polskiej 1869) ażeby mieć odwagę do jej naśladowania. Pozostaje więc dla Tygodnika Rolniczego przyjąć charakter praktyczno-naukowy. Na tej drodze może nieść rolnictwu znakomite usługi, przez ułatwienie ziemianom poznania dzisiejszego stanu rozwinięcia, naukowóm objaśnieniem ważnych zadań w każdej jego gałęzi. Tym sposobem przygotowuje ziemian do korzystania z wiadomości w ciągu postępu podawanych. Każdy rolnik przyzna, że dla niego ważnem jest poznanie szczegółów teoryi żywienia się roślin, zasad używania gruntów, nauki o nawozach i ich użyciu, o uprawie ziemi, o wpływie gruntów na życie roślin i t. d. i t. d., ponieważ bez dokładnej znajomości prawd w tym przedmiocie wyjaśnionych, rolnik nie osiągnie głównego celu: najwyższój i najtańszój produkcyi, albo bezużytecznie silić się będzie na utrzymanie wypadków, w naturalnym rzeczy porządku niepodobnych.

Uzupelnienie tego braku w naszym wykształceniu rolniczym jest koniecznością; dotąd bowiem takie wyjaśnienia naukowe uważano za zbyteczne, dając ziemianom *pozcziwą radę*, ażeby przez jakąś intuicyą sami z siebie wydobywali prawa i tajemnice, dostępne tylko bystrzej obserwacyi, głębszej znajomości praw przyrodzonych i biełłości w badaniu.

Tygodnik Rolniczy położy zasługę nieocenioną, jeżeli nasze wiadomości rolnicze zrówna z ich rozwinięciem w obczyźnie; chcąc tego celu dopiąć, nie może się ograniczać samym rozbiorem spraw domowych naszego rolnictwa, lecz idąc za postępem winien podawać wiadomości o wszelkich nabytkach gospodarstw krajów sąsiednich. Tą drogą wzbogaci rolnictwo krajowe faktami uznanemi, otworzy mu przyszłość światłem nauki rozjaśnioną, a tém samym pewniejszą. Ale czas w rolnictwie jest drogi: co się nie wykona wo właściwej porze, nato cały rok czekać potrzeba. Niech się więc Tygodnik szczerze zabiera do pracy; bez ociągania czerpie wiadomości w bogatych zapasach pism obcych. Jeszcze długo czekać będziemy na próby i doświadczenia krajowo, wyrównyujące pracom agronomów zagranicznych; bez ich zaś pomocy nie postąpimy naprzód, lecz pozbawimy się

korzyści, jakie obcy ziemianie, nawet rolnicy do nas przybywający, z wyższego wykształcenia odnoszą. S. Zdz. . .

Warszawa, w styczniu 1872 r.

Dodatek miesięczny do Gazety Lwowskiej, poświęcony historii, statystyce i ekonomii krajowej. Redaktor odpowiedzialny Adolf Rudyński. Nakładem wydawnictwa Gazety Lwowskiej. Lwów, z drukarni E. Winiarza 1872 roku (w 8ce), cena całorocznej prenumeraty zhr. cztery.

Przy wydawanej od kilkudziesięciu lat Gazecie Lwowskiej, wychodziły najprzód dodatki p. n.: *Rozmaitości*, poświęcone wyłącznie treści literackiej i w formacie takim (w 4-ce) jak Gazeta. Następnie powiększyły ten format i zaczęły wychodzić w pokroju arkuszowym mieszcząc w sobie dyplomata i przywileje, do różnych miejscowości w Galicyi przywiązane, jak i opisy tychże miejscowości. a zarazem ustępy z bibliografii Karola Estrejchera, którą teraz w całości sam wydaje w oddzielném dziele.

„Od roku 1851 - 1862 (czytamy w słowie wstępném) a następnie po pięcioletniej przerwie przez dwa lata, mianowicie od lipca 1867 do końca czerwca 1869 roku, wychodziło *pod auspicjami* Jego Excellencyi c. k. namiestnika Agenora hr. Gołuchowskiego przy *Gazecie Lwowskiej* p. n.: *Dodatku Tygodniowego*, pismo, którego zadaniem było uzupełnienie bieżących wypadków, dawać przede wszystkim ile możności, dokładny i szczegółowy obraz rozwoju i postępu instytucyj krajowych, ku czemu służyły ogłaszane w rzeczonym *dodatku*, wykazy porównawcze oparte na danych statystycznych u źródła czerpanych.”

Ze zbiorów w pomienioném piśmie drukowanych przywilejów, powstał *dyplomatarjusz miasta Wieliczki*, o którym już pismo nasze w zeszycie majowym roku bieżącego złożyło sprawozdanie.

W miejsce dawniejszego *Dodatku Tygodniowego* zaczął od stycznia roku bieżącego wychodzić zeszytami co miesiąc, ten *Dodatek miesięczny*, jak wyraża wcale nie po polsku p. redaktor: „*Pod auspicjami i za impulsem Jego Excellencyi pana Namiestnika Agenora hrabi Gołuchowskiego z zachowaniem dawnego programu, w tej nadziei, że praca ta przynajmniej poniekąd zdoła zapełnić lukę, jaka czuć się daje w publistyce krajowej, a przyczyniając się w ten sposób do dokładniejszego wyświecenia obecnych stosunków kraju i świetnej niegdyś jego świetności, przyniesie nietylko chwilowy ale pod względem krajoznawstwa może i donioślejszy pożytek.*“

Trzy zeszyty mamy właśnie za pierwszy kwartał roku bieżącego. Rozpoczyna rozprawa: *Wychowanie publiczne. Stan szkół w Galicyi*. Z niej się dowiadujemy, że dziewięć istnieje seminariów nauczycielskich. We Lwowie i Krakowie męskie i żeńskie, a same męskie w Rzeszowie, Przemyślu, Stanisławowie, Tarnopolu i Sączu. Wszystkie są zapełnione, zarówno jak żeńskie. W Krakowie więcej liczy kandydatek stanu nauczycielskiego aniżeli tamtejsze seminaryum męskie. To powinno zwrócić uwagę *Rady szkolnej*, ażeby starała się wychowanie elementarne, które w Galicyi tak tępo idzie i oświatę ludową oddać w ręce kobiet, i w tym względzie pójść za przykładem Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ze sprawozdania dr. *Hippeau* wysłanego przez rząd francuzki jeszcze w roku 1868 za ministra Duruy'a ogłoszonego pod napisem: *L'instruction publique aux Etats-Unis*. Paryż 1870 (streszczonego zaś w *w Kłosach* w nr. 315 przez J. T. Hodi) widzimy, że w 22 Stanach Rzeczypospolitej, na 63,600 nauczycieli, jest 135,250 nauczycielek; okazało się bowiem, że mają więcej od mężczyzn zdolności i taktu, w zarządzie szkolnym i prowadzeniu wykładów. Znają to dobrze praktyczni Amerykanie. Nadintendent p. Rice w Nowym Yorku, wyrzekł następujące zdanie w powyższym dziele przywiedzione: „Kobieta posiadając więcej od nas przenikliwości, zna lepiej serce ludzkie. Do przekonania młodego pokolenia, łatwiej trafić jej językiem uczucia jak mężczyźni ścisłymi wywodami logiki. Lekka a czuła jej wymówka, magicznie oddziaływa na młodzież, i nigdy mężczyzna nie dorówna trafności, godności i łagodności środków, jakie ona dobięra, gdy chodzi o wprowadzenie błądzącego na drogę obowiązku i sumienia. Wszędzie, gdzie kobiety zarządzają szkołą, zauważyłem w uczniach serca tklive, obyczaje surowe, umysły żywe i subtelne: nie mówię już nic o szczerzej, naturalnej, z głębi duszy płynącej delikatności, która się pod wpływem nauczycielek wytwarza. Śmiało twierdzą, że jeżeli co niezawodne, wychowanie samo jedno potrafi nareszcie z ludzi dzisiejszych zrobić ludzi w całym pięknu i wysokiem pojęciu słowa, to ztąd dla mnie nieomylny wypływa wniosek, iż przyszłość ludzkości spoczywa w rękach kobiety.“

Wracając do Galicyi: z pomienionej rozprawy widzimy smutny w niej wielce stan oświaty ludowej, pomimo całej możności jej rozkrzewienia; w jednych bowiem powiatach na 1000 mieszkańców wypada 58 uczi, w innych jak *Tarnobrzekim*, zaledwie czteremastu!

Szkółek stałych, tak zwanych *trywialnych*, o jednym nauczycielu jest 1961, co na ludność półszosta miliona, jest przerażająco mała cyfra. Rozprawa, o której mówimy, ogólną cyfrę szkół ludowych wszelkiej kategorii w Galicyi podaje na 2476, ale w tych do pięciuset nie jest jeszcze uregulowanych ani zabezpieczonych pod względem funduszu.

Oprócz *Rady szkolnej*, utworzyło się *Towarzystwo Oświaty Ludowej*. Na licznym zebraniu w Krakowie w roku 1869 byliśmy

obecni i z podziwieniem nie znaleźliśmy w niem ani jednej kobiety, chociaż wielu z poważniejszych ziemian, dzieliło to przekonanie, że bez pomocy kobiet i ich współdziałania, wszelkie narady są bezowocne.

Ustawa z 9 kwietnia 1870 roku, professorom szkół *średnich* zapewniła byt przyzwoity, ale uposażenie nauczycieli szkółek elementarnych jest tak szczerze że się utrzymać nie mogą. Rada szkolna położyła już nie małe zasługi, ale swą działalność nie rozwinęła z należytą energią. Kiedy ją ujrzymy, czas późniejszy dopiero okaże.

W wydanych zeszytach z ważniejszych artykułów pod względem ekonomicznym, mamy: „*Produkcya rolnicza w Galicyi wschodniej*.“ „*Materyały do Statystyki Galicyi*.“ „*Pogląd na ruch handlowy w 1870 roku*.“ „*O rozszerzaniu się maszyn i narzędzi dla gospodarstwa wiejskiego w Galicyi*.“ „*Nasciarze*.“ „*Galicyjskie Towarzystwo ziemskie*“ i „*Ludność Galicyi według opisu z 31 grudnia 1869 roku przez dr. Tadeusza Pilała*“ docenta Uniwersytetu lwowskiego.“ Ta ostatnia praca, naukowo obrobiona, ciekawe i pouczające przedstawia nam cyfry. Z ostatniem dniem 1869 r., cała ludność na obszarze Galicyi i W. Księstwa Krakowskiego: obejmującym 142,578 mil kwadratowych geograficznych, wynosiła 5,444,689 osób. Jak ta ludność szybko wzrasta pokazuje statystyka. W roku 1857 ludność wynosiła 4,597,470: w przeciągu przeto lat dwunastu i dwóch miesięcy do końca roku 1869 wzrosła o 820,546 osób. Ten sam wzrost znakomity widzimy i w większych miastach Galicyi. Lwów liczył, w roku 1857 mieszkańców 70,384, w roku 1869 mieszkańców 87109. Ludność tego miasta zwiększyła się o 16725 osób. Kraków w roku 1857 miał mieszkańców 41086; w roku 1869 liczył 49835: więcej o 8749 osób. Wzrost ten w obu miastach już dziś znakomicie się podniósł. Ludność obca, bardzo małą cyfrę stanowiła, bo tylko 22655. Najliczniejszy tu zastęp był Czechów.

Z monografii historycznych, mamy tu opis *Boryniczy*: dokumenta dawniej *Ekonomii Samborskiej* i dokumenta z archiwów aktów grodzkich i ziemskich b. województwa krakowskiego.

W artykule p. n. *Nasciarze*, szukaliśmy wiadomości pouczających o kopalniach ziemnego oleju, o tém bogactwie natury, w który tak hojnie Galicyę Opatrzność uposażyła, ale w miejsce poważnych wskazówek i cyfr statystycznych, znaleźliśmy tylko pobieżną belletrystyczną wzmiankę. Pisarze galicyjscy, w utworach scenicznych, przedstawiają nam nagle biedaków spanoszonych milionami, gdy w ich opuszczonej posiadłości odkrywają się przypadkiem źródła nafty: z pomienionego artykułu nie nabieramy o tém żadnego wyobrażenia. Autor wspomina tylko pobieżnie dwie kopalnie w *Borystawiu* i *Bóbrce*.

„Na Borysławskiej równinie, pisze, dziwnie przykre przeżywa nas uczucie, uczucie któregośmy zwykli doznawać, gdy się pozbawimy tej barwy zielonej, i tego życia roślinnego, stanowiącego jej najpiękniejszą ozdobę.“

Z niechęcią się więc odwraca od tej doliny, a przystępuje do opisu obfitęj kopalni nafty w wioseczce *Bóbrka* w Krośnieńskim powiecie, mila od *Dukli* a półtoręj od miasteczka Krosna. Za szerokim wąwozem, z lekką drzew osłoną ciągnie się szereg nafcianych studzien, przynoszących więcej zysku, aniżeli wielkie łany złotej pszenicy. Zapach nafty zapowiada bliskość kopalni; psy szczególnie legawe uciekają z tych miejscowości, gdy zajacem nie wadzi.

Sto i sto kilkadziesiąt łokci trzeba kopać i wiercić w najtwardszym nieraz kamieniu, niezrażając się ani źródłami zaskórniemi wody, ani silnemi wyziewami nafty odurzającemi pracowników. Wybuchy gazowe często ich zabijają, ale już się z niebezpieczeństwem oswoili. Parobek na miesiąc zarabia po kilkadziesiąt guldenów.

W *Bóbrce* robotnicy mają kasę zaliczkową i rodzaj kasy oszczędności, którą urządził właściciel dystylarni nafty p. Łukaszewicz. Zaprowadził on ład i porządek, oraz troskliwą opiekę nad pracującymi dla podniesienia ich moralnego; to też usiłowania jego, najpomysłuięjszy uwieńczył skutek; gdy w innych miejscowościach na Karpackiem podgórzu, arendarze żydzi, cały zarobek nafciarzy, chowają do kieszeni, a robotników rozpałają.

Całe podgórze od *Dukli* aż po *Sącz*, roi się prusakami, co pragnęli opauować zyskowne kopalnie nafty, ale mnóstwo ich, nieobznajomionych dobrze z tém przedsiębiorstwem, potraciło nie małe już kapitały, i cofają się z pustymi workami napowrót do siebie, wyzrekając się swoich *cywilizacyjnych* zapędów do Galicyi.

Przedmiot ten byłby wielce zajmującym, gdyby nam autor, chociaż jednego zakładu jak np. w *Bóbrce*, dał statystyczny obraz ilości dobytej nafty, kosztów nakładu i zysków ze sprzedaży.

W rozprawie „*Produkcya rolnicza w Galicyi wschodniej*“ mamy tylko zebrane cyfry statystyczne, z części Galicyi, albowiem brak ich z W. K. Krakowskiego. Ważniejsze cyfry ogólnego zbioru przytoczymy z roku 1871:

Pszeniczy	zebrano	korey	2,120,428
Żyta	„	„	3,217,650
Jęczmienia	„	„	3,017,320
Owsa	„	„	5,008,964
Kukurydzy	„	„	257,649
Kartofli	„	„	6,970,198

Bardzo mało w stosunku żywności i obszarów wyprodukowano rzepaku, buraków, lnu, konopi i chmielu. Cyfry to wymowne ukazujące dokładnie, w jakich kierunkach należy podnieść i rozwinąć gospodarstwo rolne, o którym w ogóle powiedzieć można, że jest w zaniedbaniu i opuszczeniu. Wykazuje to zaniedbanie i małe rozpowszechnienie użytecznych narzędzi rolniczych (jak to widzimy w 2-gim zeszytcie *Dodatku*), ale z pociechą przyznać trzeba,

że przekonanie o ich koniecznym użyciu coraz się rozszerza. Fabryki narzędzi i maszyn rolniczych miejscowe, a jest ich kilkanaście już dziś zastarczyć żądaniom nie mogą; wiele maszyn i narzędzi dostarczają fabryki Lilpopa z Warszawy i Cegielskiego z Poznania. Aby żądaniom licznym odpowiedzieć, przed kilkoma laty zawiązała się spółka komisowa dla rolnictwa i przemysłu rolniczego pod firmą *Krasiński i Krański* we Lwowie, która dostarczając gospodarzom wiejskim narzędzi rolniczych na kredyt trzech-letni, w sześciu ratach spłacany, przyczyniła się potężnie do rozszerzenia maszyn rolniczych w naszych czasach.

Obok tak pomyślnego zwrotu do podniesienia rolnictwa w Galicyi, smutne stają nam przed oczyma w tymże samym zeszytce sprawozdanie z *fundacyi imienia Karola Szajnochy*. Zaraz po zgonie tego pisarza, gorliwie zajęto się zebraniem funduszu, kładąc w pierwszym rzędzie utrzymanie rodziny ś. p. Szajnochy, w drugim wsparcie dla zubożałych literatów krajowych. Owóż przez L. Sapieha, w końcu swego sprawozdania donosi, że przez cały przeciąg 1871 roku, fundacya pomieniona nie została zasiloną żadnym datkiem.

Wł.

„Co Bóg dał.“ *Wydał F. M. Ejsmont, Ozdobione rycinami A. A. Ejsmonta. Z godłem na czele I. U. N.:*

„Niech ktokolwiek, pracując bądź w jakim zakresie, Do wspólnego ogniska swą iskrę przyniesie.“

Kijów. W drukarni uniwersyteckiej 1872 (w wielkiej 8-ce str. 367).

Zbiorowe to pismo miało już poprzednika w podobnym dziele wydanem w Kijowie i w tejże drukarni w roku 1870 p. n. *Kwiaty i Owoce*, pod redakcją *Ignacego Trusiewicza*: obszerniejszych jest rozmiarów od pierwszego, i odznacza się dodaniem nut i rycin litografowanych. Na czele czytamy wiersz następny, napisany widać przez jednego z życzliwych wydawcy a poważnego wiekiem.

„Kto z Bogiem, Bóg z nim“ to stare przysłowie
 Nam przekazali w spuściznie przodkowie;
 Oni to niegdyś, gdy co poczynali,
 Imienia Boga do pracy wzywali;
 Nie szemrząc na los, na troski w zły chwili,
 W pokorze ducha szczerze pracowali:
 Za to, co Bóg dał, dzięki przynosili,
 A z plonów zżętych braciom udzielali.

Żeś dał ten tytuł na swoim wydaniu,
 W celach czci godnych, mój skromny młodzieńcze,
 Wzrosła nadzieja w naszym przekonaniu,
 Ze Bóg swą łaską twą pracę uwieńczy.
 Czyjeby usta z tej myśli szczydziły,
 Tak im odpowiem: Szanowni Rodacy!
 Przykład, zachęta, — to są nowe siły,
 Dobrych dążności w literackiej pracy.
 Ta wzniosła praca niech u nas nie gaśnie,
 To cel młodzieńca, to jego myśl właśnie.
 Wszystko się zmienia: on nie zmienił tego
 Uczucia przodków: dla dobra współbrata
 Z pod serca wyjął, co miał najlepszego,
 I rzekł: „Co Bóg dał“ czém chata bogata!“

Wydawca razem tu pomieścił utwory pióra dawnych i znanych pisarzy, z pracami po raz pierwszy występujących. Znany chlubnie w literaturze naszój pod pseudonimem *Antoniego Nowosielskiego* p. Marciukowski, podał tu dwie rozprawy swoje: *O materializmie w nauce i życiu* (artykuł skrócony) i *Milosierdzie: stro- na czynna potęgi miłości*.⁴⁴

Wszystkie artykuły w tém piśmie pomieszczone są drukowane bezimiennie, ale korzystamy z objaśnienia, jakie nam udzielił Redaktor w nadesłanym egzemplarzu, dopisując nazwiska autorów przy każdym.

Zwraca tu uwagę obok powyższych, rozprawa I. Kotkowskiego p. n. „*Przedmiot, znaczenie i cel nauki geografii*“ wktórej jasno i gruntownie rzecz swą autor wyklada.

Benedykt Dołęga, współ-redaktor dawnój *Gwiazdy* (w Kijowie wydawanój przed laty): dał, „*Obrazek jeniálnego oficyalisty*.“ wybornie skreślony, przedstawiając nam typową postać pana *Piusa herbu Doliwa Chrząkalskiego*, zwanego pospolicie *Kauzyperdq*, a oficyalisty we dworze Nowosiółkowskim, dziedzictwie właśnie literata Antoniego Nowosielskiego. Jest to artykuł takiój wartości, że dla każdego pisma może być požądanym.

Pomijamy drobniejsze utwory prozy, ale przypomnieć nie możemy, rozprawy wstępują p. n. *Rodzina*, którój znaczenie w każdym narodzie i społeczeństwie autor wymownie określa.

Do utworów poetycznych większych rozmiarów, należy udany przekład Adama Pługa, z „*Legandy Wieków*.“ Wiktora Hugo *Ratbera*. Lubo tłumacz ma cały ten poemat wykończony, podaje tu tylko trzecią część, dwie pierwsze opuszczając, jako mniej poetyczne, a przeznaczone jedynie na to, aby scharakteryzować feudalnych władców ówczesnych, których licznym orszakiem otoczywszy poeta *Ratbera*, właściwemi sobie a ostrymi zarysami, maluje ich bezecne postacie. Z oryginalnych zwraca uwagę: „*Mysza wieża. Misteryum z dziejowych podań*“ napisane wierszem białym. Na czele czytamy: „za przedmowę.“

„Pomiędzy papierami oddawna zmarłego mego krewnego, niegdyś ucznia szkoły Winnickiej utrzymywanej przez WW. OO. XX. Jezuitów, znalazłem spory poszyt z takim napisem: „*Post fata* ś. p. Augusta III ur. 1764, w dzień święta Trzech Króli, zebrała się gromadnie szlachta do miasta Winnicy dlasądów Kapturowych, i dla uprzednich porozumień się względem wyboru króla. Po solennem nabożeństwie X. Rektor WW. OO. Jezuitów zaprosił znaczniejszych *personalów* do siebie na śniadanie, i wśród innych rozmów rzecz wytoczyła się o tém, co u wszystkich było na myśli i sercu, to jest, kogoby wybrać na króla: Piast u wielu był na języku, ale i za synem zgasłego króla, nie jeden się głos odezwał. Otwartszy od innych, a niepospolitę elokwencyi F. P. Miecznik Chołoniewski, zwracając się do X. Rektora rzekł:—„Gdybyc to wielebni ojcowie z ambony do braci szlachty przemówili i zachęcili, by dawszy pokój tym *szoldrom*, pamiętali na kość z kości i na krew z krwi naszej, niezawodniebyśmy *unanimiter* Piasta wybrali!“

Na to X. Rektor.

— „Ambona nie dla celów politycznych: zachęcać J. Panów braci do jedności i zgody, naszym jest obowiązkiem, ale doradzać lub upominać, wybierzoie tego a nie tego, bo ten taki, a ten owaki, *wara!* a nuż utrzyma się kandydat przez nas odradzony, wtedy nie spysznałyśmy się mieli. Jest w naszym zgromadzeniu młody professor poeta i historyk, ten oddawszy się odczytywaniu kronik, wiele rzeczy ciekawych wyrozumiął, odkrył i spisał, i te w kształcie *mysteryów*, ku nauce i zabawie naszej młodzi szkolnej, a nawet nas samych były w naszym *teatrum* przedstawiane. Otóż i teraz przez cały *mięsopest* dobrańsza młodzież te misterya odegrywać będzie, najuprzejmiej Waszmość Dobrodziejów upraszamy, aby swą *frekwencyą* nasze *teatrum* zaszczycić raczyli, a może tóż i dla nich tu znajdzie się coś pożytecznego zobaczyć i usłyszeć.“

„Miałem zachowanie u ks. *professora poetyki*, ten mi pozwalał z niektórych *mysteryów* robić *excerpta*, a niektóre całkiem sobie przepisać.“ Jak się ów poeta nazywał dopytać się nie mogłem, bo już to OO. Jezuiti lubili tajemnice i umieli sekret zachować. Mówiono, że był nim albo ks. Minasowicz, albo ks. Nagurczewski, albo Naruszewicz. Ktoby nie był autorem, wyznać muszę, że obudzały interes niepowszedni, a może nawet coś przyczyniły się do obioru Piasta. Zacząłem te misterya odczytywać, później przyszła chętka one drukiem ogłosić, zdało się koniecznem to i owo sprostować, dopełnić, bo tego wymagał rozwój badań i pojęć dziejowych. W swojej pierwotnej nieszykowności, mają wyjść teraz na świat w liczbie trzech, a mianowicie: 1) *Wanda*; 2) *Myszka wieża*; 3) *Mieczysław*. Jeśli zasłużą na uwagę i dobre przyjęcie, to i dalsze serye wychodzić będą.“

Tym wstępem chciał poeta ukryć rzeczywistego autora, ale tajemniczość nie długo trwała, albowiem mamy wiadomość pewną, że utwór ten jest pióra *Aleksandra Grozy*, którego imię poważne

zajął stanowisko w literaturze naszój w nowym okresie po roku 1832. Już w poprzedniem piśmie zbiorowém wydaném w Kijowie 1870 roku p. n. *Kwiaty i owoce*, o którém wspomnieliśmy, wydrukował pierwszą część misteryum: *Twardowski*, mające obejmować pięć części, wierszem rymowym. W *Myszój wieży*, idąc za podaniem z tak zwanych bajecznych dziejów, Groza wprowadza *Popiela*, którego żona *Gierda* pragnie wpływ Normanów ustalić, i objąć sama władzę z ukochanym młodym niemcem *Frycem*. W tym celu truje zaproszonych stryjówmężowskich z rodzinami, z których trupów roje myszy wyrodzone, pożerają *Popiela*, *Gierdę* i ich młodego syna, w warownej wieży *Kruszwicy*. Dwaj aniołowie, w postaci podróżnych, wypędzeni z dworu *Popiela*, znajdują gościnne przyjęcie u *Piasta* rolnika i kołodzieja, i z ich natchnienia po zgonie *Popiela* lud go okrzykuje królem, a syn jego *Ziemiomysł* żeni się ze *Staszka*, która uniknęła zabojezej ręki *Gierdy*, a siostrą zjedzonego przez myszy księżęcia. Misteryum to dzieli się na zmiany, których ośm całość składa.

Wydanie staranne i ozdobne, o ile dozwalały miejscowe siły, gdzie dla braku drzeworytni, litografie takowe zastąpić musiały.

Wł.

Zimowa powieść. (*Winter's Tale*), dramat Szekspira przełożył G. E. W przedmowie objaśniony stosunek treści tego dramatu do wydarzeń zaszłych w Polsce w XIV wieku. Kraków w drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego (w 8-ce str. 120).

W roku zeszłym wyszedł w Krakowie dramat Szekspira *Zimowa powieść*, w przekładzie p. Gustawa Ehremberga; przedmowa tłumacza objaśnia stosunek treści tego utworu do wydarzeń zaszłych w Polsce w XIV wieku, i z tego względu chcemy tu dać o niój wiadomość. Przedmowa ta nadto daje ocenę wartości i samego dzieła, z niój téż co głównejsze poglądy zaczerpujemy.

Wywód podobieństwa woych wypadków należy się p. Jakubowi Caro, autorowi wydanój w ostatnich czasach po niemiecku historyi Polskiej, będącój dalszym ciągiem znakomitój pracy rozpoczętój przez Roepla. Pan Caro doprowadził badania swoje do czasów Jagiellońskich, nie jest wolnym od bezstronności, ale świetnym w wykładzie. Zwrócił on głównie swój pogląd na historję XIV wieku w Polsce, jako pełną ruchu, obfitą w niezwykle przygody na dworach królewskich i książęcych.

Nim przedstawimy wywód niemieckiego historyka, powołać musimy źródło, z jakiego Szekspir zaczerpnął treść do swój *Powieści zimowój*.

Mistrz Robert Greene w roku 1570 wydał powieść pod tytułem *Pandosto* czyli tryumf czasu, w którój czytamy:

Ze Pandosto król Bohemii ożeniony z Bellarią córką władcy Rusi, przyjął w gościnę króla Sycylii *Egista*, towarzysza lat młodych. Bellaria z namowy męża okazywała gościowi najwyższą uprzejmość i opóźniała jego odjazd. Ta uprzejmość niezwykła zrodziła wreszcie w umyśle Pandosty podejrzenie, że mu małżonka nie była wierną. Rozkazał więc podczaszemu swemu Franonowi aby napój podawany Egistowi trucizną zaprawił. Dworak jednak ten zwierzył się z tajemnicą królowi Sycylii i odjechał z nim razem. Pandosto wtrącił żonę do więzienia. Tu porodziła ona córkę, którą król Bohemii kazał porzucić w łodzi na otwartym morzu, na matkę zaś zwołał sąd za radą panów, na którym sam zasiadł. Obwiniona królowa odwołała się do wyroczni Delfickiej, której odpowiedź ogłosiła niewinność Bellaryi. Król przekonany w ten sposób, pogodził się z małżonką; ale dotknięta nagłą śmiercią syna, wkrótce umarła.

Córka Bellaryi wyrzucona na morze, znaleziona przez pastucha Porrusa na brzegach Sycylii, chowała się u niego pod imieniem Faunii. Dorastus królewicz sycylijski ujrawszy młodą pasterkę, powziął do niej tak wielkie przywiązanie, że zamierzył z nią połączyć się węzłem małżeńskim. Z obawy ojca, który mu przeznaczał za żonę królową duńską, Dorastus ucieka przy pomocy mentora wraz z Faunią i Porrusem, burza zapędza ich do jakiegoś portu należącego do króla Bohemii.

Tu ujęty jako podejrzan, królewicz włoski przybiera imię Meleagra, udaje że jest szlachcicem z Transpolonii. Król rozkazuje wtrącić go do więzienia, a zachwycony wdziękami Faunii narzeczonej Meleagra, postanawia zjednać dla siebie jej miłość.

Przybyłe poselstwo z Sycylii wykrywa, że Meleagr jest Dorastem królewiczem, a Faunia córką pastucha, która młodzieńca uwiodła swoją zalotnością. Ojciec Dorasta żąda od króla Bohemii aby syn był mu powróconym, a zalotnica ukarana śmiercią wraz ze spółnikami. W tedy to Porrus wyjawia prawdę, że Faunia jest córką Pandosty. Wszystko się zmienia, Dorast poślubia swą narzeczoną, Pandosto po wyprawieniu wesela odbiera sobie życie.

Szekspir w swym dramacie to, co się w powieści Greena działo w Bohemii przeniósł do Sycylii i na odwrót. Odrzucił tylko scenę zalotów starego Pandosty, śmierć księżnej przedstawił pozorą. Króla Bohemii nazwał Polixenem, króla Sycylii Leontesem, żonę jego Hermijoną, córkę Perditą, a Dorasta Florycelem.

Powieści podobne, pełne jaskrawości i nadzwyczajnych przygód, w długie wieczorne rozmowy opowiadano w gronie rycerskiem tych, co stawy wojennej szukali na ukrainach Europy. Po skończeniu się wojen krzyżowych wielu rycerzy angielskich udawało się na dwór krzyżacki który był najświetniejszą wówczas szkołą rycerską, pozorującą swe cele zadaniem nawracania niewiernych. Tu to owi przybysze wpośród grona licznych wojowników, spotykali królów Bohemii, słyszeli o książętach bliższej i dalszej Polonii, Danii, Rusi.

W powieści Greena napotykamy liczne wzmianki o bóstwach i wyroczniach pogańskich, co upoważnia do domysłu, że między wypadkami w powieści tój opowiadaniemi a treścią z naszych dziejów czerpaną, mogło zachodzić pewne powinowactwo. Krzyżacy bowiem nie tylko Litwinów mieli za pogan, ale w ogóle ludom szczerpu słowiańskiego niechętnie miano chrześcian przyznawali, gotowi wszystkich mieć za barbarzyńców oprócz samych siebie.

Dla przedstawienia całej wartości wywodów p. Caro, przytoczymy tu wyjątki z jego dzieła: *Geschichte Polens von D. T. Caro*.

„Eufemia córka Mikołaja księcia Opawskiego była pierwszą żoną Ziemowita III księcia mazowieckiego. Miał on z nią dwóch synów: Ziemowita i Janusza. Po śmierci Eufemii, pojął za żonę córkę księcia na Ziębnicy (Münsterberg) słynną z piękności, która poprzednio była damą na dworze cesarzów niemieckich. Ziemowit namiętnie kochał żonę, krążyły jednak pogłoski potwarcze o niewinności tój pani, przez długi czas uszu Ziemowita niedochodzące, nareszcie doniosła o nich księciu własna jego siostra księżna Cieszyńska oraz syn jój Przemysław, a Ziemowit dla wykrycia prawdy rozkazał żonę na zamku w Rawie osadzić, służbę księżnej mękami do zeznań znaglano, dowodu jednak żadnego nie osiągnięto. Księżna w więzieniu urodziła syna, którego biędna jakaś kobięta w okolicach Rawy przez 3 lata wychowywała, dopóki go księżna Dobrzyńska Małgorzata bratowa w nocy do siebie nie zabrała. Tymczasem wzmogła się zazdrość Ziemowita, obwinionego o uwiedzenie księżnej koźmi rozszarpać kazał, a uwiedziony namową złych ludzi niewinną małżonkę na śmierć skazał. Żal i zgryzoty szarpały jego duszę, w kilka lat potęm księżna Małgorzata przedstawiła mu urodzonego syna w więzieniu, którego podobieństwem do siebie rysów uderzony, przyznał, przeznaczył do stanu duchownego i wyjednał probostwo płockie.

Opowiadanie to wyjęte z kroniki archidyakona gnieźnieńskiego, posłużyło Szekspirowi za osnowę dramatu *Zimowa powieść*. Trudno przypuszczać aby Szekspirowi znaną była niedrukowana jeszcze kronika archidyakona gnieźnieńskiego i wiemy tēz iż Szekspir trzymał się na tēm samém śnać zdarzeniu osnutęj powieści Greena: *Dorastus i Faunia*, trzeba jednak przypuścić, że obok powieści Greena, musiał mieć pod ręką inną jeszcze tego zdarzenia relacyę. Na tę myśl naprowadza postać Pauliny, która w dramacie odgrywa ważną rolę, a którój w powieści Greena nie ma. Dziwiono się że Szekspir mieści Czechy nad morzem, a i Green to samo czyni. Nawet archidyakon gnieźnieński Morawię kładzie nad morzem Śródziemnem.

Około roku 1392 udał się Henryk biskup płocki, brat przyrodni książąt mazowieckich do komturów Balgi i Chrystburga, przedstawiając im propozycyę do trwałego pokoju z Polską i Litwą, i prosił, będąc dobrze przez komturów przyjęty, żeby się mógł widzieć z Witoldem przebywającym wówczas w Ritterswerder.

Biskup ten (jeszcze nie wyświęcony) mający wtedy niespełna lat dwadzieścia dwa urodził się na bohatera romantycznej powieści. Był synem słynnej piękności i nieszczęśliwego losu księżnej mazowieckiej. Król Władysław posłał Henryka aby nakłonić Witolda do powrotu do ojczyzny i pogodzenia się z nim, za co mu król obiecywał godność wielko-książęcą i posiadanie księstw przypadających mu z działu spadkowego.

Brat przyrodni Henryka Janusz ożeniony był z siostrą Witolda Danutą Anną; młodszemu zaś dyplomacie wpadła w oko druga siostra Witolda Ryngałta, z którą się wkrótce ożenił.

Blizsze rozpatrzenie się w szczegółach prowadzi do wniosku, że cała budowa dramatu Szekspira, opiera się na gruncie historycznym. Wprawdzie w dramacie nie syn rodzi się w więzieniu ale córka Perdita. Za to Henryka przypomina jej oblubieniec Florycel, który nie bez pewnej analogii z Henrykiem, sięgającym po zabronione związki, zapala się niewłaściwą dla królewskiego syna miłością ku pasterce. Jakkolwiek bądź, prawdopodobieństwo wskazuje drogi, jakimi wiadomość ta doszła do Anglii. W tych właśnie czasach przybywali do Prus dla uczestniczenia w wyprawach na Litwę znakomici rycerze angielscy, mianowicie roku 1390 i 1392 znajdował się tu Henryk Derby syn Jana Gent księcia Lan-kaster, późniejszy król angielski, Wilhelm Douglas, który w Prusach zginął, i jeden z rodu Percy. Temu ostatniemu mógł być Henryk Mazowiecki osobiście znanym, bo według wyraźnego świadectwa Wiganda, Percy należał do gości zakonu, których Witold za Szeszupę wysyłał, a nadto należał do wyprawy marszałka Rabe na Suraż, gdzie Henryka pojmać zamierzano. Wiadomo jak się Szekspir zagłębiał w szczegółową historię tych czasów: może też i Szekspir i Green mieli przed oczyma jakąś baladę o pruskich wyprawach króla Henryka.

. . . W ogólności możnaby dowieść, że poufne stosunki Jadwigi (królowej), Wilhelma, Jagiełły, Witolda, Henryka płockiego, Ryngałty, i innych sióstr Witolda nacechowane niezwykłymi wydarzeniami posłużyły za tło obszernego cyklu zmyśleń poetyckich, w których bądź wprost, bądź pośrednio odbiły się owe stosunki i postacie w różnych przetworzeniach. *Zimowa powieść* pochodzi z tego samego okresu tradycyji rodzinnych, uważam więc za rzecz więcej niż prawdopodobną, że scena sądu, który się miał odbyć w Wiślicy (u Długosza pod r. 1388 wyrok wydany na Gniewosza z Dalewic fałszywego oskarżyciela Jadwigi), podała myśl do podobnej sceny w III akcie dramatu Szekspirowskiego, pozostawiając przytém do rozstrzygnięcia, czy przypadkiem i w imieniu Hermiony nie zachodzi reminiscencya imienia Hedwigi. W każdym razie zważyć należy, że podania o pożyciu małżonków królewskiej pary przechowały się nie u samego Długosza.

Znajduje się bowiem wzmianka o tém, z epoki dwoma pokoleniami przedzielonej i zapewne na podstawie ustnego podania ale

nie bez psychologicznego podobieństwa do prawdy spisana, w tak zwaną dawniejszą kronikę wielkich mistrzów (*Scriptores rer. Pruss.*):“

Pomimo tak poważnego źródła historycznego, pomimo wykazania dosyć uderzającej analogii między treścią dramatu Szekspirowskiego a wypadkami w końcu XIV wieku w Polsce zasłémi, podzielamy wątpliwość tłumacza: co do trafności domysłu i wywodów historyka niemieckiego.

Co się tyczy samego dramatu, który jest jednym z ostatnich utworów Szekspira, jakkolwiek brak mu napozór jedności akcji i interesu, tych kardynalnych przymiotów każdego dramatycznego dzieła, w osnowie jego jednak znajdujemy ruch, życie, charaktery, grę namiętności i całość, noszący na sobie wszelkie cechy dramatu. W utworach bowiem Szekspirowskich jedności téj szukać należy nie w czynach i wypadkach, ale w duszy jego bohaterów. Sądząc z tytułu *Zimową Powieść*, zdawałoby się że pod formą dramatyczną napotka się tu układ powieściowy.

Ale tak nie jest, bo lubo scena za sceną idzie tu jak rozdział po rozdziale, w gruncie jednak rzeczy mistrzowska ręka Szekspira przedstawia tu sprawy ludzkie i wypadki jak żywe. Jestto przymiotem jego twórczości, że jakikolwiek weźmie ułomek żywota ludzkiego, wysnuje zeń cały świat namiętności i tajemnic życia i znajdzie w nim dramat gotowy.

W *Powieści Zimowej* część pierwsza jest tragedją, druga idyllą, a zakończenie sceną dziwną, nie podobną do prawdy. Pomysł to śmiały i oryginalny. A jednak części te połączone w całość ujmującą i żywotną. Sztuka, z którą się twórca zdawał chwilowo rozłączyć, posługuje się tu wszędzie z całym swym bogactwem i wiernością.

Powiązac takie sprzeczności, i pokonać podobne trudności mógł *tylko geniusz* Szekspira. Tłumaczenie samo jest wyborne, język piękny i silny. Pominęcie wiersza nie rymowego, przeplatającego prozę oryginału, tłumacz wynagrodził prozą swobodną i wyrobioną, w ogóle prozą naszą, kiedy jest dobrą. W ogólności przekład p. G. E. jest jednym z cenniejszych nabytków dla naszego piśmiennictwa.

I. M.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

WARSZAWA.

— *Warszawa.* Maj 1872 roku. Otrzymałą odezwę *Komitetu Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych*, dosłownie podajemy.— „Zatwierdzone w r. z. Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, z rokiem bieżącym rozpoczęło swoje istnienie.

U steru jego stanął Komitet, którego skład ustawa Towarzystwa w § 13 bliżej określa.

Zadaniem Towarzystwa, według brzmienia § 1 rzezonój ustawy jest:

„Pracować nad moralną poprawą dzieci płci obojga, które za występki przez Sądy na karę skazane zostały; tudzież nad polepszeniem losu nieletnich żebraków i włóczęgów.

W tym celu wskazane ma Towarzystwo dwa środki działania, a mianowicie:

1. Zakładania osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, w których nieletni, czyli to znajdujący się już u podwoi więzień, czyli też, w skutek próżniaczego życia, będący nad przepaścią występku lub nędzy, mają być na drogę cnotliwego prowadzenia się i uczciwego zarobkowania skierowani (§§ 2, 3 4).

2. Wyszukiwania odpowiedniego pomieszczenia dla wychowawców wychodzących z osad Towarzystwa i udzielania im w przyszłym zawodzie pomocy i opieki, (§§ 37, 38, 39 i 40).

Wieloletnie doświadczenie innych krajów poucza, że zbawienna działalność tego rodzaju Towarzystw wydarła zepsuciu i nędzy całe szeregi nieletnich i oddała ich społeczeństwu uleczonych moralnie i do pewnego zakresu użytecznej i umiejętnej pracy uzdolnionych.

Wszędzie szczodroblivość prywatnych, współubiegać zdaje się o lepsze z hojnością.

Dosyć przytoczyć nazwiska osób, które czyli to obfitemi dary, nieraz poświęceniem znacznego majątku, czyli też pracą całego życia poparły byt instytucyj mających naszej służyć za przykład.

Odnaczyli się na tém polu: Sydnej Törner Hill, Miss Mery Carponter i Mistress Beker w Anglii, Schüller i Sür engar von den Boscha w Holandyi, Vice-hrabia Bretinier de Courteille, hr. d'Ourche, Demetz i wielu innych we Francyi.

Stasystyka z r. 1868 wskazuje, że Anglia liczyła 50 tego rodzaju zakładów dla chłopców, — 36 dla dziewcząt. Szkocya 14, z których 8 dla pierwszych, a 6 dla drugich.

W zakładach tych wychowywało się 5072 chłopców i 1076 dziewcząt.

Francya liczyła w 1864 r. zakładów 58, z tych 29 dla chłopców, 24 dla dziewcząt, a 5 mieszanych; w liczbie tych było zakładów 7 tylko rządowych (4 męskie, a 3 żeńskie) a reszta prywatnych.

W rządowych było nieletnich 2,063; — a w prywatnych 6,078.

W ogóle statystyczne cyfry pouczają, że w peryodzie 9 lat, uratowały zakłady rzeczono od nieochybnego upadku moralnego lub nędzy 10,000 nieletnich we Francyi.

Niemniej ważnym okazuje się wpływ tych instytucyj na zmniejszenie powtarzania się przestępstwa (recydywy).

Statystyka wykazuje, że dawniej 75%, a nawet 77% nieletnich, po wycierpieniu kary powtórnie jęj ulegało.

Po założeniu słynnych kolonii w Mettrej i innych miejscach, procent ten zniżał się stopniowo aż do 3%, tylko, a nawet czasami do 1,5%.

Zakłady tego rodzaju posiadają także: Belgia, Holandya i Szwajcarya, ta ostatnia w liczbie 50.

W Niemczech w podobnych Instytucjach, których było już przed kilkoma laty 347, wychowywa się do 10,000 nieletnich.

W Stanach Zjednoczonych cyfry te do niezmiernych doszły rozmiarów.

Jak zaś wielka liczba mieszkańców kraju przyjmuje udział w popieraniu podobnych osad i przytułków, dosyć będzie nadmienić, że w małej Holandyi Towarzystwo założone przez generała von den Boscha, w krótkim przeciągu czasu liczyło 20,000 członków.

Że w Cesarstwie Towarzystwo w 1870 roku zatwierdzone, zebrało do dziś dnia przeszło 34,000 rsr. z ofiar prywatnych, i że dzisiaj już środkami temi z pomocą rządu rozpoczęło skutecznie działalność.

Zbytecznym byłoby wykazywać, jak upragnionem jest, aby i nasze, zaledwie w kolebce dopiéro będące Towarzystwo, mogło jak najszybciej zabrać się do szczytnego, ustawą wskazanego mu zadania, i wywiązać się tém samym należycie z przyjętego na siebie obowiązku.

Wszelako upragniona i tyle pożyteczna działalność naszego Towarzystwa będzie mogła rozwinąć się dopiéro wówczas, gdy ilość jego Członków do znacznej wzrośnie cyfry, gdy w ten sposób nietylko zwiększy się liczba osób widoki Towarzystwa popierających, ale nadto, gdy wpływy jego ze składek obowiązkowych, od Członków przypadające, dostarczą Komitetowi corocznie dostateczne środki do przeprowadzenia tego, co mu ustawa czynić zaleca.

Towarzystwo składa się z Członków założycieli i Członków honorowych.

Pierwszych liczba nateraz ustawą ograniczona do 20-tu jest już uzupełnioną; ilość zaś członków honorowych, wnoszących rocznie składki stałej rubli sześć, jest nieograniczoną.

Do chwili obecnej cyfra zapisanych dochodzi zaledwie pięciuset, co zaiste stosunkowo do liczby zamniejszych w Królestwie mieszkańców obojga płci, wszech wyznań, różnych położeni i zatrudnień, jest cyfrą zbyt mało znaczącą, która pomysłnego i skutecznego rozwoju działań Towarzystwa dotąd jeszcze nie zapewnia.

Komitet przeto czuje się w obowiązku odwołać się do wszystkich osób obojga płci i wszelkich wyznań, którym dobro ogólne leży na sercu, którym wreszcie nie może być obojętną Instytucya przyczyniająca do pomysłności naszego społeczeństwa, a którym nakoniec składka roczna rubli sześć, na cel tak szlachetny uciążliwą nie będzie, aby raczyli pospieszyć z przyjęciem udziału w Towarzystwie osad rolnych i przytułków rzemieślniczych w charakterze Członków jego honorowych i aby wnoszeniem regularnem rocznej, powyżej oznaczonej składki do Kassy Towarzystwa, przyłożyli rękę do spełnienia jego zadania.

Lecz nie dosyć na tém.

Zamierzone urządzenie piérwszej modelowej osady dla nieletnich przestępców wymaga różnych jednorazowych ofiar, serc publiczności naszej.

Potrzeby te rozpadają się na dwie główne kategorye, a mianowicie:

1. Nieodzowną jest dla Towarzystwa, pewna przestrzeń gruntów, o ileby można około morgów 300 wynosząca, a w bliskości Warszawy, koło jednej z dróg żelaznych położona, któraby to przestrzeń odstąpioną być mogła na dogodnych warunkach, czyli to na własność Towarzystwa, czyli téż tytułem wieczystej dzierżawy. Zwraca się uwagę skłonnych do podobnej ofiary Właścicielei dóbr Ziemskich, że po zupełnem urządzeniu z czasem osady, w której projektowanem jest pomieszczenie od stu do dwustu nieletnich, praca ich zbyteczna od miejscowego gospodarstwa będzie mogła przez czas robót polnych być odnajmowaną w sąsiedniej okolicy.

2. Potrzeba jest Towarzystwu jednorazowych pieniężnych ofiar na odpowiednie téj osady urządzenie, które według przygotowanych obliczeń wymagać będzie znakomitych funduszków, o wiele przechodzących dotychczasowe Towarzystwa zasoby, roczne bowiem składki od Członków honorowych należne i opłaty przez Rząd uiszczac się mające za utrzymanie nieletnich przestępców, przeważnie obracane być muszą w przyszłości na zaspakajanie bieżących wydatków Towarzystwa, osadami jego spowodowanych.

Komitet Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych pełen jest otuchy, że odezwa niniejsza wywoła w publiczności ogólnej poparcie jego usiłowań. Albowiem tym tylko sposo-

bem Towarzystwo nasze w ślad za tyłu innemi, które go w innych krajach wyprzedziły w pracy około nieletnich, pogrążonych w zepsuciu i nędzy, może działalność swoją szybko i skutecznie rozwinąć.

Nadmienia przytem Komitet, że pragnąc trzymać obecnych i przyszłych członków Towarzystwa w wiadomości jego zadania i potrzeb téj rodzącej się dopiero Instytucyi, postanowił ogłosić bezzwłocznie drukiem sprawozdanie delegacyi, wyznaczonej do bliższego określenia dróg, jakimi Towarzystwo działalność swoją kierować powinno.

Następnie nieomieszka przez pisma codzienne podawać do wiadomości ogółu, ofiarodawców i złożonych przez nich lub zadeklarowanych ofiar.

Pragnący przyjętym być na Członka, raczy zawiadomić Komitet Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, którego biuro mieści się w domu Nr. 1066 lit. o, przy ulicy Królewskiej.

Uprasza Komitet, aby każdy wygłoszony przez pisma Członek Towarzystwa, raczył bezzwłocznie złożyć składkę roczną w kwocie rubli sześć, w Kasie Banku Handlowego, przy ulicy Mazowieckiej w domu hr. Zamoyskiego Józefa, Nr. 1347 lit. f. istniejącej.

Wezwanie to odnosi się tak do członków w przyszłości ogłoszonymi być mogących, jak i do tych którzyby. oraz poprzednio przez pisma już wymienieni, dotąd składki nie złożyli.

Osoby skłonne do udzielenia gruntu na osadę, lub pragnące zasilić Towarzystwo jakową ofiarą pieniężną, raczą piśmiennie o tém powiadomić Komitet, pod adresem powyżej wskazanym.

Ofiary pieniężne, chociażby najdrobniejsze na rzecz Towarzystwa, przyjmuje również Kassa Banku Handlowego.

Nakoniec, dla wiadomości osób pragnących ustnie rozmówić się bliżej co do warunków, pod jakiemiby grunta mianowicie udzielić były chętne, objaśnia się, że zgłosić się mogą albo do Członka Komitetu księcia Tadeusza Lubomirskiego, albo téż do zarządzającego interesami Towarzystwa p. Ludwika Kolnarskiego (ulica Elektoralna Nr. 41), albo nakoniec do pomocnika zarządzającego członka Komitetu p. Aleksandra Moldenhawera (ulica róg Franciszkańskiej i Nowego Miasta Nr. 1). Prezes *J. Mianowski*.⁴⁴

— Pierwsze zeszyty dwóch *Encyklopedyj*, S. Orgelbranda i J. Ungra, już się w drugiej połowie maja r. b. ukazały. Cena ich jest o połowę tańsza, dla prenumeratorów *Wienca*, lub *Tygodnika Ilustrowanego* i *Wędrowca*. Obecnie wydawca *Bluszezu*, toż obniżenie ceny utrzymuje dla prenumeratorów biorących *Encyklopedję* S. Orgelbranda.

— W Drukarni Józefa Bergera rozpoczął się druk pierwszego zeszytu *Encyklopedyi Rolniczej*, z odpowiedniami ilustracjami.

— Bezimienna autorka, w *Sylwetkach i Szkicach*, drukowanych w odcinku *Gazety Polskiej*, (Nr. 104) mówiąc o wydatnej

a zasłużonej postaci ś. p. *Kacpra Żelwiera*, podaje zajmujący szczegół o nieznanej improwizacji Mickiewicza. Było to w roku 1828 w Petersburgu, gdy grono przyjaciół zebrało się w mieszkaniu Żelwiera, oczekując na jego powrót z podróży. Przybyłego powitano serdecznie, a jeden z obecnych podał myśl, aby taką chwilę radością w pamięci utrwalić. „Myśl tę (pisze autorka) z zapalem jednozgodnie przyjęto, a skutecznicę ją tém łatwiej było, że w tém przyjacielskiem gronie oprócz innych znakomitości, były takie dwa geniusze jak Mickiewicz i Orłowski! Chodziło tylko o wybór tematu, co zostawiono solenizantowi! Po krótkim namyśle wymówił: „Ryszard lwie serce“. Poeta i malarz odosobnili się na chwilę, i po dwudziestu minutach wyszli oba, Orłowski niosąc pyszny pomysłem szkic historyczny, Adam opromieniony, natchniony, jął wypowiadać wiersz na tém tle osnuty. Wydekłamowawszy coś trzysta wierszy, zemdlał: siły go opuściły. Obecny téj uroczystej chwili Feliks Kułakowski, towarzysz nieodstępny, bodziec niejako wszystkich improwizacyj Mickiewicza, spisał ile się dało ten improwizowany utwór, znajdujący się dziś, jak mi się zdaje, w posiadaniu syna jego.

— W artykule p. *Louis Leger* redaktora pisma *La Correspondance Slave* umieszczonym w Nr. 40 *Revue politique et littéraire* p. n. „*O ważności i trudności traktowania przedmiotów słowiańskich*” znajdujemy wzmianki o losach katedry literatury słowiańskiej w Paryżu, które tu powtarzamy dosłownie:

„Rzecz szczególna, mówi p. *Louis Leger*, pierwsi którzy znaleźli się u nas na téj drodze (traktowanie przedmiotów słowiańskich) potracili rozum. Mickiewicz wielki poeta polski, największy może z poetów XIX wieku, po zajmowaniu przez ciąg lat trzech z nieporównanym blaskiem katedry literatury słowiańskiej, której utworzenie wiecznie będzie przynosić zaszczyt p. Cousin; Mickiewicz który z pp. Michelet i Quinet stanowił tryumwirat o którym nie tak prędko może się zatrzeć pamięć, skończył na zabłąkaniu się w mistycyzmie i szatach messyanizmu. Nic boleśniejszego jak widok dwóch ostatnich tomów jego kursu słowiańskiego, w których widzimy tę szlachetną i piękną inteligencję zaciemniającą się, pogrążającą stopniowo w krainę mar i hallucynacji. Rząd francuzki ujrzał się zmuszonym zamknąć w roku 1845 wykłady, które nie mogły do naszego innego służyć jak do wprowadzania w błąd słuchaczy. Na szczęście znajdował się natenczas Francuz, który był pierwszy przedsięwziął, pomimo niedostateczną znajomość idiomatów, zając się ogółem kwestyj słowiańskich, *Cypryan Robert*, autor wybornego dzieła o Słowianach Tureckich i dobrych artykułów umieszczanych w *Revue des deux mondes*. Można było na chwilę sądzić, że Cypryan Robert będzie mógł zaaklimatyzować te wykłady tak jeszcze nowe; nie miał on blasku Mickiewicza, ale pewną powagę i tę jasność która będzie zawsze najlepszą właściwością umysłu francuzkiego. Nadszedł rok 1848, Cypryan

Robert przyłączył się do jakiegóś propagandy, jeżeli się nie mylimy *Cabelismu* i któregoś pięknego poranku zniknął. Gdzie się podział? nikt dotąd nie wie, ani redaktor Przeglądu dwóch światów, ani zacny jego następca na katedrze. Jak zapewniano mię, udał się do Ameryki na wyszukanie nowój Ikarii. Jak widzimy więc katedra niosła z sobą jakieś nieszczęście, wiele umysłów znajdowało, że literatura słowiańska wywiera jakiś zgubny wpływ na rozum ludzki. Zdrowe pojęcia i erudycya profesora który obecnie zajmuje tę katedrę (A. Chodźko), i o którym wyraziłbym się jeszcze pochlebniej, gdybym nie był jednym z jego uczniów, pogodziły ją jednak w końcu z najbardziej uprzedzonymi umysłami."

— Z ogłoszonego wydawnictwa we Lwowie w roku b. „Zbioru powieści J. I. Kraszewskiego" wydano tomów XIV, które obejmują następnę powieści: *Dwa Światy* (4 t.) *Chata za wsią* (3 t.), *Poeta i Świat* (2 t.), *Pod Włoskiem Niebem* (1 t.), *Stary sługa* (2 t.), i *Dziwadła* (2 t.).

— Do pierwotnych dziejów polskich, po znakomitę dziele Karola Szajnochy, przybyły dwie rozprawy, które równocześnie ukazały się w naszych księgarniach, jakkolwiek co do ich wydań, rok cały je przedziela. Obiedwie wyszły nakładem J. K. Żupańskiego w Poznaniu. August Moshach wydał w roku 1871 rozprawę p. n. *Bolesław Chrobry* (w 8-ce str. 28). P. Jan Karłowicz ustępił jeden z jego panowania: „*Wyprawa Kijowska Bolesława Wielkiego* 1018 roku. Rozprawa ta, drukowaną była w roku 1856 w Berlinie w języku łacińskim, p. n. *De Boleslai bello Kioviensi*: jako dysertacya na stopień doktora filozofii. Obecnie z niektórymi zmianami jakie uznał za potrzebne autor, podaje w języku rodzinnym.

— Posiedzenie oddziału archeologii i sztuk pięknych Towarzystwa Nauk Krak., odbyte dnia 20go kwietnia r. b. było pierwszém od czasu zgonu ś. p. Aleksandra Przezdzieckiego. Przewodniczący więc posiedzeniu, zagaił sessyą przypomnieniem tój straty, jaka dotknęła Tow. Nauk., a wezwał obecnych na zebraniu do wyrażenia przez powstanie należnej czci dla pamięci zasłużonego.

Przedmiotem obrad było wiele spraw bieżących, a mianowicie: relacye z czynności Komisyyi odnowy (zamierzonej przez Radę miasta Krakowa) rondla, baszt i murów międzybasztowych floryańskich, restauracyi grobów i pomników królów na Wawelu (na któryto cel Rada miasta odstąpiła na początek funduszu, pozostałość ze składek złożonych na pochowanie zwłok Kazimierza W. wynoszącą 6500 złr. w. a.), Komisyyi runograficznej i innych delegacyj.

Wakujące po śmierci Al. Przezdzieckiego przewodnictwo w Komisyyach: mapy archeologicznej i studyów nad zabytkami ruinicznymi, poruczono prof. Łepkowskiemu; zaś p. Janowi Matejce w Komisyyi zajmującej się pochowaniem zwłok Bolesława

Wstydlwego i postawieniem pomnika na grobie tego króla w kościele OO. Franciszkanów w Krakowie.

Następnie obradowano nad odezwą wydziału sejmu krajowego, w sprawie konserwatorstwa zabytków sztuki w Galicyi, poruczając przedstawienie odpowiednich wniosków Komissyi, złożonej z pp: Leona Chrzanowskiego, Józefa Żepkowskiego, Władysława Łuszczkiewicza, Jana Matejki i Wincentego Pola.

Wreszcie członkowie delegowani z oddziału, do kierowania wydawnictwem *Pomników Krakowa* (Monumenta antiquae artis cracoviensia), publikacyi fotodruków najcenniejszych zabytków sztuki, dochowanych w Krakowie, przedstawili zebraniu gotowy 1szy zeszyt (złożony z 5 fotodruków, in 4 o) oddany już do sprzedaży, który (po 3 złr. w. a. = 2 ruble = 2 talary) nabywać można w biurach: Tow. nauk. Krak., Tow. przyj. nauk. poznańskiego, Zakładu Ossolińskich, w pracowni fotograficznej Beyera i Dutkiewicza w Warszawie, oraz w księgarni D. E. Friedleina w Krakowie.

Nakoniec p. A. H. Kirkor, członek Tow. nauk. Krak., rozpoczął czytanie nader zajmującej rozprawy swojej o dziejach skarbcza Katedry wileńskiej i o grobach królów i ich rodzin, spoczywających w tej świątyni. Dalszy ciąg czytania tej rozprawy, odroczone do następnego posiedzenia.

— Korrespondent do Gazety Polskiej (Nr. 88) z Poznania, daje nam zajmujący obraz tak ludu jak i ziemiaństwa Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Ustęp ten podajemy:

„Włóścianin polski tutejszy z dawnego zaciężnego gospodarza, dziś od lat 40-tu niezależny właściciel swego kawałka ziemi, jest równie jak chłop wyrobnik prawdziwym wzorem pracowitości i oszczędności (wyjąwszy kobiet, o których tego, niestety powiedzieć nie można), a takie chlubne świadectwo daje mu częściiej nawet Niemiec tu osiadły, aniżeli my sami. Chłop właściciel przewyższa naturalnie chłopca wyrobnika i służebnego, bo widoki znacznego dorobku mają we własności daleko szerszą podstawę, i w istocie dorabia on się z każdym dniem widoczniej. Jest to cnota ludowi wiejskiemu u wszystkich Słowian wrodzona; a że w dawniejszych wiekach nigdy nie mogła przyjść do rozwoju, owszem, najczęściej jakby umyślnie była tłumioną, to już doprawdy nie jego w tém wino. Dlatego dobrotyt, statek, oświata ludu tutejszego polskiego, wprawdzie i tej wrodzonej pracowitości jest owocem, ale głównie i przede wszystkim jest to wszystko błogim skutkiem uregulowania stosunków włóściańskich i uwłaszczenia. Włóścianin się z bogacił, do pewnego stopnia ukształcił, zrobił się trzeźwym i oszczędnym, zyskał na wartości i godności, a dawniejszy jego pan ani przeto nie zubożał, ani moralnie lub umyślowo nie podupał. Owszem i on nieskończenie wiele zyskał. Ziemia jego podniosła się w cenie, gospodarstwo stało się intratniejszym; on sam nauczył się po trochu ładu i porządku, gospodarowania z krédą w rękę, a przecież coraz to umiejętniejszego; a obok tego

nauczył się jeszcze cenić wartość i godność nietylko pana, ale i człowieka. I rzeczywiście nie samych to tylko szkółek jest zasługą, że w wiejskim kościele więcej jak dwie trzecie pobożnych modli się na książkach, i nie obce prawa ale nasze własne ukształcenie, ogólny społeczeństwa postęp, wyższa oświata, tak pana jak sługi sprawiły, że bat ekonomiczny do dawno już zapomnianej tradycji należy, równie jak owe odpusty, co to miarą ich świetności była liczba zabitych po pijanemu chłopów. Dziś, nietylko uważano by za występki dać robotnikowi pod jakimkolwiek bądź pozorem w miejsce należnej zapłaty asygnacyą do karczmy, i pod ziemię musiałby się schować ze wstydu, komu by coś podobnego mogło jeszcze przyjść do głowy; — ale owszem, napotykają się i pojedyncze wsie i całe nawet okolice, gdzie obywatele dobrowolnie zrzekli się niechlubnego zysku, i karczmy bądź zupełnie pozostawili, bądź do nieodzownego minimum zredukowali. I zyskują na tém obie strony. Widzimy to najjaśniej, gdy sięgniemy pamięcią jakie 40 lat w tył, i smutno jaskrawe obrazy z lat dziecięcych naszych z chwilą obecną porównamy. Postawmy jarmark wielki lub odpust z dawniejszych czasów obok takiej naprzykład wystawy włościańskiej, jak przed dwoma laty widzieliśmy w Kościanie. Tam trzeba się było przypatrzeć tej licznej drużynie chłopów i chłopek. Odzież schludna i przystojna, twarz pełna swobody, a często oko pełne inteligencji; w ruchach ogłada, w obejściu uprzejmość bez obłudnej uniżoności: to wszystko trzeba było widzieć, aby nabrać wyobrażenia, jakie cuda prosta natura ludzka i zdrowy rozum, przy sprzyjających okolicznościach zdziałać mogą.

Druga połowa ziemiaństwa, właściciele więksi, na całych i wielkich kluczach, inną doszli drogą do przeważnej dziś tendencji dorabiania się. Był czas kiedy olbrzymia przewaga kapitału, pracowitości, oszczędności i inteligencji niemieckich przybyszów, walczyła o lepsze ze starodawnym tradycyjnym niedbalstwem i niedołęztwem, a równie tradycyjną płochością i marnotrawstwem — by zupełnie na seryo zakwestyonować egzystencję i przyszłość naszego tu społeczeństwa. W tym samym właśnie czasie powstało pierwsze ziemstwo kredytowe; ale zbawienna ta instytucja wyjątkowo tylko użyta przez niektórych na podwaliny przyszłej pomyślności została, a po większej części wspierała tylko błogą niepamięć o jutrze. To też wówczas, jakby pod różczką czarodziejską, tu upadały całe wielce dawniej zamożne rodziny, znikwały ze szczętem świetne nazwiska; tam znowu całe okolice jakby wymiotł i przeinaczył: jedno i drugie niby na umyślnie świadectwo, że i tu i tam główna złego i nieszczęścia przyczyna tkwiła bądź w rodowych, bądź miejscowych zgubnych tradycjach. I w przeciągu lat 30, jedna trzecia ziemi w Poznańskim przeszła w zupełnie obce ręce. Ale krok w krok za tym ubytkiem ziemi, szedł także widoczny ubytek dawnego niedbalstwa i płochości; raz że ci, co je najwybitniej reprezentowali, najpierwsi naturalnie padali ofiarą, a więc ubywało materiału zarazy, — a potem że tysiączne smutne

przykłady, tysiąc ostrych dawały napomnień. Zaczęto się przestraszać i namyślać. Nieznano zasad ekonomii politycznej, lecz zrozumiano zasadę nieszczęścia. Ciekawe to zaiste studjum dla psychologii, że tak powiem gospodarstwa społecznego, jak potężnie palec Boży najprostszej logiki wypadków podziałał w kierunku, w którym mu ani żadna tradycja, ani sztuka, ani nauka nie przychodziły w pomoc. Prosta tylko logika wypadków namacalnych a dotkliwych, wyrobiła w nas nareszcie to głębokie przekonanie, że dorabiać się jest wcale niepoślednią zasługą w obec społeczeństwa. W tym kierunku przodują u nas właśnie najzamożniejsze rodziny, a co najważniejsza bogacą się w sposób zacny i piękny, bo prawdziwą produkcyjną pracą, a oszczędnością w osobistych wydatkach. Nie wróciła wprawdzie do nas owa trzecia część wielkich posiadłości, bo to nie taka łatwa sprawa; ale na pozostałych dwóch trzecich narasta zamożność, wznoszą się umiejętne intensywne gospodarstwa, między którymi niejedno jest prawdziwie wzorowem, powiększa się ruchomy i nieruchomy kapitał. Poprawne, często i wzorowe inwentarze, porządne i obszerne zabudowania, wygodne i zdrowe chaty, obszerne i starannie utrzymane sady i ogrody, coraz częstsze fabryki, wszystko świadczy o właścicielach, że tam i głowa, i serce, i kieszeń nie puste. Najchlubniejszym zaś tego świadectwem ta częśćka tego zaoszczędzonego dorobku, co poszła na użytek publiczny.

Przed 12-tu laty powstał u nas pierwszy obywatelski bank na akcyje z kapitałem zakładowym 5 milionów złotych, pod firmą Bniński, Chłapowski, Plater i S-ka. Pomyślność jego nie chwilo- wa, bo i dotąd niezachwiana, stała się w kilka lat zachętą do założenia drugiego takiego domu, równie znacznego w Toruniu: Dominirski, Kalksztein i S-ka, a przed dwoma laty powstał jeszcze jeden w Poznaniu pod firmą Kwilecki, Potocki i S-ka. Ten odrazu z taką energią i powodzeniem operacje swoje rozwinął, że uznano za pożyteczne jego kapitał zakładowy powiększyć do 12-tu milionów złp., i potworzyć agentury po większych miasteczkach Księstwa, a filię we Wrocławiu. Zdaje się, że z czasem bank ten skoncentruje w swoim ręku cały nasz handel surowych ziemiopłodów, a więc jedną z najważniejszych a srodze zaniedbanych gałęzi bogactwa krajowego. To pewna, że już dziś daje utrzymanie wielkiej liczbie młodych kupców i przemysłowców i dobre dywidendy swoim akcyonaryuszom; to też solą jest w oku naszych dotychczasowych pijawek."

— Według spisów ludności wykazanych w niemieckim czasopiśmie statystycznym Engel'a, ludność narodowości litewskiej w Prusach Wschodnich w 1867 roku wynosiła: w regencyi Gombińskiej 110,150, w reg. Królewieckiej 34,450; razem, wraz z Litwinami w wojsku służącymi 146,800 głów. Powiaty najliczniej litewską ludnością osiadłe są: Tylżycki 26,050, Kłajpedzki (Memel) 24,825.

Ilość Polaków czyli Mazurów, w której mowa Polska dotąd zachowała się, wynosi: w regencyi gombińskiej 157,628⁹ w Królewieckiej 174 893: razem 332,521. Najliczniej osiadły jest Polakami obwód Łyski, 36 060 i Szczytnowski (Ortelsburg) 53, 240 głów. W Prusach Zachodnich Polaków i Kaszubów liczy regencya Gdańska 137,285, Kwidzińska 280,451, Koźlińska, 3743: razem 421,479 głów. W W. Ks. Poznańskim: w regencyi Bydgoskiej 254,200, w Poznańskiej 580,200, razem 834,400. Najliczniej polską ludnością zasiedlone są powiaty: Bydgoski 23,750, Szubiński 31,180 Inowrocławski 47,570, Mogiłański 29,830, Gnieźnieński 43,200, Wągrowiecki 41,160, Wrzesieński 33,940, Pleszewski 46,570 Średzki 38,190, Szremski 41,960, Kościański 50,900. Miasto Poznań liczy 17,940 Polaków. Najuboższy w pomienioną ludność jest obwód Międzyrzecki, liczący tylko 5100 głów polskiej narodowości. W Górnym Szlązku spisy z roku 1867 wykazują: w regencyi Opolskiej 734,800, w Wrocławskiej 55,100 osób pochodzenia polskiego. Najliczniej osiadły tą ludnością jest obwód Bytomski 147,260, Rybnicki 62,910, Gliwicki 62,590, Raciborski 56,470.

W miesiącu maju *Tygodnik Ilustrowany* w numerach 226. 227, 228, 229, 230 zawiera artykuły. Z drzeworytami: Zakłady zdrojowo-kąpielne w Truskawcu. — Pogoń, kopia z obrazu Sypniewskiego. — Alexander Humboldt. — Młodzież, obraz Gersona. — Typy z Krakowa i jego okolic. — Hoffmanowa w roli Beatryksy Cenci. — Pomnik Gastolda. — Obrazy Tegazza do Hermiana i Doroty. — Widoki ze Skierniewic. — Mściciel swojego honoru. — Henryka Angeli — Tomasz Padura. — Uroczystość Jowisa w Dreźnie 1718 r. — Łasica. — Powrót z Bielani przed pięćdziesięciu laty. — Jan Kochanowski po śmierci Urszulki. — Po pierwszym balu. — Pomnik Nelsona. — Rysunki humorystyczne. Prócz tych artykułów: Narzeczona Harambaszy powieść. — Listy T. T. Jeża. — Z wieczorów nad Tamizą. — Przy pługu. — Teatry lwowski i krakowski. — Wiosna, poczyta Waldemara. — Ze świata muzycznego. — Pozytywni, komedia J. Narzyskiego. — Mozart i Salieri, z Puszki. W Dodatku: Natalia, powieść. Kroniki tygodniowo — Przeglądy polityczne.

W miesiącu maju *Kłosa* w numerach: 356, 357, 358, 359, 360 obejmuje artykuły. Z drzeworytami: Zaścianek. — Galileusz w więzieniu Müllera. — Czytelnia w bibliotece w Paryżu. — Panicz i dziewczyna, Kurelli — Powrót od ślubu. — Widoki miasta Zgierza. — Szczęście stracone. — Słoń napadający wioskę. — Ostrowiec. — Upadek — Dzisiejszy gladiator. — Lud z okolic Poznania. — Pociecha babuni — Flora i Zefir Laurenta. — Wnętrze kościoła Ś-go Augustyna w Paryżu — Tajemnica. — Kiermasz w miasteczku. Władysław Warneńczyk, Matejki. — Kobiety z Subiaco. — Szkice humorystyczne. Prócz powyższych, powieści: Derśław z Rytwian, Jeża. — Stracony i odzyskany, Braddona. — Stanowisko kobiety, Hodiego. — Kartki z wycieczki na wieś, Tatarskiewicza. — Drugie cesarstwo we Francji, Jeża. — Missyjonarze angielscy. Listy J. I. Kraszewskiego. — Pokłosie. — Wiadomości z pola literatury i sztuk. — Przeglądy polityczne i prasy peryodycznej. — Kronika Lwowska. — Z obcego świata. — Teatr. — Rozmaitości.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

W drukarni J. Bergera przy ul. Daniłowiczowskiéj Nr. 619.

Дозволено Цензурою, 16 Мая 1872 г.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM.

Z R. 1872.

Archeologia.

	Stron.
Kilka słów o naszych „stacyach krzemiennych,” przez Z. Glogera . . .	436

Biografia.

Alexander Przedziecki, przez K. Wł. Wójcickiego	60
Marcin Bielski przed sądem królewskim w Piotrkowie, przez A. Pawińskiego	225
Jan Łaski Reformator Kościoła. Wiadomość historyczno-bibliograficzna, przez Cyprjana Walewskiego	357

Ekonomia polityczna.

Studia ekonomiczne przez Edmunda Stawiskiego	1—165
--	-------

Etnografia.

Okolica nad Zbarem i Rowem, przez Fryderyka Krause'go	125
---	-----

Dzieje tegoczesne.

Dziennik z oblężenia Paryża, napisany przez Antoniego Oleszozyńskiego	232
---	-----

Historya polska.

stron.

- O królowej Elżbiecie. Ustęp z drukującego się piątego tomu dzieła
ś. p. Alexandra Przędzieckiego: „O Jagiellonkach polskich”. 78

Literatura polska.

- Ostatni klasyk: wspomnienie z pierwszej połowy naszego stulecia,
przez K. Wł. Wójcickiego (Dokończenie) 242

Literatura powszechna.

- Historya Literatury Angielskiej, (z H. Taina), streścił Edward Lubo-
wski. 427

Podróże i odkrycia.

- Wyprawa podbiegunowa z roku 1869—1870, przez A. P. 12

Powieść.

- Amalia. Ustęp z wojny domowej w Rzeczypospolitej Argentyńskiej,
p. D. Jose Marnol; przekład z oryginału hiszpańskiego .33, 186, 392

KRONIKA ZAGRANICZNA, LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA

- Pani Stael i Niemcy. — Nemezys dziejowa. — *Les deux Alle-
magnes*, przez profesora Caro. — Michiels. — Życie i dzieła
pani Stael według Lamartina. — Pani Georges Sand i krytycy
berlińscy. — *Souvenirs d'un Voyageur pendant la guerre*. — Pro-
fessor Virchow: sąd jego o naukowości Francuzów. — Nowa
opera Werdego: Aida. — Maryette Bey, poeta archeolog. Sta-
rożytności egipskie z czasu Faraonów. — Serapium. — Świąty-
nia Ramzesa. — *Poemes populaires* E. Manuela. — *Dziecko
w ogrodzie*. *Wiosna*. — Posiedzenie Akademii Francuzkiej:
przyjęcie pana Duvergier de Hauranne. — Mowa pana Cuvillier-
Fleury 92

- Powrót do Paryża. — Strasburg. — Katedra z pogorzałym dachem.
— Mefistofeles na frontonie. — Zegar astronomiczny: Wize-
runek Kopernika; napis *Vratislaviensis*. — Michał Wrocławczyk
mistrz akademii Jagiellońskiej w XVI wieku, wydawca kalen-
darzy krakowskich. — Zgłiszcza Biblioteki i Muzeum. — Nowa
granica. — Paryż. — Ruiny. — Ruch w świcie inteligencji:

Kobięty francuzkie. — Panna Bader. — Dzieło: *Kobięta grecka*. Broszura: *Une question vitale*. — *Dziennik oblężonej podczas blokady Paryża*. — Dziełko J. Janina, o Ponsardzie. — Szkoła eklektyków. — *Lukrecya*. — *Agnieszka z Meranu*. — *Ulysses*. — *Karolina Corday*. — *Horacy i Lidya*. — *Honor i pieniądze*. — *Gielda*. — *Lew zakochany*. — *Galileusz*. — Obrazki poetyczne Fr. Coppée: *Maluczcy (Les Humbles)*. — *Dworek na przedmieściu*. — Scena dramatyczna: *Klejnoty*. — Dramat pana Darminen: *Daniel Manin*. — Nowe dzieło włoskie: *La vite ei tempi di Daniele Manin*. — Rzut oka na przeszłość Wenecyi. — Zborowscy, — Górkowie. — Łukasz Górnicki. — Słowa Jana Zamojskiego. — Potwarz. — Dzisiejsza krytyka. — Pawel de St. Victor. — Wystawa obrazów Henryka Regnault: *Thetis przynosząca oręż Achillesowi*. — *Automedon*. — *Judyta*. — *Egzekucya bez sądu pod Maurytańskimi królami Grenady*. — Konferencye paryzkie Ernesta Legouve. — Nowe odkrycia archeologiczne: Świątynia Dyanny w Efezie. — Szkielet Troglodyty. — Listy pani de Maintenon. — Widowisko we Florencyi. — Konferencya p. Elex w Akademii Sztuk pięknych. — Posiedzenie w Sorbonie. — Śmierć księdza Gratry członka Akademii. — Augustyn Cochinn.

299

Przekład na język francuzki dzieła Gerwinusa. *Historja XIX wieku od czasu Traktatów Wiedeńskich*. — *Dzieje Anglo-Saksonów*. — *Pomniejsze pisma historyczne*. — *Historja literatury poetycznej, narodu niemieckiego*. — *Mission des Deutsch-katoliken*. — *Grundzüge der Historyk*. — *Hinterlassene Schriften*. — Niewydana autobiografia: — *Komedia hiszpańska Luiza Egilaza: Una aventura di Tirso*. — Amerykanin Samuel Morse, wynalazca elektrycznych telegrafów. — *Rok straszny*: nowy tom poezyi Wiktora Hugo. — Wiersz do wnuczki chorój podczas oblężenia Paryżu. — Pochowanie zwłok Alexandra Dumasa w Villers Cauterets — Konferencye o Dumasic p. Lapomierage. — Dramaturg i powieściopisarz. — Powinowactwo ducha między Don Quisotem a Muszkietierami, wstęp do dramatu *kaligula*. — Konkurs Nestor Viquesnel, ogłoszony przez Towarzystwo Etnograficzne paryzkie. — Nowe pytanie konkursowe: Bibliografia etnograficzna ludów słowiańskich. — Uroczystość w akademii Francuzkiej; mowy pp. Rousset i Haussouville. — Zawód literacki Prevost-Paradolla — Prace historyczne Kamila Rousset

442

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

Kodeks dyplomatyczny Tyniecki. Przez R. H. 134
 Czechia i Morawia. (Wydanie komitetu Słowiańskiego, Petersburg 1871) Przez K. P. 148
 Das *Schaül*. Ein Beitrag zur Berberischen Sprachen, und Völkerkunde von Adam Graf Sicrakowski, Dr. jur. Mitglied der

geographischen und der anthropologischen Gesellschaft zu Berlin. Dresden, Verlag von J. I. Kraszewski 1871. Przez E. S.	152
Kodex dyplomatyczny Wielicki, wydany z polecenia hr. Ag. Gołuchowskiego, staraniem i nakładem redakcyi Gazety Lwowskiej	335
Odpowiedź panu W. K. na uwagi nad moją Meteorologią	339
Die bisher bekannten Pflanzen Galiziens und der Bukowina von Jozef Arniu Knapp. Wien 1872, Wilhelm Braumüller K. K. Hof- und Universitätsbuchhändler	343
Kraków przed czterdziestą laty. Przez Walerego Wielogłowskiego (Wydanie pośmiertne)	344
Książki wydawane przez Instytut warszawski Głuchoniemych i Ociemniałych. Przez Władysława Nowickiego	345
O zakładach karnych dla nieletnich przestępców i dzieci potrzebujących opieki. Przez A. Moldenhawera.	351
Nasze piśmiennictwo rolnicze w r. 1871 i w kilku latach poprzednich. Przez Seweryna Zdzitowieckiego	475
Dodatek miesięczny do Gazety Lwowskiej, poświęcony historii, statystyce i ekonomii krajowej, przez Wł.	495
„Co Bóg dał.“ Wydał F. M. Ejsmont., Ozdobione rycinami A. A. Ejsmonta. przez Wł.	499
Zimowa powieść (Winter's Tale). Dramat Szekspira, przełożył G. E.	502
Wiadomości literackie.	153, 351, 507
Od Redakcyi	356

